

**Brian Herbert**

**Kevin J. Anderson**

# **Ród Harkonnenów**

**Preludium do Diuny**

2003

**trident**

## **Wydanie oryginalne**

**Tytuł oryginału:**

Dune: House Harkonnen

**Data wydania:**

2000

## **Wydanie polskie**

**Data wydania:**

2003

**Ilustracja na okładce:**

Stephen Youll

**Tłumaczył:**

Ładysław Jerzyński

**Wydawca:**

Zysk i S-ka Wydawnictwo s.c.

ul. Wielka 10, 61-774 Poznań

sklep@zysk.com.pl

www.zysk.com.pl

ISBN 83-7150-982-0

## **Wydanie elektroniczne**

Trident eBooks

tridentebooks@gmail.com

*Naszemu wspólnemu przyjacielowi,  
Edowi Kramerowi,  
bez którego pomysł ten nigdy nie zostałby zrealizowany.  
To z jego inspiracji powstał nasz zespół.*

# Podziękowania

Jan Herbert za jej niezłomne poświęcenie i nieustające twórcze wsparcie.

Penny Merritt za pomoc w uporządkowaniu literackiej spuścizny jej ojca, Franka Herberta.

Rebecce Moesta Anderson za nieustrudzoną, entuzjastyczną pomoc w realizacji tego przedsięwzięcia, które ogromnie wiele zawdzięcza jej pomysłom, wyobraźni i czujnemu oku.

Robertowi Gottliebowi i Mattowi Bialerowi z William Morris Agency, a także Mary Alice Kier i Annie Cottle z Cine/Lit Representation za to, że ani na chwilę nie zabrakło im wiary w wartość tego przedsięwzięcia.

Irwynowi Applebaumowi i Nicie Taublib z Bantam Books, którzy swym wysiłkiem i uwagą wspierali nasze dzieło.

Patowi LoBrutto, którego zapał od samego początku pomagał nam wytrwać na obranej drodze. Dzięki jego sugestiom i uwadze poszczególne wątki *Rodu Harkonnenów* zyskały na sile i wyrazistości.

Anne Lesley Groell i Mike'owi Shohlowi, którzy nawet o północy gotowi byli służyć nam redaktorską poradą i pomocą.

Carolyn Caughey, naszemu brytyjskiemu wydawcy, która dostrzegała braki przez innych przeoczone i doradzała w sprawach wielkich i małych.

Anne Gregory za pracę redakcyjną przy brytyjskim wydaniu *Rodu Atrydów*, które ukazało się zbyt późno, by umieścić jej nazwisko w podziękowaniach.

Catherine Sidor z WordFire, Inc., która, jak zawsze nieustrudzona, odsłuchiwała dziesiątki mikrokaset i przepisywała setki stron, dostosowując się do szaleńczego rytmu naszej pracy. To jej niezłomna pomoc na każdym etapie powstawania tej książki pozwoliła nam nie zwariować, a na dodatek zrodziła w innych osobach fałszywe przekonanie o naszej dobrej samoorganizacji.

Diane E. Jones oraz Diane Davis Herdt, które były pierwszymi czytelniczkami i jakby króliczkami doświadczalnymi, a ich reakcje i wypowiedzi wyszły na korzyść wielu scenom i wątkom.

Członkom Herbert Limited Partnership, a przede wszystkim: Ronowi Merrittowi, Davidowi Merrittowi, Byronowi Merrittowi, Julie Herbert, Robertowi Merrittowi, Kimberly

Herbert, Margaux Herbert i Thesie Shackelford, którzy swoim entuzjazmem umacniali nas w chęci kontynuacji wspaniałej wizji Franka Herberta.

Podziękować także musimy Beverly Herbert za niemal czterdzieści lat pełnej zapału i chęci obecności u boku jej męża, Franka Herberta.

A przede wszystkim Frankowi Herbertowi, którego geniusz stworzył ów zdumiewający wszechświat, do którego i my staramy się wnieść swoją małą cząstkę.

*Odkrycia są niebezpieczne... ale nie inaczej jest z życiem. Człowiek, który lęka się podjąć ryzyko, nigdy niczego się nie nauczy, nigdy nie dorośnie i nigdy nie będzie żył naprawdę.*

**planetolog Pardot Kynes, *ABC Arrakis*,  
podręcznik napisany dla syna Lieta**

Kiedy piaskowa burza zbliżała się z hukiem z południa, Pardota Kynesa bardziej interesowały meteorologiczne odczyty niż myśl o bezpiecznym schronieniu. Jego syn Liet – ledwie dwunastolatek, ale zahartowany przez twarde warunki życia na pustyni – krytycznie oglądał starodawną kapsułę pomiarową, którą znaleźli w zapomnianej Stacji Badawczej Botaniki. Wątpił, by urządzenie w ogóle jeszcze funkcjonowało.

Chwilę później Liet spojrzał nad sfalowanym morzem wydm w kierunku nadchodzącej burzy.

– Diabelski wicher na otwartej pustyni. *Hulasikali Wala*.

Instynktownie poprawił zapięcia destylozону.

– Kurzawa koriolisa – poprawił go ojciec, używając naukowego terminu zamiast wolańskiego. – Wiatry na otwartych równinach wzmagane są przez obrotowy ruch planety. Osiągają prędkość do siedmiuset kilometrów na godzinę.

Podczas gdy ojciec mówił, chłopak zajęty był zamykaniem jajowatej kapsuły, sprawdzaniem zasuw otworów wentylacyjnych, ciężkich drzwi śluzy, zmagazynowanych zapasów. Zignorował generator sygnałów i niepokojące wskazania, gdyż burza każdy komunikat i tak zamieniłaby w strzępy elektromagnetyczne.

W społecznościach dostatnich Lieta uważano by po prostu za chłopca, jednak surowe życie pośród Wolan wykształciło w nim twardość i dojrzałość, jakie rzadko spotyka się u osób dwa razy od niego starszych. W istocie był lepiej od ojca przygotowany do stawiania czoła trudnym sytuacjom.

Starszy Kynes poskrobał się w szpakowatą brodę.

– Porządny samum, taki jak ten, może objąć cztery stopnie szerokości. – Włączył matowe ekrany instrumentów. – Wzbija pył na wysokość dwóch tysięcy metrów i ten jeszcze długo po przejściu burzy spada z nieba.

Liet raz jeszcze sprawdził zatrask śluzy, aby upewnić się, że wytrzyma natarcia kurzawy koriolisa.

– Wolanie nazywają to „deszczem piasku”, *el-sajal*.

– Kiedy pewnego dnia to ty zostaniesz planetologiem, będziesz musiał używać bardziej fachowego języka – powiedział ojciec mentorskim tonem. – Bez przerwy wysyłam Cesarzowi raporty, chociaż może rzadziej, niż powinienem. Ale i tak wątpię, by ktokolwiek je czytał. – Stuknął w jeden z instrumentów. – Hm, chyba właśnie nad nami przechodzi front.

Liet uniósł pokrywę wizjera, aby spojrzeć na sunącą na nich ścianę bieli i brązu.

– Planetolog, ojczu, musi korzystać nie tylko z naukowego języka, ale i ze wzroku. Spójrz tylko.

Pardot uśmiechnął się niewesoło.

– Czas wzbic się w górę.

Chociaż drążki sterownicze były dawno nie używane, udało mu się uruchomić silniki odciążacza. Uwolniona od grawitacyjnego ciężenia kapsuła uniosła się powoli w powietrze.

Czoło huraganu było już blisko. Liet opuścił pokrywę, mając nadzieję, że antyczna aparatura meteorologiczna się nie rozleci. Intuicji ojca częściowo ufał, ale nie jego umiejętnościom praktycznym.

Kapsuła wzlatywała coraz wyżej, kołysząc się pod pierwszymi uderzeniami samumu.

– No i się zaczyna – mruknął ojciec.

Wicher uderzył w nich niczym maczuga i wyrzucił wysoko w górę.

Parę dni wcześniej podczas podróży w głąb pustyni obaj Kynesowie dostrzegli znajome oznaczenia Stacji Badawczej Botaniki, która została porzucona przed tysiącami lat. Wolanie przeszukali większość placówek, zabierając wszystko, co dało się w jakikolwiek sposób wykorzystać, ale tej stacji umieszczonej w skalnej wnęce nie odkrył nikt przed nimi.

Wraz z Lietem otworzyli zakopaną w piachu śluzę i zajrzeli do środka niczym do grobowca. Musieli jeszcze trochę poczekać w słonecznym skwarze, aby świeży powiew zastąpił zatechłe powietrze. Pardot przechadzał się przed wejściem i niecierpliwie zaglądał do mrocznego wnętrza.

Stacje Badawcze Botaniki zbudowano w złotej epoce Starego Cesarstwa. Kynes wiedział, że w owym czasie ta pustynna planeta niczym się nie wyróżniała; była pozbawiona godnych uwagi zasobów, a zatem niewarta kolonizacji. Kiedy po całych pokoleniach życia w niewoli dotarli na Arrakis zensunnicy Wędrowcy, mieli nadzieję, że zbudują tutaj dla siebie przystań wolności.

Było to jednak przed odkryciem melanzu, drogocennej substancji, której nie znaleziono poza tym miejscem nigdzie we wszechświecie. A wtedy wszystko się odmieniło.

Kynes nie nazywał już planety Arrakis, jak zapisano w rejestrach Cesarstwa, używał bowiem nazwy nadanej jej przez Wolan: Diuna. Chociaż z charakteru był już Wolaninem, nadal pozostawał sługą Padyszacha Cesarza. Elrood IX kazał mu odkryć tajemnicę przyprawy: skąd się bierze, jak powstaje, gdzie można ją znaleźć. Od trzynastu lat Kynes żył pośród mieszkańców pustyni, pojął Wolankę za żonę, a syna, półkrwi Wolanina, uczynić

chciał swym następcą: planetologiem na Diunie.

Nigdy nie zmalął jego entuzjazm dla tej planety. Z zapałem korzystał z każdej okazji, aby się dowiedzieć czegoś nowego, nawet jeśli miał się znaleźć na drodze samumu.

Antyczne odciążacze kapsuły szumiały pod naporem kurzawy koriolisa niczym stado gniewnych os. Pojazd meteorologiczny kołysał się na wirujących prądach powietrznych niczym balon o metalowej powłoce. Niesiony przez wichurę piach siekł o powierzchnię kapsuły.

– To mi przypomina burze poświatowe, które widywałem na Salusa Secundzie – powiedział w zamyśleniu Pardot. – Zadziwiające zjawisko: bardzo kolorowe i bardzo groźne. Wiatr potężny jak cios młotem może nadlecieć skądkolwiek i zmiążdżyć cię na placek. Fatalnie, jeśli przydybie cię na wolnym powietrzu.

– Nie chciałbym być teraz na zewnątrz – mruknął Liet.

Jedna z płyt wygięła się do środka, a przez szczelinę ze złowrogim sykiem wdarło się powietrze. Liet podskoczył z uszczelniaczem w rękę i w jednej chwili piana zalepiła otwór.

– Jesteśmy w rękach Boga, który w każdej chwili może nas zniszczyć.

– Tak by to ujęła twoja matka – powiedział Pardot, nie odrywając wzroku od instrumentów. – No, no, w porywach ma do ośmiuset kilometrów na godzinę! – W głosie planetologa nie było strachu, a jedynie podniecenie. – Ależ monstrum!

Liet zerknął na ojca, nadal pochylony nad uszczelnioną rysą. Syk ustał; słychać było tylko trzaskające o powłokę bicze piasku.

– Gdybyśmy byli teraz na zewnątrz, obrałby nas z ciała do kości.

Pardot wyduł usta.

– Masz rację, ale musisz się wyrażać w sposób mniej obrazowy, bardziej kwantytatywny. Nie możesz w raporcie do Cesarza używać takich wyrażen jak „obrać z ciała do kości”!

Ryk wiatru i trzask piachu osiągnęły crescendo, a potem przy nagłym wzroście ciśnienia w badawczej kapsule wszystko nagle zamilkło. Liet przełknął kilka razy, aby oczyścić uszy i gardło. Wewnątrz jego czaszki pulsowała intensywna cisza. Na zewnątrz nadal słyszał kurzawę koriolisa, ale teraz niczym szept jakichś widm.

– Jesteśmy w oku cyklonu. – Rozpromieniony Pardot odstąpił od konsoli z instrumentami. – Sicz w samym centrum burzy, schronienie tam, gdzie najmniej byś się go spodziewał.

Dookoła nich błyskały niebieskawo wyładowania, piach i drobnutki pył wytwarzały pole elektromagnetyczne.

– Mówiąc szczerze, wolałbym już być w siczy – wyznał Liet.

Kapsuła unosiła się w oku cyklonu, bezpieczna teraz i cicha, po przewaleniu się atakującej ściany. Zamknięci w niewielkim pomieszczeniu, odgradzeni od reszty świata, mogliby porozmawiać jak ojciec z synem.



Ale nie skorzystali z tej szansy.

Po dziesięciu minutach dotarła do nich druga ściana, a brutalne uderzenie gwałtownie wyrzuciło kapsułę. Liet zatoczył się i chwycił za poręcz, ojcu udało się zachować równowagę. Kadłub wibrował i dygotał.

Ojciec spojrział na instrumenty, podłogę gondoli, potem na syna.

– Nie bardzo wiem, co teraz zrobić. Odciążacze... – zniecierpliwili się, jakby pękła zabezpieczająca ich lina – ...szwankują.

Liet walczył z dziwnym uczuciem nieważkości, podczas gdy kapsuła leciała w dół, ku niewidocznej w piaskowej zawiei powierzchni piasku. Mimo zamętu planetolog nieprzerwanie śledził wskazania instrumentów.

Kapryśne odciążacze zaskoczyły chwilę przed katastrofą. Siła generatora pola Holtzmana zrównoważyła impet rozpędzonej bryły, ale gondola i tak mocno uderzyła w zbity piach. Samum przetaczał się teraz nad ich głowami niczym przyprawowy kombajn nad przykucniętym skoczkiem pustynnym. Z nieba sypał deszcz kurzu.

Poobijani, ale bez żadnych ran, obaj Kynesowie pozbierali się, a potem popatrzyli na siebie, czując, jak odpływa adrenalina. Samum odsuwał się coraz dalej...

Przepchnąwszy piachochrapy przez zapchany otwór wyjściowy, Liet wpuścił do środka świeże powietrze. Kiedy otworzył pokrywę śluzy, natychmiast do środka wlał się strumień piachu, zaraz jednak Liet zeszklił ściany wiązaczem pianowym, a następnie to szpadłem z sakwy wolańskiej, to rękami zaczął wykopywać tunel na zewnątrz.

Pardot, całkowicie ufając umiejętnościom syna, zajął się w półmroku syntezą wskazań pomiarowych ze staroświeckiego urządzenia.

Mrużąc oczy niczym noworodek wydobyty z łona, Liet ogarnął wzrokiem krajobraz po burzy. Pustynia była odmieniona: pojawiły się nowe zbiorowiska wydm, zniknęły dawne znaki orientacyjne, ślady na piasku, a nawet niewielkie osady. Cała kotlina wydawała się świeża, czysta, jakby nowa.

Pokryty pyłem wy dostał się na twardsze podłoże, skąd ocenił położenie gondoli. Spadając, wydrążyła krater, niezależnie od burzy ściągając na siebie powódź piachu.

Dzięki wolańskim instynktom i wrodzonemu poczuciu kierunku, Liet bez trudu mógł mniej więcej określić ich położenie: znajdowali się nieopodal Nibymuru Południowego. Rozpoznawał formacje skalne, szczyty, kopy, profile ścian. Gdyby wicher poniósł ich kilometr dalej, kapsuła roztrzaskałaby się o skały. Cóż za niesławny koniec wielkiego planetologa, którego Wolanie czcili jako swego Umę, swego proroka!

Zawołał w kierunku zagłębienia:

– Ojczy, w tych skałach jest chyba sicz. Wolanie pomogą nam odkopać gondolę.

– Dobry pomysł – usłyszał stłumiony głos Pardota. Idź sam, ja tu zostanę, bo mam... pewien pomysł.

Chłopak westchnął i ruszył przez piach ku sterzącemu występowi ochrowej skały. Szedł nierównym krokiem, aby nie zwabić wielkiego piaskala. Stąpięcie, szurnięcie nogą, pauza... Szurnięcie, pauza, stąpięcie... Szurnięcie, stąpięcie, pauza, stąpięcie...

Koledzy Lieta z siczy Czerwonego Muru, a zwłaszcza brat krwi Warrick, zazdrościli mu każdej chwili spędzonej w towarzystwie planetologa. Ludzie pustyni zawdzięczali Ummie Kynesowi rajską wizję: uwierzyli w sen o odrodzeniu Diuny i poszli za prorokiem.

W całkowitej tajemnicy przed Harkonnenami – dzierzawcami Arrakis, którzy jako jedyni mieli prawo zbierać tutaj melanz, a poddanych sobie ludzi bezlitośnie wykorzystywali – Kynes nadzorował armie sekretnych, pełnych pasji robotników. Ich zadaniem było sadzenie traw hamujących ruch wydm, a także zakładanie w ocienionych kanionach plantacji kaktusów i twardych krzewów zaopatrywanych w wodę przez osadniki rosy. W nie zamieszkanym okolicach bieguna południowego Wolanie stworzyli palmaria, początkowo niewielkie, ale z czasem coraz lepiej się rozwijające. W Gipsowej Kotlinie Kynes stworzył projekt demonstracyjny: rosły tu kwiaty, owoce i karłowate drzewka.

Chociaż planetolog potrafił ułożyć wielki harmonogram działań mających przekształcić oblicze planety, a także czuwał nad jego przestrzeganiem, to przecież syn nie ufał na tyle jego rozsądkowi, aby na dłużej pozostawiać go samego.

Chłopak szybko odnalazł wypalone na skale znaki, pośród odbarwionych kamieni wskazujące drogę ku pożywieniu i schronieniu, a spełniające zasadę Podróżnej Gościnności, *al'amjah*.

Silni Wolanie z siczy pomogą im wydobyć z piasku gondolę i przetransportować ją w bezpieczne miejsce do naprawy. Nie minie godzina, a na zewnątrz nie będzie już żadnego śladu; o to Wolanie potrafią się zatroszczyć jak nikt inny.

Kiedy jednak Liet spojrzął za siebie na miejsce upadku kapsuły, przestraszył się, widząc, że ta się porusza, już na jedną trzecią wydobywszy się z piachu. Gondola buczała nisko i stękała niczym jakieś zwierzę pociągowe schwyte przez bagno na Bela Tegeuse, ale odciążacze mogły za każdym razem popchnąć pojazd ledwie o kilka centymetrów.

Liet znieruchomiał, kiedy pojął, co usiłuje zrobić jego ojciec. „Odcciążacze! Na otwartej pustyni!”

Rzucił się biegiem, a każdy krok uruchamiał następną lawinę piaskowego pyłu.

– Ojczy, nieeee! Wyłącz je natychmiast!

Krzyczał tak, że zachrypło mu w gardle. Ogarnięty strachem, ponad złotym morzem wydm spojrzął w kierunku Depresji Cielago, obawiając się, że zobaczy złowieszczy ruchomy kopiec, zwiastujący...

– Ojczy, wychodź, wychodź jak najszybciej!

Ześliznął się do otworu luku, podczas gdy gondola dalej powtarzała swe ruchy w górę i w dół. Pole odciążaczy wibrowało. Złapawszy za ramę wejścia, Liet podciągnął się i wskoczył do środka. Ojciec wpatrywał się w niego zaskoczony, a potem rzekł z uśmiechem:

– To jakiś automatyczny układ. Nie wiem, co nacisnąłem, ale w ten sposób kapsuła w niecałą godzinę wydobędzie się sama na powierzchnię – spojrzał na przyrządy – a mnie dało to czas, żeby nowe dane...

Liet chwycił ojca za ramię, odciągnął od konsoli z instrumentami i jednym ruchem wyłączył wszystkie urządzenia. Odciążacze ucichły. Pardot chciał zaprotestować, ale syn popchnął go w kierunku wyjścia.

– Na zewnątrz, i to już! A potem jak najszybciej uciekaj w kierunku skał!

– Ale...

Nozdrza Lieta drżały z gniewu i pasji.

– Odciążacze tak jak tarcze wykorzystują pole Holtzmana. Wiesz, co się dzieje, kiedy uruchomisz tarczę na otwartej pustyni?

Planetolog przez chwilę mrugał, a potem zawołał:

– Aaaa, zjawia się piasek!

– Zawsze się zjawia! Uciekamy!

Ojciec przecisnął się przez otwór i zeskoczył na piach. Odzyskał równowagę i zwrócił się ku prażącemu słońcu. Widząc jakiś kilometr od nich linię urwiska, którą wcześniej pokazał Liet, zaczął oddalać się nieregularnym krokiem – stąpnięcie, szurnięcie, pauza – posuwając się jak w jakimś zakłamanym tańcu. Młody Wolanin zeskoczył z wjazdu i razem ruszyli w kierunku bezpiecznych skał.

Nie musieli długo czekać, żeby usłyszeć za sobą syczący, basowy dźwięk. Liet zerknął przez ramię i przynaglił ojca.

– Szybciej! Nie wiem, ile czasu nam jeszcze pozostało!

Przyspieszyli, ale ojciec opóźniał marsz. Wzbierająca fałda sunęła wprost na gondolę, a oni byli ciągle tak blisko! Coraz wyraźniej widać było, że wydmy się kołyszają, przesuwiają, zapadają...

– Biegnij najszybciej, jak możesz!

Przeskoczyli przez grzbiet wydmy, stoczyli się z niej, poderwali na nogi i pobiegli. Skały były już nie dalej niż o sto metrów i Liet miał nadzieję, że im się uda. Dudnienie było coraz głośniejsze, bestia najwyraźniej przyspieszała. Ziemia zaczęła drżeć.

Kiedy Pardot dopadł do pierwszych kamieni, chwycił się ich i oparł na rękach, dysząc ciężko, ale Liet pociągnął go dalej, dopiero bowiem na stoku mogli być zupełnie bezpieczni. Gdy chwilę później opadli na grzędę skalną i z trudem łapali powietrze, zobaczyli, jak wokół na pół zagrzebanej w piachu kapsuły tworzy się wir sypkiego pyłu. Pojazd zaczął się przechylać na bok i obsuwać.

Tymczasem na krańcach wiru pojawił się zarys paszczy. Gondola zniknęła w wielkiej lawinie piasku, jeszcze zanim ukazały się lśniące kły. Piasek pogrążył się w głębinach i po chwili widzieli już tylko oddalający się w kierunku horyzontu wzgórek.

Zapadła głucha cisza. Pardot Kynes nie wydawał się specjalnie przejęty wizją śmierci,

której ledwie co umknął, natomiast poruszyła go utrata danych.

– Co za szkoda! – Planetolog zaczerpnął głęboko oddechu. – Na pewno dowiedziałbym się trochę więcej o naturze kurzaw koriolisa.

Liet sięgnął do prawej kieszeni destylozonu, wydobył z niej pojemnik z danymi ze staroświeckiego urządzenia pomiarowego, który w pośpiechu zabrał z panelu sterowniczego gondoli.

– Nawet w niebezpieczeństwie nie zapominam o nauce!

Starego Kynesa przepełniła ojcowska duma.

Krętą dróżką między kamieniami poszli w kierunku bezpiecznej siczy.

*Człowiecze, ty możesz tworzyć życie, ty możesz życie niszczyć, jednak tak czy inaczej możesz go doświadczać. I w tym twoja wielkość i największa słabość.*

**z Biblii Protestancko-Katolickiej,  
Księga Kimla Septima, 5:3**

Na przesiąkniętej smarami Giedi Primie dobiegał końca kolejny dzień roboczy. W świetle wiszącego nisko czerwonego słońca, spoceni i zakurzeni robotnicy wychodzili z rowów i zaczęli się zbierać do domów.

Idący między nimi Gurney Halleck, blondyn ze zmierzwioną czupryną, rytmicznie klaskał w dłonie. Był to jedyny sposób, w jaki mógł przeciwstawić się tyranii Harkonnenów, kiedy byli tak daleko, że nie mogli go usłyszeć. Ułożył piosenkę z absurdalnymi słowami w nadziei, że uda mu się nakłonić towarzyszy przynajmniej do wspólnego śpiewu.

*Beznadziejna praca, Harkonnenów władza,  
Dzień nudny jak deska, Harkonnenów łaska,  
Mozół, znój, harówka, Harkonnenów słówka...*

Ludzie jednak wlekli się w milczeniu. Utrudzeni jedenastoma godzinami pracy nawet nie zauważali domorosłego trubadura. Z westchnieniem rezygnacji Gurney dał wreszcie spokój swym próbom i uśmiechnął się krzywo.

– Lekko nie jest, przyjaciele, ale żeby tak się poddawać bez słowa...

Przed nimi widać było osadę wzniesioną z niskich prefabrykowanych budynków, a nazwaną Dmitrij dla upamiętnienia poprzedniej głowy rodziny, ojca barona Vladimira. Kiedy przed kilkoma dekadami baron objął rządy, zasiadł nad mapą planety i zgodnie z własnym gustem pozmieniał nazwy, które nabrały teraz melodramatycznego posmaku: Wyspa Strapień,

Doliny Zguby, Skała Śmierci...

Bez wątpienia nim minie kilka następnych pokoleń, jakiś kolejny Harkonnen znowu wszystko pozmienia.

Ale to już prawie zupełnie nie obchodziło Gurneya Hallecka. Niewiele wprawdzie liznał nauki, wiedział jednak, że Cesarstwo jest ogromne, obejmuje bowiem milion planet i decyliony ludzi. Tyle że trudno było się spodziewać, by kiedykolwiek odbył podróż chociaż do Harko, zatłoczonej i zadymionej metropolii, której rdzawy poblask widać było dzień i noc na północy.

Gurney zerknął na ludzi ze swej brygady. Ze spuszczonego wzrokiem szli mechanicznym krokiem, tak ponurzy, że nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

– Wystarczy talerz zupy, a zaczniecie śpiewać. Czy nie tak zresztą mówi Biblia PK: „Ciesz się całym sercem, gdyż to gwoli tobie słońce wstaje i zachodzi”?

Kilka osób lekko się uśmiechnęło, ale nawet to było lepsze niż nic. Przynajmniej paru na chwilę odeгнаło od siebie posępny nastrój. Życie było takie szare i monotonne, że nawet najsłabsza barwa miała swoją wartość.

Gurney miał dwadzieścia jeden lat, a trzynaście lat harówki sprawiło, że skórę miał już twardą i zrogowaciałą. Jasnoniebieskie oczy, przyzwyczajone do nieustannego wpatrywania się, i teraz zatrzymywały się na każdym drobiazgu... chociaż w Dmitriju niewiele było do zobaczenia. Z kwadratową szczęką, perkatym nosem i szeroką twarzą już teraz wyglądał jak stary farmer i za żonę najpewniej dostanie mu się któraś z tych wylęknionych, spracowanych dziewcząt z okolicy.

Cale dni Gurney spędzał w rowie, rytmicznie jedna za drugą wyrzucając łopaty kamienistej gleby. Po dziesięcioleciach używania jej trzeba było kopać coraz głębiej, aby dotrzeć do żyźniejszych warstw, gdyż baron ani myślał marnotrawić solarisów na nawozy dla tego bydła roboczego.

Przez stulecia władania na Giedi Primie Harkonnenowie udoskonalili umiejętność wykorzystywania wszystkiego aż do granic możliwości. Było ich prawem – nie: obowiązkiem – wyciśnięcie z gleby wszystkiego, co się da, aby potem przenosić osadników na nowe grunty i cały cykl wyniszczania rozpoczynać od nowa. A kiedy pewnego dnia cała planeta będzie już doszczętnie wyjałowiona i ograbiona z zasobów, któryś z kolejnych baronów zażąda z pewnością nowego lenna w nagrodę ze wierną służbę Padyszachom Cesarzom. W końcu w Cesarstwie nie zbywało na nowych planetach do podboju.

Gurney nie trapił się jednak polityką galaktyczną. W tej chwili myślał przede wszystkim o nadchodzącym wieczorze i tej odrobinie radości, jakiej można było zaznać na miejscu wspólnych spotkań. A jutro kolejny dzień harówki, od której bolą krzyże.

Jedynym, co dobrze rosło na tych polach, były bulwy krallu, których większość była jednak eksportowana jako pasza zwierzęca, a na planecie zostawiano tylko tyle roślin, żeby robotnicy nie padali z nóg. Gurney jadł je codziennie, podobnie jak wszyscy inni. „Gdzie

kiepska gleba, tam i smak marny”.

Jego rodzice i towarzysze pracy mieli zawsze na podorędziu mnóstwo przysłów, nader często pochodzących z Biblii Protestancko-Katolickiej. Gurney spamiętywał je wszystkie i często układał do nich melodie. Muzyka była jedynym jego luksusem i chętnie z niego korzystał.

Robotnicy jeden po drugim oddzielali się od reszty i szli do swoich mieszkań: identycznych klitek z wadliwej serii prefabrykowanych domów, którą Harkonnenowie nabyli ze znacznym rabatem i przetransportowali na poddaną ich władzy planetę. Gurney spojrzął w kierunku miejsca, gdzie mieszkał z rodzicami i młodszą siostrą Bheth.

Jego dom różnił się odrobinę od innych. W starych porzewiałych garnkach na parapetach rosły kolorowe kwiaty: karminowe, niebieskie i żółte bratki, trochę stokrotek, a nawet kilka zupełnie niezwykłych na Giedi Primie lili. Przy większości domków znajdowały się małe ogródki, w których rosło trochę warzyw, ziół i owoców. Lepiej, by nie wyglądały zbyt smakowicie, w takim bowiem przypadku łatwo mogły paść łupem któregoś z licznych patroli Harkonnenów.

W dzień tak ciepły jak dziś okna w domach były pootwierane pomimo zadymionego powietrza. Gurney usłyszał słodki głos Bheth nucącej jakąś melodię. Natychmiast stanęły mu przed oczami jej gładkie, jasne włosy; pomyślał o Inie – słowo znane mu z wierszy pochodzących z czasów Starej Ziemi – chociaż nigdy go nie widział. Bheth miała dopiero siedemnaście lat i znój pracy nie napoczął jeszcze jej delikatnej urody.

Gurney obmył twarz, dłonie i ramiona z brudu pod zewnętrznym kranem, potem wsunął głowę pod zimną wodę, aby następnie trochę uporządkować zmoczone włosy. Kiedy znalazł się w środku, ucałował siostrę, a krople z włosów kapnęły na jej skórę. Odskoczyła z krzykiem i powróciła do kuchennych zajęć.

Ojciec zasiadł już na krześle. Matka na tyłach domu przygotowywała nad drewnianym kubłem kralle na sprzedaż, a kiedy usłyszała, że Gurney już wrócił, wytarła ręce i weszła pomóc Bheth. Potem stanąwszy przy stole odczytała kilka wersów z podniszczonej Biblii PK (miała nadzieję, że przed śmiercią zdoła przeczytać ją dzieciom do końca) i wszyscy zasiedli do jedzenia. Rozmawiał z siostrą podczas jedzenia cienkiej zupy, przyprawionej jedynie szczyptą soli i odrobiną ziół. W trakcie posiłku rodzice mówili niewiele, porozumiewali się co najwyżej monosylabami.

Kiedy skończyli, Gurney zebrał talerze, umył je pod kranem i odstawił do jutra, żeby wyschły. Z mokrymi jeszcze rękami, klepnął ojca w ramię.

– Idziesz ze mną do gospody? Zapowiada się wesoły wieczór.

Stary Halleck pokręcił głową.

– Chyba raczej pójdę spać. Te twoje piosenki czasami strasznie mnie męczą.

Gurney wzruszył ramieniem.

– Jak tam sobie chcesz.

W swoim pokoiku otworzył spaczoną szafę i wyjął swój najcenniejszy przedmiot: starą balisetę, dziewięciostrunowy instrument, chociaż Gurney musiał się nauczyć grać na siedmiu, dwie bowiem się zerwały, a on nie miał ich czym zastąpić.

Znalazł ją na śmietniku, ale kiedy cierpliwie popracował nad nią przez pół roku, szorując piachem, uzupełniając brakujące części, lakierując je... jakże słodko zabrzmiała, chociaż nie dało się z niej wydobyć wszystkich tonów. Gurney całe godziny spędzał na jej strojeniu, a potem – grał. Uczył się piosenek ze słuchu i układał własne. Zapadł mrok i matka także zajęła miejsce na krześle, a na kolanach ułożyła Biblię, najwyraźniej rada z jej ciężaru.

– Tylko nie wracaj późno – powiedziała suchym, bezbarwnym głosem.

– Wróć wcześniej – zapewnił Gurney, zarazem zastanawiając się, czy zauważyłaby, gdyby w ogóle nie zjawił się na noc. – Potrzeba mi sił do jutrzejszej pracy.

Podniósł ramię i naprężył mięśnie, udając entuzjazm, choć wszyscy wiedzieli, że ta harówka nigdy się nie skończy.

Zapiaszczonymi zaułkami dotarł do gospody.

Szalejąca przed kilkoma laty grypa zabrała lokatorów czterech budynków. Mieszkańcy połączyli je, zburzyli ścianki działowe i w ten sposób stworzyli wielki dom wspólnoty. Chociaż nie sprzeciwiało się to żadnemu z zakazów Harkonnenów, miejscowi przedstawiciele rodu nie byli zadowoleni z takiej samodzielności mieszkańców, gospody jednak nie ruszyli.

Gurney dołączył do kilkuosobowego grona, które już wcześniej umówiło się na spotkanie. Niektórzy przyszedli z żonami. Jeden z mężczyzn leżał już na stole, bardziej ze zmęczenia niż przepicia, gdyż kufel wodnistego piwa stał obok niego tylko w połowie opróżniony. Gurney stanął za nim, uniósł balisetę i wydobył z niej przenikliwy ton, który natychmiast rozbudził śpiącego.

– Mam, przyjaciele, nową piosenkę. Nie jest może taka jak te, które śpiewały wam mamusie, ale w każdym razie nauczę was. A potem – dodał ze złośliwym uśmiechem – jak zaśpiewamy razem, nie rozpoznam już melodii.

Nikt z nich nie był dobrym śpiewakiem, ale najważniejsze było to, że wesołe piosenki wnosiły jakąś odmianę do szarego życia.

Pod znaną melodię na całe gardło zaczął wyśpiewywać ironiczne słowa:

*Och, Giedi Primo!*

*Niedoścignione twoje czernie i mroki,*

*Od obsydianowych równin po smoliste morza*

*I po nocie najciemniejsze w oczach Cesarza.*

*Nadejść, wędrowcze, z najdalszej krainy,*

*By zoczyć, co skryte w naszych sercach, duszach,*

*By z nami potrudzić się także pospołu,*

*Oskardem uderzyć, raz, drugi i trzeci...  
I stanie się piękniej, niż było poprzednio.*

*Och, Giedi Primo!  
Niedoścignione twoje czernie i mroki,  
Od obsydianowych równin po smoliste morza  
I po noce najciemniejsze w oczach Cesarza.*

Skończywszy, Gurney uśmiechnął się szeroko i skłonił, jakby w oczekiwaniu głośnych oklasków. Jeden ze słuchających powiedział chrapliwie:

– Uważaj na siebie, Gurneyu Halleck. Jeśli ktoś z Harkonnenów usłyszy twój słodki głos, z całą pewnością zabiorą cię do Harko, a tam – będziesz mógł zaśpiewać samemu baronowi.

Gurney zrobił smutną minę.

– Baron nie ma słuchu, a już szczególnie do tak ładnych piosenek jak moje.

Odpowiedzią był zbiorowy śmiech. Gurney sięgnął po kufel kwaśnawego piwa i opróżnił go jednym haustem. Nagle otworzyły się drzwi i wpadła do środka Bheth z rozwianymi włosami i rozpaloną twarzą.

– Patrol! Zobaczyliśmy światła odciążaczy. Mają więźniarkę i tuzin strażników.

Mężczyźni oniemieli. Dwóch wprawdzie rzuciło się do drzwi, ale reszta siedziała jak skamieniała, jak gdyby wiedzieli, że nie unikną już swego losu.

Gurney wydobył spokojny ton z balisety.

– Nie lękajcie się, przyjaciele. Przecież nie robimy nic bezprawnego. „Na złodzieju czapka gore”, nietrudno wypatrzeć przestępcę. A my co? Bawimy się po przyjacielsku i weselimy. Za to nas nie zaaresztują. Przecież dowodnie tutaj pokazujemy, jak nam się wszystko podoba, z jaką radością pracujemy dla barona i jego pacholków. Czyż nie?

Odpowiedzią był głuchy pomruk. Gurney odłożył balisetę i podszedł to trapezoidalnego okna dokładnie w chwili, gdy pojazd dla więźniów zatrzymywał się w centrum osiedla. W wizjerach z plazu było już widać cienie kilkunastu osób – jak się zdawało, samych kobiet – co świadczyło o tym, że Harkonnenowie potrzebowali nowych więźniów. Chociaż Gurney poklepał uspokajająco siostrę po ramieniu i uśmiechnął się do reszty, dobrze wiedział, że żandarmom niewiele potrzeba, żeby kogoś pojmać.

Osiedle przeczesywały światła reflektorów, w których to pojawiały się, to znikwały umundurowane sylwetki, dobijające się do drzwi domów. Potem z hukiem rozwarły się drzwi do sali, w której siedzieli.

Weszło sześciu mężczyzn, spośród których Gurney natychmiast rozpoznał kapitana Kryubiego, szefa służby bezpieczeństwa Harkonnenów.

– Powstać do rewizji! – rozkazał Kryubi.

Nad jego ustami lśnił wąs, twarz miał wąską policzki zapadnięte, jak gdyby za często



zaciskał szczęki. Gurney nie ruszył się od okna.

– Nie robiliśmy nic złego, panie kapitanie. Przestrzegamy prawa Harkonnenów. Nie ociągamy się w pracy.

Kryubi zerknął przez ramię.

– Ktoś ci pozwolił wypowiadać się w imieniu innych?

Gurney nie zdołał powstrzymać szyderczego uśmiechu.

– A kto panu zezwolił na napastowanie niewinnych robotników? I jak mamy jutro sprawnie wykonywać swoją pracę?

Inni byli przerażeni jego zuchwalstwem. Bheth podbiegła i chwyciła brata za rękę, chcąc przywołać go do porządku. Reszta strażników złowrogo wystawiła broń.

Gurney ruchem podbródka wskazał pojazd na zewnątrz.

– A co oni takiego zrobili? Na pewno coś tak poważnego, żeby ich aresztować?

– Nie trzeba niczego poważnego – zimno odparł Kryubi, najwyraźniej delektując się cynizmem tych słów.

Gurney gwałtownie wystąpił do przodu, ale natychmiast trzech strażników chwyciło go za ramiona i cisnęło na podłogę. Gwardzistami barona często byli prości wieśniacy. Wyrwani z beznadziei, odziani w szykowne mundury, mający do dyspozycji broń, mieszkania i kobiety, często byli bardziej okrutni wobec swych dawnych pobratymców niż zawodowi żołnierze z innych planet. Gdyby Gurney rozpoznał kogoś z sąsiedztwa, naplułby mu w twarz. Uderzył głową o podłogę, ale już w następnej chwili był znowu na nogach.

– Nie prowokuj ich – usłyszał za plecami szept Bheth. Niczego gorszego nie mogła zrobić.

– Dobra, weźcie i tę – rozkazał Kryubi i wskazał na siostrę Gurneya.

Pobladła jak ściana, kiedy trzech gwardzistów chwyciło ją za ręce. Chociaż wrywała się ze wszystkich sił, pociągnęli ją do drzwi. Gurney rzucił balisetę i skoczył w ślad za oprawcami, a ostatni z nich uderzył go kolbą w twarz. Chłopak zachwiał się, ale odzyskawszy równowagę, odwrócił się z zaciśniętymi pięściami.

– Zostawcie ją!

Powalił jednego z gwardzistów na ziemię, drugiego z wściekłością odepchnął od siostry. Bheth krzyknęła rozdzierająco, kiedy trzech żołdaków rzuciło się na Gurneya, z taką pasją okładając go bronią, że słychać było chrzęst żeber, a jego twarz zalala się krwią.

– Pomóście! – krzyknął Gurney do swych towarzyszy. – Jest nas więcej!

Nikt się jednak nie ruszył ani nie odezwał.

Kopany i bity Gurney upadł na podłogę; podniósłszy na chwilę głowę, zobaczył, jak Kryubi przygląda się swoim ludziom, gdy wyciągają Bheth na zewnątrz. Rozpaczliwie szarpnął się, usiłując uwolnić się z rąk zwalistego gwardzisty. Widział, jak z przerażeniem na twarzy spoglądają na niego zastygli za stołem znajomi z osiedla i pracy.

– Pomocy, do cholery! – zawołał raz jeszcze, ale w tym właśnie momencie jeden z

napastników z taką siłą uderzył go w spłot słoneczny, że Gurney stracił dech, a przed oczami zamigotały mu czarne plamy.

W końcu żołnierze wyszli.

Gurney ruszył za nimi, ale musiał się oprzeć o ścianę, gdyż zakręciło mu się w głowie. Usłyszał na zewnątrz ryk silnika ruszającej więźniarki. W oknach zamigotały ostre światła i pojazd zniknął, kierując się ku następnej osadzie, zapewne w poszukiwaniu kolejnych ofiar.

Gurney popatrzył spod napuchniętych powiek na swych towarzyszy. Odkasznął, otarł krew z warg i wybuchnął:

– A wy nic, tylko tak sobie siedzicie! Żaden nawet palcem nie ruszył, kiedy zabierali moją siostrę! Jak to możliwe?!

Miał jednak przed sobą ludzi posłusznych jak muły. Zawsze tacy byli, nie powinien więc teraz oczekiwać niczego innego. Z najwyższą pogardą splunął na podłogę i wypadł na zewnątrz.

*Tajemnice są istotnym aspektem władzy. Sprawny władca wykorzystuje je do utrzymania podwładnych w posłuchu.*

**książę Raphael Korrino,  
Dysputy o władaniu galaktycznym Cesarstwem,  
wydanie XII**

Mężczyzna o podstępnej twarzy lisa stał na drugiej kondygnacji rezydencji w Arrakin i spoglądał w dół na wielkie atrium.

– Czy wszyscy na pewno zostali poinformowani o naszym małym wieczorku, hmmm-mhm? – Od kilku już lat usta miał nieustannie spierzchnięte od suchego powietrza. – Wszystkie zaproszenia doręczono osobiście? Wszystkich poinformowano?

Hrabia Hasimir Fenring spojrzał pytająco na stojącego obok szczupłego dowódcę swej przybocznej gwardii, Geraldo Willowbrooka. Odziany w szkarłatno-złoty mundur mężczyzna kiwnął głową, mrużąc oczy od światła wpadającego przez zabezpieczone tarczami pryzmatyczne okna.

– To będzie wielkie uczczenie rocznicy twego przybycia tutaj, panie. Żebracy już się tłoczą u frontowej bramy.

– Hmmm, mhmm, to dobrze, bardzo dobrze. Moja żona się ucieszy.

Na dole szef służby nadzorował transport srebrnego serwisu do kawy. Aż tutaj docierały smakowite zapachy kuchenne: woń egzotycznych zup i sosów, w których podane będą mięsiwa ze zwierząt, jakich nigdy nie widziano na Arrakis.

Fenring przesunął ręką po rzeźbionej żeliwnej poręczy. Dwa piętra nad jego głową wznosił się gotycki strop, którego belki zrobiono z elakkijskiego drewna, a świetliki z plazu. Hrabia, chociaż muskularny, nie był wysokim mężczyzną, więc ta wielka budowla go przytłaczała. Sam zamówił takie właśnie sklepienie, podobnie jak sufit w jadalni. Jego pomysłem było także nowe wschodnie skrzydło z eleganckimi pokojami gościnnymi i basenami kąpielowymi.

Przez dziesięć lat spędzonych na Arrakis jako Cesarski Obserwator, Fenring nieustannie inicjował coraz to nowe budowle. Chciał zostawić coś po sobie w miejscu, gdzie go zesłano po wydaleniu z cesarskiej stolicy Kaitain.

Z oranżerii przylegającej do prywatnych pokoi, które zajmował z lady Margot, dobiegało stukanie narzędzi i śpiew robotników. Wykańczali framugi drzwi, umieszczali w niszach misy fontann i zdobili ściany barwnymi geometrycznymi mozaikami. Jednemu z zawiasów w odrzwiach nadano na szczęście kształt ręki Fatimy, ukochanej córki Proroka ze Starej Ziemi.

Fenring miał już odprawić Willowbrooka, kiedy od silnego uderzenia zadygotała cała budowla. Dwóch mężczyzn przebiegło przez hol obok szaf z książkami; z pokoi i wind powystawiali głowy zaciekawieni służący.

Owalne drzwi do oranżerii stały otworem, a w środku widać było zwały metalu i plazu. Jeden z robotników wzywał lekarza. Zawaliło się rusztowanie na odciążaczach, pełne pracowników. Fenring wrył sobie w pamięć, żeby osobiście dopilnować wymierzenia kary, kiedy dochodzenie ujawni, kto za to odpowiada.

W drodze do pokoju Fenring spojrzał w górę i poprzez otwór w dachu zobaczył cytrynowożółte niebo. Po zawaleniu się rusztowania tylko kilka tafli szkła filtracyjnego pozostało nietkniętych.

– Niedobra pora na coś takiego, hmmm – mruknął zdegustowany. – Miałem zamiar pokazać to dzisiaj naszym gościom.

– Bardzo nieodpowiednia, panie hrabio – usłużnie przytaknął Willowbrook, spoglądając jednocześnie, jak w oranżerii medycy w kitlach w kolorze khaki udzielają pierwszej pomocy rannym. Jeden wyprowadzał właśnie mężczyznę o zakrwawionej twarzy, podczas gdy dwóch innych starało się unieść ciężką taflę plazu, która przygniotła kilka osób. Nadzorca został uwięziony pod zawalonym rusztowaniem. „Głupiec – pomyślał Fenring – ale dla niego pewnie lepiej, że tak skończył. To w końcu on ponosił za wszystko odpowiedzialność”.

Fenring zerknął na czasomierz. Jeszcze dwie godziny do przyjazdu gości. Skinął na Willowbrooka.

– Zadbaj o to, żeby podczas obiadu żaden hałas stąd nie dochodził. Razem z lady Margot zaplanowaliśmy całą uroczystość w najdrobniejszych szczegółach, nie chcę więc, żeby coś nam teraz przeszkadzało.

Willowbrook zmarszczył brwi, ale zdecydował, że lepiej będzie odpowiedzieć posłusznie:

– Za niecałą godzinę będzie tu już porządek, panie hrabio.

Fenring był poirytowany. Właściwie to niewiele go interesowały egzotyczne rośliny, a kosztowną inwestycję zaaprobował, gdyż takie było życzenie jego żony Bene Gesserit, lady Margot. Chciała czegoś skromnego i niewyszukanego, on jednak pomyślał, że dobrze byłoby zbudować pomieszczenie, w którym znajdą się egzemplarze wszystkich roślin z całego Cesarstwa.

Teraz zaczął wątpić, czy oranżeria kiedykolwiek powstanie.

Powitał żonę w wejściu, kiedy doniesiono mu, że wraca w wyprawy na miejskie suk. Miała długie włosy blond, szarzielone oczy, idealną figurę, szlachetne rysy i była wyższa od Fenringa co najmniej o głowę. Miała na sobie abę podkreślającą kobiece kształty; na czarnym materiale osiadł miejski kurz.

– I co, kochana, czy mieli korzenie z Ekazu?

Hrabia z niecierpliwością wpatrywał się w dwa wielkie pakunki w grubym papierze przyprawowym, niesione przez służące. Kiedy po południu do rezydencji dotarła wieść, że liniowcem przybyli kupcy, Margot natychmiast wyprawiła się do Arrakin, aby zatroszczyć się o rzadkie warzywa. Usiłował zajrzeć pod papier, ale żartobliwie klepnęła go w rękę.

– Czy tutaj wszystko już gotowe, mój drogi?

– Hmm-rnhhhm, raczej tak, jednak nie będziemy mogli dziś oprowadzić gości po oranżerii. Trochę za duży tam bałagan.

Lady Margot witała gości w wielkim atrium, na którego wyłożonych drewnem ścianach widniały podobizny Padyszachów Cesarzy, poczynając od legendarnego generała Faykana Korrino, który dowodził w Butleryjskim Dżihadzie, i światłego władcy Raphaela Korrino, a na Fondilu III „Łowcy” i jego synu, Elroodzie IX, kończąc.

Pośrodku stała złota statua przedstawiająca obecnego Cesarza Szaddama IV w paradnym mundurze sardaukarów i z wysoko wzniesionym ceremonialnym mieczem. Było to jedno z kosztownych dzieł, które władca sprezentował w pierwszej dekadzie swego panowania. W samej rezydencji i wokół niej było jeszcze wiele świadectw łaskawości przyjaciela Fenringa z lat młodości. Doszło wprawdzie między nimi do scysji po objęciu przez Szaddama tronu, potem jednak wzajemne stosunki znowu się ociepliły.

Poprzez otwarte wierzaje napływały eleganckie damy, którym towarzyszyli mężczyźni w czarnych postbutleryjskich smokingach i różnobarwnych wojskowych uniformach. Sama Margot miała na sobie długą suknię z gładkiej tafty, przyozdobioną na piersiach szmaragdowymi cekinami.

Herold zapowiadał nadchodzących gości, a Margot ich witała. Potem przechodzili do Wielkiej Sali, skąd dobiegał gwar rozmów, śmiechy i brzęk kieliszków. Wyśmienici zonglerzy i sławni trubadurzy mieli uświetnić dziesięciolecie pobytu na Arrakis hrabiego Fenringa.

Na wielkich schodach pojawił się jej mąż. Miał na sobie klasyczny granatowy smoking z

purpurową królewską szarfą na piersiach. Strój został uszyty na miarę przez krawców na Bifkarze: Kiedy Hasimir stanął u jej boku, nachyliła się i ucałowała go w usta.

– Zajmij się przybyłymi, kochany, zanim baron zdominuje wszystkie konwersacje.

Fenring zgrabnie ominął pulchną, nieefektywnie wyglądającą księżną z jednej z prowincjonalnych planet Korrinów; arystokratka właśnie przeciągała nad lampką wina zdalnie sterowanym wykrywaczem trucizn, by potem schować instrument do kieszeni sukni. Hrabia zmierzał w kierunku barona Harkonnena, obecnego zarządcy siridar-lenna Arrakis i bezcennego monopolu na pozyskanie przyprawy. Pełgający po twarzy barona odbłask ognia z paleniska nadawał jej otyłym rysom osobliwy wygląd. Vladimir Harkonnen nie wyglądał najlepiej.

Podczas pobytu Fenringów na Arrakis baron zapraszał ich na uczyty w Twierdzy albo na walki gladiatorów, którymi byli niewolnicy dostarczani z Giedi Primy. Był to niebezpieczny człowiek, myślący jedynie o własnej korzyści. Stał teraz oparty na lasce, której rękojeść stanowiła wyrzeźbiona paszcza wielkiego piaskala.

Margot obserwowała, jak przez te dziesięć lat gwałtownie pogarsza się cielesna kondycja barona; cierpiał na tajemniczą chorobę mięśni i nerwów, w wyniku której nieustannie przybierał na wadze. Od swych sióstr Bene Gesserit wiedziała, co spowodowało chorobę. Zasiała ją w nim Wielebna Matka Gaius Helena Mohiam w trakcie dokonanego na niej gwałtu. On sam nigdy nie poznał przyczyny swej dolegliwości.

I właśnie zbliżała się do Margot sama Mohiam, kolejna osoba z orszaku starannie dobranych gości. Siwowłosa Wielebna Matka miała na sobie uroczystą abę z kołnierzem wysadzonym diamentami. Wąskie usta uśmiechnęły się na powitanie, a subtelnymi ruchami palców przekazała pytanie: „Jakie informacje dla Matki Przełożonej Harishki? Mam jej przekazać raport?”.

Margot odpowiedziała w ten sam sposób: „Postępy w sprawach Missionaria Protectiva, chociaż brak potwierżeń. Zaginione siostry nie odnalezione. Możliwe, że już od dawna nie żyją.

Mohiam nie zachwyciły informacje. Sama była kiedyś funkcjonariuszką Missionaria Protectiva, nieocenionej służby Bene Gesserit, która aż po najdalsze krańce Cesarstwa rozsiewała przesady mogące kiedyś okazać się pożyteczne dla zakonu. W młodości Mohiam udająca zwykłą mieszkankę wypełniała takie zadanie tutaj, na Arrakis. Jej samej nie udało się wprawdzie przeniknąć do hermetycznej społeczności Wolan, niemniej jednak przez stulecia udało się to pewnej liczbie Bene Gesserit, po których ślad zaginął, kiedy weszły między ludzi pustyni.

Od czasu gdy Margot znalazła się na Arrakis jako połowica hrabiego, zakon wielokrotnie dopytywał się, czy nie rozpoznaje śladów subtelnej pracy Missionaria. Udało jej się jednak zdobywać tylko wiadomości z trzeciej, czwartej ręki: o Wielebnych Matkach, które stały się Wolankami i wyrzekły zakonu, ale także o rytuałach plemiennych, które wskazywały na

inspiracje Bene Gesserit. W jednej z odizolowanych siczy rządzić miała święta niewiasta; w gospodzie podsłuchano zakurzonych wędrowców rozprawiających o proroku, co wskazywałoby niedwuznacznie na panoplia propheticus. Tak czy inaczej, nie były to informacje pochodzące wprost od samych Wolan, którzy wydawali się równie nieprzychylni dla obcych jak sama planeta.

Nie można było wykluczyć tego, że zamordowali siostry, a z ich ciał odzyskali bezcenną dla nich wodę.

„Mogły zginąć w piachu pustyni” – ciągnęła bezsłownie Margot.

„Nie ustawać w poszukiwaniach”.

Ruchem głowy informując o końcu rozmowy, Mohiam przeszła do Wielkiej Sali.

– Rondo Tuek! – oznajmił herold. – Kupiec wodny!

Margot zobaczyła przed sobą mężczyznę o szerokiej twarzy i muskularnej posturze, który nachodził dziwnym, chwiejnym krokiem. Po bokach głowy sterczały kosmyki rudawosiwych włosów, na szczycie czaszki niemal ich już nie było. Szeroko rozstawione oczy patrzyły uważnie. Margot wyciągnęła dłoń na powitanie.

– Ach, tak... przemytnik.

Policzki Tueka pociemniały, ale zaraz na wargach pojawił się krzywy uśmiech. Pogroził Margot palcem jak nauczyciel karzący uczennicę.

– Jestem dostawcą wody, który ciężko pracuje, aby pozyskać życiodajny płyn z zanieczyszczonych czap lodowych.

– Bez ofiarności twojej całej rodziny Cesarstwo bez wątpienia by nie przetrwało.

– Jesteś zbyt łaskawa dla mnie, pani.

Tuek uklonił się nisko i przeszedł do Wielkiej Sali. Na zewnątrz rezydencji zebrali się żebracy, liczący na jakiś przejaw rzadkiej u hrabiego wspaniałomyślności. Dalej zatrzymali się przechodnie obserwujący żebraków, a także rzeźbioną fasadę budowli. Sprzedawcy wody w tradycyjnych różnobarwnych strojach potrząsali dzwoneczkami i wołali: „Suu-suu-suuuk!” Strażnicy, oddelegowani na tę okazję z oddziałów Harkonnenów i przyodziani w cesarskie barwy, pilnowali, by do środka nie dostał się nikt niepowołany.

Kiedy przybył ostatni z zaproszonych gości, Margot zerknęła na antyczny chronometr na ścianie z mechanicznymi figurkami i kurantem. Mieli około pół godziny opóźnienia. Pospieszyła do męża i szepnęła mu coś do ucha. Ruchem ręki uciszył żonglerów, na co zareagowali też goście.

– Czy mógłbym prosić o chwilę uwagi? – spytał hrabia, patrząc, jak w szpaler ustawiają się ludzie ze świty. – Przejdziemy teraz do jadalni.

Zgodnie z obowiązującym zwyczajem, hrabiowska para udała się za wszystkimi gośćmi.

Po obu stronach wejścia stały wielkie czary ze złożonymi płytkami, na których zgodnie z wymogami sytuacji politycznej, wryto herby rodów Korrinów i Harkonnenów. Krzyże władającego uprzednio Arrakis rodu Richesów starannie zastąpiono błękitnymi gryfami

obecnych lenników. Goście zatrzymywali się przy czarach, zanurzali ręce w wodzie, otrząsali je nad posadzką, a wykorzystane ręczniki ciskali w powiększającą się kałużę. Zwyczaj ten został zapoczątkowany przez barona Harkonnena, chcącego w ten sposób pokazać, że rządca planety za nic ma sobie niedostatek wody. Dumny pokaz bogactwa. Fenringowi bardzo się to spodobało i u siebie też wprowadził podobną procedurę, choć z drobną poprawką. Lady Margot dostrzegła sposób na okazanie łaskawości i dobrego serca; uzyskawszy mrukliwą zgodę męża, kazała obwieścić, że po każdej uczcie w rezydencji zebrani pod nią żebracy mogą za darmo otrzymać tyle wody, ile da się wycisnąć z ręczników.

Czując na rękach chłód wilgoci, Margot u boku swego męża wkroczyła do długiej sali. Na ścianach wisiały stare kobierce, swobodne jarzyce unosiły się na tej samej wysokości, wszystkie nastawione na ten sam odcień żółci. Nad polerowanym drewnianym stołem zawisł lśniący kandelabr z niebiesko-zielonego kwarcu z Hagala, a w nim ukryty był czuły wykrywacz trucizn.

Mała armia lokajów podstawiała gościom fotele i układała serwetki na kolanach. Ktoś nieostrożnie potrącił kryształowy kielich, który z brzękiem rozbił się o posadzkę. Służący rzucili się, aby uprzątnąć okruchy; wszyscy udawali, że nic się nie stało.

Siedząca na końcu stołu Margot uprzejmie skinęła głową planetologowi Pardotowi Kynesowi i jego dwunastoletniemu synowi, którzy zajęli miejsca po obu stronach obok niej. Nieco zdziwiło ją, że rzadko widywany specjalista pustynny przyjął zaproszenie, i miała nadzieję, że uda jej się stwierdzić, jak wiele było prawdy w krążących o nim plotkach. Nudziły ją banalne, nieszczerze rozmowy podczas takich spotkań, mimo że dla wytrawnej obserwatorce, jaką była każda Bene Gesserit, stanowiły one trudne do przecenienia źródło informacji. Przyjrzała się szczupłemu mężczyźnie, odnotowując ślady reperacji na starym ubraniu, a także mocno nakreśloną linię szczęk.

Dwa fotele dalej miejsce zajmowała Wielebna Matka Mohiam. U szczytu stołu zasiadł Hasimir Fenring, po prawicy mając barona Harkonnena. Wiedząc o ich wzajemnej nienawiści, Margot usadziła ich na przeciwnych końcach.

– Dziękujemy za zaproszenie, lady Fenring – zwrócił się do Margot syn planetologa, który przedstawił go imieniem Weichih, czyli „ukochany”. Byli do siebie podobni, o ile jednak ojciec wyglądał na marzyciela, o tyle w oczach syna widać było twardość wychowania w surowych warunkach Arrakis.

Uśmiechnęła się do niego.

– Jeden z naszych kucharzy jest osiadłym w mieście Wolaninem i przygotował na tę okazję siczowe smakołyki: ciastka przyprawowe z miodem i sezamem.

– Wolańska kuchnia uzyskała sankcje cesarskie? – spytał z nieco ironicznym uśmiechem Pardot Kynes. Z jego miny można było wnosić, że zawsze traktował jedzenie jak kłopotliwy obowiązek.

– No cóż, smak to kwestia osobistego gustu – odrzekła dyplomatycznie Margot, ale w jej

oczach pojawiły się iskierki.

– Traktuję to jako odpowiedź negatywną.

Wysokie, zgrabne kobiety przesuwaly się za stołem ze smukłymi butelkami pełnymi niebieskiego, doprawionego przyprawą wina. Aby olśnić miejscowych, pojawiły się półmiski pełne ryb i małż z Buzzellu. Nawet najwięksi bogacze Arrakin rzadko kiedy mieli okazję popróbować owoców morza.

– Ach! – westchnął z satysfakcją Fenring od drugiego końca stołu, kiedy służący podsunął mu małą misę, zdejmując z niej przezrystą pokrywę. – Wspaniałe, cudowne korzenie z Ekazu. Hmmmhmm, czymże ja ci się odwdzięczę, kochanie?

Lokaj nalał na potrawę gęsty ciemny sos.

– Nic nie jest nazbyt wykwintne, aby uradować naszych gości – powiedziała Margot.

– Pozwólcie państwo, że wyjaśnię, dlaczego te korzenie są takie drogie – odezwał się dyplomata z Ekazu, przyciągając uwagę wszystkich uczujących. Bindikk Narvi był niewysokim mężczyzną o zadziwiająco niskim głosie. – Nowy rodzaj szkodnika ogromnie zmniejszył nasze dostawy dla całego Cesarstwa. Jesteśmy pewni sabotażu i zarazę tę nazwaliśmy „stonką z Grumman”. – Narvi obdarzył płomiennym spojrzeniem ambasadora Grumman, zwalistego mężczyznę o ciemnej, pomarszczonej skórze, pijącego na potęgę. – Co gorsza, podstępne szkodnictwo nie oszczędziło także naszych plantacji drzew mgielnych na kontynencie Elakka.

Powszechnie cenione w całym Cesarstwie rzeźby z drzewa mgielnego powstawały dzięki myślowemu sterowaniu wzrostem drzew.

Tymczasem wtrącił się przedstawiciel rodu Moritanich, Lupino Ord, który miał głos piskliwy, chociaż ciało masywne.

– I znowu panowie z Ekazu symulują jakieś epidemie, aby podbić ceny. Ciągłe stosujecie tę samą sztuczkę, chociaż to z jej powodu wasi przodkowie zostali wygnani ze Starej Ziemi.

– To wierutne kłamstwo i...

– Panowie, proszę o spokój! – odezwał się stanowczo Fenring.

Mieszkańcy Grumman zawsze byli bardzo porywcy i jeśli tylko zwęszyli chociażby cień obrazy, gotowi byli natychmiast wszcząć awanturę. Fenring był zniesmaczony takim grubiańskim zachowaniem. Zerknął na żonę.

– Czyżbyśmy się pomylili, rozsadzając gości, kochanie?

– Albo może układając ich listę – odrzekła z czarownym uśmiechem.

Na niektórych twarzach pojawiły się niepewne uśmiechy. Zwaśnieni mężczyźni umilkli, ale nadal spoglądali na siebie nieprzyjaźnie.

– Cieszę się ogromnie – powiedział łaskawym tonem baron Harkonnen – że nasz znakomity planetolog zabrał ze sobą swego syna. Nader udatny chłopiec. Masz zaszczyt być najmłodszym biesiadnikiem, młodzieńcze.

– Największym dla mnie zaszczytem jest możliwość znalezienia się w tak znakomitym



towarzystwie – odparł młody Kynes.

– Słyszę, że jest przyuczony do tego, aby, gdy nadejdzie czas, zastąpić swego ojca – ciągnął baron, a Margot posłyszała w jego głosie delikatny sarkazm. – To świetnie, bo nie wiem doprawdy, jak poradziłibyśmy tu sobie bez planetologa.

W gruncie rzeczy Kynes rzadko zjawiał się w mieście i niemal w ogóle nie przedstawiał swych raportów Cesarzowi, który chyba nawet tego nie zauważał. Margot wiedziała od męża, że Szaddama pochłaniają teraz jakieś inne, nie do końca jasne sprawy.

Oczy chłopaka się rozjaśniły. Podniósł puchar z wodą.

– Czy wolno mi będzie wnieść toast na cześć naszego wspaniałego gospodarza i znakomitej gospodyni?

Pardot zerknął na swego syna, zarazem zdziwiony jego śmiałością, jak i skonfundowany tym, że sam wcześniej nie pomyślał o tym geście.

– Doskonały pomysł – mruknął baron, a Margot zauważyła, że sposób, w jaki przeciągał głoski, świadczył o tym, iż wino już na niego podziało.

Dwunastolatek wznosił kielich do góry i powiedział:

– Oby wasze bogactwo, którego wyrazem jest obfitość jadła i wody, było niczym w porównaniu ze skarbami waszych serc, o najszlachetniejsi!

Zebrani z entuzjazmem się przyłączyli, a Margot uważnie przyjrzała się chłopcu, który potrafił formułować tak subtelne i wieloznaczne słowa. Kiedy umilkł brzęk odstawianych kielichów, planetolog przełamał skrupuły i zapytał o to, co najbardziej go interesowało:

– Słyszałem, hrabio, że budujesz tutaj ogród botaniczny. Czy pozwoliłbyś mi rzucić na niego okiem?

Teraz Margot już rozumiała, dlaczego Pardot Kynes przyjął zaproszenie i na chwilę porzucił swą ukochaną pustynię, nie zmieniawszy nawet stroju, w którym bardziej wyglądał na Wolanina niż cesarskiego urzędnika.

– Hmmm-mhhh, widzę, że nasze małe sekrety szybko się rozchodzą. – Fenring wyduł wargi z wyraźnym niezadowoleniem. – Istotnie, miała to być na dzisiaj niespodzianka dla mych drogich gości, tymczasem... Pojawiły się pewne opóźnienia. Może innym razem.

– Czy dobrze rozumiem, że w tej prywatnej hodowli będziesz miał, hrabio, rzeczy niedostępne dla innych mieszkańców Arrakis? – spytał młody Weichih.

– Tak właśnie – mruknął pod nosem ojciec.

Margot posłyszała wypowiedziane półgłosem słowa. „Interesujące”. Wyraźnie widziała, że absolutnie nie wolno było lekceważyć tego niechlujnie ubranego mężczyzny i jego syna.

– Czyż jednak nie jest to piękna myśl, żeby zgromadzić tu wszystkie rośliny występujące w całym Cesarstwie? – spytała przymilnie. – Dla mnie to przede wszystkim demonstracja bogactwa wszechświata, nie zaś podkreślanie niedostatku.

– Nie sędzę, aby nasze opinie były interesujące dla innych – cicho, ale stanowczo upomniał syna ojciec.

– Wprost przeciwnie, z chęcią dowiedzielibyśmy się, co sądzą o tym ludzie tak blisko związani z pustynią – zaprotestowała Margot, ignorując gniewne spojrzenia, jakimi obdarzali się ambasadorowie Ekazu i Grumman. – I możecie się nie obawiać, że ktokolwiek poczuje się urażony.

– Tak – poparł ją siedzący pośrodku stołu importer broni z Kartagi, który miał na palcach tyle pierścieni, że podnosił dłonie z wyraźnym trudem. – Opowiedzcie nam, jacy są ci Wolanie. Wszystkich nas to interesuje.

Pardot wolno pokiwał głową.

– Żyję pośród nich już od wielu lat. Aby zrozumieć ich zwyczaje, należy pamiętać, że rzeczą dla nich najważniejszą jest przetrwanie. Niczego nie marnują. Wszystko potrafią wykorzystać i przystosować do powtórnego użytku.

– Aż do ostatniej kropli wody – podsunął Fenring. – Wydobywają ją także ze zwłok, mhhhm, hmmm, prawda?

Pardot zerknął na syna, a potem na Margot.

– A pański ogród, hrabio, będzie potrzebował bardzo wiele tej bezcennej wody.

– Jako Cesarski Obserwator mogę robić, co zechcę, z naturalnymi zasobami – oznajmił z naciskiem Fenring. – A sądzą, że idea mojej żony warta jest kosztów, jakie przyjdzie ponieść.

– Któż by śmiał kwestionować twoje prawa, panie – rzekł Kynes głosem tak twardym jak Mur Zaporowy. – Ja również jestem tutaj z cesarskiego polecenia. Służę Szaddamowi IV, jak wcześniej Elroodowi IX. Każdy z nas ma swoje obowiązki. Nie zamierzam zadrećcać cię wykładami na temat ekologii, odpowiedziałem jedynie na pytanie twej szlachetnej małżonki.

– Świetnie, planetologu, ale wyjaw nam jakieś tajemnice Arrakis, których jeszcze nie znamy – wtrącił się baron. Musisz je znać, bo jesteś tu przecież dostatecznie długo. Muszę powiedzieć, że więcej tracimy tu ludzi niż na jakiegokolwiek innej planecie podległej Harkonnenom. Gildia nie potrafi nawet zapewnić na tyle sprawnej obsługi satelitarnej, żebyśmy mogli dysponować wiarygodnymi prognozami. To doprawdy irytujące.

– Chociaż zarazem, z powodu przyprawy, Arrakis to cenne miejsce – zauważyła Margot. – Szczególnie dla pana, baronie.

– Nielatwo odkryć tajemnice tej planety – oznajmił Pardot Kynes. – I z pewnością nie wystarczy mego krótkiego życia, aby zrozumieć, co tutaj się rozgrywa. Wiem jednak, że należy nauczyć się współżyć z pustynią, zamiast z nią walczyć.

– Czy ci Wolanie nas nienawidzą? – spytała Caula, krewniczka Cesarza, i zatrzymała podnoszony do ust widelec pełen duszonych w brandy podrobów z łasicy.

– Są podejrzliwi, nie ufają nikomu, kto nie jest Wolaninem, zarazem jednak to ludzie prości, ale prawi, wiernie przestrzegający swego kodeksu honorowego, którego nie rozumie nikt z siedzących teraz przy stole, włącznie ze mną.

Delikatnie unosząc brwi, Margot zadała następne pytanie i uważnie wpatrywała się w odpowiadającego.

– A czy prawdziwe są pogłoski, że sam miał pan do nich przystać, planetologu?

– Moja pani, pozostaję na cesarskiej służbie, chociaż od Wolan z pewnością można się wiele nauczyć.

Kiedy pojawiły się desery, gwar wokół stołu stawał się coraz głośniejszy, a rozmowy toczono w mniejszych grupkach.

– A nasz Cesarz nadal nie ma dziedzica – wzbął się nad inne głosy przenikliwy dyszkant ambasadora Grumman, Lupino Orda, który nie przepuścił ani kolejki. – Tylko dwie córki, Irulanę i Chalice. Nie, żeby kobiety nie były ważne, ale... – Rozejrzył się, widząc przyganę w oczach kilku dam. – Bez męskiego potomka ród Korrinów musi ustąpić miejsca innemu z Wysokich Rodów.

– Jeśli będzie żył tak długo jak ojciec, Jego Cesarska Mość będzie nam panował jeszcze co najmniej sto lat – powiedziała Margot. – A najpewniej nie dotarła do pana wieść, że lady Anirula jest znowu przy nadziei?

– Liczne obowiązki sprawiają, że czasami przeoczam ważne wiadomości – przyznał Ord. Uniósł do góry kielich z winem. – Miejmy nadzieję, że tym razem będzie to chłopak.

– Tak, niech się spełni! – zakrzyknęło kilkoro biesiadników, ale ambasador Ekazu, Bindikk Narvi zrobił obsceniczny gest. Margot, owszem, słyszała o animozjach między arcyksięciem Armandem Ekazem i wicehrabią Moritanim z Grumman, ale nie przypuszczała, że ich wzajemna niechęć jest aż tak silna, w przeciwnym bowiem wypadku nie posadziłyby nieprzyjaciół tak blisko siebie.

Ord chwycił butelkę o wąskiej szyjce i sam dolał sobie wina, zanim ktokolwiek ze służby zdążył się ruszyć.

– Hrabio Fenring, ma pan tyle dzieł sztuki przedstawiających naszego Cesarza: obrazów, rzeźb, medalionów z jego podobizną. Czy czasem Jego Cesarska Mość nie przesadza z tym reklamowaniem siebie? Przecież w całym Cesarstwie roi się od takich rzeczy.

– A jacyś nieznani sprawcy obalają je lub uszkadzają – prychnął sprzedawca broni z Kartagi.

Margot zdjęła z tacy po kawałku słodkiego ciasta melanżowego i nałożyła obu Kynesom. Może goście nie słyszeli plotek powiadających, że w tych darach ukryte były urządzenia pozwalające inwigilować wszystko, co dzieje się w różnych miejscach Cesarstwa. Jak chociażby wielki relief, który wisiał na ścianie za plecami Orda.

– No cóż, mhhh, Szaddam, prawda, hmmm, chce zaznaczyć się w pamięci poddanych – rzekł Fenring. – Znam go od wielu lat i wiem, że chce zerwać z polityką ojca, który przez tyle lat rządził w izolacji i odosobnieniu.

– Może i tak, ale zaniedbuje szkolenie sardaukarów, podczas gdy liczba generałów, no, jak ich zwą...

– Bursegowie – podpowiedział ktoś z boku.

– Właśnie, armia tych bursegów stale rośnie, a przy tych ich ogromnych pensjach i

wszelakich dostatkach, prości żołnierze muszą pracować coraz ciężiej, chociaż dostają coraz mniej.

Margot zauważyła, że jej mąż stał się niebezpiecznie cichy i spokojny. Zmrużonymi oczami przypatrywał się pijanemu durniowi. Kobieta siedząca obok nachyliła się i szepnęła coś na ucho ambasadorowi.

– Ach, tak, przepraszam, że o rzeczach oczywistych mówię komuś, kto tak dobrze zna Cesarza jak pan, panie hrabio.

– Jesteś kompletnym idiotą, Ord – zagrział Narvi, jak gdyby nareszcie znalazł długo wyczekiwaną okazję do wyzwiska.

– A ty głupcem, w dodatku martwym!

Ambasador Grumman zerwał się na równe nogi, przewracając fotel, zrobił to jednak nadspodziewanie szybko i pewnie. Czyżby całe to pijaństwo było tylko udane, aby sprowokować przeciwnika? Wszystko zostało starannie ukartowane? Ord wyrwał z kieszeni lśniący pistolet na pociski w postaci wirujących dysków i z ogłuszającym hukiem wystrzelił kilkakroć. Dyski rozerwały twarz i pierś Narwiego, zanim ukryta w nich trucizna zaczęła działać.

Biesiadnicy rozbiegli się z krzykiem. Służba pochwyciła Orda i wyrwała mu broń. Margot pozostała na miejscu, bardziej zaskoczona niż przestraszona. „Jak mogła do mnie nie dotrzeć wiadomość o tej wrogości między Ekazami a Moritaniami?”

– Zamknąć go w lochu! – polecił Fenring. – Dzień i noc trzymać pod strażą!

– Chroni mnie immunitet dyplomatyczny! – zaprotestował piskliwie Ord. – Chyba nie śmiesz mnie aresztować, hrabio?

– Z pewnością to nie ty będziesz decydował o tym, co śmiem zrobić, a czego nie. – Hrabia rozejrzał się po przerażonych twarzach. – Mogę po prostu zebranych tutaj pozwolić na to, aby wymierzili ci karę, bo naruszyłeś ich... immunitet, mhmmm.

Fenring gestem kazał odprowadzić Orda w miejsce, gdzie poczeka do chwili, gdy uda się zorganizować bezpieczny transport na Grumman.

Pojawili się lekarze, ci sami, których Fenring widział krzątających się w oranżerii, choć właściwie w żaden sposób nie mogli już pomóc okaleczonemu ambasadorowi.

„Całkiem sporo dzisiaj ofiar – myślał Fenring – a nikt z nich nie padł z mojej ręki”.

– Hmm – zamruczał do żony, kiedy stanęła u jego boku. – Obawiam się nieprzyjemności. Arcyksiążę Ekaz musi wystąpić z formalną skargą, a nie potrafię przewidzieć, jaka będzie odpowiedź wicehrabiego Moritaniego. – Na jego polecenie służący zabrali ciało Narwiego. Część gości rozeszła się po innych pomieszczeniach rezydencji. – Nie uważasz, że powinniśmy poprosić ich, by tu wrócili? – Ścisnął dłoń małżonki. – Nie chciałbym kończyć tego uroczystego wieczoru w takim nastroju. Może żonglerzy ich rozbawią?

Zbliżył się baron Harkonnen, podpierając się laską.

– To twój teren, hrabio, nie mój. Ty zatem wyślij oficjalny raport Cesarzowi.

– Tak, oczywiście zajmę się tym – sztywno odpowiedział Fenring. – I tak wybierałem się na Kaitain w innej sprawie, więc przy okazji szczegółowo przedstawię całą sprawę Szaddamowi. Wraz z odpowiednimi przeprosinaми.

*W czasach Starej Ziemi istnieli specjaliści od trucizn, podstępne, obdarzone sprytem osoby, które zajmowały się tym, co nazywano „pudrami dziedziczenia”.*

**cytat z księgofilmu dostępnego  
w Królewskiej Bibliotece na Kaitain**

Szambelan dworu, Beely Ridondo, dumnym krokiem wszedł do komnaty.

– Wasza Cesarska Mość, masz kolejną córkę. Twoja małżonka właśnie powiła dorodną i zdrową dziewczynkę.

Cesarz Szaddam IV wcale się nie uradował; zaklął pod nosem i odprawił dworaka.

„No to teraz mamy trzy! I po co mi następna córka?”

Od czasu spisku mającego na celu usunięcie jego stetryczalego ojca z Tronu Złotego Lwa Szaddam nie był nigdy w gorszym humorze. Pospiesznym krokiem przeszedł do swych prywatnych komnat, mijając po drodze tabliczkę z napisem „Prawo to najwyższa z nauk”. Jedną z tych bzdur, które pozostały po następcy tronu Raphaelu Korrino, człowieku, który nawet nie zabiegał o monarszą koronę. Zamknął za sobą hermetyczne drzwi i z rozmachem rzucił się na krzesło odciążaczowe przy biurku.

Był mężczyzną średniego wzrostu, o niezbyt wyrobionej muskulaturze i orlim nosie. Długie paznokcie miał starannie wypielęgnowane, a nasyczone pomadą rude włosy zaczesane do góry. Miał na sobie szary mundur sardaukarów z epoletami oraz srebrno-złotymi szamerunkami, ale wojskowy strój i militaria nie sprawiały mu już takiej uciechy jak niegdyś. Potrzebna mu jeszcze córka, kiedy już tyle miał spraw na głowie! Niedawno podczas galowego koncertu w jednym z wielkich amfiteatrów na Harmonthepie ktoś wypuścił wielki balon w kształcie Szaddama IV. Ta obraźliwa podobizna przedstawiała go jako błazna! Nadmuchana figura ku uciechu gawiedzi żeglowała w powietrzu, dopóki nie zestrzelili jej dragoni z Harmonthepa, i tylko głupiec mógłby nie zdać sobie sprawy z symbolicznej wymowy tego zdarzenia. Pomimo rygorystycznie przeprowadzonego śledztwa nawet sardaukarom nie udało się ustalić, kto był odpowiedzialny za wypuszczenie balonu.

Z kolei na Canidarze II na granitowej ścianie Pomnikowego Kanionu ktoś wypisał literami sięgającymi stu metrów wysokości: „Szaddamie, czy korona pewnie się trzyma na twym spiczastym łbie?” Z różnych stron Cesarstwa donoszono, że co najmniej kilkanaście

jego pomników zostało oszpeconych. I nie udało się wykryć winowajców.

Ktoś nienawidził go na tyle, by się posunąć do takiego ryzyka. Ktoś. Ta zagadka męczyła go na równi z innymi kłopotami, do których należała wizyta Hasimira Fenringa, mającego przedstawić raport z prowadzonych w tajemnicy przez Tleilaxan badań nad syntetyczną przyprawą.

„Projekt Amal”.

O badaniach, rozpoczętych jeszcze za życia jego ojca, wiedziało ledwie kilka osób. Projekt Amal, zapewne najpilniej strzeżony sekret Cesarstwa, miał w razie powodzenia zapewnić rodowi Korrinów pewne sztuczne źródło melanżu, najcenniejszej substancji we wszechświecie. Tymczasem eksperymenty przeklętych Tleilaxan ciągnęły się przez lata i sytuacja ta irytowała go coraz bardziej.

A teraz na dodatek – trzecia córka! Na razie nie zamierzał oglądać tego bezużytecznego dziewczyniska.

Spojrzał w kierunku biblioteczki, gdzie stała między innymi holofotografia Aniruli w sukni ślubnej. Osobliwym trafem tuż obok znajdował się gruby tom traktujący o największych historycznych klęskach. Małżonka Szaddama miała wielkie jak łania oczy, czasami jasnoorzechowe, czasami ciemniejsze. W nich kryła się jakaś tajemnica, z czego powinien sobie zdać sprawę już o wiele wcześniej.

Oto po raz trzeci owej Bene Gesserit „z Tajnej Elity” nie udało się wydać na świat męskiego potomka i Szaddam, mówiąc szczerze, nie wiedział, co teraz z tym fantem począć. Na jego twarzy wykwitł rumieniec. Mógł posiać nasienie w całej armii nałożnic i liczyć na to, że któraś urodzi mu syna, ale gdy jego legalną małżonką była Anirula, musiał się liczyć z poważnymi trudnościami, gdyby na cesarskim tronie chciał osadzić bękarta.

Mógł także zamordować Anirulę i wziąć sobie inną żonę – ojciec kilkakrotnie tak postąpił – to jednak groziło gniewem zakonu Bene Gesserit. A przecież wszystkie problemy by zniknęły, gdyby Anirula dała mu syna: zdrowego chłopca, którego mógłby wszem wobec ogłosić swoim następcą. Tyle miesięcy pełnego nadziei czekania, a tu...

Słyszał, że czarownice potrafią decydować o płci dziecka poprzez sterowanie mechanizmami swego ciała, a jeśli to prawda, urodzenie trzech córek nie było przypadkowe. Czyżby został wystrychnięty na dudka przez stręczycielki z Bene Gesserit? Śmiałyby coś takiego uczynić jemu, Cesarzowi Miliona Planet? I jaki miałyby cel we wprowadzaniu Aniruli do monarszego rodu? A może szpiegowała go, zbierała przeciw niemu informacje? Więc co ma zrobić? Odesłać ją?

W roztargnieniu wziął do ręki, leżące na blacie z elakkijskiego drewna z krwistymi żyłkami, wieczne pióro w kształcie sylwetki jego dziadka po mieczu Fondila III. Potocznie zwany Łowcą z racji nieustannego śledzenia oznak zdrady, budził też strach w najbliższym, rodzinnym otoczeniu. Dożył późnego wieku, a choć zmarł długo przed narodzinami Szaddama, niemniej jednak ten sporo wiedział o charakterze i metodach swojego przodka.

Gdyby żona Fondila okazała się nieposłuszna jego woli, znalazłby sposób na to, żeby się jej pozbyć.

Szaddam nacisnął guzik na biurku i natychmiast pojawił się szambelan. Ridondo uklonił się głęboko, ukazując lśniący szczyt łysej czaszki.

– Najjaśniejszy Panie?

– Chcę, żeby natychmiast zjawiła się tutaj Anirula.

– Leży w łóżku, Najjaśniejszy Panie.

– Czy mam dwa razy powtarzać rozkazy?

Poruszając się długimi, pajęczymi ruchami, Ridondo bez słowa zniknął za bocznymi drzwiami z kunsztownie rzeźbionego drewna. Chwilę później stanęła przed jego obliczem blada jak ściana dwórka.

– Najjaśniejszy Panie, lady Anirula kazała ci przekazać, że na razie jest słaba po powiciu dziecka, dlatego też prosi o wyrozumiałość i zgodę na pozostanie w łóżku na czas rekonwalescencji. Czy byłoby możliwe, abyś to ty złożył wizytę jej i swej córce?

– Rozumiem. Prosi o wyrozumiałość? Przekaż jej, że zupełnie mnie nie interesuje następna bezużyteczna córka i nie zniosę żadnych wymówek. Cesarski rozkaz brzmi następująco: Anirula ma się tu stawić na-tych-miast! I ma się zjawić osobiście, nie korzystając z pośrednictwa żadnych sług czy urządzeń. Czy wyraziłem się jasno?!

Jeśli będzie miał odrobinę szczęścia, to małżonka padnie trupem w drodze ze swej sypialni. Przerazona dwórka dygnęła.

– Tak, Najjaśniejszy Panie.

Po chwili zjawiła się w jego gabinecie blada z wyczerpania Anirula, a wszedłszy, natychmiast oparła się o jedną z kolumn. Miała na sobie szkarłatno-złotą narzutę, spod której wyglądała nocna koszula. Cesarzowa ślaniała się wprawdzie, ale głowę trzymała dumnie wyprostowaną.

– I co sama o tym powiesz? – spytał gniewnie Szaddam.

– Miałam trudny poród i jestem bardzo osłabiona.

– Wykręty, wymówki! Jesteś dostatecznie inteligentna, żeby w lot zrozumieć, o co mi chodzi. W każdym razie wystarczyło ci sprytu, żeby przez wszystkie te lata wodzić mnie za nos.

– Wodzić za nos? – Zamrugła, jak gdyby nic nie pojmowała. – Wybacz mi, Najjaśniejszy Panie, ale jestem bardzo wyczerpana. Skąd u ciebie taka bezwzględność, żeby kazać mi przybyć w takim stanie, i skąd ta obojętność dla swej córki?

Z zaciśniętych warg Szaddama odpłynęła krew; wzrok był zimny i nieruchomy.

– Ponieważ mogłaś mi dać syna, tylko nie chciałaś.

– To nieprawda, Najjaśniejszy Panie. Nie możesz dawać posłuchu głupim plotkom.

Tylko dzięki długoletniemu szkoleniu Bene Gesserit mogła ustać na nogach.

– Nie plotkom, a potwierdzonym informacjom. – Szaddam wpatrywał się w żonę tylko

jednym okiem, jak gdyby w ten sposób mógł ją zobaczyć dokładniej. – Anirulo, czy chcesz umrzeć?

Dopiero teraz przyszło jej do głowy, że właściwie mógłby zabić ją na miejscu. „Nie ma między nami miłości, to pewne, ale czy zaryzykowałby ściągnięcie na siebie gniewu zakonu?” Kiedy wstępując na tron, Szaddam zgodził się pojąć ją za żonę, chciał w ten sposób zapewnić sobie poparcie Bene Gesserit, gdyż ogólny klimat polityczny nie był dla niego zbyt korzystny. Teraz, po ponad dziesięciu latach panowania, wcale nie był w lepszej sytuacji.

– Wszystkich czeka śmierć – odpowiedziała wymijająco.

– Ale niekoniecznie w ten sposób, jaki mógłbym ci zgotować.

Anirula postarała się nie okazywać emocji, upominając siebie, że przecież wcale nie jest samotna, bo wspiera ją zbiorowe doświadczenie Wielebnych Matek, które żyły przed nią, a teraz obecne były w Pamięci Innych. Kiedy przemówiła, głos miała chłodny i spokojny:

– Nie jesteśmy takimi podstępными czarownicami, jak twierdzi o nas złośliwa potwarz.

To było kłamstwo, ale Anirula wiedziała, że Szaddam może się opierać tylko na podejrzeniach, niczym więcej. Tak czy inaczej, jego postawa nie zmieniła się ani trochę.

Co jest dla ciebie ważniejsze... twój zakon czy ja? Pokręciła głową z dezaprobatą.

Nie możesz mi stawiać takich pytań. Nie dałam ci najmniejszej podstawy do wątplenia w moją wierność i lojalność wobec ciebie.

Z dumnie wyprostowaną głową myślała o swej pozycji w długiej historii zakonu. Nigdy oczywiście nie wyzna Szaddamowi, że od swych zwierzchniczek otrzymała polecenie, aby nigdy nie wydać na świat męskiego potomka rodu Korrinów. W uszach rozbrzmiewały frazy zbieranej przez tysiąclecia mądrości zakonu. „Miłość osłabia. Jest niebezpieczna, gdyż mąci rozum i odciąga nas od naszych powinności. Jest aberracją, słabością, niewybaczalną ułomnością. My, Bene Gesserit, nie możemy kochać”. Spróbowała sterować uwagą Szaddama:

– Dlaczego, Najjaśniejszy Panie, tak niechętnie traktujesz swoją następną córkę? Wszak to dzięki nim możesz umacniać polityczne sojusze. Musimy zadecydować o jej imieniu. Co powiesz na Wensicję?

Nagle przerażona poczuła wilgoć na wewnętrznej stronie ud. Krew? Czyżby puściły szwy? Spojrzała pod nogi: na dywanie pojawiły się czerwone krople.

Teraz dopiero Szaddam zawrzał prawdziwym gniewem.

– Ten kobierzec od stuleci jest w posiadaniu mego rodu! Do diabła!

„Nie okazuj słabości! To zwierzę... Słabego zaatakuje, przed silnym się pokaja”.

Odwróciła się, roniąc kilka następnych karminowych kropli.

– Znając historię rodu Korrinów, jestem pewna, że to nie pierwsza krew na tym dywanie.



*Powiada się, że nie ma we wszechświecie niczego stałego, pewnego, trwałego, że wszystko znajduje się w ruchu, a każdy dzień, każda godzina przynosi zmianę.*

### **z panoplia propheticus Bene Gesserit**

Na plaży u stóp Zamku Kaladan samotna postać stała na końcu przystani wpatrzona we wschodzące słońce. Ostry profil nosa nadawał wąskiej twarzy o oliwkowej cerze jakichś jastrzębich cech.

Mała flotylla kutrów właśnie wypływała na połów, zostawiając za sobą migotliwy ślad na wodzie. Mężczyźni w swetrach, kurtkach i z kapturami na głowach uwijali się po pokładach, szykując sprzęt. Z widocznych dalej wzdłuż plaży kominów wznosiły się cienkie warkocze dymu. Mieszkańcy mianem „starego miasta” obdarzyli miejsce, gdzie osada stanęła na długo przedtem, zanim powstała elegancka stolica z jej rozbudowanym portem kosmicznym.

Książę Leto Atryda, odziany w proste niebieskie spodnie rybackie i białą, noszoną na wierzch koszulę z czerwonym jastrzębiem na piersi, głęboko wciągnął świeże, słone powietrze. Był wprawdzie głową rodu Atrydów, reprezentował Kaladan w Landsraadzie i przed obliczem Cesarza, bardzo jednak lubił wstawać z rana razem z rybakami, spośród których wielu znał po imieniu. Ci niekiedy zapraszali do siebie księcia, który na przekór nie ufającemu nikomu dowódcy straży osobistej, Thufirowi Hawatowi, nie odmawiał sobie czasem przyjemności skosztowania miejscowego smakołyku, cioppino.

Wiatr wzmógł się, przydając falom białych grzywien. Z chęcią wyruszyłby wraz z rybakami, ale na to nie pozwalały jego obowiązki. Dotyczyły one nie tylko Kaladanu: swą troską musiał obejmować poddanych i całe Cesarstwo, a tu działy się rzeczy prawdziwie wielkie.

Coś takiego jak zabójstwo przedstawiciela Ekazu przez ambasadora z Grumman nie było drobnostką, nawet jeśli dokonało się na dalekim Arrakis, tymczasem wydawało się, że wicehrabia Moritani nic sobie nie robi z opinii publicznej. Pośród Wysokich Rodów pojawiały się głosy, że nieodzowna jest interwencja samego Cesarza, aby zapobiec rozszerzeniu się konfliktu. Dzień wcześniej Leto wystąpił do Rady Landsraadu na Kaitain z propozycją wystąpienia w roli mediatora.

Miał zaledwie dwadzieścia sześć lat, ale już zajmował ważną pozycję wśród zwierzchników Wysokich Rodów, a sukces ten przypisywał temu, że nigdy nie oderwał się od rodowych korzeni. Za to winien był wdzięczność swemu ojcu, Paulusowi. Na pozór Stary Książę znajdował prawdziwe upodobanie w kontaktach z ludem – jak teraz czynił Leto – zarazem jednak dobrze wiedział (choć nigdy tego nie wyjawiał), że takie zachowanie jest znakomitą polityką i zaskarbia władcy sympatię poddanych. Pozycja stawiała przed Letem takie wymagania, że czasami trudno byłoby mu wskazać granicę między życiem oficjalnym i prywatnym.

Wkrótce po przejęciu obowiązków po ojcu, Leto zaskoczył cały Landsraad, domagając się dramatycznego Przewodu Konfiskacyjnego, co było zuchwałym posunięciem, mającym na celu uwolnienie go od oskarżenia o atak na dwa statki Tleilaxan wewnątrz liniowca Gildii. Liczne Wysokie Rody były pod wrażeniem ryzykanckiego manewru Leta, a gratulacje otrzymał nawet od Hundro Moritaniego, kapryśnego i nie lubianego wicehrabiego Grumman, który często odmawiał współpracy – a nawet uczestnictwa – w sprawach Cesarstwa. Wicehrabia napisał, że podziwia u Leta „brawurowe naginanie reguł”, to bowiem dowodzi, iż władza jest sprawą „mocnych, odważnych mężczyzn, a nie skrybów ślęczących nad paragrafami”. Leto wcale nie był pewien, czy Moritani wierzy w jego niewinność, rozumiał jednak, że rządca Grumman po prostu był pod wrażeniem, jak ksiązę Atryda potrafi się wydobyć z tak ciężkich tarapatów.

Z drugiej strony, Leto pozostawał też w dobrych stosunkach z rodem Ekazów. Jego ojciec, Stary Ksiązę, był jednym z bohaterów rebelii na Ekazie, kiedy u boku przyjaciela, Dominika Verniusa, pokonał wojowniczych buntowników i przywrócił władzę popieranym przez Landsraad władcom leśnej planety. Podczas uroczystej ceremonii ponownego osadzenia na Mahoniowym Tronie arcyksięcia Armanda Ekaza, Paulus Atryda występował po jego prawicy. Gdzieś wśród pamiątek po ojcu leżał Łańcuch Odwagi, który Armand Ekaz zawiesił na mocarnej szyi Starego Księcia. A reprezentujący Leta podczas rozprawy przez Landsraad prawnicy (a właściwie prawniczki) pochodzili z podlegającej Ekazom Elakki.

A skoro Leto był dobrze traktowany przez obie strony konfliktu, miał nadzieję, że uda mu się doprowadzić do ugody między nimi.

Z kieszeni koszuli Leto wydobyl rejestrator akustyczny i podyktował list do Szaddama IV, gratulując szczęśliwych narodzin dziecka. Wiadomość zostanie przesłana przez kuriera najbliższym liniowcem Gildii zawijającym na Kaitain.

Kiedy odgłos wypływających łodzi całkowicie zaniknął w dali, Leto odwrócił się i krętymi, wykutymi w kamieniu schodami, ruszył na szczyt skały.

Śniadanie zjadł pod krużgankami dziedzińca w towarzystwie dwudziestojednoletniego Duncana Idaho. Młodzieniec o okrągłej twarzy miał na sobie zielono-czarny strój Atrydów. Kręcone, ciemne włosy były krótko obcięte, aby nie przeszkadzały podczas intensywnych treningów z użyciem najróżniejszych broni. Thufir Hawat spędzał z nim wiele czasu i utrzymywał, że to jeden z jego najzdolniejszych uczniów, którego mentat-wojownik nie mógł już niczego więcej nauczyć.

Duncan jako chłopak uciekł spod tyrańskiej władzy Harkonnenów i znalazł schronienie na Zamku Kaladan, gdzie osobiście się nim opiekował Stary Ksiązę. Okazał się jednym z najwierniejszych ludzi Atrydów, a także wojownikiem na tyle znakomitym, że całkiem niedawno odwieczni sprzymierzeńcy rodu, mistrzowie miecza Ginazów, obiecali przyjąć chłopaka do przesławnej szkoły.

– Szkoda mi rozstawać się z tobą, Duncanie – oświadczył Leto. – Osiem lat to szmat czasu.

Duncan siedział prosto, pełen młodzieńczej odwagi.

– Kiedy już wrócę, mój książę, będę potrafił służyć ci jeszcze lepiej. Nadal będę młody i długo jeszcze nikt nie ośmieli się ci zagrozić.

– Co do tego nie miej żadnych złudzeń, Duncanie. I teraz mają śmiałość i będą ją mieli.

Młodzieniec przerwał na chwilę jedzenie, zanim obdarzył Leta oszczędnym, zimnym uśmiechem.

– Ale wtedy to oni padną ofiarą swoich złudzeń, nie ja.

Sięgnął po żółty plaster paradana, odmiany melona, odgryzł spory kawał i obtarł sok ściekający mu po brodzie.

– Będzie mi tego brakować. W koszarach nie ma takich przysmaków.

Pokroił owoc na mniejsze porcje.

Po murze wspinały się gałązki bugenwilli, ale ponieważ ciągle trwała zima, nie było na nich kwiatów, choć na drzewach zaczynały się już pojawiać pączki z powodu niezwykłego o tej porze ciepła, zapowiadającego rychłe nadejście wiosny. Leto westchnął z wyraźną radością.

– Niewiele jest piękniejszych miejsc w Cesarstwie niż Kaladan na wiosnę.

– A z pewnością nie jest takim miejscem Giedi Prima. – Duncana niepokoiło nieco to, że Leto wydawał się tak odprężony i beztroski. – Musimy ciągle mieć się na baczności, książę. Nie wolno nam pozwolić sobie na najmniejszą słabość i nie wolno zapomnieć o odwiecznej wendecie pomiędzy Atrydami a Harkonnenami.

– Zupełnie jakbym słyszał Thufira – mruknął Leto i skosztował łyżkę puddingu z ryżu pundi. – Z pewnością jesteś najbardziej oddany spośród służących nam ludzi, Duncanie, ale boję się, że jeśli odeślemy cię stąd na osiem lat, staniesz się potworem. Kim będziesz, gdy powrócisz?

W głęboko osadzonych niebieskozielonych oczach chłopaka pojawiła się duma.

– Mistrzem miecza Ginazów.

Przez krótką chwilę Leto myślał o tym, jaka to niebezpieczna szkoła: mniej więcej jedna trzecia uczniów ginęła podczas treningów. Duncan jednak tylko śmiał się z tego, mówiąc, że musiał przejść znacznie trudniejsze próby pod panowaniem Harkonnenów. I miał rację.

– Także ja jestem przekonany, że ci się powiedzie – rzekł i poczuł suchość w gardle wywołaną żalem. – Nigdy jednak nie wolno ci utracić współczucia. Czegokolwiek się nauczysz, niechaj nigdy w twojej duszy nie zamieszka pewność, że jesteś lepszy od innych ludzi.

– Nigdy tak się nie stanie, mój książę.

Leto sięgnął pod stół, wydobyl stamtąd długi, wąski pakunek i podał go młodzieńcowi.

– To dlatego chciałem z tobą zjeść śniadanie.

Zdumiony Duncan otworzył pudło i wy dobył z niego bogato rzeźbiony miecz ceremonialny. Chłopak w zachwycie ujął za oplecioną sznurem gardę.

– Miecz Starego Księcia! Pożyczasz mi go, mój panie?

– Daję ci, przyjacielu! Pamiętasz, tego dnia, gdy zginął ojciec, znalazłem cię w zbrojowni. Zdjąłeś ze stojaka ten miecz, który był niemal taki jak ty. Ale teraz już do niego dorosłeś.

Duncan nie potrafił znaleźć słów podziękowania. Leto zmierzył go spojrzeniem i powiedział:

– Jestem pewien, że gdyby książę Paulus mógł zobaczyć, na kogo wyrosłeś, sam ofiarowałby ci tę broń. Tak, tak, Duncanie Idaho, stałeś się godny tego miecza.

– Dzień dobry – odezwał się uprzejmy głos.

Na dziedzińcu pojawił się książę Rhombur Vernius, w pełni już odziany, chociaż ciągle jeszcze z zaspanymi oczami. W promieniach słońca połyskiwał pierścień na palcu jego prawej dłoni. Obok szła jego siostra Kailea z miedzianymi włosami zebranych złotą kłamrą. Rhombur zerknął na miecz, potem na łzy w oczach Duncana i spytał:

– Co tu się stało?

– Dałem Duncanowi prezent pożegnalny.

Rhombur gwizdnął przeciągle.

– Całkiem nieźle, jak na chłopca stajennego.

– Może istotnie to za wspaniały dar dla mnie. – Duncan spojrział na Leto, potem na miecz i uniósł wzrok na Rhombura. – Nigdy już jednak nie wrócę do stajni, książę Vernius. Kiedy znowu się zobaczymy, będę mistrzem miecza.

– Od tej chwili to twój miecz, Duncanie – oznajmił Leto tonem nie znoszącym sprzeciwu, którego nauczył się od ojca. – Sprawa skończona.

– Dzięki, mój książę. – Duncan skłonił się. – Przepraszam, ale muszę się przygotować do podróży.

Z tymi słowami wycofał się z dziedzińca.

Rhombur i Kailea zasiedli do stołu, gdzie czekały już na nich nakrycia. Dziewczyna uśmiechnęła się do Leto, ale nie tak ciepło jak zwykle. Od kilku lat oboje poruszali się na skraju romansu, książę jednak nie chciał uczynić ostatecznego kroku z powodów politycznych, albowiem interesy rodu wymagały, by jego małżonka pochodziła z któregoś z Wysokich Rodów. Dobrze zapadły mu w pamięć nieustannie powtarzane przez ojca słowa, że przede wszystkim musi pamiętać o odpowiedzialności za mieszkańców Kaladanu. I tylko jeden jedyny raz Leto i Kailea trzymali się za ręce, ale pocałunek nigdy nie połączył ich ust.

– Miecz twojego ojca, Leto? – odezwała się półgłosem Kailea. – Czy to naprawdę było konieczne? To taka cenna rzecz!

– To prawda, jest cenny, ale to tylko rzecz, Kaileo! A poza tym więcej znaczy dla Duncana niż dla mnie. Ja nie potrzebuję miecza, aby nieustannie mieć ojca w żywej pamięci.

– Po chwili przerwy Leto ruchem głowy wskazał blond czuprynę swego przyjaciela, która, najczęściej w nieładzie, sprawiała, że bardziej wyglądał na rybaka niż na księcia. – Kiedy się strzygłeś ostatni raz?

– Na szkarłatne piekła! Co to ma za znaczenie, jak wyglądam?! – Pociągnął łyk soku cydriowego, a cierpki smak wykrzywił mu wargi. – Zupełnie jakbym nie miał już niczego ważniejszego do roboty!

Kailea, w ciszy spożywająca posiłek, spojrzała z zainteresowaniem na brata. Miała uważne, przenikliwe oczy, a wargi wydeła teraz w wyrazie dezaprobaty.

Patrząc nad stołem na przyjaciela, Leto widział, że wprawdzie jego twarz zachowała chłopięcą okrągłość, ale w brązowych oczach nie było już dawnej pogody. Natychmiast dostrzegało się w nich smutek za utraconą ojczyznę, zamordowaną matką i ojcem zaginionym nie wiadomo gdzie. Z wielkiego niegdyś rodu pozostali tylko on i siostra.

– Może i nie ma to żadnego znaczenia – mruknął Leto. – Na dzisiaj nie są przewidziane żadne oficjalne uroczystości, nie wybieramy się z wycieczką na wspaniały Kaitain. Właściwie mógłbyś także przestać się kąpać. – Zamieszał łyżką w talerzu z puddingiem, a potem rzekł z naciskiem: – Chciałem ci jednak przypomnieć, że pozostajesz członkiem mego dworu, a także jednym z moich najbardziej zaufanych doradców. Przez cały czas miałem też nadzieję, że ułożysz jakiś plan odzyskania majątku i pozycji.

Jako pamiątkę wspaniałych dni, kiedy ród Verniusów władał niepodzielnie planetą IX, którą potem zawładnęli Tleilaxanie, Rhombur zawsze miał na kołnierzu koszuli purpurowomiedziany emblemat w kształcie spirali. Koszula była pomięta, a przede wszystkim przydałoby się jej pranie.

– Leto, gdybym miał jakikolwiek pomysł, co robić, zabrałbym się stąd najbliższym liniowcem. – Rhombur potoczył ponurym spojrzeniem. – Tleilaxanie ogrodzili IX niemożliwymi do przebycia barierami. I co, czy Thufir Hawat ma wysyłać kolejnych szpiegów? Pierwszym trzem nie udało się dostać pod powierzchnię do podziemnego miasta, następnych dwóch przepadło bez śladu. – Postukał palcami złożonych rąk. – Mam nadzieję, że lojalni mieszkańcy IX prowadzą walkę podziemną i wkrótce obalą najeźdźców. A wtedy wszystko powróci do normalnego stanu.

– Optymista z ciebie, przyjacielu – mruknął Leto.

– To musiałoby potrwać długie lata, Rhomburze – odezwała się w końcu Kailea, patrząc ponuro w talerz. – I dlaczego niby wszystko miało się naprawić samo z siebie?

Jej brat niezręcznie usiłował zmienić temat:

– Słyszeliście już, że małżonka Szaddama powiła mu trzecią córkę?

– Znając Szaddama, jestem pewna, że wcale go to nie ucieszyło – prychnęła Kailea.

– Och, z pewnością jest zachwycony, Kaileo – sprzeciwił się Leto. – A poza tym żona może mu urodzić jeszcze niejedno dziecko. Tymczasem – zwrócił się do Rhombura – wiele osób jest zdania, że i ty powinieneś się ożenić, przyjacielu.

– Żeby mnie opierała i dopilnowała fryzury?

– Żeby ci dała potomka. Musisz się zatroszczyć o kontynuację rodu Verniusów na wygnaniu.

Kailea chciała wyraźnie coś dopowiedzieć, ale się powstrzymała. Skosztowała melona, ugryzła kawałek grzanki i, przeprosiwszy, wstała od stołu.

Nastąpiła długa cisza, podczas której na rękach księcia Ix pojawiły się łzy i spłynęły po policzkach. Zawstydzony wytarł je pospiesznie.

– Skąd wiedziałeś, że myślę o moim rodzice? – spytał.

– Po drugiej czy trzeciej butelce wina sam wielokrotnie podejmowałeś ten temat.

– Ale to właściwie szaleństwo. Mój ród niemal całkowicie wymarł, Ix w rękach wrogów...

– Więc trzeba na Kaladanie dać na razie początek Rodowi Niskiemu i zatroszczyć się o jego dochody. Należy przypatrzeć się gospodarce Kaladanu, a Kailea ma bardzo dobrą głowę do interesów. Ja zatroszczę się o jakieś fundusze na początek.

Rhombur uśmiechnął się ze źle skrywaną goryczą.

– No cóż, moja fortuna zawsze chyba będzie się wiązać z twoją, książę Leto Atrydo. Nie, za nic nie mogę się oddać. Muszę dopilnować, żebyś czasem nie rozdał swego całego zamku!

Leto kiwnął poważnie głową i złożyli dłonie w przyjętym w całym Cesarstwie geście.

*Natura nie popełnia błędów; dobro i zło to tylko ludzkie kategorie.*

**Pardot Kynes,**  
***Wykłady z Arrakis***

Cóż za monotonne dni!

Trzyosobowy patrol Harkonnenów krążył nad złotymi pagórkami wydm, wykonując ponadtysiąc kilometrowy zwiad. W tym jednostajnym krajobrazie nawet chmura kurzu była jakimś urozmaicheniem.

Żołnierze wykonali ornitopterem wielkie koło nad sfałdowanymi terenami, by później skierować się na południe nad wielkie panwie i równiny. Glossu Rabban, siostrzeniec barona i tymczasowy gubernator Arrakis, nakazał regularne przeloty, aby mieszkańcy pustynnych osiedli wiedzieli, że nieustannie znajdują się pod czujnym spojrzeniem Harkonnenów.

Kiel, działowy, zawsze uważał, że ich misja była równoznaczna z zezwoleniem na polowanie na każdego Wolanina, który znajdzie się w pobliżu strefy wyznaczonej na pozyskiwanie przyprawy. Doprawdy, wyobrażali sobie, że bez zezwolenia biura okręgowego

w Kartadze mogą łązić sobie, jak chcą, po ziemiach Harkonnenów. Najczęściej jednak trudno było wypatrzeć jakiegoś Wolanina za dnia, a teraz szybko zbliżał się zmierzch.

Garan prowadził ornitopter, wznosząc się i opadając na termicznych prądach, jakby dla zabawy. Zachowywał stoicki wyraz twarzy, chociaż od czasu do czasu na jego wargach pojawiał się krzywy uśmiech, gdy maszyną mocniej rzuciło. Przez ostatnie pięć dni patrolu z niesmakiem komentował każdą niedokładność znaną na mapie. Jeszcze nie widział gorszej roboty kartograficznej.

Z tyłu siedział Josten, ostatnio przeniesiony z Giedi Primy. Przyzwyczajony do konstrukcji fabrycznych, szarego nieba i brudnych domów, jak zahipnotyzowany wpatrywał się w piaszczyste rozłogi. Daleko na Równinie Żałobnej zobaczył tuman kurzu.

– A co to takiego? – spytał. – Kombajn przyprawowy?

– Gdzie tam – obruszył się Kiel. – Kombajn wyrzuca w górę prosty, wąski stożek.

– Z drugiej strony za małe na demona kurzu. Za małe – mruknął Garan i położył ornitopter w wiraż, kierując go w kierunku niskiej brązowej chmury. – Przyjrzyjmy się.

Byli tak znudzeni, że z ochotą oglądali z bliska każdą ostrogę skalną, każdy większy występ...

Kiedy dotarli na miejsce, nie znaleźli wprawdzie żadnych ludzkich śladów – pozostawionych czy to przez stopy, czy maszyny – a przecież całe akry pustyni wydawały się zniszczone, piasek zaś tak pociemniały, jak gdyby nasycił się krwią.

– Zupełnie jakby ktoś zrzucił tutaj bombę – zauważył Kiel.

– Może to pozostałość po wybuchu przyprawowym – zasugerował Garan. – Siądę, żebyśmy mogli lepiej zobaczyć.

Kiedy ornitopter osiadł na wzburzonym piasku, Kiel otworzył luk i klimatyzowane powietrze zastąpił gorący wiew, a żołnierz zakrztusił się pyłem.

Garan wychylił się z kabiny i pociągnął nosem.

– Powąchajcie tylko. – W nozdrza bił ostry zapach cynamonu. – Wybuch przyprawowy, nic innego.

Josten precyzyjnie się obok Kiela i zeskoczył na miękką powierzchnię. Z niedowierzaniem nabrał garść ochrowego piachu i przytknął do języka.

– A nie można z tego odciągnąć trochę czystszej przyprawy i sprzedać w stolicy? Musi być sporo warta.

Nawet jeśli Kiel myślał o tym samym, to teraz obruszył się na nowicjusza.

– Nie mamy odpowiedniego sprzętu. Palcami nie oddzielisz melanzu od piachu.

– Gdybyście spróbowali sprzedać surową przyprawę jakiemuś kupcowi w Kartadze – odezwał się za nimi spokojny głos Garana – natychmiast znaleźlibyście się przed obliczem gubernatora Rabbana albo, co jeszcze gorsze, musielibyście wyjaśnić hrabiemu Fenringowi, w jaki sposób cesarska przyprawa znalazła się w kieszeni żołnierzy z patrolu.

Po chwili cała trójka poszła w kierunku poszarpanej jamy w centrum chmury. Josten

rozejrzał się niespokojnie.

– Czy to bezpieczne? Czy wielkie piaskale nie przychodzą po przyprawę?

– A co, masz stracha? – spytał ironicznie Kiel.

– Rzucimy go piaskalowi, jak tylko jakiś się pokaże – zasugerował Garan. – To da nam czas na ucieczkę.

Kiel zobaczył poruszenie w dziurze, coś się tam kłębiło i pchało na powierzchnię niczym robaki w zgniłym mięsie. Josten otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale zaraz je zamknął.

Na piachu pojawiły się dwa cienkie jak biczyki stworzenia, długie na pół metra, ze skórą podzieloną na wyraźne segmenty. Były wielkości sporego węża, a w otwartych pyskach połyskiwały ostre jak igły zęby.

– Piaskale! – nie wytrzymał Josten.

– Dopiero larwy – mruknął Kiel.

– Myślisz, że teraz dopiero się urodziły? – spytał Garan.

Piaskale poruszały we wszystkie strony swymi pozbawionymi oczu łbami. Nieustannie, nie wiadomo w jaki sposób, pojawiały się coraz to nowe, cały miot pochodzący z wybuchu.

– Skąd one się biorą, do cholery? – prychnął Kiel.

– Ja w każdym razie nie mam pojęcia – powiedział Garan. – Czy możemy złapać jednego? – odezwał się Josten. Kiel chciał się w pierwszej chwili obruszyć, ale potem pomyślał, że nowy ma całkiem dobry pomysł.

– Chodźcie! – zawołał i wszedł na kłębiący się piach.

Piaskale poczuły zagrożenie i znieruchomiały, niepewne, uciekać czy atakować, potem jednak pospiesznie zaczęły znowu zagrzebywać się w piach.

Josten podskoczył i chwycił wijący się tułów w dwóch trzecich od ogona.

– Ale silny! – zawołał.

Teraz dołączył i działowy, chwytając za ogon. Piaskal usiłował się wyrwać, ale Garan wsunął rękę w piach i chwycił go mocno za łbem. Pustynne stworzenie zwijało się niczym węgorz na elektrycznej patelni. Pozostałe zastygły po przeciwnej stronie jamy, a zwrócone w kierunku ludzi przywodziły na myśl sterzące z piachu peryskopy. Przez krótką chwilę Kiel obawiał się, że mogą ich zaatakować hurmem niczym pijawki, ale potem niedorośle piaskale zniknęły w głębinie pustyni.

Garan i Kiel pociągnęli swą zdobycz w kierunku ornitoptera. Patrol dysponował wszystkim, co było potrzebne do chwytania i przetrzymywania uwięzionych, włącznie z klatką o gęstej siatce, jak dla niepokornego zwierzęcia.

– Josten, przynieś sznury! – poleciał pilot.

Już po chwili nowy członek załogi wrócił z linką, na której zawiązali węzeł i wsunęli łeb piaskala. Garan puścił chwyt i mocno zacisnął pętlę, podczas gdy Josten niżej zakładał drugą.

– Co z nim teraz zrobimy? – spytał Josten.

Na samym początku swego pobytu na Arrakis Kiel towarzyszył Rabbanowi w nieudanych



łowach na piaskala. Wzięli wolańskiego przewodnika, oddział dobrze uzbrojonych żołnierzy, zaproszono nawet planetologa. Wykorzystawszy Wolanina na przynętę, zwabili wielką bestię, którą zabili przy użyciu materiałów wybuchowych. Zanim jednak Rabban choćby przystąpił do mocowania trofeum, to rozpadło się, zamieniło w bezlik podobnych do ameb stworzonek, które zniknęły w piachu, zostawiając na nim jedynie podłużny szkielet i pojedyncze kły. Rabban wpadł w prawdziwą furję.

Kiel poczuł nerwowy skurcz w żołądku. Siostrzeniec barona może to uznać za zniewagę, że trzech prostych żołnierzy dokonało tego, co jemu się nie udało.

– Chyba lepiej go utopmy – mruknął.

– Utopić? – spytał z niedowierzaniem Josten. – Po co? I niby dlaczego miałbym na to tracić swoją rację wody?

Garan stanął jakby rażony nagłą myślą.

– Słyszałem, że Wolanie topią młodzieutkie piaskale, bo te wydzielają wtedy bardzo rzadko spotykaną truciznę.

Kiel pokiwał głową.

– Tak, tak. Ci pustynni wariaci używają jej do swoich obrzędów religijnych. Wszyscy dostają szału, urządają dzikie orgie, a wielu z nich przy tym umiera.

– Ale... mamy ze sobą tylko dwa litrasze wody – zauważył nerwowo Josten.

– Zużyjemy tylko jeden, a poza tym znam miejsce, gdzie możemy je nappełnić.

Pilot i działowy wymienili spojrzenia; tak długo latali razem w patrolach, że teraz w jednej chwili pomyśleli o tym samym. Piaskal, jakby przeczuwając swój los, raz jeszcze szarpnął się raptownie, ale był już wyraźnie słabszy.

– A gdy będziemy mieli to cudo – mruknął Kiel – możemy się zabawić.

Było już ciemno, kiedy z wyłączonymi silnikami przepłynęli nad górską granią i wylądowali na równinie nad Obozem Bilarnym. Mieszkało się tu w jaskiniach albo w skleconych naprędce barakach. Energii dostarczały wiatraki, pojemniki zaopatrzeniowe lśniły światłkami, które przyciągały ćmy i nietoperze.

Mieszkańcy wioski byli odrobinę bardziej cywilizowani od żyjących na otwartej pustyni Wolan; pracowali jako przewodnicy lub zasilali brygady zbierające przyprawę. Dość szybko wyzbyli się umiejętności pozwalających przetrwać w surowym otoczeniu i stali się pasożytniczo zależni od rządców planety i budowanego przez nich lokalnego ładu.

Podczas jednej ze swych wypraw Kiel i Garan odkryli zakamuflowaną cysternę z wodą. Nie mieli pojęcia, jak wieśniakom udało się zgromadzić taki skarb; najpewniej go zdefraudowali, zawyżając liczebność osady, co sprawiło, że otrzymywali od dobroduszných urzędników więcej płynu, niż im było potrzeba.

Zbiornik tak sprytnie przykryli kamieniami, że nawet z niewielkiej odległości wydawał się naturalnym występowaniem skalnym, i nie trzymali wokół niego straży. Z jakichś powodów

pustynny kodeks moralny kategorycznie zabraniał kradzieży niż morderstwa, ludzie z Obozu Bilarnego nie lękali się zatem rabusiów.

Zresztą także żołnierze Harkonnenów nie myśleli okradać ich z wody; wezmą tylko tyle, ile im potrzebne.

Josten posłusznie dreptał obok nich, niosąc pojemnik, w którym znajdowała się gęsta, obrzydliwa substancja, wydzielona przez piaskala, kiedy przestał się już miotać w zabójczej kąpieli. Podenerwowani, przestraszeni tym, co zrobili, pogrzebali padlinę w piasku koło jamy po przyprawowym wybuchu i natychmiast wystartowali, zabierając ze sobą narkotyk. Kiel obawiał się, że toksyczna wydzielina uszkodzi ściany litrasza.

Garan ostrożnie odsłonił sekretny zbiornik, a potem napełnił pusty litrasz. Nie było sensu robić dowcipu wieśniakom i wypuszczać całej wody. Następnie Kiel otworzył nad cysterną pojemnik z wydzieliną piaskala i wlał całą zawartość. Wieśniacy będą mieć niespodziankę, kiedy napiją się wody ze swego nielegalnego schowka.

– Niech im wyjdzie na zdrowie!

– A wiesz, jak działa ten narkotyk? – spytał Josten.

Garan pokręcił głową.

– Słyszałem różne historie, jedna bardziej zwariowana od drugiej.

– A może by tak wypróbować na naszym chłopaczku? – rzucił szydyczko działowy, co słysząc, Josten odskoczył z rękami wyciągniętymi w obronnym geście. Garan spojrzał raz jeszcze na zbiornik.

– Założę się, że rozbiorą się do naga i jak zwariowani będą tańczyć na ulicach.

– No to zostanmy, żeby to zobaczyć – zasugerował Kiel.

Garan zmarszczył czoło.

– Czy podejmujesz się wytłumaczyć Rabbanowi, dlaczego opóźniliśmy powrót z patrolu?

– Dobra, wracamy – pospiesznie rzucił Kiel.

Czym prędzej zawrócili do ornitoptera, mieszkańcom Obozu Bilarnego pozostawiając odkrycie, co na nich czeka w cysternie z wodą.

*Przed nami wszystkie metody uczenia były zabarwione instynktem. Przed nami wiedzeni przez instynkt badacze mieli ograniczone pole uwagi, często nie sięgające dalej niż jedno życie. Nigdy nie zamarzyły im się projekty, które rozciągałyby się na pięćdziesiąt i więcej żywotów. Nigdy w ich głowach nie zagościła myśl o całościowym treningu mięśni i nerwów. Dopiero my nauczyłyśmy się, jak się uczyć.*

**z Księgi Azhar Bene Gesserit**

„Czy to naprawdę wyjątkowe dziecko?”

Wielebna Matka Gaius Helena Mohiam uważnie przypatrywała się zgrabnej dziewczynce, która wykonywała ćwiczenia prana-bindu w kompleksie treningowym Szkoły Macierzystej.

Mohiam, która właśnie wróciła z dramatycznego przyjęcia na Arrakis, starała się przypatrywać podopiecznej obiektywnie, jakby niczego więcej o niej nie wiedziała. „Jessika. Moja córka...” Dziewczynka nigdy nie mogła dowiedzieć się o swym pochodzeniu, nie wolno było dopuścić, żeby zrodziły się w niej choćby najmniejsze podejrzenia. Nawet w tajemnych diagramach genetycznych Mohiam występowała nie pod swoim imieniem zakonnym, lecz naturalnym: Tanidia Nerus.

Dwunastoletnia Jessika stała wyprostowana, z rękami wzdłuż tułowia, i starała się zapanować nad wszystkimi mięśniami. Z wyimaginowanym ostrzem w ręku wpatrywała się przed siebie w nie istniejącego przeciwnika. Badała głębiny wewnętrznego spokoju i koncentracji.

Czuje oko Mohiam wychwyciło jednak drobne drgnięcia mięśni łydki, szyi, czoła ponad jedną powieką. Miała jeszcze nad czym pracować, ale jak na dziecko, robiła znakomite postępy, co pozwalało żywić wielkie nadzieje na przyszłość. Obdarzona była wspaniałym darem cierpliwości, panowania nad sobą i słuchania. „Taka skupiona, pełna możliwości... podkreślanych dodatkowo przez wychowanie”.

Jessika zrobiła zwód w lewo, skoczyła, zawirowała – i znowu zastygła nieruchoma. Chociaż była wpatrzona w Mohiam, wcale nie widziała swej mentorki. Ta weszła głębiej, zafascynowana pustką w białego w nią spojrzenia, jako że Jessika była bez reszty skupiona na swych mięśniach i nerwach. Mohiam zwilżyła palec i podstawiła pod nos dziewczyny; poczuła ledwie ślad minimalnego oddechu. Delikatnie zaznaczone piersi na szczupłym tułowiu poruszały się niemal niezauważalnie. Była już bliska całkowitego letargu bindu, ale tylko bliska.

„Czeka ją jeszcze wiele pracy”.

W zakonie liczyła się tylko absolutna perfekcja. Jako instruktorka Jessiki, Mohiam będzie musiała nieustannie powtarzać te same rutynowe działania, utrwalając poszczególne elementy.

Wielebna Matka cofnęła się i nadal wpatrywała w dziewczynkę, ale nie wyrywała jej z transu. W tej owalnej twarzy usiłowała rozpoznać rysy własne albo barona Vladimira Harkonnena. Długa szyja i mały nos to cechy odziedziczone po matce, ale linia włosów, szerokie usta, wydatne wargi i jasna skóra wskazywały na ojca – ale z czasów, gdy był zdrowy i atrakcyjny. Natomiast szeroko rozstawione oczy i lśniące brązowe włosy to cechy dalszych przodków.

„Gdybyś tylko wiedziała”.

Mohiam myślała o planie Bene Gesserit, a przynajmniej o tym, co było jej wiadome.

Córka Jessiki miała wydać na świat Kwisatz Haderach, ukoronowanie tysiącletniego programu kultywacyjnego. Usiłowała dojrzeć w twarzy córki jakąkolwiek oznakę tego ogromnego brzemienia o znaczeniu historycznym.

„Na razie jeszcze za wcześnie”.

Jessika odezwała się, starannie wypowiadając każde słowo mantry tak starej, jak sama szkoła Bene Gesserit:

– Każdy napastnik jest piórkiem płynącym po nieskończonej drodze. Moja odpowiedź to podmuch, który odpycha piórko na bok.

Mohiam odsunęła się od dziewczyny, która wykonała następną sekwencję ruchów. Nadal wprawdzie zmuszała mięśnie, aby poruszały się gładko i płynnie, podczas gdy powinna im na to pozwalać, ale nawet w porównaniu z poprzednią próbą ta była odrobinę lepsza. Można by przypuścić, że wygłoszona przed chwilą sekwencja na tyle oczyściła umysł, iż ten wspiął się na wyższy szczebel. Wprawne oko Mohiam rozpoznało, że tym, z czym przede wszystkim należy teraz walczyć, jest młodzieńcza energia i nieokiełznana pasja.

Jessika narodziła się w efekcie brutalnego gwałtu, jakiego dopuścił się baron Harkonnen, szantażem zmuszony przez Bene Gesserit do spółdzenia dla nich córki. W odwecie Mohiam w trakcie owego aktu przemocy tak pokierowała reakcjami chemicznymi swego ciała, że przekazała baronowi bolesną, upokarzającą i nieuleczalną chorobę. Cóż za cudownie powolna tortura. Od ostatniego standardowego roku baron musiał się już poruszać o lasce. Podczas przyjęcia u Fenringa Mohiam miała straszną pokusę, aby wyjawić Harkonnenowi, co wtedy zrobiła.

Jednak gdyby tak postąpiła, w jadalni rezydencji w Arrakin doszłoby do aktu przemocy o wiele bardziej dramatycznego niż waśń pomiędzy ambasadorami Ekazu i Grumman. Niewykлучzone, że musiałyby nawet zabić barona. Nawet Jessika, chociaż miała za sobą szkolenie nieporównanie krótsze niż jej matka, potrafiłaby uśmiercić swego ojca szybko i bez trudu.

Rozległ się pomruk mechanizmu i z podłogi wynurzył się manekin wielkości dorosłej osoby. Następny etap treningu. Dziewczynka zrobiła błyskawiczny obrót i jednym ciosem pięty pozbawiła lalkę głowy.

– Bardziej precyzyjnie. Śmiertelny cios musi być absolutnie dokładny, a wtedy nie wymaga tyle siły.

– Tak, Wielebna Matko.

– Niemniej dumna jestem z tego, co już osiągnęłaś powiedziała Mohiam tonem nadspodziewanie łagodnym, którego nie pochwaliby żadna z sióstr. Wszelkie, nawet najdrobniejsze objawy miłości były zakazane. – Zakon żeński wiąże z tobą ważne plany, Jessiko.

*„Xuttuh” to słowo o wielu znaczeniach. Każdy Bene Tleilax wie, że takie było imię pierwszego Mistrza. Ponieważ nie był to jednak tylko śmiertelnik, więc i sens tego słowa ma więcej aspektów i warstw. W zależności od tonu głosu i akcentu „Xuttuh” może znaczyć „Witaj” lub „Bądź błogosławiony”. Może to też być streszczona do jednego słowa modlitwa odmawiana przez wiernego, który szykuje się na śmierć za Wielką Wiarę. To z tej przyczyny imieniem tym obdarzyliśmy zdobytą planetę, którą przedtem znano jako Ix.*

## **z płyty edukacyjnej Tleilaxan**

„Plan awaryjny nigdy nie będzie lepszy od układającego go umysłu”.

Przebywający głęboko w labiryntach laboratorium Hidar Fen Ajidica rozumiał to aż za dobrze. Któregoś dnia człowiek Cesarza spróbuje go uśmiercić, dlatego też nieodzowne były przygotowania zabezpieczające.

– Tędy proszę, hrabio Fenring – powiedział uprzejmym głosem Ajidica, chociaż zarazem myślał: „Nieczysty powindah”. Kątem oka spojrzał na niskiego mężczyznę. „Sam powinienem go bezzwłocznie zabić!”

Jako Mistrz Badań nie mógł jednak zrobić tego w bezpieczny sposób, a odpowiednia okazja mogła się nigdy nie nadarzyć. Cóż z tego, że by mu się powiodło; Cesarz bez wątpienia przysłałby inspektorów śledczych, a nawet kolejne oddziały sardaukarów, co jeszcze bardziej utrudniałoby delikatne prace.

– Mhmm-hm, rad jestem słyszeć o postępach w Projekcie Amal, który Elrood IX zlecił wam do wykonania, ile to, hmmm, dwanaście lat temu, nieprawdaż? – Fenring kroczył pozbawionym jakichkolwiek szczególnych cech korytarzem podziemnego miasta. Miał na sobie szkarłatny uniform cesarski i ciasno dopasowane złote spodnie. Ciemne, brzytwą ostrzyżone włosy, podkreślały wielkość czaszki. – Jak dotąd okazywaliśmy niezwykłą wręcz cierpliwość.

Ajidica był w białym fartuchu z obszernymi kieszeniami. Zapach chemikaliów przywarł do materiału i do jego trupioszarej skóry.

– Od samego początku ostrzegałem wszystkich, że uzyskanie kompletnego produktu może zająć wiele lat. Dwanaście lat to mgnienie oka, jeśli zestawić je z wiekami, przez jakie Cesarstwo marzy o stworzeniu tej substancji. – Ajidica uśmiechnął się z przymusem. – Z prawdziwą satysfakcją mogę jednak donieść, że mamy już nowe zmodyfikowane zbiorniki aksolotlowe, przeprowadzono wstępne eksperymenty, a ich wyniki poddano analizie. Na tej podstawie odrzuciliśmy fałszywe hipotezy, zawężając pole możliwości.

– Mistrzu, Cesarza interesują nie „zawężone możliwości”, lecz konkretne rezultaty. – Głos Fenringa był lodowaty. – Wasze wydatki są przeogromne, chociaż w całości sfinansowaliśmy przejęcie przez was instalacji na Ix.

– Nasze księgi są otwarte dla najbardziej wnikliwych inspektorów, hrabio Fenring –

sztywno oznajmił Ajidica, doskonale wiedząc, że bankierzy Gildii nigdy nie będą mieli dostępu do tych wykazów, ani bowiem ona, ani żadna inna siła w Cesarstwie nie mogła niczego podejrzewać w tej sprawie. – Wszystkie fundusze zostały zużytkowane tylko i wyłącznie w związku z tym projektem. Zgodnie ze wstępnym porozumieniem dokładnie zapisywane są nawet najmniejsze ilości przyprawy.

– Może warto byłoby przypomnieć, że porozumienie to podpisaliście z Elroodem IX, a nie Szaddamem, hmm-mhm. Cesarz może w każdej chwili ograniczyć te eksperymenty.

Jak każdy Tleilaxanin, także Ajidica przywykł do obelg i prowokacji, dlatego też nie zareagował jak osoba obrażona.

– To interesująca groźba, hrabio Fenring, jeśli zważyć na to, że pan osobiście skontaktował Cesarza Elrooda z nami. Wszystko jest udokumentowane, a dowody znajdują się na naszych planetach.

Fenring uniósł brwi, nie przerywając marszu.

– Obserwując pana, Mistrzu Badań, nauczyłem się co najmniej jednej rzeczy – powiedział nad wyraz układnie. – Zdaje się, że długie przebywanie pod ziemią stało się przyczyną fobii. A stało się to całkiem niedawno i nagle, czy mam rację?

– Nie – zaprzeczył Ajidica, ale na jego czole pojawił się pot.

– Aj-aj, słyszałem przecież coś niezdrowego w twoim głosie i widziałem w twarzy. Wziąłeś jakieś lekarstwo... kieszeń fartucha wypycha coś o kształcie fiołki z pigułkami.

– Czuję się znakomicie – oznajmił Ajidica, starając się zapanować nad wściekłością.

– Hmmm-mhm, a ja powiedziałbym, że stan twojego zdrowia zależy od tego, co się tutaj stanie. Im prędzej zostanie ukończony Projekt Amal, tym prędzej będziesz mógł znowu odetchnąć świeżym powietrzem pięknego Tleilaxu. Kiedy tam byłeś ostatnim razem?

– Dawno temu – przyznał Ajidica. – Ty, hrabio, nawet nie potrafisz sobie wyobrazić, jak tam pięknie. Żaden powin... – urwał i zaraz ciągnął – ...żaden człowiek z zewnątrz nigdy nie wyszedł poza port kosmiczny.

Fenringowi nie schodził z ust denerwujący, wszystkowiedzący uśmiech.

– Pokaż mi tylko, czegoście tutaj dokonali, żebym mógł złożyć Szaddamowi dokładne sprawozdanie.

Przed wejściem Ajidica wyciągnął rękę, aby powstrzymać Fenringa, sam zaś przymknął oczy i ucałował drzwi. Ten krótki rytuał zneutralizował śmiertelne systemy zabezpieczające, a drzwi rozplynęły się, pozostawiając po sobie tylko pionowe pęknięcia w ścianie.

– Teraz, hrabio, możesz bezpiecznie wejść.

Ajidica odstepił na bok i zrobił przejście Fenringowi, który wkroczył do małego pomieszczenia z białego gładplazu, gdzie Mistrz Badań zgromadził eksponaty dowodzące postępu w pracach. W centrum wielkiego owalnego pomieszczenia stał stolik z mikroskopem o ogromnej rozdzielczości, metalowy stojak z laboratoryjnymi fiołkami i flakonami, a także

czerwony stojak z kopulastym obiektem. Ajidica zauważył błysk zainteresowania w oczach Fenringa.

– Tylko proszę niczego nie ruszać, hrabio – ostrzegł.

W powietrzu rozmieszczone były różne zabezpieczenia, z których ten powindah nawet nie zdałby sobie sprawy, dopóki nie byłoby już za późno. Ajidica zamierzał rozwiązać tajemnicę syntetycznej przyprawy, a potem uciec ze świętymi zbiornikami aksolotlowymi i znaleźć schronienie na jakiejś planecie położonej możliwie jak najdalej od stolicy Cesarstwa. Incognito poczynił już różne przygotowania, korzystając z obietnic, łapówek, gróźb; poprzemienił i porozmieszczał w różnych miejscach fundusze bez wiedzy swych zwierzchników z planet Bene Tleilax. Tutaj działał zupełnie samotnie.

Doszedł do wniosku, że także pośród jego współpracowników znajdują się heretycy, tacy, którym tak dalece zaimponowały inne autorytety, iż zapomnieli o tym, co stanowi sedno Wielkiej Wiary. A zarazem tak dbali o pozory, że stawali się podobni do Tancerzy Oblicza, tak znakomicie wpasowanych w udawane postaci, iż on sam czasami zapominał, kim są naprawdę. Gdyby w chwili słabości Ajidica umożliwił takim ludziom dostęp do tajemnicy Amalu, naraziłby na niebezpieczeństwo jedno z najważniejszych narzędzi, jakie mogło Tleilaxanom zapewnić dominację, na którą zasługiwali.

Ajidica postanowił zachować tajemnicę do czasu, gdy będzie gotów. A kiedy sam będzie rozporządzał sztuczną przyprawą, pomoże swoim współpracownikom w realizacji misji... czy będzie im się to podobało czy nie.

Kiedy zbliżali się do półkuli, hrabia Fenring zamruczał:

– Hmm, intrygujące, tam w środku coś jest, jak mniemam, mhhhm...?

– We wnętrzu wszystkiego znajduje się coś – zauważył sucho Ajidica.

Uśmiechnął się w duchu, wyobrażając sobie, jak pierwsza porcja syntetycznej przyprawy pojawia się na rynku międzyplanetarnym, powodując ekonomiczny upadek ZNAH-u i Landsraadu. Jak mały przeciek w tamie, niewielka ilość melanzu wyzwoli proces, który w efekcie zupełnie odwróci porządek spraw w Cesarstwie. Jeśli Ajidica wszystko dobrze rozegra, będzie zwierzchnikiem nowego ładu ekonomicznego i politycznego, ale przecież wykorzysta to nie dla swojej korzyści, lecz dla sprawy Boga.

„Magia naszego Boga jest naszą ostoją”.

Uśmiechnął się do Fenringa, odsłaniając spiczaste zęby.

– Może być pan pewny, hrabio Fenring, że przyświecają nam tu wspólne cele.

Kiedyś, bogaty ponad wyobrażenie, Ajidica opracuje testy badające lojalność, a wtedy zacznie przyjmować na swą służbę Bene Tleilax. Teraz byłoby to przedwcześnie i niebezpieczne, ale kilku kandydatów miał już na oku. Przy właściwym wsparciu wojskowym – być może udałoby mu się przeciągnąć na swoją stronę niektórych ze stacjonujących tu sardaukarów – dlaczegóż nie miałby założyć kwatery w pięknej stolicy Bandalong.

Fenring nie spuszczał wzroku z półkuli.

– Słyszałeś kiedyś takie powiedzenie: „Ufaj, ale sprawdzaj?” Pochodzi ze Starej Ziemi. Zdziwiłbyś się, jak wiele drobiazgów stamtąd udało mi się zgromadzić. Moja żona Bene Gesserit zbiera różne przedmioty, drobiazgi, zabaweczki, a ja – informacje.

Twarz Tleilaxanina wykrzywiła się w fałszywym uśmiechu.

– Rozumiem. – Należało jak najszybciej zakończyć tę kłopotliwą inspekcję. – Skoro chcesz sprawdzić, panie hrabio, proszę.

Ajidica zdjął ze stojaka fiolkę z plazu, uniósł wieczko, a po pokoju rozszedł się silny zapach przypominający imbir, gruszkę i goździki. Podał pojemnik Fenringowi, który nachylił się nad gęstą pomarańczową substancją.

– Nie jest to dokładnie melanz – powiedział Ajidica – chociaż pod względem składu chemicznego jest podobny do przyprawy.

Umieścił krople syropu na płytce obserwacyjnej, wyregulował obraz i ustąpił hrabiemu miejsca przy okularze mikroskopu. Fenring zobaczył podłużne molekuly szczipione ze sobą jak ogniwa łańcucha.

– Niezwykły łańcuch proteinowy – ciągnął Mistrz Badań. – Przełomowa chwila jest coraz bliżej.

– Jak blisko?

– Tleilaxanie także mają swoje powiedzenie, hrabio Fenring: „Im bliżej jesteś celu, tym dalszy się wydaje”. Gdy chodzi o naukowe badania, czas okazuje się niezwykle plastyczny. Tylko Bogu dostępna jest pozaczasowa wiedza o przyszłości. Przełom może nastąpić za kilka dni, ale równie dobrze za kilka lat.

– Gadanina – mruknął pod nosem Fenring, ale z uwagą spojrzął na rękę Ajidicy, który właśnie naciskał guzik u podstawy kopuły.

Zamglona powierzchnia z plazu rozjaśniła się, a pod nią ukazał się piasek. Tleilaxanin nacisnął inny guzik i pudło zaczęło lekko wibrować. Piasek poruszył się, wyrzucił, a potem na powierzchnię wynurzyło się stworzenie podobne do piaskala, wielkości najwyżej pół metra. Widać było maciupęńkie krystaliczne kły.

– Piaskal w niedojrzałej postaci – objaśnił Ajidica. – Dziewiętnaście dni temu dostarczono go nam z Arrakis. Nie przypuszczaliśmy, że pożyje tak długo.

Z wierzchu kopuły zjechało na ukrytym odcieżaczu pudełeczko, które dotknąwszy piasku otworzyło się i uwolniło kilka kropel pomarańczowej żelatyny.

– Amal 1522.16 – powiedział Ajidica. – Najlepsza odmiana, jak na razie, przez nas uzyskana.

Fenring wpatrywał się, jak niedojrzały piaskal rozgląda się na lewo i prawo, rozchylając małą paszczę, a potem podsuwa do pomarańczowej substancji i zatrzymuje niepewnie. Stworzenie zamarło na chwilę, a potem odwróciło się i ponownie zagrzebało w piachu.

– Jaki związek ma piaskal z przyprawą? – spytał Fenring.

– Gdybyśmy to wiedzieli, cała zagadka byłaby rozwiązana. Gdyby znalazła się tam



prawdziwa przyprawa, piaskal pożarłby ją. Chociaż jednak dostrzega różnicę między naszą próbką a oryginałem, przynajmniej podpełza w jej kierunku. Udaje nam się go skusić, ale jeszcze nie: zaspokoić.

– Mówiąc szczerze, i mojej ciekawości nie zaspokoił twój pokaz. Dochodzą mnie słuchy o kłopotach z podziemnym ruchem oporu na Ix. Nasz władca, Szaddam, jest zaniepokojony, że mogą one utrudniać realizację najważniejszego w tej chwili przedsięwzięcia.

– Kilku rebeliantów, panie hrabio, bez żadnych poważnych zasobów finansowych, materiałowych i organizacyjnych. Nie warto się nimi przejmować.

Ajidica zatarł ręce.

– Podobno jednak uszkodzili wasz system łączności, a także zniszczyli kilka fabryk, czyż nie?

– To ostatnie konwulsyjne drgawki rodu Verniusów. Trwają od dziesięciu lat, ale jeszcze chwila i zgasną raz na zawsze. W każdym razie temu centrum żadne ataki nie mogą zagrozić.

– Tak czy inaczej, mam przyjemność poinformować, że nie będziesz już musiał, Mistrzu Badań, trapić się problemami bezpieczeństwa, jako że Cesarz postanowił dosłać ci dwa dodatkowe legiony sardaukarów, którymi dowodzi jeden z naszych najlepszych żołnierzy, basza Cando Garon.

Drobniutka twarz Tleilaxanina poczerwieniała i ukazał się na niej wyraz zaskoczenia i niepokoju.

– To zupełnie zbyteczne, panie hrabio. Stacjonujące tutaj pół legionu to aż nadto.

– Inaczej sądzi Jego Cesarska Mość. Obecność tych oddziałów dodatkowo podkreśli, jaką wagę mają dla niego wasze eksperymenty. Nasz Najjaśniejszy Pan, Szaddam, zrobi wszystko, aby nic nie przeszkadzało naszemu planowi, ale muszę powiedzieć, że jego cierliwość jest na wyczerpaniu. – Oczy Fenringa zwięzły się. – Moją wiadomość winienes potraktować jako bardzo radosną.

– Dlaczego? Nie rozumiem.

– Sardaukarowie nie otrzymali jeszcze rozkazu, by cię zgładzić.

*Centrum sterowania powstaniem może zmieniać swoją siedzibę; wcale nie musi nim być jedno, stałe miejsce, w którym spiskowcy się spotykają.*

**Cammar Pilru, ambasador Ix na uchodźstwie,  
*Traktat o obaleniu niesprawiedliwych rządów***

Najeźdźcy z Tleilaxu wprowadzili godzinę policyjną dla wszystkich, którzy nie pracowali na nocną zmianę. Dla C'taira Pilru każde wymknięcie się na potajemne spotkanie

przeciwników okupacji było kolejną okazją, by zagrać wrogom na nosie.

Podczas nieregularnych, pilnie strzeżonych posiedzeń, C'tair mógł wreszcie zrzucić przebrania i maski, by stać się osobą, którą był kiedyś, a którą nadal pozostał w swym wnętrzu.

Niski ciemnowłosa mężczyzna szedł na miejsce spotkania, mając świadomość, że jeśli zostanie pojmany, czeka go śmierć. Bezszelestnie przemykał się w cieniu zaległym u stóp budynków wzniesionych na dnie wielkiej jaskini. Na jej sklepieniu Tleilaxanie znowu wyświetlali projekcję nieba, ale konstelacje gwiazd były takie jak nad ich rodzimą planetą. Na Ix nawet niebo było niewłaściwe!

Znajdujące się we wnętrzu planety miejsce, niegdyś olśniewające i wspaniałe, teraz stało się okropnym więzieniem. „Ale my wszystko to odmienimy. Nadejdzie taki dzień”.

Przez dziesięć lat okupacji spiskowcy i ludzie czarnego rynku zbudowali sieć nielegalnych powiązań i kontaktów. Poszczególne grupy oporu wymieniały materiały, sprzęt i informacje, a chociaż czyniły to skutecznie, to przecież na każde spotkanie C'tair szedł z duszą na ramieniu, wiedział bowiem, że w razie wykrycia spisku kilka chwil ognia z laserobinów położy kres kielkującej rebelii.

Jeśli tylko było to możliwe, zawsze starał się działać w samotności. Nikomu nie ufał bez reszty i dlatego nawet współspiskowcom nie ujawniał szczegółów swej podziemnej egzystencji. Nieliczne kontakty z obcoświatowcami nawiązywał na umieszczonym na stromych, urwistych skałach lądowisku, skąd dokładnie kontrolowane statki transportowe wiozły produkty Tleilaxan na czekające na orbicie liniowce.

Całe Cesarstwo korzystało z wyrobów Ix, które teraz powstawały pod nadzorem Tleilaxan. Najeźdźcy potrzebowali pieniędzy na sfinansowanie własnych prac, a za nic nie chcieli pozwolić na jakąkolwiek inwigilację z zewnątrz. Nie mogli wprawdzie całkowicie odizolować planety od reszty Cesarstwa, ale korzystali z usług tylko nielicznych, wybranych obcoświatowców.

Niekiedy, ryzykując wszystko, C'tair przekupywał kogoś z zatrudnionych przy transporcie, dzięki czemu otrzymywał jakąś z niemożliwych do zdobycia w inny sposób rzeczy. Inni spiskowcy mieli własne dojścia, ale nie ujawniali ich pozostałym. Tak było bezpieczniej.

Przemykając się teraz przez klaustrofobiczną noc, C'tair minął opuszczoną fabrykę i skręcił w jeszcze mroczniejszą ulicę. Przyspieszył kroku; spotkanie miało się zaraz zacząć. Może dzisiaj...

Chociaż wydało się, że to poczynania beznadziejne, C'tair, podobnie jak pozostali spiskowcy, nieustannie myślał nad sposobami atakowania najeźdźców z Tleilaxu. Ci, rozwścieczeni, że nie udaje im się złapać żadnego z sabotażystów, „dla przykładu” poddawali brutalnym sankcjom suboidów. Najpierw ich torturowali i okaleczali, by następnie publicznie zrzucić ofiary z balkonu Grand Palais na skalistą podstawę jaskini, gdzie kiedyś budowano

ogromne liniowce. Z wielkich głośników rozlegały się jęki i skowyty nieszczęśników, a najmniejszy grymas na ich twarzy, każdą ranę na ciele widać było w powiększeniu na sklepieniu ogromnej groty.

Tyle że Tleilaxanie niewiele wiedzieli o psychice Ixian, którzy na brutalność reagowali wzburzeniem i kolejnymi aktami nieposłuszeństwa. Pomimo przybierających dowolne postacie Tancerzy Oblicza w roli prowokatorów, pomimo niezliczonych urządzeń inwigilujących, opór na Ix wcale nie malał i nie zmniejszała się liczba bojowników o wolność.

Nieliczni spośród z nich, którzy mieli dostęp do wiadomości z zewnątrz, opowiadali o wydarzeniach w Cesarstwie. To stąd C'tair wiedział o pełnych pasji wystąpieniach przed Landsraadem jego ojca, ambasadora Ix na wygnaniu. Obalony władca, earl Dominik Vernius, zaginął bez śladu, a jego następcą, księżę Rhombur, żył jako banita na Kaladanie, bez własnej armii i bez wsparcia ze strony Landsraadu.

Buntownicy nie mogli zatem liczyć na ratunek z zewnątrz. „Zwycięstwo musi narodzić się tutaj, na Ix”.

Za kolejnym rogiem skręcił w wąskie przejście i po kilkunastu krokach stanął na metalowej kratownicy. Rzucił baczne spojrzenia na lewo i prawo, aby uprzedzić nagły atak z cienia. Poruszał się teraz sprężysto i szybko, co było całkowitym przeciwieństwem kornej, nieśmiałej pozy, jaką przybierał na co dzień.

Wyraźnie wypowiedział hasło, a wtedy kratownica powoli zsunęła się poniżej poziomu ulicy. Kiedy stanęła, ruszył przed siebie ciemnym korytarzem.

Chodząc do pracy, C'tair ubierał szary kombinezon. Przez lata nauczył się naśladować apatycznych suboidów: zgarbione plecy, obojętny wzrok. Miał przy sobie piętnaście kart identyfikacyjnych, ale nikt nigdy się nim nie interesował; tak łatwo było rozpuścić się w bezimiennej masie robotników.

Natomiast spiskowcy wypracowali własne metody identyfikacji. Na zewnątrz straż pełnili ukryci obserwatorzy, korzystający z jarzyc na podczerwień. Transoka i detektory nienaturalnych wibracji stanowiły dodatkową ochronę, chociaż w razie wykrycia i tak w niczym nie pomogłoby to powstańcom.

Na poziomie poniżej gruntu strażnicy byli widoczni. C'tair podał odzew na hasło i został przepuszczony – jego zdaniem – nazbyt łatwo. Musiał tolerować tych ludzi i ich niewystarczające środki bezpieczeństwa, tylko bowiem dzięki nim uzyskać mógł niezbędne rzeczy, ale nie czuł się pośród nich zbyt dobrze.

Obejrzał dokładnie miejsce spotkania; przynajmniej to zostało starannie wybrane. Ta nie użytkowana już fabryka niegdyś produkowała manekiny bojowe, które pozwalały ćwiczyć najróżniejsze bronie i taktyki walki, jednak tleilaxańscy rządcy jednogłośnie uznali, że takie „samoświadome” maszyny naruszały zakazy przyjęte po Butleryjskim Dżihadzie. Chociaż wszystkie walczące mechanizmy zostały zniszczone przed dziesięcioma tysiącami lat, surowe

przepisy nadal obowiązywały i wszelkie podejrzenia o ich naruszenie wywoływały silne emocje. Miejsca takie jak to pozostawiono bez nadzoru po napadzie na Ix, a pozostałe w nich urządzenia marniały i niszczały. Tę część aparatury, którą dało się inaczej wykorzystać, wymontowano, resztę zaś pozostawiono.

Tleilaxanie interesowali się czymś zupełnie innym. Mieli jakiś sekretny projekt, do realizacji którego dopuszczali tylko swoich. Ani C'tair, ani nikt z jego znajomych nie wiedział, na czym polegał ów starannie strzeżony plan.

Wewnątrz dudniącej echem sali konspiratorzy porozumiewali się szeptem. Nie było żadnego ustalonego porządku działań, żadnego przywódcy, żadnych dyskusji. C'tair czuł pot zdrażający lęk, który słychać też było w przyciszonych głosach zebranych. Niezależnie od przedsięwziętych środków ochrony, tak liczne zbiorowisko zawsze wiązało się z niebezpieczeństwem. C'tair pamiętał o tym, aby zawczasu ustalić, gdzie są najbliższe wyjścia.

Miał ważną sprawę do załatwienia. W ukrytej w ubraniu saszetce przyniósł najcenniejsze ze zgromadzonych przedmiotów. Musiał mieć coś na wymianę z innymi spiskowcami, aby zdobyć części do swego nowatorskiego, często jednak zawodzącego nadajnika „Rogo”. Dzięki niemu udawało mu się nawiązać poprzez zakrzywioną przestrzeń kontakt z bratem-bliźniakiem, D'murrem, który był Nawigatorem Gildii. Kontakty te były jednak sporadyczne, czy to z tej przyczyny, że brat nazbyt już zmienił ludzką postać... czy też z powodu awarii nadajnika.

Wyłożył na zakurzony metalowy stół części do różnych broni, zasilacze, urządzenia łącznościowe i czujniki; gdyby ktokolwiek z Tleilaxan z jakiegoś powodu zainteresował się C'tairem i go obszukał, wystarczyłby jeden z tych elementów, aby go na miejscu rozstrzelano. Tyle że on był czujny i uzbrojony, a parę razy zdarzyło mu się już zabijać tych obrzydliwych karłów.

Rozłożywszy to, co miał na wymianę, spojrzał sponad swych skarbów na twarze innych. Pomędzy celowo pobrudzonymi i zatłuszczonymi obliczami jego uwagę zwróciła kobieta o wielkich oczach, wystających kościach policzkowych i wąskiej brodzie. Włosy miała nierówno obcięte i potargane, co miało ukryć jej urodę. Znał ją jako Miral Alechem, chociaż najpewniej ani imię, ani nazwisko nie były prawdziwe.

W jej twarzy było coś, co przypominało C'tairowi Kaileę Vernius, piękną córkę earla Dominika. Wraz z bratem zachwycali się Kaileą, flirtowali z nią w czasach, gdy nie mieli najmniejszego przecucia, jak wiele może się zmienić. Teraz Kailea żyła na wygnaniu na Kaladanie, a D'murr był Nawigatorem Gildii. Ich matka, bankierka Gildii, została zabita podczas inwazji. A sam C'tair żył niczym dziki szczur, przenosząc się z jednej kryjówki do innej.

– Znalazłem te pręty, których potrzebowałaś – rzekł do Miral, a ta sięgnęła do sakiewki u paska.

– A ja znalazłam ten moduł. Mam nadzieję, że ma dobre parametry. Nie mogłam

sprawdzić.

C'tair sięgnął po zawiniątko, wiedząc podświadomie, że nie musi niczego sprawdzać.

– Sam to zrobię.

Podał Miral krystaliczne pręty, ani myśląc pytać, po co sajej potrzebne. Wszyscy z obecnych próbowali na swój sposób zaleźć za skórę Tleilaxanom i tylko to się liczyło. Wymienili niepewne spojrzenia, a C'tair zastanawiał się, czy ona także pomyślała, że w innych warunkach mogliby spróbować zawrzeć bliższą znajomość. W obecnej sytuacji nie mogli pozwolić sobie na żadną poufałość. Z nikim nie mógł się wiązać. Niezależnie od niebezpieczeństwa, osłabiłoby go to i zmniejszyło determinację. Musiał bez reszty poświęcić się sprawie IX.

Od drzwi dobiegł syk strażnika i wszyscy zamarli w bezruchu. Zapadła cisza, jarzyce przygasły, C'tair wstrzymał oddech.

Nad nimi przetoczył się głuchy pomruk: była to kapsuła zwiadowcza, mająca rejestrować wszystkie niezwykle dźwięki i wibracje. Wszystkie twarze pełne były napięcia. C'tair raz jeszcze przypomniał sobie drogi ucieczki, na wypadek gdyby przyszło mu poruszać się w ciemności.

Ale kapsuła przetoczyła się nad nimi i pojechała dalej; znowu rozbrzmiały szepty, ktoś zaśmiał się nerwowo, ktoś inny otarł pot z czoła.

C'tair nie chciał pozostawać tutaj ani chwili dłużej. Ustalili miejsce następnego spotkania, po czym C'tair spakował swe skarby przyniesione na wymianę i raz jeszcze powiódł wzrokiem po twarzach zebranych, żeby dobrze je sobie zapisać w pamięci. Nigdy nie było wiadomo, czy któryś z nich nie widzi po raz ostatni.

Kiwnął głową na pożegnanie Miral Alechem, a potem wjechał na górę i pod sztucznymi gwiazdami zaczął ponownie przekradać się ciemnymi ulicami, wcześniej zdecydowawszy, z jakiej kryjówki skorzysta tej nocy i jaką tożsamość wybierze na jutro.

*Powiada się, że Wolanie nie mają sumienia, gdyż zastąpiło je namiętne pragnienie zemsty. To absurd. Tylko osoby najbardziej prymitywne i socjopaci nie mają sumienia. Wolanie mają bardzo złożony obraz świata, którego centralną kategorią jest pomyślność ich ludu. Dla Wolanina poczucie przynależności do wspólnoty jest silniejsze od poczucia własnej osoby. To tylko ludziom z zewnątrz mieszkańcy pustyni wydają się brutalni... i vice versa.*

**Pardot Kynes,  
Ludzie Arrakis**

– Widzisz, Liet, luksusy to rzecz szlachetnie urodzonych – powiedział Pardot Kynes,

podczas gdy ich pojazd, kołysząc się, pokonywał nierówny teren. Tutaj, na osobności, mógł użyć imienia syna nadanego przez sicz, a nie tego, które przeznaczone było dla osób z zewnątrz: Weichih. – Na tej planecie nieustannie należy śledzić otoczenie, ani na chwilę nie spuszczać go z oka. Ten, kto nie przyswoi sobie tej lekcji, szybko tutaj ginie. – Wpatrzony w tablicę rozdzielczą Kynes szerokim gestem wskazał mdłe światło poranne, które zaległo między wydiami. – Ale Diuna ma też swoje piękne strony. Wychowałem się na Salusa Secundzie i nawet takie okaleczone i zniszczone miejsca mają swoje uroki, a co dopiero mówić o tym.

Pardot głęboko zaczerpnął powietrza spierzchniętymi ustami.

Liet wpatrywał się w pokrytą rysami szybę z plazu. W przeciwieństwie do ojca, który uważał za stosowne dzielić się każdą myślą, jaka akurat przyszła mu do głowy, Liet zdecydowanie wolał milczenie. Zmrużywszy oczy, bacznie obserwował krajobraz, patrząc, czy czasem nie zmienił się jakiś szczegół. Zawsze uważny, zawsze czujny.

W tak surowym otoczeniu nieodzowne było utrwalanie spostrzeżeń, gdyż to pomagało przeżyć. Choć ojciec był dużo starszy, Liet wcale nie miał pewności, że rozumie Diunę tak dobrze jak syn. Umysł Pardota radził sobie z bardzo zawiłymi pojęciami, ale zawsze traktował je jako abstrakcyjne dane. Nie miał pustyni w sercu.

Planetolog od lat mieszkał między Wolanami. Powiadano, że Cesarz Szaddam IV rzadko interesował się jego pracami, a ponieważ sam Pardot nie narzucał się z prośbami o fundusze i sprzęt, zostawiono go w spokoju. Z każdym rokiem coraz mniej o nim pamiętano na dworze. Szaddam i jego doradcy, jak się zdaje, dawno już pożegnali się z nadziejami, że raporty z Arrakis mogą ujawnić jakąś sensację.

Bardzo to odpowiadało i Pardotowi Kynesowi, i jego synowi.

Podczas swych wypraw często docierali do położonych w głębi pustyni osad i ich zaciekle walczących o przetrwanie mieszkańców. Prawdziwi Wolanie rzadko mieszały się ludźmi z miasta; gardzili nimi jako zepsutymi przez cywilizację mięczakami. Liet za wszystkie solarisy Cesarstwa nie zgodziłby się osiąść pośród kamiennych budynków, niemniej jednak Pardot od czasu do czasu musiał składać wizyty w miastach.

Unikając dróg i uczęszczanych szlaków podróży, Kynesowie objeżdżali stacje meteorologiczne i zbierali dane, mimo że Wolanie z ochotą wykonaliby tę pracę, wyręczając swego Ummę.

Liet miał w sobie wiele cech ojcowskich, ale szczupłą twarz i blisko osadzone oczy odziedziczył po matce. Miał jasne włosy i gładkie na razie policzki, chociaż śmiało można było przypuścić, że kiedyś będzie nosił brodę jak jego ojciec. Oczy Lieta były całe niebieskie, co wskazywało na uzależnienie od melanżu, którego pełne były posiłki i powietrze w siczy.

Usłyszał, jak ojciec mruczy radośnie, kiedy mijali róg kanionu, gdzie starannie ukryte absorbery odprowadzały wilgoć do wątych traw i małych krzewów.

– Widzisz? Zaczynają żyć własnym życiem! Wystarczy kilkanaście generacji, żeby

planetę przez fazę prerii doprowadzić do stadium lesistego. Piasek ma dużą zawartość soli, co wskazuje na obecność oceanów w przeszłości, a sama przyprawa ma charakter alkaliczny. – Zachichotał. – Tam, na dworze, z przerażeniem dowiedzieliby się, że produkty uboczne powstawania przyprawy wykorzystujemy jako nawóz. – Uśmiechnął się do syna. – Ale my wiemy, jaką to ma wartość, prawda? Jeśli rozłoży się melanz, zaczyna się przemiana białkowa. Nawet już teraz z odpowiedniej wysokości widać zielone plamy w miejscach, gdzie rośliny zaczynają unieruchamiać wydmy.

Chłopak westchnął. Ojciec był wybitnym człowiekiem, miał olśniewającą wizję przyszłości Diuny, zarazem jednak tak był nią urzeczony, że nie dostrzegał, co się poza tym działo wokół niego. Liet natomiast bardzo dobrze wiedział, że jeśli któryś z patroli Harkonnenów wykryje chociażby jedną plantację, zniszczą ją, zaczną usilnie poszukiwać innych, a Wolan okrutnie ukarzą.

Mając dopiero dwanaście lat, Liet uczestniczył już w rajdach razzia wolańskich braci i zabijał ludzi Harkonnenów. Od ponad roku wraz z przyjaciółmi – pośród których prym wiódł Stilgar – porywali się na rzeczy, o których inni bali się pomyśleć. Ledwie tydzień temu wysadzili w powietrze kilkanaście ornitopterów, na nieszczęście jednak żołnierze okrutnie zemścili się na mieszkańcach sąsiedniej wioski, nie widząc żadnej różnicy między ludźmi osiadłymi a pustynnymi Wolanami.

Nawet słowem nie wspominał ojcu o swych partyzanckich wyczynach, nie mógłby bowiem liczyć na zrozumienie. Bez względu na to, jakie racje stałyby za rozmyślną przemocą, było to coś całkowicie obcego planetologowi. Zupełnie inaczej Liet: on zrobi wszystko, co będzie konieczne.

Pojazd zbliżał się do przysiadłej u stóp skalistego grzebienia osady na ich mapie oznaczonej jako Obóz Bilarny. Pardot mówił właśnie o melanzu i jego osobliwych własnościach:

– Za wcześnie znaleźli przyprawę na Arrakis. Pożytki z niej były tak oczywiste, że nikt nawet nie troszczył się o poznanie jej tajemnicy.

Liet spojrzał na ojca.

– A ja myślałem, że to właśnie w tym celu cię tu skierowano: żebyś rozwiązał tę zagadkę.

– To prawda, ale teraz mamy znacznie ważniejszą pracę do wykonania. Wysyłam na dwór raporty dostatecznie często, aby byli przekonani, że nie ustaję w wysiłkach, tyle że nie są one specjalnie owocne.

Pardot wykręcił w kierunku grupki nędznych domostw o barwie brudnego piachu. Pojazd gwałtownie podskoczył na jakimś wyskoku, Liet jednak nie spuszczał wzroku z osady. Poranne powietrze było krystalicznie czyste.

– Coś jest nie w porządku – przerwał ojcu, który właśnie wspominał, jak dotarł tu za pierwszym razem. Ten zorientował się dopiero po chwili i gwałtownie zahamował.

– Co się stało?

– Coś jest nie w porządku – powtórzył Liet i ruchem głowy wskazał wioskę.

Pardot osłonił oczy dłonią.

– Nic nie widzę...

– Niemniej jednak... ostrożność nigdy nie zawadzi.

To, co zobaczyli w osadzie, przejęło ich grozą. Ci z mieszkańców, którzy przeżyli, poruszali się bezładnie, pokrzykując i powarkując niczym zwierzęta. Tym straszliwym dźwiękom towarzyszył okropny zapach. Ludzie wyrwali sobie włosy pękami i trzymali je w okrwawionych rękach. Niektórzy paznokciami wydłubywali sobie oczy, a potem zaciskając je w palcach, na oślep objali się o ściany domów, pozostawiając na nich czerwone ślady.

– Na Szej-huluda! – sapnął Liet, podczas gdy ojciec zaklął w galachu, języku powszechnie używanym w całym Cesarstwie.

Jakiś mężczyzna z czerwonymi dziurami po wylupionych oczach wpadł na pełznącą kobietę i przewrócił się; oboje natychmiast rzucili się na siebie, wrzeszcząc, plując i gryząc. Na ulicy widać było ciemne plamy po przewróconych pojemnikach z wodą.

Pełno też było nieruchomych ciał, z kończynami rozrzuconymi pod nienaturalnym kątem. Niektóre budynki zamknięto i zabarykadowano, a ci, którzy zostali na zewnątrz, dobijali się do nich, skowycząc i łkając. Na piętrze Liet zobaczył przywarłą do pokrytej smugami kurzu plazowej szyby pełną przerażenia kobiecą twarz. Najwidoczniej ludzie, których nie dotknęło mordercze szaleństwo, ukrywali się w panice.

– Musimy im pomóc, ojcze – zawołał Liet i wyskoczył z wozu, zanim ten zupełnie znieruchomiał. – Zabierz broń. Być może będziemy musieli się bronić.

Mieli ze sobą stare pistolety maula i noże. Choć ojciec miał duszę naukowca, był także dobrym wojownikiem, a nie zaniedbywał tych umiejętności, aby mógł bronić swojej wizji Arrakis. Legendą stała się już opowieść o tym, jak zabił kilku żołnierzy Harkonnenów, którzy napadli trzech młodych Wolan. Ci, Stilgar, Turok i Ommun, byli teraz jego najwierniejszymi przybocznymi. Ale Pardotowi Kynesowi nigdy dotąd nie przyszło walczyć z czymś takim...

Oszaleli mieszkańcy osady zorientowali się, że ktoś przybył. Z jękiem i skowytami zaczęli sunąć w kierunku Kynesów.

– Zabijaj tylko w razie ostatecznej konieczności – powiedział ojciec, skądinąd zdumiony, że pistolet i krysnóż tak szybko znalazły się w rękach syna. – I uważaj na siebie!

Liet z powrotem wszedł w uliczkę. Dopiero teraz poczuł straszliwy smród, zupełnie jakby oddech umierającego trędowatego zamknięto w butelce i powoli wypuszczano.

Pardot rozglądał się wzrokiem pełnym niedowierzania. Żadnych zgorzelin po laserobinach, żadnych dziur po pociskach, nic, co wskazywałoby na brutalny atak Harkonnenów. Czyżby jakaś choroba? Ale jeśli tak, mogła się okazać zakaźna. Jeśli była to jakaś epidemia, nie mógł pozwolić Wolanom na zabranie tych zwłok do zgonsuszni.

– Wolanie powiedzieliby, że to demony – mruknął Liet.



Dwóch szaleńców z zakrwawionymi twarzami rzuciło się na nich z palcami wygiętymi jak szpony i z przeraźliwym wrzaskiem na ustach. Liet uniósł pistolet maula, wyszeptał słowa modlitwy i dwukrotnie wystrzelił. Pociski trafiły każdego z napastników w pierś; padli martwi. Liet pochylił się nisko.

– Wybacz mi, Szej-huludzie.

Pardot przypatrywał mu się zdumiony. „Uczyłem syna wielu rzeczy, ale nie współczucia. Wszystkiego innego można się dowiedzieć z księgofilmów, ale nie współczucia, które teraz okazał. Musiał to mieć już w sobie”.

Mimo lęku chłopak nachylił się nad ciałami i przyjrzał im uważnie.

– To nie jest zaraza. – Obejrzał się na ojca. – Asystowałem lekarzom w siczy i mam wrażenie...

Nie dokończył.

– No – ponaglił go ojciec.

– Chyba zostali otruci.

Na oczach obu Kynesów mieszkańcy osiedla jeden po drugim walili się na ziemię i umierali w konwulsjach, aż wreszcie przy życiu pozostało tylko trzech. Liet błyskawicznie podsunął się do każdego z nich z krysnożem, po czym bezboleśnie i szybko uwolnił od cierpień. Nawet gdyby całkowicie ozdrowieli, żadna osada, żadna sicz nie przyjąłaby ich teraz z powrotem w obawie przed demonami. Nawet ich wody nikt nie chciałby dotknąć. Liet czuł się nawet nieco zdziwiony, że zupełnie naturalnie to on przejął na siebie ciężar decyzji. Wskazał w kierunku dwóch zabarykadowanych domów.

– Uspokój tych w środku, że nie chcemy im zrobić żadnej krzywdy. Musimy się dowiedzieć, co się tutaj stało. – A potem głosem pełnym stłumionej pasji dodał: – A także kto za to odpowiada.

Pardot podszedł do najbliższego budynku. Ślady paznokci i krwawych dłoni widniały na ścianach, a także metalowych odrzwiach, w które walili nieszczęśnicy. Przełknął ślinę, zastanawiając się, co powiedzieć, ale przedtem odwrócił się jeszcze w stronę syna.

– A ty gdzie będziesz, Liet?

Chłopak popatrzył na przewrócony pojemnik na wodę; tylu mieszkańców naraz mogło zostać porażonych tylko w jeden sposób.

– Sprawdzę cysterne.

Pardot pokiwał ze zrozumieniem głową.

Liet dokładnie rozejrzał się po otoczeniu i szybko dojrzał wąską ścieżkę prowadzącą na ostro podcięty płaskowyż zawisły nad osadą. Z szybkością rozgrzanej przez słońce jaszczurki wspinał się skalistą dróżką i dotarł do zbiornika. Usiłowano go zamaskować, ale mieszkańcy popełnili tyle błędów, że nawet najgłupszy z żołnierzy Harkonnenów bez trudu mogli odkryć nielegalny zasobnik. Liet szybko, ale uważnie, przyjrzał się piaskowi, zapamiętując układ śladów.

Usiłował zidentyfikować silny alkaliczny zapach, który bił od cysterny. Rzadko się z nim stykał, i to tylko podczas wielkich uroczystości w siczy. Woda Życia! Wolanie kosztowali takiej substancji tylko po tym, jak sajjadina, wykorzystując własne chemizmy, zamieniała wydzielinę utopionego piaskala na narkotyk, który wszystkich wprawiał w odurzenie. Bez takiego przekształcenia była to straszliwa trucizna.

Mieszkańcy Obozu Bilarnego musieli napić się surowej Wody Życia. Ktoś dodał jej rozmyślnie do wody i wszystkich otruł. Niedaleko od cysterny widział na ziemi ślady ornitoptera, który z pewnością należał do Harkonnenów. Jeden z regularnych patroli... Żołnierze postanowili zrobić okrutny dowcip?

Z ponurą miną Liet zawrócił do osady, gdzie ojcu udało się przekonać pochowanych w domach ludzi, że nic im już nie grozi. Mieli szczęście, że nie skosztowali zatrutej wody. Teraz padli na kolana pośród trupów krewnych i znajomych, a ich zawodzące skargi odbiły się od skał niczym głosy demonów.

To dzieło Harkonnenów!

Pardot Kynes chodził pomiędzy ocalałymi i starał się ich pocieszyć, ale Liet widział po twarzach mieszkańców osady, że nie rozumieją abstrakcyjnych słów współczucia i otuchy.

Idąc w ich kierunku, Liet już zaczynał układać plan odwetu. Gdy tylko wrócą do siczy, spotka się ze Stilgarem i jego ludźmi.

Harkonnenowie muszą odpokutować.

*Cesarstwo zbudowane na sile nie może wyzwolić takich uczuć i takiej lojalności, jakimi ludzie chętnie darzą państwa ufundowane na ideach i pięknie. Im większe Cesarstwo, tym bardziej winny je zdobić piękno i kultura.*

**z mowy następcy tronu Raphaela Korrino,  
tekst dostępny w archiwum Instytutu Kaitańskiego**

Jakże podle obszedł się czas z baronem Vladimirem Harkonnenem. Wściekłym ruchem łaski strącił z pulpitu w sali terapeutycznej maści, żele, pigułki i iniektory.

– Nic to niewarte!

Każdego dnia czuł się coraz gorzej i wyglądał coraz bardziej odpychająco. W lustrze widział nabrzmiałą, zaczerwienioną twarz, karykaturę Adonisa, w niczym nie przypominającą osoby, którą niegdyś był.

– Wyglądam jak potwór, nie człowiek!

Do pomieszczenia bezszelestnie wśliznął się Piter de Vries, gotów zaoferować swoje usługi. Baron zamierzył się na niego łaską, ale mentat z wdziękiem kobry wykonał zręczny

unik.

– Zejdź mi z oczu, Piter. – Baron zatoczył się i z wysiłkiem odzyskał równowagę. – Nie myśl, że tak trudno znaleźć sposób, aby cię zabić.

– Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem, baronie – powiedział de Vries aksamitnym głosem, skłonił się i cofnął do drzwi.

Baron niewiele osób darzył sympatią, doceniał jednak umysł wypaczonego mentata, jego podstępne plany, dalekosiężne intrygi... Tyle że towarzyszyła temu oburzająca poufałość i zupełny brak szacunku.

– Nie, poczekaj, Piterze, jednak potrzebny mi twój mentacki czerep. – Baron pokuśtykał, opierając się na lasce. – Ciągłe to samo stare pytanie. Masz odkryć, dlaczego moje ciało tak podupadło, albo zgnijesz w najgorszym z lochów.

Chudy jak patyk mężczyzna poczekał, aż baron zbliży się do niego i powiedział:

– Zrobię wszystko, co w mojej nocy. Dobrze wiem, jaki los spotkał każdego z twoich lekarzy.

– Ignoranci! – warknął baron. – Nie znają się na niczym.

Będący niegdyś okazem zdrowia i energii baron, był upokorzony chorobą, której objawy napępiały go wstrętem i przerażeniem. Niesłuchanie przybierał na wadze. Nie pomagały ćwiczenia, medyczne badania, nawet operacyjne ingerencje w ciało. Od lat próbował najróżniejszych lekarstw i terapii, wszystko bez skutku. Z tego powodu spora liczba będących na służbie rodu lekarzy poniosła okrutną śmierć z rąk Pitera de Vriesa, który często poddawał ich działaniu własnych, odrobinę udoskonalonych instrumentów. W efekcie na Giedi Primie nie było już żadnego koncesjonowanego medyka; ci, których baron nie obdarzył swoją uwagą, porzucili praktykę lub wynieśli się na inne planety Cesarstwa.

Denerwujące stawało się to, że także służba zaczęła znikać, i to nie tylko ci, których baron rozkazał uśmiercić. Wymykali się z twierdzy i czmychali do Harko, gdzie znikali w niezliczonym tłumie bezimiennych robotników. W towarzystwie dowódcy gwardii, Kryubiego, baron sam wyprawiał się na przechadzki po mieście, szukając ludzi, którzy chociaż przypominaliby zbiegłych pachołków, a jego drogę znaczyły zmaltretowane ciała. Ale samo zabijanie niezbyt go radowało, o wiele bardziej wolałby znaleźć odpowiedź.

Laska barona postukiwała o posadzkę korytarza; tuż obok niego kroczył de Vries. Baron pomyślał, że już wkrótce będzie musiał wspomagać się mechanizmami odciążaczowymi, by uniknąć bólu stawów.

Na ich widok pracujący nieruchomieli jak sparaliżowani. Reperowali ścianę, którą Vladimir Harkonnen zniszczył poprzedniego dnia w przystępie szału. Gdy ich mijał, robotnicy głęboko kłaniali się w ślad za nim i oddychali z ulgą, kiedy zniknął za najbliższym zakrętem.

Kiedy znaleźli się w hermetycznie izolowanym gabinecie, baron osunął się na fotel obity czarną skórą świmaka.

– Siadaj no tu koło mnie, Piter.

Czarne jak plamki atramentu oczy mentata przypominały teraz oczy zapędzonego w pułapkę zwierzęcia, baron jednak prychnął niecierpliwie.

– Dzisiaj najpewniej cię nie zabiję, obyś tylko udzielił mi dobrej rady.

Mentat skłonił się z najbardziej wyszukaną grzecznością, nie ujawniając jednak tego, co myśli naprawdę.

– Doradzanie ci, baronie, stanowi jedyną treść mego żywota.

W istocie i strach, i układność były udawane, a pod nimi czaiła się buta i arogancja, dobrze bowiem wiedział, że zastąpienie go byłoby dla rodu Harkonnenów operacją zbyt kosztowną, chociaż Bene Tleilax zawsze mogli dostarczyć duplikat oparty na tych samych zasobach genetycznych. Nie należało wykluczać, że już teraz mieli go w pogotowiu.

Baron zastukał palcami w oparcie fotela.

– Tak czy inaczej, nie zawsze udzielasz mi potrzebnej rady. – Patrząc z bliska na de Vriesa, dorzucił: – Wstrętna z ciebie kreatura. Mimo tej choroby nie jestem tak obrzydliwy jak ty.

Jaszczurczy język mentata przemknął po rubinowych od soku safo wargach.

– A mimo to, mój słodki baronie, bardzo lubisz mi się przypatrywać.

Rysy barona stężały, kiedy przybliżył się do wysokiego, chudego mężczyzny.

– Dość już tych amatorów. Potrzebny mi doktor Suk.

De Vries nie zdołał ukryć zaskoczenia.

– Ale przecież nastawałeś na to, aby twój stan pozostał w całkowitej tajemnicy. Doktor Suk musi o swych poczynania informować ich Radę Wewnętrzną, a także przekazywać jej honorarium.

Vladimir Harkonnen rozpuścił pośród członków Landsraadu plotkę, że tusza jest efektem jego wybryków, tych się bowiem nie wstydził, w przeciwieństwie do słabości, a wszyscy łatwo w to uwierzyli, znając jego niepohamowane gusta. Za nic nie chciał stać się pośmiewiskiem: wielki baron Harkonnen bezsilny wobec głupiego choróbka.

– Właśnie dlatego mówię o tym tobie. Należy to zrobić w tajemnicy, a jeśli mnie wyleczy, potem nie będę już musiał niczego ukrywać.

De Vries potrzebował kilku dni, żeby się dowiedzieć, że utalentowany i nieco narcystyczny lekarz Suk znajduje się na Richese, planecie związanej sojuszem z Harkonnenami. Błyskawicznie zaczął dopasowywać fragmenty układanki. Swego czasu ród Richesów wspólnie z Harkonnenami uknuł spisek, w wyniku którego księżę Paulus Atryda został zabity na arenie przez byka. Potem jednak doszło między aliantami do sporu o priorytety. Nie zważając na to, de Vries w imieniu barona zaprosił na Giedi Primę premiera Richese, Eina Calimara, w celu przedyskutowania „korzystnego dla obu stron przedsięwzięcia”.

Ein Calimar, mężczyzna w podeszłym wieku, ale nadal zachowujący ślady dawnej

atletycznej sylwetki, miał ciemną cerę i szeroki nos, na którym przysiadły okulary w cienkiej złotej oprawce. W porcie kosmicznym w Harko pojawił się w białym garniturze ze złotymi wyłogami. Do prywatnych pomieszczeń barona eskortowało go czterech gwardzistów w niebieskich mundurach Harkonnenów.

Ledwie premier znalazł się w gabinecie barona, natychmiast się skrzywił, czując odór, co Vladimir obserwował z rozbawieniem. Nagie ciało młodego chłopca wisiało w szafie odległej o dwa metry od wejścia, a baron dla wzmocnienia efektu uchylił drzwi. Odór rozkładu mieszał się z dawniejszymi, którymi ściany tak nasiąkły, że nawet najsilniejsze perfumy nie potrafiły ich stłumić.

– Proszę usiąść – powiedział baron i wskazał sofę, na której można było rozpoznać wyblakłe ślady krwi. Obmyślając to spotkanie, naszpikował je podprogowymi groźbami i przykrościami, aby w ten sposób wytrącić gościa z równowagi.

Calimar zawahał się przez moment – co baronowi sprawiło ogromną radość – ale posłuchał, odmówił jednak brandy kirana, chociaż baron nalał sobie pełny kieliszek. Harkonnen poruszył się na fotelu odciążaczowym, który wyraźnie zachybotał. Stojący z tyłu mentat wyjawiał prawdziwy cel spotkania.

Zaskoczony Calimar pokręcił głową.

– Chcesz, baronie, wypożyczyć ode mnie lekarza Suk? – Nos premiera znowu drgnął, a oczy, szukając źródła odoru, powędrowały w kierunku szafy. Calimar poprawił złote okulary. – Przykro mi, ale nie mogę na to przystać. Osobisty lekarz Suk jak nikt inny zna organizm swego pacjenta... A poza tym to ogromny wydatek.

– Leczyło mnie już wielu innych – zahuczał baron – ale chciałbym, żeby to zostało między nami. Nie mogę po prostu ogłosić, że szukam specjalisty, i ryzykować, że znowu zgłoszą się zarozumiali ignoranci. Natomiast twój lekarz Suk jest związany przysięgą, a przecież nikt nie musi wiedzieć, że na chwilę cię pozostawił, aby świadczyć swe usługi gdzie indziej. – Posłyszał w swoim głosie płaczliwy ton. – Gdzie twoje współczucie, twoja wielkoduszność, sojuszniku?

Calimar z trudem oderwał wzrok od szafy.

– Współczucie? Interesujące słowo w twoich ustach, baronie, jeśli zważyć na to, że przez ostatnie pięć lat na przekór naszym prośbom twój ród ani myślał pomóc nam w potrzebie.

Baron nachylił się. Laska spoczywała na jego kolanach, a jej ostry koniec, w którym znajdowały się zatrute strzały, godził prosto w przybysza i tak kusił...

– Chyba jednak uda nam się dojść do porozumienia.

Baron zerknął na mentata, jak gdyby prosząc go o wyjaśnienie.

– Chodzi, oczywiście, o pieniądze, mój baronie – rzekł de Vries. – Gospodarka Richese znajduje się w kiepskim stanie.

– Nasz ambasador tłumaczył to wielokrotnie – dorzucił Calimar. – Ponieważ mój ród stracił kontrolę nad wydobyciem przyprawy na Arrakis – trudno, byście o tym nie pamiętali,

skoro to wy nas zastąpiliście – musieliśmy oprzeć swoją gospodarkę na nowych podstawach. – Premier dumnie uniósł głowę, dając do zrozumienia, że tak czy inaczej, jego ród miał swoją wartość. – Początkowo zagarnięcie Ix okazało się dla nas korzystne, gdyż zniknął konkurent, ale następnie pojawiły się pewne trudności.

Ciemne oczy barona rozbłysły na widok zażenowania premiera. Ród Richesów, specjalizujący się w wyszukanych broniach i skomplikowanych maszynach, słynny z miniaturowych cudeniek i richesańskich luster, po opanowaniu Ix przez Bene Tleilax zaczął zgarniać wielkie zyski.

– Pięć lat temu Tleilaxanie znowu zaczęli dostarczać produkty z Ix – rzeczowym tonem dorzucił mentat. – W efekcie tracicie wszystko to, co nazbieraliście przez ostatnią dekadę. Kiedy produkty technologii Ix znowu stały się dostępne na rynku, wasze obroty zaczęły dramatycznie maleć.

– I dlatego właśnie – powiedział Calimar, starając się, aby zabrzmiało to z godnością – potrzebne nam są zasoby na nowe inwestycje.

– Richese, Tleilax, Ix. W miarę możliwości staramy się nie ingerować w niesnaski między innymi rodami – powiedział z westchnieniem baron. – Moim największym marzeniem jest pokój w Landsraadzie.

Na twarzy premiera pojawił się gniew.

– To coś znacznie gorszego niż niesnaski, baronie. Tutaj chodzi po prostu o życie. Nasi liczni agenci nie powracają z Ix i należy podejrzewać, że nie żyją. Tylko z najwyższym obrzydzeniem mogę myśleć o tym, do czego Tleilaxanie wykorzystują ich ciała. – Poprawił znowu okulary i otarł z czoła pot. – A poza tym Bene Tleilax nie należą do rodów. Landsraad nigdy ich nie zaakceptuje w swym składzie.

– Nie należy czepiać się słówek.

– No cóż, obawiam się, że nie dojdziemy do porozumienia. – Calimar zrobił ruch, jakby zamierzał wstać, a jego wzrok znowu pomknął ku szafie. – Nawet jak na Suk, to znakomity lekarz, więc wątpię, abyście mogli sprostać naszej cenie.

– Zaraz, zaraz. – Baron uniósł rękę w uspokajającym geście. – Rozmowy handlowe, traktaty militarne to jedna rzecz, normalne w polityce, ale przecież obok tego jest jeszcze przyjaźń. W przeszłości nasze rody lojalnie ze sobą współdziałały. Nie wykluczam, że może istotnie nie doceniłem skali waszych problemów.

Calimar spojrział przeciągle na rozmówcę.

– Skala naszych problemów opiewa na wiele zer, i to bynajmniej nie po przecinku.

Zatopione w fałdach tłuszczu oczy barona przybrały zamyślony wyraz.

– Panie premierze, jeśli przyślecie mi tu tego lekarza, na nowo przemyślimy całą sytuację, a wtedy z całą pewnością będzie pan zadowolony z naszej oferty. Potraktujmy to jako zapłatę z dołu.

Calimar dalej wpatrywał się w Harkonnena.

– Chcę usłyszeć, jaka to oferta.

Widząc niewzruszoną postawę Calimara, baron mruknął:

– Piter, powiedz, co obmyśliliśmy.

De Vries podał zapłatę za lekarza wyrażoną w melanżu. Była to bardzo duża suma, ale nie miało to znaczenia, gdyż Harkonnenowie posiadali ogromne niejawne zapasy, a poza tym zawsze można było zaostriżyć rygor produkcyjny na Arrakis.

Calimar udawał, że się zastanawia, ale baron dobrze wiedział, że taką propozycję trudno odrzucić.

– Lekarz zostanie odprawiony bezzwłocznie. Nazywa się Wellington Yueh, pracował ostatnio nad cyborgami, które miały zastępować utracone kończyny, co może być alternatywą dla zamienników hodowanych przez Tleilaxan w ich zbiornikach aksolotlowych.

– „Nie będziesz czynił machin na obraz i podobieństwo ludzkiego umysłu”. – De Vries zacytował przykazanie, które zaczęło obowiązywać po Butleryjskim Dżihadzie.

Calimar zeszywniał.

– Nasi eksperci prawni dokładnie zbadali sprawę i nie stwierdzili żadnego naruszenia któregokolwiek z praw.

– Mało mnie obchodzi, czym on się jeszcze zajmuje poza leczeniem – obruszył się baron.

– To na jego medycznej wiedzy mi zależy. To chyba rozumiałe, że obowiązuje najwyższa dyskrecja?

– Nie ma powodów do obaw. Rada Wewnętrzna Suk dysponuje informacjami o wszystkich rodach zasiadających w Landsraadzie i nigdy nie robiła z tego użytku.

– Bardziej się niepokoję o twoich ludzi. Czy mam twoją obietnicę, że w tajemnicy pozostaną szczegóły naszej transakcji? Zresztą i dla was jest to korzystne.

W oczach barona pojawił się niepokojący błysk. Calimar sztywno przytaknął.

– Miło mi, że mogłem okazać się pomocny, baronie. Miałem okazję z bliska przyglądać się poczynaniom doktora Yueha i muszę powiedzieć, że robi on ogromne wrażenie.

*Zwycięstwa militarne są bez znaczenia, jeśli nie odzwierciedlają pragnień ludności. Cesarz istnieje tylko po to, aby nadać owym pragnieniom klarowny wyraz. Albo jest realizatorem powszechnej woli, albo jego dni są policzone.*

### **Principium, Cesarska Akademia Przywództwa**

Oślonięty przez czarny kaptur bezpieczeństwa Cesarz rozpierał się w eleganckim fotelu odciążaczowym i czytał zapisany w ryduliańskim kryształce raport. Hrabia Fenring, który go dostarczył, stał obok Cesarza, podczas gdy ten usiłował rejestrować w pamięci ważniejsze

zdania.

Najogólniej rzecz ujmując, wiadomości mu się nie podobały.

Kiedy władca skończył czytać raport, Fenring odkaszlnął i rzekł:

– Hidar Fen Ajidica wiele przed nami ukrywa, Najjaśniejszy Panie. Gdyby Projekt Amal nie miał dla nas tak dużego znaczenia, doradzałbym usunięcie tego, hmm-mhmm, krętacza.

Cesarz wyszedł spod kaptura i wydobył kryształ z czytnika. Zmrużył oczy, aby je przyzwyczaić do jasnego światła spływającego ze świetlika w wieży, i spojrzał przeciągle na Fenringa, który tak niedbale opierał się o biurko ze złotego drewna chusukańskiego inkrustowanego mlecznymi czarmieniami, jakby należało do niego.

– Taaak – powiedział Szaddam w zamyśleniu. – Więc temu kurduplowi nie podobają się dwa dodatkowe legiony sardaukarów? Chcę, żeby Garon dał mu poczuć swoją obecność. Niechże zrozumie, że pętla zaciska mu się na szyi.

Fenring podszedł do okna i spojrzał na kwitnące w napowietrznym ogrodzie pomarańcze i lawendę. Wydłubał coś zza paznokcia i rzekł:

– Czyż nie jest to doświadczenie nas wszystkich, hmmm?

Szaddam zauważył, że Fenring zerka na holofotografie jego trzech córek, które Anirula umieściła na ścianie, jak gdyby chciała mu nieustannie przypominać, że nadal nie ma męskiego potomka. Irulana miała cztery lata, Chalicea półtora roku, Wensicja raptem dwa miesiące. Z irytacją wyłączył projektor i zwrócił się do przyjaciela.

– Jesteś moim okiem tam, na pustyni, Hasimirze. Niepokoi mnie informacja, że Tleilaxanie wywieźli niedojrzałą formę piaskala z Arrakis. Dotąd sądziłem, że to niemożliwe.

Fenring wzruszył lekceważąco ramieniem.

– Co to ma za znaczenie, że się wywiezie jednego czy dwa małe piaskale. Niezależnie od starań, poza pustynią i tak muszą umrzeć.

– Najwidoczniej są bardzo wrażliwe na ekosystem. – Szkarłatno-złota tunika Cesarza dotykała podłogi. Z salaterki wziął plasterek purpurowego owocu. – Mój planetolog donosi w ostatnim raporcie, że spadek populacji pewnych gatunków może stanowić poważne zagrożenie dla łańcucha żywnościowego. Ostrzega, że przyszłe pokolenia będą musiały ponieść wysokie koszty błędów popełnianych teraz.

Fenring machnął ręką.

– Nim nie musisz się przejmować, Najjaśniejszy Panie. Jeśli odwołasz mnie z wygnania, położę kres wszystkim twoim strapieniom w tej kwestii. Zajmę się wszystkim, hmmm-mhmm?

– Funkcja Cesarskiego Obserwatora nie jest żadnym wygnaniem. Jesteś cesarskim hrabią i w moim imieniu nadzorujesz pozyskiwanie przyprawy. – Szaddam w roztargnieniu pomyślał, że dobrze byłoby napić się czegoś, a także zamówić muzykę, egzotyczne tancerki, może nawet jakąś wojskową paradę. Nie była to jednak najlepsza pora na takie uciechy. – Chcesz może jeszcze jakiś tytuł, Hasimirze?



Zapytany spuścił wzrok.

– To tylko niepotrzebnie ściągałoby na mnie uwagę. Już teraz Gildia zaczyna się interesować moimi częstymi wyjazdami na Xuttuh. A poza tym, cóż po tytule? To tylko słowo, nic więcej.

Cesarz z grymasem niechęci wrzucił do miseczki nie dojedzony owoc. Następnym razem musi powiedzieć, żeby wcześniej usunięto pestki.

– Padyszach Cesarz to tylko słowa, nic więcej?

Rozległ się potrójny sygnał, popatrzyli w sufit, z którego spłynęła tuba z przejrzystego plazu i osiadła na chusukańskim blacie, a z niej wysunął się cylinder zawierający pilną wiadomość. Fenring wziął cylinder, zerwał kurierską pieczęć i wydobył dwa zwoje niezniszczalnego papieru, które podał Cesarzowi, z trudem powstrzymawszy się od przeczytania ich przed nim. Szaddam z rosnącym niezadowoleniem czytał informację.

– Hmm? – mruknął niecierpliwie Fenring.

– Kolejna formalna skarga od arcyksięcia Ekaza, tym razem z deklaracją kanly wobec rodu Moritanich z Grumman. Zrobiła się z tego naprawdę poważna sprawa. – Otarł palce z soku o szatę i czytał dalej, a na jego twarzy pojawił się rumieniec. – Chwileczkę... Książę Leto Atryda zaoferował Landsraadowi swoje usługi mediacyjne, ale Ekazowie postanawiają wziąć wszystko w swoje ręce.

– Interesujące – powiedział w zamyśleniu hrabia.

Rozżłoszczony Szaddam podał oba zwitki Fenringowi.

– Wychodzi na to, że książę Leto wiedział o całej sprawie przede mną! Jak to możliwe? To ja jestem Cesarzem!

– Najjaśniejszy Panie, chyba nie ma powodu się oburzać, jeśli sobie przypomnisz, że wszystko zaczęło się od awantury przy moim stole. – Spoglądając gdzieś nieobecny wzrokiem, dodał: – Pamiętasz mój raport sprzed jakiegoś miesiąca, hmmm-rnhhhm?

Szaddam zmarszczył brwi i usiłował sobie coś przypomnieć, a potem zniechęcony machnął ręką w kierunku półki z czarnego plazu.

– Może tam leży. Nie mam czasu czytać wszystkiego.

Fenring zamrugał, wyraźnie dotknięty.

– Znajdujesz czas, żeby czytać zawile raporty jakiegoś byle planetologa, ale nie masz czasu przejrzeć moich sprawozdań? Gdybyś zapoznał się z tą informacją, teraz nie zaskakiwałyby cię wydarzenia. Ostrzegalem, że członkowie rodu Moritanich są niebezpieczni i należy im się uważnie przyglądać.

– Rozumiem. Zatem streść mi swój raport, Hasimirze. Jestem bardzo zajęтым człowiekiem.

Fenring poinformował, jak to z powodu immunitetu dyplomatycznego musiał uwolnić aroganckiego Lupino Orda. Wzdychając ciężko, Cesarz polecił zwołać doradców na nadzwyczajne posiedzenie.

W sali przyległej do oficjalnego gabinetu Cesarza zebrali się mentaci-prawnicy, przedstawiciele Landsraadu i obserwatorzy Gildii, aby wspólnie uzgodnić techniczne aspekty kanly, przemyślanego zbrojnego starcia, którego szkody ponieść miały tylko walczące strony, i to tak, aby ludność cywilna nie doznała uszczerbku.

Wielka Konwencja zakazywała użycia broni atomowej i biologicznej, a także wymagała, aby przeciwnicy trzymali się tylko uzgodnionych metod bezpośrednich i pośrednich. Reguły te od tysięcy obowiązywały w całym Cesarstwie i odcisnęły na nim swoje piętno. Doradcy starannie przedstawili historię konfliktu: oskarżenie ze strony rodu Ekazów pod adresem Moritanich, że ci dopuścili się sabotażu biologicznego w delikatnych lasach drzew mgiełnych, zamordowanie przez ambasadora Grumman równego mu rangą urzędnika z Ekaz podczas bankietu wydanego przez Fenringa, formalne ogłoszenie kanly przez arcyksięcia Ekaza przeciw wicehrabiemu Moritani.

– Chciałbym zwrócić uwagę na jeszcze jedną sprawę – rzekł Nadzorca Handlu Cesarskiego, kościsty palec wystawiając w powietrze niczym rapier. – Dowiedziałem się właśnie, że cały transport pamiątkowych monet, które uświetnić miały dziesięciolecie twego zasiadania na Tronie Złotego Lwa, Najjaśniejszy Panie, został przechwycony przez jakichś nieznanych piratów.

– Jakie ma teraz znaczenie jakaś tam mała grabież? – obruszył się Szaddam.

– Fregata zmierzała na Ekaz, Najjaśniejszy Panie.

– Hmm, a czy przechwycono coś jeszcze? – zainteresował się Fenring. – Broń, sprzęt wojskowy, cokolwiek o znaczeniu militarnym?

Nadzorca zajrzał do swoich notatek.

– Nie, domniemani piraci zabrali tylko cesarskie monety, nie tykając żadnych innych dóbr. – A potem dodał ściszym głosem: – Straty nie są zresztą tak wielkie, bo i monety nie były pierwszej próby.

– Moim zdaniem należałoby wysłać Cesarskich Obserwatorów na Ekaz i Grumman – odezwał się szambelan Ridondo – aby nadzorowali przestrzeganie reguł. Ród Moritanich znany jest z ich... hm, swobodnej interpretacji.

Ridondo był chudym mężczyzną, który tak sprytnie realizował swoje zamiary, że zawsze wydawało się to samodzielną decyzją Cesarza. Jako szambelan był niezrównany.

Zanim jego propozycja została rozważona, na małym pulpicie obok cesarskiego fotela znalazła się kolejna pilna wiadomość. Szaddam zapoznał się z nią, a potem cisnął na stół konferencyjny.

– Wicehrabia Hundro Moritani przeprowadził nalot dywanowy na półwysep, na którym położony jest pałac Ekazów! Tron Mahoniowy zniszczony, sto tysięcy ofiar pośród ludności cywilnej, liczne lasy stoją w płomieniach. Arcyksiężę Ekaz i jego trzy córki ledwie uszli z życiem.

Zmrużonymi oczami spojrzął na zwitek niezniszczalnego papieru, a potem zerknął na Fenringa, ale nie poprosił o radę.

– Zupełnie nie troszcząc się o reguły kanly? – spytał z niedowierzaniem w głosie Nadzorca Handlu. – Jak to możliwe?!

Żółtawa skóra na czole szambelana pokryła się zmarszczkami.

– Wicehrabiemu Moritaniemu nie pozostała już nawet odrobina honoru, którym szczycił się jego dziad, towarzysz Łowcy. I co począć z takimi wściekłymi psami?

– Najjaśniejszy Panie, Grumman zawsze buntowało się przeciw cesarskiej władzy – przypomniał Fenring – i na różne sposoby ją obrażało.

Temperatura dyskusji natychmiast się podniosła, a przysłuchujący się jej Szaddam usiłował zachować dostojną pozę, myśląc zarazem, jak bardzo panowanie różniło się w praktyce od jego dawnych wyobrażeń. Rzeczywistość okazywała się nieprawdopodobnie zawiła, pełna nazbyt wielu ścierających się sił.

Przypomniał sobie, jak w czasach młodości toczył z Hasimirem gry wojenne, i uświadomił sobie bolesny brak towarzystwa przyjaciela i jego rady. Z godnością Cesarza nie licowało jednak raptowne zmienianie ważnych decyzji, Fenring pozostanie zatem na Arrakis, doglądając, między innymi, postępów w pracach nad sztuczną przyprawą. Lepiej, by nadal wierzono w ochłodzenie stosunków między nimi, choć może Szaddam powinien zadbać, aby wizyty Fenringa na Kaitain były częstsze.

– Nie można spokojnie przyglądać się gwałceniu zasad – oznajmił Ridondo. – Prawo i tradycja to najważniejsze spoiwa Cesarstwa. Żaden ród nie może bezkarnie łamać obowiązujących zakazów. Dla mnie nie ulega wątpliwości, że Moritaniowie, Najjaśniejszy Panie, uważają, że jesteś zbyt słaby, aby ingerować w tę konfrontację. Nazwałbym to prowokacją.

„Cesarstwo nie może wyśliznąć mi się z rąk” – poprzysiągł sobie Szaddam. Tutaj należało działać zdecydowanie, aby stało się to przestrogą dla innych.

– Chcę, by ogłoszono w całym Cesarstwie, że przez dwa lata będzie stacjonował na Grumman legion sardaukarów. Wicehrabia poczuje naszą smycz. – Obrócił się do obserwatora z ramienia Gildii Kosmicznej. – Poza tym domagam się, aby wszystkie dobra dostarczane na Grumman i odbierane stamtąd były obłożone dodatkową taryfą, a uzyskane w ten sposób sumy posłużą do naprawienia szkód na Ekazie.

Przedstawiciel Gildii siedział przez jakiś czas w milczeniu i rozważał owo „polecenie”, które w istocie było tylko prośbą, gdyż Gildia nie podlegała rozkazom Padyszacha Cesarza. Niemniej jednak powiedział w końcu:

– Tak się stanie.

Jeden z nadwornych mentatów poruszył się na krześle.

– Będą protestować, Najjaśniejszy Panie.

Szaddam prychnął pogardliwie.

– Niechaj przedstawią nam formalną skargę, a my ją w odpowiednim trybie rozważymy.

Fenring przebierał palcami po blacie stołu i zastanawiał się nad konsekwencjami. Szaddam wysłał już dwa legiony sardaukarów, aby wywrzeć nacisk na Tleilaxan na Ix, teraz następny miał się udać na Grumman. Także w innych miejscach podległego mu Cesarstwa Szaddam zwiększył liczebność swych sił militarnych, mając nadzieję, że w ten sposób uciszy wszystkie szemrania i niepokoje. Zaroїło się od nowych bursegów, posypały się awanse na średnich szczeblach.

A przecież to tu, to tam dochodziło do nieoczekiwanych akcji sabotażu, jak porwanie pamiątkowych monet, wypuszczenie balonu nad stadionem na Harmonthepie, nakreślenie obraźliwego napisu w Pomnikowym Kanionie...

W efekcie kaftan sardaukarów stawał się coraz cieńszy, a poważnie obciążony kosztami Projektu Amal skarb cesarski miał coraz mniej środków na szkolenie i tworzenie nowych oddziałów. Rezerwy militarne wyczerpywały się i Fenring spodziewał się coraz większych kłopotów. Akcja rodu Moritanich dowodziła, że były już w Landsraadzie siły, które wyczuwały słabość, węszyły zapach krwi...

Przez chwilę chciał zwrócić na to wszystko uwagę przyjacielowi, ale potem zmienił zamiar. Skoro Szaddam chciał dawać sobie radę bez niego, niech i tak będzie. Im bardziej ugrzęźnie w kłopotach, tym prędzej przywoła z wygnania swego „Ministra Przyprawy”. A wtedy będzie musiał trochę się popłaszyc przed swym wzgardzonym przyjacielem, zanim ten zgodzi się pomóc.

*Struktura organizacyjna jest kluczem do zwycięstwa każdego ruchu. I także ona jest najważniejszym obiektem ataku.*

**Cammar Pilru, ambasador Ix na uchodźstwie,  
*Traktat o obaleniu niesprawiedliwych rządów***

Na następne spotkanie spiskowców C'tair ucharakteryzował się na zamkniętego w sobie suboida. Kilka dni spędził w umówionym miejscu, tylko obserwując.

Widoczne między wyspami stalaktytowych budowli niebo, z rzucanym na nie obrazem gwiazd z holoprojektorów, nie wyglądało przyjaźnie. Naśladowało światło słońca, które nie było związane z Ix. Ramiona C'taira bolały od przenoszenia ciężkich palet na samoporuszające się transportery, które wiozły narzędzia, surowce i inne artykuły do niedostępnych dla ludzi z zewnątrz pomieszczeń badawczych.

Najeźdźcy wybrali sobie odpowiednie budynki fabryczne, a potem je przebudowali, spajając estakadami i przejściami podziemnymi. Pod rządami Verniusów budowle te łączyły

funkcjonalność z pięknem, teraz jednak przypominały nory gryzoni najeżone strażnicami, strzelnicami i gniazdami ogniowymi, przed którymi wibrowały pola ochronne. Zasłonięte okna przywodziły na myśl powieki ślepeca.

„Czego tak zazdrośnie strzegą ci Tleilaxanie?”

C'tair miał na sobie bure ubranie, z przygnębionej twarzy spoglądały apatyczne oczy. Koncentrował się na monotonnej harówce. Nie wycierał pokrytej kurzem i brudem twarzy ani powalanych smarem palców; poruszał się jak automat.

Tleilaxanie gardzili suboidami i oszukańczo ich wykorzystali podczas najazdu na Ix. Podburzyli do buntu obietnicami lepszego traktowania, ale potem okazali się o wiele bardziej okrutni niż Dominik Vernius.

Po pracy C'tair zajmował wykutą w skale kłitkę w labiryncie przeznaczonym dla suboidów. Ci niemal nie utrzymywali towarzyskich kontaktów, w ogóle niewiele do siebie mówili. Zaledwie kilku zainteresowało się nowym, prawie nikt nie dopytywał się o jego imię ani inne osobiste szczegóły, a co dopiero mówić o przyjacielskich gestach. Miał wrażenie, że tutaj jest jeszcze lepiej ukryty niż wtedy, gdyż przez całe miesiące w trakcie inwazji i bezpośrednio po niej znajdował schronienie w pomieszczeniu chronionym tarczą obronną.

I tak było znacznie lepiej, dzięki temu więcej mógł dokonać.

Na własną rękę ocenił miejsce schadzki. Do pustego pomieszczenia magazynowego przyniósł odpowiedni sprzęt, który wykrywał aparaty podsłuchowe albo inne urządzenia inwigilacyjne. Absolutnie nie wolno było lekceważyć Tleilaxan, zwłaszcza że pojawiły się dwa nowe legiony sardaukarów.

Stojąc w pomieszczeniu, wolno obrócił się na pięcie, skupiając uwagę na pięciu prowadzących tu tunelach. Zbyt wiele dojsć, zbyt wiele możliwości nieoczekiwanego napadu. Ale po chwili uśmiechnął się, gdyż do głowy przyszła mu pewna myśl.

Następnego dnia ukradł mały holoprojektor, przy użyciu którego skonstruował obraz litej, nierównej skały. Potem umieścił go w jednym z otworów i natychmiast jedno z przejść skryło się za pozornie nieprzebytą barierą. Złudzenie było całkowite.

Tak długo żył w strachu i ciągłej niepewności, że nigdy do końca nie ufał swoim planom, co jednak nie znaczyło, że pogрузy się w apatycznym oczekiwaniu.

Gdy zbliżała się umówiona godzina, jeden po drugim pojawiali się bojownicy o wolność. Nadchodzili pojedynczo, przebrani i ucharakteryzowani, każdy z obmyślonym pretekstem, który tłumaczyłby ich obecność w tunelach przeznaczonych dla suboidów.

C'tair dla bezpieczeństwa przybył jako jeden z ostatnich. Inni zdążyli już wymienić się niezbędnymi rzeczami i szeptem dzielili się jakimiś uwagami. Nikt nie miał całościowego planu. Niektóre pomysły były tak żałosne, że C'tair z trudem pohamował się od śmiechu, inne warte były zastanowienia.

Do swego nadajnika „Rogo” potrzebował więcej kryształowych prętów. Po każdej próbie

nawiązania łączności z bratem Nawigatorem, kryształy nadawcze trzeszczały i pękały, powodując straszliwy ból głowy.

Ostatnim razem czuł wprawdzie obecność brata i kilka bardzo zwolnionych myśli, ale do kontaktu jednak nie doszło. C'tair leżał potem przez kilka godzin w swej kryjówce w poczuciu absolutnej beznadziejności, opuszczenia i samotności. Dopiero teraz uświadomił sobie, jak bardzo liczył na informację, że D'murr ma się dobrze, a uciekinierzy z Ix znaleźli bezpieczne schronienie.

Niekiedy sam nie mógł uwierzyć, ile udało mu się dokonać przez te lata, zarazem jednak pragnął czegoś znacznie większego, walnego ataku na Tleilaxan. Tylko jak tego dokonać? Popatrzył po zebranych, którzy mówili wiele, ale działali mało. Na twarzach można było rozpoznać albo chciwość spekulantów, albo paniczną nerwowość. Trudno było uwierzyć, by spośród nich mogli się rekrutować jego wierni współpracownicy.

Zjawiła się także Miral Alechem i krążąc między oferentami szukała rzeczy potrzebnych do jej tajemnego zamierzenia. Ona odstawała od reszty; miał wrażenie, że zajmuje się czymś naprawdę poważnym.

Bez specjalnego pośpiechu utorował sobie drogę do kobiety i spojrzał w jej wielkie przestraszone oczy.

– Zorientowałem się, czego szukasz. – Kiwnął brodą w kierunku dłoni, w których trzymała kilka elementów. – Nie potrafię jednak zgadnąć, o co może ci chodzić, chociaż mógłbym w niejednym pomóc. Sam już zrobiłem to i owo.

Cofnęła się niczym wystraszony królik i wpatrzyła w jego oczy, usiłując dociec, jakie są jego prawdziwe intencje. Wreszcie odezwała się, ale nietrudno było zgadnąć, że ma ściśnięte gardło:

– Mam pewien... pomysł. Muszę znaleźć...

Gdy wypowiedziała te słowa, C'tair posłyszał odgłos licznych kroków w jednym z tuneli, początkowo cichych, ale z każdą chwilą coraz głośniejszych. Rozległy się okrzyki rozstawionych strażników, potem odgłos wystrzału. Jeden z pilnujących wpadł do sali z okrzykiem:

– Zdradzono nas!

W powstałym zamieszaniu C'tair zobaczył, że czterema korytarzami nadciągali sardaukarowie i żołnierze Tleilaxan, już z daleka strzelając do widocznych jak na dłoni spiskowców.

W dymie, pośród okrzyków i zapachu krwi, do pomieszczenia wpadali kolejni sardaukarowie, którzy najwidoczniej woleli zabijać ciosami rąk i nóg niż przy użyciu broni palnej.

Miral przykucnęła na podłodze, nie widząc ratunku. C'tair chwycił ją za ramię, ale zaczęła się szarpać i odpychać go, jakby był wrogiem. Mimo to udało mu się pchnąć ją na skalną ścianę, przez którą przeleciała bez najmniejszego oporu, a on skoczył w ślad za nią.

Przez krótką chwilę poczuł wyrzuty sumienia, że nie wskazał innym drogi ucieczki, gdyby jednak i oni z niej skorzystali, zaraz mieliby na karku sardaukarów.

Miral nie mogła się otrząsnąć ze zdumienia, ale C'tair nie dał jej czasu na opamiętanie, tylko szarpnął za rękę.

– Na wszelki wypadek przygotowałem drogę ucieczki. Hologram.

Pobiegli tunelem.

– To koniec naszej grupy – sapnęła.

– Nigdy nie traktowałem jej jako swojej – wykrztusił C'tair. – Sami amatorzy.

Spojrzała na niego przelotnie.

– Musimy się rozdzielić.

Kiwnął głową i przy najbliższym rozgałęzieniu każde z nich pobiegło inną drogą. Daleko za nimi słyhać było okrzyki sardaukarów, którzy zorientowali się już w podstepie. C'tair pomknął korytarzem w górę, skręcił w prawo, wreszcie dotarł do windy, która miała go wywieźć z wielkiej jaskini.

Wydobył jedną z kart identyfikujących go jako suboida pracującego na nocną zmianę i przycisnął do czytnika. Winda poniosła go do jednego z budynków, który niegdyś służył urzędnikom i dyplomatom Verniusów. Kiedy znalazł się na poziomie sklepienia, wskoczył na jedno z estakadowych przejść, a idąc nim, spojrzał w dół na przyćmione światła fabryk. Szybko znalazł się na terenie dawnego Grand Palais i dotarł do porzuconego niegdyś pomieszczenia, chronionego izolującym polem tarczowym.

Wśliznął się do środka i zablokował wejście. Od dawna już nie musiał szukać tutaj schronienia, ale też nigdy dotąd nie był tak bliski schwytania. W milczącej czerni zwałił się na zatechłą pryczę, która służyła mu przez tyle miesięcy. Dysząc ciężko, wpatrywał się w niewidoczny sufit. Serce łomotało, w żaden sposób nie mógł się uspokoić.

Wyobraził sobie, że widzi nad sobą gwiazdy, bezlik małych iskierek skrzących się na niebie nachylonym nad dziewiczą powierzchnią Ix. Umysł pomknął w galaktyczną otchłań, on zaś myślał o D'murrze prowadzącym swój statek... Bezpieczny gdzieś daleko stąd.

Jak najszybciej musi ponowić próbę kontaktu.

*Wszechświat jest naszym odbiciem. Tylko wielka niedojrzałość może rodzić oczekiwanie, że kosmos jest taki, jak nam się wydaje.*

**Sigan Visee, Pierwszy Naczelny Instruktor,  
Szkoła Nawigatorów Gildii**

„D'murrze – rozległ się głos gdzieś w podświadomości. – D'murrze...”

W hermetycznie odizolowanej kabinie nawigacyjnej na szczycie liniowca D'murr unosił się w gazie przyprawowym, poruszając nogami, które zamieniły się w płetwy. Pomarańczowy opar wirował wokół niego. Gdy był w transie nawigacyjnym, wszystkie systemy gwiazdne i planetarne układały się jakby w wielką tkaninę, on zaś mógł się przemieszczać wzdłuż dowolnego jej wątku. Wnikanie w łono wszechświata i zgłębianie jego tajemnic dawało mu nieopisaną przyjemność.

W otwartej, nieograniczonej przestrzeni panował taki spokój. Jaskrawe słońca pojawiały się i znikwały. Wszędzie nieogarniona, wieczna noc, upstrzona tylko drobnymi jasnymi kropeczkami.

D'murr wykonywał w pamięci obliczenia wyższego rzędu, nieodzowne do znalezienia bezpiecznego kursu kosmicznego. Prowadził ogromny statek przez niezmierzone przestrzenie. Mógł przenieść ładunki i pasażerów w dowolny punkt wszechświata. Przewidywał przyszłość i to kierowało jego decyzjami.

Dzięki niezwykłym umiejętnościom D'murr należał do wąskiej grupy zmutowanych istot ludzkich, które tak szybko awansowały pośród Nawigatorów. „Ludzie”. Słowo, które rzadko przywoływało jakieś niewyraźne wspomnienia.

Uczucia, osobliwa pozostałość po dawnej fizycznej postaci, pobudzały go w nieoczekiwany sposób. Przez siedemnaście standardowych lat, które spędził na Ix, dorastając u boku bliźniaka C'taira, nigdy nie przyszło mu do głowy zastanowić się nad tym, co to właściwie znaczy „być człowiekiem”. Z kolei przez następne dwanaście lat – z pewnością za swoją zgodą – został wyrwany z tej niepewnej rzeczywistości i przeniesiony w inną egzystencję, pozbawioną marzeń i nocnych zmór. Jego nowa postać każdego nie przygotowanego człowieka z pewnością wprawiłaby w przerażenie.

Ale korzyści, które odniósł, przystając do Gildii, bardziej niż zrekompensowały tę przemianę. Zaznał kosmicznego piękna niedostępnego innym istotom. To, co one mogły sobie ledwie wyobrażać, on poznawał bezpośrednio.

Dlaczego Gildia Kosmiczna go sobie upatrzyła? Do jej elitarnego korpusu rzadko dopuszczano osoby z zewnątrz. Gildia faworyzowała kandydatów, którzy byli dziećmi jej pracowników urodzonymi w przestrzeni, a wielu z nich nigdy nie miało pod nogami twardego gruntu planety.

„Czyżby tylko na mnie eksperymentowali? Odmieniec pośród odmieńców?” W trakcie podróży był czas na rozmyślanie i D'murr niekiedy się zastanawiał, czy właśnie w tej chwili jakieś chytre urzędniki śledzą jego zdegenerowane myśli. Ilekroć dawała o sobie znać dawna ludzka jaźń, tylekroć D'murr miał poczucie, że staje na skraju przepaści i zastanawia się, czy skoczyć. „Gildia nigdy nie przestaje obserwować i nadzorować”.

Kiedy tak unosił się w kabinie nawigacyjnej, podróżował równocześnie pośród resztek emocji. Czasami nawiedzała go niezwykła melancholia: tak wiele poświęcił, aby stać się tym, kim teraz jest. Gdziekolwiek wylądował, mógł wyjść na zewnątrz tylko w zamkniętym



pojemniku wypełnionym przyprawowym gazem.

Zmusił się do koncentracji. Jeśli ludzkie emocje wezmą w nim górę, gotów jeszcze sprowadzić liniowiec z bezpiecznego kursu.

„D’murrze – znów odezwał się natarczywy głos, podobny trochę do pulsowania w głowie, które towarzyszy bólowi. – D’murrze.. i”

Starał się go zignorować i tłumaczyć sobie, że innych Nawigatorów równie często jak jego nawiedzają podobne myśli i odruchy żalu. Dlaczego jednak instruktorzy go o tym nie uprzedzili?

„Jestem silny i dam sobie z tym radę”.

Podczas rutynowego lotu na należąca do Bene Gesserit Wallach IX pilotował ostatni liniowiec skonstruowany przez Ixian, zanim planetę podbili Tleilaxanie i powrócili do dawnego, mniej efektywnego modelu. W myśli odtworzył listę pasażerów, widząc w duchu słowa napisane na ścianie jego pojemnika.

Był na pokładzie księżę Leto Atryda. Był także jego przyjaciel Rhombur Vernius, żyjący na wygnaniu dziedzic utraconej ojcowizny na Ix. Znajome twarze i wspomnienia... W dawnym życiu D’murr poznał młodego Leta, kiedy przedstawiono ich sobie w Grand Palais. Nawigatorzy potrafili przechwytywać cesarskie wiadomości, ale wszystkie te sprawy i sprawki były dla nich zbyt mało ważne, aby poświęcały im uwagę. Młody księżę wygrał Przewód Konfiskacyjny, co było wielkim wyczynem, który zapewnił mu szacunek w całym Cesarstwie.

Dlaczego Leto jechał na Wallach IX? I dlaczego zabierał ze sobą ixiańskiego banitę?

I znowu ten trzeszczący głos: „D’murrze... odpowiedz...”

Nagle uświadomił sobie, że to głos z jego poprzedniej egzystencji. To wierny, przyjazny C’tair, który usiłuje pozostać w kontakcie, chociaż D’murr od miesięcy nie mógł mu odpowiedzieć. Być może taka była konsekwencja przemian w jego mózgu: coraz bardziej rozszerzała się przepaść między nim a bratem.

Nawigatorowi pozostały jeszcze resztki strun głosowych, których mógł użyć do wydobywania z siebie słów, ale ust używał przede wszystkim do spożywania coraz większych porcji melanżu. Poszerzenie umysłu podczas transów nawigacyjnych oddalało go zarazem od dawnego życia i dawnych kontaktów. Nie dla niego była już miłość, pozostawały tylko błyski wspomnień. Nigdy już nie dotknie innej ludzkiej istoty...

Z zasobnika wycisnął na dłoń w kształcie płetwy pigułkę skoncentrowanego melanżu i wepchnął ją do małych ust, aby utrzymać stały poziom przyprawy w organizmie. Umysł się rozjaśnił, mimo iż nadal pozostał w nim bolesny żal przeszłości i kontaktu, który próbowano nawiązać, on zaś nie mógł odpowiedzieć.

Brat przestał go wreszcie nawoływać, ale niedługo znowu będzie usiłował. Jak zawsze...

Teraz słyszał już tylko nieprzerwany syk gazu napływającego do pojemnika. „Melanż, melanż”. Nieustannie oddziaływał na jego zmysły, odbierając tożsamość, nie pozwalając na

rozmowę z kimś, kto niegdyś był bratem. Teraz mógł już tylko słuchać. I wspominać...

*Wojna jest formą zachowania organizmów. Armia to narzędzie przetrwania dla zbiorowiska samców. Natomiast zbiorowisko kobiet jest tradycyjnie nastawione religijnie. Kobiety są strażniczkami świętych tajemnic.*

### **z nauk Bene Gesserit**

Kiedy po przebyciu wyszukanych systemów obrony powietrznej Leta Atrydę i Rhombura Verniusa dostarczono już z pokładu liniowca na lądowisko Szkoły Macierzystej Bene Gesserit, czekała tam na nich trzyosobowa grupa odzianych na czarno kobiet.

Nie było stąd widać błękitnobiałego słońca Wallach IX. Na balkonie, na którym się spotkali, boleśnie chłostały podmuchy zimnego wiatru. Leto czuł, jak przenikają przez ubranie; w powietrzu widać było białe obłoczki pary. Obok niego Rhombur otulał twarz kołnierzem kurtki.

Kierująca eskortą przedstawiła się jako Matka Przełożona Harishka, a Leto nie spodziewał się aż takich honorów. „Czym sobie na nie zasłużyłem?” Kiedy siedział w więzieniu na Kaitain i oczekiwał na Przewód Konfiskacyjny, Bene Gesserit dyskretnie zasygnalizowały gotowość pomocy, ale nigdy nie starały się tego wytłumaczyć. „Bene Gesserit niczego nie robią bez wyraźnego celu”.

Harishka, wiekowa, ale pełna energii, miała ciemnoorzechowe oczy i zachowywała się swobodnie.

– Książę Rhombur Vernius! – Pochyliła przed nim głowę, na co on odpowiedział kurtuazyjnym gestem dłoni. – Twemu znakomitemu rodowi przytrafiło się wielkie nieszczęście, naprawdę wielkie. Nawet nasz zakon myśli o Bene Tleilax z... dużą rezerwą.

– Bardzo dziękuję za te słowa, ale... tyle już czasu upłynęło. Jestem pewien, że wszystko jeszcze wróci do dawnej postaci. Onegdaj nasz Ambasador Na Uchodźstwie przedstawił Radzie Landsraadu kolejną petycję. – Posłał rozmówczyni wymuszony optymistyczny uśmiech. – Nie zabiegam o współczucie.

– Inaczej jednak sprawa się przedstawia z konkubina, nieprawdaż? – Stara kobieta odwróciła się, aby sprowadzić całą grupę z portyku, a potem wskazać drogę między budynkami kompleksu szkolnego. – Cieszymy się z tego, że jedną z naszych sióstr możemy skierować do Zamku Kaladan. Mam nadzieję, że korzyść z tego odniesiesz i ty, książę, i ród Atrydów.

Poszli brukowaną uliczką między pokrytymi stiukiem domami o dachach z terakoty, której płytki ułożone były jak na pancerzu jaszczurki. Zatrzymali się przy wykutej w czarnym

kwarcu stylizowanej postaci kłęczącej kobiety.

– To założycielka naszej szkoły – wyjaśniła Harishka. – Raquella Berto-Anirula. Dzięki sterowaniu chemizmem ciała Raquella potrafiła się oprzeć bardzo silnej truciznie.

Rhombur pochylił się nad tabliczką z brązu.

– Opowiada się tutaj, że wszystkie jej graficzne i literackie portrety zaginęły, kiedy dawno temu najeźdźcy podpalili budynek biblioteki, przy czym spłonął także jej oryginalny posąg. Hm, skąd więc wiedziałyście, jak naprawdę wyglądała?

Twarcz Matki Przełożonej Harishki zmarszczyła się w uśmiechu i padła zagadkowa odpowiedź:

– No cóż, nie bez powodu nazywają nas czarownicami.

W milczeniu poprowadziła ich w dół szerokich schodów, a potem poprzez rozległą szklarnię, gdzie akolitki i siostry uwijały się wokół egzotycznych ziół i krzewów. Może leczniczych, może trujących.

O Szkole Macierzystej krążyło mnóstwo legend, widziało ją na własne oczy bardzo niewielu mężczyzn i Leto był zaskoczony ciepłym odzewem, z jakim spotkała się jego dość obcesowa prośba. Zwrócił się do Bene Gesserit, aby wyszukały utalentowaną, inteligentną przyjaciółkę dla Rhombura, który się temu nie sprzeciwiał.

Szybkim krokiem Harishka przeprowadziła ich przez wielkie trawiaste boisko, gdzie niewiasty w krótkich, lekkich tunikach wykonywały nieprawdopodobne ćwiczenia na rozciąganie mięśni, zgodnie z komendami podawanymi przez wiekową instruktorkę, która w niczym im nie ustępowała. Leto nie mógł się nadziwić ich panowaniu nad ciałem.

Kiedy wreszcie znaleźli się w dużym budynku o stropach z czarnych belek i gładkich polerowanych posadzkach, Leto był rad, że wreszcie schronili się przed dotkliwym wiatrem. Gładkie stare ściany pachniały wapnem. Z foyer widać było wejście do dużej sali treningowej, w której kilkanaście młodych kobiet zastygło w bezruchu niczym żołnierze podczas przeglądu. Kaptury ich szat były zrzucane na szyje.

Matka Przełożona zatrzymała się przed akolitkami. Obie towarzyszące jej Wielebne Matki stanęły na drugim końcu sali.

– Kto tutaj szuka konkubiny? – spytała Harishka, co stanowiło integralną część tradycyjnego rytuału.

Rhombur zrobił krok do przodu i powiedział:

– Ja... hm, to znaczy księżę Rhombur, pierworodny syn Dominika Verniusa i prawowity jego dziedzic. Właściwie... właściwie szukam żony. – Zerknął przez ramię na Leto i dodał odrobinę ciszej. – Ponieważ mój ród zdecydował się na banicję, więc nie muszę odgrywać głupich politycznych komedii, w przeciwieństwie do niektórych moich znajomych.

Leto się zarumienił, przypomniał sobie bowiem nauki, jakich udzielał mu ojciec: „Miłości szukaj, gdzie ci się podoba, ale nigdy nie żeń się z miłości. Twój tytuł należy do rodu Atrydów i wykorzystaj go, aby zrobić jak najlepszy interes”.

Odbył właśnie podróż na Ekaz, aby z arcyksięciem Armandem spotkać się w prowizorycznej stolicy po ataku dywanowym, jaki Moritaniowie przypuścili na starodawny pałac. Dzięki interwencji Cesarza, który wysłał legion sardaukarów na Grumman w celu przywołania wicehrabiego do porządku, wrogie działania między obu rodami przynajmniej chwilowo wygasły.

Arcyksiążę Armand Ekaz zażądał powołania komisji śledczej, aby zbadała oskarżenia o niszczenie lasów mgielnych oraz inne akcje sabotażu, ale na to Szaddam się nie zgodził. „Nie należy budzić śpiących psów” – brzmiała oficjalna odpowiedź władcy, który na wysłaniu korpusu ekspedycyjnego chciał zakończyć całą sprawę.

Doceniając wysiłki Leto, który usiłował załagodzić konflikt między rodami, arcyksiążę dał do zrozumienia, że jego najstarsza córka Sanya mogłaby wchodzić w grę jako połowica księcia Atrydy. Leto nawet nie nastając na zobaczenie swej ewentualnej małżonki, starannie rozważył gospodarcze, polityczne i militarne zalety rodu Ekazów, a także ich wartość z punktu widzenia Kaladanu. Ojciec byłby z niego zadowolony: polityczne studium korzyści z małżeństwa...

– Te wszystkie młode kobiety – powiedziała Matka Przełożona – nauczono tysięcznych sposobów, by uprzyjemniać życie szlachetnie urodzonym towarzyszom. A wszystkie zostały dobrane z uwagi na twą osobę, książę.

Rhombur zaczął się przypatrywać wszystkim dziewczynom po kolei. Blondynki, brunetki, rudawe, niektóre z cerą jasną jak mleko, inne ze skórą ciemną jak heban. Wszystkie piękne, inteligentne... wszystkie wpatrzone w niego z uwagą i wyczekiwaniem.

Znając przyjaciela, Leto nie był zdziwiony, kiedy Rhombur zatrzymał się przed dość zwyczajnie wyglądającą akolitką z szeroko rozstawionymi oczami barwy sepii i płowymi, krótko, po męsku ostrzyżonymi włosami. W przeciwieństwie do innych nie spuściła wzroku w udanym stropieniu, a na jej wargach zaigrał najdelikatniejszy z uśmiechów.

– Na imię ma Tessja – rozległ się głos Harishki. – Bardzo inteligentna i utalentowana. Potrafi z pamięci recytować klasycznych poetów i umie grać na kilku instrumentach.

Rhombur ujął Tessję pod brodę, spojrzał w oczy i spytał:

– Ale czy potrafisz śmiać się z żartów? A jeszcze lepiej: odpowiadać na nie własnymi?

– A powiedz, panie – odparła dziewczyna – czy wolisz subtelną grę słów czy kawał tak sprośny, że sam się zaczerwienisz?

Rhombur zaśmiał się zachwycony.

– Ta i żadna inna!

Chwycił Tessję za rękę, a ona po raz pierwszy podążyła kornie za nim. Leto był rad, widząc przyjaciela tak uszczęśliwionego, chociaż zarazem zrobiło mu się ciężko na sercu, gdyż jeszcze mocniej uświadomił sobie własną samotność. Rhombur często działał pod wpływem impulsu, ale miał szczęście, że mógł sobie na to pozwolić.

– Chodźcie tutaj, dzieci – poważnym tonem powiedziała Harishka. – Stańcie przede mną i

pochylenie głowy.

Trzymając się za ręce, postąpili zgodnie z poleceniem. Leto zrobił krok do przodu i ojcowskim gestem poprawił Rhomburowi kołnierz, a także strzepnął jakiś pyłek z poły kurtki. Książę z Ix zarumienił się, a potem bąknął jakieś słowa podziękowania.

– Obyście oboje – ciągnęła Harishka – wiedli długie, aktywne życie i cieszyli się nawzajem swoim towarzystwem. Stanowicie odtąd parę, a jeśli w następnych latach zechcecie wyjść poza granice konkubinatu i zawrzeć małżeństwo, z góry macie na to błogosławieństwo Bene Gesserit. Jeśli jednak, książę, rozczarujesz się co do Tessji, zawsze może powrócić tutaj do szkoły.

Leto był nieco zaskoczony, że taka ceremonia wiąże się z tym, co koniec końców było tylko dobiciem interesu, a on poprzez kuriera z Kaladanu znacznie wcześniej już uzgodnił cenę. Musiał jednak przyznać, że słowa Matki Przełożonej przydawały znaczenia tej chwili i były niezłym fundamentem dla dobrej przyszłości, jeśli ta miała się stać udziałem Rhombura i Tessji.

– Książę, to niezwykła kobieta, wyszkolona w tak licznych dziedzinach, że nieraz cię to zaskoczy. Idź za jej radą, gdyż mimo młodego wieku posiadała wielką mądrość.

Z tymi słowami Matka Przełożona odstała do tyłu. Tessja nachyliła się do ucha Rhomburowi, a ten zaśmiał się wesoło, a potem spojrzął na przyjaciela i powiedział:

– Tessja postawiła interesujące pytanie, Leto. A dlaczego i ty nie miałbyś znaleźć sobie tutaj konkubiny? Wspaniały wybór, musisz przyznać! – Wskazał gestem pozostałe akolitki. – Dzięki temu nie będziesz już musiał robić takich słodkich oczu do mojej siostry!

Leto splonął się ze złości. To, że od dawna pozostawał pod urokiem Kailei, musiało zwrócić uwagę innych, chociaż starał się ukrywać swoje sympatie. Musiał walczyć z pragnieniem, by zostali kochankami, przeciw temu bowiem przemawiały powinności książęce i przestrogi ojca.

– Nie zbywa mi na przyjaciółkach, Rhomburze. Dobrze wiesz, że liczne młode Kaladanki uważają swego księcia za dość pociągającego. Nie ma w tym nic wstydliwego, a dzięki temu nie stanowią zagrożenia dla dobrego imienia twojej siostry. Rhombur przewrócił oczami.

– A zatem córka jakiegoś rybaka jest dla ciebie dobra, a moja siostra nie?!

– Nie udawaj, że nie rozumiesz. Chodzi mi o honor twojego rodu i twój własny.

– Obawiam się – wtrąciła się Harishka – że chociaż zgromadziłyśmy tutaj znakomite dziewczęta, to jednak zostały one dobrane pod twoim kątem, książę, i dlatego nie będą odpowiednie dla księcia Atrydy. – Przygryzła wargi. – Ale gdyby rzecz całą przygotować... – Zerknęła w górę, jak gdyby ktoś ich obserwował z górnych pięt.

– Nie przyjechałem tutaj szukać konkubiny – powiedział naburmuszony Leto.

– Hm, to bardzo niezależny duch – powiedział Rhombur pod adresem Matki Przełożonej, a uniósłszy brwi do Tessji, spytał: – No i co z nim począć?

– Wie, co dla niego dobre, ale nie może się do tego przyznać przed samym sobą –

powiedziała z chytrym uśmiechem. – To nie najlepsza cecha u władcy.

Rhombur stuknął Leta w ramię.

– Słyszysz, już zaczyna dawać dobre rady. Dlaczego nie weźmiesz sobie Kailei jako konkubiny i w ten sposób nie rozwiążesz całej sprawy? Zaczynają mnie już nużyć te twoje wątpliwości. Na pewno nie stoi to w sprzeczności z twoimi obowiązkami, a obaj wiemy, że nic lepszego nie może jej spotkać.

Leto machnął tylko ręką, choć niejedną już raz zastanawiał się nad tym pomysłem. Nie miał jednak śmiałości zwrócić się do Kailei z taką propozycją. Jak by zareagowała? A gdyby potem chciała zostać kimś więcej niż tylko konkubiną, a to z oczywistych względów było niemożliwe?

Ona zresztą też musiała zdawać sobie sprawę z politycznych realiów. Przez obaleniem Verniusów nie byłaby może złą partią dla Leta (niewykluczone, że Paulus miał takie plany), teraz jednak jako głowa rodu Atrydów nie mógł pojąć za żonę osoby, która nie miała oficjalnego tytułu cesarskiego ani lenna.

*Czym jest miłość, o której tak wielu wypowiada się z rzekomą znajomością rzeczy? Czy naprawdę pojmujesz, jak jest ona niezgłębiona? Czyż nie ma tylu jej definicji, ile jest gwiazd na niebie?*

### ***z Księgi pytań Bene Gesserit***

Z wewnętrznego balkonu dwunastoletnia Jessika obserwowała wybór konkubiny oczami dziecka, ale pełnymi uwagi i spostrzegawczości. Ponieważ stojąca obok niej Wielebna Matka Mohiam kazała baczyć na wszystko, starała się więc nie uronić żadnego szczegółu.

„Dlaczego to takie ważne?”

W dole, na lśniącym parkiecie Matka Przełożona rozmawiała z młodym księciem i jego nowo wybraną konkubiną, Tessją al-Reill. Jessika nie spodziewała się takiego wyboru; kilka akolitek było znacznie piękniejszych, bardziej przyciągających uwagę... Jessika nie знаła jednak osobowości księcia ani jego gustów.

Może piękno go onieśmiewało, co świadczyłoby o niezbyt wysokim mniemaniu o sobie? Może Tessja przypominała mu osobę z jakiegoś powodu dla niego ważną? A może po prostu pociągało go w niej coś trudnego do określenia... oczy, kształt ust, uśmiech?

– Nigdy nie staraj się zrozumieć miłości – odezwała się chrapliwym szeptem Mohiam, która odgadła myśli dziewczynki. – Natomiast uważnie obserwuj, co ona robi z ludźmi.

W dole jedna z Wielebnych Matek przedkładała właśnie księciu jakiś dokument do podpisania. Nad jego ramieniem nachylał się, aby odczytać dokument, czarnowłosy szlachcic

o jastrzębim profilu. Jessika nie słyszała słów, dobrze jednak znała Rytuał Zobowiązania.

Czarnowłosa księżę poprawił kołnierz przyjaciela. Tyle było opiekuńczości w tym geście, że nie mogła powstrzymać się od uśmiechu.

– Wielebna Matko, czy i ja zostanę kiedyś przedstawiona jakiemuś szlachetnie urodzonemu? – spytała. Nikt nie zdradził jej, jakie plany ma zakon w związku z jej osobą, a ciekawość, jaką okazywała w tej sprawie, niepomrotnie irytowała Mohiam. Także teraz, zgodnie z oczekiwaniami Jessiki, zmarszczyła gniewnie czoło.

– Dowiesz się we właściwym czasie. Mądrość wyraża się między innymi w tym, by wiedzieć, kiedy zadawać pytania.

Jessika nie po raz pierwszy została tak upomniana, wiedziała więc, co odpowiedzieć.

– Tak, Wielebna Matko, niecierpliwość jest oznaką słabości.

Bene Gesserit miały wiele maksym, a Jessika wszystkie je musiała znać na pamięć. Westchnęła teraz, na tyle jednak cichutko, by jej opiekunka tego nie zauważyła. Nie ulegało wątpliwości, że siostry wiązały z nią jakieś oczekiwania – dlaczego ich nie ujawnić? Większość akolitek wiedziała, co je czeka, tylko nie ona; wszelkie indagacje dotyczące przyszłości napotykały na mur milczenia.

„Do czegoś mnie szykują. Otrzymam jakąś ważną misję”. Dlaczego Mohiam zależało na tym, aby obejrzała tę właśnie uroczystość? Nie mogło to być przypadkowe; w posunięciach Bene Gesserit nie było niczego nie przemyślanego, pozostawionego ślepemu trafowi.

– To nadzieja dla ciebie, dziecko – wymruczała Mohiam. – Kazałam ci się przyglądać, ale obserwujesz niewłaściwą osobę. To nie ten stojący obok Tessji. Obserwuj uważnie tego drugiego, przyglądaj się obu mężczyznom, jak się zachowują, jak się do siebie zwracają. Powiedz mi, co widzisz.

Jessika wpatrywała się w nich intensywnie. Wzięła głęboki oddech, pozwoliła mięśniom rozluźnić się, myśli pojaśniały jak minerał włożony do przejrzystej wody.

– Obaj szlachetnie urodzeni, ale nie są spokrewnieni, jeśli sędzić po różnicy w stroju, mimice, zachowaniu – powiedziała. – Są ze sobą blisko związani od wielu lat. Nie są sobie równi. To czarnowłosa troszczy się o tego drugiego.

– Co jeszcze?

Jessika wyczuła w głosie nauczycielki coś jakby podniecenie, którego źródła nie pojmowała. Zerknęła na Wielebną Matkę i zobaczyła, że jej oczy wpatrzone są właśnie w drugiego z młodzieńców.

– Po sposobie zachowania i po tym, jak się do siebie odnoszą, mogę powiedzieć, że ten czarnowłosa wydaje rozkazy i bardzo poważnie podchodzi do swych obowiązków. Ma władzę, ale wcale się tym nie upaja. Chyba nawet nie zdaje sobie do końca sprawy z tego, jak dobrym jest władcą. – Przez dłuższą chwilę obserwowała, jak młodzieniec spogląda na akolitki i dorzuciła: – Jest też samotny.

– Znakomicie. – Wielebna Matka spojrziała rozpromieniona na swą podopieczną, ale

natychmiast spoważniała. – To księżę Leto Atryda i jemu właśnie jesteś przeznaczona, Jessiko. Któregoś dnia zostaniesz matką jego dzieci.

Chociaż Jessika wiedziała, że wiadomość tę powinna potraktować beznamiętnie, jako wskazanie obowiązku zleconego jej przez zakon, to przecież poczuła, jak serce raptownie przyspieszyło.

Dokładnie w tej samej chwili, jak gdyby przeczuwając obecność Jessiki, Leto podniósł wzrok, a ich spojrzenia się spotkały. W jego szarych oczach dostrzegła wielką siłę i mądrość, nie wynikającą z wieku, ale z poczucia ciężących na nim powinności. Coś ciągnęło ją ku niemu, musiała się jednak temu przeciwstawić. Nie może poddawać się instynktom... automatycznym reakcjom... „Nie jestem przecież zwierzęciem”. Zgodnie z powtarzanymi od lat naukami Mohiam, musiała walczyć z emocjami.

W tej chwili nie czuła potrzeby zadawania żadnych więcej pytań. Odetchnęła głęboko i poczuła, jak wypełnia ją wielki spokój. Chociaż z jakiegoś powodu widok księcia sprawiał jej przyjemność... zobowiązania miała wobec zakonu. Powoli zapozna się z innymi elementami całej sytuacji i dowie się, jakie są wobec niej oczekiwania.

„Niecierpliwość jest oznaką słabości”.

Mohiam natomiast uśmiechała się do siebie w duchu. Wiedząc, jakie linie genetyczne ma ze sobą połączyć, z rozmysłem doprowadziła do tego pierwszego, na razie z oddali, spotkania Jessiki i księcia Atrydy. Jessika była punktem kulminacyjnym w toczącym się od dawien dawna procesie tworzenia Kwisatz Haderach.

Obecna kierowniczka projektu, Kwisatz Matka Anirula, żona Cesarza Szaddama, twierdziła, że sukces będzie najbardziej prawdopodobny, jeśli w obecnej generacji kobieta z linii Harkonnenów wyda na świat córkę zrodzoną ze związku z Atrydą. Ojcem Jessiki był baron Harkonnen... a kiedy osiągnie już odpowiedni po temu wiek, połączy się z Letem Atrydą.

Mohiam znajdowała w tym jakąś szczególną ironię losu, że właśnie dwaj odwieczni wrogowie – Harkonnenowie i Atrydzi – mają współuczestniczyć w realizacji celu tak niezwykle ważnego, którego nikt z przedstawicieli tych rodów nie tylko nie znał, ale nawet nie potrafił sobie wyobrazić.

Odczuwała niezwykle podniecenie; dzięki Jessice już tylko dwa pokolenia dzieliły zakon od uzyskania celu, do którego zmierzał z taką wytrwałością.

*Kiedy zadajesz pytanie, czy bardziej zależy ci na odpowiedzi czy na wykazaniu swojej władzy?*

**Dmitrij Harkonnen,**



Baron Harkonnen musiał dwukrotnie zapłacić za doktora Suk.

Był przekonany, że ogromna zapłata w melanżu przekazana premierowi Richese wystarczy na pokrycie usług doktora Wellingtona Yueha na czas potrzebny na zdiagnozowanie upokarzającej choroby i jej usunięcie. Tymczasem Yueh wcale nie był skłonny do współpracy.

Lekarz był bez reszty pochłonięty badaniami, jakie prowadził na laboratoryjnym księżycu Korona. Nazwisko barona Harkonnena nie zrobiło na nim najmniejszego wrażenia.

– Mogę pracować dla rodu Richesów – powiedział stanowczym, poważnym głosem – ale nie jestem jego własnością.

Piter de Vries, który zjawił się na Richese, aby dopatrzeć wszystkich drobiazgów, studiował rysy lekarza i zauważył w nich niewątpliwy upór. Znajdowali się w niewielkim laboratorium na pokładzie sztucznej stacji badawczej, wielkiego satelity dobrze widocznego na niebie Richese. Yueh, mężczyzna o wąskiej twarzy, długich zwisających wąsach i fali czarnych włosów zebranych w srebrny pierścień Suk, odmówił wyjazdu na Giedi Primę pomimo stanowczego polecenia premiera Calimara. „Co za bezczelny zarozumialec – myślał de Vries. – Będzie można tę cechę wykorzystać przeciw niemu”.

– Pan jest mentatem nawykłym do sprzedawania swych myśli i inteligencji patronowi. – Yueh przygryzł wargi i przyglądał się de Vriesowi, jak gdyby przeprowadzał autopsję... albo przynajmniej ją obmyślał. – Ja natomiast należę do Wewnętrznego Kręgu Suk i uzyskałem pełne Najwyższe Uwarunkowanie. – Dotknął palcem tatuażu w kształcie rombu na pomarszczonym czole. – Nie można mnie kupić, sprzedać ani wypożyczyć bez mej woli. Nie podlegam waszej władzy. A teraz proszę wybaczyć, muszę wracać do swych ważnych prac. – Skłonił się nieznacznie i odszedł w głąb pomieszczeń laboratoryjnych.

„Nikt dotąd nie pouczył go, gdzie jego miejsce... Nikt go jeszcze nie złamał” – myślał de Vries, a sytuację tę uznał za wyzwanie.

Piter zjawił się w budynkach rządowych Centrum Triady nie po to, aby wysłuchiwać przeprosin Calimara i być świadkiem jego bufonady, a po to jedynie, aby uzyskać przepustkę, która pozwoli mu powrócić do bazy satelitarnej Korona. Tym razem mentat zadbał o to, aby oprócz doktora Yueha nie było w laboratorium nikogo więcej.

„Należy raz jeszcze przedstawić propozycję”.

De Vries wolał sobie nie wyobrażać, co by się stało, gdyby powrócił na Giedi Primę bez gotowego do skwapliwej współpracy lekarza Suk.

Skradającym się krokiem wszedł do metalowego pomieszczenia pełnego aparatury, kabli i pojemników ze zwierzęcymi organami – połączenie elektromechanicznej technologii Richese, pomysłowości medycznej Suk oraz biologicznej dociekliwości. W zimnym pokoju pomimo klimatyzacji unosił się ciężki zapach płynów do czyszczenia, chemikaliów,

zgnilizny, palonego mięsa oraz przegrzanych obwodów. Na blatach stołów pełno było naczyń, rur metalowych i plazowych, wijących się jak węże przewodów. Nad stołami unosił się w powietrzu hologram przedstawiający ludzkie ciało jako układ organicznych mechanizmów.

Mentat rozglądał się po laboratorium, gdy Yueh znieacka ukazał się po drugiej stronie wypełnionej sprzętami przestrzeni, a w bijącym od dołu świetle rysy jego twarzy były tak wyraźne, jakby została zrobiona z metalu.

– Naprawdę, mentacie, proszę mi już więcej nie przeszkadzać – powiedział, nie czekając na słowa gościa i w ogóle nie interesując się, jak udało mu się znowu dostać na pilnie strzeżoną Koronę. Tatuaz będący świadectwem Najwyższego Uwarunkowania przeblyskiwał spod tłustej plamy na czole lekarza. – Jestem bardzo zajęty.

– Muszę jednak porozmawiać z panem raz jeszcze, doktorze Yueh, tego bowiem domaga się ode mnie jego ekscelencja baron.

Yueh zmrużył oczy i de Vries miał wrażenie, że jego rozmówca zastanawia się, które z projektowanych przezeń części cyborga pasowałyby do niego.

– Nie interesuje mnie stan zdrowia pańskiego barona. Takie kwestie są obecnie poza polem moich zainteresowań.

Lekarz rozejrzał się po stołach, próbkach i aparaturze, jakby one były dostatecznym uzasadnieniem. Był denerwująco pewny siebie, jakby nie dotyczyły go żadne zagrożenia i niebezpieczeństwa.

Mówiąc, de Vries zbliżył się do Yueha na odległość wystarczającą, by użyć garoty, chociaż wiedział dobrze, że gdyby zabił tego irytującego pyszałka, nie uniknąłby surowej kary.

– Mój baron był kiedyś zdrowy i dziarski, a fizyczna sprawność była źródłem jego dumy. Nie zmienił diety ani trybu życia tymczasem w ciągu dziesięciu lat niemal podwoiła się waga jego ciała. Dolegają mu też atrofia mięśni i krwotoki.

Yueh spojrzał uważnie na de Vriesa i zmarszczył brwi.

– Doktorze – spytał mentat zniżonym głosem – czy to coś panu przypomina? Zetknął się pan już z podobnymi objawami?

Yueh najwyraźniej coś sobie kalkulował. W milczeniu tak przestawił mały blat z aparaturą, aby oddzielał go od wypaczonego mentata. W odległym końcu pomieszczenia bulgotała i cuchnęła zawartość długiej szklanej tuby.

– Powinien pan wiedzieć, mentacie, że żaden doktor Suk nie udziela porady za darmo. Co szczególnie należy podkreślić w mojej sytuacji, gdy zajmuję się bardzo kosztownymi i niezwykle ważnymi badaniami.

De Vries cicho zachichotał.

– Obawiam się, że one tak pana pochłonięły, iż nie zdołał pan zauważyć, że pański obecny patron, ród Richesów, stoi na progu bankructwa. Natomiast ród Harkonnenów może

sfinansować pańskie badania na długie lata.

De Vries sięgnął do kieszeni tak raptownie, że lekarz odruchowo zmrużył oczy w obawie przez zdradziecką bronią. Mentat jednak wy dobył płaski czarny projektor sterowany dotykiem, a w następnej chwili ukazał się w powietrzu między nimi starodawny szczerozłoty kufer z klejnotami układającymi się w herb Harkonnenów na wieku i bokach.

– Jeśli wyleczy pan mojego barona, potem będzie pan mógł do woli oddawać się swoim badawczym pasjom.

Zaintrygowany Yueh wyciągnął rękę, ale dłoń bez oporu pogrzyżyła się w obrazie, chociaż rozległo się skrzypnięcie, pokrywa uniosła się i pokazała puste wnętrze.

– Możemy to napełnić, czymkolwiek będzie pan chciał. Melanżem, czarmieniami, klejnotami opafirowymi, kwarcem z Hagala... obrazami z przemytu. Wszyscy wiedzą, że każdy doktor Suk ma swoją cenę.

– To dlaczego nie kupicie sobie jakiegoś innego? Wystarczy ogłosić.

– Hmm-mhmm, wolimy bardziej dyskretne działania, o czym wspomnieliśmy premierowi Calimarowi.

Yueh ponownie wydał ciemne usta i zamyślił się głęboko. Wydawało się, że cały świat w tej chwili dla niego nie istnieje, tak mocno był skupiony.

– Nie mogę obiecać długotrwałej opieki, ale chyba mógłbym postawić diagnozę.

De Vries wzruszył kościstymi ramionami.

– Baronowi chodzi jedynie o to, co absolutnie niezbędne.

Mając w perspektywie obiecywane przez mentata bogactwo, Yueh wyobraził sobie, o ile efektywniejsza byłaby jego praca tutaj, na Koronie, gdyby mógł korzystać z odpowiednich zasobów. Ciągle jednak nie mógł się zdecydować.

– Ciężą tutaj na mnie poważne obowiązki. Protezy cyborgiczne nie są moim prywatnym kaprysem. Ich opracowanie zostało mi zlecone przez Kolegium Suk, ich sprzedaż bowiem będzie zyskowna nie tylko dla Richese, ale i dla naszej Akademii.

Z westchnieniem rezygnacji de Vries dotknął miejsca na projektorze i kufer znacznie się powiększył. Yueh pokręcił w palcach wąsa.

– Właściwie mógłbym krążyć między Richese a Giedi Primą incognito, rzecz jasna. Zajmowałbym się baronem, nie zarzucając całkowicie prac tutaj.

– Bardzo interesujące rozwiązanie – zgodził się mentat. – A więc przyjmuje pan naszą propozycję?

– Zgadzam się zbadać pacjenta. A także zdecydować, czym macie napełnić pokazany mi kufer. – Yueh zrobił gest w kierunku sąsiedniego stołu. – A teraz proszę podać mi tamtą miarkę. Straciłem już tyle czasu, że muszę bezzwłocznie zabrać się znowu do pracy.

Dwa dni później, odczekawszy trochę, aby przyzwycząć się do gęstszego powietrza i większej grawitacji Giedi Primy, Yueh sprowadził barona Vladimira Harkonnena do lecznicy

Twierdzy, w której starannie pozamykano wszystkie drzwi, zasłonięto okna, a służbę odesłano. Piter de Vries z uśmiechem przyglądał się przez judasza. Yueh pospiesznie przerzucił nagromadzone przez lata diagnozy lekarskie, a potem odłożył je na bok pogardliwym gestem.

– Durni amatorzy. Niczego lepszego nie można się po nich spodziewać.

Otworzył własną walizeczkę, a z niej wydobył zestaw skanerów, skomplikowanych narzędzi, którymi tylko absolwenci Akademii Suk potrafili się posługiwać.

– Proszę się rozebrać – polecił.

– A co to, będziemy dokazywać? – zażartował baron, jakby chciał pokazać, że nadal panuje nad sytuacją.

– Nie – mruknął zde gustowany Yueh.

Baron wyzwolił się niezgrabnie z poszczególnych elementów odzienia, zastanawiając się jednocześnie nad wymyślnymi sposobami uśmiercenia Yueha, gdyby i jemu nie udało się zaradzić jego chorobie. Zabębnił palcami po stole, na którym kazano mu się położyć.

– Żaden z lekarzy nie zalecił skutecznej terapii. Jeśli już miałbym wybierać między zdrowym ciałem a zdrowym umysłem, chciałbym, żeby to istotnie był wybór, na dodatek mój.

Yueh, na którym tubalny głos barona nie zrobił specjalnego wrażenia, nałożył okulary o zielonych soczewkach.

– Rozumiem, że to retoryczne pytanie i chce pan zachować i jedno, i drugie.

Zaczął obmacywać i obstukiwać barona, potem wyprostował się i objął jednym spojrzeniem opasłą postać leżącą na brzuchu i użalającą się na dolegliwości. Teraz sięgnął po instrumenty i po kilkunastu minutach różne poszlaki zaczęły się układać w jedną całość.

– Wydaje się, że pana choroba ma źródła seksualne. Czy pański penis jest sprawny? – spytał Yueh tak rzeczowym głosem, jakby dopytywał się o kurs akcji na giełdzie.

– Sprawny? – obruszył się Harkonnen. – To nadal najlepsza moja część!

– Rozumiem. – Yueh lekkim ruchem skalpela odciął kawałek napletka, a baron zdążył tylko zachłysnąć się powietrzem. – Potrzebna mi próbka do analizy.

Lekarz najwyraźniej nie zamierzał się sumitować, natomiast z odciętego fragmentu zdjął jeszcze drobniejszy fragmencik i wcisnął pod jeden z okularów, a następnie dostroił oświetlenie i powiększenie. Barwa próbki w okularach zmieniła się z zielonej przez szkarłat do lawendy, a lekarz zabrał się do wielostopniowej analizy chemicznej.

– Nie można się było bez tego obyć?! – warknął baron.

– To dopiero początek – oznajmił Yueh i wydobył z przybornika następne narzędzia o złowrogim wyglądem. Baron z wielką chęcią sam by z nich skorzystał w innej sytuacji. – Muszę wykonać wiele testów.

Kiedy Yueh wreszcie pozwolił baronowi się ubrać, ten poszarzały usiadł na kozetce, czując ból w niezliczonych miejscach, których dotąd w ogóle nie zauważał. Kilka razy

nawiedzała go chęć, aby zabić tego aroganckiego łapiducha, z drugiej jednak strony musiał nad sobą panować, gdyż potrzebował: najpierw – właściwej diagnozy, potem – skutecznej kuracji. Teraz nie miał już wątpliwości, że poprzednicy Yueha byli ignorantami, gotował się więc na zniesienie wszystkich dolegliwości, mając przy tym szczerą nadzieję, że samo leczenie będzie mniej bolesne. Nalał sporą porcję brandy kirana i wypił jednym haustem.

– Zredukowałem zakres możliwości, baronie – powiedział Yueh i wydał wargi. – Pańskie schorzenie jest nader rzadkie, o bardzo specyficznym charakterze. Jeśli życzy pan sobie potrójnej weryfikacji, muszę pobrać jeszcze kilka próbek.

– Wystarczy już tego – warknął baron i chwycił laskę, jakby zamierzał się nią bronić. – Co takiego wykryłeś?

– Źródło jest niewątpliwe – kontynuował beznamiętnie Yueh. – Stosunek heteroseksualny. Zaraziła pana jedna z kochanek.

Chwilowe uniesienie barona natychmiast zastąpiło zmieszanie.

– Nie mam kochanek. Kobiety napawają mnie obrzydzeniem.

– Tak, oczywiście. – Yueh nieraz już słyszał, jak pacjenci zapierają się rzeczy oczywistych. – Objawy są tak subtelne, że nie dziwię się, iż nie rozpoznali ich lekarze mniej kompetentni. O tej chorobie i im podobnych nie ma zresztą wzmianki w naukach Suk, a ja wiem o nich od mojej żony, Wonny. Należy do Bene Gesserit, siostry zaś czasami korzystają...

Baron nagle wyprostował się, płonął gniewem.

– Przeklęte czarownice!

– A więc jednak – powiedział Yueh z nie skrywaną satysfakcją w głosie. – Kiedy miał miejsce kontakt?

Baron zawahał się, a potem odpowiedział:

– Ponad dwanaście lat temu.

Yueh kręcił w palcach koniec długiego wąsa.

– Z tego, co wiem od Wonny, Wielebna Matka Bene Gesserit potrafi tak pokierować wewnętrznymi reakcjami chemicznymi ciała, aby zarodki bardzo groźnych chorób nieszkodliwie czekały na przeniesienie do innego organizmu, gdzie się aktywizują.

– A to dziwka! – ryknął baron. – Zaraziła mnie!

Na lekarzu ten fakt najwidoczniej nie zrobił żadnego wrażenia.

– Należy podkreślić, że to nie jest normalne pasywne zarażenie. Czynniki chorobotwórcze zostaje przeniesiony za sprawą aktu woli. To nie było przypadkowe, panie baronie!

Harkonnenowi przypomniała się końska twarz Mohiam, a także szyderycy uśmiech, z jakim spoglądała na niego podczas biesiady u Fenringa. Wiedziała o wszystkim. Z satysfakcją przez te lata obserwowała, jak jego ciało zamienia się we wzdętą, obrzydliwą bryłę mięsa, a na dodatek sama była tego przyczyną!

Yueh zdjął okulary i schował je do torby lekarskiej.

– Zrobiłem to, co zgodnie z naszą umową do mnie należało a teraz muszę się już jak najszybciej zbierać. Moc pracy czeka na mnie na Richese.

– Zgodziłeś się mnie wyleczyć!

Baron usiłował się zerwać, ale stracił równowagę i poleciał z powrotem na kozetkę.

– Obiecałem, że zbadam pana, i istotnie to zrobiłem. W pańskim stanie nawet lekarz Suk jest bezsilny. Nie jest znany żaden sposób na wyleczenie tej choroby, jednak będzie ona z pewnością przedmiotem intensywnych badań podjętych w Kolegium Suk.

Baronowi udało się w końcu powstać. Opierał się na lasce i z wściekłością myślał o kryjących się w jej końcu zatrutych lotkach. Na to nie mógł sobie jednak pozwolić. Zabicie doktora Suk rozeszłoby się głośnym echem, a Akademia miała liczne i ważne kontakty. Poza tym zamordował już wielu lekarzy... a ten przynajmniej znalazł odpowiedź. I wskazał właściwy obiekt zemsty. Teraz Vladimir Harkonnen wiedział, kto jest odpowiedzialny za jego upokarzający i niezdolny stan.

– Obawiam się, baronie, że jeśli ktokolwiek może panu pomóc, to tylko Bene Gesserit.

I nie zwlekając dłużej, doktor Wellington Yueh opuścił Twierdzę Harkonnenów, aby najbliższym liniowcem Gildii oddalić się na Richese, rad, że już nigdy więcej nie będzie musiał mieć do czynienia z baronem.

*Bywają kłamstwa, w które łatwiej uwierzyć niż w prawdę.*

### **z Biblii Protestancko-Katolickiej**

Nawet kiedy Gurney Halleck znajdował się w otoczeniu innych mieszkańców wioski, nadal czuł się samotny. Wpatrywał się w cienkie piwo; jeśli wypilo się go dostatecznie wiele, to chociaż słabe i kwaśnawe, sprawiało jednak, że ból w sercu stawał się bardziej tępy i przytłumiony. Rano jednak budził się ze strasznym kacem i pewnością, że nigdy już nie zobaczy siostry.

Minęło pięć miesięcy od chwili, gdy zabrał ją patrol dowodzony przez kapitana Kryubiego; przez ten czas zrosły się złamane żebra, rany wygoiły i pokryły bliznami. „Na mnie wszystko goi się jak na psie” – mówił sobie na pół drwiąco.

Już nazajutrz po porwaniu Bheth musiał się jak zwykle stawić na miejscu pracy i mozolnie kopać doły i sadzić zniechęcone bulwy. Inni spoglądali na niego z ukosa i nawet słówkiem nie wspominali o wieczornym zdarzeniu. Dobrze wiedzieli, że jeśli wyniki pracy będą odbiegały od ustalonych norm, czekać ich będzie bardzo surowa kara. Gurney wiedział, że także w innych rodzinach znikają córki, rodzice jednak nigdy się nie skarżyli ani nie rozwodzili nad takimi zdarzeniami.

W gospodzie rzadko już teraz zdarzało się, żeby Gurney coś śpiewał. Nosił wprawdzie ze sobą balisetę, ale struny głucho milczały, a wargi nie układały się do śpiewu. Siedział więc, popijał piwo i przysłuchiwał się apatycznym rozmowom swoich towarzyszy. Wszyscy użalali się na mozół pracy, pogodę, małżeńskie sprzeczki. Każde słowo jednak wchodziło Gurneyowi do głowy jednym uchem, a wychodziło drugim.

Rozpaczą napełniały go wyobrażenia, co może się dzieć z Bheth, miał jednak nadzieję, że nadal żyje. Najpewniej zamknięto ją w jednym z domów uciech Harkonnenów i zmuszano do obrzydliwych czynów. Jeśli się temu opierała, bez wątpienia czekała ją okrutna śmierć, a władcy Giedi Primy nie mieli najmniejszych kłopotów ze znalezieniem następnych dziewczyn do swych zamtuzów.

W domu rodzice starali się usunąć córkę ze swej pamięci; gdyby nie starania Gurneya, ogródek Bheth zmarniałby i zarósł. Urządzili nawet prowizoryczny pogrzeb, podczas którego mamrotali frazy z Biblii Protestancko-Katolickiej, a potem zrobili bukiet lilii i stokrotek, ulubionych kwiatów Bheth, i położyli go przed jedną cienką świeczką.

A potem wrócili do rutyny swoich mozolnych zajęć, jak gdyby nic się nie wydarzyło, jak gdyby Bheth nigdy nie istniała.

Ale Gurney tak nie potrafił.

– Zupełnie nic cię już nie obchodzi? – wykrzyknął ojcu w twarz pewnego wieczoru. – Jak mogłeś im pozwolić tak postąpić z Bheth?

– Na nic im nie pozwalałem. – Stary spoglądał na syna tak, jakby był ze szkła. – Nic nie możemy poradzić, a kiedy usiłujesz przeciwstawiać się Harkonnenom, czeka cię krwawa odpłata.

Oburzony Gurney wybiegł z domu, ale w gospodzie wcale nie było lepiej. Dzień po dniu narastało w nim rozgoryczenie z powodu zachowania rodziców. I tak mijał miesiąc za miesiącem, jeden podobny do drugiego.

I nagle, sącząc marne piwo, Gurney uświadomił sobie, co się z nim dzieje. Ta twarz, którą codziennie rano widział w lustrze mówiła mu, że przestaje być sobą. On, człowiek pełen pogody ducha, umiłowania muzyki i żartu, usiłował coś zmienić w tych ludziach, a tymczasem to oni jego zmieniali. Miał raptem dwadzieścia kilka lat, a zaczynał coraz bardziej upodabniać się do ojca.

Dookoła toczyła się leniwa rozmowa, Gurney popatrzył po krzywych ścianach i porysowanych szybach. Wszystko tak samo od pokoleń. Zaciśnął rękę na kuflu. Nie mógł pokonać Harkonnenów, atakując ich bezpośrednio, ale zdolności pozwalały mu na inne rozwiązanie. Mógł zadać baronowi i jego popiecznikom cios bardziej podstępny.

Uśmiechnął się, gdyż poczuł, jak wstępują w niego nowe siły.

– Ej, posłuchajcie! Mam dla was piosenkę, jakiej jeszcze nie słyszeliście.

Pozostali uśmiechnęli się niepewnie. Gurney wziął balisetę i zaczął śpiewać do melodii żwawej i głośniejszej.

*Harujemy na polach, harujemy w miastach  
I życia innego nie znamy, nie mamy;  
Gdyż miarę ma wszystko: rzeki szerokie i góry wysokie,  
I baron co tłusty nad podziw.*

*Bez radości żyjemy, umieramy w smutku  
I taki już los nam jest dany w udziale,  
Gdyż miarę ma wszystko: doliny głębokie i morza ogromne,  
I baron co tłusty nad podziw.*

*Siostrzyczki nam kradną i braci nam łamią,  
A ludzie udają, że nic się nie dzieje,  
Bo miarę ma wszystko: harówka straszliwa, wytchnienia czas krótki  
I baron co tłusty nad podziw...*

*Niczym wielka pijawka.*

Oczy słuchających rozszerzyły się z przerażenia.

– Ej, Halleck, przestań natychmiast, jeśli ci życie miłe – powiedział jeden z mężczyzn, podnosząc się z krzesła.

– A to dlaczego, Perd? – spytał Gurney z szyderczym uśmiechem. – Tak uwielbiasz barona? Podobno takich postawnych chłopaków jak ty lubi ściągać do swoich sypialni.

I Gurney, w poczuciu cudownego wyzwolenia, dalej snuł swe drwiące strofy; nigdy dotąd nie czuł się tak szczęśliwy podczas śpiewu. Wiele osób chyłkiem wymykało się z gospody, ale w niczym nie hamowało to zapałów Hallecka, który dopiero dobrze po północy uznał, że czas wracać do domu.

Szedł sprężystym krokiem, w poczuciu, że oddał cios swoim prześladowcom, nawet jeśli ci nie zdawali sobie z tego sprawy. Było już późno, wstawać trzeba było o tej samej wczesnej godzinie, ale zupełnie się tym nie przejmował. W domu starannie umieścił balisetę w schowku, rzucił się na prycę i niemal natychmiast zasnął z uśmiechem na ustach.

Niecałe dwa tygodnie później, trzy godziny przed świtem, w Dmitriju pojawił się patrol Harkonnenów. Uzbrojeni gwardziści załomotali w drzwi domku, chociaż Halleckowie nigdy ich nie zamykali. Umundurowani żołdacy wdarli się do środka, nastawiając jarzyce na pełne światło, brutalnie przewracając i łamiąc sprzęty. Na zewnątrz zdążyli już wyrwać z donic wszystkie rośliny, jakie posadziła Bheth, a teraz zrywali zasłony z niewielkich okien.

Matka z krzykiem skuliła się na łóżku; ojciec podbiegł do drzwi sypialni, a na widok



żołnierzy, przerażony, zatrzasnął je przed nimi, ani myśląc o obronie domu. Ale intruzów interesował jedynie Gurney. Nie zdążył wyskoczyć z łóżka, a chociaż walczył, natychmiast został unieruchomiony przez chwytające go ze wszystkich stron ręce. Rozbawieni jego oporem, napastnicy cisnęli Gurneyem o kominek, czego efektem był wybity ząb i posiniaczona twarz. Kiedy wstał na czworaka, aby się podnieść, dwóch żołdaków zaczęło wymierzać mu kopniaki w żebra.

Jeden z gwardzistów z okrzykiem triumfu wy dobył z niewielkiego schowka balisetę i ułożył ją na podłodze. Kryubi kazał tak obrócić głowę Gurney, żeby dokładnie widział, jak kapitan stopą miażdży instrument, czemu wtórował rozpaczliwy brzęk strun.

Gurney jęknął przeraźliwie, gdyż ta dewastacja bardziej go zabolęła niż którykolwiek z otrzymanych ciosów. Oto niszczyli mozolną pracę, jaką włożył w naprawę instrumentu, a także radość, jaką z niego czerpał.

– Sukinsyny! – warknął, za co spadł na niego grad ciosów.

Skupił się na tym, aby zapamiętać ich twarze, a w jednej rozpoznał brązowowłosego mieszkańca sąsiedniej wioski, który niegdyś kopał rowy jak wszyscy, ale miał na sobie nowiutki mundur i oznaki niskiej rangi immenbrecha. Innym z brutali okazał się człowiek o kulfoniastym nosie i zajęczej wardze, który opuścił Dmitrij przed pięcioma laty. Podobnie jednak jak reszta patrolu, żaden z nich nie przejawiał najmniejszego współczucia. Byli teraz ludźmi barona i za nic nie chcieliby wracać do dawnego życia. A kiedy uświadomili sobie, że Gurney ich rozpoznał, zaczęli go katować z jeszcze większą pasją.

Kryubi stał wyprostowany, spoglądał srogim i taksującym wzrokiem. Pocierał palcem niewielki wąsik i w ponurym milczeniu czekał, podczas gdy jego ludzie kopali i okładali pięściami Gurneya, czerpiąc dodatkową energię z faktu, że ich ofiara nie krzyczała tak często, jak by sobie tego życzyli. W końcu przestali, by złapać oddech i wyciągnąć zza pasów pałki.

Przerwali, kiedy Gurney nie mógł już zrobić żadnego ruchu, mając połamane kości i skórę ziejącą ranami. Leżał w ostrym świetle wiszących grupkami jarzyc, krwawiąc i jęcząc.

Kryubi ruchem ręki polecił gwardzistom, by się wycofali, oni zaś, wychodząc, zabrali ze sobą wszystkie jarzyce z wyjątkiem jednej. W jej świetle Kryubi patrzył na zmasakrowanego młodzieńca, kręcąc głową, a potem przyklęknął nad nim i zaczął mówić głosem tak cichym, że tylko Gurney mógł go usłyszeć. Ten, pomimo straszliwego bólu, słuchał zdumiony, spodziewałby się bowiem, że kapitan będzie darł się triumfalnie, aby wszyscy mieszkańcy osady mogli go usłyszeć. Tymczasem Kryubi wydawał się przygnębiony.

– Większość ludzi byłaby bardziej rozsądna i o wiele wcześniej przestałaby się stawiać. Sam to na siebie ściągnąłeś, Gurneyu Halleck. – Raz jeszcze pokręcił głową. – Dlaczego mnie do tego zmusiłeś? Tym razem jeszcze zachowałem cię przy życiu, ale jeśli nadal będziesz przeciwstawiał się Harkonnenom, będziemy musieli cię zabić. – Wzruszył ramionami. – A może zabijemy twoich rodziców, a ciebie tylko okaleczymy. Jeden z moich ludzi bardzo wprawnie wyjmuje oczy gołymi rękami.

Po kilku nieudolnych próbach Gurneyowi wreszcie udało się przemówić:

– Bydlaki! – stęknął. – Gdzie moja siostra?

– Nic ci już teraz do niej. Siedź tutaj cicho i zapomnij. Wykonuj posłusznie swoją pracę, gdyż każdy z nas musi na swój sposób służyć baronowi, a gdy ty nie wykonujesz swoich obowiązków – nozdrza Kryubiego zadrżały – wtedy przychodzi pora na mnie. Pamiętaj: jeśli znowu będziesz mówił coś przeciwko baronowi, jeśli będziesz go obrażał czy wyśmiewał się z niego, wtedy ja muszę reagować. Mam nadzieję, że wystarczy ci rozsądku na to, żeby o tym pamiętać, co?

Gurney mruknął coś niezrozumiale. Niezależnie od bólu, wypełniał go gniew. Przysięgał sobie, że Harkonnenowie zapłacą za każdą kroplę krwi, którą wylał tu na podłogę. Nie ustanie w wysiłkach, aby się dowiedzieć, jak los spotkał Bheth, a jeśli jakimś cudem pozostała jeszcze przy życiu, postara się ją oswobodzić.

Kryubi ruszył do wyjścia, gdzie w pojeździe czekali już na niego podwładni, ale w progu spojrzął jeszcze przez ramię na Gurneya i powiedział:

– Nie każ mi tutaj wracać. – I dorzucił dziwne słowo: – Proszę.

Gurney leżał, zastanawiając się, ile czasu będzie musiało upłynąć, zanim rodzice zdecydują się wyjść z sypialni i sprawdzić, czy jeszcze żyje. Był też ciekaw, czy po odjeździe żołnierzy ktokolwiek z sąsiadów zainteresuje się, co się stało u Hallecków.

Ale cała osada była jak wymarła. Wszyscy udawali, że niczego nie widzieli i nie słyszeli.

*Najostrzejsze są granice, które się samemu ustala.*

**Friedre Ginaz,**  
***Filozofia mistrza miecza***

Kiedy Duncan Idaho przybył do Szkoły Ginazów, był zdania, że już sam miecz Starego Księcia zagwarantuje, iż stanie się wielkim wojownikiem. Przepelniały go romantyczne wizje, wyobrażał sobie, jakie wykwintne życie będzie wiódł i jakich wspaniałych technik i sztuczek bojowych się nauczy. Miał dopiero dwadzieścia lat, a już otwierała się przed nim wspaniała przyszłość.

Tymczasem rzeczywistość okazała się zupełnie inna.

Szkoła Ginazów okazała się archipelagiem małych wysepek rozsianych po turkusowej wodzie. Na każdej z nich inny z mistrzów uczył tego, co było jego specjalnością, a więc użycia tarczy i walki przeciw niej, taktyki boju, politycznych aspektów wojny, filozofii walki. W trakcie ośmiu lat nauki Duncan miał się przenosić z jednej wyspy na drugą i pobierać nauki u najwybitniejszych w całym Cesarstwie wojowników.

Jeśli przeżyje.

Na głównej wyspie archipelagu, otoczonej przez barierę raf, mieścił się port kosmiczny i centrum administracyjne. Wzniesione tu wysokie budynki przypominały Duncanowi szczecinę szczura, którego chował w więziennym domu na Giedi Primie.

Cieszący się sławą w całym Cesarstwie mistrzowie miecza Ginazów częściej wznosili muzea i mauzolea niż przybytki szkolne, co odzwierciedlało ich zaufanie do własnych umiejętności bojowych, które graniczyło wręcz z zarozumiałstwem. Politycznie neutralni skupiali się na samej wiedzy, a swym wychowankom nie narzucali żadnych ograniczeń, jeśli chodzi o zobowiązania i lojalność. Elementem mitycznej wręcz sławy był fakt, że absolwentami Szkoły Ginazów byli przywódcy licznych Wysokich Rodów wchodzących w skład Landsraadu. Artyści w pieśniach sławili i upamiętniali wielkie czyny bohaterów stąd się wywodzących.

W najwyższym wieżowcu, gdzie na końcu kursu Duncan miał zdawać egzamin, mieścił się grobowiec Jool-Noreta, założyciela Szkoły. Sarkofag był całkowicie odsłonięty, otoczony tylko przejrzystym pancernym plazem i polem Holtzmana, ale tylko wybrańcy mogli na niego popatrzeć.

Duncan poprzysiągł sobie, że musi się okazać godny tego zaszczytu.

W porcie kosmicznym czekała na niego szczupła, łysa kobieta w czerni *gi* sztuk wojennych. Energiczna, rzeczowa, przedstawiła się jako Karsty Toper.

– Mam się zaopiekować twoim bagażem – poinformowała i wyciągnęła rękę po plecak i podłużne pudło, w którym krył się miecz Starego Księcia.

Duncan cofnął się o pół kroku.

– Jeśli dasz mi słowo honoru, że tym rzeczom nic się nie stanie.

Zmarszczyła czoło, a ruch ten przeniósł się też na skórę czaszki.

– Dla nas honor jest ważniejszy niż dla któregokolwiek z Wysokich Rodów Landsraadu.

Czekała z wyciągniętą dłonią.

– Na pewno nie bardziej niż dla Atrydów – sprzeciwił się Duncan, nadal nie chcąc się rozstać z mieczem.

Karsty Toper przygryzła wargę w zamyśleniu.

– Istotnie, może nie bardziej niż dla Atrydów. Ale też i nie mniej.

Duncan przekazał jej oba swoje pakunki, ona zaś poprowadziła go do ornitoptera dalekiego zasięgu.

– Wsiadaj. Polecisz teraz na twą pierwszą wyspę. Wykonuj bez szemrania wszystkie polecenia i wykorzystuj każdą okazję do nauki. A bagaże będą czekały na odpowiedni moment.

I tak oto, nie obejrzawszy nawet miasta ani głównego budynku Szkoły Ginazów, Duncan został przeniesiony na płaską, bujnie porośniętą wyspę, która z powietrza przypominała unoszący się na wodzie liść lilii. Z bliska można było zobaczyć gęsty las i nieliczne

zabudowania. Trzech umundurowanych członków załogi ornitoptera podprowadziło go do wyjścia i kazało zeskoczyć na piach plaży, po czym zatrzasnęli drzwiczki i ornitopter wzbił się w powietrze. Duncan stał i wsłuchiwał się w odgłos fal, które przypominały mu Kaladan. Zaczynał podejrzewać, że to jakiś sprawdzian.

Spomiędzy palm wynurzył się ogorzały od słońca mężczyzna o zmierzwionych siwych włosach i długich, żylastych kończynach. Miał na sobie czarną bluzę bez rękawów i pas. Zatrzymał się przed przybyszem, marszcząc lekko oczy przed jaskrawym słońcem.

– Nazywam się Duncan Idaho. Czy pan jest moim pierwszym nauczycielem?

– Nauczycielem? – Mężczyzna prychnął. – Tak, szczerku, nazywam się Jamo Reed, ale więźniowie nie używają tutaj imion, bo każdy zna swoje miejsce. Wykonuj swoje obowiązki i nie przysparzaj kłopotów. Jeśli inni nie będą potrafili utrzymać cię w ryzach, wtedy przychodzi kolej na mnie.

„Więźniowie?”

– Przepraszam, ale musiała nastąpić jakaś pomyłka. Mam pobierać tutaj nauki mistrza miecza i...

– Mistrz miecza?! To ci dopiero!

Nie usiłując niczego tłumaczyć, mężczyzna dołączył Duncana do brygady roboczej złożonej z krajowców, z którymi musiał się porozumiewać na migi, żaden z nich bowiem nie mówił w galachu.

Upłynęło kilkanaście skwarnych dni, podczas których kopali kanały i studnie mające usprawnić system irygacyjny wyspy. Powietrze, pełne drapieżnych much, było tak gęste, że Duncan z trudem łapał oddech. Wieczorem muchy znikaly, ale wtedy pojawiały się moskity i czarna mszyca; nie minęło wiele czasu, a skóra Duncana pokryta była strupami. Nieustannie też musiał pić wodę, aby uzupełnić straty spowodowane poceniem się.

Kiedy on odwalał pod palącymi promieniami słońca wielkie głazy, nadzorca Reed stał spokojnie w cieniu mangowca, z rękami założonymi na piersi, a z jednej zwisała szpicruta. Nigdy nie padło ani słowo na temat szkolenia czy mistrzów miecza, Duncan zaś ani się nie żalił, ani o nic nie pytał. Spodziewał się, że w Szkole Ginazów będą się dziać rzeczy... niespodziewane.

„To musi być jakiś sprawdzian”.

Zanim skończył dziewięć lat, zdążył już zaznać okrutnych tortur z rąk Harkonnenów. Glossu Rabban na jego oczach zamordował rodziców. Potem służył jako zwierzę łowne, ale udało mu się zabić kilku myśliwych w Leśnej Stanicy i uciec z Giedi Primy, później pod swą opiekę wziął go książę Paulus Atryda, ale niedługo potem został zabity na arenie przez byka. Teraz, po dziesięciu latach spędzonych na dworze Atrydów, każdy dzień uważał za kolejny etap ćwiczeń, które miały go zahartować do późniejszych bitew. Tak, musi zostać mistrzem miecza Ginazów.

Miesiąc później inny ornitopter zostawił na plaży rudego, szczupłego chłopaka. Przybysz

rozglądał się dookoła zdziwiony i zaskoczony – najpewniej tak jak wcześniej Duncan. Nie dając im czasu na nic innego, Reed natychmiast zagnał brygadę do karczowania tępych maczetami dżungli, która, jak się wydawało, zarastała równie szybko, jak oni ją wycinali. Może na tym polegał sens tej potępięcej pracy: nie kończący się, daremny wysiłek, jak w micie o Syzyfie, z którym Duncan zapoznał się podczas nauk pobieranych na dworze Atrydów.

Rudzielca Duncan zobaczył dopiero po dwóch dniach. Szykował się do snu, kiedy posłyszał, że po drugiej stronie obozowiska przybysz pojękuje z powodu poparzenia słonecznego na plecach. Duncan podkraść się do niego i zaczął nacierać najgorsze miejsca gęstą maścią, którą dostał od krajowców.

Tamten związał się z bólu pod dotykiem, ale nie wydał żadnego okrzyku. Na koniec przemówił do Duncana w galachu:

– Dzięki ci, kimkolwiek jesteś. – Przez chwilę leżał z przymkniętymi oczami, a potem mruknął: – Dziwny sposób na prowadzenie szkoły, nie uważasz? Co ja tu, u diabła, robię?

Nazywał się Hiih Resser, a pochodził z jednego z Rodów Niskich z Grumman. Do tradycji rodzinnej należało to, że w każdym pokoleniu jeden z mężczyzn udawał się do Szkoły Ginazów, a teraz okazało się, że Hiih był jedynym możliwym wyborem.

– Najodpowiedniejszy, ale pośród jeszcze marniejszych. Dla mnie wysłanie tutaj to jak zły sen, a ojciec jest pewien, że mi się nie uda. Zresztą nikt nie ma o mnie wysokiego mniemania.

Żaden z nich nie rozumiał, dlaczego zostali zesłani na wyspę skazańców.

– Może chodzi o to, aby nauczyć nas twardości – sugerował Duncan.

Kiedy nazajutrz Jamo Reed zobaczył, że chłopcy rozmawiają ze sobą, potargał swoją białą czuprynę i natychmiast ich rozdzielił, wyznaczając do prac prowadzonych na przeciwnych skrajach wyspy.

I znowu Duncan nie widział Resslera przez jakiś czas.

Mijały miesiące bez żadnych wyjaśnień, bez żadnych ćwiczeń układających się w zrozumiałą całość. Duncan zaczynał się irytować; bezsensowna strata czasu, który mógł poświęcić na służbę rodowi Atrydów. Czy pozostanie tu już na zawsze, a wszystkie marzenia o zostaniu mistrzem miecza musi uznać za mrzonkę?

Pewnego poranka, kiedy leżał, wyczekując wzywającego do pracy okrzyku Reeda, usłyszał nagle rytmiczny łopot skrzydeł ornitoptera i jego serce mocniej zabiło. Kiedy wyszedł przed chatę zrobioną z gałęzi, zobaczył, że maszyna ląduje na białej plaży tuż poza zasięgiem fal, a od łopotu skrzydeł liście palm trzepoczą jak podczas sztormu.

Z ornitoptera wyłoniła się szczupła postać w czarnym *gi* i stanęła przed Jamo Reedem, który uśmiechnął się i serdecznym gestem wyciągnął dłoń w powitaniu. Duncan nawet nie podejrzewał, że może mieć tak białe zęby. Karsty Toper odwróciła się i przebiegła wzrokiem po więźniach, którzy zaciekawieni wylegli przed swe chaty.

Nadzorca Reed odwrócił się tyłem do więźniów, stając obok ich walących się chatynek.

– Duncan Idaho! – zawołał. – Biegiem tutaj, szcurze.

Duncan rzucił się pędem przez kamienistą plażę. Kiedy zbliżył się, w plazowym oknie zobaczył uśmiechniętą od ucha do ucha twarz Hiiha Resslera. Kobieta lekko skłoniła głowę, a potem uważnie obejrzała ciało Duncana, by wreszcie zwrócić się do nadzorca w galachu:

– Mistrzu Reed, czy to sukces?

Zapytany wzruszył kościstymi barkami, a w jego oczach pojawił się jakiś cieplejszy odcień.

– Inni nie usiłowali go zabić, on sam nie powodował kłopotów, a udało się wygnać z niego trochę słabości i niepotrzebnego tłuszczu.

– Więc to była jednak część szkolenia? – spytał Duncan. – Brygada robocza, żebym stwardniał?

Łysa kobieta położyła ręce na wąskich biodrach.

– To prawdziwi więźniowie, Idaho, którzy odsiadują tutaj dożywotnie wyroki.

– I posłaliście mnie między nich?

Jamo Reed podszedł i klepnął go w ramię.

– Tak, szcurze, a tobie udało się to przeżyć. Podobnie jak Hiihowi Resslerowi. – Szturchnął Duncana żartobliwie w bok. – Jestem z ciebie dumny.

Zakłopotany Duncan mruknął:

– Gdy miałem osiem lat, widziałem gorsze więzienie od tego.

– I jeszcze nieraz takie zobaczysz – powiedziała Karsty Toper. – Tutaj chodziło o szkołę charakteru, posłuszeństwa... i cierpliwości. Ta mistrzowi miecza jest nieodzowna, gdyż musi rozpoznać przeciwnika, ułożyć plan, zorganizować zasadzkę i umieć w niej czekać.

– Ale chyba zwykle ma więcej informacji – burknął Duncan.

– Teraz już wiemy, jak potraficie sobie radzić zdani na siebie – powiedział Reed i zmarszczył nos. – Tylko nie zawiedźcie mnie na dalszych etapach. Chciałbym was obu zobaczyć na końcowym egzaminie.

– Jeszcze siedem lat z okładem – zauważył Duncan.

Toper poprowadziła go do ciągle machającego skrzydłami ornitoptera, a on z radością zauważył, że przywiozła z sobą miecz Starego Księcia. Podniosła głos, aby przekrzyczeć odgłos silników:

– Teraz czas na prawdziwe szkolenia wojenne.

*Wiedza nazbyt osobliwa może stawać się straszliwą pulapką, jeśli za jej sprawą wkraczasz na drogę, której nie możesz już wyjaśnić.*

## przeestroga mentata

W swej alkwie medytacyjnej w najdalszych głębiach Twierdzy Harkonnenów, Piter de Vries nie słyszał zgrzytu pił amputacyjnych ani wrzasku torturowanych, nazbyt bowiem był skupiony na sprawach znacznie ważniejszych.

Sprawność procesów myślowych wspomóc miały liczne twarde narkotyki.

Siedział z zamkniętymi oczami i zastanawiał się nad mechanizmami działania Cesarstwa, nad tym, jak zazębiają się różne trybiki i gdzie zgrzytają. Rody Wysokie i Niskie, Landsraad z różnymi swymi organami, Gildia Kosmiczna, Bene Gesserit, handlowe konsorcjum ZNAH – oto główne elementy, a wszystkie zależne od jednej podstawowej rzeczy.

Melanżu, przyprawy.

Ród Harkonnenów czerpał ogromne zyski ze swego monopolu. Kiedy lata temu poznali tajniki Projektu Amal, baron w jednej chwili zrozumiał, jakim ciosem byłoby dla niego wynalezienie taniej sztucznej przyprawy, wtedy bowiem jego lenno na Arrakis stałoby się bezwartościowe.

Cesarz – czy raczej, co bardziej prawdopodobne – Fenring, nieźle zadbał o utajnienie całego pomysłu, skrywając jego koszty w różnych fragmentach cesarskiego budżetu: podwyższonych lokalnie podatkach, doraźnych grzywnach, trudno spłacalnych kredytach, sprzedawanych po wygórowanych cenach posiadłościach.

Ale zupełne zatarcie śladów było niemożliwe, a de Vries wiedział, jak patrzeć. Różne długofalowe konsekwencje, zakryte potrójnymi czy poczwórnymi maskami, były niemożliwe do zidentyfikowania dla kogoś innego niż mentat i tylko on potrafił ujawnić zamiysł, którego ostatecznym efektem byłaby ekonomiczna ruina rodu Harkonnenów.

Baron jednak nie zamierzał łatwo się poddać. Spróbował doprowadzić do wojny między Atrydami a Bene Tleilax, aby pokrzyżować Projekt Amal. Chytry plan spełzył jednak na niczym z powodu tego cholernego księcia Leto.

Od tego czasu przemycanie szpiegów na planetę zwaną niegdyś Ix stawało się coraz trudniejsze, a jego mentackie projekcje nie pozwalały na żadne nadzieje, że Tleilaxanie zarzucili swe eksperymenty. Niewykluczone, że wysłanie dwóch dodatkowych legionów sardaukarów na Ix było związane z tym, że prace dobiegały końca.

Albo z tym, że Szaddam zaczynał tracić cierpliwość.

Zapadłszy w mentacki trans, de Vries poruszał tylko gałkami oczu. Z szyi zwieszał mu się mały pulpity z poszerzającymi zdolności umysłowe narkotykami; padlinowa mucha przysiadła na jego nosie, ale nawet jej nie zauważył. Owad przeszedł na dolną wargę i zaczął z niej spijać resztki soku safo.

De Vnes śledził wzrokiem obracający się pulpity i jednym ruchem gałek ocznych unieruchomił go, a następnie podciągnął ku wargom fiolkę tikopii, tak że między nie swobodnie mogła się wlać porcja syropu... Wraz z nim wchłonał bezradną muchę, a następnie

pastylkę skoncentrowanego melanzu. Nagryzł ją i poczuł słodką eksplozję. Zarządził jeszcze jedną tabletkę... więcej melanzu niż kiedykolwiek dotąd podczas jednej sesji, ale tym razem musiał mieć silny impet. I jasność umysłu.

W jednej z cel ciągnących się wzdłuż korytarza torturowany więzień, łkając i bełkocząc, składał jakieś zeznania, ale do de Vriesa to nie docierało. Nieczuły na otoczenie, jeszcze bardziej pograżał się we wszechświecie swego umysłu. I jeszcze. Czuł, jak świadomość i czas otwierają się niczym płatki kwiatu. Płynął wzdłuż continuum, którego każda część była dostępna dla jego umysłu. Nagle zupełnie jasno zobaczył plan.

Przed jego oczami odsłoniła się jedna z możliwych przyszłości; doszło do mentackiej projekcji opartej na nieprawdopodobnej obfitości danych, intuicji i melanzowym wspomaganii. Wizja podobna była do ciągu bolesnych obrazów z księgofilmu. Zobaczył tleilaxańskiego Mistrza Badań, jak z dumą podnosi fiolkę ze sztuczną przyprawą i ze śmiechem raczy się jej zawartością. Sukces!

Nagły przeskok. Teraz widział, jak Harkonnenowie zbierają się z Arrakis, zostawiając cały sprzęt do wydobywania przyprawy. Oddziały sardaukarów eskortowały obłe postacie do fregat transportowych, które czekały na start z pustynnej planety. Flaga Harkonnenów z błękitnym gryfem zjeżdżała z masztu na szczycie siedziby w Kartadze i rezydencji w Arrakin.

A na jej miejsce wspinała się zielono-czarna chorągiew Atrydów!

Z gardła mentata dobył się dziwny dźwięk, a jego umysł w największym napięciu usiłował ułożyć obrazy w zrozumiałą całość, wydobyć z nich jakąś logiczną treść.

„Harkonnenowie utracą monopol przyprawowy, ale to nie musi zależeć od uknutego przez Tleilaxan i Cesarza Projektu Amal. Jaka jest więc inna możliwość?”

Kulminowało działanie narkotyków, umysł badał, jedną po drugiej, ścieżki alternatyw. Wszędzie jednak docierał do ślepych zakończeń. Zaczynał od nowa, ale nieustannie docierał do tych samych konkluzji.

„Jak do tego dojdzie?”

Intensywna konsumpcja narkotyków nie była zalecaną metodą stymulowania umysłu, on jednak nie był zwykłym mentatem, czyli odpowiednio uzdolnioną osobą, którą przyjęto do szkoły, aby wyćwiczyć sekretne metody gromadzenia danych i ich analizy. Piter de Vries był „wypaczonym” mentatem: wyhodowali go Bene Tleilax z komórek zmarłego mentata, a uczyli go odstępcy, którzy złamali reguły Szkoły Mentatów. Po takiej edukacji Tleilaxanie nie mieli już kontroli nad swymi produktami, chociaż de Vries nie wątpił, że mają już gotowego identycznego gholę, który czeka na moment, gdy baron w irytacji posunie się do czynów prawdziwie gwałtownych.

Owe „wypaczone” twory Tleilaxan posiadały talenty, których nie można uzyskać w inny sposób, tak więc de Vries mógł osiągnąć znacznie więcej niż normalny mentat, choć zarazem był nieprzewidywalny i groźny, potencjalnie niesterowalny.

Od wielu dziesięcioleci Bene Tleilax eksperymentowali na swych mentatach z



najróżniejszymi narkotykami, a de Vries był jednym z tych, którzy ukształtowali się podczas tych prób. Chociaż twórcy nie mieli jednoznacznej opinii na temat swych dokonań, sam de Vries był przekonany o niezwykłej jakości swego umysłu.

Jeszcze zanim sprzedano go rodowi Harkonnenów, de Vries kontynuował proces kształtowania, doskonaląc swe ciało, a przy użyciu subtelnej mieszanki substancji nadając swym myślom niezwykłą wprost klarowność.

„Dlaczego Harkonnenowie utracą monopol na przyprawę? I kiedy?”

Należałoby doradzić baronowi, aby zintensyfikował gromadzenie tajnych zapasów melanżu na Lankiveil i w innych miejscach. „Musimy jakoś się bronić przed nadciągającą katastrofą”.

Ociężałe powieki drgnęły, lekko się uniosły, promienie światła dotarły do źrenic mentata. Zogniskował spojrzenie; skrzywienie, które słyszał przez otwarte drzwi, wydawały, jak się okazało, gumowe kółka ruchomych noszy. Dwóch strażników wiozło na nich bezkształtne ciało udreżonego człowieka.

„Dlaczego ród Harkonnenów straci monopol?” Czuł, że skoncentrowany efekt narkotyków zaczyna słabnąć, a wizja staje się coraz mniej klarowna. „Dlaczego?” Musiał się dostać na jeszcze niższy poziom. „Muszę poznać odpowiedź!”

Nieostrożnym ruchem strącił z pulpitu przygotowane narkotyki. Padł na kolana, pozbierał wszystkie kapsułki i pastylki, wrzucił do ust i połknął. Niczym zwierzę wylizał rozlany sok safo, a potem zastygł bez ruchu na posadzce.

„Dlaczego?”

Leżał tak na zimnej, lepkiej płaszczyźnie i powoli zaczęło go ogarniać bardzo przyjemne uczucie. Nie podlegające woli funkcje cielesne wyraźnie się spowolniły, dając Piterowi przedsmak śmierci, natomiast zdynamizowały się funkcje mózgowe... wydajność połączeń synaptycznych osiągała zdumiewający poziom.

„Dlaczego? Dlaczego?”

Wszystkie ścieżki neuronalne były przeciążone, jony sodu i potasu kolidowały, komórki pęczniały. Cały mechanizm mózgu zaczynał się sypać pod lawiną danych, grożąc popadnięciem w zupełny chaos, co wpędziłoby de Vriesa w stan zapaści.

Dlatego też wiedziony instynktem samozachowawczym umysł zaczął ograniczać swe funkcje, zawieszać je, stygnąć...

Obudził się w klejącej kałuży zastygłych resztek narkotyków. Jego nozdrza, usta, gardło płonęły.

Nad nim przechadzał się baron i beształ go niczym dziecko:

– Ależ tutaj napaskudziłeś, Piter! Tyle zmarnowanego melanżu, a na dodatek wydawało się, że należy już dać znak Tleilaxanom, żeby dostarczyli nowego mentata. Na przyszłość zabraniam takiej bezmyślności i rozrzutności!

De Vries próbował usiąść, żeby opowiedzieć baronowi o tym, co zobaczył, o katastrofie rodu Harkonnenów.

– Jjjja... wwwi...

Nie mógł jednak wydobyć z siebie zrozumiałych słów. Zabierze to jeszcze trochę czasu, zanim znowu będzie mógł budować klarowne komunikaty.

A co gorsza, pomimo desperackiego przedawkowania, nie znalazł dla barona najważniejszej odpowiedzi.

*Zbyt wiele wiedzy nie ułatwia decyzji.*

**następca tronu Raphael Korrino,**  
***Rozmowy o przywództwie***

Wypływające w arktyczny krąg Lankiveil wielkie statki polujące na futrzane wieloryby przypominały wodne miasta; wyposażone w skomplikowane urządzenia, wypływały w morze na długie miesiące, po których wracały z cennym ładunkiem.

Jednak Abulurd Harkonnen, młodszy przyrodni brat barona, zdecydowanie bardziej wolał małe kutry. Dla ich załóg polowanie na wieloryby było raczej rodzajem sztuki i swoistym wyzwaniem niż gałęzią przemysłu.

Zmrużonymi oczami wpatrywał się w horyzont, a dokuczliwy wiatr szarpał puklami płowych włosów wokół uszu i na ramionach. Niebo pełne było ciemnych chmur, ale Abulurd przywykł do tutejszego klimatu, a chociaż na planetach podległych jego rodowi wznosiły się wspaniałe i kosztowne zamki, on za swój dom uważał surowy, górzysty Lankiveil.

Już od tygodnia znajdował się na morzu, z zapalem pomagając załodze, chociaż tak bardzo różnił się wyglądem od tubylców. O tym, że jest inny, świadczyły chociażby krwawiące, napuchnięte dłonie, których skóra dopiero za jakiś czas pokryje się zrogowaciałymi odciskami. Poławiacze wielorybów, buddoislamiści, przychylnie myśleli o tym, że gubernator planety wypływa z nimi w morze, a do jego ekscentryczności zdążyli już przywyknąć. Abulurd stronił od pompy i ceremonialności, nie zależało mu na imponowaniu ani na popisywaniu się bogactwem.

Na morzach północnych futrzane wieloryby bjondax pływały w wielkich stadach niczym wodne bizona. Najczęstsza odmiana miała złotą sierść, znacznie rzadsze były okazy z lamparcimi plamami. Na platformach obserwacyjnych, na których kręciły się modlitewne kołowrotki, marynarze wypatrywali przez lornetki pojedyncze sztuki. Gdy ich wachta się skończyła, oddawali się medytacjom i modlitwom. Ci łowcy z dziada-pradziada wybierali tylko te zwierzęta, za których futro można było uzyskać najwyższą cenę.

Abulurd wciągał słone powietrze i kulił się na myśl o nadciągającym gradzie. Ale nawet najpodlejsza pogoda nie zagnałaby go do kabiny wtedy, kiedy zbliżało się polowanie. Na pokładzie rozpoczynał się wówczas gorączkowy ruch, kapitan i oficerowie wykrzykiwali rozkazy, Abulurd zaś stawał się po prostu jednym z członków załogi. Na razie jednak nie pozostawało mu nic innego jak czekać i myśleć o domu.

W nocy, kiedy kuter się kołysał, a o jego wzmocniony kadłub z chrzęstem ocierały się kry, Abulurd śpiewał, brał udział w lokalnej grze hazardowej, której stawką były paciorki, albo też recytował odpowiednie sury wraz z resztą głęboko religijnej załogi.

Rozpalone do czerwoności grzejniki nie mogły się równać z huczącymi kominkami w jego głównej siedzibie nad fiordem Tula czy w romantycznej, zbudowanej w głuszy willi. Z jednej strony cieszył się z polowania, z drugiej tęsknił już za żoną, osobą cichą, ale silną. Od wielu lat on i Emmi Rabban-Harkonnen byli małżeństwem, a kilkanaście dni rozstania jeszcze słodszy czyniło powroty. W jej żyłach płynęła szlachetna krew, niemniej jednak pochodziła z jednego z Rodów Niskich. Cztery pokolenia wstecz, zanim doszło do połączenia z rodem Harkonnenów, mało znaczącej rodzinie Rabban podlegała jako lenno planeta Lankiveil. Rabbanowie byli bardzo religijni: zamiast wykorzystywać naturalne zasoby planety, wznosili w jej górach klasztory i seminaria duchowne.

Dawno temu, wkrótce po śmierci ojca, Dmitrija, Abulurd spędził wraz z Emmi siedem nieprzyjemnych lat na Arrakis. Straszy od niego brat przyrodni, Vladimir, troszczył się o powodzenie rodu bezlitośnie i twardo, niemniej jednak to układowemu i wykształconemu Abulurdowi Dmitrij wolał przekazać nadzór nad transakcjami przyprawowymi. Abulurd zdawał sobie sprawę ze znaczenia tej misji, melanz bowiem okazał się źródłem niebywałych dochodów, ale nigdy nie połapał się w politycznych niuansach rozgrywek toczących się wokół pustynnej planety.

Ostatecznie musiał opuścić Arrakis, ale specjalnie nie zmartwił się tym, gdyż wolał mieszkać na Lankiveil, gdzie spoczywała na nim mniejsza odpowiedzialność i dobrze rozumiał codzienne sprawy mieszkańców. Współczuł tym, którzy na Arrakis musieli zaspokajać nienasyconą chciwość Vladimira, ale na to nie miał wpływu, natomiast mógł starać się zrobić jak najwięcej dobrego tutaj, na Lankiveil, choć nie zabiegał o to, aby przywrócono mu należny tytuł gubernatora podokręgu. Cała ta polityka wydawała się bezsensownym marnowaniem ludzkich wysiłków i pasji.

Mieli z Emmi tylko jednego syna, Glossu, który zgodnie z tradycją Lankiveil nosił panińskie nazwisko matki: Rabban. Niestety, chłopak był grubianinem i zdawało się, że więcej cech odziedziczył po stryju niż po rodzicach. Abulurd i Emmi bardzo chcieli mieć więcej dzieci, ale linia Harkonnenów nie odznaczała się szczególną płodnością.

– Albinos! – rozdarł się z gniazda obserwacyjnego bystrooki chłopak o gęstych włosach zaplecionych w warkoczyki. – Samotny biały wieloryb. Lewa burta, dwadzieścia stopni.

Na pokładzie nagle zaroilo się od ludzi. Neuro-harpunnicy szykowali swą broń, podczas

gdy kapitan kazał przyspieszyć. Marynarze wspinali się na drabinki i osłaniając oczy, wypatrywali zwierza między śnieżnymi wysepkami, którymi upstrzona była woda. Upłynął już cały dzień od poprzedniego polowania, pokład był więc czysty, luki do części przetwórczych otwarte, a ludzie palili się do łowów.

Abulurd czekał, aż ktoś użyje mu przechodzącej z rąk do rąk lornetki, a na razie sam usiłował wypatrzeć wieloryba, jednak bez skutku. Dwa kształty, które uznał za albinosa, okazały się po prostu cudacznie uformowanymi krami. Wreszcie jednak nawet bez pomocy szkieł zidentyfikował opływową bryłę białego stworzenia. Wieloryb był młody, ale stare albinosy zdarzały się rzadko. Stado nie chciało ich przyjąć, a zdane tylko na własne siły – szybko ginęły.

Wszyscy szykowali się do nierównego pojedynku, podczas gdy statek był coraz bliżej ofiary. Kołowrotki klekotały na wietrze. Kapitan wychylił się z mostka i krzychał głosem zdolnym skruszyć lód:

– Jeśli uda nam się go schwytać bez wielkich szkód, będziemy już mogli wracać do domu!

Abulurd był bardzo rad, kiedy mógł na twarzach marynarzy obserwować radość i podniecenie. Sam czuł, jak mocno łomocze mu serce. Nigdy nie uczestniczył w podziale zysków, jemu bowiem, w przeciwieństwie do załogi, nie były potrzebne pieniądze.

Biała bestia wyczuła pogoń i płynęła teraz szybciej w kierunku skupiska gór lodowych, między którymi chciała zgubić prześladowców. Kapitan poganiał pracowników maszynowni, obawiając się, że w labiryncie lodów wystarczy, by wieloryb znurkował, by już nie odnaleźli jego śladu.

Futrzone wieloryby potrafiły spędzać pod powierzchnią lodu całe miesiące. Tutaj, na północy, gdzie wulkaniczne kratery w dnie zasilają wodę w składniki odżywcze i zapewniały ciepło, pożerały ławice kryli, a bogaty plankton Lankiveil obywatel się bez fotosyntezy.

Z głuchym uderzeniem jedna z dalekosiężnych strzelb wbiła w grzbiet wieloryba pulsator, w odpowiedzi na co albinos zanurkował. Stojący za pulpitem marynarz przesłał impuls elektryczny, który zmusił zwierzę do wynurzenia się. Kuter ze straszliwym zgrzytem otarł się o krawędź lodowej góry, ale kadłub przygotowany był na takie kolizje. Dwóch najlepszych harpunników szybko i zwinnie wskoczyło do dwóch łódek pościgowych o wąskich dziobach i stępkach przystosowanych do łamania lodu. Włożyli uprzęż ratunkową, rozpostarli nad sobą ochronne płachty, po czym zostali spuszczeni na lodowatą wodę.

Obie łodzie natychmiast zbliżyły się do wieloryba, z chrzęstem rozdzierając lód przed sobą, podczas gdy kuter szerokim łukiem zaczął osaczać ofiarę od drugiej strony. Każdy z harpunników przeżegnał się, a następnie powstali w swych łodziach. Znakomicie utrzymując równowagę, z wielką siłą i precyzją wyrzucili długie drzewce, których groty kryły w sobie substancję odurzającą.

Wieloryb szarpnął się i wykręcił w kierunku kutra; łodzie pościgowe sunęły jego śladem,

ale na pokładzie stateczku czekali już z uniesioną bronią czterej kolejni miotacze harpunów. Niczym wyćwiczeni rzymscy legioniści cisnęli swe oszczepy, a gdy te utkwily w cielsku zwierzęcia, w jego organizmie znalazło się dostatecznie dużo paralizującego środka, aby je unieruchomić. Dwóm mistrzom pozostało już tylko zadać z łódek cios łaski.

Kiedy ich wciągano na pokład, specjaliści od oprawiania wielorybów w butach o kolczastych podeszwach zjeżdżali w dół burty na kołyszący się na wodzie korpus.

Abulurd wiele już razy uczestniczył w połowie wielorybów, ale nadal napawało go odrazą patroszenie ich, przeszedł więc na prawą burtę i stąd zapatrzył się na lodowe wysepki, których strome zbocza przypominały mu krajobraz ukochanych fiordów.

Kuter dotarł do północnego skraju łowisk odwiedzanych przez rybaków urodzonych na Lankiveil. Załogi ZNAH-u nigdy nie zapędzały się tak daleko, gdyż wielkim jednostkom trudno było poruszać się po tych zdradliwych wodach.

Samotny Abulurd mógł się rozkoszować czystością arktycznego lodu, któremu świetności przydawały rozblyskające od czasu do czasu spomiędzy chmur promienie słoneczne. W tym widoku coś go jednak niepokoiło, ale przez długi czas nie potrafił stwierdzić co. W końcu się zorientował, że chodzi o kwadratową górę, która, bardziej szara od reszty, słabiej odbijała światło.

Zmrużył oczy, potem rozejrzał się i zobaczył zostawioną na pokładzie lornetkę. Starając się ignorować dobiegające z tyłu dźwięki rozbieranego łupu, rad, że ma się czym zająć, Abulurd wyregulował olejowe soczewki i uważnie wpatrzył się w podejrzaną górę. Była zbyt geometryczna, jej krawędzie i zbocza zbyt gładkie w porównaniu z innymi, które powstały w efekcie zderzeń z innymi pływającymi wysepkami lodowymi. I potem na poziomie wody dojrzał coś, co dziwnie wyglądało jak... drzwi.

Wszedł na mostek.

– Robota tutaj zajmie wam co najmniej godzinę, kapitanie, Prawda?

Zapytany, wielki, barczysty mężczyzna, przytaknął.

– Tak. A potem wracamy do domu. Ale co to, panie, chcecie się przyłączyć do oprawiania bjondaxa?

Abulurd wstrząsnął się na samą myśl.

– Nie, nie, chciałem tylko wziąć którąś z łódek i obejrzeć Jedną z gór lodowych.

Normalnie poprosiłby o kogoś do ochrony, ale wszyscy marynarze byli zajęci przy zdobyczy. A chociaż wody były zimne i nieprzyjazne, Abulurd z radością oddali się chociażby na chwilę od tego krwawego rzemiosła.

Kapitan uniósł krzaczaste brwi i widać było, że ma wątpliwości, ale zachował je dla siebie, okazując szacunek gubernatorowi.

Abulurd potrafił posługiwać się łódką. Często z niej korzystał, opływając fiordy, więc z tym większą stanowczością odrzucił propozycje pomocy, z jakimi pomimo nawału pracy pospieszyli ludzie z załogi, gdy zobaczyli, że szykuje się do wypłynięcia. Płynął wolno,

ostrożnie omijając lodowe przeszkody; za nim trwało oprawianie wieloryba i w powietrzu unosiła się woń krwi i trzewi.

Lawirując między wysepkami, dwa razy Abulurd stracił z oczu swój cel, ale rychło go odnajdywał, tym bardziej że ten najwyraźniej się nie przesuwiał, zupełnie jakby był zakotwiczony.

Podpłynął bokiem do jednej ze ścian i w następnej chwili połączył łódkę z lodem. Kiedy stanął na najniższej płaskiej powierzchni, ogarnęły go wątpliwości. „Lód nie jest zimny”.

Nachylił się i postukał kostkami dłoni. Był to jakiś krystaliczny polimer, bardzo podobny do lodu – ale tylko podobny. Tupnął mocno, a od spodu odpowiedziało mu echo. Doprawdy, bardzo dziwne.

Przeszedł na drugą stronę kanciastej krawędzi, żeby dokładnie obejrzyć miejsce, które z daleko wyglądało na wejście. Proste rysy układały się w wyraźny geometryczny wzór; kiedy przyjrzał się dokładniej, zobaczył wgłębienie, być może wgnieciony w zderzeniu z inną krą panel sterujący. Zaczął obmacywać i szybko znalazł coś na kształt przycisku, a kiedy na niego naparł, trapezoidalna płyta odjechała w bok.

Z wnętrza buchnęło rozgrzane powietrze i wraz z nim nadleciał zapach, którego trudno było nie rozpoznać: zapach, który stale unosił się na Arrakis. Melanz.

Raz jeszcze pociągnął nosem, aby się upewnić, a potem wszedł w wąski korytarz. Podłoga była gładka, jakby przesuwano się już po niej wiele stóp. Tajna baza? Stanowisko sztabowe? Sekretne archiwum?

Z korytarza były wejścia do kilku pomieszczeń, a każde zostało szczelnie wypełnione zeroentropijnymi pojemnikami, których zamknięcia opieczętowano błękitnymi gryfami Harkonnenów. Zapas melanzu ukryty przez jego rodzinę, o którym on nic nie wiedział. Przy wejściu wisiał plan ogromnych podwodnych magazynów. Na Lankiveil, pod nosem Abulurda, Vladimir gromadził nielegalny skarb!

Już ta ilość przyprawy, którą tu zobaczył, wystarczała na nabycie całego systemu słonecznego, a nawet kilku, w zależności od wielkości. Abulurdowi zakręciło się w głowie, kiedy na podstawie planu spróbował oszacować wielkość odkrytego przypadkiem bogactwa. Musiał się nad tym zastanowić. Musiał porozmawiać z Emmi. Ona, ze swą spokojną mądrością, doradzi mu najlepiej. Razem postanowią, co robić dalej.

Nie zamierzał mówić o niczym załodze kutra. Nie wątpił w ich prawość i uczciwość, ale taki majątek mógł się okazać zbyt wielką pokusą nawet dla osoby najbardziej szlachetnej. Pospiesznie opuścił wnętrze, dokładnie je zamknął i wszedł do łódki.

Kiedy znalazł się na pokładzie, pamiętał o zapisaniu dokładnych współrzędnych. Na pytanie kapitana, czy znalazł coś ciekawego, w milczeniu pokręcił tylko głową i poszedł do swojej kabiny, obawiał się bowiem, że może go zdradzić nienawykłe do kłamstwa oblicze. Jakżeż długo przyjdzie mu jeszcze czekać, zanim zobaczy się z żoną! Ogromnie mu teraz brakowało jej samej i jej mądrości.

Przed wypłynięciem z fiordu kapitan ofiarował wątrobę wieloryba Abulurdowi, a ten zgodził się, bo jej wartość była znikoma w porównaniu z ceną, jaką można było otrzymać za białe futro.

Kiedy po raz pierwszy od ponad tygodnia zasiedli wraz z Emmi do kolacji, Abulurd był roztargniony i zniecierpliwiony, nie mógł się bowiem doczekać, kiedy ochmistrzyni zostawi ich wreszcie samych. Najpierw jednak z całym ceremoniałem musiał się pojawić półmisek z wielorybią wątroba, solone zieleńce, a także wędzone ostrygi. Przy długim stole mogło się swobodnie pomieścić trzydzieści osób, jednak Abulurd i Emmi usiedli naprzeciw siebie w jednym końcu, aby móc sobie nawzajem podsuwać smakołyki.

Emmi miała gładką szeroką twarz, jak wszyscy mieszkańcy Lankiveil, a także kwadratowy podbródek, i chociaż trudno było tę twarz nazwać piękną, Abulurd ją uwielbiał. Kruczoczarne włosy nosiła obcięte tuż poniżej ramion. Okrągłe oczy miały odcień polerowanego jaspisu.

Często jadali w towarzystwie innych osób, bardzo ich bowiem cieszyła wesół konwersacja, teraz jednak wszyscy wiedzieli, że po długiej nieobecności pana domu należy małżonków pozostawić we dwoje.

Abulurd ani chwilę się nie wahał, czy powinien opowiedzieć żonie o dokonanym w morzu odkryciu.

Emmi nie mówiła wiele, ale kiedy już się odezwała, padały słowa przemyślane i wyważone. Teraz wysłuchiwała męża, ani razu mu nie przerywając, a kiedy skończył, dalej siedziała zamyślona. Odczekał długą chwilę, a potem rzekł:

– I co powinniśmy zrobić, Emmi?

– To wszystko z pewnością zostało ukradzione z części należnej Cesarzowi, a leży tam od lat. – Pokiwała lekko głową. – A ty nie chcesz brudzić sobie tym rąk.

– Tak czy inaczej, przyrodni brat mnie oszukał.

– Musi z tym skarbem wiązać jakieś plany. Nie odsłonił ich przed tobą, wiedział bowiem, że poczucie honoru każe ci natychmiast donieść o wszystkim Cesarzowi.

Abulurd przełknął porcję zieleńców i popił ją białym wytrawnym winem z Kaladanu. Emmi zawsze potrafiła precyzyjnie uchwycić istotę rzeczy.

– Co więcej, poczucie honoru już teraz każe mi poinformować o odkryciu.

Zastanawiała się przez chwilę, a potem rzekła:

– Mogę sobie wyobrazić, jak bardzo będziemy zagrożeni my, mieszkańcy Lankiveil, a także cała twoja rodzina, jeśli ujawnisz istnienie tego skarbu. Byłoby znacznie lepiej, gdybyś się w ogóle na niego nie natknął.

Spojrzał w jej jaspisowe oczy, ale zobaczył w nich tylko troskę i niepokój.

– Niewykluczone – ciągnęła – że Vladimir chce w ten sposób ominąć podatki, a może na wszelki wypadek zabezpiecza ród Harkonnenów. Jakiegokolwiek są jego intencje, jest twoim

bratem, a jeśli zwrócisz się do Cesarza, możesz ściągnąć katastrofę na cały swój ród.

Abulurd dostrzegł też inną konsekwencję takiego postępku i aż jęknął na samą myśl.

– Gdyby Vladimira aresztowano, ja musiałbym się zająć wszystkimi posiadłościami Harkonnenów, a więc jechać na Arrakis, jeśli nadal pozostawiono by je nam w lennie, a nawet jeśli nje, to i tak musielibyśmy się przenieść na Giedi Primę. – Zatroskany wziął następny łyk wina. – Żadne z tych rozwiązań mi się nie podoba, Emmi. Lubię Lankiveil i nic na to nie poradzę.

Emmi nachyliła się nad stołem i dotknęła ręki Abulurda. Poglaskała go, on zaś podniósł do ust jej palce i ucałował.

– W ten sposób podjęliśmy decyzję – powiedziała Emmi. – Wiemy, gdzie jest przyprawa... ale pozwolimy jej tam pozostać.

*Pustynia to lekarz, który rozcina skórę, aby zobaczyć, co jest pod spodem.*

## **porzekadło Wolan**

Kiedy rdzawy księżyc wzeszedł nad horyzontem, Liet Kynes i siedmiu Wolan opuściło skały i weszło na łagodne wydmy, skąd było ich łatwo zobaczyć. Jeden po drugim robili tradycyjny gest pięścią, jakim ludzie pustyni witają Pierwszy Księżyc.

– Przygotujcie się – rzekł chwilę później Stilgar, którego profil przypominał w świetle księżyca piaskowego jastrzębia. Na wskroś niebieskie oczy wydawały się teraz zupełnie czarne. Podobnie jak inni starsi zamachowcy, poprawił na sobie kamuflaż pustynny. – Powiadają, że czas oczekiwania na zemstę płynie powoli, ale słodko.

Liet-Kynes kiwnął głową. Ubrał się tak, aby wyglądać na słabego chłopaka opuchniętego od nadmiaru wody w organizmie, ale oczy miał twarde jak welańska stal. Przytaknął też stojący przy nim, odrobinę od niego wyższy przyjaciel z siczy, z którym zawarł braterstwo krwi, Warrick. Dzisiejszej nocy mieli odgrywać dwóch bezradnych, zagubionych pośród pustyni niedojd, a żołnierze z patrolu Harkonnenów nigdy nie potrafili się oprzeć takiej gratce.

– Zrobimy to, co trzeba, Stil – zapewnił Liet i klepnął w ramię Warricka. Obaj dwunastolatkiem zdążyli już upuścić krew ponad setce Harkonnenów, a gdyby nie wzajemna rywalizacja, już dawno przestaliby prowadzić rachubę. – Bratu powierzam swe życie.

Warrick nakrył jego dłoń swoją.

– Niechaj mój brat się nie lęka, że zginie beze mnie u swego boku.

– Z tobą czy bez ciebie, i tak tej nocy nie zamierzam ginąć – powiedział Liet, co wywołało rozbawienie pośród reszty grupy – Nadszedł czas zemsty.



Wieść o śmierci, która padła na Obóz Bilarny, szła od siczy do siczy i wszędzie osadzała się gniewem niczym woda wnikająca w piasek. Znalezione w pobliżu cysterny ślady ornitoptera nie pozostawiały wątpliwości, kto był winien.

Wszyscy Harkonnenowie muszą za to zapłacić!

Po Kartadze i Arrakin wieści rozeszły się między potulnie wyglądającymi ludźmi, którzy szorowali podłogi w koszarach, zmywali naczynia, dostarczali wodę. A wolańscy informatorzy uważnie obserwowali, kogo najbardziej ucieszyła powtarzana przez żołnierzy opowieść o wytruciu całej wioski. Rejestrowali skład patroli, zaglądali do ksiąg raportów. W efekcie nie potrwało to długo, a dokładnie wiedzieli, kto konkretnie był odpowiedzialny za okrutny wyczyn. I jak dotrzeć do winnych.

Z cieniutkim piskiem, w wachlarzu błyskawicznie poruszających się skrzydeł, nadleciał nietoperz niosący dystransową wiadomość od obserwatorów ukrytych w paśmie skalnym. Stilgar wciągnął kroplę wody z ustnika i pozwolił jej wpaść do otwartego pyszczka, a potem przytknął do ucha małą rurkę i wsłuchał się w zawły skrzek posłańca. Kiedy ten ucichł, leciutko pogłaskał go po łebku i rzucił w powietrze ruchem starodawnego sokolnika.

Obrócił się do towarzyszy z drapieżnym uśmiechem na pokrytej cieniami twarzy.

– Ornitopter wyleciał na patrol. Kiedy obserwują pustynię, lecą tą samą trasą, ale robią to od tak dawna, że już nawet nie myślą o tym, jak łatwo można przewidzieć ich zachowanie.

– Dzisiaj ugrzęzną w sieci śmierci – powiedział Warrick ze szczytu wydmy i w geście dorosłego mężczyzny wyrzucił w górę pięść.

Spiskowcy sprawdzili, jak krysnoże siedzą w pochwach, upewnili się, że sznury do garoty nie są splątane, a potem, ciągnąc za sobą płachty, zatarli swoje ślady, zostawiając na grani wydmy tylko dwóch chłopców. Stilgar spojrzął w nocne niebo i mocno zacisnął szczęki.

– Kiedyś z Ummą Kynesem spisywaliśmy mchy, a on powiedział: „Daję ci tego pustynnego kameleona, aby jego zdolność upodabniania się do otoczenia stała się dla ciebie nauką o źródłach ekologii i podstawach tożsamości jednostkowej”. Nie rozumiem do końca, co miał na myśli, w każdym razie teraz musimy się stać pustynnymi kameleonami.

Jasno odziany Liet zaczął schodzić z wydmy, zostawiając za sobą głębokie, wyraźne ślady. Za nim podążył Warrick, stąpając równie niezgrabnie. Reszta tymczasem ułożyła się na piasku, z rurkami powietrznymi w ustach i kapturami na twarzach, by następnie szybkimi ruchami rąk zagrzebać się w piachu. Leżeli nieruchomo, pogrążeni w miążkim piasku.

Liet i Warrick brnęli przed siebie, ale zatrzymali się natychmiast, gdy tylko ornitopter wyskoczył znad skalnej grani, błyskając czerwonymi światełkami. Białe szaty obu młodych Wolan były znakomicie widoczne na piasku. Żaden Wolanin nigdy by sobie nie pozwolił na taką ostentację, ale o tym Harkonnenowie nie wiedzieli. Niczego nie będą podejrzewać. Kiedy Liet był pewien, że załoga musiała ich już dostrzec, udał skrajną paniką i ze słowami: „Dawaj, Warrick, urządzimy komedię” rzucił się jakby do ucieczki, a jego towarzysz postąpił tak samo.

Zgodnie z przewidywaniami ornitopter zatoczył koło, aby przeciąć im drogę. Zalała ich struga jaskrawego światła, a z kabiny wychylił się rechoczący żołdak, który wystrzelił dwukrotnie z laserobinu, ciągnąc przed nimi linię stopionego kwarcu. Obaj w udanym popłochu stoczyli się ze stromego zbocza wydmy. Prześladowca wystrzelił jeszcze trzy razy i trzy razy chybił. Maszyna wylądowała niedaleko miejsca, gdzie przyczaili się w piachu Stilgar i jego ludzie. Liet i Warrick wymienili uśmiechy, szykując się do drugiej części gry.

Działowy Kiel zarzucił na ramię rozgrzany laserobin i odsunął drzwiczki.

– Chodźcie, zapolujemy na Wolan.

Garan nie zdążył jeszcze wyłączyć silnika, a Kiel już lądował na piachu.

Za nim gramolił się Josten, sięgając po własną broń.

– Lepiej byłoby postrzelać do nich z góry.

– I co to za emocje? – spytał Garan, Kiel zaś dorzucił przez ramię:

– Przyznaj, że boisz się zaplamić krwią swój nowiuteński mundurek!

Cała trójka stała teraz obok ornitoptera i wpatrywała się w dwie postacie szamoczące się w piachu, jak gdyby mogli umknąć swemu losowi, kiedy Harkonnenowie wzięli ich na cel.

Garan chwycił swoją broń, cała trójka rozsunęła się w tyralierę i zaczęła iść w kierunku ofiar, które mogły zacząć błagać o litość, ale także zaatakować w desperacji niczym zagnany w pułapkę szczur.

– Okropnych rzeczy nasłuchałem się o tych Wolanach – powiedział Josten, który już po kilkunastu krokach zaczął sapać. – Podobno ich dzieciaki to już wyszkoleni mordercy, a kobiety potrafią torturować tak, że Piter de Vries to przy nich amator.

Kiel prychnął z pogardą.

– Mamy laserobiny, Josten, a oni co? Będą ciskać w nas kamieniami?

– Ale niektórzy mają pistolety maula.

Garan spojrział na niego przez ramię i wzruszył ramionami.

– To wróć do maszyny po głuszak. Jeśli pójdzie coś nie tak, użyjemy szerokopasmówki.

– Właśnie – przyłączył się Kiel. – W ten sposób dłużej się zabawimy.

Dwoje ubranych na białe Wolan brnęło przez piasek, podczas gdy żołdacy Harkonnenów szybko zmniejszali dzielącą ich odległość.

Josten nie przepadał za walką oko w oko z przeciwnikiem, z radością więc zawrócił do ornitoptera. Na szczycie wydmy spojrział jeszcze na towarzyszy, a potem wdrapał się do kabiny, gdzie zastał już odzianego w pustynny brąz mężczyznę, którego ręce z kocią zwinnością przebierały po desce sterowniczej.

– Ej! – krzyknął Josten. – A kto...

W mdłym świetle kabiny zobaczył pociągłą, wysuszoną twarz i na wskroś niebieskie oczy człowieka nawykłego do zabijania. Zanim zdążył zareagować, dłoń silna jak szpony orła złapała go za ramię i wciągnęła do środka. Zobaczył też, jak unosi się druga ręka Wolanina, w

której matowo połyskiwało mleczone ostrze, a w następnej chwili poczuł bolesne ukłucie, które od nasady szyi dotarło aż do kręgosłupa. Potem nóż został wyciągnięty i nie została nawet jedna kropla krwi na klindze.

Wolanin cofnął się jak skorpion po ukąszeniu, a Josten zwałił się na podłogę kabiny, czując, jak życie zaczyna wyciekać z jego krtani. Chciał coś powiedzieć, zadać jakieś bardzo ważne pytanie, ale z gardła dobył się tylko gulgot. Wolanin wydobył coś ze swego destylozonu i przytknął do krwawiącej szyi.

Czyżby go opatrywał? Chciał zatamować upływ krwi? W głowie Jostena rozbłysła nadzieja. To jakaś pomyłka, a Wolanin usiłował teraz naprawić swój błąd.

Krew jednak tryskała zbyt mocno i zbyt szybko, aby możliwy był ratunek. Zresztą, tracąc powoli świadomość, Josten zorientował się, że nie chodziło o żaden tampon, a o ssawkę, która zbierze każdą kroplę jego krwi, nie pozwalając, by zmarnowała się choć odrobina zawartej w niej wilgoci...

W chwili kiedy Kiel miał obu wolańskich wyrostków w zasięgu strzału, Garan niespokojnie zerknął za siebie.

– Chyba coś słyszałem w maszynie.

– A, pewnie Josten potknął się o własne nogi – odparł Kiel, trzymając laserobin w pogotowiu. Ścigani zatrzymali się pośrodku płaskiej niecki i zastygli przykucnięci z małymi, dziwacznie wyglądającymi nożami w dłoniach. Kiel roześmiał się w głos.

– I co chcecie tym zrobić? Podłubać sobie w zębach?

– Zęby to wyjmę z twojego trupa! – krzyknął jeden z chłopaków. – Masz jakieś złote plomby, które da się potem sprzedać w Arrakin?

Garan zachichotał i zerknął na towarzysza.

– Zapowiada się niezła zabawa.

Zaczęli schodzić po łagodnym zboczu niecki. Kiedy byli nie dalej niż pięć metrów od swych ofiar, piasek wokół nich nagle ożył i zniecka, niczym trupy z grobu, wyskoczyły spod niego ludzkie postacie.

Garan wrzasnął, Kielowi udało się oddać strzał, który trafił jednego z atakujących w ramię. W chwilę później obaj żołnierze Harkonnenów byli tak osaczeni, że nie mogli już użyć laserobinów; Wolanie dopadli ich niczym pijawki otwartą ranę. Garan padł na kolana z krzykiem, nic innego nie mógł już bowiem zrobić. Udaremniiono im jakąkolwiek obronę.

Liet-Kynes podskoczył ku niemu z nożem, który jeszcze chwilę temu wydawał się niegroźnym drobiazgiem, i zręcznymi, niemal pieśczośliwymi ruchami, wylupił Garanowi oboje oczu.

– Związać go i opatryć – polecił Stilgar. – Tego weźmiemy żywego do siczy Czerwonego Muru, żeby kobiety zajęły się nim na swój sposób.

I znowu Garan zawył jak udrczony zwierz.

Zaatakowany Kiel usiłował się bronić, wywijając laserobinem niczym maczugą. Zręczne ręce pochwyciły broń, ale wtedy Kiel zaskoczył napastnika, wypuścił ją bowiem i rzucił się do ucieczki. Wolanin stracił równowagę i upadł na piasek.

Kiel wiedział, że w walce nie ma szans. Pojmali Garana, a teraz był już pewien, że także Josten został napadnięty przy ornitopterze. Gnał jak jeszcze nigdy w życiu, byle dalej od skał, byle dalej od ornitoptera... gnał w głąb pustyni. Nawet jeśli go złapią, to nie podda się bez walki.

Nie myślał o niczym innym, tylko o ucieczce.

– Stil, ornitopter dostał nam się nie naruszony – oznajmił Warrick głosem pełnym dumy i satysfakcji. Dowódca oddziału kiwnął głową; Umma Kynes będzie z tego bardzo zadowolony. Będzie mógł wykorzystać maszynę do swych podróży inspekcyjnych, a nie musi dokładnie wiedzieć, jak się dostała w ręce Stilgara.

Liet spojrział na oślepiętego jeńca, którego oczodoły zakryto kawałkiem materiału.

– Widziałem na własne oczy, co Harkonnenowie zrobili w Obozie Bilarnym... Zatruli cysternę z wodą. – Drugie ciało czekało w maszynie patrolowej, aby je dostarczyć do zgonsuszni. – To nawet w małej części nie jest rekompensatą.

U jego boku stanął Warrick, brat krwi, i skrzywił się z obrzydzeniem.

– Napawają mnie takim wstrętem, że nie chcę nawet ich wody dla mego plemienia.

Stilgar spojrział na niego tak, jakby wypowiedział jakieś bluźnierstwo.

– Chcesz ich zostawić, żeby słońce i piach bezużytecznie wyssały ich wilgoć? To obraza Szej-huluda.

Warrick pochylił głowę.

– Gniew przyniósł te głupoty na moje usta, Stilgarze. Nie to miałem na myśli.

Stilgar zerknął na wznoszący się na nieboskłonie księżyc. Cała akcja nie zabrała nawet godziny.

– Odprawimy rytuał tal hai, żeby ich dusze nigdy nie zaznały spokoju. Przez całą wieczność będą musiały się błąkać po pustyni. – I zaraz dodał głosem, w którym brzmiał lęk:

– Ale potem starannie musimy zatrzeć ślady, żeby nie znalazły drogi do naszej siczy.

Inni przytaknęli, teraz bowiem trwoga zaczynała brać górę nad pragnieniem zemsty. Stilgar zaintonował pradawną pieśń, podczas gdy pozostali palcami kreślili w piasku wzorce labiryntów, w których na zawsze uwięzną dusze wrogów.

W oddali widać było sylwetkę uciekającego Kiela.

– Tego ofiarujemy Szej-huludowi – powiedział Stilgar, kiedy skończył pieśń. Klątwa tal hai została rzucona. – Świat odzyska równowagę, a pustynia się uraduje.

– Dudni jak uszkodzony gąsienik – powiedział Liet i usiłował wyprostować się jak najbardziej, wstydził się bowiem, że jest o tyle niższy od Stilgara. – Długo to już nie potrwa.

Zebrali swoje rzeczy. Tylu, ilu się zmieściło, zapakowało się do ornitoptera, reszta poszła

przez piach, odruchowo trzymając się praktyki Wolan i stawiając kroki tak, by nie powodować nienaturalnych dla pustyni odgłosów.

Żołnierz Harkonnenów biegł niestrudzony i być może w jego duszy zaczynała się pojawiać myśl o ratunku, mimo iż przed nim rozciągało się tylko morze wydm.

Za kilka minut na pewno zjawi się piasek.

*Celem argumentacji jest zmiana natury prawdy.*

### **z zasad Bene Gesserit**

Chociaż baron Vladimir Harkonnen wielu już rzeczy doświadczył w życiu, jeszcze nigdy nikogo tak nie nienawidził.

„Jak ta dziwka śmiała mu to zrobić?”

Na Giedi Primie był ciemny, zadymiony poranek; baron zamknął się w sali treningowej Twierdzy i nie pozwolił nikomu przeszkadzać. Waga nie pozwalała mu już dźwigać ciężarów czy naciągać drążków, więc spróbował przynajmniej podnosić nogi, leżąc. Kiedyś miał idealną sylwetkę, a teraz z trudem odrywał łydkę od podłogi. Zalała go fala wściekłości i niesmaku.

Od dwóch miesięcy, które upłynęły od diagnozy doktora Yueha, nie było dnia, żeby baron nie wyobrażał sobie, jak z ciała Mohiam wyrwywa jeden organ po drugim. Potem sztucznie utrzymując ją przy życiu, kazałby jej... oglądać własną przypiekaną wą – trobę... łykać własny szpik... dusić się własnymi wnętrznościami.

Dopiero teraz w pełni rozumiał osobliwy wyraz twarzy Mohiam podczas bankietu u Fenringa. „To ona mi to zrobiła”.

Podniósł się z trudem i stanął naprzeciw wielkiego lustra. Poczul mdłości. Twarz opuchnięta i obwisła, obrzydliwa jak mięso świmaka. Rozwścieczony tak się uwiesił na ramie, że wyrwał hak i lustro z hukiem zważyło się na podłogę. Ponieważ jednak zrobione było z nietłukącego materiału, zaczął po nim skakać, tak że odbicie robiło się coraz bardziej zdeformowane. I pokraczne.

Zgadzał się, że gwałt mógł być Mohiam nie w smak, ale, u licha, przecież czarownice najpierw użyły wobec niego szantażu, zmuszając, aby dał im córkę – i to nie raz, ale dwa! O nie, to nie fair, a ofiarą był właśnie on. Baron wrzał z gniewu. Nie mógł dopuścić do tego, żeby którykolwiek z jego rywali z Landsraadu dowiedział się o prawdziwej przyczynie choroby. Jeśli nadal będą wierzyć, że otyłość jest efektem nieumiarkowania i w jakimś stopniu wynika z jego postanowienia, w niczym to nie naruszy jego potęgi i władzy. Gdyby jednak rozeszła się wieść, że o chorobę przypawiła go kobieta, która zmusiła go też do

dwukrotnego stosunku ze sobą... Nie, taka myśl była nie do wytrzymania.

Tak, słuchanie wrzasków Mohiam dałoby mu satysfakcję, ale tylko chwilową, czym bowiem ona była: raptem małą częścią wielkiego nienawistnego zakonu. Czarownice uważały, że górują nad wszystkimi, zdolne każdego złamać, nawet głowę rodu Harkonnenów. Dlatego też w imię honoru rodu, całego Landsraadu, a także zachowania potęgi – należało je ukarać.

Co dodatkowo sprawi mu też przyjemność.

Jeśli jednak będzie działał zbyt pośpiesznie, nie zostanie wyleczony, bo przecież lekarz Suk powiedział, że jeśli może w ogóle liczyć na jakąś pomoc, to jedynie z rąk Bene Gesserit. To siostrzyce przyprawiły barona o chorobę i tylko one mogły mu przywrócić ciało, z którego kiedyś był tak dumny.

„Żeby je piekło pochłonęło!”

Nie, musi odwrócić role, wniknąć w ich umysły i dowiedzieć się, jakie diaboliczne plany się tam lęgną. Musi znaleźć sposób na to, żeby je zaszantażować! Zerwie z nich te czarne, żałobne habity – tylko w przenośni, rzecz jasna – i zostawi nagie, w drzeniu czekające na jego wyrok i karę. Kopnął pokrzywione lustro, tak że sunąc po podłodze, zderzyło się z automatem do ćwiczeń, a on, nie mając laski do podparcia, stracił równowagę i zwałił się na podłogę.

Nie, nie zniesie tego wszystkiego...

W końcu jednak pozbierał się i ochłonął nieco, a potem kazał wezwać do gabinetu Pitera de Vriesa. Głos barona rozniósł się grzmotem po korytarzu i służba błyskawicznie rzuciła się szukać mentata.

De Vries przez cały miesiąc dochodził do siebie po tym kretyńskim przedawkowaniu. Idiota! Utrzymywał, że widział katastrofę rodu Harkonnenów, ale nie potrafił udzielić Vladimirowi żadnej rady, jak uniknąć domniemanej zguby.

Niech więc teraz odkupi swoje winy obmyśleniem uderzenia na Bene Gesserit. Ilekroć de Vriesowi udało się doprowadzić barona do granic cierpliwości, zaraz okazywało się, że mentat jest jednak niezbędny.

„Jak dopiec tym czarownicom? Jak zadać im cios, po którym będą kwiczeć?”

Czekając na przybycie mentata, baron spoglądał z okien twierdzy na Harko z jego brudnymi, zatłuszczonymi budynkami i ulicami bez jednego drzewa. Widok ten zwykle go koił, teraz jednak tylko pogłębił irytację. Przygryzł wargę, ze wszystkich sił odpychając od siebie rozżalenie nad sobą. Nie skomleć, mścić się!

„Zniszczę cały zakon!”

Przeciwniczki nie były jednak bynajmniej głupie, co to, to nie. Te ich programy kultywacyjne, starannie prowadzone archiwa – wszystko to zapewniło im trudne do przecenienia informacje; najwyraźniej do ich politycznych machinacji potrzebne były geny Harkonnenów. Jakże ich nienawidził!

Ale działać należy rozważnie. Najpierw subtelny plan... sztuczki ukryte w sztuczkiach...

podstęp ukryty w podstępie...

– Mój baronie! – odezwał się Piter, bezszelestnie wślizgnąwszy się do gabinetu. Kiedy się odzywał, odnosiło się wrażenie, że to żmija wypełza z nory.

Tymczasem z korytarza dobiegł jakiś łoskot, podniesiony głos, szczęk uderzającego o podłogę metalu. Vladimir odwrócił się i zobaczył, jak w ślad za mentatem wpada w drzwi jego bratanek, Glossu Rabban, który tupał nawet wtedy, kiedy usiłował się skradać.

– Jestem, stryju – oznajmił.

– Widzę. Ale teraz zostaw nas samych. Wzywałem Pitera, a nie ciebie. – Zwykle Rabban przebywał na Arrakis i tam wypełniał polecenia stryja, ilekroć jednak znalazł się na Giedi Primie, chciał brać udział we wszystkich rozmowach i spotkaniach. Ale w jednej chwili Vladimir zmienił zdanie. – Chociaż nie, właściwie możesz zostać, Rabban. Ty także powinieneś się o tym dowiedzieć.

Ostatecznie był to jego potencjalny następca, a chociaż grubianin i przygłup, to z nim wiązała się przyszłość rodu Harkonnenów. Lepiej z nim niż z tym mięczakiem, Abulurdem, ojcem Rabbana. Byli całkowicie od siebie różni, choć obaj mieli poważne wady.

Niczym szczeniak, bratanek uśmiechnął się, szczęśliwy, że baron pozwolił mu pozostać.

– O czym, stryju?

– Że zamierzam cię skazać na śmierć.

Niebieskie oczy Rabbana zasnuły się mgłą, ale po dłuższej chwili błysnęła w nich iskierka zrozumienia.

– Żartujesz, stryju!

– A skąd ta pewność?! – zagrzmiał baron, podczas gdy mentat z rozbawieniem przysłuchiwał się tej wymianie słów.

– Bo gdybyś chciał mnie zabić, to byś mnie nie uprzedzał – Padła natychmiastowa odpowiedź.

Na pulchnej twarzy barona pojawił się uśmiech.

– Może nawet nie jesteś takim głupcem, na jakiego wyglądasz.

Zadowolony z komplementu Rabban zwałił się na żywy fotel, a stworzenie, piszcząc, dostosowało się do jego korpusu. De Vries nie siadał, czujny, uważny.

Baron opowiedział o chorobie, którą poraziła go Mohiam, dając też do zrozumienia, jak głęboka jest jego potrzeba zemsty na Bene Gesserit.

– Musimy znaleźć sposób, żeby im dorównać. Potrzebny mi plan, bystry, mądry plan, który da nam przewagę.

Rysy de Vriesa, i tak zniewieściałe, jeszcze bardziej traciły na ostrości, kiedy, jak teraz, pogrązał się w zamyśleniu. Podczas transu mentackiego w niebywałym tempie przesiewał najróżniejsze możliwości. Koniec języka wielokrotnie przesuwiał się po zabarwionych rubinowo wargach.

Rabban kopnął obcasem żywy fotel, aby zmienić pozycję.

– A dlaczego nie przypuścić walnego natarcia na tę ich Wallach IX? Nie pozostanie tam kamień na kamieniu.

De Vries poruszył się i być może przez chwilę zerknął na Rabbana, ale stało się to tak szybko, że baron wcale nie był pewien, czy mu się nie przywidziało. Nie uwzględnił tego, że prymitywne uwagi bratanka mogą zakłócać subtelne procesy myślowe mentata.

– Mniej więcej jak salusański byk podczas wytwornego bankietu? – powiedział szyderczo Vladimir. – Tutaj potrzebna jest subtelność i pomysłowość, a nie naga siła. W sprawie subtelności, najlepiej, żebyś zajrzał do słownika.

Rabban nie poczuł się bynajmniej urażony, natomiast nachylił się na żywym fotelu ze zmrużonymi oczami.

– Mamy przecież... statek pozaprzeznaczony.

Baron spoglądał na niego w zdumieniu. Właśnie w chwili, kiedy zaczynał się zastanawiać, czy ten tłumok nadaje się do jakichkolwiek poważniejszych zadań, on nieoczekiwanie wyskakiwał z błyskotliwą uwagą.

Jak dotąd tylko raz ośmielili się użyć eksperymentalnego niewidzialnego statku: do zaatakowania pojazdu Tleilaxan, co w wojnę z nimi miało uwikłać Leta Atrydę. Ponieważ Rabban zamordował ekscentrycznego wynalazcę z Richese, nie było już sposobu na zrobienie duplikatu. Tak czy inaczej, była to broń, której istnienia nikt, włącznie z czarownicami, nie podejrzewał.

– Hm, zobaczymy... może Piter ma lepszy pomysł.

– Tak, mój baronie. – Powieki de Vriesa zatrzepotały, a wzrok nabrał ostrości. – Wstępna kalkulacja – mówił głosem znacznie mniej gładkim niż zwykle. – Wykryłem interesującą lukę w Prawie Cesarskim. Coś naprawdę bardzo interesującego, baronie.

Słowo po słowie, niczym zawodowy prawnik, przytoczył odpowiedni przepis, a następnie przedstawił plan.

Baron wpadł w taką euforię, że na chwilę zapomniał o wszystkich bólach i dolegliwościach i z zapałem zwrócił się do bratanka:

– Teraz rozumiesz, Rabban, na czym polega wyższość subtelności nad brutalną siłą?

Rabban kiwnął głową, ale pozostał przy swoim.

– Ale i tak dobrze wziąć statek pozaprzeznaczony. Ot tak, na wszelki wypadek.

To on pilotował niewidzialnego napastnika i oddał salwy, które miały zaowocować krwawym starciem między Tleilaxanami i Atrydami. A ponieważ baron nie chciał, by mentat poczuł się zbyt pewnie, natychmiast wyraził zgodę.

– Masz rację. Zawsze warto mieć zapasowy plan.

Przygotowania przebiegły szybko i sprawnie. Kapitan Kryubi dopilnował, żeby jak najskrupulatniej wypełniono instrukcje Pitera de Vriesa. Rabban hałaśliwie przechadzał się po warsztatach i hangarach, co bardzo korzystnie wpływało na dyscyplinę pracy.



Zamówiono transport Gildii, a w tym czasie załadowano do fregaty większy niż zazwyczaj ładunek żołnierzy i broni, a także arcytajny statek, którego użyto tylko raz, dekadę wcześniej.

Z wojskowego punktu widzenia niewidzialny pojazd bojowy dawał przewagę, jakiej jeszcze nigdy dotąd nie zapewniło żadne pojedyncze rozwiązanie techniczne. Teoretycznie Harkonnenowie mogli w sposób niewykrywalny zadawać ciosy swoim przeciwnikom. Ileż dałby za takie rozwiązanie wicehrabia Moritani z Grumman!

Niewidzialny statek spisał się znakomicie podczas swego dziewiczego rejsu, potem jednak nie można było z nim wiązać żadnych planów, gdyż pojawiły się usterki techniczne. Niektóre były bagatelne i mogły sobie z nimi poradzić normalne brygady techników, ale znacznie gorzej było z problemami dotyczącymi samego generatora pola pozaprzestrzennego. A wynalazca z Richese nie mógł już udzielić żadnej pomocy, albowiem stracił życie. Ostatnie testy wypadły całkiem nieźle, ale inżynierowie lękliwie ostrzegali, że być może pojazd nie uzyskał pełnej sprawności bojowej.

Baron bardzo się spieszył, dla przykładu więc jednego z najbardziej wolnych ładunkowych kazał zmiażdżyć w parowej prasie; na innych podziałało to tak, że można było śmiało oczekiwać, iż plan zostanie zrealizowany.

Mającą pełną ładownię fregata weszła na geostacjonarną orbitę wokół Wallach IX, zajmując pozycję dokładnie nad kompleksem szkolnym. Baron, stojący na mostku w towarzystwie Pitera de Vriesa i Glossu Rabbana, nie wysyłał żadnej informacji do centrum decyzyjnego Bene Gesserit. Nie musiał tego robić.

– Z czym przybywacie? – rozległ się z głośników chłodny i nieprzyjazny głos kobiecy. Czy jednak nie było w nim także nutki zdziwienia?

– Jego wysokość baron Vladimir Harkonnen chce poprzez prywatny kanał rozmawiać z waszą Matką Przełożoną – oznajmił oficjalnym tonem mentat.

– To niemożliwe. Nie było w tej sprawie żadnych wcześniejszych uzgodnień.

Baron pochylił się i zagrzmiął:

– Macie pięć minut na zapewnienie mi prywatnego połączenia, bo jeśli nie, użyję kanału otwartego, co może się okazać nieco kłopotliwe.

Zapadła dłuższa cisza. Tuż przed upływem wyznaczonego terminu popłynął z głośnika chrapliwy głos:

– Tu Matka Przełożona Harishka. Jesteśmy na moim prywatnym kanale łączności.

– To dobrze. Zatem proszę uważnie słuchać – rzekł baron z uśmiechem.

– Postanowienia Wielkiej Konwencji są bardzo jednoznaczne w przypadku największych zbrodni, Matko Przełożona – powiedział de Vries. – Zostały one przyjęte w odpowiedzi na to, czego dokonały myślące maszyny na ludziach. Jedną z największych zbrodni jest użycie broni atomowej. Inną jest skorzystanie z broni biologicznej.

– Tak, wiem o tym, a chociaż sama nie specjalizuję się w historii wojskowości, mogę zaraz wezwać odpowiednią siostrę, która z pamięci wyrecytuje odpowiednie paragrafy. Ale czy nie może tego zrobić pański mentat, baronie? Nie rozumiem, jaki to ma związek z nami. Równie dobrze mogliście przylecieć z prośbą, żeby opowiedzieć wam bajkę na dobranoc.

Sarkazm świadczył, zdaje się, o tym, że zwierzchniczka Bene Gesserit poczuła jednak pewne zdenerwowanie.

– Tych praw należy przestrzegać – zadudnił głos barona. – Karą za takie przestępstwa jest bezzwłoczne unicestwienie ich sprawców przez Landsraad. Każdy z Wysokich Rodów zobowiązał się do tego, że w razie konieczności dostarczy sił wojskowych umożliwiających wykonanie wyroku. – Urwał, aby następne słowa zabrzmiały tym bardziej złowieszczo: – A te właśnie prawa pogwałcono, Matko Przełożona. – Piter de Vries i Glossu Rabban uśmiechnęli się do siebie z zadowoleniem. – Ród Harkonnenów – ciągnął baron – gotów jest wystąpić do Cesarza z formalną skargą, że Bene Gesserit na przekór prawu użyły broni biologicznej przeciw jednemu z Wysokich Rodów.

– Wygaduje pan bzdury, baronie. Nasz zakon nie podejmuje żadnych działań militarnych.

Wydawała się naprawdę rozgniewana. Czy to możliwe, żeby nie wiedziała?

– Więc proszę sobie dokładnie zanotować w pamięci, Matko Przełożona, że dysponujemy niezbitymi dowodami na to, iż Wielebna Matka Gaius Helena Mohiam umyślnie użyła przeciw mej osobie oręża biologicznego w czasie, gdy wykonywałem usługi zamówione przez zakon. Jeśli przypadkiem sama nie wiesz o tym, to radzę wypytać tę dziwkę!

Baron nie wspomniał o tym, że Bene Gesserit jako narzędzia nacisku użyły swej wiedzy o nielegalnym składowaniu przez niego przyprawy. Teraz śmiało mógł już odeprzeć ten zarzut, albowiem wszystkie sekretne zasoby zostały rozmieszczone w najdalszych zakątkach planet podlegających Harkonnenom, tak że odnalezienie ich było niemożliwe.

Zadowolony z siebie baron wsłuchiwał się w ciszę, która teraz zapadła. Wyobrażał sobie przerażenie na twarzy Matki Przełożonej. Postanowił wbić nóż jeszcze odrobinę głębiej.

– Radziłbym dokładnie wczytać się w tekst Wielkiej Konwencji i zastanowić się, czy istotnie chcecie, aby sprawa ta została jawnie postawiona przed sądem Landsraadu. Przypomnę także, że narzędzie ataku – Wielebna Matka Mohiam – dostarczone zostało na statku Gildii, która wcale nie będzie zachwycona tą informacją. – Baron zabębnił palcami po pulpicie. – I nawet jeśli zakon nie zostanie rozwiązany raz na zawsze, posypią się surowe cesarskie kary na niektóre siostry, włącznie z wygnaniem.

Wreszcie Harishka przemówiła i niemal udało jej się ukryć, jak bardzo wstrząsnęła nią ta groźba.

– Najwyraźniej przywiązuje pan zbyt dużą wagę do jednostkowego zdarzenia, ale żebyśmy mogła rozważyć wszystkie opcje, zapytam: czego pan się od nas domaga? „Zaczyna się wiercić!”

– Pozwolenia na bezpieczne lądowanie, a potem bezpośredniej rozmowy z tobą. Macie

przysłać pilota, który przeprowadzi nas przez wasze systemy obronne.

Nie widział powodu, aby wspominać, że zadbał, by odpowiednia informacja i formalne oskarżenie dotarły na Kaitain, gdyby coś im się stało na Wallach IX. Harishka sama się już tego domyśliła.

– Nie widzę powodu, żeby się nie zgodzić, baronie, ale wkrótce sam się pan przekona, że pańskie podejrzenia są oparte na jakimś straszliwym nieporozumieniu.

– Niechaj na miejscu znajdzie się też Mohiam. I zadbajcie o przygotowanie szybkiej i skutecznej terapii, w przeciwnym bowiem wypadku ciebie i wasz zakon czeka zagłada.

Głos wiekowej Matki Przełożonej był zupełnie spokojny.

– Jak wielki jest pański orszak?

– Powiedz jej, że mamy całą armię – szepnął Rabban na ucho stryjowi, ale ten odepchnął go z irytacją.

– Ja i sześćoosobowa świta.

– Wasza prośba o spotkanie została przyjęta.

Kiedy przerwano połączenie, Rabban spytał:

– Ja także pojedę, stryju?

– Pamiętasz, co mówiłem o subtelności?

– Wypisałem sobie wszystkie definicje, tak jak kazałeś, stryju.

– To zostań tutaj i naucz się ich na pamięć, podczas gdy ja będę pertraktował z tą czarownicą.

Naburmuszony Rabban cofnął się pod ścianę.

Godzinę później do fregaty przycumowała lichtuga Bene Gesserit, z której wysiadła młoda kobieta o pociągłej twarzy i luźno rozpuszczonych kasztanowych włosach. Miała na sobie obcisły czarny uniform.

– Jestem siostra Cristane – przedstawiła się. – Sprowadzę was na powierzchnię. Matka Przełożona czeka – dodała z błyskiem w oczach.

Baron już chciał ruszyć w orszaku sześciu starannie wybranych żołnierzy, kiedy za uchem posłyszał cichy głos de Vriesa:

– Nigdy nie należy lekceważyć Bene Gesserit, mój baronie.

– Nie martw się, Piter. Tym razem mam je w garści.

Z tymi słowami ruszył w ślad za Cristane.

*Religia to próba naśladowania dorosłego przez dziecko. Jest torbielą zamykającą w sobie dawne wierzenia, mitologią pełną ryzykanckich przypuszczeń, zbiorem tajnych założeń, które pozwalają ufać wszechświatu, deklaracjami składanymi przez ludzi pragnących władzy... a wszystkie przemieszane ze strzepami zrozumienia. I zawsze najwyższe, chociaż nie*

wypowiedane przykazanie brzmi: „Nie pytaj i nie kwestionuj”. Temu jednak nie potrafimy się podporządkować i w istocie łamiemy to przykazanie. My postawiłyśmy sobie za zadanie wyzwolenie wyobraźni i powiązanie jej z najgłębszą ludzką potrzebą twórczości.

### **Kredo zakonu Bene Gesserit**

Lady Margot Fenring, piękna kobieta skazana na pobyt w prowincjonalnej części Cesarstwa, bynajmniej nie uskarżała się na surowe warunki, dokuczliwe upały i brak wygody w garnizonowym mieście. Arrakin zostało wzniesione na suchej solnej panwi, a otaczała je nieprzyjazna pustynia, na północnym zachodzie zaś wznosił się Mur Zaporowy. Miasto znajdowało się kilka kilometrów od niepewnej granicy piaskali i chociaż nigdy nie zostało zaatakowane przez pustynne bestie, sama taka możliwość była stałym tematem rozmów. A gdyby coś się zmieniło? Życie na pustynnej planecie nigdy nie było całkowicie bezpieczne.

Margot wielokrotnie zastanawiała się nad siostrami, które działały tutaj z ramienia Missionaria Protectiva i zginęły bez śladu. Dawno temu zgodnie z rozkazem Matki Przełożonej odeszły daleko w pustynię i nigdy nie wróciły.

Życie Arrakin było podporządkowane rytmom pustyni: suchość, znaczenie wody, dzikie huragany przypominające sztormy na morzu, legendy o grozie i przetrwaniu. Margot wyczuwała tutaj jakąś intensywną duchowość. Z daleka od zgiełku dworu cesarskiego mogła tutaj kontemplować przyrodę, filozofię i religię. Miała tu czas na wiele zajęć, także na odkrywanie siebie.

Co takiego odkryły zaginione kobiety?

W cytrynowym blasku świtu stała na balkonie pierwszego piętra rezydencji. Drobnny pył osłabiał światło i wyostrzał cienie, w których żywe istoty chowały się przed skwarem. Patrzyła, jak pustynny jastrząb leci na wschód, jakby od niechcenia uderzając potężnymi skrzydłami. Krajobraz przypominał obraz któregoś z wielkich dawnych mistrzów: pastelowe barwy i ostro zarysowane krawędzie dachów oraz dalekiego Muru Zaporowego.

Gdzieś tam, w niezliczonych siczach wczepionych w skały, mieszkali tajemniczy Wolanie. Oni znali odpowiedzi, które musiała zdobyć, aby wypełnić polecenie Matki Przełożonej Harishki. Czy owi pustynni wędrowcy słuchali nauk Missionaria Protectiva, czy też zabili posłanniczki i zabrali ich wodę?

Za nią znajdował się ogród botaniczny chroniony przez służbę powietrzną, która otwierała się tylko dla niej. Hrabia Fenring, ciągle jeszcze śpiący w łóżku, pomógł jej zdobyć wiele egzotycznych roślin z całego obszaru Cesarstwa, ale tylko ona mogła je oglądać.

Z czasem dowiedziała się o krążącej pośród Wolan opowieści o Arrakis zieleniącym się i obfitym w wodę: jeden z typowych rajskich mitów, które rozpowszechniała Missionaria Protectiva. Może to był ślad po zaginionych siostrach. Z drugiej jednak strony, nie byłoby nic dziwnego w tym, gdyby nawet bez podszeptów Bene Gesserit ludzie żyjący w skrajnie

trudnych warunkach snuli opowieści o Ogrodach Edenu. Dobrze byłoby o tym porozmawiać z planetologiem Kynesem, spróbować dowiedzieć się od niego, kim jest tajemniczy Umma Wolan. Ona sama nie bardzo mogła połączyć wszystkie te elementy.

Jastrząb wzbijał się coraz wyżej, korzystając z termicznych prądów.

Nie odchodząc od okna, napiła się z kubka herbaty melanzowej, a ostry smak przyprawy podrażnił jej usta. Chociaż przebywała na Arrakis już od dwunastu lat, spożywała przyprawę w małych ilościach, dbając o to, aby nie uzależnić się w stopniu, przy którym barwa białek oczu zmienia się na niebieską. Każdego ranka jednak melanz pomagał jej jeszcze intensywniej chłonać urodę Arrakis. Słyszała, że przyprawa nigdy dwa razy nie smakuje tak samo, że zmienia się jak samo życie...

„Zmiana” była pojęciem kluczowym dla zrozumienia Wolan. Na pozór Arrakis wydawało się zawsze takie same: jałowe pustkowia rozciągające się w nieskończoność w czasie i przestrzeni. Ale pustynia miała w sobie o wiele więcej. Kiedyś coś takiego powiedziała jej ochmistrzyni, Szadouta Mapes: „Moja pani, Arrakis wcale nie jest takie, jak się wydaje”. Zdumiewające słowa.

Niektórzy twierdzili, że Wolanie są dzicy, podejrzliwi i cuchnący. To ostre słowa ludzi z zewnątrz, nie mających ani współczucia, ani zrozumienia dla dumnego ludu. Margot natomiast była zaintrygowana tajemniczością Wolan. Bardzo chciała spojrzeć bliżej na tę ich dziką niezależność, chciała poznać ich sposób myślenia i receptę na przetrwanie we wrogim otoczeniu. Gdyby lepiej ich poznała, lepiej wykonałaby też wyznaczone jej zadanie.

Od nich mogłaby poznać odpowiedzi na nurtujące ją pytania.

Przyglądając się pracującym w rezydencji Wolanom, rozpoznała pojedyncze elementy języka ciała, ton głosu, zapach. Jeśli Wolanie mieli coś do powiedzenia i uznali, że ktoś jest godny to usłyszeć, wtedy mówili. Jeśli nie, posłusznie oddawali się zleconym zajęciom, pokornie spuszczały głowy i roztapiali się w całej reszcie społeczności jak pojedyncze ziarnka piasku na pustyni.

Przez pewien czas zastanawiała się, czy powinna mówić wprost, zapytać o zaginione kobiety, w nadziei, że służba poniesie te pytania na pustynię. O wiele jednak bardziej prawdopodobne wydawało się to, że zapytani znikną bez słowa i nigdy już ich nie zobaczy.

Może więc powinna poskarżyć się na swoje położenie. Początkowo zareagują zdziwieniem i nieufnością, ale jeśli pozyska ich zaufanie – może zechcą jej pomóc.

„Mam zobowiązania jedynie wobec zakonu. Jestem lojalną Bene Gesserit”.

Ale jak zrobić to w sposób dyskretny, tak żeby nie wzbudzić podejrzeń osób postronnych? Rozważała, czy napisać list i zostawić go w miejscu, gdzie z pewnością znalazłby go któryś z Wolan. Zawsze byli czujni i w dyskretny sposób nieustannie gromadzili informacje.

Ale i to nie wydawało się rozwiązaniem dość subtelnym, a ona traktowała ich z szacunkiem, powinna więc ich jakoś naprowadzić.

I wtedy nagle przypomniała jej się pewna dziwna praktyka. Podszepeła ją Pamięć Innych, czy też może czytała o niej podczas nauk na Wallach IX? Mniejsza z tym. Na Starej Ziemi istniała społeczność zwana Japonią, dla której najważniejszą wartością był honor. Panował tu zwyczaj rozwiązywania prawnych komplikacji za pośrednictwem wynajętego skrytobójcy, ninja. Kiedy ktoś chciał przekazać zlecenie, stawał przed pewnym murem i szeptem podawał imię oraz propozycję zapłaty. Nigdy nie widziany, ninja zawsze był tam obecny, słuchał i w ten sposób zawierany był układ.

Także tutaj, w rezydencji, Wołanie nieustannie słuchali.

Margot potrzęsła swymi jasnymi włosami, poprawiła jedwabną narzutę i zawróciła do holu przylegającego do jej komnat. Nawet tak wczesnym rankiem ludzie już pracowali, zamiatając, odkurzając, polerując.

Podniosła głowę i wpatrzyła się w wysoko wzniesione sklepienie. Zaczęła mówić cichym, modulowanym głosem, wiedząc, że architektura rezydencji sprawiała, iż nawet szept docierał do nieoczekiwanych miejsc. Ktoś ją usłyszy, chociaż nie mogła przewidzieć kto.

– Siostry Bene Gesserit, które tutaj reprezentuję, z najwyższym szacunkiem i podziwem odnoszą się do zwyczajów Wolan, a ja jestem nimi osobiście zainteresowana. – Poczekała, aż delikatne echo ucichnie, a potem ciągnęła: – Jeśli ktoś mnie słyszy i jest ciekaw, to być może mam informacje o Lisanie al-Gaibie, których jeszcze nie znacie.

„Lisan al-Gaib”, „Głos z Innego Świata”, to imię mitycznego proroka Wolan, mesjasza, którego postać wykazywała zaskakujące paralele do własnych planów zakonu. Wydawało się wręcz nieuniknione, że to któraś z przedstawicielek Missionaria Protectiva posiadała tu tę legendę jako zwiastun nadejścia Kwisatz Haderach Bene Gesserit. Przygotowania takie poczynione zostały w niezliczonych miejscach Cesarstwa, a uwaga Margot powinna pobudzić ciekawość Wolan.

Kątem oka zobaczyła przemykającą postać w burej szacie.

Kiedy potem w trakcie dnia przyglądała się wolańskim posługaczom, wydawało jej się, że zamiast, jak dotąd, unikać jej spojrzenia, popatrują na nią ze skrywanym zainteresowaniem, malującym się w ich niebieskich oczach.

Teraz z typową dla Bene Gesserit cierpliwością zaczęła czekać.

*Upokorzenie to rzecz, której się nigdy nie zapomina.*

## **Rebec z Ginazów**

Następna wyspa archipelagu Szkoły Ginazów była pozostałością starego wulkanu, czarna misą wydobytą nad wodę i zostawioną do wyschnięcia w tropikalnym słońcu. To, co z

powietrza widać było we wnętrzu krateru, wyglądało na następną karną kolonię.

Duncan stał na kamiennym polu ćwiczebnym wraz ze stu dziesięcioma innymi młodzieńcami, pośród których znalazł się też rudowłosy elew z Grumman, Hiih Resser. Ze stu pięćdziesięciu, trzydziestu dziewięciu nie przetrwało pierwszej próby.

Czarne kręcone włosy Duncana zostały krótko obcięte, miał na sobie czarny *gi* szkoły. Każdy z uczniów nosił przy sobie broń przywiezioną do Szkoły Ginazów, a zatem u pasa Duncana zwisał miecz Starego Księcia, ale teraz chłopak już wiedział, że polegać musi przede wszystkim na swoich umiejętnościach, a nie na talizmanie zabranym z domu. Czuł się obecnie silny i gotowy do rozpoczęcia prawdziwych nauk.

Młody nauczyciel przedstawił się jako Jeh-Wu. Silnie zbudowany, miał perkaty nos i mało wyeksponowaną brodę, co nadawało mu wygląd iguany. Długie włosy splecione były w warkoczyki, które zwisały niczym małe żmijki.

– Modlitwa – powiedział. – I razem, proszę.

– W imię Jool-Noreta – zaczął Duncan razem z innymi – w sercu, duszy i umyśle zawieram siebie pamięci mistrzów miecza. Sednem naszego życia jest honor.

W chwili ciszy rozpamiętywali wielkość człowieka, który ustanowił zasady Szkoły Ginazów, a którego święte relikwie wybrańcy mogli obejrzyć w wysokiej, centralnej budowli na największej wyspie.

Stali na baczność, podczas gdy nowy instruktor przechadzał się między rzędami i oceniał kandydatów. Zatrzymał się przy Duncanie, przyglądał mu się przez chwilę, a potem rzekł:

– Pokaż swoją broń.

Mówił w ginazee, a jego słowa przekładał na galach automatyczny tłumacz umieszczony w purpurowym kołnierzu.

Duncan posłuchał, podając miecz rękojęścią ku nauczycielowi. Ten zmarszczył brwi.

– Piękne ostrze, świetna snycerka. Prawdziwa damascenka.

Przyglądał się ostrzu, wygiął je ze znanstwem, potem pozwolił mu wyprostować się ze świstem.

– O każdej broni damasceńskiej powiadają, że gaszona jest w ciele niewolnika – powiedział Jeh-Wu i potrząsnął głową tak, że warkocze wydały się gotowe do ataku. – Wierzysz w takie bzdury, Idaho?

– Zależy od tego, czy są prawdziwe czy nie, sir.

Nauczyciel uśmiechnął się lekko, ale nie odpowiedział na kryjące się w słowach Duncana pytanie.

– Zgaduję, że to broń księcia Paulusa Atrydy? – Jeh-Wu zmrużył oczy i zwrócił się do niego nieco cieplejszym tonem: – Bacz, abyś okazał się jej godny. – Wsunął miecz do pochwy. – Najpierw będziesz musiał się nauczyć używać innych, zanim będziesz gotowy do tego oręża. Idź do zbrojowni i weź duży miecz obusieczny, a także starą średniowieczną zbroję. – Na jego twarzy pojawił się groźny uśmiech. – Dziś po południu chcę demonstrować

na tobie.

Duncan ciężkim krokiem wyszedł w zbroi na środek placu ćwiczebnego, pokrytego pumeksem i żwirem krateru. Wąskie wycięcie w hełmie pozwalało mu spoglądać tylko wprost. Miał wrażenie, że zbroja waży setki kilogramów. Pod kolczugą miał naramienniki, napierśnik, kryzę, nagolenniki i kirys. W rękę trzymał ciężki obusieczny miecz.

– Stań tam. – Jeh-Wu wskazał na środek placu. – Zastanów się, jak będziesz w tym walczył. To nie jest proste.

Słońce bardzo szybko rozgrzało metal i zbroja zamieniła się w piec; Duncan ociekał potem. Niepewnie stawiał kroki, z trudem zginał ręce i nogi.

Żaden inny z uczniów nie miał na sobie takiego oporządzenia, ale Duncan nie był zachwycony tym wyróżnieniem.

– Wolałbym tarczę osobistą – powiedział, a jego głos zadudnił w hełmie.

– Podnieś broń – polecił nauczyciel, a Duncan z trudem dźwignął ciężki miecz, czując się jak więzień w kajdanach. Z wysiłkiem zacisnął rękawice wokół gardy.

– Masz znakomitą zbroję, Idaho – oznajmił Jeh-Wu – co powinno dać ci przewagę. A teraz broń się.

Na gest nauczyciela z obu stron zaatakowali Duncana inni uczniowie, uderzając zwykłymi mieczami. Ich ostrza załomotały o płyty pancerza jak jakiś straszliwy grad.

Duncan usiłował odierać ciosy, wywijając swym mieczem, ale był za wolny. Jeden z kolegów uderzył w jego hełm z taką siłą, że Duncanowi zahuczało w uszach. Rozdawał szaleńcze ciosy, ale ponieważ miał ograniczone pole widzenia, niczym nie skrępowani przeciwnicy z łatwością unikali jego razów. Następne potężne uderzenie tak ugodziło w naramiennik, że Duncan zatoczył się i padł na kolana, po czym niezgrabnie usiłował się podnieść.

– No, wstawaj, Idaho, i walcz – prychnął zniecierpliwiony Jeh-Wu. – Co to za leniuchowanie?

Duncan wcześniej obawiał się, że wielkim mieczem może zrobić krzywdę któremuś z kolegów, ale jak dotychczas wszystkie jego ciosy były chybione. Chwiejnie wstał, a napastnicy znowu go opadli. Pot ściekał z niego strumieniami, czarne plamy tańczyły przed oczami, powietrze w hełmie było ciężkie i duszne.

„Nie mogę być takim mięczakiem!”

Zebrawszy wszystkie siły, Duncan zaatakował przeciwników, ale ciężkie płyty zbroi hamowały i spowalniały ruchy. Niewiele słyszał poza ciężkim oddechem i łomotem serca. Napór nie słabł i wreszcie Idaho po raz kolejny zwałił się na żwirowe podłoże. Nauczyciel podszedł i zerwał mu hełm, a światło było tak oślepiające, że Duncan musiał zamknąć oczy. Dyszał ciężko i potrząsał głową, aby strząsnąć z powiek słone krople potu. Zbroja przygniatała go do ziemi niczym stopa olbrzyma.



– Miałeś najlepszą broń ze wszystkich, Duncanie Idaho – odezwał się Jeh-Wu, stając nad nim – także najdłuższy i najostrzejszy miecz. A przecież przegrałeś. Możesz nam wyjaśnić dlaczego?

Duncan milczał, nie zamierzał bowiem uskarżać się na ciężar zbroi i oręża; życie stawia przeszkody, z którymi należy się borykać, zaciskając zęby. Tylko wtedy wzrastała moc. A w starciu szanse nie zawsze są równe.

Jeh-Wu spojrzał na pozostałych.

– Jaką z tego czerpicie dla siebie naukę?

Natychmiast zgłosił się niski, krótko ostrzyżony przybysz z Al Dhanab.

– Zupełna ochrona nie zawsze oznacza przewagę. Może stać się przeszkodą, gdyż zarazem nakłada ograniczenia.

– Słusznie – powiedział Jeh-Wu i przeciągnął palcem po bliźnie na brodzie. – Coś jeszcze?

– Swoboda ruchów jest lepszą ochroną niż ciężka zbroja – rzekł Hiih Resser. – Jastrzębiowi mniej grozi atak niż żółwiowi.

Duncan usiadł i z niechęcią odłożył na bok obusieczny miecz.

– A najcięższa broń nie zawsze jest najskuteczniejsza – powiedział zachrypniętym głosem.

Nauczyciel popatrzył na niego z serdecznym uśmiechem.

– Nieźle, Idaho. Może istotnie czegoś się tutaj nauczysz.

*Naucz się rozpoznawać przyszłość, tak jak Sternik rozpoznaje gwiazdy i według nich ustala kurs statku. Ucz z przeszłości, ale nigdy nie czyń z niej kotwicy.*

**Sigan Visee, Pierwszy Naczelny Instruktor,  
Szkoła Nawigatorów Gildii**

W biegnących głęboko pod jaskiniami miasta tunelach paliły się czerwone i pomarańczowe światła. Wiele pokoleń wstecz budowniczo wie z IX stworzyli sieć wypełnionych jednokierunkowym polem tuneli prowadzących do płynnego jądra planety, a służących do likwidacji odpadów. Pomimo ochronnego pola dochodził stamtąd zapach kwasów i siarki.

Suboidzi ociekając potem, pracowali tu po dwanaście godzin na dobę, wrzucając do gardzieli odpady po wcześniejszym oddzieleniu wszystkiego, co mogło mieć jakąś wartość. Znudzeni strażnicy Tleilaxan przyglądali się temu z otępieniem.

Korzystając z tego, C'tair podkradał w czasie pracy, co tylko mógł. Udało mu się w ten

sposób uzyskać kilka cennych kryształów, małych zasilaczy, a nawet garść mikroczujników. Po akcji sardaukarów sprzed dwóch miesięcy nie mógł już liczyć na dotychczasowe źródła zaopatrzenia. Znowu stał się samotnym bojownikiem, ale nie zamierzał się poddawać.

Faktem jednak było, że przez ostatnie dwa miesiące żył w ciągłym strachu. Chociaż znał jeszcze parę osób w miejscach odprawiania towarów, wszyscy zaprzyjaźnieni spiskowcy i wszyscy nielegalni handlarze poznikali. Bał się wracać do odwiedzanych dawniej miejsc, gdyż ktoś z pojmanych mógł podczas tortur udzielić informacji ułatwiających dekonspirację. Nie starał się nawet odszukać Miral Alechem i, nawet w sensie dosłownym, zszedł jeszcze bardziej do podziemia, podejmując pracę przy zsykach na odpady.

Jeden ze współtowarzyszy wydawał się zbyt ożywiony, nazbyt często się rozglądał, a chociaż C'tair unikał wszelkiego kontaktu, wzrok nieustannie wbijając w ziemię lub to, czym był w danej chwili zajęty, tamten najwyraźniej szukał jakiejś okazji, żeby go nagabnąć. C'tair przypuszczał, że mógł być takim jak on zbiegiem, teraz jednak nie mógł nikomu zaufać.

Podczas pracy niezmiennie zachowywał usłużną, potulną postawę; nie można było wykluczyć, że tamten stanowi dla niego zagrożenie, a nawet że jest Tancerzem Oblicza. Być może trzeba będzie uciekać, gdyby ktoś szczególnie się nim zainteresował. Tleilaxanie systematycznie likwidowali przedstawicieli dawnej szlachty i klasy średniej; wszystkich mieszkańców Ix chcieli zgnieść pod butem jak pył.

Któregoś popołudnia w połowie zmiany pojawili się umundurowani gwardziści w towarzystwie Mistrza. C'tair, ociekając potem, pracował tak wytrwale, że włosy opadały mu na oczy. Jego ciekawski towarzysz wyraźnie się usztywnił, w potem tak jak on rzucił się do roboty.

C'tair poczuł chłód i mdłości. Jeśli Tleilaxanie dowiedzieli się, kim jest, i wysłali oddział po niego, przed śmiercią zostanie poddany wielodniowym torturom. Przygotował się wewnętrznie do walki. Może uda mu się zepchnąć kilku napastników w łakomą gardziel zsypu, zanim go obezwładnią.

Tymczasem żołnierze zatrzymali się przy pracującym obok Ctaira mężczyźnie. Prowadzący ich Mistrz Tleilaxan potarł swe długie jak u owada palce i uśmiechnął się złośliwie. Miał długi nos i wąską brodę; szarawa skóra dawała wrażenie wymęczonej.

– Ty, suboidzie... czy kimkolwiek jesteś – powiedział. – Odkryliśmy twoją prawdziwą tożsamość.

Mężczyzna rozejrzał się spłoszony i na chwilę zatrzymał wzrok na C'tairze, jakby prosił go o pomoc, ten jednak spojrzał w drugą stronę.

– Wszystko już jasne. Dotarliśmy do dokumentacji – kontynuował Mistrz słodkim głosem. – Byłeś księgowym, prowadziłeś rachunkowość dla dawnych władców Ix.

Jeden z tleilaxańskich gwardzistów poklepał po ramieniu mężczyznę, który w jednej chwili stracił maskę i przerażony zapiszczał.

– Nie rozumiesz mnie, obywatelu – powiedział szarawy człowieczek, a w jego głosie

więcej było protekcjonalności niż groźby. – Włożyliśmy wiele wysiłku, żeby wpaść na twój trop, gdyż potrzebujemy twojej pomocy. My, Bene Tleilax, potrzebujemy rozgarniętych pracowników, a w szczególności ludzi o takiej wiedzy matematycznej jak twoja. – Tleilaxanin ogarnął gestem warczące maszyny i cuchnące wnętrze. – To praca poniżej twych kwalifikacji. Pójdź z nami, a damy ci do roboty coś znacznie bardziej wartościowego i interesującego.

Na twarzy mężczyzny pojawił się nieśmiały uśmiech nadziei, niepewnie skinął głową.

– Na rachunkach znam się bardzo dobrze i jeśli naprawdę tego chcecie, będziecie mieli ze mnie pożytek. Tutaj rzeczywiście potrzebna jest wiedza.

C'tair chciał wydać ostrzegawczy okrzyk. Jak można być tak głupim? Skoro udało mu się przetrwać tyle lat pod panowaniem Tleilaxan, jak mógł się nabrać na tak prymitywną prowokację?

– Proszę tędy – powiedział Mistrz. – Mamy właśnie naradę i będziesz mógł, obywatelu, przedstawić nam swoje poglądy.

Jeden ze strażników spojrzał na C'taira, któremu serce zamarło ze zgrozy.

– Czy coś cię tutaj interesuje, obywatelu?

C'tair ze wszystkich sił spróbował zapanować nad sobą, żeby nie okazać strachu.

– Nie, tylko się martwię, że teraz więcej roboty na mnie przypadnie.

I nieporadnie rozejrzał się dookoła.

– No to musisz się bardziej przyłożyć.

Gwardziści i Mistrz oddalili się wraz z poddanym, a C'tair powrócił do swojej pracy, za każdym razem dokładnie oglądając każdy szczegół, zanim ten zniknął w gardzieli szybu.

Dwa dni później C'tairowi i ludziom z jego brygady kazano wyjechać na poziom głównej groty, aby byli świadkami egzekucji „szpiega”, którym okazał się łatwowierny księgowy.

Gdy któregoś dnia C'tair przypadkowo natknął się na Miral Alechem, bardzo zręcznie ukrył wszelkie zdziwienie.

Znowu zmienił pracę, przestraszony aresztowaniem księgowego. Nigdy nie używał tej samej tożsamości dwa dni pod rząd. Często zmieniał zajęcie, a chociaż czasami ktoś nawet spojrzał na niego ze zdziwieniem, to wszyscy wiedzieli, że najlepiej o nic nie pytać. Każdy nieznajomy mógł się okazać Tancerzem Oblicza, którego zadaniem jest donosić o niezadowoleniu pośród pracujących i wypatrywać sabotażystów.

C'tair musiał teraz powoli i cierpliwie na nowo układać plany. Odwiedzał różne stołówki, gdzie wydawano podłe jedzenie.

Tleilaxanie korzystali ze swoich technologii biologicznych i w swych tajnych zakładach produkowali nie dającą się zidentyfikować żywność. Pobierali pojedyncze komórki roślin i z nich produkowali pozbawione smaku bulwy i kłącza. Jedzenie stało się równie bezbarwnym, mozołnym obowiązkiem jak codzienna harówka.

C'tairowi przypominały się posiłki w Grand Palais, spożywane w towarzystwie ojca, Ambadora Ix na Kaitain, i matki, ważnej urzędniczki w pionie bankowym Gildii. Próbowali rarytasów z różnych stron Cesarstwa, najbardziej wyszukanych przystawek i najlepszych win z importu. Dzisiaj wszystkie te cudowności wydawały się płodem jakiejś wybujałej fantazji i jeśli mógł je sobie przypomnieć, to tylko wygląd, a nie sam smak.

Ustawił się na końcu kolejki, żeby oszczędzić sobie przepychanek, zawsze towarzyszących początkowi wydawania posiłków. Kiedy przysła na niego kolej, spojrzał na osobę wydającą danie i napotkał ciemne oczy, potargane włosy i szczupłą, atrakcyjną twarz Miral Alechem. W jej oczach pojawił się błysk, ona także go poznała, ale dobrze wiedzieli, że należy stłumić wszelkie reakcje. C'tair spojrzął za siebie na salę jadalną, a wtedy kobieta powiedziała:

– O, tam masz, pracownika, wolne miejsce. Właśnie się zwolniło.

I ruchem głowy wskazała stół i krzesło. C'tair posłusznie usiadł tam i zaczął jeść. Niedługo skończyła się kolejka i pojawiła się Miral z własnym talerzem. Usiadła obok niego i w milczeniu zaczęła posiłek. Również C'tair nie patrzył w jej kierunku, natomiast półgębkiem nawiązali konwersację.

– Nie chciałam zmieniać pracy – powiedziała Miral – bo bałam się, że w ten sposób zwrócę na siebie uwagę.

– Ja mam wiele kart identyfikacyjnych – mruknął C'tair, który nigdy nie podawał prawdziwego nazwiska i zamierzał pozostać przy tym zwyczaju.

– Z całej grupy zostało tylko nas dwoje – oznajmiła Miral.

– Na pewno powstaną nowe. Na razie działam w pojedynkę.

– Niewiele można tak działać.

– Jeszcze mniej, gdy się straci życie. – Kiedy w milczeniu przełykała jedzenie, dodał: – W ten sposób walczę już od dwunastu lat.

– I na niewiele się to zdało.

– Walka skończy się dopiero wtedy, kiedy Tleilaxanie się stąd zabiorą, a Ix powróci do prawowitych właścicieli. – Skupił się na jedzeniu, gdyż bał się, że zaczął przemawiać zbyt gwałtownie. – Nigdy nie wspomniałaś, do czego ci potrzebne te skomplikowane części. Masz jakiś konkretny plan?

Spojrzała na niego przelotnie, ale zaraz odwróciła wzrok.

– Chcę zbudować urządzenie inwigilacyjne. Chcę się dowiedzieć, co oni robią w tym starannie pilnowanym pawilonie badawczym.

– Jest monitorowany – mruknął C'tair. – Sam już sprawdzałem.

– Dlatego właśnie potrzebne mi nowe urządzenie... Przypuszczam, że to właśnie z powodu tego, co tam robią, doszło do napaści.

– Co masz na myśli? – zareagował ze zdziwieniem C'tair.

– Nie zauważyłeś, że ich eksperymenty weszły w nową fazę? Dzieje się coś tajemniczego

i niedobrego.

C'tair podniósł do ust łyżkę, ale zauważywszy, że jej talerz był jeszcze do połowy pełny, a jego prawie pusty, zorientował się, że musi jeść znacznie wolniej, gdyż inaczej zniknie pretekst do rozmowy.

– Znikają kobiety – powiedziała Miral, a na jej twarzy pojawił się rumieniec. – Młode i zdrowe. Nagle przestają się pojawiać w pracy.

C'tair nigdy nie przebywał w jednym miejscu dostatecznie długo, aby mógł zaobserwować coś takiego. Z trudem przełknął.

– Zabierają je do haremów Tleilaxan? Ale dlaczego mieliby się interesować „nieczystymi” niewiastami z Ix?

Prawdopodobnie nikt z zewnątrz nie widział nigdy kobiet Tleilaxan. Powiadano, że strzegą je przed nieczystością i wypaczeniami Cesarstwa. A może nie pozwalają nikomu rzucić na nie okiem, gdyż są jeszcze brzydsze od mężczyzn?

Może to jednak nieprzypadkowe, że znikają kobiety zdrowe i w wieku właściwym do rodzenia? Znakomicie nadawałyby się na konkubiny, mimo iż nic nie sugerowało, by Tleilaxanie prowadzili bujne życie seksualne.

– Myślę, że to się jakoś wiąże z tymi ich badaniami – powiedziała Miral.

C'tair odłożył łyżkę, gdyż na talerzu prawie nic mu już nie zostało.

– Wiem tyle, że przybyli tutaj z określonym zamysłem. Nie chodziło im po prostu o podbój. Mają jeszcze inne zamiary. Gdyby istotnie chodziło im jedynie o zajęcie Ix, nie zatrzymywaliby tak wielu jednostek produkcyjnych, nie zarzuciliby produkcji nowego modelu liniowca, interaktywnych manekinów treningowych i innych rzeczy, które zapewniły majątek rodowi Verniusów.

– Zgoda – przytaknęła. – Chcą tutaj coś sprokurować, a robią to za zamkniętymi drzwiami i pod osłoną tarcz. Może uda mi się dowiedzieć, co to takiego. – Miral skończyła swoją porcję i wstała. – Dam ci znać, jeśli mi się uda.

Odeszła, zostawiając C'taira, który po raz pierwszy od wielu miesięcy poczuł przypływ otuchy. Przynajmniej tyle było pewne, że jeszcze ktoś walczy z wszechwładzą Tleilaxan, a skoro jemu udało się odnaleźć jedną taką osobę, musi ich być więcej, chociaż przygnębiające było to, że od dawna nie słyszał o żadnych aktach sabotażu.

I zaraz nadzieje znowu przygasły. Z niechęcią myślał o tym żmudnym wyczekiwaniu na właściwą sposobność: dzień po dniu tydzień po tygodniu. Może jeszcze za mało o tym rozmyślał. Tak tak, musi zmienić taktykę i połączyć swe wysiłki z kimś innym, niezależnie od ryzyka, jakie będzie się z tym wiązało. Aby doszło do obalenia Tleilaxan, musi mieć sojuszników, i to nie byle jakich.

I znał jedną osobę, która grała o stawkę wyższą niż on.

*W każdej chwili jesteśmy otoczeni przez Niewiadome. I to dlatego szukamy wiedzy.*

**Matka Przełożona Raquella Berto-Anirula,**  
***Przemowa przeciw trwodze***

W strojnym Portyku Mummera w Pałacu Cesarskim lady Anirula Korrino stała w otoczeniu delegacji dworu Szaddama. Jej członkowie ubrani byli strojnie, czasami ze śmieszną ostentacją, ale nie było to zwykłe powitanie przybywającego z zewnątrz dygnitarza.

Hrabia Hasimir Fenring zawsze był niebezpieczny.

Zmrużyła oczy przed bezchmurnym jak zawsze porankiem na Kaitain i wpatrzyła się w przemykające między kwiatami kolibry. Znajdujące się na orbicie satelity meteorologiczne tak manipulowały ruchem ciepłych i zimnych mas powietrza, aby wokół pałacu zawsze panowała ładna pogoda. Anirula czuła na policzku lekki powiew, co przyczyniało się do urody dnia.

Przepięknego dnia, gdyby nie przybycie hrabiego Fenringa. Wprawdzie poślubił Bene Gesserit nie mniej sprytną i przebiegłą od siebie, ale jednak Anirula nie była pewna, czy udało jej się wpłynąć na obyczaje małżonka, i dlatego towarzystwo Fenringa zawsze napełniało ją niepokojem. Ciągnęła się za nim aura rozlanej krwi. Jako Kwisatz Matka, Anirula dokładnie знаła program kultywacyjny Bene Gesserit i dlatego wiedziała, że także Fenring w jednym ze schematów był rozważany jako potencjalny szczebel do Kwisatz Haderach, z racji jednak ujawnionych wad tę odrośl schematu uznano za biologiczny niewypał.

Niemniej niezwykła bystrość Fenringa i jego groźne ambicje nie ulegały najmniejszej wątpliwości. Został wprawdzie odprawiony do Arrakin jako cesarski „Minister od Przyprawy”, nadal jednak miał ogromny wpływ na przyjaciela z dzieciństwa, co napełniało Anirulę oburzeniem, pod tym bowiem względem nawet ona, małżonka Cesarza, nie mogła się równać z Fenringiem.

Do bram pałacu z hałasem zbliżał się otwarty powóz ciągnięty przez dwa złote lwy z Harmonthepu. Gwardziści zaszalutowali hrabiemu, a pojazd okrążył dziedziniec przy wtórze terkotu kół i brzęku obutych w metal łap. Dworzanin otworzył drzwiczki i zastygł w niskim ukłonie, Anirula zaś ani drgnęła, niczym wykuta z kamienia.

Fenring wysiadł z dostojeństwem, które nijak nie pasowało do jego niskiego wzrostu. Na audiencję ubrał się w czarny frak i cylinder, miał też karminowozłotą szarfę na piersi oraz epolety związane z misją zleconą przez Szaddama. Hrabia jakby w ten sposób ironicznie podkreślał zamiłowanie Cesarza do wystawności i ceremonii.

Hrabia zatrzymał się naprzeciw Aniruli, oddał pokłon cylindrem, a potem spojrzał w jej duże, lśniące oczy.

– Jakaż to przyjemność widzieć cię znowu, lady Anirulo, hmmm.

– Witamy ponownie na Kaitain, hrabio Fenring – odpowiedziała z lekkim skłonieniem

głowy i grzecznym uśmiechem.

Fenring nie dbał o dalsze formalności, nałożył z powrotem cylinder na zdeformowaną czaszkę i przeszedł obok Aniruli, kierując się do sali na audiencję u Cesarza. W otoczeniu swego orszaku ruszyła w pewnej odległości za nim.

Ponieważ Fenring miał bezpośredni dostęp do Cesarza, więc – jak przypuszczała Anirula – zupełnie się nie przejmował jej niechęcią ani też nie zastanawiał nad jej przyczyną. Nie miał pojęcia o tym, co go ominęło, ani o możliwościach, jakie zmarnował.

Współpracując z siostrą Margot Rashino-Zea – którą później miał poślubić – Fenring nakłonił Cesarza do ślubu z Bene Gesserit z Tajnej Elity, właśnie z lady Anirulą. W tym momencie nowemu Cesarzowi potrzebny był silny sojusznik, ze względu na trudności, jakie napotkał po śmierci starego Elrooda.

Szaddam nie wyciągnął jednak konsekwencji ze słabości swej pozycji i nie pracował nad jej umocnieniem. A tymczasem krnąbrność Grumman była tylko jednym z przejawów niepokojów występujących w całym Cesarstwie, których przejawem były obraźliwe gesty i słowa, niszczenie podobizn władcy.

Anirulę niepokoiło przekonanie Szaddama, że niepotrzebne są mu już wpływy Bene Gesserit, a także to, iż nader rzadko korzystał z pomocy swej dawnej Prawdomówczyni, Wielebnej Matki Lobii. Co więcej, rosła jego irytacja z powodu braku męskich potomków, co wynikało z wydanych Aniruli przez zakon, całkowicie tajnych poleceń.

„Cesarstwa powstają i giną – myślała – ale zakon Bene Gesserit trwa”.

Idąc za Fenringiem do sali tronowej, wpatrywała się w sprężysty chód hrabiego. Ani on, ani Szaddam nie orientowali się we wszystkich subtelnych, rozgrywających się za kulisami działaniach, które ostatecznie decydowały o kształcie Cesarstwa. Na arenie historii, gdzie nie liczyły się pompa i popisy, to Bene Gesserit stanowiły decydującą siłę. W zestawieniu z Kwisatz Matką Anirulą i Padyszach Cesarz, i hrabia Fenring byli amatorami, którzy na dodatek nie zdawali sobie z tego sprawy.

Uśmiechnęła się do siebie w duchu, a rozbawieniu temu wtórowały jej wierne towarzyszki, siostry gromadzące w Pamięci Innych swe tysięczne żywoty. Realizowany od tysiącleci program kultywacyjny miał być wkrótce zwieńczony narodzinami męskiego Bene Gesserit, istoty obdarzonej niezwykłymi mocami. Jeszcze tylko dwa pokolenia... jeśli wszystkie plany zakończą się sukcesem.

Tutaj, odgrywając rolę potulnej małżonki Cesarza, Anirula pociągała za wszystkie sznurki i kontrolowała wszystkie posunięcia. To ona nakazała Mohiam powrót na Wallach IX, by opiekowała się nie znaną córką barona Harkonnena. Przyglądała się innym siostrom realizującym częściowe zadania, które w sumie miały połączyć Jessikę z rodem Atrydów.

Przed nią szedł Fenring pewnym krokiem, znając lepiej niż ktokolwiek inny wszystkie zakątki wielkiego jak miasto pałacu. Lepiej od samego Szaddama. Minął wykładane klejnotami wejście i znalazł się w cesarskiej sali audiencyjnej. W olbrzymim pomieszczeniu

przechowywano największe skarby przywiezione z miliona planet, na Fenringu nie robiło to jednak żadnego wrażenia, widział je już bowiem wielokrotnie. Nie zatrzymując się, cisnął cylinder jednemu z gwardzistów i po gładkiej posadzce ruszył w kierunku tronu. Trochę to potrwało, zanim do niego dotarł.

Anirula zatrzymała się obok jednej z potężnych kolumn. Dwórki i dworzanie stojący wokół niej zaczęli półgłosem omawiać swoje sprawy i sprawki. Omijając bezcenne posągi, przeszła do jednej z nisz, w której była tak doskonała akustyka, że wiele rzeczy można było usłyszeć niezależnie od intencji rozmówców.

Na przejrzystym błękitnozielonym Tronie Złotego Lwa zasiadł Padyszach Cesarz Szaddam IV, osiemdziesiąty pierwszy władca Cesarstwa z dynastii Korrinów. Miał na sobie wojskowy ubiór, co podkreślały medale, plakietki i epolety. Było ich tyle, że, prawdę mówiąc, poruszał się z trudnością.

Ruchem ręki przywołał stojącą nieopodal Prawdomówczynię Lobię. Stanowiła trzecią z podpór doradczego trójnoga Szaddama; dwiema pozostałymi byli szambelan dworu Ridondo i Hasimir Fenring (choć z powodu zesłania na Arrakis Cesarz rzadko publicznie zasięgał jego rady).

Szaddam demonstracyjnie zignorował obecność żony. Piętnaście akredytowanych w pałacu siostr Bene Gesserit przemykało się niczym cienie, były, a zarazem jakby ich nie było... i Szaddamowi bardzo to odpowiadało. Ich lojalność wobec niego nie ulegała wątpliwości, szczególnie po łaskawym ślubie z jedną z nich. Niektóre służyły jako damy do towarzystwa Aniruli, inne zajmowały się cesarskimi córkami, Irulaną, Chaliceą i Wensicją, udzielając nauk odpowiednich dla wieku podopiecznych.

Przypominający jakiegoś gryzonia Cesarski Obserwator podrygiwał na rzece czerwonego dywanu, a potem po szerokich niskich stopniach zbliżył się do stóp tronu. Szaddam nachylił się ku gościowi, podczas gdy Fenring oddał dworny pokłon, wyprostował się i spojrzał na władcę z płasającym po wargach uśmiechem.

Nawet Anirula nie wiedziała, co przygnało Fenringa z Arrakis. Sam zaś Cesarz wcale nie wyglądał na zadowolonego.

– Hasimirze, oczekuję, że jako mój obserwator będziesz mnie szybko i dokładnie informował o zdarzeniach na terenie podległym twojej pieczy. Tymczasem twój ostatni raport jest niepełny.

– Hmmm-mhm, bardzo mi przykro, jeśli Wasza Cesarska Mość sądzi, że mojej uwadze umknęło coś istotnego. – Wypowiadając te słowa, Fenring jednocześnie rozważał, co też mogło wzbudzić gniew Szaddama. – Są z pewnością drobiazgi, które zachowuję dla siebie, ale tylko dlatego, że wiem, jakie na tobie ciążą obowiązki. – Zerknął na boki i spytał: – A czego konkretnie nie dopatrzyłem, Najjaśniejszy Panie?

– Z niezależnych źródeł doszły mnie słuchy, że Harkonnenowie ponoszą na Arrakis znaczne straty w ludziach i sprzęcie, a przyczyną są działania sabotażowe. W efekcie znowu



zmniejszają się dostawy przyprawy, a to z kolei staje się przyczyną skarg, jakimi nęka mnie Gildia Kosmiczna. Jak wiele jest prawdy w tych pogłoskach?

– Hmmm-mhm, ośmielę się zwrócić uwagę Waszej Cesarskiej Mości na to, że Harkonnenowie zawsze się uzalają. Może chcą w ten sposób wpłynąć na podwyżkę cen melanżu na otwartym rynku, a może mają nadzieję, że obniżysz im podatki? Co mówi baron?

– Nie mogłem go o to spytać – rzekł Szaddam i dopiero w tym momencie odsłonił żądło tej rozmowy – zgodnie bowiem z informacjami, które przekazano mi z przybyłego właśnie liniowca, udał się z małą, ale silnie uzbrojoną fregatą na Wallach IX. Może raczysz mi wyjaśnić, o co tu chodzi?

Stropiony Fenring uniósł brwi, a następnie potarł długi nos.

– Do Szkoły Macierzystej Bene Gesserit? Mówiąc szczerze, nic o tym nie wiedziałem, a nie wydaje się, by baron bardzo kwapił się do konsultacji z zakonem żeńskim.

Także dla Aniruli była to prawdziwa rewelacja. Jeszcze uważniej zaczęła nasłuchiwać. Po co baron udał się na Wallach IX? Przecież nie po to, by prosić o jakąkolwiek radę, skoro nie skrywał swej wrogości do zakonu po tym, jak zmuszono go, by w ramach programu kultywacyjnego dostarczył Bene Gesserit córkę. I po co zbrojna fregata? Brzmiało to bardzo podejrzanie, musiała jednak zachować spokój.

Szaddam uśmiechnął się szyderczo.

– Nieźle, jak na mojego obserwatora, prawda, Hasimirze? A skąd wzięło się to dziwne okaleczenie na mym najkosztowniejszym posągu w Arsuncie? Przecież to tak blisko ciebie!

Fenring zamrugał powiekami.

– Nic mi nie wiadomo o żadnych aktach wandalizmu w Arsuncie, Najjaśniejszy Panie. Kiedy miało do nich dojść?

– Ktoś ośmielił się dodać do statuy anatomicznie poprawną kopię genitaliów, ponieważ jednak była bardzo niewielka, zauważono ją dopiero niedawno.

Fenring z trudem powstrzymał się od śmiechu.

– To, hmmm, bardzo niewybredne, Najjaśniejszy Panie.

– Ja wcale nie uważam tego za zabawne, szczególnie gdy pamiętać o innych zdarzeniach dowodzących braku szacunku dla mej osoby, a te trwają już od lat. Kto to robi?!

Szaddam zerwał się z tronu tak gwałtownie, że wszystkie medale głośno zadźwięczały.

– Przejdziemy do moich prywatnych pomieszczeń, Hasimirze. Są pewne kwestie, które musimy omówić bardziej szczegółowo.

Na wyniosłe skinienie Cesarza Hasimir zareagował zbyt pokornie. Anirula natychmiast zorientowała się, że chociaż Szaddam istotnie był urażony wyrazami lekceważenia, to jednak cała ta sprawa została wyciągnięta przede wszystkim na użytek dworu, aby ukryć prawdziwą przyczynę, wezwania Fenringa. Było najwidoczniej coś, o czym chcieli rozmawiać w cztery oczy.

„Mężczyźni tak niezdarnie ukrywają swoje sekrety”.

Tajemnice męża i hrabiego także ją interesowały, ale przede wszystkim była zaalarmowana informacją o podróży barona na Wallach IX. Poprzez szerokość sali przekazały sobie z Lobią dyskretne znaki dłonią.

Informacja o zdarzeniach na Kaitain natychmiast zostanie przekazana do szkoły, a Matka Przełożona Harishka z pewnością wprowadzi Anirulę we wszystkie szczegóły sytuacji.

*Myślenie i sposoby przekazywania myśli w sposób nieunikniony tworzą systemy oparte na iluzji.*

### **z nauk zensunnickich**

Arogancko wyglądająca Cristane prowadziła barona Harkonnena ciągiem ocienionych pasaży, a stukot jego laski o płyty posadzki brzmiał jak wystrzały z pistoletu. Usiłował dotrzymać jej kroku, za sobą mając sześciu ludzi eskorty.

– Wasza Matka Przełożona musi we wszystkim mnie słuchać – zahuczał baron. „Bo jeśli nie otrzymam koniecznej terapii, Cesarz dowie się o występkach zakonu!”

Cristane zignorowała go i nie odwracała się; przed sobą baron widział tylko jej krótko obcięte włosy.

Na Wallach IX panowała wilgotna noc; nieruchome powietrze poruszał tylko od czasu do czasu delikatny powiew. W blokach kompleksu szkolnego paliły się żółte kule jarzyc; w ich świetle przesunął się czasem jakiś cień, poza tym jednak nie było żadnego śladu sióstr. Baron miał wrażenie, że wkroczył do wielkiego grobowca, w co zresztą planeta niechybnie by się zamieniła gdyby Vladimir Harkonnen przedstawił swoją sprawę przed Landsraadem, jako że pogwałcenie Wielkiej Konwencji traktowane było jako najgorsze przestępstwo. Trzymał w ręku wszystkie asy.

W pulsującym świetle źle zestrojonych jarzyc Cristane wyprzedzała go coraz bardziej, a chociaż raz spojrzała przez ramię, to jednak nie zwolniła kroku. Co za dziwka! Jeden z gwardzistów podstawił ramię, aby pomóc baronowi, ten jednak gniewnie go odepchnął. Poczul na grzbiecie dreszcz, jak gdyby ktoś szepnął mu do ucha obraźliwe słowo.

Bene Gesserit miały liczne talenty, także znakomite umiejętności bojowe. Tutaj, w tym gnieździe os, musiało ich być bez liku. A jeśli Matka Przełożona wcale nie przejęła się jego groźbami? A jeśli uznała, że on blefuje? Gdyby zdecydowały się zaatakować, nawet jego żołnierze, najsprawniejsi ze sprawnych, nie uratują go przed śmiercią.

Ale nie, z całą pewnością nie ośmielią się podnieść na niego ręki.

„Gdzie one wszystkie się pochowały? – myślał baron i nagle uśmiechnął się z satysfakcją. – To ze strachu przede mną”.

Gniewnie posapując, raz jeszcze powtórzył w myśli trzy żądania, których spełnienie powstrzyma go od wystąpienia z formalnym oskarżeniem przed Landsraadem: wyleczenie go, dostarczenie Gaius Heleny Mohiam żywej i zdrowej, tak aby mogła być poddana wymyślnym upokorzeniom, oraz wydanie obu córek, do spłodzenia których został zmuszony. Nie bardzo rozumiał, do czego były one czarownicom potrzebne, i nawet specjalnie się tym nie przejmował. Ostatecznie mógł zrezygnować z tego warunku, ale jego zgłoszenie poszerzało pole negocjacji.

Sylwetka siostry Cristane majaczyła przed nimi, podczas gdy żołnierze człapali, dostosowując się do nierównego, pełnego wysiłku kroku barona. Czarownica zatrzymała się przez chwilę na rogu, ale zaraz zniknęła. Jarzyce były zbyt żółte; Vladimir źle widział w ich świetle i zaczynała go boleć głowa.

Kiedy dotarli do rogu, za nim zobaczyli pustą salę, ale ani śladu Cristane.

Zimne kamienne ściany odbijały echem oddechy eskorty barona. Cichy, jakby cmentarny wiew wpełził pod ubranie barona, który znowu zadygotał. Usłyszał szelest, coś jak skrobanie pazurków gryzonia, nie dostrzegł jednak żadnego źródła tego dźwięku.

– Skocz no do przodu i rozejrzyj się! – warknął baron pod adresem dowódcy oddziałku. – Gdzie się ta dziwka podziała?

Żołnierz zdjął z pleców laserobin i pobiegł mdło oświetlonym korytarzem. Po chwili dobiegł go głuchy, zwielokrotniony echem głos:

– Tutaj jej nie ma, panie baronie. Nikogo w zasięgu wzroku.

Harkonnen poczuł się nie na żarty zaniepokojony, po jego plecach spływała strużka potu. Zmrużył swe czarne oczy i zaczął się gorączkowo zastanawiać, bardziej jednak ze zdumienia niż strachu.

– Sprawdź wszystkie pobliskie odgałęzienia i pokoje i zaraz meldować – rozkazał reszcie eskorty. – Tylko uważajcie, żebyście się nawzajem nie wystrzelali!

Po chwili stał sam we wnętrzu czegoś, co wyglądało jak mauzoleum. I jeszcze to cholerne zimno. Pokuśtykał do wnęki widocznej po prawej i tam zastygł z murem za plecami, gotów do obrony przed napaścią. Wydobył pistolet *fléchette*, sprawdził ładunek zatrutych igieł... i czekał.

Nad jego głową hipnotycznie mrugała jarzyca.

Po jakimś czasie rozległ się odgłos biegnących stóp i zjawił się zadyszany żołnierz.

– Proszę ze mną, wielmożny panie baronie. Musi pan sam to zobaczyć.

Podniecony gwardzista poprowadził go korytarzem do krótkich schodów, a potem przez bibliotekę, w której księgofilmy wyświetlały i wyszeptywały swą zawartość, chociaż nie było żadnych czytelników. W niektórych fotelach widać było wgłębienia tak wyraźne, jakby użytkowniczkami opuściły je dosłownie przed chwilą, nawet nie zatroszczywszy się o wyłączenie księgofilmów. Wydawało się, że z głośników przemawiają do nich duchy.

Frustracja barona rosła coraz bardziej, gdy wraz ze swą eskortą przechodził tak z jednego

pustego pokoju do drugiego, a wreszcie z jednego wyludnionego budynku do innego. Dosłownie nikogo; użyte przez żołnierzy wykrywacze oznak życia także niczego nie wykazały.

Gdzie się podziały te czarownice? Skryły w katakumbach? Gdzie ta jego cholerna przewodniczka, Cristane?

Policzki pały mu z gniewu. I jakże miał przedstawić żądania ich zwierzchnicze, skoro nie mógł jej znaleźć? Czyżby Harishka chciała zyskać na czasie? W ten sposób tylko pogłębiała jego pragnienie zemsty. Czyżby doprawdy sądziła, że zrezygnowany odleci z niczym?

Nienawidził poczucia bezsilności. Jednym machnięciem laski roztrzaskał najbliższy czytnik księgofilmów, a potem w pasji zaczął niszczyć wszystko, co tylko znalazło się w pobliżu. Za jego przykładem gwardziści rzucili się do przewracania stołów, zwalania półek, ciskania ciężkimi tomami w szyby.

– Dość! – krzyknął w pewnej chwili baron i wściekły utykającym krokiem wyszedł na korytarz.

Po chwili znalazł się w obszernym pokoju będącym – jak informowały złote litery na drzwiach – osobistym gabinetem Matki Przełożonej. Ciemne, idealnie wypolerowane biurko było puste, nigdzie żadnych papierów czy innych nośników informacji, fotel ustawiony pod dziwnym kątem, jak gdyby zniecka go odepchnięto. Na ceramicznym talerzu paliło się kadzidełko, wydzielając goździkowy aromat. Wściekłym ruchem zrzucił je na posadzkę. Ach, te czarownice! Baronem po raz kolejny wstrząsnął dreszcz. Wypadł z gabinetu.

Na zewnątrz stracił orientację i ogarnęło go obce mu uczucie porażki. Ani on, ani jego gwardziści nie potrafiliby już teraz wskazać właściwej drogi do statku. Przeszli na drugą stronę zewnętrznego parku i weszli do korytarza wielkiego, pokrytego stiukiem i drewnem budynku, w oknach którego widać było zapalone światła.

W ogromnej jadalni setki parujących talerzy pozostało na stołach, ale przystawione do nich ławy były puste. Nikogo, ani żywej duszy.

Jeden z żołnierzy wziął w palce kawałek mięsa.

– Nie ruszaj! – warknął baron. – Może być zatrute.

To by pasowało do tych czarownic. Żołnierz w pośpiechu zaczął wycierać dłoni.

Dowódca rozglądał się bacznie, na jego mundurze widać było ślady potu.

– Musiały tu być jeszcze przed chwilą. Jedzenie jest ciepłe.

Baron zaklął i jednym zamachem zwałił na podłogę lawinę waz, talerzy i kubków. Echo w jadalni i korytarzu wielokrotnie powtórzyło huk tłukących się naczyń, ale nie rozbrzmiał żaden inny dźwięk.

Żołnierze zbadali detektorami podłogę, ściany i sufit, ale bez żadnego efektu.

– Zwiększcie czułość wykrywaczy! Przecież muszą tu gdzieś być, do jasnej cholery!

Patrząc na uwijających się żołnierzy, baron wrzał z gniewu. Na skórze czuł ciarki,

wydawało mu się, że skądś doleciał lekki, stłumiony śmiech, ale wrażenie to zaraz zniknęło.

– Wielmożny panie baronie, może spalić to wszystko? – spytał dowódca, najwyraźniej gotów natychmiast zabrać się do dzieła.

Przez chwilę wyobraził sobie, jak wszystkie te budynki szkolne stają w płomieniach, które pożerają całą nagromadzoną tu mądrość i historię. Może te przeklęte czarownice upiekłyby się w swoich norach. „Warto by to zobaczyć!”

Z niechęcią pokręcił głową. Baron Harkonnen nie mógł zaatakować Bene Gesserit, tak jak sobie na to zasłużyły, dopóki go nie wyleczą.

Ale potem... potem już on im się da we znaki!

*Jedyna rzeczywistość to porządek przez nas narzucany wszystkiemu.*

### **podstawowa maksyma Bene Gesserit**

Dla Jessiki było to jak dziecięca gra, tyle że ta sprawa była bardzo poważna.

Nieruchomiejąc niczym nietoperze, setki sióstr zebranych w jadalni z rozbawieniem przyglądało się wściekłości barona, jakby chodziło o zabawę w chowanego. Niektóre weszły pod stoły, Jessika i Mohiam przywarły do ściany, wszystkie weszły w stan bezgłośnego oddechu i skupiły się na iluzji. Żadna się nie odzywała.

Były tuż przed nimi, tuż obok nich, tyle że omamieni Harkonnenowie nie mogli ich ani widzieć, ani wyczuć. Baron dostrzegał tylko to, na co pozwalały Bene Gesserit.

Pośrodku głównego stołu zastygła wiekowa Matka Przełożona uśmiechnięta niczym psotna uczennica. Na widok rosnącego niepokoju i gniewu mężczyzn, ze stoickim spokojem założyła na piersi ręce cienkie jak patyki.

Jeden z intruzów o centymetry przesunął się obok Jessiki, a chociaż wykrywacz oznak życia ledwie ominął jej twarz, żołnierz zobaczył na tablicy fałszywe wskazania. Dla niej wskazówki nerwowo zadrgały i zapaliły się światełka, dla niego – w ogóle nie zareagowały. Instrumenty niełatwo oszukać... w przeciwieństwie do ludzi.

„Życie to tylko iluzja, przykrawana zgodnie z naszymi potrzebami” – przypomniała sobie nauki, jakie przekazywała jej Mohiam. Nawet akolitki wiedziały, jak oszukać oko, najbardziej wrażliwy z ludzkich organów zmysłowych. Natomiast dźwięki, które wydawały, były nieuchwytny dla ludzkiego ucha.

Wiedząc, że baron jest już w drodze, Matka Przełożona zebrała wszystkie siostry w jadalni.

– Baron Harkonnen jest przekonany, że to on panuje nad sytuacją – powiedziała nieco skrzeczącym głosem. – Chce nas upokorzyć i dlatego najpierw należy mu pokazać jego

bezsilność. Dzięki temu dajemy sobie czas, aby dokładnie rozważyć całą kwestię, a jemu – żeby miał okazję do popełnienia błędów. Cierpliwość nie należy do charakterystycznych cech Harkonnenów.

Rozwścieczony baron omal nie zderzył się z Cristane, która z wdziękiem się usunęła.

– Co to takiego, do cholery? – Okręcił się, czując ruch powietrza i jakiś ślad zapachu. – Przysiągłbym, że słyszałem szelest materiału.

Żołnierze unieśli broń, ale nie widzieli żadnego celu, do którego mogliby wypalić. Zaczynali drżeć ze strachu.

Jessika wymieniła z nauczycielką porozumiewawcze uśmiechy. W obojętnych zwykle oczach Mohiam teraz połyskiwały iskierki radości. Matka Przełożona spoglądała ze stołu na skonfundowanych agresorów jak drapieżny ptak na łup.

W ramach przygotowań do zbiorowej hipnozy, którą ogarnięci byli teraz baron i jego ludzie, Cristane stała się dla nich widoczna, aby zwabić ich w sieć. Stopniowo znikwała im z oczu, gdy siostry coraz intensywniej skupiały uwagę na swych ofiarach.

Na twarzy barona widać było niepohamowaną wściekłość; Jessika miała ochotę go trącić, ale się powstrzymała.

Mohiam przesunęła się za nim i szepnęła ledwie dosłyszalnie: „Będiesz się lękał, baronie”. Słowa te dotarły tylko do niego, mężczyzny, którego szczerze nienawidziła, a były to słowa z Litanii Przeciw Trwodze, tylko że z odwrotną intencją. „Będiesz się lękał. Strach zabija umysł. Strach jest małą śmiercią, która niesie ze sobą całkowite unicestwienie”. Sunęła za nim i nie przestawała szeptać. „Nie stawisz mu czoła. Zaleje ciebie i nie odejdzie”.

Przesunął po uchu dłonią, jakby odganiał uciążliwego owada, a na jego twarzy pojawiło się stropienie. „Kiedy spojrzemy na drogę, którą nadszedł, nic na niej z ciebie nie zostanie. I tylko zakon będzie trwał”.

Baron zatrzymał się z pobladłą twarzą, szcękając zębami ze strachu. Oczy zerknęły w lewo, gdzie jeszcze przed chwilą znajdowała się Mohiam. Znienacka machnął laską w tym kierunku z takim rozmachem, że stracił równowagę i zwałił się na podłogę.

– Wyprowadźcie mnie stąd! – wrzasnął do swej eskorty.

Dwóch żołnierzy skoczyło, aby go podnieść, a potem z idącym przodem dowódcą wyszli na korytarz, podczas gdy reszta, zataczając półkoła lufami laserobinów, szukała jakiegoś celu uzasadniającego wystrzał.

Znalazszy się na zewnątrz, baron popatrzył niepewnie na boki.

– Przeklęte czarownice! Jak stąd wyjść?

– W prawo, panie baronie – stanowczo powiedział dowódca, nieświadom tego, że powtarza tylko słowa, jakie wsączyła mu do ucha niewidoczna dla niego Cristane. Kiedy dotrą do lichtugi, będzie czekała z włączonym automatycznym pilotem, gotowa, aby powieść barona do czekającej na orbicie fregaty.

Sfrustrowany, bezsilny, ze świadomością częściej wyprawy, baron usiłował jakoś dodać

sobie otuchy.

– Tak się wystraszyły, że pochowały się w mysich norach. Żadna nawet tknąć mnie nie śmiała.

Mało brakowało, a znajdujące się obok siostry parsknęłyby śmiechem, którym zaniósł się wszystkie, kiedy baron i jego żołnierze jak niepyszni wracali na lądowisko, podobni do psów ze strachu kulących pod siebie ogony.

*Często mianem pokoju błędnie określa się bezruch.*

## **Cesarz Elrood Korrino IX**

Konkubina Rhombura, Tessja, z radością udała się wraz z nim na oględziny Zamku Kaladan. Zabawne wydawało się jej, że księżę bardziej przypominał rozdokazywanego chłopaczka niż żyjącego na wygnaniu dziedzica potężnego rodu. Poranek był słoneczny, niebo upstrzone nielicznymi, delikatnymi chmurkami.

– I jakżeż mam cię poznać, mój księżę, kiedy ty ciągle tylko się do mnie mizdrzysz? – spytała ze śmiechem.

Wchodzili właśnie na pagórek wyłożoną płytami ścieżką.

Skrzywił się skonfundowany.

– Hm, po pierwsze, daj sobie wreszcie spokój z tym księciem i mów do mnie normalnie: Rhombur.

Uniosła brwi, a oczy w kolorze sepii zamigotały.

– Przecież zaledwie się poznaliśmy.

Jego twarz spłonęła rumieńcem.

– Chyba rzuciłaś na mnie urok, Tessjo. – Zerwał polną stokrotkę i podał dziewczynie. – Czy i tego mi nie wolno jako synowi wielkiego earla?

Przyjęła kwiat i uniosła go na wysokość inteligentnej twarzy, aby między płatkami spojrzeć na Rhombura, a w jej oczach widać było ciepło i zrozumienie.

– Są chyba pewne korzyści z życia na wygnaniu. Na przykład, mniej zwraca uwagę to, kto cię oczarował. – Zaraz jednak dodała, podnosząc palec w wyrazistym geście: – Chociaż muszę przyznać, że wzbudziłbyś we mnie szacunek, podejmując jakieś kroki, aby zmazać dyshonor, jaki padł na twoją rodzinę. Wiara w przyszłość niewiele zmieniła w twojej sytuacji przez te lata, prawda? Pocieszasz się, że wszystko ostatecznie dobrze się skończy, co pozwala ci poza tym trwać w beczynności i co najwyżej uskarżać się na swego pecha. Słowa nie zastąpią czynów.

Zaskoczony tą uwagą Rhombur najwyraźniej się speszył.

– Przecież... hm... kazałem ambasadorowi Pilru, żeby nieustannie nękał Cesarza i Landsraad petycjami, a poza tym, czyż moi uciśnieni poddani nie usiłują obalić najeźdźców, chcąc, abym powrócił i objął władzę? Właściwie teraz w każdej chwili gotów jestem pojawić się tam i... i przejąć to, co mi ukradziono.

– Jeśli zamierzasz tutaj jedynie oczekiwać, aż całe dzieło wykonają za ciebie poddani, to nie zasługujesz na to, aby nimi władać. Czyż doprawdy niczego cię nie uczy przykład Leta Atrydy? – Tessja ujęła się pod boki. – Jeśli chcesz zasłużyć na tytuł earla, Rhomburze, musisz przejawiać więcej aktywności. I korzystać z lepszych wywiadowców.

Czuł, że Tessja ma rację, ale nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć.

– Ale... ale jak, Tessjo? Przecież nie mam własnej armii. Cesarz Szaddam nie chce interweniować... podobnie jak cały Landsraad. Kiedy moja rodzina została renegatem, ja zostałem objęty tylko częściową amnestią. Więc... hm, co mam począć?

Ujęła go stanowczo za łokieć i pociągnęła za sobą.

– Jeśli mi pozwolisz, może potrafiłabym coś zasugerować. Na Wallach IX uczą nas wielu rzeczy, także polityki, psychologii, podejścia strategicznego... Nie zapominaj, że jestem Bene Gesserit, a nie tylko dziewczyną do towarzystwa. Jestem inteligentna, otrzymałam staranne wykształcenie, czasami mogę dostrzegać coś, czego ty nie widzisz.

Rhombur starał się odzyskać spokój ducha, ale w tym celu musiał się podzielić swymi podejrzeniami.

– Czy wykonujesz jakieś zlecenie zakonu? To twoje przełożone wyznaczyły cię na moją konkubinę, abyś pomogła mi odzyskać Ix?

– Nie, mój książę, choć nie będę ukrywać, że Bene Gesserit wołałyby tam widzieć u władzy silny ród Verniusów. Kontakty z Bene Tleilax są o wiele trudniejsze i... bardziej skomplikowane. – Tessja przeciągnęła palcami po krótko obciętych brązowych włosach. – Jeśli zaś o mnie chodzi, to o wiele chętniej byłabym konkubiną wielkiego earla i mieszkała w sławnym Grand Palais na Ix, niż przebywała u boku następcy tronu, który na wygnaniu korzysta z łaski wielkodusznego księcia.

Przełknął ślinę, zerwał następną stokrotkę i wręczył ją ze słowami:

– Ja także wolałbym takie rozwiązanie, Tessjo.

Z zamkowego balkonu Leto przyglądał się, jak Rhombur i Tessja, trzymając się za ręce, idą przez ukwieconą łąkę, kołyszącą się pod dotykiem morskiej bryzy. Leto poczuł ukłucie zazdrości w sercu; wydawało się, że następca tronu Ix stąpa w powietrzu, niepomny wszystkich zmartwień i kłopotów.

Poczuł za sobą zapach perfum Kailei, wspomnienia aromatu hiacyntów i lilii, chociaż nie słyszał, jak się zbliża. Obejrzał się, zastanawiając się, od jak dawna stoi za nim i wraz z nim spogląda na bez troskie szczęście miłości.

– Pasuje do niego – powiedziała. – Nigdy nie miałam dobrego zdania o Bene Gesserit, ale



Tessja jest wyjątkowa.

Leto zachichotał.

– Chyba mu bez reszty zawróciła w głowie. Dobrze to świadczy o naukach uwodzenia prowadzonych w zakonie.

Kailea przekrzywiła głowę. We włosy miała wpięty wysadzany kamieniami grzebień i jak zwykle starannie zadbała o delikatny, ale zalotny makijaż. Zawsze była piękna, ale teraz wyglądała... zabójczo.

– Ćwiczenia z bronią, parady i wyprawy na ryby znacznie szybciej uszczęśliwiają mego brata... i chyba każdego mężczyznę.

Kailea wyszła na słońce i stanęła obok Leta, który nagle uświadomił sobie, że są tu zupełnie sami.

Przed przewrotem na Ix Kailea Vernius jako córka jednego z potężnych Wysokich Rodów mogła być uznawana za znakomitą partię dla Leta. Gdyby rzeczy potoczyły się normalnym torem, Paulus Atryda i Dominik Vernius krok po kroku doprowadziliby do małżeństwa. Teraz jednak wszystko wyglądało zupełnie inaczej...

Nie mógł sobie pozwolić na związek z osobą należącą do renegackiego rodu, osobą, której teoretycznie mogła grozić kara śmierci, gdyby zdecydowała się wmieszać w cesarską politykę. Z drugiej strony, będąc osobą szlachetnie urodzoną, Kailea nie mogła stać się zwykłą nałożnicą, niczym prosta dziewczyna z leżącej u stóp Zamku Kaladan rybackiej wioski.

Czy miał się okłamywać, że nic do niej nie czuje? I czyż jako książę nie był uprawniony do uczynienia dowolnej osoby konkubina? I dlaczego miałoby to być upokarzające dla Kailei, szczególnie jeśli zważyć na brak jakichkolwiek perspektyw?

– Na co czekasz, Leto? – Przysunęła się tak blisko, że jedna pierś dotknęła jego ramienia. Perfumy pełne były feromonów. – Jesteś księciem. Możesz mieć wszystko, czego zapragniesz – mówiła, przeciągając słowa.

– A skąd możesz wiedzieć, czego... pragnę? – powiedział, ale posłyszał nieszczerłość w swoich słowach.

Uniosła brwi i uśmiechnęła się przebiegle.

– Z pewnością nawykłeś już do podejmowania trudnych decyzji.

Znieruchomiał. „Istotnie, na co ja czekam?” Poruszyli się jednocześnie i kiedy wziął ją w objęcia, oboje z ulgą przywarli nareszcie do siebie.

Już jako mały chłopiec Leto zapamiętał słoneczne dni, kiedy ojciec zasiadał na dziedzińcu zamkowym i wysłuchiwał prośb, skarg i sugestii poddanych. Jeszcze dziad Leta, a ojciec Paulusa, nazywał to „zawodowymi zajęciami książęcymi” i Leto bynajmniej nie zamierzał ich zaniedbywać.

Po stromym zboczach ciągnęły do bramy całe rzesze poddanych, aby uczestniczyć w

tradycyjnej ceremonii rozsądzania sporów przez księcia. Choć we wszystkich dużych miastach istniały instytucje czuwające nad przestrzeganiem prawa i funkcjonował wymiar sprawiedliwości, Leto chętnie korzystał z tej okazji, by podtrzymywać bezpośrednie kontakty z ludźmi. Lubił osobiście odpowiadać na ich skargi i propozycje, uważał bowiem, że to znacznie lepszy sposób na zapoznawanie się z nastrojami poddanych niż ankiety i sprawozdania sporządzone przez rzekomych ekspertów.

I oto siedział, grzejąc się w promieniach słońca, i wysłuchiwał kolejnych petentów z przesuwanego przed nim szeregu. Stara kobieta, której mąż wypłynął w morze i nie powrócił, prosiła, by Leto uznał go za zmarłego, a jej pozwolił na małżeństwo ze szwagrem. Odrzekł, by poczekała jeszcze miesiąc, a jeśli po jego upływie nic się nie zmieni, obie jej prośby zostaną spełnione.

Dziesięcioletni chłopiec zapragnął pokazać księciu jastrzębia morskiego, którego hodował od pisklęcia. Wielki ptak o czerwonym krawacie na piersi wczepił się pazurami w osłonięty grubą skórą przegub malca. Na jego znak wzbił się ku przerażeniu zagnieżdżonych pod dachem wróbli w powietrze, zrobił koło nad dziedzińcem i na gwizd powrócił do chłopca.

Takie przyglądanie się z bliska szczegółom życia poddanych pozwalało Letu uświadomić sobie, jak wielki wpływ na ich losy mają jego decyzje. Ogromne Cesarstwo, obejmujące „milion planet”, było gdzieś hen, daleko, zbyt odległe, aby miało znaczenie dla tych drobnych spraw, a przecież rozgrywające się w nim krwawe konflikty – jak między Ekaz i Grumman czy Atrydami i Harkonnenami – także na nie oddziaływały.

Leto od dawna – by nie rzec: bardzo dawna – był już w wieku odpowiednim do małżeństwa, a licznym rodom z Landsraadu zależało na tym, aby związać się z Atrydami więzami silniejszymi niż tylko polityczne sojusze. Czy zgodzi się na jedną z córek Armanda Ekaza czy też pojawi się jakaś bardziej intratna oferta? Musiał rozegrać tę dynastyczną grę zgodnie z naukami ojca.

Przez kilka lat jego pragnienia wiązały się z Kaileą Vernius, jednak w sytuacji katastrofy, która nawiedziła jej ród, on, głowa rodu Atrydów, nie mógł wejść w związek małżeński z taką osobą, byłoby to bowiem polityczne samobójstwo. Co wcale nie odbierało Kailei urody ani nie czyniło jej mniej pociągającą.

Szczęśliwy w związku z Tessją Rhombur sugerował, że Leto powinien uczynić Kaileę swoją nałożnicą, co z całą pewnością nie byłoby dla niej hańbą, a nawet do pewnego stopnia umocniłoby jej obecną pozycję, w sytuacji gdy uzyskała tylko częściową i warunkową amnestię.

Następny był łysy mężczyzna z cuchnącym koszykiem. Para gwardzistów, którzy niespokojnie postąpili w jego kierunku, skrzywiła się z obrzydzeniem, gdy wydobył na wierzch rybę śniętą już od dobrych kilku dni. Natychmiast zaroilo się od much, a Leto zmarszczył brwi, nie wiedząc, co myśleć o tym zdarzeniu. Mężczyzna nagle pobladł, gdyż

dopiero teraz uświadomił sobie, jakie wrażenie wywarł na księciu, i pospiesznie zaczął zapewniać:

– Nie, nie, najmiłościwszy księżę, ani mi w głowie powstała żadna obraza, ale spójrz, o tutaj. Wrzód. I wszystkie, co je łapię na południowym morzu, mają takie same. – Rzeczywiście, ryba była pokryta wybrzuszeniami i leprą. – Zdychają od tych ropiejących dziur w brzuchach, a smród bije aż pod niebo. Coś tam jest nie w porządku, a ja pomyślałem, że powinienes o tym wiedzieć.

Leto zerknął na Thufira Hawata, oczekując, że stary wojownik skorzysta ze swych talentów mentata.

– Jak tam, Thufirze, coś z planktonem?

Hawat zmarszczył czoło, zamyślił się, a potem pokiwał głową.

– Najpewniej zabija je gnijące zielsko, które roznosi chorobę pośród ryb.

Leto z życzliwością patrzył na rybaka, który pospiesznie spakował swój kosz i schował go za plecami, abym swym ciałem odgrodzić księcia od fetoru.

– Dzięki za zwrócenie nam na to uwagi. Będziemy musieli usunąć gnijące trawy, może dodać do wody jakieś środki, aby przywrócić zachwianą równowagę biologiczną.

– Przepraszam za ten smród, miłościwy księżę – powiedział mężczyzna, podczas gdy jeden ze strażników odebrał od niego kosz i trzymając go na wyciągniętej ręce, poniósł w kierunku bramy.

– Nie szkodzi – uspokoił go Leto – a bez tego moglibyśmy się nie dowiedzieć o tym kłopotcie. Jesteśmy ci za to wdzięczni.

Kaladan miał wprawdzie swoje stacje obserwacyjne i satelity meteorologiczne, ale Leto nierzadko wolał otrzymywać informacje od ludzi niż tych urzędów.

Dalej była kobieta z parą kurczaków, które chciała ofiarować księciu. I dwóch sąsiadów kłócących się o miedzę rozdzielającą ich pola z ryżem pundi. I ogrodnik, który stracił cały majątek, gdy niedbale konserwowana tama księżęca puściła i powódź zalała cały sad. I starsza dama z własnoręcznie zrobionym swetrem dla Leta. I dumny ojciec, który chciał, by władca dotknął czoła jego nowo narodzonej córki...

Ot, zawodowe zajęcia księżęce.

Tessja podsłuchiwała rozmowę Leta z Rhomburem na temat politycznych wydarzeń w Cesarstwie: zastanawiające akty bezczeszczenia podobizn Szaddama, podupadające zdrowie barona Harkonnena, kłopotliwy i nieprzyjemny, z racji drastycznego przebiegu, konflikt między rodami Moritanich i Ekazów (który obecność sardaukarów na Grumman co najwyżej przytłumiła), stała oferta Leta mediacji między dwoma rodami.

Rozmowa zesła wreszcie na dramat rodu Verniusów, na tyle już lat trwające wygnanie z IX. Rhombur niezmiennie dawał wyraz swemu oburzeniu, nigdy jednak nie zdobył się na odwagę, aby zrobić coś, co mogłoby odmienić sytuację. Bezpieczny i zadowolony z życia na

Kaladanie, porzucił wszelkie pragnienie zemsty, a przynajmniej odkładał ją na „święty nigdy”.

I tego było już za wiele dla Tessji.

W szkole zakonnej starannie przeczytała grube tomy poświęcone Verniusom. Wiedziała co najmniej tyle co Rhombur na temat historii, polityki i techniki. Niezależnie od dalekosiężnych planów zakonu żeńskiego, czuła się wprost stworzona dla niego i dlatego za swą powinność uważała to, by zmusić go do działania. Nie mógł zachowywać się jak zwierzę w potrzasku.

W długiej do ziemi czarno-żółtej sukni z bawełnianej surówki Tessja weszła do pokoju i postawiła na stole między rozmawiającymi srebrną tacę z kufłami ciemnego piwa, a następnie ku ich zdziwieniu przemówiła.

– Rhomburze, przyrzekłam ci już swoją pomoc. Ale pamiętaj, sam musisz chcieć coś zrobić dla swego rodu, i mam nadzieję, że nie spędzisz następnej dekady na powtarzaniu tych samych utyskiwań. – I uniósłszy dumnie brodę, dorzuciła: – W każdym razie ja nie chcę tego już słyszeć.

Leto ze zdziwieniem patrzył na błysk w jej oczach i pełen godności krok, gdy odchodziła z lekkim szelestem sukni.

– Hmmm, Rhomburze, sądziłem, że Bene Gesserit są mniej... bezpośrednio. Zawsze tak szczerze wypowiada swoje opinie?

Rhombur siedział przez chwilę jak ogłuszony, potem pociągnął łyk piwa i mruknął:

– Jak to możliwe, że już po kilku tygodniach zorientowała się, co trzeba mi powiedzieć? – Teraz w jego oczach płonął ogień, jak gdyby słowa konkubiny stanowiły iskrę, która padła na przygotowane chrust. – Może przez wszystkie te lata byłeś dla mnie zbyt delikatny, Leto. Zapewniłeś mi tu wygody, podczas gdy ojciec tuła się gdzieś w poniewierce, a moi poddani żyją w niewoli. – Zamrugał. – Przecież to się samo nie odmieni, prawda?

Leto obdarzył go przeciągłym spojrzeniem.

– Nie, przyjacielu. Samo z siebie, z pewnością nie.

Rhombur nie mógł prosić Leta, by przypuścił zmasowany atak, to bowiem oznaczałoby walną wojnę między Atrydami a Bene Tleilax, a przecież młody książę tak wiele zaryzykował, aby tego uniknąć. Młody Vernius musiał liczyć przede wszystkim na siebie.

– A może powinienem zdobyć się na śmiały czyn, udać się tam dyplomatyczną fregatą w pełnej eskorcie – hm, chyba mógłbym ją wynająć – i wylądować w porcie przesyłowym, by z otwartą przyłbicą zażądać od Tleilaxan oddania mi władzy, którą bezprawnie zagrabili? – Spojrzał z ukosa na Leta. – Co o tym myślisz?

– Bądźże poważny, Rhomburze – odparł zagadnięty, potrząsając głową i nie wiedząc, czy przyjaciel mówi szczerze czy nie. – Natychmiast by cię aresztowali i poddali medycznym eksperymentom. Pokroiliby cię na dziesiątki części i umieścili w dziesiątkach zbiorników aksolotlowych.

– Na szkarłatne piekła, Leto, co więc mam robić? – Pełen niesmaku do samego siebie Rhombur zerwał się na równe nogi. – Wybacz mi, że się oddalę, ale muszę przemyśleć różne rzeczy.

Z tymi słowami wypadł za drzwi, podczas gdy Leto spoglądał w ślad za przyjacielem i popijał, by dopiero po dłuższej chwili przejść do swego gabinetu i zająć się dokumentami oczekującymi na jego ocenę lub podpis.

Tessja krętymi schodami zeszła z balkonu na piętrze i cicho otworzyła drzwi do sypialni. Rhombur siedział na łóżku i wpatrywał się w podobiznę rodziców, którą w przypiływie tęsknoty za Grand Palais namalowała Kailea. Dominik i Shando Verniusowie na obrazie byli w uroczystych strojach: on w białym uniformie z purpurowo-miedzianymi spiralami na kołnierzu, ona w obszernej lawendowej sukni z mehrjedwabiu.

Pogłaskała go po ramieniu.

– Przepraszam, że wprawiłam cię w zakłopotanie w towarzystwie księcia.

Zobaczył w jej oczach czułość i współczucie.

– I za co przepraszać? Masz rację, Tessjo, chociaż nie jest mi łatwo to powiedzieć, gdyż odczuwam wstyd. Powiniennem już znacznie wcześniej zrobić coś, aby pomścić moich rodziców.

– Tu nie chodzi tylko o rodziców, także o wolność twojego narodu. – Westchnęła z irytacją. – Posłuchaj, Rhomburze, czy na wszystko musisz spoglądać tylko od strony przegranej, odwetu, zemsty? Naprawdę nie chcesz być zwycięzcą? Właśnie w tym usiłuję ci pomóc.

Poczuł, jak jej ręce wprawnie zaczynają masować jego barki, niosąc spokój i odprężenie. Jej dotknięcie było tak kojące, że zapragnął pogрузić się we śnie i zapomnieć o wszystkich kłopotach. Pokręcił głową.

– Poddałem się bez walki, prawda?

Jej palce ugniatały teraz kręgosłup, działając pobudzająco.

– Ale to wcale nie znaczy, że nie możesz jej podjąć teraz.

Z wyrazem głębokiego zdumienia na twarzy Kailea Vernius przyniosła bratu lśniąca czarna paczuszkę.

– Jest na niej nasz rodowy herb, Rhomburze. Przed chwilą dostarczył ją kurier z Kala.

Popatrzył w jej twarz: zielone oczy i ciemnomiedziane włosy gładko przylegające do skroni, przytrzymywane przez połyskliwe grzebienie. Nabrała prawdziwie kobiecego piękna i przypominała Rhomburowi ich matkę, Shando, niegdyś konkubinę Cesarza Elrooda.

Przeniósł wzrok na spiralę. Prócz niej na przesyłce nie było żadnych innych oznaczeń. Wziął mały nożyk i zaczął otwierać pakunek, a w tej samej chwili pojawiła się u jego boku Tessja w wygodnym domowym stroju. Ze zmarszczonymi brwiami przyglądała się, jak wydobywa ryduliański papier pokryty kreskami, trójkątami i kropkami, aż nagle zawołała:

– To wygląda na jakąś sekretną wiadomość. Język bojowy Ix w szyfrze geometrycznym. Kailea zacisnęła usta.

– Ojciec wiele mi mówił o sprawach związanych z biznesem, ale na wojskowych w ogóle się nie wyznaje – oznajmiła. – Nie myślałam, że mogą mi być kiedykolwiek potrzebne.

– A ty potrafisz to odczytać, Rhomburze? – spytała Tessja tonem, który sugerował, że na edukację BeneGesserit składały się także umiejętności translatorskie.

Z zakłopotaniem podrapał się w głowę i sięgnął po notatnik.

– Hm, zobaczymy. Nauczyciel wbijał mi do głowy sprawy związane z szyframi, ale to było tyle lat temu.

Usiadł na podłodze ze skrzyżowanymi nogami i na karcie papieru wypisał najpierw alfabet galachu, a potem szyfrowe wartości dla każdej litery. Następnie wziął nową kartkę, starannie przeniósł na nią zaszyfrowaną wiadomość i każdemu znakowi zaczął przyporządkowywać głoskę z galachu. Czuł, jak jego puls przyspiesza. Wiadomość sporządził ktoś, kto znał się na ixiańskich szyfrach. Kto to mógł być? Słowo po słowie tekst ujawniał swą treść.

– Na szkarłatne piekła! – zawołał Rhombur, gdy skończył.

*Do księcia Rhombura Verniusa, prawowitego earla Ix. Tleilaxanie torturują i mordują mieszkańców pod byle pozorem, a potem ich ciała wykorzystują do okropnych eksperymentów. Młode dziewczyny znikają bez wieści i śladu. Cała produkcja jest opanowana przez najeźdźców. Z Ix wygnano sprawiedliwość, pozostały tylko wspomnienia, nadzieje i niewola. Czekamy na dzień, kiedy potęga Verniusów zdruzgocze agresora i wyzwoli nas. Pełni należnego szacunku prosimy o pomoc i ratunek.*

Notę w imieniu Bojowników o Wolność Ix podpisał C'tair Pilru.

Rhombur zerwał się na równe nogi i chwycił siostrę w objęcia.

– Kaileo, to syn ambasadora, pamiętasz go jeszcze?

Ze wzruszeniem w oczach przytaknęła, wspominając szczęśliwe chwile, gdy zalecali się do niej ciemnowłosi bliźniacy.

– Bardzo sympatyczny chłopak. Jego brat został chyba Nawigatorem Gildii, czyż nie?

Rhombur zasepił się. Od lat domyślał się, że coś podobnego musi się dzieć na jego rodzinnej planecie, ale wolał się nad tym nie zastanawiać, w nadziei, że problemy rozwiążą się same. Jak mógłby skontaktować się z rebeliantami z Ix? Jako księżę na wygnaniu, bez rodu, jak mógłby pomóc udręczonemu narodowi? I wcale nie chciał rozważać wszelkich możliwości.

– Zapamiętajcie me słowa – rzekł uroczyście. – To nie może dłużej trwać. Muszę coś zrobić dla swych poddanych.

Przygarnął siostrę i spojrzął na stojącą obok Tessję.

– Jestem gotowa udzielić ci wszelkiej pomocy – powiedziała. – Niejeden raz to powtarzałam.

Ją także objął ramieniem i trwali tak we troje, a Rhombur czuł, jak rośnie w nim pragnienie czynu. Nareszcie odzyskał poczucie celu.

*Aby poznać istotne prawdy wszechświata, należy się wystawić na rzeczywiste niebezpieczeństwo. Tego nie może zapewnić normalna szkoła, nie jest to bowiem wiedza, którą można przekazać jak rzecz: z rąk do rąk. Nie ma konkretnego celu. W naszym wszechświecie na co dzień cele widzimy jako wyznaczające kres działaniom, a kiedy trzymać się tylko tego sposobu myślenia, staje się on zabójczy.*

**Friedre Ginaz,  
*Filozofia mistrza miecza***

Ornitoptery transportowe, z których każdy niósł jedną grupę uczniów Szkoły Ginazów, powoli obniżały się, lecąc wzdłuż niegościnnych skał z czarnej lawy przez stulecia wygładzonych spływającymi po nich wodospadami. Skalna bryła wyrastała z wody niczym zgniły ząb, pozbawiona lasów, roślinności, bez żadnych widocznych śladów zamieszkania. Okolona zdradzieckimi głębinami, górzysta wyspa – pozbawiona nazwy i nadająca się tylko do celów militarnych – znajdowała się na wschodnim skraju archipelagu.

– Proszę, następny tropikalny raj – powiedział szyderczo Hiih Resser.

Spoglądając w małe okienko obok towarzysza szkolnego, Duncan Idaho upewnił się, że jest to miejsce kolejnej ciężkiej próby. Na którą jednak był przygotowany.

Ornitopter wspiął się trochę i zrobił wiraż, by pod wiatr podejść do krateru o poszarpanej krawędzi. Z głębiny nadal dobywały się dym i popioły, co czyniło powietrze, i tak już bardzo wilgotne, jeszcze cięższym. Pilot zatoczył krąg, dzięki czemu mogli zobaczyć lśniącego ornitopter stojący na krawędzi krateru. Najpewniej posłużył do jakichś fragmentów szkolenia, jednak Duncan nie miał pojęcia jakich.

Ornitopter wylądował u stóp wulkanu, pomiędzy urwistymi skałami brzegu a dymiącymi kupami osadów. Wokół niewielkiego placyku widać było kolorowe plamy namiotów, ale nic więcej. Kiedy wylądowali, wielu elewów rzuciło się wybierać namioty, ale Duncan nie widział w tym żadnego sensu, bo nie sądził, by jedne były lepsze od drugich.

Oczekujący ich wysoki mistrz miecza miał ogorzałą skórę, grzywę siwych włosów zwisających do połowy pleców i uważne oczy głęboko osadzone w kościstych policzkach. Z dreszczem bojaźni Duncan rozpoznał w nim legendarnego wojownika Mord Coura. Urodził się na Hagalu i jako jedyny przeżył masakrę, jaką w jego górniczej wiosce urządzili bandyci.

Wychował się w lasach i tam nauczył się walki, a potem przyłączył do gangu, który wymordował mieszkańców jego osady. Kiedy wkradł się już w ich łaski, sam jeden zabił herszta i wszystkich członków bandy, by następnie wstąpić do cesarskich sardaukarów. Przez całe lata był osobistym mistrzem miecza u Elrooda, a po odejściu ze służby został zatrudniony w Szkole Ginazów.

Kiedy przebrzmiała już modlitwa mistrzów miecza, Cour rzekł:

– Zabiłem w życiu więcej ludzi, niż ktokolwiek z was widział na oczy. Do swojej modlitwy dołóżcie i to, abyście nie dołączyli do tego grona. Jeśli będziecie pilnie się uczyć, nie będę miał pretekstu, aby was zabić.

– Nie potrzebuję żadnych zachęt, żeby się od niego uczyć – mruknął do Duncana Resser. Wojownik usłyszał głos i wpatrzył się spode łba w rudzielca. Z tyłu za nimi rozległ się chichot innego przybysza z Grumman, Trina Kronosa, mniej sympatycznego od Hiiha.

Mord Cour nie spuszczał wzroku z Ressera, a wtedy Duncan odkaszlnął, wystąpił przed szereg i oznajmił, rękę składając na rękojeści miecza Starego Księcia.

– Mistrzu Cour, mój przyjaciel powiedział, że nikt z nas nie potrzebuje zachęty, aby uczyć się od tak wielkiego człowieka jak ty, panie.

Stary potoczył wzrokiem po zebranych.

– Nikt nie musi szukać wytłumaczenia, dlaczego chce się uczyć u wielkiego człowieka. Wiecie, dlaczego się tu znaleźliście, to znaczy w Szkole Ginazów?

– Bo tutaj Jool-Noret dał wszystkiemu początek – skwapliwie odpowiedział elew z Al Dhanab.

– Jool-Noret niczego nie dokonał – rzekł Cour ku zaskoczeniu wszystkich. – Był wielkim mistrzem, biegle opanował dziewięćdziesiąt trzy techniki wojenne. Wiedział wszystko o najróżniejszych broniach, tarczach, walce wręcz. W ślad za nim nieustannie podążali utalentowani wojownicy, błagając go, aby przekazał im coś ze swych wspaniałych umiejętności. On zaś nigdy tego nie zrobił! Aż któregoś dnia meteor wpadł do oceanu niedaleko od brzegu, gdzie mieszkał Noret, a wielka fala zalała chatę i zginął we śnie. Niedoświadczym uczniom nie pozostało już nic innego, jak tylko wydobyć jego ciało i mumifikować je, aby niektórzy z was mogli je zobaczyć na stołecznej wyspie.

– Ale jeśli Jool-Noret niczego nie dokonał, dlaczego Szkole nadano jego imię? – spytał Resser.

– Ponieważ ci, których osierocił, przysięgli, że sami nie popełnią już jego błędu, i dlatego stworzyli miejsce, gdzie najlepszym kandydatom mogli przekazywać to, czego się sami nauczyli. – Niosący popioły wiatr potargał włosy Coura. – Więc jak, czy jesteście gotowi do nauki, jak zostać mistrzami miecza?

– Tak! – huknął zbiorowy okrzyk.

Cour potrząsnął siwą grzywą i uśmiechnął się. Wydawało się, że oceaniczna bryza ostrymi pazurami szoruje po skamieniałej lawie.



– Dobrze. Przez pierwsze dwa tygodnie zajmiemy się poezją.

W niewielkich łupinach różnokolorowych namiotów uczniowie spali na gołej skale, zimnej w nocy, gorącej, niemal parzącej, w dzień. Nie mieli żadnych siedzisk, potrawy przyrządzano z produktów suszonych i solonych, a do picia mieli zatęchłą wodę z pojemników. Wszystko było przesiąknięte smakiem i zapachem siarki. Uczniowie wiedzieli już jednak, że na takie rzeczy nie należy się uskarżać.

W surowym otoczeniu zgłębiali tajemnice metafor i wersyfikacji. Także na Starej Ziemi samurajowie, wojownicy nade wszystko przekładający honor, od sprawnego władania bronią nie mniej cenili biegłość w układaniu haiku.

Kiedy Mord Cour, stając obok gorącego źródła, z zapalem recytował antyczne poematy, drżały serca wszystkich słuchaczy. Widząc wreszcie, że oczy im zwilgotniały, klaskał w ręce, zeszkakiwał ze skały i obwieszczał:

– A teraz nareszcie czas na walkę.

Odziany w giętką kolczugę Duncan jechał na ogromnym, zakutym w zbroję żółwiu, który nieustannie kłapał paszczką na lejce i jeźdźca. Przytwierdzony do siodła Duncan nogi miał szeroko rozłożone, aby ogarnąć wielką skorupę, i manewrował włócznią, której drzewce miało tępe metalowe ostrze. Przed sobą widział trzech podobnie uzbrojonych przeciwników.

Bojowe żółwie hodowano w jaskiniach z podkradzionych jaj. Ospale bestie niezmiennie przypominały Duncanowi sytuację, gdy kazano mu walczyć w obezwładniająco ciężkiej zbroi, niemniej jednak ich szczęki mogły narobić wiele szkody, a kiedy żółwie zostały do tego zmuszone, potrafiły rozwijać znaczne szybkości. Z wyszczerbionych i nadkruszonych płyt pancerza wnioskował, że widziały znacznie więcej starć bojowych od niego.

Rytmicznie niczym dobosz postukał drzewcem w pancerz i zwierzę zaczęło się przesuwać w kierunku wierzchowca Hiiha Resslera, machając łbem na obie strony i sycząc na wszystko, co znalazło się w zasięgu wzroku.

– Wysadzę cię z siodła, Resser! – oznajmił Duncan, ale na przekór jego pogroźce żółw w tej samej chwili znieruchomiał i nie reagował na żadne ponaglenia. Podobnie zresztą jak pozostałe.

Walka na żółwiach stanowiła dziewiątą dyscyplinę dekatlonu, który należało ukończyć, aby awansować do następnego etapu. W trakcie pięciu poprzednich skwarnych i dusznych dni Duncan nigdy nie zajmował pozycji gorszej niż trzecia, a startował w tak różnych dziedzinach jak pływanie, strzelanie z kuszy na daleki dystans, strzelanie z dmuchaw, rzut oszczepem, aerobiczne podnoszenie ciężarów, rzucanie nożem i pokonywanie tunelu. Wszystkiemu uważnie przypatrywał się z boku Mord Cour.

Resser, przyjaciel i jeden z najbardziej zacieklej konkurentów Duncana, także dobrze się sprawiał. Inni elewowie z Grumman trzymali się razem, a prym pośród nich wiódł

chętliwy Trin Kronos, bardzo dumny z siebie i swego pochodzenia (co jednak nie przekładało się na bojowe umiejętności). Nieustannie opowiadał o tym, jak ważną pozycję po ukończeniu Szkoły będzie zajmował na dworze rodu Moritanich, Hiih natomiast bardzo niewiele mówił o swym domu czy rodzinie, natomiast nie tracił żadnej okazji do skorzystania ze wszystkiego, co oferowała mu Szkoła Ginazów.

Codziennie do późnej nocy Duncan i Hiih przesiadywali w namiocie bibliotecznym, otoczeni stosami księgofilmów. Od absolwentów Szkoły Ginazów oczekiwano znajomości historii militarnej, strategii bitewnych, a także specjalnych technik walki, a Mord Cour kładł też wielki nacisk na studiowanie etyki, literatury, filozofii, na medytację... na wszystko to, co było dla niego niedostępne, gdy przesiadywał w lasach Hagala.

Podczas wieczornych lekcji z mistrzami miecza Duncan utrwał sobie przepisy Wielkiej Konwencji, której ustalenia w sprawie konfliktów zbrojnych stały się po Butleryjskim Dżihadzie podstawą cesarskiej cywilizacji. Na ich podstawie Ginazowie sporządzili Kodeks Wojownika.

Zmagając się teraz z nieruchawym żółwiem, Duncan przetarł poczerwieniałe oczy i zakasłał. Od unoszącego się w powietrzu popiołu piekło go w nosie i w gardle. Fale oceanu z hukiem rozbijały się o skały, ze szczelin dobywał się zapach przypominający smród zgniłych jajek.

Po kilkunastu nieudanych próbach Resserowi udało się wreszcie nakłonić swego żółwia do ruchu i teraz pozostawało mu już tylko dobrze trzymać się w siodle i wystawiać ostrze włóczni we właściwym kierunku. Wkrótce potem także trzy pozostałe zwierzęta zaczęły wolno się do siebie zbliżać.

Duncan został ugodzony jednocześnie przez Ressera i drugiego z przeciwników, podczas gdy on sam trafił trzeciego prosto w pierś. Ten pod wpływem siły uderzenia zleciał z siodła i potoczył się na ziemię, zaraz jak najszybciej uciekając na bok, aby uniknąć żółwich pysków.

Wygodnie rozpartego Duncana ciosy nie wysadziły z siodła; dzięki zgrabnemu unikowi udaremnił następny atak Ressera, zaraz jednak jego żółw ponownie zastygł, aby dokonać defekacji, co zabrało trochę czasu.

Duncan rozglądał się bezradnie i patrzył, jak zręcznie Resser odpiera natarcia czwartego z walczących. Kiedy jego wierzchowiec był już znowu gotowy do boju, Duncan podsuwając się możliwie najbliżej walczących, czekał na odpowiedni moment. Kiedy Resserowi udało się zwalić przeciwnika, zgodnie z oczekiwaniami Duncana w geście triumfu podniósł rękę z włócznią i właśnie wtedy przyjaciel zaatakował. Rudowłosy przybysz z Grumman stracił równowagę i wyleciał z siodła, a zwycięzcą, jako jedyny, który utrzymał się na żółwiu, został Idaho.

Zeskoczył z żółwia, pomógł Resserowi się podnieść i otrzepać z piachu. Chwilę później żółw Duncana ruszył żwawo w poszukiwaniu jedzenia.

– Najważniejszą bronią jest wasze ciało – brzmiała jedna z głównych nauk Morda Coura.  
– Zanim będzie wam można powierzyć miecz w bitwie, najpierw musicie zaufać swojemu ciału.

– Ale uczyłeś nas, mistrzu, że najważniejszą bronią jest umysł – odezwał się Duncan.

– Ciało i umysł stanowią jedność – powiedział Cour ostro, jakby ciął nożem. – Co znaczy jedno bez drugiego? Umysł kontroluje ciało, ale ono z kolei kontroluje umysł. – Przechadzał się po kamienistej plaży, a żwir chrzęścił pod jego zrogowaciałymi stopami. – Zrzućcie ubrania! Wszystko z wyjątkiem majtek. Zdejmijcie buty, odłóżcie na bok ubrania.

Wszyscy natychmiast wykonali polecenie. Wokół nich unosiły się popioły, wzyewy ze szczelin przypominały oddech piekieł.

– Po tej ostatniej próbie będziecie już mogli opuścić mnie i tę wyspę. – Mord Cour wydał usta. – Tam, dokąd się przeniesiecie, będzie na was czekało więcej kwiatów i wygód.

Kilku z elewów zareagowało na to radosnym uśmiechem, powściąganym przez niepewność, jakie tam czekać ich będą wymogi.

– Przed przybyciem do Szkoły Ginazów wszyscy z was musieli się nauczyć prowadzić ornitopter, więc teraz nie muszę się nad tym długo rozwodzić. – Cour wskazał gestem poszarpaną krawędź krateru nad nimi. – Lecąc tutaj, widzieliście stojącą tam maszynę. Ten, który pierwszy dotrze do niej, poleci do nowych, czystych i wygodnych koszar. Wszystkie wskazówki znajdzie na desce pilota. Reszta... wróci tutaj i będzie obozowała bez namiotów... i jedzenia. – Zmrużył oczy i warknął: – A teraz start!

Wszyscy puścili się pędem, starając się od razu zdobyć przewagę nad przeciwnikami. Duncan nie należał do najszybszych, ale właśnie dlatego starannie wybierał trasę. Niektóre ścieżki po obiecującym początku robiły się coraz bardziej strome, stając się nawet przewieszkami, podczas gdy inne stawały się ślepymi uliczkami. Duncan tymczasem, pamiętając o widzianym pierwszego dnia ornitopterze, wcześniej kilka razy dokładnie obejrzał sobie zbocze.

I wystarczyło, że weszli na bardziej stromą ścieżkę, aby zaczął odzyskiwać dystans utracony wcześniej do szybkobiegaczy. Teraz dopiero okazywało się, jak ważna była wiedza, w których miejscach czekają na wspinających się zdradliwe, osuwające się pod nogami piargi. Dzięki wcześniejszym obserwacjom Duncan wybierał teraz trasy bardziej okrężne, ale o wiele wygodniejsze.

Lata temu umykał przed nagonką prowadzoną przez Rabbana w Stanicy Leśnej na Giedi Primie, a teren był mu zupełnie nie znany; w porównaniu z tamtym dzisiejsza próba była fraszka. Nie bardzo mu też przeszkadzało to, że biec musi boso, przecież całe lata chodził bez butów po kaladańskich plażach.

Ominął gorące źródło i zaraz za nim w stromej skale znalazł wygodny komin, z dobrymi chwytami i stopniami. Starannie jednak je badał i pamiętał o regule trzech punktów, ona zaś okazała się pożyteczna w chwili, gdy stabilny na pozór kamień wysunął się pod dotknięciem

dłoni. Był przekonany, że tam, gdzie jest tłoczno, tacy jak Trin Kronos bardziej zabiegają o opóźnianie innych niż o przyspieszenie swoich kroków.

Słońce już niemal skryło się za horyzontem, kiedy dotarł na szczyt krateru – i to pierwszy! Inni byli już niedaleko, z różnych stron atakując stromy stożek, na nic więc nie czekając, pognał w poszukiwaniu maszyny.

Znalazł ją bardzo szybko, a kiedy obejrzał się przez ramię, niedaleko za sobą zobaczył Hiiha Resslera, całego w zadrapaniach i popiele.

– Ej, Duncan! – zawołał Resser.

Powietrze było tu znacznie cięższe niż na dole, pełne gorących dymów i par; z krateru dobywały się pomruki.

Bliski zwycięstwa Duncan przyspieszył, podczas gdy Hiih, widząc, że nie ma szans, zwolnił zadyszany i wydawał urywane okrzyki na cześć przyjaciela.

W polu widzenia pojawił się zziębnięty, poczerwieniały, z trudem łapiący oddech Trin Kronos. Na widok Duncana zawrzał z gniewu, który pogłębił jeszcze jego krajan z Grumman, Resser, najwyraźniej ciesząc się z sukcesu Idaho. Kronos i Resser pochodzili wprawdzie z tej samej planety, a przecież ten pierwszy nie zmarnował żadnej okazji, aby dopiec drugiemu czy okazać mu wzgardę.

Ponieważ w tym współzawodnictwie byli wygrani i przegrani, więc między konkurentami bujnie kwitły animozje, Duncanowi jednak szczególnie nie podobało się to, jak ów potomek jednego z arystokratycznych rodów Grumman traktuje Resslera. Kiedy Idaho wskoczy do ornioptera i odleci, Kronos z pewnością zbierze swoją pakę i dadzą upust frustracji, objając rudzielca.

Stojąc już jedną nogą w kabinie, Duncan podjął decyzję.

– Ej, Hiih, pospiesz się! Jeśli zdążysz tutaj dobiec przed innymi, zabiorę cię ze sobą! Moim zdaniem maszyna powinna wytrzymać ciężar nas obu!

Słyszając to, Trin Kronos zaczął biec najszybciej jak potrafił.

Duncan zapiął pasy i wciągnął skrzydła, aby nie przeszkadzały w starcie na silniku odrzutowym, tymczasem Resser trwał jak oniemiały.

– Hiih, szybciej!

I nagle skoczył, jakby rudowłosemu chłopakowi ktoś dał zastrzyk energii. Duncan, ustawiając przełącznik startera, kątem oka widział gnającego brzegiem krateru przyjaciela. Podczas lat służby u księcia pilotażu uczyli go najwięksi mistrzowie w całym Cesarstwie, teraz więc wszystkie ruchy wykonywał właściwie automatycznie.

Kronos dostrzegł swoją szansę w tym, że Duncan zamierzał złamać reguły wyścigu. Na tablicy zapłonęły światełka. Pomarańczowy prostokąt poinformował, że kapsuły odrzutowe czekają na odpalenie. Słyszał niski pomruk turbin.

Resser dotarł do płóz ornioptera dokładnie w chwili, gdy Duncan chciał już uruchomić silniki. Z trudem łapiąc powietrze, chwycił się krawędzi drzwi i wciągnął do kabiny.

Trin Kronos, widząc, że wszystkie wysiłki są już daremne, zatrzymał się, podniósł kawałek ławy i cisnął nim na tyle celnie, że trafił Hiiha w biodro.

Duncan wcisnął klawisz uruchamiający sekwencję startu i skrócone skrzydła wykonały kilka mocnych machnięć, dzięki którym wzbili się ponad krater. Odpaliły silniki i skrzydła przeszły w stan bezruchu. Duncan zwiększył moc. Resser zatrzasnął za sobą drzwi i wcisnął do małej wnęki bagażowej za fotelem pilota, gdzie ciałem jego wstrząsnął śmiech.

Wiatr, który wywołały uderzające skrzydła, powalił Kronosa, który rozwścieczony cisnął następnym kamieniem i znowu dość celnie, gdyż pocisk trafił w plazmową szybę, ale tylko nieszkodliwie się od niej odbił.

Duncan pomachał Kronosowi i rzucił mu wydobytą z podręcznego przybornika latarkę. Tamten wprawdzie ją chwycił, ale niczym nie wyraził swojej wdzięczności za to, że nie będzie musiał wracać w ciemnościach. W dole inni konkurenci na widok wzbijającego się ornitoptera zaczęli zawracać na niegościnną plażę.

Teraz Duncan mógł już sobie pozwolić na rozpostarcie skrzydeł. Słońce wychylone jeszcze ostatnim skrawkiem nad horyzont położyło purpurową smugę na wodzie. Na wyspy archipelagu ciemność opadała niczym kurtyna.

– Dlaczego na mnie zaczekałeś? – sapnął Resser i otarł pot z czoła. – Przecież miał być tylko jeden zwycięzca. Mistrzowie miecza nigdy nie przykładali wagi do wzajemnej pomocy.

– To racja – przyznał Duncan z uśmiechem – ale ja się tego nauczyłem od Atrydów.

Zmniejszył intensywność światła na tablicy i, kierując się podanymi tam współrzędnymi, poleciał ku następnej wyspie.

*Nigdy nie należy lekceważyć zdolności ludzkiego umysłu do wiary w to, w co chce wierzyć na przekór przeciwnym świadectwom.*

**Caedmon Erd,**  
***Polityka i rzeczywistość***

Aby zrozumieć, co się stało na Wallach IX, baron i Piter de Vries zasiedli w otoczonej metalowymi ścianami sali konferencyjnej na bojowej fregacie. Ta krążyła na stacjonarnej orbicie najeżona bronią, ale nie miała żadnego pretekstu do ataku, a centrum decyzyjne Bene Gesserit od dwóch dni nie odpowiadało na żadne wezwania.

Raz przynajmniej mentat musiał samokrytycznie przyznać się do bezsiły: żadne, nawet najintensywniejsze projekcje i wariantowanie nie podsuwały przypuszczeń, gdzie podziały się czarownice. Zawiódł barona, który nie uznawał żadnych usprawiedliwień, a takie osoby Harkonnen zwykł zabijać w sposób odpowiadający intensywności jego rozczarowania.

Zwalisty Glossu Rabban siedział skulony z boku, marząc o jakimś pomysle, który mógłby podsunąć.

– Wiadomo, jak to jest z czarownicami – mruknął w końcu, ale, jak się zdaje, nikomu ta uwaga nie przypadła specjalnie do gustu.

Sfrustrowany podniósł się i wyszedł, mając świadomość, że czyni to zgodnie z życzeniami stryja. Dlaczego nikt nigdy nie pyta go o opinię? A w ogóle po co takie mędrkowanie, które do niczego nie prowadzi? Co się stało, to się stało, takie zaś łamanie sobie potem głowy było według Rabbana przejawem wstydlivej słabości.

Miał pretensje do barona, że traktuje go tak lekceważąco, chociaż oddał rodowi Harkonnenów całkiem niemałe zasługi. Czyż nie nadzoruje zbioru przyprawy na Arrakis? Czyż nie ostrzelał sprytnie statków Tleilaxan, co niemal doprowadziło do wojny między nimi a Atrydami? A mimo to stryj traktuje go jak przygłupa i prosto w twarz powiada, że w czaszce nosi tylko kolejny mięsień.

„Gdyby mnie wzięli ze sobą, już bym ja je wywachał!”

Rabban dobrze wiedział, co należy zrobić, a nadto zdawał sobie sprawę, że nie ma sensu pytać o zezwolenie, gdyż baron odmówi, a łamanie jawnego zakazu nie było bezpieczne. Glossu Rabban był zaś pewien, że teraz może wykazać, na jak wiele go stać.

Tupiąc czarnym buciorami, kroczył korytarzami fregaty, rozważając w szczegółach swe przedsięwzięcie. Wszędzie unosiło się ciche buczenie silników wytwarzających grawitację. Odziani w niebieskie uniformy ludzie z załogi ustępowali mu z drogi i powracali do swych zajęć. Wystarczyło, by wydał polecenie, a natychmiast rzucili się podnieść przegrodę oddzielającą od sekcji dziobowej.

Z rękami na biodrach Rabban wpatrywał się z zadowoleniem w smukły, lśniący jednoosobowy pojazd. Eksperymentalny statek pozaprzeznaczony.

Ponad dziesięć lat temu pilotował go wewnątrz liniowca Gildii, a zadanie wykonał perfekcyjnie... Jak to mówią: „Ani widu, ani słyhu”. On zrobił, co do niego należało, a że cały plan się nie powiódł... Za dużo w tym wszystkim było główkowania, a ostatecznie ten cholerny Leto Atryda nie zachował się tak, jak zakładano.

Tym razem Rabban miał prosty i konkretny plan. Statek był niewidzialny, można się więc nim było przemieszczać, gdzie dusza zapagnie i – obserwować, samemu nie będąc widzianym. Podejrzy, co knują te czarownice, a potem może nawet zniszczy całą tę ich cholerną szkołę z przyległościami.

Uruchomił cichsze od szeptu silniki maszyny bojowej i przez otwór w kadłubie fregaty opuścił się na zewnątrz. Teraz uruchomił generator pola pozaprzeznaczony i statek w jednej chwili przestał być widoczny dla zewnętrznych obserwatorów.

Po dokonanych naprawach wszystkie systemy działały teraz prawidłowo, bez zakłóceń zatem obniżał się w kierunku powierzchni planety. Nad niezbyt stromymi, zalesionymi pagórkami skręcił w kierunku kompleksu szkolnego. A więc te czarownice myślą sobie, że

mogą do woli znikać, kiedy sam baron Harkonnen chce z nimi rozmawiać? I teraz pewnie są bardzo dumne ze swej przebiegłości, w ogóle nie reagując na stawiane im zapytania! No to jeszcze zobaczymy!

Lekkim dotknięciem sensora uzbroił systemy ostrzału. Jedno niewidzialne ukąszenie, a wszystkie te ich biblioteki, refektarze i muzea staną w nie znających litości płomieniach.

A wtedy zaraz się odezwą.

Ciekawe, czy baron już wykrył jego nieobecność?

Był coraz bliżej budynków i teraz wyraźnie już widział uwijające się między nimi tłumy zakonnic, absolutnie pewnych, że nie ma już potrzeby się kryć. Ośmieliły się zagrać na nosie rodowi Harkonnenów!

Teraz był już nisko nad dachami, w ekranach naprowadzania pocisków jedne cele znikały, a pojawiały się inne. Może na początek powinien zlikwidować kilka z nich, jedną po drugiej, ot tak, dla zabawy i sportu. Dla nich będzie to wyglądało tak, jakby mściwy Bóg karał je za arogancję i pychę. Zaczął wybierać ofiary.

I nagle jak na komendę wszystkie spojrzały w jego kierunku, on zaś poczuł w głowie dziwny ucisk. Obraz kobiet zaczął falować, rozmywać się, aż wreszcie zniknął zupełnie, a Raban czuł tylko pulsujący ból w czaszce. Ścisnął palcami skronie, ale nadał pozostało uczucie, że rozwścieczony słoń atakuje od wewnątrz jego czoło.

Raz jeszcze pojawiły się gromady Bene Gesserit, ale zaraz zamieniły w wibrujące powidoki, a cały obraz planety z budynkami, wzgórzami, dolinami zaczął się niebezpiecznie chwiać. Rabban ledwo widział przed sobą tablicę z instrumentami.

Na poły po omacku przebierał po niej palcami, szukając odpowiednich pól sensorycznych. Statek zakołysał się na boki niczym żywa istota, a potem wpadł w korkociąg. Ryczący z przerażenia Rabban nie wiedział nawet, co się stało, do chwili gdy otoczyła go uwalniająca przy kraksie piana amortyzacyjna.

Statek pozaprzestrzenny spadł na sad owocowy i ryjąc głęboki, kilkudziesięciometrowy dół szorował po ziemi, aż wreszcie przewrócił się i zastygł. Pogruchotane silniki stanęły w ogniu i kabinę Wypełnił gryzący dym. Rabban słyszał szum aparatury przeciwpożarowej, podczas gdy uwalniał się od pasów i piany.

Z piekącym od dymu gardłem i ze łzami w oczach wypełził Przez znajdujące się w dole statku wyjście awaryjne. Pospieszenie zeskoczył z gorącego metalu i na czworakach wylądował w małym potoku. Oszołomiony potrząsnął kilkakrotnie głową, a kiedy spojrzał za siebie na kadłub, zobaczył, jak różne jego części to pojawiają się, to znikają.

Popatrzył w drugą stronę i dojrzał gęsty niczym szarańcza rój odzianych na czarno kobiet.

Baron nie posiadał się już ze wściekłości, kiedy poinformowano go, że został nawiązany kontakt z Matką Przełożoną Bene Gesserit Harishką. Nie raczyła odpowiedzieć na ponawiane od kilku dni wezwania, a teraz oto zgłaszała się sama! Kiedy wpadł na mostek fregaty,

zobaczył na owalnym ekranie starczą twarz.

– Przepraszam, baronie, że nie udało nam się spotkać, nagle wypadły mi inne ważne zajęcia, a potem ta fatalna awaria naszych systemów łącznościowych. Wiem, że ma pan jakąś ważną sprawę do przedyskutowania – jej ton był tak uprzejmy, że omal nie doprowadził barona do wściekłości – ale czy nie wolałby pan wcześniej odzyskać z powrotem swego bratanka?

Widząc, jak pod pełnymi wrogości migdałowymi oczami na wąskich wargach wykwita złośliwy uśmiezek, baron wiedział, że jego otyła twarz musi wyrażać całkowite zaskoczenie. Zerknął na kapitana i Pitera de Vriesa. A potem na tego pierwszego ryknął:

– Gdzie jest Rabban?! – Obaj mężczyźni pokręcili głowami, zaskoczeni tak samo jak baron. – Dawać mi go tu natychmiast!

Matka Przełożona zrobiła lekki ruch głową i na ekranie pojawił się zwalisty mężczyzna w otoczeniu kilku siostr zakonnych. Rabban miał pokrwawioną i posiniaczoną twarz, ale żadnych poważnych obrażeń nie odniósł, jeśli nie liczyć bezwładnie zwisającej lewej ręki, a także widocznych przez porwane nogawki ran na nogach.

Baron zaklął pod nosem. „Skąd ten kretyn się tam wziął?”

– W statku pańskiego bratanka, który najwyraźniej zamierzał nam złożyć nie zapowiedzianą wizytę, nastąpiła jakaś awaria. Zastanawiamy się, oczywiście, nad celem tych odwiedzin. Tylko szpiegostwo czy wręcz napaść? – Teraz na ekranie pokazały się szczątki maszyny. – Pilotował bardzo interesujący pojazd. Proszę zwrócić uwagę na to, jak się pojawia i znika. I proszę mi wierzyć, to nie są zakłócenia obrazu. Jakiś mechanizm niewidzialności? Bardzo pomysłowe i interesujące.

Baronowi oczy niemal wyskoczyły z orbit. „Bogowie podziemi, straciliśmy także statek pozaprzestrzenny!” Ten bałwan nie tylko dał się pojmać czarownicom, ale na dodatek wydał w ich ręce najpilniej strzeżony sekret barona!

Piter podsunął się i szepnął na ucho:

– Wolne, rytmiczne oddechy, mój baronie. Chce pan, żebym ja dalej prowadził z nią rozmowę?

Vladimir z najwyższym wysiłkiem zapanował nad sobą, ale nie chcąc ujawniać swego stanu, odstał o kilka kroków i odwrócił się plecami do ekranu. Z Rabbanem rozprawi się później.

– Mój bratanek to zupełny idiota. Użył statku bez mojego pozwolenia.

– Żalodne tłumaczenie.

– Zapewniam, że za swój nierozsądny uczynek poniesie surową karę. Oczywiście, pokryje także wszystkie szkody, jakie wyrządził zakonowi Bene Gesserit.

Ponieść porażkę i jeszcze musieć się z niej tłumaczyć, to było aż za wiele dla dumnego barona Harkonnena.

– Nie ma o czym mówić, kilka drzewek owocowych, więc może nawet obejdzie się bez



skargi do Landsraadu... jeśli okaże się pan rozsądny i będzie z nami współpracował.

– Współpracował? – Baron zatoczył się do tyłu, omal nie tracąc równowagi, a jego nozdrza rozdęły się z wściekłości. To przecież on ma niezbita dowody przeciwko nim! – Skarga do Landsraadu? A czy uwzględnicie w niej także to, jak wasza Wielebna Mateczka użyła przeciw mnie broni biologicznej, łamiąc podstawowe zasady Wielkiej Konwencji?

– W skardze będzie, owszem, miejsce na pewne swobodne spekulacje. Pamięta pan może interesujące wydarzenie sprzed kilku lat, kiedy dwa pojazdy Bene Tleilax zostały w tajemniczych okolicznościach ostrzelane wewnątrz liniowca Gildii? Oskarżony o atak księżę Leto Atryda stanowczo temu zaprzeczył, co w tamtej sytuacji wyglądało podejrzenie, jako że kierunek, z którego przeprowadzono atak, jednoznacznie wskazywał na jego fregatę. Żadnego innego statku nie było w pobliżu, a przynajmniej żadnego widzialnego. Skądinąd wiemy, że w liniowcu znajdowała się też fregata Harkonnenów, udająca się na uroczystość koronacji Cesarza Szaddama.

Baron zmusił się, by powstrzymać emocje.

– Nie macie żadnych dowodów.

– Mamy ten osobliwy pojazd, baronie. – Na ekranie znowu pojawił się niestabilny obraz maszyny po kabotażu. – Każdy niezależny sąd musi dojść do podobnych jak my wniosków. A jakie to będzie interesujące dla Tleilaxan i Atrydów! Nie wspominając o Gildii Kosmicznej.

Piter de Vries wpatrzył się w ścianę, ale chociaż umysł jego pracował na najwyższych obrotach, nie potrafił znaleźć zadowalającego rozwiązania.

– Zdaje się, że za wszelką cenę staracie się odwrócić uwagę od siebie, a tymczasem wydałyście na zakon wyrok śmierci, porywając się na Wielką Konwencję. Wystarczy jedno moje słowo, a...

– Mamy jednak dowód w pewnej innej kłopotliwej sprawie, nieprawdaż, baronie? – przerwała mu Harishka. – To jak, jeden kasuje drugi, co? Czy może jednak nasz jest bardziej, jak by to rzec, interesujący?

– Wyleczcie mnie z mojej choroby, a nie wystąpię z oskarżeniem.

Harishka chłodno przypatrywała mu się z ekranu.

– No cóż, nie ma lekarstwa na pana chorobę, baronie. Bene Gesserit korzystają z narzędzi nieodwracalnych i nic się już nie da zrobić. – Na jej ustach pojawił się czarujący uśmiech. – Mogę jednak obiecać, że jeśli pan zachowa w tajemnicy nasz mały sekret, my tak samo postąpimy z pańskim. Zwrócimy też panu bratanka, a na razie nie zrobiliśmy z nim niczego nieodwracalnego.

Widząc, że baron bliski jest wybuchu, wtrącił się de Vries:

– Domagamy się także zwrotu resztek naszej maszyny.

Nie wolno było dopuścić do tego, aby Bene Gesserit zapoznały się z technologią tworzenia pola niewidzialności, w sytuacji gdy sami Harkonnenowie niezbyt dobrze się na tym znali.

– Wykluczone. Absolutnie nie można pozwolić, aby tak straszliwe narzędzie zostało naprawione. Zrobimy wszystko, aby uniemożliwić zastosowanie w przyszłości tak morderczej potencjalnie techniki.

– Mamy jeszcze inne – warknął baron.

– To Prawdomówczyń, mój baronie – mruknął przez zęby de Vries.

I istotnie, Matka Przełożona spoglądała na nich z ekranu z ironią.

– A co zrobicie z tym wrakiem? – spytał baron i ścisnął ręce tak, że pobieleły mu kostki palców.

– Dopilnujemy, rzecz jasna, by zniknął.

Kiedy Rabban powrócił na fregatę, został dotkliwie obity przez stryja laską, a potem na czas powrotu na Giedi Primę zamknięty w klozecie. Jak na razie jednak, pomimo całej swej głupoty, pozostawał oficjalnym dziedzicem rodu Harkonnenów.

Jak na razie.

Baron natomiast wściekły krążył po korytarzach i kabinach, walił laską w ściany i starał się wymyślić jak najdotkliwszą karę za bezmyślny wybryk bratanka. I w końcu wpadł na pomysł, który nawet na jego usta przywołał uśmiech.

Bezpośrednio po powrocie na Giedi Primę Glossu Rabban został odesłany na Lankiveil. Niechże tam sobie siedzi u boku swego mięczakowatego ojca, Abulurda.

*To cecha Atrydów, że starają się świecić przykładem swoim dzieciom, aby one z kolei chwalebne cechy przekazały swym potomkom.*

### **książę Leto Atryda, z pierwszego wystąpienia przed Zgromadzeniem Kaladanu**

Minęło osiemnaście miesięcy.

Księżyc stał w pełni, spowijając Zamek Kaladan w srebro i rzucając długie cienie wież na skałę, u stóp której huczało morze. Z miejsca w ogrodzie, które pozwalało na dyskretną obserwację, Thufir Hawat patrzył, jak nad urwiskiem przechadzają się książę Leto i Kailea Vernius, dwoje księżycowych kochanków.

Od ponad roku była jego oficjalną konkubiną; niejeden już raz korzystali z takich romantycznych momentów jak ten. Leto niespiesznie przebierał w ofertach matrymonialnych, jakich nie skąpiły mu rody zasiadające w Landsraadzie.

Nieprzerwany nadzór Hawata irytował Leta, który domagał się odrobiny prywatności, ale mentat, dowodzący służbą bezpieczeństwa rodu Atrydów, zupełnie się tym nie przejmował. Leto miał denerwujący zwyczaj wystawiania się na zagrożenia i nazbyt ufał otaczającym go

ludziom. Hawat wolał się narazić na wyrzuty ze strony młodego księcia, że jest zbyt natrętny, niż pozwolić, żeby coś umknęło jego uwagi. To właśnie z racji jego niedostatecznej podejrzliwości księżę Paulus poległ na arenie. Przynależał sobie, że nigdy już nie popełni takiego błędu. Kiedy więc Leto i Kailea kroczyli w rześkim chłodzie nocy, Hawat niepokoił się, że idą zbyt blisko przepaści, Leto zaś stanowczo nie zgodził się na ogrodzenie jej, jeśli już nie balustradami, to przynajmniej poręczami. Chciał, aby ścieżka pozostała dokładnie taka, jaką zostawił ją ojciec, który także lubił przechadzać się tutaj i zastanawiać nad sprawami związanymi z władzą. Taka była tradycja, a poza tym Atrydzi zawsze byli znani z odwagi.

Hawat jeszcze raz przebadał teren w podczerwieni noktowizora i dostrzegł jedynie swych ludzi rozstawionych w sposób nie rzucający się w oczy zaraz pod szczytem urwiska i u jego stóp. Dwóm z nich kazał odrobinę zmienić pozycje.

Stała czujność była jego obowiązkiem.

Leto trzymał Kaileę za rękę i w zachwycie wpatrywał się w jej rysy oraz muskane przez bryzę miedziane włosy. Postawiony futrzany kołnierz otulał jej wysmukłą szyję. Chociaż niewiele było w Cesarstwie niewiast, które dorównywały jej urodą, to przecież Leto nie mógł jej poślubić. Musiał dochować wierności tradycji, jak przed nim ojciec, a przed ojcem dziad. Droga honoru... i politycznego wyrachowania.

Gdyby jednak los rodu Verniusów nie uległ tak radykalnej odmianie, nawet Paulus Atryda nie miałby nic przeciw temu małżeństwu. Od miesięcy już Rhombur z pomocą Leta sekretnymi korytarzami słał do C'taira Pilru i Bojowników O Wolność Ix pieniądze i inne zasoby, a w zamian otrzymywał informacje, plany, schematy. Teraz, kiedy Rhombur nareszcie zaczął działać, biła od niego taka witalność, jak nigdy dotąd.

Leto zatrzymał się na szczycie schodów prowadzących w dół na plażę i z uśmiechem pomyślał, że Hawat jak zwykle musi gdzieś być w pobliżu. Obrócił się do Kailei.

– Kaladan jest moim rodzinnym domem, Kaileo, i zawsze będzie dla mnie przepiękny. Widzę jednak, że ty nie jesteś tu szczęśliwa.

Gdzieś od morza wzbija się mewa i przestraszyła ich swym przenikliwym krzykiem.

– To przecież nie twoja wina, Leto. I tak tyle już zrobiłeś dla mnie i dla mego brata – odrzekła Kailea, nie patrząc mu w oczy. – Po prostu wszystko jest inne, niż to sobie kiedyś wyobrażałam.

Wiedząc, jakie to wyobrażenia, Leto odparł:

– Bardzo pragnąłbym zabierać cię częściej na Kaitain, abys mogła oglądać cesarski dwór. Widzę, jaką radość sprawiają ci zabawy i imprezy, a kiedy widzę cię tak rozpromienioną, aż mi żal wracać z tobą na Kaladan. Mało tutaj uciech, życie mniej szumne niż to, do którego ty jesteś stworzona.

W ten sposób przeproszał ją za to wszystko, czego nie mógł jej zaoferować: luksusy, prestiż, przynależność do jednego z Wysokich Rodów. Nie był pewien, czy Kailea rozumie jego obowiązki wobec rodu i tradycji.

Zatrzymała się i przemówiła głosem niepewnym, pełnym nerwowości, którą można było wyczuć przez całe popołudnie:

– Ix przepadło, Leto, a wraz z nim wszelkie dostojeństwa. Pogodziłam się z tym. – Przez chwilę wpatrywali się w milczeniu w fale, a potem dodała: – Przecież tym powstańcom Rhombura nigdy nie uda się obalić Tleilaxan, prawda?

– Za mało wiemy o tym, co tam się naprawdę dzieje. Informacje są zbyt skąpe. Myślisz, że lepiej by było, gdyby niczego nie próbował? – Popatrzył na nią twardym wzrokiem, usiłując odkryć źródło jej niepokoju. – Cuda czasami się zdarzają.

Zareagowała tak, jakby czekała na te właśnie słowa:

– Tak, to prawda, i teraz muszę ci o czymś powiedzieć, mój książę. – Spojrzał na nią z oczekiwaniem, na jej ustach pojawił się niewyraźny uśmiech: – Urodzę twoje dziecko.

Znieruchomiał jak skamieniały. Gdzieś daleko stado murmonów ciągnęło swą basową pieśń, stanowiącą kontrapunkt dla boi dźwiękowych, które ostrzegały przed zdradliwymi rafami. Potem Leto nachylił się i delikatnie ucałował Kaileę w usta.

– Jesteś rad? – spytała nieśmiało. – Wcale tego nie planowałam. Stało się.

Odsunął się od niej na wyciągnięcie rąk i popatrzył przeciągle w oczy.

– Oczywiście! – Delikatnie pogłaskał ją po brzuchu. – Bardzo chciałbym mieć syna.

– Może teraz powinnam pomyśleć o jakiejś damie do towarzystwa – powiedziała Kailea. – Mogłaby mnie przygotować do porodu, no i potem pomagać mi przy dziecku.

Mocno przygarnął ją do siebie.

– Jeśli chcesz jakąś nową towarzyszkę, to oczywiście będziesz ją miała. – „Hawat z pewnością dokładnie sprawdzi każdą kandydatkę!” – Wystarczy jedno twoje słowo, a będziesz ich miała dziesięć.

– Dzięki, Leto. – Wspięła się na palce, aby go ucałować w policzek. – Jedna w zupełności wystarczy.

Wszędzie tylko pył i upał. W nadziei, że gorący klimat może mu jakoś pomóc, Vladimir Harkonnen więcej czasu niż przedtem spędzał na Arrakis, ale samopoczucie wcale się nie poprawiło.

Siedział teraz w swym gabinecie w Kartadze, przeglądał raporty dotyczące zbioru przyprawy i obmyślał nowe sposoby na ukrycie przed Cesarzem, ZNAH-em i Gildią Kosmiczną rzeczywistych wyników produkcji. Ponieważ tył nieustannie, więc w biurku wycięto specjalne wgłębienie, w którym mogło się pomieścić jego wielkie brzuszysko. Na blacie spoczywały jego obwisłe ramiona.

Półtora roku temu jego rozgrywka z Bene Gesserit znalazła się w impasie: groźba i kontrgroźba wzajemnie się sparaliżowały. Rabban sprawił, że stracili swój wspaniały statek pozaprzeznaczony, a między baronem i zakonem zapanował stan wrogiego rozejmu.

Coraz boleśniejsza była jednak rana zadana jego dumie, on zaś każdego dnia był słabszy i

– grubszy.

Jego naukowcy mogliby zbudować nowy statek pozaprzeznaczony, ale bez pomocy Chobyna, oryginalnego twórcy, sprawa wydawała się beznadziejna. Chobyna zaś zamordował Rabban. Ilekroć baronowi przypominał się któryś z licznych idiotyzmów popełnionych przez bratanka, natychmiast purpurowiał z gniewu.

Specjaliści twierdzili, że do planów i holozapisów Chobyn celowo wprowadził błędy. W efekcie próba pierwszego prototypu skończyła się rozbiciem o obsydianowe zbocza Hebanowej Góry. W wypadku zginął cały zespół, co było dla jego członków z pewnością najlepszym rozwiązaniem.

Baron nieraz się zastanawiał, czy i dla niego śmierć nagła i rychła nie jest lepsza niż upokarzające konanie w męczarniach. Ogromne ilości solarisów otrzymywał zespół opieki medycznej na Giedi Primie, któremu z wyraźnym ociąganiem pomagał doktor Suk z rodu Richesów, Wellington Yueh, gdyż znacznie bardziej zależało mu na pracy nad cyborgami niż na znalezieniu pomocy dla barona. Premier Richese ciągle nie nadsyłał rachunku za usługi, ale tym baron nie bardzo się przejmował.

Wszystkie te wysiłki nie przynosiły żadnego pożytku, a nie skutkowały nawet najbardziej sugestywne groźby. Dla barona problemem stawało się przejście z jednego miejsca na drugie, co niegdyś wykonywał bez chwili zastanowienia.

– Mam interesującą informację, mój baronie – oznajmił zniecierpliwiony Piter de Vries, który jak zwykle bezszelestnie wśliznął się do pełnego wszechobecnego kurzu gabinetu w Kartadze. Baron odwrócił się i obdarzył go rozsierdzonym spojrzeniem; tyle razy zakazywał mu tego podkradania się! Na splamionych sokiem saf wargach mentata błąkał się uśmiezek.

– Konkubina Leta Atryd zwróciła się na dwór cesarski z prośbą o wskazanie jakiejś damy do towarzystwa. Przekazuję ci wprawdzie tę informację najszybciej jak mogłem, ponieważ jednak jest to sprawa nadzwyczaj pilna... pozwoliłem sobie podjąć już pewne kroki. Baron zmarszczył czoło.

– Tak? A na cóż to ośmieliłeś się bez mojego pozwolenia?

– W domu Suuwoka Hesbana, syna dawnego szambelana Elrooda IX, Akena Hesbana, żyje pewna niewiasta, która już wcześniej dostarczała nam pożytecznych wiadomości o rodzinie Hesbanów. Dzięki mojej inspiracji ta właśnie Chiara Rash-Olin została zaproponowana Atrydom i ma być teraz oceniona na Kaladanie.

– Wtyczka, i to w bezpośrednim otoczeniu księcia Leto? – Obaj jednocześnie się uśmiechnęli. – Cóż za... interesujące możliwości.

Kailea przechadzała się po zdobionej muszlami posadzce poczekalni portu kosmicznego w Kala. Nieopodal stał w pogotowiu dziarski kapitan Swain Goire, którego Leto wyznaczył na jej osobistego ochroniarza. Ciemne włosy i pociągła twarz przypominały jej samego księcia.

Czekała na przybycie statku z Kaitain, a wraz z nim Chiary. Teraz przylatywała na dobre, wcześniej Kailea przyjrzała się jej dokładnie i oceniła. Kandydatka na nową damę do towarzystwa miała nienaganne referencje, pracowała nawet w domu szambelana poprzedniego Cesarza i znała bez liku opowieści o cesarskim dworze i życiu w stolicy. Kailea z wielką ochotą się na nią zgodziła, chociaż nie bardzo mogła zrozumieć, jak tamta może porzucać splendory Kaitain dla prowincjonalnego Kaladanu.

– Kocham morze – zapewniła starsza kobieta, kiedy dowiedziała się o tych wątpliwościach. – I spokoj. Gdy przybędzie ci lat, kochanie, sama to zrozumiesz.

Tego Kailea wcale nie była pewna, na razie jednak bardzo była wdzięczna losowi, że taka jej się trafiła towarzyszką, z którą obcować będzie na co dzień. Niespokojna czekała na wynik rozmowy Chiary z Thufirem Hawatem, który bardzo dokładnie ją wypytywał o lata jej służby. Na szczęście nawet mentat nie znalazł w jej przeszłości niczego podejrzanego.

Ponieważ Kailei coraz bardziej doskwierała ciąża, więc nie mogła się doczekać przybycia Chiary Rash-Olin. Tego dnia Leto tradycyjnie wysłuchiwał skarg, sugestii i życzeń swoich poddanych, więc Kailea sama musiała się udać do portu kosmicznego.

Z ledwie hamowanym zniecierpliwieniem rozglądała się teraz po budynku portu i rejestrowała szczegóły, których nigdy wcześniej nie zauważyła. Dawny bulwiasty kształt budynku ozdobiono nieco i unowocześniono, ale i tak nie mógł się równać z architekturą Kaitain.

Usłyszała grzmot, od którego zadygotał cały budynek. Przez chmury przedarł się słup niebiesko-pomarańczowego ognia i pojawił się mknący z prędkością ponaddźwiękową pojazd w kształcie pocisku. Zaraz za granicą chmur włączyły się potężne odciążacze, które pozwoliły pojazdowi delikatnie i łagodnie osiąść na płycie lądowiska. Widać było, jak pod wpływem pól tarczowych faluje powietrze.

– Dokładnie o czasie – zauważył Swain Goire, wysoki i wyprężony niczym bohater z księgofilmu. – Nie bez przesady Gildia szczeni się swą punktualnością.

– Dla mnie i tak za późno, tyle się naczekałam – mruknęła pod nosem Kailea i ruszyła na spotkanie wysiadającym pasażerom.

Sądząc po ubiorze Chiary, trudno było zgadnąć, że jest tylko damą do towarzystwa, a nie arystokratką. Miała na sobie elegancki podróżny płaszcz, a jej szpakowate włosy, skrzące się od inkrustowanych szpilek, przykrywał beret z diamentem pośrodku. Miała zaróżowioną z radości twarz.

– Ach, cóż to za przyjemność, kochanie, widzieć cię znowu – zaszczebiotała. Z trudem oddychała wilgotnym, przesyconym morską solą powietrzem. Spojrzała wymownie na zaokrąglony brzuch Kailei, potem zajrzała jej w oczy i rzekła: – Wszystko chyba przebiega normalnie. Przynajmniej na twarzy wyglądasz znakomicie. Może odrobinę za mizerna, ale szybko znajdziemy na to lekarstwo.

Kailea poczerwieniała. Nareszcie będzie miała odpowiednie towarzystwo, kogoś obytego

na cesarskim dworze, kto będzie dla niej pomocą w podejmowaniu trudnych decyzji w sprawach prowadzenia domu i rodzinnych interesów, a tego oczekiwał od niej kochający, ale wymagający książę.

Ledwie ruszyły w kierunku wyjścia, a Kailea zapytała niecierpliwie:

– A co tam słyhać na cesarskim dworze?

– Och, kochanie, tyle jest do opowiadania, że sama nie wiem, od czego zacząć.

*To prawda, że można się wzbogacić, praktykując zło, niemniej jednak siła prawdy i sprawiedliwości polega na ich trwałości... i dlatego można o nich powiedzieć: „Oto, co odziedziczyłem po ojcu”.*

### **Mądrość Ptahhotep, kalendarz Piątej Dynastii (Starej Ziemi)**

Z punktu widzenia Rabbana stryj nie mógł wymyślić bardziej dotkliwej kary za wpadkę ze statkiem pozaprzeznaczonym niż zesłanie na Lankiveil. Na Arrakis było przynajmniej ciepło i bezchmurnie, Giedi Prima oferowała liczne wygody i przyjemności, a Lankiveil... było wprost okropne.

Czas włókł się w takim tempie, że nawet Rabban zaczął dostrzegać geriatryczne zalety melanżu. Na szczęście będzie żył dłużej niż przeciętnie i dzięki temu zdoła jeszcze nadrobić bezsensownie tracony czas.

Zupełnie nie interesowały go klasztorne twierdze, zbudowane głęboko w górach, ani też wioski nad fiordami zamieszkałe przez cuchnących rybaków, prymitywnych myśliwych i paru rolników, którzy hodowali jakieś roślinki na marnych, skalistych poletkach.

Większość czasu spędzał na największej wyspie, leżącej na północy, blisko lodowca, a daleko od tras wielorybów bjondax. Także wyspę trudno było nazwać cywilizowaną, były tu jednak przynajmniej jakieś zakłady przemysłowe, a także port, z którego wyprawiało się w przestrzeń ładunki futra wielorybiego. Byli też ludzie, którzy rozumieli, że wszelkie surowce i zasoby istnieją tylko dla korzyści władającego nimi rodu.

W budynkach ZNAH-u zażądał dla siebie kilku obszernych pokoi. Grał trochę na pieniądze z urzędnikami, ale przede wszystkim obmyślał, jak będzie żył, kiedy znowu powróci na Giedi Primę. Niekiedy brał ze sobą bicz z krwawinu i zostawiał ciemne smugi na chłostanych bez opamiętania skałach, bryłach lodu czy nieruchawych ra-fokach wylegających się na metalowych pomostach nabrzeża. Ale i to szybko stawało się nudne.

Miał nadzieję, że owo dwuletnie zesłanie uda mu się przeżyć bez konieczności widzenia Abulurda i Emmi Rabban-Harkonnen. Dowiedzieli się jednak o jego obecności i ojciec zjawił

się w centrum ZNAH-u, na pozór jedynie w podróży inspekcyjnej.

Abulurd powitał syna z tak wylewnym uśmiechem na poczciwej twarzy, jakby oczekiwał, że ten ze łzami w oczach rzuci mu się w ramiona, Rabban jednak czym prędzej wyrwał się z ojcowskiego uścisku.

Ze swymi roslymi barami, wielką twarzą i grubymi wargami Glossu Rabban więcej miał cech po matce niż po ojcu, szczupłym i kościstym. Siwiejące włosy Abulurda wydawały się brudne, jakby je przysypał popiół, twarz była ogorzała od częstego przebywania na powietrzu.

Od towarzystwa rodziciela udało się Glossu uwolnić dopiero wtedy, kiedy przyrzekł, że przyjedzie nad fiord Tulą i przez czas jakiś pobędzie z rodzicami. Zjawił się tam tydzień później, niemiłosiernie krzywiąc się na skwaśniałe powietrze i chłód, przenikający do szpiku kości. Zacisnął jednak zęby i tylko liczył dni dzielące go od daty, gdy będzie mu już wolno wsiąść na pokład liniowca, który zabierze go z tej dziury.

Jadali wyrafinowane potrawy z wędzonych ryb, duszonych lomarów, owoców morza w ryżu, śnieżnych muszli i małż, marynowanych kałamarnic i kawioru z ruh, czemu towarzyszyły gorzkawe, włókniste warzywa z Lankiveil. Kucharzyła żona rybaka, z pyzatą twarzą i wielkimi dłońmi, zawsze z wielką dumą podająca do stołu. Znała Rabbana jeszcze z czasów dziecięcych i teraz próbowała raz i drugi uszczypnąć go pieszczotliwie w policzek, za co serdecznie ją znienawdził.

W ustach miał ciągle obrzydliwy smak, z ubrania nie mógł usunąć wstrętnych odorów i tylko ostry zapach drewna płonącego na kominku dawał jakieś ukojenie jego nozdrzom. Jego ojciec uznał za oryginalne używanie prawdziwego ognia zamiast podgrzewaczy czy kul promieniujących.

I nagle pewnej nocy przyszedł mu do głowy pierwszy od czasu przybycia tutaj fascynujący pomysł. Wieloryby bjondax były łagodne i łatwe do zabicia, więc gdyby Rabbanowi udało się nakłonić do polowania ludzi z Wysokich i Niskich Rodów, byłoby nareszcie coś interesującego, a przy okazji można by zarobić. Sam dobrze pamiętał, ile radości dawało mu polowanie na dzieciaki w Leśnej Stanicy na Giedi Primie czy na wielkiego piaskala na Arrakis, chociaż te łowy zakończyły się rozczarowującym fiaskiem. Może więc polowania na wieloryby spotkałyby się z zainteresowaniem odpowiednim do tego, by pomnożyć dochody Harkonnenów i odebrać Lankiveil stygmat prowincjonalności.

Nawet baronowi by się to spodobało.

Na dwa dni przed powrotem na Giedi Primę wspomniał o tym pomysle rodzicom podczas kolacji, którą stanowiły znowu jakieś rybne dania. Abulurd i Emmi nieustannie wymieniali pełne czułości spojrzenia; ona mówiła niewiele, ale nawet gdy się nie odzywała, było jasne, że całkowicie trzyma stronę męża. Co jakiś czas dotykali się delikatnie, jakby upewniając się we wzajemnej obecności.

– Chciałbym tutaj na Lankiveil ściągnąć jakichś porządnym myśliwych – oznajmił Glossu i pociągnął ze szklancy wypełnionej lekkim, półsłodkim winem. – Wyprawimy się na



te kosmate wieloryby, a miejscowi rybacy posłużą za przewodników. Znajdzie się w Landsraadzie sporo osób, które sownie zapłacą za takie trofeum. To będzie korzyść dla nas wszystkich.

Emmi zerknęła na Abulurda, który z niedowierzaniem wsłuchiwał się w słowa syna, i wypowiedziała to, co czuli oboje.

– To niemożliwe, synu.

Glossu aż się skrzywił, że taka meduza nazywa go synem.

– Ty widziałeś tylko ostatni etap przygotowywania futra – argumentował Abulurd – a tymczasem samo polowanie to zajęcie wymagające znacznej wiedzy i cierpliwości. A także wrażliwości. Wiele razy wypływałem z rybakami, na bjondaxy nie poluje się dla... zabawy.

Rabban skrzywił usta w grymasie.

– A to niby dlaczego? Skoro jesteś gubernatorem planety, to możesz nakazać wszystko, co jest korzystne ekonomicznie.

Matka pokręciła głową.

– Ojciec lepiej zna tę planetę od ciebie. To po prostu niemożliwe.

Rabban zgarbił się, bardziej zde gustowany niż rozgniewany. Kto jak kto, ale oni z pewnością nie mieli prawa zakazywać mu czegokolwiek. Był bratankiem potężnego barona Vladimira, jego oficjalnym następcą. Abulurd zaś wyraźnie już dowiódł, że nie nadaje się do niczego poważnego. Nikt nie będzie słuchał skarg nieudacznika.

Rabban wstał od stołu i poszedł do siebie. Tutaj, w misie zrobionej z muszli, czekał na niego tradycyjny przysmak z Lankiveil: starannie pozbierane z kory drzew grzyby. Glossu z rozmachem kopnął salaterkę, która roztrzaskała się o ścianę.

Głosy wielorybów bjondax wyrwały go z niespokojnego snu. Baraszkowały w wąskiej cieśninie nieopodal, a ich atonalne dźwięki sprawiały, że Rabbanowi pękała czaszka.

Poprzedniego wieczoru ojciec uśmiechał się w zamyśleniu, przysłuchując się wielorybom. Stali razem na balkonie z bierwion, śliskich od wieczornej mgły. Wreszcie Abulurd wskazał ręką fiord i powiedział z radosnym westchnieniem:

– Pieśń godowa. Ich czas miłości.

Jego syn natomiast marzył o tym, aby nareszcie coś zabić.

Ciągle pod wrażeniem ojcowskiej odmowy, nie mógł pojąć, że miał cokolwiek wspólnego z tymi ludźmi. Siedział tu, znosząc różnorakie udręki, tolerując uwagi matki i ojca i patrząc, jak kontentują się tą odrobiną, gdy wielki, pasjonujący świat był w ich zasięgu.

Krew zaczynała mu wrzeć w żyłach.

Dobrze wiedząc, że nie zaśnie, gdy te bydlęta hałasują mu pod oknem, ubrał się i przeszedł do salonu, gdzie było spokojniej. Żar na kominku zalewał pokój takim światłem, jak gdyby w palenisku znajdowała się lawa. Pewnie wstało już kilka osób ze służby: sprząтали pokoje, przygotowywali śniadanie, w każdym razie o strażnikach Abulurd nigdy nawet nie

pomyślał. Glossu nie znosił tej ufności, tego spokoju, tego miękkiego ciepła!

Ubrał się do wyjścia na zewnątrz i nawet zdecydował na rękawice jednopalczone, a potem po skrzypiących schodach zszedł na dół na przystań. Zawisła w powietrzu wilgoć zamarzała.

W nędznej i zatęchłej szopie znalazł to, czego potrzebował: stare wprowadzie, ale ostre wibroharpuny do polowania na ryby. Na pewno uda się przy ich użyciu zabić kilka tych futrzanych gamoni. Mógłby wprowadzie poszukać jakiegoś mocniejszego oręża, ale wtedy zabawa byłaby mniejsza.

Bjondaxy pływały w spokojnym fiordzie, zgodnie pomrukując, a ich głosy brzmiały dla Rabbana tak, jakby skały bekały. Pojedyncze chmury przesłaniały gwiazdy, światła starczało jednak na to, aby Rabban widział, co robi.

Odcumował jedną z łódek średniej wielkości; mógł sobie z nią sam poradzić, a zarazem była dostatecznie masywna, aby nie przewróciły jej swawolące zalotnie wieloryby. Odbił od nabrzeża i nastawił silniki na lekki bieg, wpływając powoli w kanał, gdzie czuliły się do siebie durne bestie. Widział wyraźnie ich podłużne sylwetki, zwinne i rozedrgane niczym membrany.

Łagodnie sterując łodzią, zbliżał się powoli do stada. Wielorybów nie zaniepokoiła jego obecność, niektóre nawet dla zabawy ocierały się o kadłub.

Przyjrzał się uważnie: jedne były pokryte cętkami, inne miały sierść kremowozłotą; dorosłym towarzyszyło kilkanaście małych, co zdziwiło Rabbana. Zabierały ze sobą młode, udając się na gody? Wzruszył ramionami i przygotował pęk wibroharpunów.

Zatrzymał silniki i dał się nieść wodzie, podczas gdy nieświadome groźby zwierzęta uwijały się wokół łódki, która tylko na samym początku wydała im się czymś dziwnym i niepokojącym.

„Głupie bydlaki!”

Glossu zaczął ciskać harpuny, jeden za drugim, a ledwie zaczęła się rzeź, natychmiast też zmienił się głos wielorybów.

Odziani w pospiesznie narzucone szlafroki i pantofle, Abulurd i Emmi wybiegli na krawędź fiordu; zaalarmowana służba natychmiast zapaliła wszystkie światła w domu, przepłaszając cienie.

Błogi hymn godowy zamienił się w kakofonię rozpaczliwych skowytów. Abulurd potykając się, zbiegł na dół, ale w świetle padającym z okien rozróżnić mógł tylko miotające się kształty. Kiedy obok niego znalazła się Emmi, razem zapalili jarzycę na końcu przystani i wtedy zobaczyli, że powoli sunie do niej łódka, z trudem zmagająca się z holowanym brzemieniem. Abulurd zmrużywszy oczy, wypatrywał, kto kieruje łodzią, nie chciał bowiem uwierzyć w to, co podpowiadało mu serce.

– Rzuć mi cumę, żebyśmy mógł przybić! – rozległ się głos Glossu.

Po chwili widać już było jego samego. Tak spocił się od wysiłku, że zrzucił z siebie ciepłą kurtkę. Jego ramiona, piersi i twarz pokrywała krew.

– Chyba z osiem ich ubiłem. Dwa mniejsze powiązałem razem i przyciągnąłem ze sobą, ale potrzebna mi pomoc, żeby przyholować resztę. Ze skór oprawiacie je zaraz na brzegu czy jest od tego jakaś fabryka?

Abulurd stał oniemiały i zupełnie zapomniał o kołyszącej się w dłoni cumie, tak że dopiero Glossu wyjął mu ją z dłoni, siłą rozpędu dopłynąwszy do przystani.

– Zabiłeś je...? – wykrztusił w końcu Abulurd. – Zamordowałeś?

Spojrzał ze zgrozą na dwa korpusy młodych bjondaxów, z sierścią posklejaną przez krew z licznych ran; ich ślepie spoglądały z wody wielkie i nieruchome niczym spodki.

– Pewnie, że je zabiłem. – Glossu zmarszczył ciężkie brwi.! – Przecież po to się poluje, nie po co innego.

Wyszedł z łodzi na pomost i stał tak, jakby czekał na gratulacje.

Abulurd ścisnął i rozluźnił dłonie, ogarnięty niezwykłym u niego oburzeniem i obrzydzeniem. Przez całe życie nad tym panował, ale chyba i on był obdarzony legendarnym temperamentem Harkonnenów.

Przez spędzone tu lata nauczył się, że na wieloryby polować należy w odpowiednim czasie i w odpowiednich miejscach, w przeciwnym bowiem wypadku staną się trudne do wytropienia. Glossu tymczasem mało interesowały szczegóły wielorybnictwa, nawet łódką ledwo co umiał kierować.

– Zamordowałeś je w okresie godowym, ty idioto! – krzyknął wreszcie Abulurd, a na twarzy Glossu pojawił się wyraz zdumienia, nigdy dotąd bowiem ojciec tak się do niego nie zwracał. – Od pokoleń przybywają do tego fiordu na gody, a potem powracają na arktyczne morza. Mają bardzo dobrą pamięć, przenoszoną z pokolenia na pokolenie. Wystarczy kropla ich krwi w wodzie, żeby potem z daleka omijały to miejsce.

Abulurda ogarniało coraz większe przerażenie. Jego własny syn rozlał tu tyle krwi, że minie wiele, wiele czasu, zanim jakiegokolwiek bjondaxy znowu pojawią się tutaj na gody.

Glossu spojrzał na dwa kołyszące się przy pomoście ciała, potem w głąb fiordu i spytał:

– To jak, ktoś mi pomoże czy sam mam tę resztę przyciągnąć?

Abulurd wierzchem dłoni uderzył go na odlew, a potem zdumiony wpatrzył się w rękę, która spoliczkowała syna. Glossu ledwie nad sobą panował. Jeszcze jedna zniewaga, a pozabija wszystkich dookoła. Ojciec tymczasem ciągnął zgaszonym głosem:

– Wieloryby już tu nie powrócą, rozumiesz? Nie wiadomo, jakie teraz miejsce wybiorą sobie na gody, a życie mieszkających tu ludzi zależy od ich futra. W efekcie wszystkie leżące nad tym fiordem wioski zostaną opuszczone. Wieloryby z pewnością już tu nie powrócą.

Rabban pokręcił głową, nie rozumiejąc, o co cały ten krzyk.

– A co cię niby oni obchodzą? – Popatrzył na stojących w tyle za rodzicami ludzi z Lankiveil, prostych, biednych, urodzonych do posłuchu i pracy. – Rządzisz nimi, a czasy

bywają raz lepsze, raz gorsze. Muszą nauczyć się to znosić.

Emmi nareszcie dała wyraz miotającym nią uczuciom:

– Jak śmiesz tak mówić? Wiele rzeczy trudno ci wybaczyć, Glossu, ale ta jest z pewnością najgorsza!

Rabban nie odczuwał jednak najmniejszego zawstydzienia.

– Najgorsze jest to, jacy wy jesteście głupi i zaślepieni! Zupełnie nie wiecie, kim jesteście? Kim ja jestem? Należymy do rodu Harkonnenów! – ryknął, a ciszej dodał: – Żałuję, że jestem waszym synem!

Bez słowa więcej pognął schodami na górę i natychmiast zaczął się pakować. Nie mógł doczekać się chwili, gdy będzie mu wolno powrócić tam, gdzie życie miało sens.

*Ten, kto czeka na zwierzynę w miejscu, gdzie jej nigdy nie było, może to robić bez końca. Sama wytrwałość jeszcze nie decyduje o sukcesie.*

### **z mądrości zensunnickich Wędrowców**

Wprawdzie Gurney Halleck przez cztery lata nie natknął się na żaden ślad siostry, ale nie tracił nadziei. Natomiast rodzice nigdy nie wymawiali imienia Bheth. W monotonne, szare wieczory czytali razem Biblię Protestancko-Katolicką, z naciskiem powtarzając frazy, które uzasadniały ich stosunek do życia i świata.

Gurney nie miał z kim dzielić swego żalu.

W dzień, kiedy go skatowano, czemu cała wioska Dmitrij przysłuchiwała się w grobowym milczeniu, rodzice w końcu wyszli z sypialni i zajęli się jego ranami. Niewiele mieli środków leczniczych, ale surowe życie nauczyło ich zasad pierwszej pomocy. Matka zajęła się nim najlepiej, jak potrafiła, a przez cały ten czas ojciec niespokojnie zerkał zza firanki, czy czasem nie wracają Harkonnenowie.

Po czterech latach wszystkie rany już się zabiłiły, nadając twarzy Gurneya jeszcze bardziej surowy, nieprzyjazny wygląd. Przy chodzeniu odczuwał ból w kościach. Niewiele dano mu czasu, aby wydobrzeć; bardzo szybko musiał się zwlec z łóżka i stanąć do pracy. Kiedy wrócił, wszyscy zachowywali się tak, jakby się nic nie zdarzyło. Nikt nie wyraził żadnego współczucia ani też radości, że dzienna porcja roboty znowu rozłoży się na więcej osób.

Teraz Gurney już wiedział, że nie należy do osady.

Ponieważ odwiedziny w gospodarstwie przestały mu sprawiać przyjemność, przesiadywał wieczorami w domu. Po miesiącach cierpliwych wysiłków udało mu się naprawić balisetę, tak że można było na niej coś zagrać, chociaż mniejszą teraz miała skalę dźwięków, a i ton

nie był tak czysty jak niegdyś. Miał w głowie słowa kapitana Kryubiego, ale nie powstrzymały go one przed układaniem nowych piosenek i podśpiewywaniem ich w domu, gdzie rodzice mogli udawać, że nie słyszą. W piosenkach tych mniej już było buntowniczej satyry, a więcej wspomnień o Bheth. Wystarczyło, że był oddzielony od rodziców ścianą, a nie mógł sobie przypomnieć, jak wyglądają, tymczasem nawet po latach wyraźnie widział twarz siostry, jej rysy, miny, gesty, uśmiech.

Znowu zasadził na zewnątrz kwiaty, lilie i stokrotki. Podlewał je, miał wrażenie, że w ten właśnie sposób pielęgnuje pamięć o Bheth. Nachylał się nad nimi i nucił ulubione melodie siostry, a wtedy wyobrażał sobie, że także ona myśli o nim w tym właśnie momencie.

Jeśli tylko żyje...

Którejś nocy zbudził go jakiś ruch pod oknem, a kiedy wyrzął, miał wrażenie, że widzi przekradający się cień, chociaż nie był pewien, czy to nie jest zwid. Wyraźnie jednak usłyszał oddech, coś zaszurało o ścianę, na wąskim parapecie okna pojawił się jakiś przedmiot – i znowu zapadła cisza.

Była to świeżo ścięta lilia. Był oburzony faktem, że ktoś zakpił sobie z niego, podsuwając ulubiony kwiat Bheth. Ale między liściem i łodygą zauważył wciśniętą kartkę papieru. Porwał kwiat i wachając go, zarazem trzęsącymi się palcami rozprostował karteczkę papieru. Na niej kobiecym charakterem nakreślono pospiesznie: „Powiedz mamie i tacie, że żyję”.

Gurney szerzej otworzył okno i wyskoczył na zewnątrz, bosy wybiegł na ulicę przed dom i rozejrzał się w obie strony. Po prawej zobaczył ciemną postać przemykającą między budynkami i kierującą do głównej, prowadzącej do Harko drogi.

Gurney milczał, żeby nie wzbudzić czyjejś uwagi; ignorując ból w biodrach, pospiesznie ruszył w ślad za nieznanym. „Bheth żyje!” – myślał podniecony, a stopy szurały po nierównym gruncie. Zgadywał, że tamten musiał mieć jakiś pojazd, który zaparkował niedaleko osady. Kiedy tajemniczy posłaniec odwrócił się i zobaczył goniącą go postać, puścił się biegiem.

– Poczekaj, muszę z tobą porozmawiać! – zawołał Gurney.

Tamten nie posłuchał; w mroku nocy Gurney dojrzał błyszczące buty i ubranie nie wskazujące na biedaka. Halleck był tak podniecony, że pomimo okaleczonego ciała nie tylko nie tracił dystansu do uciekającego, ale go zmniejszał. I nagle tamten potknął się i przewrócił, Gurney zaś zwałił się na niego niczym wilk rzucający się na ofiarę.

Obcy usiłował się wyrwać, przez chwilę szarpali się i przewracali, aż wreszcie wpadli do rowu, w którym rosły bulwy krallu. Gurney chwycił tamtego za gors eleganckiej koszuli i przemocą posadził. Obaj byli teraz pobrudzeni piachem i zeschniętym błotem.

– Ktoś ty taki? Widziałeś moją siostrę? Jak się czuje?

W półmroku widział ciemne, szeroko rozstawione, rozbiegane oczy i gładkie rysy twarzy. Mężczyzna wypluł piach i usiłował się podnieść. Miał gładko przycięte włosy, a tak wykwintnego ubrania Gurney nigdy dotąd nie widział.

– Gdzie ona jest? – Gurney napierał na obcego niczym policjant na przestępcę. – Skąd się wzięłaś? Co ci powiedziała? Skąd wiedziałeś o lilii?

Mężczyzna skrzywił się, a potem obmacał kostkę.

– Ja... jeżdżę od jednej miejscowości do drugiej. Prowadzę dla Harkonnenów spis ludności tego okręgu. Taka moja praca – zdawać baronowi sprawozdania z tego, kto mu służy. – Przełknął głośno, a kiedy Gurney mocniej jeszcze zacisnął chwyt na gorsie koszuli, dodał: – Widuję wielu ludzi. Ja... – zakaszła nerwowo – widziałem twoją siostrę. Jest w domu miłości przy jednym z garnizonów. Z pieniędzy, które odłożyła przez lata, zapłaciła mi za dostarczenie wiadomości. – Gurney starał się nie uronić ani słowa z tego, co mówił tamten. – Kiedy dowiedziała się, że będę w Dmitriju, dała mi swoje solarisy i tę kartkę. Powiedziała mi także, jak mam się zachować. – Ze złością odtrącił rękę Gurneya. – I co, przynoszę ci wiadomość od siostry, a ty rzucasz się na mnie jak jakiś zbój?

– Chcę wiedzieć coś więcej – mruknął Halleck. – Gdzie ją znajdę?

Mężczyzna pokręcił głową.

– Zapłaciła mi tylko za dostarczenie wiadomości, a ja i tak strasznie ryzykuję. Nic więcej nie mogę ci powiedzieć.

Gurney chwycił nieznajomego za gardło.

– A właśnie że możesz. Jaki garnizon i gdzie jest ten dom? Jeśli mi nie powiesz, zabiję cię na miejscu. – Mocniej zacisnął palce. – No, gadaj!

Otrzymał pierwszą po czterech latach wiadomość od Bheth i nie mógł przepuścić takiej okazji. A więc żyła! Musi się z nią zobaczyć! Tamten się poddał.

– Garnizon między Hebanową Górą a Jeziorem Vladimir. W pobliżu jest kopalnia obsydianu, a żołnierze pilnują niewolników. I przychodzą do tego domu, gdzie pracuje twoja siostra.

Gurney zastanawiał się, jak się tam dostać. Niewiele wiedział o geografii Giedi Primy i rozmieszczeniu miejscowości, ale mógł się tego dowiedzieć. Zmrużywszy oczy, wpatrywał się w chmurę, która właśnie przesłaniała księżyc, i już zaczynał układać plan uwolnienia Bheth. Kiwnął głową i zwolnił uścisk, a tamten w jednej chwili wyskoczył z rowu i kulejąc, szybko oddalił się w kierunku miejsca, gdzie zapewne pozostawił swój pojazd.

Powoli także Halleck wypełził z dołu. Obcy był już koło pojazdu, który zaparkował za kępą krzaków. Ale dla Gurneya najważniejsze było to, że nareszcie ma jakiś trop prowadzący do Bheth.

*Skuteczny władca karze za sprzeciw, a wynagradza pomoc; dokonuje przegrupowań według zmiennych zasad; ukrywa zasadnicze narzędzia swej władzy; tak dokonuje kontrposunięć, że przeciwnik nieustannie jest wytrącony z równowagi.*

**Westheimer Atryda,  
*Zasady przywództwa***

Od czasu gdy został ojcem, Leto wydawało się, że czas płynie szybciej.

Jego mały syn, odziany w dziecięcą zbroję, ćwiczył wypadki ze swym laminowanym mieczem z papieru i zaopatrzoną w pióropusz lancą *vara*, wściekle atakował wypchanego salusańskiego byka, dopadał go i odskakiwał. Tym dzielnym wojownikiem był dwuletni syn Leta, Victor, który nosił już zieloną czapkę z czerwonym krzyżem Atrydów.

Ojciec, zaśmiewając się, na klęczkach przesuwiał byka, tak że nie całkiem jeszcze panujący nad równowagą malec miał utrudnione zadanie.

– Victor, rób tak, jak ci mówiłem. – Leto usiłował przybrać poważną minę. – *Z vara* należy być ostrożnym. – Podniósł ręce, pokazując, jak należy trzymać broń. – Chwyć tak i od tej strony uderzaj w ślepię, żeby dotrzeć do mózgu.

Chłopiec posłusznie raz jeszcze zaatakował, chociaż z trudem podnosił dzidę. Tępy koniec odskoczył od łba, ugodziwszy niedaleko od obwiedzonego kredą ślepia.

– Znacznie lepiej!

Leto wstał, chwycił chłopca w ramiona i podniósł wysoko w powietrze; Victor zaśmiewał się, gdyż ojciec jednocześnie przebierał palcami po jego żebrach.

– Znowu? – spytała z dezaprobatą w głosie Kailea. – Co ty wyrabiasz, Leto? – Stała w progu razem ze swą damą do towarzystwa, Chiara. – Jak możesz go chwalić za coś takiego? Chcesz, żeby zginął jak jego dziadek?

Leto spoważniał i obrócił się do swej konkubiny.

– Tyle razy ci powtarzałem, Kaileo, że byk nic w tym nie zawinił. Został nafaszerowany narkotykiem przez zdrajców. – Dla siebie zachował drugą część tajemnicy, że do grona owych zdrajców zaliczała się także jego matka i właśnie dlatego skazał ją na prymitywne życie pośród Sióstr W Odosobnieniu. Kailea wpatrywała się w niego nie przekonana, spróbował więc przemówić jej do rozsądku: – Mój ojciec uważał, że to zwierzęta pełne godności i dumy, a zabicie każdego z nich wymaga znacznych umiejętności i jest czynem zaszczytnym.

– Ale... ale czy to na pewno odpowiednie zajęcie dla twego syna? – Zerknęła na Chiara, jak gdyby u niej szukając poparcia. – Ma dopiero dwa lata.

Leto zmierzwił chłopcu włosy.

– Nigdy nie jest za wcześnie na nabywanie umiejętności wojownika. Thufir także jest tego zdania. Ojciec nie cackał się ze mną, więc i ja nie chcę zepsuć Victora.

– Mam nadzieję, że wiesz, co robisz – powiedziała z westchnieniem, ale w spojrzeniu nadal pozostała wątpliwość. – W końcu jesteś księciem.

– Kochanie, czas już na naukę Victora – odezwała się Chiara, zerkając na wyłożony

kosztownymi kamieniami ręczny chron, stare richesańskie cacko, które przywiozła z Kaitain.

Victor zrezygnowany zerknął na ojca, który klepnął go po ramieniu.

– No, idź. Książę musi się nauczyć wielu rzeczy i nie zawsze jest to tak zabawne.

Chłopiec stał chwilę nachmurzony, a potem ruszył na krótkich nóżkach przez pokój. Z babcinym uśmiechem Chiara chwyciła go w ramiona i poniosła do północnego skrzydła zamku, gdzie odbywali lekcje. Krok w krok za nią szedł Swain Goire, który miał nawet na chwilę nie spuszczać oczu z Victora. Kailea pozostała w bawialni, gdzie Leto odstawił głowę byka pod ścianę, przetaił ręcznikiem szyję i napił się z kubka zimnej wody.

– Dlaczego Rhombur mówi mi o wszystkim dopiero po tym, jak wcześniej poinformuje ciebie? – Widział, że jest podenerwowana i niespokojna. – Czy to prawda, że zaczynają z tą Bene Gesserit mówić o małżeństwie?

– To jeszcze nic poważnego, ot, takie tam pogawędki. Sama zresztą wiesz, jak trudno Rhomburowi zdecydować się na cokolwiek. Może kiedyś...

Zacisnęła usta z dezaprobatą.

– Ale to tylko... Bene Gesserit. Nie jest szlachetnie urodzona.

– Bene Gesserit okazała się odpowiednia dla mego kuzyna Cesarza. – Leto nic nie wspomniał o bólu w swym sercu. – Rhombur musi sam podjąć decyzję, Kaileo. A oni z pewnością są zakochani. – Zaczęli się oddalać od siebie zaraz po narodzinach syna. A może wszystko się zaczęło od przyjazdu Chiary i tych jej plotek oraz ploteczek z cesarskiego dworu.

– Miłość? To ma decydować o małżeństwie? – Pociemniała na twarzy. – Ciekawe, co twój ojciec, Paulus Atryda, powiedziałby na takie dictum.

Leto próbował nad sobą zapanować; podszedł do drzwi i starannie je zamknął, aby nikt ich nie podsłuchał.

– Dobrze wiesz, dlaczego nie mogę cię pojąć za żonę.

Pamiętał te straszliwe kłótnie, jakie za zamkniętymi drzwiami sypialni staczali jego rodzice. Za nic nie chciał, żeby to samo powtórzyło się między nim i Kaileą.

Na jej urodziwej twarzy znać było niezadowolenie. Potrząsnęła burzą miedzianych włosów.

– Nasz syn któregoś dnia powinien zostać księciem Atrydą. Mam nadzieję, że sam niedługo dojdiesz do tego samego wniosku.

– Kaileo, dobrze wiesz, że tutaj o wszystkim decydują względy polityczne! – wybuchnął Leto. – Bardzo kocham Victora, ale jestem przywódcą jednego z Wysokich Rodów i na pierwszym miejscu muszę stawiać dobro Atrydów.

Kiedy po sesji Rady Landsraadu odbywały się towarzyskie imprezy, córki szlacheckich rodów gromadziły się wokół Leta. Atrydzi nie należeli wprawdzie do rodów szczególnie majątnych czy potężnych, ale wielkim walorem była popularność Leta, którą zaskarbił sobie przede wszystkim postawą w trakcie Przewodu Konfiskacyjnego. Był dumny z tego, czego



udało mu się dokonać dla Kaladanu... i byłby rad, gdyby doceniała to także Kailea.

– A zatem Victor pozostanie bękartem?

– Kaileo...

– Czasami nienawidzę twojego ojca za te wszystkie idiotyczne idee, którymi cię nafaszerował. Ponieważ nie mogę ci zaofiarować mocnych politycznych związków ani wielkiego majątku, więc nie nadaję się na żonę, ale ty z kolei, ponieważ jesteś księciem, możesz w każdej chwili przyzwać mnie do swego łoża.

Nigdy dotąd nie oceniała swojej sytuacji w ten sposób i był niemal pewien, że jest to efekt prowadzonych na osobności rozmów z Chiarą. Letu nie bardzo się podobała towarzyszka jego konkubiny, gdyby ją jednak oddalił, jeszcze bardziej nadwątliliby to więzi z Kaileą. Obie świetnie się czuły w swoim towarzystwie, z zapalem odgrywając ceremonialne scenki i wytworne konwersacje niczym z dworu Cesarza.

Spoglądał przez plazowe okno i myślał nad tym, jak szczęśliwi byli z Kaileą jeszcze tak niedawno.

– Mam wrażenie, że nie zasłużyłem na te słowa po tym, jak moja rodzina zrobiła wszystko, co było w jej mocy, aby pomóc tobie i twojemu bratu.

– Ach, oczywiście, serdeczne dzięki, ale przecież przyczyniło się to także do twojej sławy, czyż nie? Pomóc biednym wygnańcom z Ix, aby twoi Kaladańczycy mogli zobaczyć, jak szlachetnego mają władcę. Wspaniały księżę Atryda. Tylko że my, znający cię bliżej, dobrze wiemy, że jesteś tylko człowiekiem, a nie chodzącą legendą. Wcale nie jesteś bohaterem tych prostych ludzi, bo gdybyś nim był, to...

– Dość! Jeśli Rhombur tak chce, ma prawo pobrać się z Tessją. Byle to była jego własna decyzja. Ród Verniusów został obalony i dlatego Rhombur nie musi się już martwić o polityczne koligacje.

– A jeśli ci jego powstańcy zwyciężą? – spytała zaczepnie. – Odpowiedz szczerze. A może tak naprawdę wcale nie chcesz ich sukcesu, gdyż wtedy straciłbyś wymówkę, dlaczego nie możesz wziąć mnie za żonę?

Leto poczuł się jak rażony gromem.

– Mylisz się! – wykrzyknął, ale Kailea najwyraźniej nie przewiana wybiegła z pokoju.

Pozostawszy sam, zastanawiał się przygnębiony, jak bardzo nieniła się jego kochanka. Od lat tęsknie na nią spoglądał, na długo przedtem zanim została jego konkubina. Bardzo zbliżyli się do siebie, jednak nie na tyle, na ile ona chciała. Początkowo znajdował w niej wielką pomoc i podporę, ale wraz z tym, jak rosły jej nie zaspokojone ambicje, wspólne życie stawało się coraz trudniejsze. Zaczęła coraz częściej wystawać przed lustrem ubrana jak monarchini, chociaż nigdy nie miała nią zostać, a on nie mógł tego odmienić.

Tak czy inaczej, nad wszystkimi tymi kłopotami górowała radość z posiadania syna. Był zaskoczony tym, jak bardzo go kochał. Chciał zapewnić mu jak najlepsze życie, chciał, żeby w duchu Atrydów wyrósł na szlachetnego, honorowego człowieka. Nie mógł go wprowadzić

uczynić swym prawowitym następcą, ale chciał zadbać o wszystkie możliwe dla niego zaszczyty. I przyjdzie dzień, kiedy Victor zrozumie to, czego nie mogła pojąć jego matka.

Chłopiec siedział przy maszynie uczącej, która przedstawiała mu zadania polegające na identyfikacji kształtów i kolorów, a Kailea i Chiara rozmawiały w tym czasie półgłosem. Victor szybko naciskał guziki, uzyskując znakomite, jak na swój wiek, wyniki.

– Moja pani, musimy znaleźć sposób na to, aby przechrzyć księcia. To uparty człowiek, jak każdy mężczyzna, a teraz uroił sobie, że musi się połączyć węzłem małżeńskim z jakimś potężnym rodem. Doszły mnie słuchy, że arcyksiążę Ekaz proponuje mu jedną ze swych córek. Podejrzewam, że oferta pośrednictwa w sporze między Moritanami a Ekazami to tylko zasłona dymna dla jego prawdziwych zamierzeń.

Kailea zmrużyła złowroźnie oczy.

– Leto w przyszłym tygodniu leci na Grumman, aby rozmawiać z wicehrabią Moritanim. Tamci nie mają córek na wydaniu.

– Kochana, mówi, że tam leci, ale kto to wie, gdzie naprawdę się zjawi? Przez lata spędzone przy cesarskim dworze aż nadto się napatrzyłam na różne sprawki. Kiedy Leto otrzyma prawowitego dziedzica, twój Victor pójdzie w ką, ot, bękart jak wielu innych... A i z tobą nie będzie inaczej.

Kailea zwiesiła głowę.

– Powiedziałam mu to, co mi poradziłaś, ale chyba za bardzo na niego naciskam. – Teraz, kiedy Leto nie mógł jej słyszeć, dała upust swoim lękom i wątpliwościom. – Jestem taka przerażona, obawiam się, że po prostu nic już ode mnie nie zależy. Kiedyś byliśmy sobie tacy bliscy, a teraz to wszystko gdzieś przepadło. A taką miałam nadzieję, że to dziecko zwiąże nas ponownie.

Chiara pokiwała w zamyśleniu głową.

– Ach, kochanie, i w dawnych czasach tak bywało.

– A tymczasem za sprawą Victora problem stał się jeszcze bardziej jaskrawy i trudny. – Kailea potrząsnęła głową. – Czasami wydaje mi się, że Leto mnie nienawidzi.

– Coś uda się na to zaradzić, jeśli tylko zechcesz mi zaufać, moja pani. – Chiara uspokajającym gestem położyła dłoń na rękę Kailei. – Należy zacząć od rozmowy z twoim bratem. Niechaj Rhombur spróbuje, co mu się uda osiągnąć. – Jej głos brzmiał słodko i przekonująco. – Księżę zawsze go tak chętnie słucha.

– To może coś dać – rozpogodziła się Kailea. – A w każdym razie nie zaszkodzi spróbować.

Porozmawiała z Rhomburem, gdy w kuchni pomagał Tessji przygotować surówkę z miejscowych warzyw. Krojąc purpurową sałatę morską, przysłuchiwał się siostrze, z doprowadzającym do szaleństwa bezmyślnym uśmiechem na twarzy, jak gdyby zupełnie jej

nie rozumiał.

– Kaileo, przecież nie masz najmniejszego prawa uskarżać się na cokolwiek. Leto potraktował nas bardzo wielkodusznie i serdecznie, hm... a szczególnie ciebie.

Prychnęła z oburzeniem.

– Jak możesz tak mówić? A teraz, gdy urodził się Victor, mam o wiele więcej do stracenia.

Z jednej strony szarpał nią gniew, z drugiej – desperacja.

– Rhomburze – wtrąciła się Tessja – moim zdaniem najlepszym rozwiązaniem dla was obojga byłoby obalenie władzy Tleilaxan na Ix. Kiedy przywrócisz tam panowanie Verniusów, wszystkie problemy ujawnią się w nowej perspektywie.

Rhombur nachylił się i ucałował konkubinę w czoło.

– Masz rację, kochanie, ale chyba zgodzisz się, że teraz nie zasypiam już gruszek w popiele? Od paru lat w tajemnicy zasilamy finansowo C'taira, tyle że nadal mamy bardzo skąpe informacje o tym, jak wiedzie się powstańcom. Niedawno Hawat wysłał kolejnego szpiega, a ten nie daje znaku życia. Tak jak przypuszczaliśmy, Ix jest twardym orzechem do zgryzienia.

Ku swemu zdumieniu obie zareagowały jednakowo:

– Musisz próbować jeszcze bardziej!

*Wszechświat działa, opierając się na zasadzie ekonomii: wszystko ma swoją cenę. Płacimy za tworzenie przyszłości, płacimy za błędy przeszłości. Płacimy za każdą zmianę, jakiej dokonujemy... ale równie drogo płacimy za niechęć do zmiany.*

**z Roczników Banku Gildii,  
komentarz filozoficzny**

Wolanie powiadali, że Szej-huluda należy szanować i lękać się go, a przecież zanim Liet osiągnął szesnaście lat, wielokrotnie już jeździł na piaskalu.

Podczas pierwszej podróży w rejony bieguna południowego wraz z bratem krwi, Warrickiem, jechali na pustynnej bestii tak długo, jak wytrzymała, a potem zostawiali ją wyczerpaną i zwabiali nową, wbijając w piach dudnik i czekając z hakami stworzyciela, tak jak zawsze postępowali Wolanie.

Przez nie kończące się godziny obaj młodzieńcy w destylozonach okrytych szatami z kapturem musieli znosić żar lejący się z czystego nieba. Pod nimi chrzęścił piach, rozgrzewający się od tarcia.

Daleko przekroczywszy sześćdziesiąty stopień, wyznaczający i na północy, i na południu

granicę zamieszkaných terenów, pojechali przez Wielką Równinę, wkraczając w erg, minęli równik i dalej jechali na południe, aby dotrzeć do tajnych palmariów na wilgotnych terenach antarktycznych. Założył je i czuwał nad nimi Pardot Kynes, a stanowiło to fragment jego wielkiego snu o rozbudzeniu na Diunie bujnego życia.

Liet wpatrywał się w bezmiar piasku. Zimowy wiatr dał nad gładką jak stół powierzchnią Wielkiej Równiny. „To z pewnością horyzont wieczności”. Dzięki naukom, jakich ojciec nie skąpił mu od najmłodszych lat, rozumiał język pustyni, wyciągał wnioski z delikatnych gradacji, rozkładu skalnych wychodni, kształtu wydmy. Planetolog powiadał, że to krajobraz bez litości i wahań.

Zapadał zmierzch szóstego dnia podróży. Piasek był już tak wyczerpany, że zaczynał opuszczać się w głąb piachu mimo odchyłonego pancernego segmentu, który osłaniał wrażliwe wnętrze. Liet brodą wskazał Warrickowi niski grzebień skalny.

– Tam możemy spędzić noc.

Warrick skierował stworzenie w tamtym kierunku, potem usunęli haki z pancerza i szykowali się do skoku na piach. Ponieważ to Liet dosiadał tego piaskala, więc ruchem ręki kazał Warrickowi udać się na ogon.

– Pierwszy na górze, ostatni na dole! – zawołał.

Warrick posłuchał, najpierw cisnął pojemniki z esencją przyprawową tak, by nic im nie zagroziło przy ucieczce piaskala w głąb, potem zeskoczył, chwilę biegł, aż w końcu znieruchomiał na szczycie wydmy.

Liet uważnie obserwował, jak bestia się pogrąża, i w ostatniej chwili zeskoczył z jej grzbietu, sadząc wielkimi susami po osuwającym się piachu, jakby to było bagnisko. Ojciec uwielbiał snuć opowieści o miazmatycznych trzęsawiskach na Bela Tegeuse czy Salusa Secundzie, Liet jednak wątpił, by miejsca te miały choćby odrobinę czaru Arrakis.

Jako syn Ummy Kynesa Liet był traktowany w sposób szczególny, ale w tej podróży nie było nic szczególnego. Wołanie już od chłopięcych lat byli przyuczani do posługiwania się piaskalami i do podobnych zadań.

Gildia Kosmiczna domagała się regularnych łapówek w postaci melanzu.

Za prawdziwie królewskie wynagrodzenie Gildia tak sterowała swymi satelitami, aby nie dostrzegały one ruchów Wolan, a także podejmowanych przez nich działań mających na celu przekształcenie ekologii planety. Harkonnenowie nie mogli się nadziwić, że tak trudno uzyskać wiarygodne prognozy meteorologiczne i dokładne dane kartograficzne, ale Gildia zawsze znajdowała coś na swoje usprawiedliwienie. Wołanie bowiem nigdy nie spóźniali się z zapłatą.

Kiedy znaleźli już zakątek skalny odpowiedni do rozbicia destylomiotu, Liet wyjął upieczone przez matkę miodowe ciastka przyprawowe. Obaj siedli obok siebie i żartobliwie rozmawiali o dziewczynach z siczy, które odwiedzili.

Przez lata znajomości bracia krwi zrobili wiele rzeczy godnych zapamiętania, ale także

wiele głupich. Niekiedy bliscy byli katastrofy, ale szczęśliwie udało im się wymknąć wszystkim niebezpieczeństwom. Zdobyli na Harkonnenach wiele trofeów, ale i sami zyskali niejedną bliznę.

Jeszcze długo w nocy zaśmiewali się z tego, jak sabotowali ornitoptery Harkonnenów, jak zakradali się do składu bogatego kupca i podkradali kosztowne smakołyki (które okazały się obrzydliwe), jak na rozległej panwi gonili za mirażem, gdy szukali nieuchwytej białej solnej panwi, spełniającej życzenia. Aż w końcu znużeni zasnęli przy świetle dwóch księżyców, aby zbudzić się nazajutrz przed świtem. Czekają ich jeszcze kilka dni podróży.

Na południe od granicy piaskali, gdzie wilgoć i skały uniemożliwiały zwierzętom przemieszczanie się, Liet-Kynes i Warrick musieli dalej już iść pieszo. Dzięki instynktownemu wyczuciu kierunku, bezbłędnie wynajdywali drogę pośród kanionów i równin. Na dnie starych wąwozów znajdowali stare, wyschnięte łożyska potoków. Wrażliwe wolańskie nosy wyczuwały wzrost wilgotności powietrza.

Noc spędzili w siczy Dziesięciu Plemion, gdzie zwierciadła słoneczne topiły zmarzlinę w glebie i dostarczały w ten sposób wody potrzebnej roślinom. Obok drzewek owocowych rosły też karłowate palmy.

Warrick przyglądał się temu z szerokim uśmiechem na twarzy. Wyciągnął zatyczki nosowe i z zachwytem wdychał powietrze.

– Liet, powąchaj tylko. Tutaj nawet powietrze jest pełne życia. – Ściszył głos i powiedział: – Twój ojciec jest wielkim człowiekiem.

Na twarzach tych, którzy opiekowali się roślinami, malował się ekstatyczny zachwyt, gdy nabożnie wpatrywali się w efekt swych wysiłków. Dla nich marzenie Ummy Kynesa przestało już być abstrakcyjnym wyobrażeniem, a stało się namacalną przyszłością.

Miejscowi Wolanie z czcią odnosili się do syna planetologa. Niektórzy zbliżali się tylko po to, aby dotknąć jego samego lub chociażby destylozonu, gdyż dzięki temu mieli poczucie, że zbliżyli się do samego proroka.

– „A pustynia uraduje się i zakwitnie niczym róża”! – zawołał któryś ze starców, cytując jedną z mądrości zensunnickich Wędrowców.

Inni podjęli rytualną pieśń:

– Co jest cenniejsze od ziarna?

– Woda, dzięki której ono wzrasta.

– Co jest cenniejsze od skały?

– Żyzna gleba, która ją pokrywa.

I tak ciągnęli dalej, ale Liet nie czuł się dobrze. Musieli dopełnić obowiązków grzeczności, wypić kawę z naibem, ale zaraz po przebudzeniu chcieli ruszać w dalszą drogę.

Mieszkańcy Dziesięciu Plemion dali im na drogę ciepłe odzienie, którego dotychczas nie potrzebowali. Pożegnali się i oddalili, niosąc ze sobą drogocenny ładunek koncentratu

przyprawowego.

Kiedy wreszcie ujrzeli legendarną warownię kupca wodnego Rondo Tueka, wydała im się raczej zapuszczonym magazynem przemysłowym niż lśniącym pałacem wśród lodowych gór. Budynek był kwadratowy i odchodziło od niego wiele rur i rowów. Maszyny drażące, przebijając się przez twardą jak kamień glebę, wszędzie dookoła rozrzuciły bryły i grudy. Jeśli nawet był tu kiedyś śnieg, teraz skrył się pod grubą warstwą kurzu i roztrzaskanych kamieni. Pozyskiwanie wody było dość prostą operacją: należało przerzucić wielką masę ziemi, wyparowując z niej zamrożoną wodę.

Liet podniósł zmarznięty kawałek i polizał go, wyczuwając sól, lód i żwir. Wiedział, że jest tu woda, ale wydawała się tak niedostępna, jakby chodziło o inną planetę. Poszli w kierunku wejścia, obciążeni pojemnikami z przedestylowaną przyprawą.

Budynek wzniesiony był z bloków pseudobetonu, które pochodziły z odpadów powstałych przy wydobywaniu wody. Ściany, przywodzące na myśl mury fortecy, nie miały żadnych zdobień, naszpikowane jedynie oknami oraz kolektorami słonecznymi. Z pieców topiących lód bił w niebo brązowy dym, który przesycił powietrze pyłem.

Rondo Tuek miał wspianą rezydencję w Kartadze, ale powiadano, że bardzo rzadko ją odwiedzał. Czerpał wielkie zyski z wydobywania wody na południu i sprzedawania jej potem w miastach i wsiach na północy, jednak niekorzystna pogoda na półkuli południowej – a zwłaszcza nieprzewidywalne burze piaskowe – sprawiała, że zniszczeniu lub poważnej awarii ulegała jedna maszyna na cztery, dlatego też Tuek nieustannie musiał dokupywać aparaturę i uzupełniać załogę. Zarabiał na tym niemało, ale niewielu innych kupców chciało ponosić takie ryzyko. Ogromne znaczenie miały kontakty Tueka z przemysłowcami, Gildią i Wolanami. Wszędzie powtarzano plotki, że w istocie cały ten interes z wodą jest tylko przykrywką dla prawdziwie zyskownych interesów, jakie Tuek robił z przemysłowcami.

Równym krokiem Liet i Warrick minęli hałaśliwe maszyny i robotników, kierując się ku głównej bramie. Tuek najczęściej korzystał z usług najemnych pracowników, którzy nigdy nie zjawiali się na północy. W ten sposób znacznie łatwiej było trzymać różne sprawy w sekrecie.

Liet był wprawdzie mniej rośliwy od Warricka, ale to on przewodził dwójce. Robotnik w zielonym kombinezonie oraz ocieplanych rękawicach przeszedł obok, spoglądając tylko z ukosa.

– Jesteśmy wysłannikami Wolan do Rondo Tueka – zatrzymał go Liet. – Nazywam się Liet-Kynes, jestem synem Pardota Kynesa, a to jest Warrick...

Robotnik zrobił nieokreślony ruch ręką.

– Jest gdzieś tam w środku. Sami musicie go znaleźć. – Po czym ruszył w kierunku jednego z urządzeń, wbijającego się w pokrytą zeskorpiałym brudem lodową skałę.

Zaskoczony Liet spojrzał na przyjaciela, ten jednak z uśmiechem klepnął go w ramię.

– Nie ma czasu na ceremonialne powitania. Chodź, poszukamy Tueka.

Weszli do budynku, starając się zachowywać tak, jakby odwiedzali go codziennie. Powietrze było chłodne, chociaż w ścianach i narożnikach rozmieszczono grzejniki. Zapytani pracownicy skierowali ich w jeden korytarz, a potem w następny i wreszcie, kiedy poczuli się zagubieni w tym labiryncie przejść i pomieszczeń, nagle wyszedł im naprzeciw niski, barczysty mężczyzna, wymachujący rękami.

– Trudno przeoczyć w takim miejscu dwóch Wolan – powiedział. – Jestem Rondo Tuek. Chodźcie do mojego gabinetu. – Niski mężczyzna zerknął za ich plecy. – I czasem nie zapomnijcie swoich paczuszek.

Liet wcześniej widział tego człowieka tylko raz, podczas bankietu wydanego przez Fenringa w rezydencji w Arrakin. Tuek miał szeroko rozstawione szare oczy i brodę tak niepozorną, że twarz wydawała się niemal kwadratowa. Rudawe włosy na szczycie czaszki były wyraźnie przerzedzone, na skroniach jednak sterczały bujnymi kłaczkami. Ze swą niezgrabną figurą i dziwacznym chodem wydawał się antytezą Wolanina.

Tuek ruszył żwawo przed siebie, a Liet i Warrick usiłovali za nim nadążyć, niosąc porcje przyprawy. Wszystko tu było szare i pozbawione wyrazu, co raziło Lieta przyzwyczajonego do wystroju sicz Wolan, którzy zdobili wnętrza kolorowymi dywanami i matami, a także posążkami rzeźbionymi w piaskowcu. Sufity pokryte były geometrycznymi wzorami, czasami inkrustowane mozaikami.

Tuek zatrzymał się przed ścianą równie nieefektywną jak wszystkie inne, rozejrzał się, czy są w pobliżu jacyś robotnicy, potem przyłożył dłoń do czytnika, a kiedy ściana z sykiem się rozsunała, za nią ukazało się wnętrze bardziej okazałe od wszystkich, jakie Liet potrafił sobie wyobrazić.

We wnękach stały kryształowe karafki z brandy kirana i winami kaladańskimi; wysadzany drogimi kamieniami żyrandol mienił się w świetle, a szkarłatne kotary dawały wrażenie przytulności.

– Nareszcie możemy zobaczyć ukryte skarby kupca wodnego – powiedział Warrick.

Wokół błyszczącego stołu, na którym umieszczono interesujące hologramy, rozmieszczone były wielkie i miękkie fotele, w lustrach na suficie odbijały się korynckie kolumny z wydobywanego na Hagalu alabastru, świecącego od wewnątrz mikroskopijnymi ognikami.

– Gildia dostarcza na Arrakis niewiele zbytkownych przedmiotów: Harkonnenowie za nimi nie przepadają, a inni nie mogą sobie na nie pozwolić. – Tuek wzruszył rozłożystymi ramionami. – Niełatwo też załatwić transport w te odludne okolice. – Uniósł krzaczaste brwi i starannie zasunął za sobą ścianę. – Ale dzięki mojemu porozumieniu z waszymi ludźmi, Gildia umieszcza czasem statki na orbicie nadbiegunowej, a wtedy lichtugi zwożą mi tutaj wszystko, czego tylko zapagnę. A wszystko za waszą miesięczną przyprawową... zapłatę.

Tuek pieszczotliwym gestem poklepał pojemniki.

– My nazywamy ją przyprawową łapówką – powiedział Liet, ale Tuek nie wydawał się

szczególnie dotknięty.

– Semantyka, mój chłopcze. Czysta esencja melanżowa, którą wy, Wolanie, zdobywacie na głębokiej pustyni, jest bez porównania cenniejsza od wszystkiego, co Harkonnenom udaje się zdobyć na północy. Gildia wykorzystuje esencję do swoich celów, ale trudno nawet pojąć, jaki z tego pożytek mają Nawigatorzy. – Znowu wzruszył ramionami i zabębnił palcami po notatniku. – Notuję, że dostaliśmy waszą zapłatę za ten miesiąc. Wydałem już polecenie memu kwatermistrzowi, żeby przed wyjazdem zaopatrzył was we wszystko.

Lietowi bardzo odpowiadało takie rzeczowe, konkretne podejście. Nie chciał być tutaj ani chwili dłużej niż to konieczne, i chociaż ludzie z miasta bardzo by podziwiali bogactwa i luksusy, Lietowi jednak takie rzeczy zupełnie nie imponowały.

Podobnie jak ojciec wołał pustynię, z którą się zżył i do której należał.

Liet przypuszczał, że gdyby się bardzo postarali, dotarliby do siczy Dziesięciu Plemion przed zapadnięciem nocy. Marzył o ciepłe słońca, w którym rozgrzałyby zziębnięte dłonie.

Tymczasem zimno zrobiło na Warricku wielkie wrażenie. Stał w rozkroku, z szeroko rozłożonymi rękami, i zawołał:

– Ej, Liet, czułeś już kiedyś coś podobnego? – Potarł policzek. – Skóra jest taka, jakby miała popękać. – Wciągnął głęboko powietrze i spojrzał pod nogi. – I czuje się tutaj wodę, chociaż jest związana. – Impulsywny i pełen zaciekawienia, nastawał na przyjaciela, aby się nie spieszył. – Zrobiliśmy, co do nas należało, Liet. Nie musimy tak od razu wracać.

Liet spojrzał na niego ze zdziwieniem.

– O co ci chodzi?

– To tutaj są legendarne góry lodowe. Widzieliśmy już palmaria twojego ojca i cuda, które tam wyczarował, a teraz chciałbym jeszcze poczuć lód pod nogami. Wspinanie się po lodowcu to jak wchodzenie po schodach ze złota.

– Nie zobaczysz czystego lodu. Cała wilgoć jest zmieszana z pyłem i ziemią. – Widząc jednak rozgoryczenie na twarzy przyjaciela, Liet postanowił ustąpić. – Właściwie masz rację. Nie musimy się spieszyć. – Wyprawa będzie na pewno bezpieczniejsza niż ich napady na Harkonnenów. – W porządku, chodźmy na lodowiec.

Wyruszyli przy wiecznym półmroku bieguna południowego. Dla kogoś nawykłego do widoków pustyni tundra miała surowe piękno.

Zaczęli się wspinać, a kiedy spojrzeli za siebie na kopalnię wody Tueka, ledwie ją dostrzegli przez brązową zawiesinę pyłu. Odłupywali kawałki skalne i jeśli znajdowali w nich żyły lodu, wsysali się w zmarznięte bryły, czując gorzki, alkaliczny smak.

Warrick podążał przodem, rozkoszując się poczuciem wolności. Jako Wolanie nauczeni byli nieustannej czujności, ale na południowym biegunie można było nie lękać się łowców Harkonnenów. Tutaj powinni być bezpieczni. Prawdopodobnie.

Liet wpatrywał się w usiany grudkami teren i nagle coś przykuło jego uwagę.



– Warrick, spójrz tutaj.

Bez trudu można było rozpoznać ślad stopy wyciśnięty w glebie rozmięklej w letniej porze. Kiedy zaczęli się dokładniej rozglądać, dostrzegli inne ślady, które ktoś metodycznie starał się zatrzeć.

– Kto tutaj był?

– I dlaczego się chowa? – dodał Warrick, spoglądając na przyjaciela. – Przecież jesteśmy już daleko od Tueka.

Liet wciągnął powietrze nosem i starannie przyjrzał się skałom.

Może to poszukiwacze chcący znaleźć czystszy lód.

– To po co w takim razie zacierają ślady?

Liet popatrzył w kierunku wskazywanym przez ślady; poszarpany grzebień skalny upstrzony zamrzniętym błotem. Obserwował długo i dokładnie, aż wreszcie mruknął:

– Coś tu jest nie w porządku.

Z wyteżoną czujnością dał znak Warrickowi, żeby poruszał się jak najciszej. Obaj od dzieciństwa nauczyli się przemieszczać po pustyni bez dźwięków i śladów. Liet nadal nie mógł się zorientować, co go właściwie zaniepokoiło, ale poczucie zagrożenia wzrastało. Chociaż mróz osłabiał nieco działanie zmysłów, kroczyli przed siebie, wyteżając uwagę. Wolańskie oczy szybko się zorientowały, że jest to często przemierzana droga.

Obaj starali się być niewidoczni, zlać się z krajobrazem, zachowywać w sposób do niego pasujący. Nagle oczy Lieta zatrzymały się na delikatnym odbarwieniu skały, plamie zbyt regularnej, aby była naturalna. Zręczny kamuflaż, ale nie idealny.

Były to wrota odpowiednio wielkie, aby pomieścić statek kosmiczny. Tajny magazyn Tueka? Gildii? Przemysłowców?

Liet znieruchomiał, ale w tym samym momencie tuż obok niego otwarło się w ścianie inne wejście, tak dobrze zamaskowane, że w ogóle nie zwróciło ich uwagi. Na ścieżkę wyskoczyło trzech mężczyzn, muskularnych i ubranych w przypadkowo skompletowaną odzież. Wszyscy byli uzbrojeni.

– Ładnie się skradacie, młodzieńcy – powiedział najwyższy z mężczyzn o błyszczących oczach i lśniącej łysinie. Jego ciemny wąs pokrywał górną wargę i opadał na policzki. – Zapomnieliście tylko o tym, że w tak chłodnym powietrzu zdradza was para oddechów, prawda?

Zdecydowanym ruchem lufy nakazał chłopakom, by weszli do skalnego tunelu. Warrick położył rękę na uchwycie krysnoża i spojrzał pytająco na Lieta. W razie potrzeby staną do walki, nawzajem ubezpieczając swoje plecy. Liet jednak pokręcił głową. To nie byli ludzie Harkonnenów; z niektórych miejsc na mundurach insygnia były pozrywane. Łysy spojrzał na jednego ze swych towarzyszy.

– Trzeba poprawić nasz kamuflaż.

– Czy jesteśmy waszymi jeńcami? – upewnił się Liet, spoglądając znacząco na

wymierzoną w nich broń.

– Chcę się dowiedzieć, na czym polegał nasz błąd, że rozpoznaliście maskowanie. Nazywam się Dominik Vernius i jesteście moimi gośćmi... przynajmniej na razie.

*Wraz ze wzrostem różnorodności i bogactwa życia, zwiększa się też ilość dostępnych dlań nisz. Powstaje zawila sieć producentów i konsumentów, jedzących i zjadanych, współpracowników i współzawodników.*

**Pardot Kynes,  
z raportu do Cesarza Szaddama IV**

Lady Margot tęskniła za Hasimirem Fenringiem, który przy wszystkich swoich wadach, nawet mimo krwi, która splamiła jego ręce, potrafił być dla niej naprawdę cudowny. Teraz wraz z baronem Harkonnenem wyprawił się na pustynię, aby dokonać inspekcji żniwiarek przyprawowych, gdyż dostał upomnienie od Szaddama IV, że dostawy melanzu są zdecydowanie za małe.

Akceptując rolę, która przypadła mu w udziale, jej mąż popełnił w imieniu Cesarza wiele okrucieństw i podejrzewała, że maczał też palce w śmierci Elrooda IX, niemniej jednak nauki pobierane w zakonie kazały jej zważać na rezultaty i konsekwencje. Hasimir Fenring wiedział, jak zdobywać to, czego mu było potrzeba, i za to Margot go podziwiała.

Ilekcio wchodziła do stworzonej dla niej przez męża oranżerii, jej serce zawsze przepełniała wdzięczność. Odziana w wygodną, a zarazem bardzo wymyślną szatę, która z każdą godziną zmieniała barwę, Margot przyłożyła dłoń do zamka papilarnego hermetycznej grodzi. Wchodząc przez zdobione mozaikami okrągłe drzwi, z rozkoszą zaciągnęła się bogatym w zapachy powietrzem. Ze ścian popłynęła delikatna muzyka balisety i fortepianu.

Wnętrze zalane było światłem słonecznego popołudnia; filtry w szybach biały blask słońca Arrakis upodabniały do warunków Kaitain. Pod wpływem nadmuchiwanego powietrza grube liście powiewały niczym chorągiewki wiwatujących ludzi. W ciągu czterech lat zasadzone tu rośliny rozwinęły się o wiele bujniej, niż można się było spodziewać.

W świecie, gdzie każda kropla wody była drogocenna, gdzie żebracy przemierzali ulice, błagając o wodę wyciśniętą ze zużytej szmaty, gdzie różnobarwnie ubrani sprzedawcy wody żądali niebywałych cen za mały łyk, roślinny ogród był prawdziwym zbytkiem. Jak jednak powtarzał jej mąż, cesarski nadzorca nad dostawami przyprawy mógł sobie pozwolić na takie szaleństwo.

Głęboko w swej przeszłości, wśród dostępnych dla niej dawnych żywotów, odkryła niewiastę z pobożnej rodziny muzułmańskiej, nazwaną Fatimą na cześć jedynej córki

Mahometa. Jej mąż był dostatecznie bogaty, aby pozwolić sobie na trzy żony, z których każda miała własną służbę i własny dziedziniec. Po ceremonii zaślubin Fatima nigdy nie wyszła z domu, podobnie jak pozostałe małżonki. Jej całym światem był dziedziniec z pięknymi roślinami i kwiatami oraz kwadratem nieba nad głową. Woda w fontannie pośrodku stanowiła jakby akompaniament do muzyki wydobywanej ze strun. W kielichach kwiatowych urządzały sobie ucztę motyle i kolibry.

I teraz, po niezliczonych pokoleniach, na planecie krążącej wokół gwiazdy tak odległej, że owa pradawna kobieta nie potrafiłaby sobie tego wyobrazić, Margot Fenring znalazła się w podobnym miejscu: zamkniętym, pięknym, pełnym roślinności.

Mechaniczny serwok spryskiwał powietrze, dostarczając wilgoci drzewkom, paprociom i kwiatom. Czowała chłód na skórze, z przyjemnością wdychała mokre powietrze. Cóż za rozkosz, po tylu latach spędzonych w suszy i upale. Dotykała liści, wciskała palec w wilgotną glebę obok łądyg. Ani śladu wysysających soki pasożytów, które rośliny te przyniosły ze sobą z tropikalnej planety należącej do Ginazów.

Kiedy nachylała się nad jedną z łądyg, z Pamięci Innych zaszepotała do niej Wielebna Matka Biana. Nadzorczyni upraw w zakonnej szkole żyjąca dwa stulecia wcześniej dzieliła się z Margot swą ogrodniczą wiedzą, a zarazem rozkoszowała swą ulubioną melodią, która właśnie rozbrzmiewała w oranżerii.

Nawet jednak bez pomocy Biany Margot bardzo dużo wiedziała o roślinach i ich pielęgnacji. W ogrodzie znalazły się próbki sprowadzone ze wszystkich stron Cesarstwa; traktowała je prawie jak dzieci, których nie mogła mieć z mężem – genetycznym eunuchem. Z zachwytem przypatrywała się, jak w tym wrogim świecie rośliny dojrzewają i kwitną.

Także jej mąż potrafił stawiać czoło trudnym sytuacjom.

Opuszkami palców przeciągnęła po długim, jedwabistym liściu. „Obronię cię”.

Margot straciła rachubę czasu, nie pamiętała nawet o porze posiłków. W razie potrzeby każda Bene Gesserit potrafiła obchodzić się bez jedzenia przez tydzień. A ona tak dobrze się czuła, pozostając tylko z roślinami, swymi myślami i Pamięcią Innych, doświadczeniem sióstr dawno już nieżyjących.

Usiadła koło małej fontanny w centrum pomieszczenia. Na ławce obok umieściła filoróżę i zamknąwszy oczy, pogrążyła się w medytacji.

Kiedy wróciła do rzeczywistości, słońce już zaczynało się chować za horyzontem, kładąc na wschód długie cienie. Zmieniło się także wewnętrzne światło oranżerii. Cudownie odprężona, Margot zaniósła filoróżę na stół i zaczęła przesadzać do większej doniczki, nucąc przy tym melodię Biany.

Odwracając się, ze zdumieniem zobaczyła stojącego dwa metry od niej mężczyznę o wysuszonej twarzy. Wpatrywał się w nią swymi zupełnie niebieskimi oczami i wydał się jej... dziwnie znajomy.

Wolanin!

Jak udało mu się wejść mimo wszystkich urządzeń ostrzegawczych, sygnalizatorów i zamka reagującego tylko na jej dłoń? Nawet jej wyostrzona czujność Bene Gesserit nie uprzedziła o jego nadejściu.

Wypuściła z ręki doniczkę z kwiatem i płynnie przeszła do postawy bojowej; rozluźniona, gotowa do zadania ciosu nogą, który wydobywał na wierzch wnętrzości ofiary.

– Słyszeliśmy o waszych magicznych metodach walki – powiedział mężczyzna, nie ruszając się – ale wiemy też, że nie korzystacie z nich lekkomyślnie. – Margot zrobiła długi, powolny wdech. Jak się zorientował? – Otrzymaliśmy twoją wiadomość. Chciałaś rozmawiać z kimś z nas.

Teraz przypomniała sobie; podczas jednej z podróży widziała go w Rutii, wiosce leżącej na skraju pustyni. Był samozwańcym kapłanem, który rozdelał błogosławieństwa. Kiedy zauważył, że Margot przypatruje mu się, szybko umilkł i zniknął.

Rozległ się szelest liści i obok mężczyzny pojawiła się kobieta, Wolanka, także już znana Margot. Szadouta Mapes, ochmistrzyni, posiwała, o twarzy zniszczonej przez słońce i wiatr. Także ona była odziana w strój podróży.

– Wiele wody się tu marnuje, moja pani – powiedziała ochrypłym głosem Szadouta. – Trwonisz tu bogactwo innych światów. To nie jest wolański sposób.

– Nie jestem Wolanką – odpowiedziała stanowczo Margot, chociaż nie sięgała jeszcze po właściwą Bene Gesserit moc Głosu. Miała do dyspozycji takie oręża, jakich nawet sobie nie wyobrażali ci prości ludzie pustyni. – Czego chcecie?

– Widziałas mnie już wcześniej – rzekł mężczyzna.

– Jesteś kapłanem.

– Jestem akolitą, jednym z pomocników sajjadiny – odparł, stojąc bez ruchu.

„Sajjadina!” Margot poczuła, że silniej bije jej serce. Słowo to oznaczało kobietą, której pozycja była podobna do Wielebnej Matki u Bene Gesserit. Terminu tego używały zakonnice działające w ramach Missionaria Protectiva. I nagle wszystko stało się jasne, tyle że tak dawno wypowiedziała swoją prośbę pod adresem Wolan, że niemal umknęło jej to z pamięci.

– Usłyszeliście moją wiadomość, mój szeptany przekaz.

Mężczyzna pochylił głowę.

– Rzekłaś, że masz informacje o Lisanie al-Gaibie.

Imię to wypowiedziane zostało z najwyższym szacunkiem.

– I mam. Dlatego muszę rozmawiać z waszą Wielebną Matką.

Powoli nachyliła się nad upuszczoną doniczką. Pozbierała kawałki i ziemię, a kwiat zasadziła na nowo. Nie powinien na tym ucierpieć.

– Sajjadino z innego świata – odezwała się Mapes – musisz zatem udać się z nami.

Margot powoli otarła ręce, a chociaż starała się nie dać po sobie nic poznać, czuła radosne podniecenie. Być może nareszcie uzyska informacje, które będzie mogła przekazać Matce Przełożonej Harishce, może wreszcie się dowie, co się stało z zaginionymi siostrami, które

przed stu laty zniknęły pośród pustyń Arrakis.

Śladem obojga Wolan ruszyła w noc.

*Nie wystarczy wiedza o tym, co powinno się zrobić.*

## **książę Rhombur Vernius**

Fale łagodnie chlupotały o łódkę z plecionki, a ich spokój kontrastował z myślami księcia.

Leto sięgnął za burtę i chwycił gęsty kłęb liści niesiony przez wodę, a potem wykładanym klejnotami nożem, który wydobył ze złotej pochwy, odciął od dołu dojrzały melon paradan.

– Ej, Rhomburze! Masz, skosztuj.

Przyjaciel patrzył z niedowierzaniem.

– Hm, czy to cesarski nóż? Ten, który Szaddam dał ci po Przewodzie Konfiskacyjnym?

Leto wzruszył ramionami.

– Użyteczność jest ważniejsza od pompy. Mam nadzieję, że mój cesarski kuzyn nie będzie miałby mi tego za złe.

Rhombur przyjął ociekający wodą owoc i obejrzał go w przymglonym świetle słonecznym.

– Kailea byłaby przerażona, sam dobrze wiesz. Ona umieściłaby prezent od Cesarza w najbardziej eksponowanym miejscu.

– Nie ma strachu, nie pali się do wyjazdu na ryby.

Ponieważ Rhombur siedział z melonem w dłoni, Leto zabrał mu go i ostrzem otrzymanego od Szaddama noża obrał z twardej skóry.

– Choćbyś potrzywał go przez godzinę na słońcu i tak nie stanie w ogniu – powiedział ironicznie, robiąc aluzję do ich dawnej przygody z klejnotami koralowymi, kiedy spłonęła jego ulubiona łódka, oni zaś o mało nie zginęli.

– Kiepski dowcip – mruknął Rhombur, który zawinił w tamtym przypadku.

Leto podniósł nóż i wpatrzył się w światło lśniące na klindze.

– Wiesz, miałem go ze sobą, gdy udałem się z oficjalną wizytą do wicehrabiego Moritaniego. Chyba zrobił na nim wrażenie.

– No, nie wiem, czy jemu łatwo zaimponować – mruknął sceptycznie Rhombur. – Cesarz wycofał już swoich sardaukarów, wszystko ucichło. Hm, czy myślisz, że to już koniec tej wendety pomiędzy Moritaniami i Ekazami?

– Wątpię. Przez cały czas na Grumman czułem jakieś dziwne napięcie. Wydaje mi się, że wicehrabia chce tylko zyskać na czasie.

– A ty pakujesz się między młot a kowadło – powiedział Rhombur, odkroił plaster melona swoim nożem, skosztował, skrzywił się i wypluł. – Jeszcze za kwaśny.

Leto zaśmiał się z miny przyjaciela, wytarł ręce i nóż w mały ręcznik, a potem wszedł do kabiny i uruchomił silnik.

– Na szczęście nie wszystkie obowiązki są tak nieprzyjemne. Musimy ruszać, obiecałem, że w południe zjawię się w porcie przy załadunku pierwszych tegorocznych zbiorów ryżu pundi.

– Ach, te powinności władcy! – mruknął z komicznym westchnieniem Rhombur. – Zajrzyj do chłodziarki, znajdziesz tam niespodziankę. Wiesz, to ciemne piwo, które ci tak smakuje.

– Masz na myśli to piwo Harkonnenów?

– Tutaj, gdzie nikt nas nie widzi, możesz je pić spokojnie. Dostałem je od przemytników, ale oczywiście twoje imię nie padło.

– Rhomburze Vernius z Ix, jestem wstrząśnięty, słysząc, że zadajesz się z przemytnikami i malwersantami!

– A w jaki sposób mam zasilać swoich zwolenników na Ix, jak ci się wydaje? Dotąd byłem dosyć nieudolny, ale ostatnio udało mi się nawiązać kontakty z naprawdę interesującymi ludźmi. – Odpieczętował chłodzący pojemnik i wydobyl z niego pozbawione naklejek butelki. – Hm, są bardzo pomysłowi, zaręczam ci.

Leto wyprowadził korakla na środek rzeki, aby wartki nurt wspomógł pracę silników. Thufir Hawat z pewnością miałby mu za złe, że oddalił się tak bardzo tylko w towarzystwie Rhombura.

– No cóż, jeśli mi zaręczysz, że Harkonnenowie nic na tym nie zarabiają, mogę się uraczyć butelką czy dwiema.

Rhombur nacisnął szczyty butelek, aby pokazały się słomki przyprawowe.

– Nie mają z tego ani grosza. Zostały ponoć skradzione podczas małego zamieszania w browarze. Wysiadło zasilanie i na salę przypadkiem zabłąkało się stado bydła z Giedi, które narobiło mnóstwo zniszczeń. Okropne marnotrawstwo. Tyle butelek rozbitych, że trudno policzyć.

Stojący za pulpitem sterowniczym Leto zatrzymał wędrującą do ust rękę z piwem.

– A skąd wiesz, że nie jest czymś skażone? Na prywatnej łódce nie mam wykrywacza trucizn.

– To była partia przeznaczona dla samego barona. Wystarczy spojrzeć na jego cielsko, żeby się zorientować, ile on musi tego żłopać.

– No cóż, jeśli jest dobre dla barona Harkonnena, to – salud. Leto pociągnął łyk gorzkiego portera, filtrowanego przez kryształowy melanzu.

Rhombur siedział na ławce za Letem i patrzył, jak ten omija skalistą ostrogę i kieruje się ku rozległej delcie, gdzie dopływały barki z ryżem pundi. Następca tronu Ix, jak na razie, nie

spróbował piwa.

– Mówiąc szczerze, to łapówka. Zależy mi na twojej przysłudze, a nawet dwóch.

– Dwie przysługi za jedną butelkę piwa? – droczył się Leto.

– Hm, znajdują się jeszcze jakieś. Posłuchaj, uważam cię za swego najlepszego przyjaciela i nawet jeśli mi odmówisz, potraktuję to ze zrozumieniem.

– Czy nadal będziesz uważał mnie za przyjaciela, jeśli odpowiem odmownie na obie prośby? – sondował Leto.

Rhombur obracał butelkę w dłoni.

– Chciałbym uczynić coś więcej dla swojej ojczyzny, coś ważniejszego.

– Potrzebujesz więcej pieniędzy? W jaki jeszcze sposób mógłbym ci pomóc?

– Nie pieniędzy, a w każdym razie to nie o nie przede wszystkim chodzi. Dostawami i zachętami pomagam C'tairowi Pilru od czterech lat, kiedy po raz pierwszy nawiązał ze mną kontakt. – Rhombur zapatrzył się przed siebie, marszcząc czoło. – Otrzymuję informacje, że powstańcy są zdziesiątkowani, jest ich coraz mniej, a ja obawiam się, że jest nawet gorzej, niż on donosi. Chyba już dość tych zakulisowych gier. – Obdarzył przyjaciela spojrzeniem, jakie tamten widział u Dominika Verniusa w trakcie najazdu. – Należy dać im coś naprawdę potężnego, żeby mieli jakieś szanse z prześladowcami.

Leto pociągnął długi łyk, otarł usta i powiedział:

– Nigdy tego nie ukrywałem, że aby pomóc ci odzyskać to, co ci się prawnie należy, zrobię wszystko, byle tylko mieściło się w granicach zdrowego rozsądku. Co konkretnie masz na myśli?

– Chcę im przesłać materiały wybuchowe. Plastry plazowe są małe i lekkie, więc łatwe do ukrycia w transporcie.

– Ile?

– Tysiąc – odparł bez wahania Rhombur.

Leto cicho gwizdnał.

– Sporo będzie zniszczeń.

– Hm, i właśnie o to chodzi.

Leto uważnie przeprowadził łódkę obok niewielkiej katarakty; przed sobą widzieli już małe statki i kolorowe latawce nad przystanią.

– A jak chcesz to dostarczyć na Ix? Czy ci twoi znajomi przemysłowcy mogą zapewnić, że ładunek dotrze do C'taira i nie zostanie przechwycony?

– Tleilaxanie zawładnęli moją planetą szesnaście lat temu. Od tego czasu musieli podjąć normalną wymianę handlową i zgodzić się na pośrednictwo Gildii. Musieli też zrezygnować z wielu ze swych obostrzeń, gdyż bardzo zależy im na surowcach i urządzeniach, których sami nie wyrabiają. Wszystkie statki transportowe lądują na skalistych półkach w kanionie portowym. Wielkie jaskinie są dostatecznie pojemne na przyjęcie nawet statku bojowego, a liczne tunele łączą z podziemnymi miastami. Niektórzy z kapitanów fregat pracowali

niegdyś dla mojego ojca i to od nich wyszła propozycja... hm, pomocy.

Leto myślał o earlu Ix, łysym i ambitnym, który wraz z Paulusem Atrydą walczył podczas rewolty na Ekazie. Dzięki sławie, jaka otaczała jego ojca, bohatera wojennego, Rhombur mógł mieć liczniejsze kontakty, niż Leto się spodziewał.

– Właściwe pojemniki odpowiednio oznaczmy i damy znać C'tairowi. Jestem przekonany, że uda się przemknąć przez wszystkie kontrole. – Z nagłą irytacją Rhombur uderzył pięścią w ławkę. – Na szkarłatne piekła, Leto! Muszę coś zrobić! Niemal od połowy życia nie wolno mi postawić nogi na ojczystej planecie!

– Gdyby to chodziło o kogoś innego... – Leto pokręcił głową. – Ale absolutnie nie może się wydać, że Atrydzi są w to jakoś uwikłani. – Westchnął. – Ale zaraz, chwilę, a jaka jest ta druga prośba?

Teraz Rhombur był już stropiony nie na żarty.

– Naprawdę, nie bardzo wiem, jakich użyć słów. Wszystko wygląda na jakieś sztuczki i manipulacje. Ale muszę ci przecież powiedzieć... – Westchnął głęboko. – Chodzi o moją siostrę.

Leto, który miał właśnie otworzyć drugą butelkę piwa, znieruchomiał, a twarz mu pociemniała.

– Są takie sprawy osobiste, o których nie będę rozmawiał nawet z tobą, Rhomburze.

Vernius uśmiechnął się przeprasząco. Wiele się nauczył od czasu, gdy jego konkubina i bliską przyjaciółką została Bene Gesserit.

– Wasze drogi się rozeszły, chociaż nie ma w tym niczyjej winy. Tak się czasami zdarza. Wiem, że nadal bardzo się przejmujesz Kaileą i naprawdę nie musisz zaprzeczać. Zresztą sporo zrobiła dla Atrydów, pomagała usprawnić księgowość i handel. Ojciec zawsze powtarzał, że z całej rodziny ona ma największą smykałkę do interesów.

– Kiedyś mogłem liczyć na jej dobrą radę w każdej sytuacji – przyznał Leto ze smutnym uśmiechem. – Ale od czasu, gdy zjawiała się Chiara, chce coraz więcej luksusów i błyskotek. I nawet gdy je otrzymuję, wydaje się niezadowolona. To... to nie jest już ta osoba, w której się zakochałem.

Rhombur napił się piwa i otarł usta z piany.

– Może przestałeś dawać jej szansę, żeby wykorzystała swoje talenty. Może powiedz jej, żeby zajęła się paradanami, ryżem pundi czy klejnotami koralowymi – i sam zobaczysz, czy coś to zmieni. Ileż ona by osiągnęła, gdyby... gdyby nie ta katastrofa z Tleilaxanami.

Leto odstawił na bok butelkę.

– Mówisz to za jej namową?

– Leto, moja siostra to naprawdę niezwykła osoba. Proszę cię o to jako twój przyjaciel, a jej brat. – Rhombur przeciągnął ręką po włosach. – Pozwól jej być kimś więcej niż tylko konkubina.

Leto wpatrywał się w Verniusa zmrużonymi oczami, a w całej jego postaci wyczuwało



się teraz chłód i oficjalność.

– Czy zatem oczekujesz ode mnie, że ją poślubię?

Nie zdarzyło się jeszcze, by Rhombur wykorzystywał ich przyjaźń jako środek nacisku, a Leto nigdy nie przypuszczał, by mógł czegokolwiek odmówić przyjacielowi. Ale to...

Rhombur przygryzł wargę i wolno pokiwał głową.

– Hm, tak... Chyba właśnie o to cię proszę.

Zapadła długa cisza, łódka kołysała się rytmicznie. Wielka barka sunęła przez ujście rzeki ku przystani.

Z kłębowiska myśli wyłoniła się nagle decyzja. Leto wypuścił powietrze przez nos i powiedział:

– Zgadzam się tylko na jedną z twoich próśb, a ty wybierz którą.

Rhombur z trudem przełknął ślinę, widząc napięcie na twarzy przyjaciela, a potem odwrócił wzrok i zgarbił się. Leto z niepokojem oczekiwał na odpowiedź: postawił wszystko na jedną kartę. Po długiej chwili rozległ się głos Rhombura Verniusa:

– W takim razie wybieram przyszłość mojej ojczyzny. To jedna z rzeczy, których się od ciebie nauczyłem. Potrzebuję tych plastrów i jestem pewien, że C'tair Pilru będzie potrafił zrobić z nich dobry użytek. – Sięgnął po piwo z przemytu, napił się, a potem położył rękę na ramieniu Leta. – Tak, to właśnie nauka Atrydów: pierwszeństwo dawać sprawom swego ludu, a dopiero potem myśleć o kwestiach osobistych. Kailea będzie musiała to zrozumieć.

Leto zręcznie przeprowadził korakla między ławicami i zbliżył się do barek, powiewających zielonymi wstążkami. Szybko znoszono worki z najważniejszym produktem eksportowym Kaladanu. Załadowane pojazdy opuszczały port, a z wodnych pól dopływały coraz to nowe barki. Ktoś wystrzelił racę chałupniczej roboty; z sykiem wzleciała w niebo i wysoko rozpadła się na kolorowe iskry.

Leto skierował łódź do głównych doków, blisko załadowanej barki, która właśnie wyruszała w morze. Na przystani widać już było czekające na nich duże podium z biało-zielonymi flagami.

Można było przerwać trudną rozmowę. Na twarz Leta wypełził dostoyny wyraz i z przyjemnością zaczął się przyglądać uroczystościom. To był jeden z tradycyjnych obowiązków księcia Atrydy.

*Fakty nic nie znaczą, jeśli górę nad nimi wezmą pozory. Nie należy lekceważyć owej siły wrażeń w zestawieniu z rzeczywistością.*

**następca tronu Raphael Korrino,**  
***Podstawy władzy***

Baron Vladimir Harkonnen wykuśtykał na balkon najwyższej wieży Twierdzy, skąd rozciągał się widok na rudery miasta Harko. Opierał się ciężko na lasce, której nienawidził, ale zarazem bez której nie mógł się poruszać.

„Niechaj przeklęte będą te czarownice za to, co mi zrobiły!” Nieustannie obmyślał plany zemsty, ale były to czcze pogroźki, gdyż zakon i baron trzymali się nawzajem w szachu informacjami niebezpiecznymi dla drugiej strony.

„Ale w końcu znajdzie się jakiś sposób”.

– Piter de Vries! – wrzasnął tak, że musiano go usłyszeć na kilku piętrach. – Natychmiast przysłać do mnie mentata!

De Vries zawsze przebywał gdzieś w pobliżu barona, snując swe zawile knowania. I natychmiast się zjawiał, gdy go wzywano. Gdyby wszyscy inni byli tak posłuszni baronowi: Rabban, Matka Przełożona, ten cholerny doktor Suk, Yueh...

I rzeczywiście, de Vries błyskawicznie zjawiał się, jak zawsze na koniuszkach palców, jak zawsze kocimi ruchami. Niósł ze sobą, tak jak należało, zapieczętowany pakunek. Inżynierowie barona zobowiązali się zdążyć na czas i dobrze wiedzieli, że gdyby zawiedli, kosztowałoby ich to życie.

– Mój baronie, twoje nowe odciażacze – oznajmił i kłaniając się, podał paczkę. – Zamocowane wokół pasa zmniejszą wagę ciała i pozwolą ci poruszać się z niezwykłą swobodą.

Baron chwycił pakunek potężnymi rękami i zaczął go rozrywać w pośpiechu.

– Niezwykłą! – prychnął. – Kiedyś wydawała mi się tak normalna, że w ogóle o niej nie myślałem.

Wewnątrz znajdowały się małe kule połączone miękkim pasem, a w każdej z nich niezależnie zasilany odciażacz. Oczywiście że nikomu nie zamydli oczu, ale w ten sposób będzie mógł przynajmniej ukryć postępy choroby. I rozczarować niejednego wroga.

– Być może trzeba się będzie trochę przyzwyczać...

– Znowu poczuje się sprawny i zdrowy. – Baron z radosnym uśmiechem obejrzał komplet odciażaczy, a potem oplótł go na monstualnie rozdętych biodrach. Kiedy ten brzuch tak mu się zwiększył? Zaczął włączać kolejne odciażacze, a z każdym nowym pomrukiem zasilacza czuł, jak spadają mu kilogramy z nóg, bioder, ramion. – Aaaach!

Zrobił zdecydowany krok i przeskoczył na drugą stronę pokoju niczym podróżny badający reguły planety o słabej grawitacji.

– Piter, popatrz tylko na mnie! Ha! – Wyskoczył, opadł na jedną stopę, odbił się ponownie i wleciał niemal pod sufit. Ze śmiechem wylądował na jednej nodze i niczym baletmistrz okręcił się w piruecie. – Nie potrafisz nawet zrozumieć, o ile teraz lepiej!

Wypaczony mentat stał przy drzwiach, wyraźnie z siebie zadowolony. Baron chwycił swą laskę i kilkakrotnie ciał nią niczym szablą, a potem z rozmachem walnął w blat stołu.

– O to właśnie chodziło!

– Może jednak nieco ostrożniej należy przyzwyczajać ciało do nowych obciążeń, mój baronie. Metodycznie i powoli – przestrzegł mentat, dobrze wiedząc, że jego chlebobawca postąpi dokładnie na odwrót.

Krokiem wielkiego tancerza baron podszedł do Pitera, poklepał go dobrotliwie po policzku, a następnie wyszedł na balkon. Spoglądając w ślad za nim, de Vries oczami wyobraźni zobaczył, jak Harkonnen, źle oceniwszy sprawność odciążonych mięśni, wzbija się w powietrze i wzlatuje nad balustradę.

„Zawsze można mieć nadzieję...”

Odciążacze trochę spowolniłyby lot, ale tylko trochę, nie na tyle jednak, by baron nie roztrzaskał się o daleki trotuar.

„Nieoczekiwany bonus!”

De Vries był odpowiedzialny za nadzór nad całym majątkiem rodzinnym, włącznie z tajnymi zapasami przyprawy na Lankiveil, więc raptowna śmierć barona pozwoliłaby mentatowi na sekretne przejęcie tego bogactwa. Ten tuman Rabban w ogóle by się nie zorientował.

„A gdyby tak odrobinę popchnąć we właściwym kierunku...?”

Grubas jednak chwycił się balustrady i pozwolił sobie na chwilę entuzjastycznego odpoczynku. Miasto w dole było ciemne i ponure; budynki przemysłowe i administracyjne mocno wpuściły korzenie w skorupę Giedi Primy. Ulicami niczym wszy przelewały się tłumy robotników, w drodze do i z pracy. Przedmieścia powoli przechodziły w jeszcze bardziej przynębiający krajobraz osad rolniczych i górniczych.

Baron uniósł laskę.

– Już mi niepotrzebna!

Po raz ostatni przyjrzał się srebrnemu łbu piaskala, przesunął palcem po gładkim trzonie i cisnął dotychczasową podporę w powietrze. Przechylił się nad balustradą i obserwował, jak laska wirując, spada na ulicę. Miał dziecięcą nadzieję, że trafi kogoś w głowę.

Podtrzymywany przez kule u pasa, powrócił do pokoju, skąd Piter de Vries z niejakim smutkiem spoglądał na balustradę. Dobrze wiedział, że nie może niczego knuć przeciw baronowi, albowiem nielojalność zostanie wykryta i okrutnie ukarana, podczas gdy baron bez trudu mógł uzyskać od Bene Tleilax nowego mentata, może nawet gholę Pitera, wyhodowanego z martwych komórek. Jedyłą nadzieję mógł wiązać z nieszczęśliwym wypadkiem... albo z bardziej dynamicznym rozwojem choroby zainicjowanej przez Bene Gesserit.

– Teraz już nic mnie nie powstrzyma, Piter – oznajmił zachwycony baron. – Niechże teraz Cesarstwo ma się na baczności przed Vladimirem Harkonnenem.

– Całkowicie się z tobą zgadzam, mój baronie.

*Kiedy się poddajesz, tracisz wszystko. Jeśli jednak odmawiasz kapitulacji, to nawet jeśli wszystko przemawia przeciw tobie, zwycięstwo polega na tym przynajmniej, że spróbowałeś.*

## **książę Paulus Atryda**

Gurney Halleck dobrze wiedział, że jeśli chce mieć szansę uratować siostrę, musi działać samodzielnie.

Od dwóch miesięcy prowadził staranne przygotowania, mając bolesną świadomość, że Bheth cierpi każdego dnia, każdej nocy. Z drugiej strony, jeśli nie uwzględni wszystkich szczegółów, cały plan nic nie będzie wart. Udało mu się zdobyć jakąś marną mapę Giedi Primy i na jej podstawie ustalił marszrutę do Hebanowej Góry. Wszystko wskazywało na to, że czekała go droga dłuższa niż jakakolwiek dotąd w życiu.

Był bardzo ostrożny, lękał się bowiem, że ktoś z mieszkańców wioski może podejrzec jego poczynania, ci jednak na szczęście brnęli przez każdy ze swych dni ze spuszczoneymi głowami. Nawet rodzice rzadko się do niego odzywali i niewiele się nim interesowali, zupełnie jakby wraz z córką stracili także syna.

W dniu, kiedy wszystko już było przygotowane, Gurney poczekał do zmroku... i po prostu zniknął.

Z przewieszoną przez ramię torbą z krallami i jarzynami, a także nożem zatkniętym za pas, ruszył przez pola. Trzymał się z dala od dróg i patroli, dzień przesypiając, a podróżując przy słabym świetle księżyca. Nie przypuszczał, by ktoś go gonił. Mieszkańcy Dmitrija uznają, że zniknął, gdyż nocą złapali go oprawcy Harkonnenów i najbezpieczniej jest w ogóle o nim nie wspominać.

Kilka razy udało mu się w nocy wskoczyć na sunące na zachód automatyczne pojazdy transportowe, a każdy z nich podwoził go kilkaset kilometrów. Przez długie godziny, kiedy wsłuchiwał się tylko w pomruk silnika, marzył o balisecie, którą z racji rozmiarów musiał jednak pozostawić w domu. Z instrumentem, nawet gdyby zabrano mu wszystko inne, miał przynajmniej swoją muzykę, a tak pozostało mu tylko samotne nucenie pod nosem.

W końcu zobaczył w oddali stożek Hebanowej Góry, czarnej resztki wulkanu, jakby ją pociągnięto smołą.

Nad ruderami niewolników i kopalnią obsydianu przysiadły koszary: skupisko wznoszonych chaotycznie, sześciennych, prostych budynków. Pomiędzy nimi a ogrodzonym drutem obozem niewolników znalazły się magazyny, baraki administracyjne, karczmy, a także dom, w którym żołnierze Harkonnenów mogli się zabawiać z dziewczynami.

Jak dotąd Gurneyowi udało się przemknąć bez zwrócenia czyjejkolwiek uwagi. Nikomu z jego nadzorców nie przyszłoby nawet do głowy, że jakiś niewykształcony robotnik, mogący liczyć tylko na skąpe zapasy, ośmieli się wyruszyć na drugi koniec planety i odważy na szpiegowanie pośród oddziałów.

Jednak aby dotrzeć do miejsca uwięzienia Bheth, musiał najpierw przyciąć się i przeczekać, obserwować i spróbować coś zaplanować. Rozważał kilka alternatyw.

Tak czy inaczej, nic go nie powstrzyma.

Ktoś taki jak Gurney nie mógł ot, tak sobie, wejść do domu żołnierskich uciech; chłopak zdecydował się zatem na ryzykanckie posunięcie. W stercie odpadów znalazł jakąś metalową rurę, zza pasa wy dobył nóż. Koniec z czajeniem się, teraz najważniejsza była szybkość. Boczny mi drzwiami wkroczył do żołnierskiego burdelu i wpadł do pokoju nadzorcy, niskiego, chudego człowieka, skulonego na fotelu za biurkiem.

– Gdzie Bheth? – warknął zaskoczony brzmieniem swego głosu intruz, przystawiając jednocześnie tamtemu ostrze noża do szyi. – Gdzie Bheth Halleck?

Dopiero teraz przyszło Gurneyowi do głowy, że być może kobiety nie występują tu pod swoimi imionami i nazwiskami, na szczęście jednak mężczyzna, gdy w oczach Hallecka dojrzał śmierć, rozdygotany wykrztusił:

– Pokój dwadzieścia jeden!

Zobaczywszy drzwi do jakiegoś składziku, wepchnął do środka fotel z nadzorcą i zamknął na klucz, a następnie wypadł na zewnątrz.

Kilku klientów w mundurach Harkonnenów – niektórzy ubrani byli tylko do połowy – obejrzało się za nim. Zza jakichś drzwi dobiegały okrzyki i jęki, ale nie miał czasu sprawdzać, co się tam dzieje. Liczyło się tylko jedno: pokój dwadzieścia jeden i – Bheth. Działał z zaskoczenia, co dało mu trochę czasu, ale nie będzie musiał długo czekać, aż ktoś zacznie interweniować. Nie miał pojęcia, ile czasu zabierze mu porwanie Bheth i znalezienie jakiegoś bezpiecznego schronienia. Nad tym zresztą specjalnie się nie zastanawiał; kiedy będą już razem, rzucą się do ucieczki, byle dalej. Niewiele więcej wiedział, ale chciał tylko jednego: spróbować.

Numer w galach był wyskrobany na linte lu; zza drzwi dochodziły jakieś pomruki. Gurney zaatakował barkiem i drzwi ustąpiły, wyskakując z zawiasów.

– Bheth!

Z dzikim wrzaskiem wpadł do słabo oświetlonej klitki, z nożem w jednej ręce, a rurą w drugiej.

Dziewczyna wydała z siebie zduszone jęknięcie; była związana cienkim drutem. Piersi i resztę ciała miała posmarowane gęstym smarem, a na odgłos ataku odskoczyli od niej dwaj nadzy żołnierze, trzymający w ręku dziwacznie zakończone narzędzia, z których jedno syczało i sypało iskrami.

Gurney nie zastanawiał się, co wyrabiają z jego siostrą na jakie udreki była codziennie wystawiona, ale ów widok upokorzonej i umęczonej Bheth sparaliżował go na krótką chwilę. Tak odmienna była teraz od delikatnej, cudownej siedemnastolatki, której widok zachował w pamięci.

Wystarczył ten moment zawahania, aby obaj okrutnicy rzucili się na niego. Samym impetem ataku powalili go na ziemię, a na dodatek wiedzieli, gdzie uderzać. Syczące narzędzie dotknęło gardła Gurneya i lewa połowa jego ciała zdrętwiała.

Bheth posapując, szarpała się z przyciskającymi ją do łóżka drutami. Nie mogła wydać z siebie żadnego innego dźwięku, albowiem długa, cienka linia na szyi, którą ujrzał, była blizną po krtani.

Gurney zdołał zobaczyć niewiele więcej, w oczach bowiem zaczynało mu ciemnieć. Z korytarza słyhać było tupot nadbiegających żołnierzy, a on nie mógł nawet drgnąć.

Zrozumiał, że przegrał. Teraz zamordują jego i najpewniej Bheth. „Gdybym się nie zawahał”. Ten moment niepewności go zgubił.

Jeden z żołnierzy spoglądał na niego z twarzą pełną wściekłości, z kącika ust sączyła mu się piana. Nachylił się i wyrwał Gurneyowi z rąk obie jego bronie, a chociaż nóż cisnął na bok, palce mocno zacisnął na rurce.

– Zaraz ci dogodzę, synku – warknął.

Z łóżka dobiegało rozpaczliwe posapywanie Bheth, a mężczyzna z rozmachu uderzył Gurneya w głowę.

*Marzenia są tak proste lub skomplikowane jak marzyciel.*

**Liet-Kynes,  
Śladami ojca**

Podczas gdy uzbrojeni mężczyźni prowadzili młodych Wolan do warowni we wnętrzu lodowcowej góry, Liet milczał. Rejestrował wszystkie szczegóły, usiłując odgadnąć, kim są te odludki. Przynajmniej niektóre fragmenty ich odzienia przypominały jakieś purpurowordzawe mundury.

Korytarze wykute w ścianach z zamrożonej ziemi i piachu obudowano czystym polimerem. Powietrze było na tyle chłodne, że Liet nadal widział parę swego oddechu, która nieustannie przypominała, jak wiele wilgoci zostaje w powietrzu.

– Więc jesteście przemytnikami? – spytał Warrick.

W pierwszej chwili był zawstydzony tym, że tak łatwo dali się schwytać, ale ciekawość szybko wzięła górę. Dominik Vernius zerknął przez ramię.

– Przemytnikami... i może jeszcze kimś więcej, przyjacielu. Nie chodzi nam tylko o łatwy zarobek.

Nie wydawało się, aby przypuszczenie Warricka go obraziło. Jego wygląd wzbudzał zaufanie, a w uśmiechu, odsłaniającym pod wąsami rząd białych zębów, kryła się szczerść.

W oczach migotały iskierki, a zarazem trudno było oprzeć się wrażeniu, że przyrodzoną dobroduszość zastąpiły uczucia znacznie mroczniejsze.

– Dom, czy nie za dużo im pokazujesz? – mruknął mężczyzna o dziobatej twarzy, który nad prawym okiem miał grubą bliznę po oparzeniu. – My dowiedliśmy swej lojalności, nie skapiąc swojej krwi, a ci obcy? Mam rację, Asuyo?

– Dlaczego niby miałbym być bardziej podejrzliwy wobec Wolan niż tego Tueka, a z nim przecież prowadzę interesy? – mruknął jeden z pozostałych mężczyzn, szczupły i siwowłosey. Do poskładanego z różnych części ubioru dołączył stare epolety i jakieś baretki. – Sprzedaje wodę, ale jest w nim coś... śliskiego.

Łysy przemytnik szedł przed siebie stanowczym krokiem.

– Johdam, te chłopaki same wpadły na nasz ślad. Coś przegapiliśmy. Wypada się tylko cieszyć, że to Wolanie, nie zaś sardaukarowie. Wolanie nie bardziej kochają Cesarza od nas, mam rację, młodzi przyjaciele?

Liet i Warrick wymienili spojrzenia.

– Cesarz Szaddam jest daleko i nic nie wie o Diunie.

– Nic też nie wie o honorze. – Twarz Verniusa zapłonęła, ale zaraz się uspokoił, zmieniając temat. – Słyszałem, że Cesarski Planetolog związał się z miejscowymi, sam stał się Wolaninem i zaczyna mówić o przemianie planety. Czy to prawda? I czy stoi za tym Szaddam?

– Cesarz nic nie wie o tych planach – powiedział Liet, ponieważ jednak nie zamierzał zdradzać swojej tożsamości, przedstawił się zapasowym imieniem: – Nazywam się Weichih.

– To piękne mieć wielkie, ambitne marzenia – powiedział Dominik i na chwilę wzrok miał nieobecny. – Wszystkim nam może się to przydarzyć.

Liet nie był pewien, czy rozumie intencje tych słów.

– A zatem kim w końcu jesteście? – spytał. – Dlaczego się ukrywacie?

Mężczyźni spojrzeli na Dominika.

– Przebywamy tu już od piętnastu lat i to tylko jedna z naszych baz. Inne są ważniejsze, ale mam jakąś słabość do tej naszej pierwszej kryjówki na Arrakis.

– Wybudowaliście tu sobie własną sicz. – Warrick pokiwał głową.

Vernius zatrzymał się w miejscu, gdzie szerokie okna z plazu wychodziły na szczelinę między dwiema turniami. Na jej płaskim dnie stała w regularnym ordynku flotylla pokrytych kamuflażem statków. Wokół jednej z lichtug uwijali się ludzie, umieszczając w niej ładunki.

– Pewnie trochę więcej udogodnień niż w siczy i trochę inny wygląd – powiedział Vernius i popatrzył badawczo na obu Wolan. – Ale sekrety niech pozostaną sekretami. A wy dokąd się wyprawiliście, młodzieńcy? Co was tu sprowadziło? I co podejrzanego dostrzeżliście w naszym maskowaniu?

Warrick chciał już przemówić, kiedy powstrzymał go Liet:

– A co dostaniemy w zamian, jeśli wam powiemy?

– Powiedzmy, że darujemy wam życie – mruknął niezadowolony Asuyo.

Liet pokręcił stanowczo głową.

– I tak możecie nas zabić, gdy wam już powiemy, jakie błędy popełniście. Jesteście wyjętymi spod prawa, a nie Wolanami, więc dlaczego mam wam zaufać?

– Spod prawa? – Dominik zaśmiał się gorzko. – Prawa Cesarstwa więcej przyniosły szkody niż jakikolwiek akt zdrady... no może z wyjątkiem cesarskiej zdrady. Najpierw stary Elrood, a teraz Szaddam. – I znowu wzrok Verniusa poszybował gdzieś w dal. – Przekłęci Korrinowie. – Cofnął się o krok od okien i znowu znieruchomiał. – Mam nadzieję, że nie myślicie o tym, aby wydać mnie w ręce sardaukarów? Jestem pewien, że wyznaczono wysoką nagrodę za moją głowę.

Obaj Wolanie spojrzeli na siebie ze zdziwieniem.

– Ale my nawet nie wiemy, kim ty jesteś.

Przemytnicy zachichotali. Dominik westchnął z ulgą, ale już po chwili na jego twarzy pojawił się wyraz rozczerwienia. Wyrężył dumnie pierś i oznajmił:

– Byłem bohaterem walk podczas rebelii na Ekazie, poślubiłem jedną z cesarskich konkubin, a tron odebrał mi zdradziecki najazd.

Liet bardzo wiele wiedział o pustyni i Wolanach, ale polityczne problemy Cesarstwa były mu zupełnie obce. Czasami marzył o jakiejś podróży poza Arrakis, wątpił jednak, by kiedykolwiek się to ziściło.

Vernius pogładził ścianę korytarza.

– Pobyt tutaj tak bardzo przypomina mi Ix... – Pełen żalu głos załamał się. – Dlatego zdecydowałem się na to miejsce, dlatego tak często tutaj powracam... – Nagle otrząsnął się ze wspomnień i jakby zdziwiony popatrzył na swych towarzyszy. – Asuyo, Johdam, zabierzemy tych młodzieńców do moich prywatnych pomieszczeń. – Z krzywym uśmiechem dodał pod adresem Wolan: – Wzorowane są na Grand Palais, jeśli potrafiłem to odtworzyć w pamięci. Podczas ucieczki nie miałem czasu na zabieranie planów architektonicznych. – Vernius ruszył przed siebie i bezbarwnym głosem, jakby opowiadał film, przedstawił swój dramat: – Moja żona została zamordowana przez sardaukarów, córka i syn jako banicy żyją na Kaladanie. Na początku spróbowałem ataku na Ix i ledwie uszedłem z tego z życiem. Straciłem większość ludzi, a gdyby nie Johdam, ja też bym tam został. Od tego czasu żyję w ukryciu, w miarę możliwości starając się jak najbardziej dopiec tym padalcom, Cesarzowi Szaddamowi i zdrajcom z Landsraadu, którzy zostawili mnie na pastwę losu.

Minęli ciąg warsztatów, gdzie części urządzeń spoczywały pod brezentem albo znajdowały się na stołach i stanowiskach konstrukcyjnych w różnych stadiach montażu.

– Ale właściwie nie wyszedłem poza małe akty sabotażu: niszczenie pomników Korrinów, obraźliwe ich przerabianie, szydercze napisy, ot, trochę przykrości wyrządzonych Szaddamowi. Tymczasem chyba więcej kłopotów ode mnie sprawiła mu czwarta już córka, Josifa, podczas gdy nie ma ani jednego syna.



Johdam mruknął gdzieś z tyłu:

– Dokuczanie Szaddamowi stało się waszym sposobem na życie.

Asuyo przeciągnął dłonią po sprężystych włosach i powiedział z niechęcią:

– Earl Vernius wielokrotnie ratował nam życie i nie pozwolimy na to, aby stała mu się jakaś krzywda. Ja zrezygnowałem z kariery, z wysokiego stopnia w armii, aby żyć w poniewierce. Więc teraz chyba nie pozwolimy, żeby dwójka wolańskich szczeniaków ujawniła nasze sekrety, co?

– Słowu Wolanina zawsze można wierzyć! – zawołał oburzony Warrick.

– Tyle że nie daliśmy jeszcze słowa – zauważył Liet. – Na razie.

Znaleźli się w pokoju zagraconym drogimi sprzętami, jak gdyby właściciel zbierał je, kierując się nie tyle swoim gustem, ile zawodną pamięcią i jakimiś czysto zewnętrznymi oznakami. Niczym w pirackiej jaskini ze skrzyń wysypywały się złote monety, a liczba poobtłukiwanych podobizn Szaddama i Tronu Złotego Lwa sugerowała, że gospodarz nie bardzo już wiedział, na co wydawać pieniądze. Dominik zanurzył zrogowaciałą dłoń w dużą czarę pełną lśniących szmaragdowych kul, każda wielkości paznokcia u kciuka.

– Leśne perły z Harmonthepa. Shando zawsze je uwielbiała, mówiła, że mają taki piękny odcień.

W przeciwieństwie do Tueka, Vernius gromadził skarby nie dla nich samych, lecz dla wspomnień, które przywodziły.

Po odesłaniu Johdama i Asuyo dawny władca Ix zasiadł w miękkim purpurowym fotelu, miejsca po przeciwnej stronie stołu wskazując swym gościom. Po gładkiej powierzchni blatu przepływały wszystkie odcienie czerwieni.

– Polerowany posokowiec – powiedział Dominik, a kiedy stuknął palcem w powierzchnię stołu, ta odpowiedziała eksplozją barw. – Jeszcze przez całe lata po ścięciu drzewa soki w nim krążą pod ciepłym światłem. – Spojrzał na ściany i rysunki. W drogich ramach wisiało kilka szkiców ludzkich postaci, tak jakby autor bez specjalnych zdolności chciał utrwalić obrazy zachowane w pamięci.

– Razem z moimi ludźmi walczyliśmy w lesie posokowców na Ekazie. Zabiliśmy wielu buntowników, spaliliśmy ich bazę zaszytą głęboko w lesie. Johdam i Asuyo, których dzisiaj widzieliście, byli moimi kapitanami. Johdam stracił w tamtych lasach brata. – Vernius wziął głęboki, przerywany oddech. – To było jeszcze wtedy, kiedy z ochotą narażałem się dla Cesarza. Przysiągłem wierność Elroodowi IX i oczekiwałem za nią rekompensaty. Dał mi wszystko, czego chciałem, a ja zabrałem tylko jedną rzecz, która wprawiała go we wściekłość. – Dominik raz jeszcze zanurzył rękę w misie z perłami. – Teraz robię wszystko, co mogę, aby zaszkodzić Cesarzowi.

Liet zmarszczył brwi.

– Ale przecież Elrood od dawna już nie żyje, umarł, kiedy jeszcze byłem dzieckiem. Teraz na Tronie Złotego Lwa zasiada Szaddam IV.

– Niewiele do nas dociera wiadomości z zewnątrz, ale nawet ja to wiem – wtrącił Warrick.

– Szaddam, niestety, w niczym nie jest lepszy od ojca. – Dominik bawił się teraz szczerozłotymi monetami, żonglując nimi w powietrzu. W jego wzroku można było zobaczyć żal za latami spędzonymi w ukryciu. – Dobrze, więc posłuchajcie. Jesteśmy oczywiście urażeni i zaniepokojeni tym, że nas odkryliście. Takie dwa młodziaki... Ile wy macie lat? Nie więcej niż szesnaście, co? – Dominik przygryzł wargi w uśmiechu. – Moi przyjaciele są niezwykle strapieni. Dlatego bardzo by mi zależało na tym, żebyśmy wyszli na zewnątrz, a wy pokazalibyście, co zwróciło waszą uwagę. Podajcie cenę, nie sądzę, by była dla mnie za wysoka.

Lietowi zakręciło się w głowie na samą myśl o zgromadzonych tutaj skarbach, ale przecież co by im przyszło z pereł? Może przydałyby się jakieś narzędzia albo urządzenia...?

Liet postąpił jak prawdziwy Wolanin, ostrożnie i rozważnie.

– Zgoda, panie Dominiku Vernius, ale po prostu pozostanie pan naszym dłużnikiem. Jeśli będę czegoś od pana potrzebował, wtedy poproszę, podobnie jak Warrick. A na razie objaśnimy was, jak uczynić kryjówkę niewidzialną. Nawet dla Wolan – dodał z uśmiechem.

Przemytnicy z uwagą wysłuchali młodych Wolan, którzy wskazali im nie dość dokładnie zatarte ślady, widoczne z daleka odbarwienia w skale i ścieżkę prowadzącą do kryjówki. Ale ludzie Verniusa nie zawsze mogli dostrzec to, co było oczywiste dla ludzi pustyni. Tak czy inaczej, wiedzieli, że muszą postarać się jak najlepiej. Dominik Vernius pokręcił głową.

– Niezależnie od tego, jak dobrze zabezpieczy się dom, zawsze znajdzie się sposób, żeby się do niego włamać. – Przygryzł w zadumie wargi. – Całe pokolenia projektantów budowały systemy izolacji Ix i tylko rodzina władcy знаła wszystkie szczegóły. A w efekcie, cóż za gigantyczne marnotrawstwo wysiłków i solarisów! Uważaliśmy nasze ukryte wewnątrz planety miasta za nietykalne i zaczęliśmy się czuć nazbyt bezpiecznie. Tak jak teraz tutaj. No, Johdamie, do dzieła – powiedział i klepnął swego towarzysza w ramię, a ten zabrał się do usuwania demaskujących szczegółów.

Vernius raz jeszcze westchnął ciężko.

– Dobrze przynajmniej, że moje dzieci uciekły. – Twarz jego wykrzywił brzydki grymas. – Niechaj piekło pochłonie parszywych Tleilaxan i ród Korrinów! – Splunął na ziemię, czym zdumiał Lieta, albowiem pośród Wolan splunięcie – ofiara z wody własnego ciała – stanowiło gest najwyższego szacunku, na który zasłużyć się udawało tylko nielicznym.

„Cóż za dziwne obyczaje” – pomyślał Liet.

Vernius raz jeszcze przyjrzał się obu Wolanom.

– Moja główna baza, która, jak mówiłem, znajduje się poza Arrakis, też pewnie ma podobne niedostatki. – Przechylił głowę i patrzył na nich zmrużonymi oczami. – Gdyby któryś z was zechciał, mógłby udać się ze mną na inspekcję. Regularnie latamy na Salusa

Secundę.

– Na Salusę? – Liet spojrział z zaciekawieniem, przypomniawszy sobie opowieści ojca. – To podobno bardzo ciekawa planeta.

Oddalony od nich nieco Johdam wybuchnął pełnym niedowierzania śmiechem i otarł pot z czoła.

– No, teraz z pewnością nikt by nie przypuścił, że kiedyś była to stolica Cesarstwa – zarechotał, a Asuyo pokiwał głową.

Dominik wzruszył ramionami.

– Kiedy mój ród stał się renegatem, a ja poprzysiągłem zemstę na Cesarzu, Salusa Secunda wydawała się dobrą kryjówką, któż bowiem by odgadł, że będę się chować na więziennej planecie?

Pardot Kynes wspominał synowi o straszliwej katastrofie na Salusie, spowodowanej przez nie wymienianą z imienia szlachetną rodzinę, która wybrawszy los renegatów, użyła broni atomowej przeciw stołecznej planecie. Przeżyło tylko niewielu członków rodu Korrinów, wśród nich Hassik III, który odbudował dynastię, a centrum Cesarstwa przeniósł na inną planetę, Kaitain. Pardota mniej w tym interesowały kwestie polityczne, a bardziej dynamika samego procesu, w którym pewna ekologiczna całość z raju zamienia się w piekło. Był zdania, że przy odpowiednio wyteżonej, długotrwałej i konsekwentnej pracy, można by na Salusie przywrócić dawny klimat.

– Może kiedyś istotnie zechcę odwiedzić to interesujące miejsce.

„Tak bliskie sercu mego ojca”.

Dominik zaśmiał się głośno i z rozmachem uderzył chłopaka w ramię, co znowu było zaskakującym gestem dla Wolan, dla których kontakt cielesny był właściwy tylko w walce.

– I módl się, żeby było to z twojej własnej woli – powiedział przywódca przemysłowców – a nie z przymusu.

*Woda jest obrazem życia. Wyszliśmy z wody, przystosowani do jej wszechobejmującej obecności. I nadal jej potrzebujemy.*

### **Cesarski Planetolog Pardot Kynes**

– Nie znamy żadnych z pani luksusów, lady Fenring – mówiła Szadouta Mapes, przemieszczając się na swych krótkich nogach szybko, a zarazem tak zręcznie, że spod stóp nie wznosił się najmniejszy obłok pyłu. W przeciwieństwie do oranżerii, pośród pustyni zostało bardzo niewiele ze skwaru dnia. – Jest pani zimno? Spojrzała przez ramię na Margot, która dumnie kroczyła przed kapłanem z Rutii, jasne włosy skrywszy pod kapturem dżubby.

Twarz miała przykrytą filtrem destylozonu, a w oczach odbijał się blask Drugiego Księżyca.

– Nie – zwięźle odrzekła Margot, która odziana tylko w domową szatę, odpowiednio przestroiała metabolizm ciała.

– Te pantofle na cienkiej podszewie nie są dobre na pustynię – oznajmił karcącym głosem z tyłu kapłan.

– Nie daliście mi czasu na przebranie. – Jak wszystkie Wielebne Matki miała stopy zrogowaciałe od wykonywanych codziennie ćwiczeń bojowych. – Jeśli się zniszczą, pójdę na bosaka.

Wolanie uśmiechnęli się w odpowiedzi na te harde słowa.

– Należy przyznać, że krok ma dobry – powiedziała z aprobatą Mapes – nie tak jak inne wodne tłuściochy.

– Jeśli trzeba, to mogę iść szybciej – oznajmiła Margot.

W odpowiedzi Szadouta zwiększyła tempo kroków, zupełnie nie zmieniając przy tym rytmu oddechu. Margot nie odstawiała, leciutko tylko się pocąc. Z przenikliwym krzykiem przemknął nad ich głowami nocny ptak.

Miękka droga prowadziła z Arrakin do wioski Rutii, wijąc się u stóp Muru Zaporowego. Omijając światła, Mapes zaczęła wspinać się w górę. Nad nimi majaczył Wieńcomur Zachodni, stanowiący granicę Muru Zaporowego. Dróżka, początkowo łagodna, zrobiła się stroma i śliska.

Wolanie poruszali się w ciemności szybko i zręcznie. Pomimo treningu w zakresie utrzymania równowagi i wytrzymałości, Margot dwa razy się potknęła i została podtrzymana przez usługane dłonie.

Minęły już ponad dwie godziny od chwili, gdy opuścili rezydencję. Margot musiała sięgnąć po rezerwy energii, ale na zewnątrz w niczym nie zdradzała zmęczenia. „Czy i moje siostry podążały tą drogą?”

Mapes i kapłan porozumiewali się w dziwnym języku, który, sięgając do zasobów swej pamięci, Margot zidentyfikowała jako chakobsa, język, którym Wolanie mówili na długo przed pojawieniem się na Arrakis. Mapes właśnie odpowiedziała: „Tak, moc Boga jest niewyczerpana”. Uwaga ta poruszyła kapłana, ale po chwili namysłu odrzekł z chytrym uśmiechem: „Porozmawia z nią sajjadina”.

Droga rozwidlała się kilkakrotnie, a Wolanka bez chwili wahania to skręcała, to schodziła, raz nawet wyraźnie zawróciła. Rozpoznając te same miejsca, Margot zorientowała się, że jej przewodniczka celowo kluczy, aby utrudnić identyfikację drogi, tyle że w przypadku Bene Gesserit był to próżny wysiłek. Chciała już ofuknąć Szadoutę, ale roztropność zalecała milczenie: po co ujawniać ukryte zdolności? A poza tym, oto po latach oczekiwania nareszcie była wprowadzana w sekretny świat, w miejsce, dokąd nie miał wstępu żaden obcy. Matka Przełożona Harishka będzie się dopytywała o najdrobniejsze szczegóły. I być może Margot wreszcie otrzyma tak upragnioną informację o losie zaginionych sióstr.

Doszli do wąskiej półki. Mapes przyłgnęła do ściany i zaczęła się przesuwać po skalnej listwie, wczepiając się palcami w kamienne występy. Margot bez wahania zrobiła to samo. Pod nimi ciemniała plama wioski Rutii, w oddali migotały światła Arrakin.

Idąca o kilka metrów przed Margot Szadouta nagle zniknęła. Po chwili także Margot dotarła do niewielkiego, szerokiego ledwie na jedną osobę wejścia. Korytarz natychmiast się rozszerzał, a na ścianach widać było ślady po rozcinaniu skały. W nozdrzach poczuła ostry zapach nie mytych ciał. Szadouta poczekała na obu towarzyszy podróży, a potem odpięczętowała gródz i otworzyła drzwi. Nie tłumione teraz, rozbrzmiały głosy, szum maszyn, odgłos poruszeń wielu osób. W powietrzu lekko falowały jarzyce, nastawione na ciemnożółte światło.

Mapes odgarnęła zasłonę i znaleźli się w pomieszczeniu, gdzie kobiety splatały na krosnach tkaniny z włosia i pustynnej bawełny. W ciężkim powietrzu unosił się zapach muszkatu i melanzowych kadzideł. Wszystkie oczy wpatrzyły się w przybyszkę z zewnątrz.

Przeszli do następnego pokoju, gdzie przy metalowym garze zawieszonym nad paleniskiem krzątał się szczupły mężczyzna. Blask płomieni zatańczył na twarzy Szadouty, nadając jej na wskroś niebieskim oczom złowrogi wyraz. Margot obserwowała wszystkie szczegóły; nawet do głowy by jej nie przyszło, że Wołanie mogli zamieszkiwać skalne siedziby.

Nareszcie znaleźli się w dużej sali pokrytej piachem, z którego wyrastały pustynne rośliny, wytyczając prawdziwe alejki. Rozpoznała saguaro, dziką lucernę i ubogie trawy. Ni mniej, ni więcej, tylko miniogród botaniczny!

– Proszę zaczekać, lady Fenring – powiedziała Mapes i odeszła wraz z kapłanem.

Margot nachyliła się nad kaktusami i zobaczyła, że zostały zupełnie niedawno zasadzone. Zza ściany dobiegały odgłosy śpiewu i recytacji.

Słyszając szelest materiału, uniosła głowę i zobaczyła przed sobą starą kobietą w czarnej sukni. Z rękami założonymi na piersi stała na jednej ze ścieżek, wyschnięta, chuda, z wyglądu przypominająca szigarut. Na szyi miała lśniąca metalowe pierścienie, a oczy wydawały się ciemnymi jamami w twarzy.

Było coś w jej postawie, w zachowaniu, co przypominało Margot Bene Gesserit. Matka Przełożona Harishka z Wallach IX dobiegała właśnie dwustu lat, ale stojąca przed Margot kobieta była nawet starsza, z ciałem nasiąkniętym przyprawą, skórą od lat nawykłą do surowego klimatu. Kiedy przemówiła, nawet głos był suchy:

– Jestem sajjadina Ramallo. Mamy właśnie zacząć Ceremonię Nasienia. Przyłącz się do nas, jeśli istotnie jesteś tą, za którą się podajesz.

„Ramallo! Znam to imię!”

Margot zrobiła krok do przodu, gotowa wyrecytować tajemne frazy, które poświadczyłyby dzieło Missionaria Protectiva. Kobieta o tym imieniu przepadła pośród pustynnych wydm ponad sto lat temu... ostatnia z ciągu zaginionych Wielebnych Matek.

– Nie ma teraz na to czasu, dziecko – powiedziała sajjadina. – Wszyscy na nas czekają. Są ciekawi ciebie, podobnie jak ja sama.

Podążyła za Ramallo do sali prawdziwie ogromnej, w której zgromadziło się wiele tysięcy osób. Margot nie potrafiła pojąć, jak udało im się uchronić przed wszechobecnymi patrolami Harkonnenów nie po prostu kryjówkę, ale wręcz całe miasto? Wolanie mieli więcej tajemnic i sekretnych planów, niż mógłby podejrzewać nawet Hasimir Fenring.

Z trudem powstrzymała się przed grymasem twarzy, gdy poczuła nieprzyjemną woń. Niektórzy z Wolan byli w zakurzonych opończach, inni mieli na sobie rozpięte pod szyją destylozony, całe pomieszczenie pełne było zapachu ludzkiej wilgoci. Pod ścianą zobaczyła kapłana, który towarzyszył jej z Arrakin.

„Jestem pewna, że nie zostawili w oranżerii żadnych śladów. Gdyby mnie teraz zabili, nikt by nie wiedział, co się ze mną stało. Podobnie jak z tamtymi siostrami”. Margot uśmiechnęła się do siebie. „Nie, jeśli stanie mi się krzywda, Hasimir do nich dotrze”. Wolanie mogli sądzić, że ich sekrety są bezpieczne, ale nic nie potrafi powstrzymać Fenringa, kiedy ten skupi na czymś swoją uwagę i pasję.

Wolanie mogli w to wątpić, ale z pewnością nie Margot.

Kiedy ludzie przestali napływać do sali poprzez kilka bocznych wejść, Ramallo nadspodziewanie mocno chwyciła jej przegub.

– Chodź za mną!

I sajjadina pociągnęła Margot do kamiennych schodków, którymi weszły na obszerną kamienną platformę znajdującą się nad głowami tłumu.

W jaskini słychać było tylko szelest ubrań, niczym ocieranie się skrzydeł nietoperza.

Opanowując podniecenie, Margot stanęła obok starej kobiety. „Czuję się jak ofiara sakralna”. Koncentracja na oddechu przywracała spokój. Wbiły się w nią niezliczone rzędy nieruchomych wolańskich spojrzeń.

– Spogląda na nas Szej-hulud – przemówiła Ramallo. – Niechaj wystąpią wodarze.

Tłum rozstał się przed czterema mężczyznami, a każda para niosła skórzany bukłak. Chlupoczące pojemniki postawili u stóp sajjadiny.

– Czy jest nasienie? – spytała Ramallo.

– Oto jest nasienie – odpowiedzieli zgodnie mężczyźni, odwrócili się i cofnęli w tłum.

Sajjadina otworzyła jeden z bukłaków i uląła nieco płynu na obie dłonie.

– Błogosławiona niech będzie woda i jej nasienie. Wyciągnęła ręce i pozwoliła skapywać z nich błękitnym kroplom.

Formuły i cała ceremonia zaskoczyły Margot, gdyż były podobne do obrzędu trucizny, poprzez który normalna siostra Bene Gesserit stawiała się Wielebną Matką. Kilka starannie dobranych substancji, wszystkie silnie trujące, powodowały straszliwe cierpienie, czasami kończące się śmiercią. Czyżby zwyczaj został przyjęty tu przez Missionaria Protectiva? Czy może zaginione Bene Gesserit zdradziły swą tajemnicę Wolanom? A jeśli tak, to czego

jeszcze dowiedzieli się o planach zakonu żeńskiego?

Ramallo odpięła spiralny ustnik bukłaka i wskazała go gestem Margot, która opadła na kolana, ale potem spojrzała pytająco na sajjadinę.

– Jeśli naprawdę jesteś Wielebną Matką – szepnęła tamta – wypijesz tę wydzielinę Szej-huluda bez żadnej dla siebie krzywdy.

– Jestem Wielebną Matką – odparła Margot – i robiłam to już wcześniej.

Wolanie trwali w pełnej nabożności ciszy.

– Nigdy jeszcze tego nie robiłaś, dziecko – poprawiła Ramallo. – Niechaj Szej-hulud osądzi.

Z bukłaka dobywał się znajomy zapach przyprawy, ale z jakimś gorzkim odcieniem. Wydawało się, że w niebieskim płynie mieszka śmierć. Choć Margot pokonała mękę i została Wielebną Matką, omal nie postradała przy tym życia.

A teraz miała spróbować raz jeszcze.

Obok niej sajjadina odwiązała rurkę w drugim bukłaku. Pociągnęła łyk i jej źrenice niemal zniknęły pod powiekami.

„Nie mogę się lękać – myślała Margot. – Strach zabija umysł”. Zaczęła w duchu powtarzać Litanie Przeciw Trwodze, a potem wzięła do ust końcówkę rurki. Straszliwa gorycz poraziła jej zmysł smaku, niczym młot uderzając w tył czaszki. Trucizna! Ciało omdlało, nakazała jednak sobie, aby się skupić na chemizmie ciała, tutaj dodając jakąś molekułę, tam usuwając inną. Wymagało to wykorzystania wszystkich talentów.

Wypuściła ustnik, wstąpiła w niezwykły stan świadomości, w którym czas powstrzymał swój kosmiczny pochód. Dzięki wiedzy Bene Gesserit zaczęła zmieniać skład śmiertelnej trucizny, albowiem zrozumiała, że ta nowa substancja miała się stać katalizatorem, który przekształci resztę płynu w pojemniku.

W jej ustach gorzki smak przerodził się w słodycz.

Każdy czyn, jakiego dokonała w dotychczasowym życiu, był dla niej jasny, oczywisty. Siostra Margot Rashino-Zea, obecnie lady Fenring, badała każdy szczegół życia, każdą komórkę ciała... nawet każdą myśl, jaka ją nawiedziła. Gdzieś w samym jądrze napotkała na ciemne miejsce, do którego nie miała wstępu, fascynujące, a zarazem budzące przerażenie. Tam zajrzeć mógł tylko długo oczekiwany Kwisatz Haderach. Lisan al-Gaib.

„Przetrwam to” – powiedziała sobie.

W głowie dźwięczało jej tak, jakby znajdował się w niej gong. Widziała zniekształcony obraz chwiejącej się przed nią sajjadiny Ramallo. Potem jeden z wodarzy podszedł do Margot i wcisnął jej między wargi ustnik, a zabrawszy kroplę przetworzonego płynu, wyprostował rurkę i pozwolił katalizatorowi spłynąć do środka. Obok niej to samo zrobiła z drugim bukłakiem Ramallo, a ludzie zaczęli się cisnąć, wyciągając łapczywie ręce po oba bukłaki, by zacząć zwilżać wargi odmienionym płynem i przekazywać narkotyk dalej.

Gdzieś w świadomości Margot odezwała się Ramallo:

– Umożliwiłaś im to.

Osobliwe... Doświadczenie tak odmienne od wszystkich innych, a przecież wcale nieobce...

Powoli, niczym tancerka pływająca gdzieś we własnej świadomości, Margot zaczęła powracać do skalnej jaskini, a wywołana narkotykiem wizja stawała się tylko błyskiem w pamięci. Wolanie wyciągali palce, brali na nie drogocenne krople, zlizywali i zaraz odsuwali się, aby ustąpić miejsca innym. Euforia rozprzestrzeniała się niczym świt w otwartej na wschód jaskini.

– Tak – odezwała się wreszcie Ramallo. – Kiedyś byłam Wielebną Matką. Znałam waszą Matkę Przełożoną. – Ciągłe jeszcze czując wstrząs narkotykowy, Margot nawet nie potrafiła okazać zdumienia, podczas gdy stara pokiwała głową. – Harishka i ja byłyśmy koleżankami szkolnymi... dawno, dawno temu. Przyłączyłam się do Missionaria Protectiva i zostałam wysłana razem z dziewięcioma innymi Wielebnymi Matkami. Przedtem wiele naszych sióstr zaginęło pośród plemion wolańskich, inne po prostu umarły na pustyni. Ja jestem ostatnia. Nawet dla wykształonej Bene Gesserit życie na Diunie jest trudne. I to niezależnie od melanżu, który nauczyłyśmy się tutaj rozumieć i oceniać na nowy sposób.

Margot zajrzała w oczy Ramallo i dostrzegła w nich zrozumienie.

– W swej wiadomości wspomniłaś o Lisanie al-Gaibie – powiedziała drżącym głosem Ramallo. – Jest już blisko, czy tak? Po tysiącach lat oczekiwania...

Margot mówiła ściszym głosem, chociaż trudno było oczekiwać, że podsłuchają ich Wolanie, pograżający się coraz bardziej w ekstazie rytuału.

– Mamy nadzieję, że za dwa pokolenia.

– Ci ludzie czekali tak długo. – Sajjadina rozejrzała się po sali. – Ujawnię ci, dziecko, rzeczy ważne dla Bene Gesserit, ale mam podwójny układ lojalności. Jestem także Wolanką, która poprzysięgła wierność plemiennym wartościom. Niektórych tajemnic nie wolno ujawnić żadnemu obcoświatowcowi. Któregoś dnia będę musiała wybrać następczynię, z pewnością jedną z tych kobiet. – Ramallo spuściła głowę. – Orgia tau w siczy jest elementem wspólnym Bene Gesserit i Wolan. Na długo przed dotarciem tutaj Missionaria Protectiva, miejscowi nauczyli się, jak przy użyciu prostych, prymitywnych sposobów narkotycznie poszerzyć świadomość.

W mroku sali odurzeni Wolanie chybotali się samotnie lub w grupach, niektórzy zatopieni w kontemplacji, inni w podnieceniu nastający na osobę odmiennej płci. Owijały ich różnobarwne strzępy rzeczywistości, zamieniając na chwilę ich trudne życie w senny majak.

– Przez całe stulecia siostry takie jak ja wprowadzały ich w nowe obrzędy, a jednocześnie przyswajały sobie tutejsze obyczaje.

– Dokonałyście tutaj wielkich rzeczy, Matko. Na Wallach IX informacje te zostaną powitane z entuzjazmem.

Orgia potężniała, Margot zaś czuła, jakby się unosiła, odrętwiała i oddzielona od innych.



Sajjadina podniosła szponiastą rękę w geście błogosławieństwa.

– Złóż raport Harishce i... – Ramallo sięgnęła pod szatę – ...wręcz jej prezent.

Była to mała książeczka, zatytułowana, jak zobaczyła Margot, *Przewodnik PRZYJAZNA PUSTYNYA*. Niżej czerwonymi literami było napisane: „To miejsce życiem kipiące. Tutaj są ajat i burhan Życia. Uwierz w to, a al-Lat nigdy cię nie spali”.

– To przecież bardzo podobne do naszej Księgi Azhar! – zawołała Margot, zdumiona widokiem wersji przystosowanej dla Wolan. – Nasz Zbiór Wielkich Tajemnic.

– Wręcz ten poświęcony egzemplarz Harishce. Na pewno ją ucieszy.

Pełen teraz nabożnej czci kapłan z Rutii pomógł Margot wrócić do rezydencji w Arrakin. Dotarła tuż przed świtem, gdy na niebie pojawiały się leciutkie pomarańczowe odcienie, i wśliznęła się do łóżka. Poza Szadoutą nikt nawet nie podejrzewał, że lady Fenring gdzieś się oddalała. W podnieceniu przez kilka godzin nie mogła zasnąć...

Kilkanaście dni później, z głową pełną pytań poszła tą samą, z absolutną dokładnością utrwaloną w pamięci drogą. W pełnym świetle dnia wspięła się w górę Wieńcomuru Zachodniego i po wąskiej półce dotarła do wejścia jaskini. Upał uniemożliwiał szybki marsz.

Kiedy wśliznęła się do chłodnego korytarza, zobaczyła, że nie blokuje go gródź, a wszystkie pomieszczenia okazały się puste. Żadnych mebli, urządzeń, ludzi... Żadnych świadectw, jeśli nie liczyć pozostałości zapachów.

– A więc nie do końca mi zaufałaś, sajjadino – powiedziała na głos.

Na dłuższą chwilę zatrzymała się w sali, gdzie odbyła się tau. Uklękła w miejscu, gdzie posmakowała Wody Życia, słysząc jeszcze echa uroczystości. Już tylko echa...

Następnego dnia hrabia Hasimir Fenring powrócił z odbytej w towarzystwie barona Harkonnena podróży na pustynię. Podczas obiadu zaczął wypytywać ukochaną żonę, co robiła podczas jego nieobecności.

– Nic takiego, kochanie – powiedziała i potrząsnęła włosami o barwie miodu, a potem nachyliła się i pocałowała męża w policzek. – Doglądałam tylko swojego ogrodu.

*Stoję w obecności świętej ludzkiej obecności. Tak jak ja teraz, także ty powinnaś kiedyś tak stanąć. W twojej obecności modłę się, by tak się stało. Przyszłość jest nadal niepewna i taką powinna pozostać, albowiem to płótno, na którym malujemy swoje pragnienia. Kondycja człowieka na tym polega, że niezmiennie staje on naprzeciw pięknego pustego płótna. Dostępny nam jest tylko ten moment, w którym możemy nieustannie poświęcać samych siebie dla świętej obecności: w niej uczestniczymy i ją tworzymy.*

**błogosławieństwo Bene Gesserit**

– To jest nasz test człowieczeństwa, dziecko. – Oddzielona barierą blatu Wielebna Matka Gaius Helena Mohiam wyglądała jak zupełnie obca osoba, z kamienną twarzą oraz oczami czarnymi i bezwzględny. – A stawką jest życie.

Niezwyczajnie skupiona Jessika stała naprzeciw Cenzorki Przełożonej. Chuda dziewczynka z długimi brązowymi włosami i twarzą niosącą już zapowiedź urody, która miała dopiero rozkwitnąć. Z tyłu rozległo się złowrogie szcęknięcie drzwi zamykanych przez akolitkę, która przyniosła jej wezwanie do Matki Przełożonej.

„Jakiemu testowi chce mnie poddać?”

Zbierając wszystkie swe siły, Jessika przemówiła głosem czystym i równym:

– Tak, Wielebna Matko?

Dzięki ostatniemu awansowi Mohiam stała się Cenzorką Przełożoną szkoły zakonnej na Wallach IX. Miała własny gabinet, w którym na półkach w ochronnych kasetach z transplazu stały stare książki. Na biurku znalazły się trzy srebrne tacki, a na każdej inny geometryczny obiekt: zielony metalowy sześciąt, lśniąca czerwona piramida i złota kula. Pomiedzy nimi igrało światło odbite od ich powierzchni. Jessika przez długą chwilę wpatrywała się w ten hipnotyczny taniec.

– Musisz mnie teraz słuchać uważnie, moja droga, każdego słowa, każdej intonacji, każdego niuansu. Od tego zależy twoje życie.

Jessika poszukała spojrzenia małych, szarych, jakby ptasich oczu. Mohiam wydawała się zdenerwowana i przestraszona, ale dlaczego?

– Co to takiego?

Jessika wskazała brodą niezwykle przedmioty na biurku.

– Ciekawa jesteś, prawda?

Jessika przytaknęła.

– Są tym, za co je uznasz.

Głos Mohiam był suchy jak pustynny wiatr.

Obiekty poruszały się w zsynchronizowany sposób tak, że na powierzchni każdego utrzymywała się czarna dziura odpowiadająca jego kształtowi. Jessika zatrzymała wzrok na czerwonej piramidzie z trójkątnym otworem, a ta zaczęła płynąć w jej kierunku.

„To naprawdę czy tylko iluzja?”

Zdumiona wpatrywała się szeroko otwartymi oczami. Tak samo zachowały się dwa pozostałe przedmioty, aż wszystkie trzy zawisły na wysokości twarzy Jessiki. Tryskające z nich łuki świetlistych promieni sprawiały, że wszystko inne ginęło w tle.

Ciekawość Jessiki zmieszała się ze strachem.

Mohiam odczekała kilka sekund, a potem spytała twardym głosem:

– No i jaka jest pierwsza lekcja? Czego cię uczono od najmłodszych lat?

– Ludzie nigdy nie mogą podporządkować się zwierzętom. – Jessika pozwoliła, by w

głosie dał się posłyszeć odcień gniewu oraz irytacji; Mohiam rozpozna, że to intencjonalne. – Po tych wszystkich latach nauki wątpisz, Cenzorko Przełożona, w moje człowieczeństwo? Czy kiedykolwiek dałam powód...

– Zamilcz. W ludziach nie zawsze obecne jest tylko człowieczeństwo.

Kocim ruchem Mohiam okrążyła biurko i wpatrzyła się w Jessikę poprzez światło migoczące między sześcianem a piramidą.

Dziewczyna poczuła lekki ucisk w gardle, milczała jednak. Znając swą nauczycielkę, wiedziała, że coś nadchodzi. I tak rzeczywiście było.

– Dawno, dawno temu, w czasach Butleryjskiego Dżihadu, większość ludzi była tylko organicznymi automatami, które realizowały polecenia myślących maszyn. Poniżeni, nigdy nie pytali, nigdy nie oponowali, nigdy nie myśleli. Byli ludźmi, ale zabrakło w nich iskry człowieczeństwa. Jakaś ich część jednak sprzeciwiła się, nie chciała się poddać, podjęła walkę i ostatecznie przeważyła. Tylko oni pamiętali, na czym polega człowieczeństwo. Nie wolno nam zaniedbać tej nauki płynącej ze straszliwej przeszłości.

Z delikatnym szelestem aby, Wielebna Matka przesunęła się na bok, a potem jej ręka, uzbrojona w cienką igłę, wyfrunęła z niezwykłą szybkością i zatrzymała się tuż pod prawym okiem Jessiki.

Dziewczyna ani drgnęła, a blade usta Mohiam wykrzywiły się w uśmiechu.

– Słyszałaś o gom dżabbarze, „wrogu ostatecznym”, który zabija zwierzęta, czyli istoty powodujące się instynktem, a nie dyscypliną? Ostrze pokryte jest metacyjankiem. Wystarczy małe draśnięcie, a umrzesz.

Igła trwała nieruchomo, jakby zakrzepła w powietrzu. Mohiam nachyliła się do ucha Jessiki.

– Z tych trzech przedmiotów, które masz przed sobą, jeden to ból, drugi – przyjemność, a trzeci – wieczność. Zakon korzysta z nich na wiele sposobów i w różnych kombinacjach. W tej próbie masz wybrać obiekt ci najbliższy i jeśli się ośmielisz – doświadczyć go. Nie będzie żadnych dalszych poleceń, to cały test.

Nie poruszając głową, Jessika przyjrzała się po kolei każdemu z przedmiotów. Korzystając z właściwej Bene Gesserit zdolności obserwacji – a także z czegoś jeszcze, czego źródła nie potrafiła rozpoznać – wyczuła przyjemność w piramidzie, ból w sześcianie, wieczność w kuli. Nigdy jeszcze nie była poddawana takiej próbie i nic o niej nie wiedziała, mimo iż słyszała o gom dżabbarze, legendarnej igle wynalezionej w zamierzchłej przeszłości.

– Oto próba – powtórzyła Wielebna Matka. – Jeśli jej nie sprostasz, ukłuję cię.

Jessika poczuła, że sztywnieje.

– A wtedy umrę.

Wiekowa cenzorka zastygła przy swej podopiecznej niczym sęp, śledząc każde drgnięcie jej powieki, najdrobniejszy nawet tik twarzy. Musiała przeprowadzić ten egzamin, nie dając

jednocześnie poczuć Jessice swej niepewności i swego strachu.

„Nie możesz zawieść, moja córko”.

Gaius Helena Mohiam szkolila Jessikę od samego początku, uczennica jednak nic nie wiedziała o swoim pochodzeniu ani o roli, jaką pełniła w zakonnym programie kultywacyjnym. Nie wiedziała, że Mohiam jest jej matką.

Jessika pobladała z napięcia, na jej gładkim czole pojawiły się krople potu. Mohiam wpatrzona we wzorce na przedmiotach widziała, że dziewczyna miała jeszcze do przebycia kilka poziomów wewnątrz swego umysłu.

„Musisz to przetrwać, dziecko. Następny raz nie dam już rady. Jestem za stara”.

Pierwsza z córek uzyskanych od barona okazała się słaba i ułomna; idąc za podszeptem straszliwego snu proroczego, Mohiam ją zabiła. Nie miała wątpliwości, że wizja była prawdziwa: zobaczyła swoje miejsce w realizowanym przez zakon od tysiącleci programie kultywacyjnym. Zarazem jednak z przerażającą jasnością zobaczyła, że jeśli ten wielki zamysł zbczy z toru realizacji, Cesarstwo pograży się w bólu i śmierci, planety będą płonąć i wszędzie rozpełnie się szaleńcze bratobójstwo, jeśli... w następnym pokoleniu narodzi się ułomne dziecko.

Mohiam zabiła już jedną swoją córkę, a teraz, w razie konieczności, była też gotowa poświęcić Jessikę. Lepiej, by ona zginęła, niż by nastąpił kolejny straszliwy dżihad.

Zatruta srebrna igła była o włos od gładkiej skóry Jessiki. Dziewczyna leciutko zadrżała.

Jessika wszystkie swe siły skupiła na słowach Litanii Przeciw Trwodze. „Nie mogę się lękać. Strach zabija umysł. Strach jest małą śmiercią, która niesie ze sobą całkowite unicestwienie”.

Wzięła uspokajający oddech i skupiła się na pytaniu: „Na co się zdecydować? Zły wybór oznacza śmierć”. Uświadomiła sobie, że musi zejść niżej i w epifanii zobaczyć, jak usytuowane były w ludzkiej wędrówce owe trzy obiekty: ból narodzin, przyjemność życia i wieczność śmierci. Mohiam powiedziała, by wybrała to, co najbliższe. Ale tylko jedno? Od czego zacząć, jeśli nie od początku?

„Najpierw więc ból”.

– A zatem wybrałaś – powiedziała Mohiam, widząc drgnięcie prawej ręki Jessiki. Uczennica ostrożnie włożyła rękę do zielonego sześcianu. Natychmiast poczuła, jak skóra zaczyna płonąć, a ból przenika aż do kości. Pod wpływem straszliwego gorąca jeden po drugim oddziaływały się paznokcie. Takiego bólu nigdy dotąd nie potrafiła sobie nawet wyobrazić, podczas gdy ten jeszcze się wzmagał.

„Stawię mu czoło. Pozwolę, aby zalał mnie i przelał się przeze mnie”.

Z najwyższym wysiłkiem zdobyła się na życie bez ręki, zablokowała działanie wszystkich nerwów. Zrobi to, jeśli zajdzie potrzeba. Ale potem, nawet pomimo bólu, górę wzięła logika. Nigdy w szkole nie widziała Wielebnej Matki tylko z kikutem przegubu. A jeśli wszystkie

akolityki musiały sprostać takiej próbie...

„Tam, gdzie przeszedł strach, nie będzie już nic”.

W jakiejś odległej części mózgu pojawiła się refleksja, że nie czuje zapachu palonego mięsa, skapywania tłuszczu, nie widzi szarego dymu...

„Zostanę tylko ja”.

Walcząc o kontrolę nad nerwami, Jessika zablokowała dopływ bólu. Od łokcia aż po przegub czuła tylko zimne odrętwienie. Nie było już ręki, nie było bólu. Głębiej, głębiej. Chwilę później nie miała już żadnej fizycznej postaci, całkowicie oddzieliwszy się od ciała.

Z otworu w sześcianie unosiła się delikatna mgiełka jak z kadzidła.

– Dobrze, dobrze – szepnęła Mohiam.

Mgła – wypływ świadomości Jessiki – wpełzła do czerwonej piramidy. Teraz na dziewczynkę spływała przyjemność, błoga, ale tak zaskakująca, że niemal nie do zniesienia. Przejście od jednego ekstremum do drugiego. Dygotała, potem zaczęła płynąć i wzbierać niczym wielka fala na oceanie: coraz wyżej, wyżej, podobna do grzywacza...

Ale mgła świadomości nagle za szczytu spływała w dół, zaczęła się oddalać, słabnąć...

Obrazy zniknęły i Jessika poczuła dotyk pantofli na stopach, pot na skórze, twardość podłogi pod stopami. Prawa ręka... Nadal jej nie czuła, nie mogła jej zobaczyć, czy nawet podnieść, tylko oczy mogły się poruszać.

Kiedy zerknęła w prawo, zobaczyła zatrutą igłę obok swego policzka, zabójczy gom dżabbar, za którym lśniła złocista kula wieczności. Ręka Mohiam trwała jak skamieniała, a Jessika skupiła się srebrzystym końcu, lśniącym centrum wszechświata. Lekkie ukłucie, a ciałem i duchem wkroczyłyby do sfery wieczności, z której nie byłoby już powrotu. W tej chwili nie czuła przyjemności ani bólu, teraz, po drugiej stronie właściwej decyzji, doświadczała tylko odrętwienia.

I nagle w głowie pojawiła się myśl: „Jestem niczym!”

– Ból, przyjemność, wieczność... wszystko jest mi bliskie – mruknęła wreszcie – czym jest bowiem jedno bez drugiego?

Dla Mohiam było jasne, że córka zniosła tę próbę, zdała egzamin. Sama tylko zwierzęcość nie potrafiłaby pojąć tak abstrakcyjnych rzeczy. Dziewczyna była wyraźnie wstrząśnięta. Igła cofnęła się.

Jessika odniosła wrażenie, że próba zakończyła się zupełnie niespodziewanie. Tak jakby tylko to sobie wyobraziła: ból, przyjemność, nicność. A wszystko uzyskane dzięki zdobywanej przez Bene Gesserit kontroli nad umysłem, ogromnej umiejętności sióstr, by kierować myślami i działaniami innych osób. Próba.

Czy naprawdę wkładała rękę do zielonego sześcianu? Czy stała się mgłą? Obiektywnie nic na to nie wskazywało, ale kiedy zgięła palce dłoni, były sztywne i nabrzmiałe.

Czując od siebie zapach potu, Mohiam musiała zapanować nad drżeniem. Na chwilę przygarnęła Jessikę, a potem wróciła do swej zwykłej oficjalności.

– Witaj w zakonie żeńskim, ludzka istoto.

*Walczyłem w licznych wojnach w obronie Cesarstwa i w imię Cesarza wielu ludzi pozbawiłem życia. Pełniłem funkcje w Landsraadzie. Zwiedziłem kontynenty Kaladanu. Wykonywałem wszystkie drobne obowiązki związane z kierowaniem Wysokim Rodem. A przecież i tak najpiękniejsze były chwile spędzane z synem.*

### **książę Paulus Atryda**

Kiedy książęca powietrzna szalupa znalazła się już na pełnym morzu, stojący na dziobie Leto obejrzał się i objął wzrokiem starodawny Zamek Kaladan, będący siedzibą Atrydów od dwudziestu sześciu pokoleń. Z tej odległości nie mógł rozpoznać twarzy, był jednak pewien, że niewielka figurka na balkonie to Kailea, która wprawdzie do końca sprzeciwiała się zabrani dwuipółletniego Victora, teraz jednak z oddali ich żegnała. Leto poczuł się jakoś pokrzepiony tym faktem.

– Mogę stanąć przy sterze? – Na okrągłej twarzy Rhombura widniał pełen nadziei uśmiech. Jego niesforne jasnoblond kędziory powiewały na wietrze. – Nigdy dotąd nie prowadziłem takiej wielkiej łodzi.

– Poczekaj, aż znajdziemy się naprawdę daleko. – Leto przekornie spojrział na następcę tronu rodu Verniusów. – Tam będzie bezpieczniej, bo na płyciźnie raz o mało nie wpakowałeś nas na rafy.

Rhombur zaczerwienił się.

– Dużo się od tego czasu nauczyłem. Hm, zwłaszcza zdrowego rozsądku.

– To racja. Tessja ma dobry wpływ na ciebie.

Płowowłosa Bene Gesserit odprowadziwszy Rhombura na przystań, pożegnała się z nim namiętnym pocałunkiem. Kailea natomiast nie chciała się ruszyć na krok z zamku.

Na rufie statku Victor zaśmiewał się z wiatru czeszącego mu loki, a obok stał uważny i czujny kapitan Swain Goire. Zabawiał chłopca, nieustannie go strzegąc.

Osiem osób towarzyszyło Letu i Victorowi w tej wyprawie dla przyjemności. Oprócz Rhombura i Swaina byli także Thufir Hawat, dwóch strażników, dowódca rącej szalupy oraz dwaj młodzi rybacy, Gianni i Dom, którzy byli towarzyszami zabaw chłopięcych Leta. Będą łowić ryby, obejrzą lasy wodorostów, zobaczą kelpowe wyspy. Leto miał zamiar pokazać synowi cuda Kaladanu.

Kailea nie chciała wypuszczać Victora z zamku, gdzie co najwyżej groziły mu przeciągi i przeziębienie. Leto w milczeniu wysłuchał jej sprzeciwów, wiedząc, że mniej chodzi o podróż szalupą, a bardziej o manifestację niezgody, co powtarzało się już od dłuższego czasu.

Być może sączone ukradkiem komentarze Chiary umacniały Kaileę w przekonaniu, że Leto w duchu skazał ją już na nieznośną sytuację.

– Nie chcę być do końca życia banitką! – wołała ostatniego wieczoru przed wyjazdem, jak gdyby miało to jakiś związek z planowaną podróżą.

Leto z trudem powstrzymał się od przypomnienia Kailei, że podczas gdy jej matka została brutalnie zamordowana, ojciec przepadł bez wieści, a poddani żyli pod tyrańską władzą Tleilaxan, ona żyła w pałacu, chowając zdrowego, udanego syna i korzystając z wszystkich luksusów i udogodnień, na jakie mógł sobie pozwolić Wysoki Ród.

– Nie powinnaś się uskarżać, Kaileo – powiedział tylko, opanowując wzburzenie.

Nie mógł wprawdzie zaspokoić niepoohamowanych ambicji konkubiny, chciał jednak wszystkiego, co najlepsze, dla ich syna.

I oto znaleźli się daleko od lądu, pod bezkresnym niebem pokrytym obłokami i pośród przeczystego powietrza. Dziób łodzi wrzynał się w wodę niczym nóż w pudding z ryżu pundi.

Thufir Hawat pozostał w kabinie, uważnie śledząc odczyty przebiegu torów wodnych oraz prognozy pogody, aby zawczasu wykryć zapowiedź niebezpieczeństwa, gdyby takie zaistniało. Sam Mistrz Assassinów był w znakomitej formie, z ciałem gibkim, a mięśniami jak postronki, podczas gdy umysł mentata pozwalał rozpoznawać zawiłe sploty wrogich intryg. Rozważał trzecio – i czwartorzędne konsekwencje posunięć Leta i Kailei, nad którymi oni nie mieli czasu ani ochoty się zastanawiać.

Wczesnym popołudniem zarzucili sieci. Chociaż Gianni całe życie był rybakim, wcale nie ukrywał, że na obiad woli solidny stek podlany dobrym kaladańskim winem, tutaj jednak musieli żywić się tym, czego nie poskąpi im morze.

Kiedy zaczęli wyciągać bogaty połów, Victor skoczył oglądać szamoczące się tęczowe ryby, a czujny Goire nie odstępował go na krok, aby przypadkiem nie dotknął tych, które miały trujące łuski.

Leto starannie wybrał cztery tłuste maślenice, a potem wraz z synem pomagał całą resztę wrzucić z powrotem do wody. Z zachwytem patrzyli, jak ryby, znowu w swym żywiole, niczym małe torpedy rozpierzchają się na wszystkie strony.

Teraz przyszła pora na pływający kontynent ziela sargassowego, którego zielono-brązowa połać ciągnęła się jak okiem sięgnąć. Między liśćmi migały brązowe strugi. Bzyczały muchy składające jaja na kroplach wody, białe-czarne ptaki przeskakiwały z liścia na liść i chwytaly małe ostrygi kłębiące się pod ciepłą powierzchnią. Powietrze przesycone było ostrym zapachem gnijących roślin.

Zaczepili się kotwicą o wodorosty i odprężeni oddali się rozmowom i śpiewom. Swain Goire pomógł Victorowi zarzucić wędkę w wodne oczko i chłopcu udało się złapać kilka małych srebrzystych rybek. Chwycił jedną z nich w obie ręce, aby się nie wyśliznęła, i pobiegł pokazać ojcu. Po całym tak męczącym dniu chłopiec zaraz po zachodzie słońca wpełzł na prycze i natychmiast zasnął.

Leto zagrał kilka razy w karty z oboma rybakami, a chociaż był ich księciem, grali tak, aby go pokonać. Traktowali go jak przyjaciela, co całkowicie zgadzało się z jego intencjami. Potem, przy smutnych opowieściach i jeszcze smutniejszych pieśniach, sentymentalny Gianni nie mógł się powstrzymać od łez.

Następnie długo w nocy Leto i Rhombur siedzieli w ciemności i rozmawiali. Rhombur dostał właśnie zaszyfrowaną wiadomość od C'taira Pilru, że otrzymał materiały wybuchowe, ale żadnej informacji, jak zamierzał je wykorzystać. Młodego Verniusa niesłychanie pasjonowały wyobrażenia, co robią spiskowcy na Ix, ale na razie pozostawały mu jedynie wyobrażenia.

Rozmawiali o nieustannych wysiłkach dyplomatycznych Leta, jeśli chodzi o konflikt między Moritanami a Ekazami. Napotykał na opór nie tylko zwaśnionych stron, ale także samego Szaddama, któremu, jak się zdaje, nie w smak były interwencje Atrydy. Cesarz był w istocie zdania, że kilkuletni pobyt legionu sardaukarów na Grumman sam przez się rozwiązał już problem. A tymczasem wystarczyło, by znikły siły rozjemcze, a waśnie znowu zaczęły się zaostrzać.

Zapadła chwila ciszy, a kiedy wzrok Leta padł na kapitana Goire'a, przypomniał mu się inny z przyjaciół i wojowników.

– Mijają już cztery lata, jak Duncan Idaho jest w Szkole Ginazów.

– Będzie wspaniałym mistrzem miecza – oświadczył z przekonaniem Rhombur, zapatrzony w mrok, gdzie między sargassowymi roślinami przegadywały się murmony. – A po tylu latach wyczerpujących treningów będzie tysiąc razy bardziej pożyteczny. Zobaczysz.

– W każdym razie bardzo mi go brakuje.

Nazajutrz Leto zbudził się o szarym świcie. Głęboko zaczerpnął powietrza, czując się wypoczęty i pełen energii. Victor jeszcze spał, z jednym rogiem koca zaciśniętym w piąstce. Rhombur ziewał na swej koi i przeciągał się, ale nic nie sugerowało, by chciał razem z Letem wyjść na pokład. Nawet na swojej rodzinnej planecie księżę Ix nigdy nie był rannym ptaszkiem.

Kapitan powietrznej szalupy już podnosił kotwicę. Na polecenie Hawata – czy ten mentat kiedykolwiek spał? – płynęli poprzez wodorosty wzdłuż wybrzeża w dół szerokiego kanału, ku otwartemu morzu. Leto stał na przednim pokładzie, ciesząc się panującą dookoła ciszą, którą mącił jedynie pomruk silników szalupy. Milczały nawet skaczące ponad wodorostami ptaki...

Księżę zauważył dziwne zabarwienie chmur na horyzoncie, jakąś poruszającą się migotliwą plamę, jakiej jeszcze nigdy w życiu nie widział. Kapitan zwiększył moc silników i stateczek przyspieszył.

Leto pociągnął nosem: metaliczny zapach ozonu, ale z jakąś kwasową domieszką. Zmrużył szare oczy, gotowy wzywać w razie czego kapitana... Jakiś elektryczny ładunek,



nisko nad wodą, jak żywy... „I zbliżający się w naszym kierunku!”

Pobiegł na mostek.

– Widzi pan, kapitanie?

Zapytany uważnie wpatrywał się we wskazanym kierunku.

– Obserwuję to już od dziesięciu minut, Wasza Wysokość, i w tym czasie odległość zmniejszyła się o połowę.

– Nigdy dotąd czegoś takiego nie widziałem – rzekł Leto. – Wie pan, co to takiego?

– Mam pewne podejrzenia. – Na twarzy kapitana malowała się troska i niepokój; pociągnął drążek gaźnika i silniki jeszcze bardziej przyspieszyły. – Uważam, że należy uciekać.

I pokazał w lewo od nadciągających świateł. Ton głosu Leta zniemacka się zmienił; przyjacielską nutę zastąpiła książęca władczość.

– Proszę dokładniej, kapitanie.

– Moim zdaniem to elakran, Wasza Wysokość.

Leto zaśmiał się w pierwszej chwili, ale potem umilkł.

– Elakran? Przecież to tylko mit!

Ojciec lubił opowiadać mu różne historie, kiedy siedzieli na plaży przy ognisku, a płomienie rzucały migotliwe światło na ich twarze.

– Zdziwiłbyś się, chłopcze, co takiego można spotkać na morzu. – Z tymi słowami Paulus wyciągnął rękę w mrok. – Matka na pewno nie chciałaby, żebym ci o tym wspominał, ja jednak sądzę, że powinieneś wiedzieć.

Zaciągał się dymem z fajki i snuł historie jedna za drugą...

Teraz kapitan pokręcił głową.

– Istnieją, Wasza Wysokość, chociaż rzadko się je widuje. Jeśli istota taka naprawdę żyła, to, jak wiedział Leto, nieść musiała ze sobą śmierć i zniszczenie.

– Zmieniaj zatem kurs i cała naprzód.

Kapitan położył szalupę na prawą burtę, zostawiając za sobą spieniony ślad, a pokład przechylił się tak, że ludzie powylatywali ze swych koi. Leto tak mocno chwycił się metalowej poręczy, że zbieleły mu kostki palców.

Na pokład wypadli Thufir Hawat i Swain Goire, dopytując się o powód manewru. Popatrzyli za palcem Leta, a Goire zaklął siarczyście, czego nigdy nie robił w towarzystwie Victora. Hawat ze zmarszczonymi brwiami oddał się mentackiej analizie, a uwzględniając wszystkie dostępne dane, oznajmił:

– Mój książę, jesteśmy w tarapatach.

Lśniąca światło i wzburzona piana zbliżyły się do ich rufy tak szybko, że woda zaczęła parować. Czoło kapitana było obficie zroszone potem.

– Zobaczył nas, Wasza Wysokość.

Szarpnął za drążek tak mocno, że omal go nie złamał.

– Nawet w powietrznej szalupie nie zdołamy umknąć. Musimy się przygotować na atak.

Leto włączył alarm, a na jego znak natychmiast pojawili się obaj gwardziści i rybacy, a także Rhombur z Victorem, który przestraszony wtulał się w stryja.

Hawat potrząsnął głową.

– Nie mam pojęcia, jak walczyć z mitem. – Spojrzał na księcia z wyrazem skruchy, jakby to była jego wina, i zaraz dorzucił: – Ale spróbujemy.

Goire postukał w burzę.

– To nas nie ochroni?

Gwardziści przyjęli pozycję bojową, gotowi zetrzeć się ze wszystkim, co księżę wskaże im jako nieprzyjaciela.

– Elakran to zbitka duchów tych, którzy zginęli na morzu – powiedział niepewnie Dom, wychylając się z kabiny mostka, podczas gdy inni skoczyli na rufę oglądać prześladowcę.

Gianni, brat Dorna, pokręcił głową.

– Nasza babka mówiła, że to żywa zemsta wzgardzonej kobiety. Dawno temu pewna niewiasta wyszła na brzeg podczas burzy i ciskała na wiatr przekleństwa pod adresem mężczyzny, który ją porzucił. Trafił ją piorun i w ten sposób narodził się elakran.

Leto zaczynał odczuwać ból w oczach wpatrzonych w zbliżającego się do nich elakrana: widać było potężne iskry i macki gazu. Błyskawice przeskakiwały z fali na falę, wzburzoną wodę otaczała chmura mgły i ozonu. Im bliżej łodzi był elakran, tym bardziej nabrzmiewał, wsysając w siebie wodę i wyrzucając ją niczym gejzer.

– Słyszałem – mruknął kapitan – że zachowuje kształt i życie tylko tak długo, jak długo ma styczność z wodą.

– To użyteczna informacja – zauważył Hawat.

– Na szkarłatne piekła! – zaklął Rhombur. – Przecież nie wyciągniemy tego cholerstwa z wody! Musi być jakiś inny sposób na unieszkodliwienie go.

Hawat wydał szczekliwy rozkaz i gwardziści zerwali z pleców laserobiny, które mentat bardzo stanowczo kazał im zabrać. Leto wprawdzie wątpił, by pojawiła się jakakolwiek okazja do ich użycia, teraz jednak był bardzo rad. Dom i Gianni tylko zerknęli na złowieszczy kłęb energii i zbiegli pod pokład.

Swain Goire upewnił się, że Victor jest z Rhomburem, i podniósł broń. Pierwszy wysłał z rufy pędzącej szalupy pulsujący snop światła, nie czyniąc żadnej szkody elakranowi. W chwilę później wystrzelili Thufir Hawat i jeden ze strażników.

– Bez skutku! – Mentat musiał podnieść głos, aby przekrzyczeć potężniejące buczenie. – Księżę, proszę się schronić do kabiny.

Nawet poprzez kadłub Leto czuł rozgrzane powietrze, a także zapach spieczonej soli i palących się wodorostów. Jakaś pierwotna energia szalała w elakranie i coraz natarczywiej napierała na powietrzną szalupę. Odnosiło się wrażenie, że jednym smagnięciem mogłaby ogarnąć cały statek i porazić wszystkie znajdujące się na nim osoby.

– Nigdzie nie ma bezpiecznego schronienia, Thufirze – krzyknął Leto i spojrzał zatroskany na syna, który mocno obejmował Rhombura.

Jakby tylko po to, aby dowieść swej mocy, jedna ze świetlistych macek elakrana wzniosła się w górę i lekko dotknęła burty. Wielki kawał metalu odleciał w snopie iskier, a silniki zakaszlały i zgasły, a kiedy kapitan usiłował je uruchomić, reagowały tylko zgrzytem.

Wydało się, że Goire gotów jest rzucić się w sypiącą skrami masę, jeśli tylko mogłoby to w czymś pomóc. Szalupa gwałtownie zwalniała, a mężczyźni dalej strzelali z laserobinów, chociaż skutek był dokładnie tak samo nikły, jakby rzucali nożami. Leto zrozumiał jednak, że celują w niewłaściwe miejsce. Łódka zaczęła się powoli obracać, kierując się dziobem do potwora. Widząc to, Leto skoczył naprzód, na ostrzegawcze krzyki Hawata odpowiadając tylko machnięciem ręki.

Odwaga była cechą rodową Atrydów, a Leto musiał pokładać nadzieję w tym, że umysł kapitana nie był pełen czczych historyjek.

– Leto! Nie! – zawołał Rhombur i przygarnął do piersi Victora, który wyrwał się ze wszystkich sił, aby biec w ślady ojca.

Leto krzyczał i machał rękami, mając nadzieję, że w ten sposób zachęci potwora do ataku.

– Tutaj! Tutaj!

Chciał ratować nie tylko syna, ale także innych członków załogi. Maszyny nadal nie odpowiadały na wysiłki kapitana. Hawat, Goire i obaj strażnicy rzucili się Letu na pomoc. Patrzył, jak elakran nabrzmiewa. Wzbierając niczym wielka fala sztormowa, mordercza istota zmniejszała swój kontakt ze słoną wodą. Pod wpływem silnego ładunku Letu zjeżyły się wszystkie włosy; miał wrażenie, że nagle obsiadły go miliony maciupieńkich owadów.

Najważniejsze było precyzyjne zharmonizowanie wszystkich działań.

– Thufir, Swain, walcie z laserobinów w wodę pod nim, niech zaczną parować! – krzyknął Leto, a sam wysoko wyrzucił dłonie, ofiarując siebie potworowi. Był bezbronny, nie miał czego przeciwstawić maszkarze.

Elakran lśnił coraz mocniej, będąc jedynie jakąś pierwotną energią, bez twarzy, oczu, pazurów.

Hawat wydał rozkaz w tej samej chwili, w której Leto rzucił się na pokład. Dwa laserobiny zamieniły wodę u podstawy elakrana w obłoki pary. Leto potoczył się na bok, aby ukryć się za stanowiskiem miotacza harpunów. Do salwy przyłączyli się także obaj strażnicy.

Elakran zatrzeszczał jakby w zdumieniu i usiłował połączyć się z wodą, która pod nim wrzała i zamieniała się w parę, dwa razy ze strasznym krzykiem uderzył błyskawicami w łódź, ale wystarczyło na chwilę oddzielić go od wody, by nagle błyskając i skrząc się, rozpląnął się w nicość, wracając do królestwa mitu. Na pokład zwała się fala wody migotliwej i rozdygotanej, jakby zawierała w sobie jeszcze jakiś ślad obecności elakrana. Na Leto spadł deszcz gorących kropli. Zapach ozonu utrudniał oddychanie.

Ale już chwilę później ocean był cichy, spokojny, jakby nic się nie zdarzyło...

W drodze powrotnej Leto czuł się wyczerpany, zarazem jednak szczęśliwy, że udało mu się znaleźć rozwiązanie w dramatycznej sytuacji, a dzięki temu uratować syna i pozostałych. Gianni i Dom układali już historie, którymi raczyć będą słuchaczy przez niezliczone wieczory.

Uśpiony przez rytmiczny pomruk silników, Victor zasnął w objęciach Leta, który zapatrzył się w spieniony ślad na wodzie. Głaskał ciemne włosy syna i uśmiechał się do jego niewinnej twarzyczki, w której rozpoznawał cechy cesarskiej linii genetycznej, jakie on sam odziedziczył po matce: wąski podbródek, baczne szare oczy, orli nos.

Wpatrywał się tak w śpiącego chłopczyka i zastanawiał, czy bardziej kocha jego czy też Kaileę. Mówiąc prawdę, w ogóle nie był pewien, czy ją jeszcze kocha, a takie wątpliwości nachodziły go szczególnie przez ostatni rok, kiedy ich wspólne życie stawało się coraz bardziej przykre.

Czy coś takiego odczuwał także jego ojciec wobec swej żony, związany z osobą, której oczekiwania i zainteresowania były tak odmienne od jego własnych? Niewiele osób wiedziało, że to lady Helena zaplanowała usunięcie księcia Paulusa, podstępny knowaniem doprowadziwszy do jego śmierci w walce z salusańskim bykiem.

Leto ucałował synka delikatnie, aby go nie przebudzić, i poprzysiągł w duszy, że nigdy już nie narazi go na takie niebezpieczeństwo. Jego serce przepełniała miłość do Victora. Może Kailea miała rację, że nie powinien go zabierać na tę przejażdżkę po morzu.

Ale już w następnej chwili czułość zniknęła z jego spojrzenia. „Nie mogę być wobec niego nadopiekuńczy”. Straszny błędem było rozpieszczanie chłopca. Tylko stawiając czoło niebezpieczeństwom i trudnościom – co za sprawą Paulusa stało się udziałem Leta – mógł utrwalić w sobie stanowczość, niezłomność i odwagę, a były to najważniejsze cechy władcy.

Raz jeszcze z czułością spojrzął na Victora. „Ostatecznie przecież kiedy nadejdzie taki czas, także on zostanie księciem”.

Popatrzył na przyćmioną, szarą linię brzegu, wynurzającego się z porannej mgły, a potem wyłaniający się Zamek Kaladan i jego doki.

Dobrze będzie znowu znaleźć się w domu.

*Ciało i umysł to dwa zjawiska obserwowane w odmiennych warunkach, ale stanowiące jedną i tę samą rzeczywistość. Ciało i umysł to aspekty żywej istoty. Działają zgodnie ze szczególną zasadą synchronii, zgodnie z którą odmiennie istnienia zachowują się tak, jakby były tym samym... choć można je pojmować oddzielnie.*

Był późny deszczowy poranek; wraz z kolegami Duncan Idaho czekał na rozpoczęcie następnego cyklu zajęć na kolejnej wyspie archipelagu, będącego w istocie zespołem oddzielnych sal treningowych.

Ich obecny nauczyciel, spocony i tłusty, odziany był w luźną szatę w kolorze khaki. Spod czerwonej opaski na wielkiej głowie rude włosy sterczały w usztywnionych deszczem kosmykach. Jego oczy, o spojrzeniu kłującym jak szpilki, były tak brązowe, że źrenice trudno było odróżnić od białek. Z krtani skrytej pod masywnym podbródkiem dobywał się głos wysoki i przenikliwy.

Kiedy jednak mistrz miecza Rivvy Dinari zaczynał walczyć, ruchy jego były płynne i szybkie jak u atakującego drapieźnika. Duncan nie widział niczego śmiesznego w posturze wojownika i dobrze wiedział, jak lekkomyślne byłoby lekceważenie go. Najpewniej jego jowialna powierzchowność stanowiła zwodniczą maskę.

– Jestem tu legendą – powiedział – a nawet jeśli o tym nie wiecie, szybko się dowiecie.

Zaczynało się drugie czterolecie nauki Duncana, a od chwili gdy Idaho stawał do walki w straszliwie ciężkiej zbroi, liczba uczestników zmniejszyła się o połowę. Kilku zginęło w trakcie ćwiczeń, inni wyjechali zrezygnowani. „Tylko najlepsi mogą zostać mistrzami miecza” – mówili nauczyciele, jakby to wszystko wyjaśniało.

Duncan górował nad innymi nie tylko w bezpośrednich starciach, ale także w niezwykle istotnych podczas boju ćwiczeniach intelektualnych. Zanim opuścił Kaladan, należał do najlepszych wojowników Atrydów, dopiero tutaj jednak mógł się przekonać, jak niewiele wiedział.

– To nie pieszczoty urabiają człowieka walki – powtarzał dzień w dzień mistrz miecza Mord Cour – lecz prawdziwe bojowe wyzwania, kiedy należy dotrzeć do granic swoich możliwości, a nawet poza nie.

Niektórzy nauczyciele zajmowali się tylko taktyką militarną, historią wojskowości, a nawet filozofią i polityką, bardziej pasjonując się bataliami retorycznymi niż rzeczywistymi. Inni z kolei wprowadzili Duncana i jego towarzyszy w arkana techniki i materiałoznawstwa, pokazując, jak rozbierać i składać różne typy broni oraz jak z najzwyklejszych środków budować własne śmiertelne urządzenia. Poznawał sposoby użycia i naprawy różnych rodzajów tarcz, wielkie systemy obronne, układał plany rozgrywania wielkich i małych konfliktów.

Teraz, chociaż ulewa wygrywała mocny rytm na piachu plaży i skałach, wydawało się, że uczniowie Rivvy Dinariego w ogóle jej nie zauważali.

– Przez następne sześć miesięcy będziecie przyswajali samurajski kodeks walki i ściśle z nim związaną filozofię buszido. Jeśli was przyrównać do oślizłych kamieni, to ja będę potoczystym strumieniem i tak długo będę się zmagał z waszym oporem, aż nauczycie się

wszystkiego, co mogę wam dać.

Tak szybko przenosił wzrok z jednej twarzy na drugą, że wydawało się, iż mówi do każdego z nich z osobna. Jedna po drugiej skapywały z jego nosa deszczowe krople.

– Musicie nauczyć się honoru, inaczej bowiem wszystkie inne nauki pójdą na nic.

– Honorem przecież nie wygrywa się bitew – przerwał nauczycielowi buńczuczny, krnąbrny Trin Kronos – jeśli przeciwnik nie trzyma się tych samych co my reguł. Mistrzu, jeśli nałożyć na siebie jakieś absurdalne ograniczenie, to pokona nas każdy gnojek, który ich nie będzie przestrzegał.

Słyszając te słowa, Duncan nieco lepiej rozumiał kilka prowokacyjnych posunięć wicehrabiego Moritaniego podczas konfliktu z Ekazami. Ci z Grumman nie uważali, by obowiązywały ich te same zasady co przeciwników.

Dinari spurpurowiał na twarzy.

– Zwycięstwo bez honoru nie zasługuje na tę nazwę.

Kronos pokręcił głową, otrząsając ją z wody.

– Najlepiej powiedzieć to poległym żołnierzom przegrywającej strony.

Stojący obok towarzysze mruknęli z aprobatą; chociaż zmoczeni i zziębnięci, trzymali się hardo i pysznie.

– A zatem za nic masz całą ludzką cywilizację? – Głos Dinariego stał się ostrzejszy. – Chcesz postępować jak dzikie bestie? – Wojownik stanął tuż przed Kronosem, który cofnął się, chociaż za nim była głęboka kałuża. – Wojownicy ze Szkoły Ginazów są słynni w całym Cesarstwie. Są sprawniejsi w boju i w taktycznym podejściu od cesarskich sardaukarów. A czy potrzebna nam na orbicie flota militarna? Czy potrzebujemy stałej armii, aby odstraszyć potencjalnych napastników? Czy potrzebne nam potężne arsenały, abyśmy mogli spokojnie zasnąć? Nie! A dlaczego? Gdyż trzymamy się kodeksu honorowego, co zapewnia nam szacunek w całym Cesarstwie.

Kronos nie chciał czy może nie zdołał dostrzec złowrogiego błysku w oczach mistrza.

– Nadmierne zaufanie do innych jest jak ślepa płamka w oku.

Zapadła głucha cisza, w której jeszcze głośniejsze było bębnienie deszczu, aż wreszcie Dinari przemówił, starannie ważąc każde słowo:

– Dla nas nade wszystko ważny jest honor. Nauczcie się go cenić.

I znowu deszczowy dzień, co trwało już od miesięcy. Rivvy Dinari przechadzał się między swymi ustawionymi w rzędy uczniami, a pomimo zwałistej postury robił to z lekkością wiatru.

– Aby być gotowym do walki, należy wyzbyć się niepokoju. Jeśli wobec przeciwnika odczuwasz gniew, wyzbądź się go. Zwierzęta walczą po zwierzęcemu. Ludzie potrafią walczyć subtelnie. – Wpił w Duncana swe klujące spojrzenie. – Do tego jednak potrzebna jest czystość umysłu.

Duncan nawet nie mrugnął i wstrzymał oddech. Znieruchomiała każda komórka w jego ciele, każdy nerw. Nie zwracał uwagi na wilgotny powiew na twarzy, nie zwracał uwagi na strugi deszczu zalewające jego ubranie, skórę; wyobrażał sobie, że ulewa przenika go.

– Masz stać się kamieniem, posągiem bez ruchu – żadnego mrugnięcia czy najmniejszego ruchu klatki piersiowej. Masz się wyłączyć z kręgu istot czujących.

Duncan nauczył się, jak wprowadzać w życie te powtarzane całymi tygodniami nauki. Nauczył się tak sterować metabolizmem ciała, aby osiągnąć stan zwany *funestus*. Mistrz powiadał, że to proces oczyszczenia stanowiący wstęp do nowej techniki walki. Ilekroć Duncan wkraczał w *funestus*, tylekroć nawiedzał go nie znany mu dotąd spokój, czuł objęcie matczynych ramion i słodki głos. W stanie takim Duncanowi udawało się zyskać niezwykle skupienie świadomości i uwagi, a chociaż oczy rozświeślały się wielką jasnością, powieki pozostawały nieruchome.

Poczuł ostre ukłucie w policzek i pełen rozczarowania okrzyk nauczyciela:

– Krwawisz! Więc także w walce będziesz krwawił! Nie, Duncanie Idaho, to jeszcze wcale nie *funestus*.

Duncan skoncentrował się na tym, by osiągnąć taki stopień koncentracji, przy którym umysł całkowicie steruje energią *chi*, pozostając w całkowitym odprężeniu podczas jednoczesnego przygotowania do walki. Oddzielał się od wszystkich niekoniecznych, dekoncentrujących myśli. Przez cały czas docierały do niego wyrzuty trzymającego się pod boki Rivvy'ego Dinariego:

– Nosisz jeden z najwspanialszych mieczów w Cesarstwie, oręż księcia Paulusa Atrydy, ale musisz zdobyć prawo do tego. – Stał nad kandydatem, który za wszelką cenę starał się zachować spokój i skupienie. – Posiadłeś już talenty bojowe, ale jeszcze nie potrafisz panować nad swoimi myślami. Przemądrzalcy mają zwolnione i sztampowe reakcje, przytłumione instynkty. Umysł i ciało są jednością, dlatego też oba równocześnie muszą uczestniczyć w walce.

Korpulentny mistrz miecza powolnym krokiem obchodził Duncana, który niezmiennie wpatrywał się przed siebie.

– Widzę takie twoje skazy, których ty w ogóle nie jesteś świadom. Kiedy mistrz miecza doznaje porażki, nie jest to po prostu przegrana: naraża na niebezpieczeństwo swych towarzyszy, przynosi dyshonor swemu rodowi, ściąga na siebie niesławę.

Duncan znowu poczuł ukłucie igły, ale tym razem towarzyszyło temu pełne satysfakcji mruknięcie:

– Już lepiej.

I Dinari zajął się następnym ze swych podopiecznych.

Deszcz nadal spływał strugami po ciele Duncana, on jednak trwał w *funestus*. Świat wokół niego zastygł w spokoju niczym przed burzą. Czas stracił dla niego wszelkie znaczenie.

– Aj-iii. Huh!

Na okrzyk Dinariego świadomość Duncana pomknęła jak łódka w wartkim nurcie rzeki, płynąca w ślad za mistrzem. Metaforyczna woda niosła go ku celowi, który znajdował się daleko poza umysłem. W tym duchowym strumieniu był już wiele razy. Drugi krok w sekwencji medytacyjnej, wędrówka *partus*. Oczyszczył się ze wszystkiego, co stare, aby niczym dziecko móc zacząć od nowa. Woda, świeża i czysta, obejmowała go zewsząd niczym łono.

Jeszcze szybciej mknęła łódka jego duszy, teraz wznosząc się ku górze, gdzie ciemność się rozjaśniła, ustępując miejsca jasności. Widział siebie jako małą kroplę porwaną bystrym prądem.

– Aj-iii. Huh!

Drugi okrzyk Dinariego wyrwał Duncana z metaforycznej wody i przeniósł ponownie w tropikalny deszcz i ciepło. Zachłysnął się oddechem, zakasłał wraz z innymi, a jednocześnie uświadomił sobie, że skóra, włosy, ubranie – wszystko jest suche. Zanim jednak zdążył dać wyraz zdziwieniu, deszcz znowu wziął go w swoje posiadanie.

Klasnąwszy w dłonie, mistrz miecza podniósł głowę i spojrzał na zaciągnięte chmurami niebo, pozwalając, by krople ściekały mu po twarzy, jakby ją chrzcili. Kiedy znowu popatrzył na uczniów, zrobił to z nie skrywaną satysfakcją, jako że osiągnęli *novellus* – ostateczny szczebel organicznego odrodzenia, nieodzowny do rozpoczęcia nowej, złożonej techniki bojowej.

– Aby wziąć górę nad jakimś sposobem walki, najpierw musicie pozwolić jemu wziąć górę nad wami. Musicie mu się oddać bez reszty. – Mokra opaska opadała na szyję Dinariemu. – Wasze umysły są jak miękka glina, na której odcisną się wrażenia.

– Przychodzi czas nauki, mistrzu – odpowiedzieli chórem uczniowie.

– Buszido – z powagą rzekł nauczyciel. – Gdzie rozpoczyna się honor? Dawni mistrzowie samurajscy zawieszali w swych świątyniach Szinto lustra i kazali adeptom zagłębiać się głęboko, aby dojrzeli w nich swe serca, różnorodne odbicia Boga. To w sercu znajduje honor swe pożywienie i tam rozkwita. – Znacząco spojrzawszy na Trina Kronosa i jego towarzyszy z Grumman, Dinari ciągnął: – Pamiętajcie: niesława jest jak szrama na pniu drzewa, powiększa się wraz z nim.

Wszyscy musieli powtórzyć to trzy razy, zanim Dinari kontynuował:

– Dla samuraja kodeks honoru był więcej wart niż jakikolwiek skarb. W słowo samuraja – jego *bushi no ichi-gon* – nikt nigdy nie wątpił. Podobnie jest ze słowem mistrza miecza. – W końcu uśmiechnął się do nich, okazując coś na kształt dumy. – Młodzi samurajowie, najpierw ćwiczcie z pustymi dłońmi. Dopiero kiedy osiągniecie odpowiednią biegłość ruchów, dostaniecie broń, ta bowiem... – potoczył wzrokiem po wszystkich tak, że poczuli ciarki na plecach – ...jest tylko przedłużeniem ręki.

Minął tydzień. Duncan, podobnie jak inni wyczerpany intensywnymi ćwiczeniami, rzucił



się na pryczę w namiocie. Nieustannie padały deszcze, każdej nocy szalał wichur i tak jak teraz szarpał całym namiotem, którego powłoki uderzały o tyczki. Dzięki równemu rytmowi szybciej się zasypiało, a Duncan często myślał przy tym, czy kiedykolwiek uda mu się wyschnąć.

Ocknął się, słysząc głośny krzyk:

– Wszyscy na zewnątrz!

Rozpoznał głos Dinariego, ale było w nim coś złowieszczonego. Jakies kolejne nie zapowiedziane ćwiczenia?

Wszyscy wyskoczyli na deszcz przed namioty, niektórzy w slipach, inni nago. Bez chwili wahania ustawili się w rzędach, nie czując nawet spływającej po nich wody. Jarzyce podskakiwały na wietrze, szamocząc się na końcu uwięzi odciążaczowej.

Odziany jak zwykle w khaki Dinari przechadzał się przed swoimi uczniami niczym rozdrażnione zwierzę. Nie zwracał uwagi na bryzgającą spod stóp wodę. Za nim słychać było mechaniczny odgłos skrzydeł ornitoptera, który przed chwilą wylądował.

W czerwonym świetle spływającym ze szczytu maszyny widać było szczupłą sylwetkę lysej Karsty Toper, który odbierała Duncana, kiedy zjawił się w Szkole Ginazów. Ubrana była w czarne kimono, teraz całkowicie przemoczone, a w rękę zaciskała lśniący kryształ z dyplomatyczną notą. Twarz miała zaciętą, jak gdyby z trudem hamowała gniew lub obrzydzenie.

– Cztery lata temu ambasador Grumman zamordował przedstawiciela Ekazu, kiedy ten zarzucił mu celowe niszczenie mgielnych drzew, po czym armia rodu Moritanich przeprowadziła zbrodniczy nalot dywanowy na Ekaz. Ten podstępny i tchórzliwy akt naruszał postanowienia Wielkiej Konwencji, Cesarz zaś, aby zapobiec dalszym podobnym czynom, posłał na Grumman legion sardaukarów.

Umilkła, aby słuchający lepiej utrwaliли sobie te słowa, a oburzony Dinari dorzucił:

– Praw należy przestrzegać!

Karsty Toper zrobiła krok do przodu i podniosła w górę kryształ informacyjny. Deszcz spływał po jej skroniach i twarzy.

– Zanim Cesarz wycofał swych sardaukarów, otrzymał formalne zapewnienie od obu stron, że nie dopuszczą się żadnych dalszych aktów agresji.

Duncan zerknął na pozostałych. Po ich twarzach widać było, że nie wiedzą, o co chodzi Toper, ani nie znają przyczyny gniewu mistrza miecza.

– I oto, łamiąc pakt, Moritaniowie znowu zaatakowali – ciągnęła kobieta – a wysłannicy Grumman...

– Złamali dane słowo! – wybuchnął Dinari.

– ...I porwali brata oraz najstarszą córkę arcyksięcia Armanda Ekaza i publicznie ich stracili.

Pośród uczniów rozległ się szmer oburzenia, Duncan jednak czuł przez skórę, że na tym

się bynajmniej nie skończy.

Po jego prawej stronie Hiih Resser przestępował z nogi na nogę. Był w slipach, bez koszuli. Stojący dwa rzędy z tyłu Trin Kronos był, jak się zdaje, bardzo zadowolony z wyczynu swego rodu.

– Siedmiu uczestników tego kursu pochodzi z Grumman, trzech z Ekazu. Nawet jeśli dwa rządzące tam rody pałają do siebie nienawiścią, nie dopuścimy do tego, by takie niesnaski rozbiły tok nauki. Zapamiętajacie to. – Toper schowała do kieszeni kryształ. Wiatr szarpał końcami opaski na głowie Dinariego, on sam jednak trwał niezłomny niczym dąb. – Chociaż Szkoła Ginazów nie uczestniczy w sporze, nie chce bowiem dać się uwikłać w gry polityczne, to jednak od uczestników z Grumman zażądam deklaracji. Wszyscy wystąp!

Cała siódemka wyszła przed front. Dwóch (między innymi Trin Kronos) było nagich, ale zachowywali się tak, jakby byli w pełnym umundurowaniu. Resser wydawał się przygnębiony i zawstydzony, Kronos unosił brodę z pełnym dumy oburzeniem.

– A oto decyzja – rzekła Toper. – Wasz ród pogwałcił prawo cesarskie i okrył się niesławą. Po latach spędzonych tutaj rozumiecie skalę tego wykroczenia. Nikt dotąd nie został usunięty ze szkoły z przyczyn politycznych, pozostaniecie więc w niej, jeśli publicznie odetniecie się od postępuku wicehrabiego Moritaniego. Jeśli jednak nie zrobicie tego, natychmiast zostaniecie stąd wydalen, bez prawa powrotu kiedykolwiek.

Wskazała ruchem głowy na gotowy do startu ornitopter.

– A więc po całej tej gadaninie o honorze teraz domagacie się od nas, byśmy złamali zasady lojalności wobec swej ojczyzny, swych rodzin? – Trin Kronos nie ukrywał oburzenia. Popatrzył z wściekłością na mistrza miecza. – Nie ma honoru bez lojalności, a tę poprzysiągłem Grumman i rodowi Moritanich.

– Lojalność nie ma wartości, jeśli służy sprawie sprzecznej z zasadami honoru.

– Sprzecznej z zasadami honoru?! – Kronos stał cały w pąsach i widać było, że ledwie nad sobą panuje. – Nie mam prawa oceniać decyzji mego władcy, ale także ty nie masz tego prawa, mistrzu!

Resser wyprostował się i nie spoglądając na swych ziomków, powiedział:

– Przybyłem tutaj, aby zostać mistrzem miecza, i pozostanę.

Z tymi słowami cofnął się na miejsce obok Duncana, podczas gdy inni kandydaci z Grumman patrzyli na niego jak na zdrajcę.

Za wzorem Kronosa, także pozostałych pięciu nie chciało się ugiąć, a ich przywódca warknął:

– Nie ujdzie wam to płazem, jeśli poniżycie Grumman. Wicehrabia nigdy wam tego nie zapomni.

W jego słowach była groźba, ale nie zrobiła ona żadnego wrażenia na mistrzu miecza Dinarim ani na Karsty Toper.

Uczniowie z Grumman stali dumnie wyprężeni, ale widać było, że czują się nieswojo w

zaistniałej sytuacji. Duncan spoglądał na nich z uznaniem, albowiem wybrali drogę honoru, chociaż odmiennie rozumianego: niezależnie od oskarżeń, nie chcieli się wyrzec swego rodu. Podobnie i on, gdyby przyszło mu wybierać między szkołą a rodem Atrydów, bez wahania wybrałby księcia Leto.

Usunięci dostali ledwie kilka minut na ubranie się i pozbieranie rzeczy, a potem kazano im wsiadać do ornitoptera. Skrzydła rozłożyły się na pełny zasięg, a potem rytmicznie bijąc, rzuciły maszynę w deszcz i mrok, w którym powoli zniknęły także światła pozycyjne.

*Wszechświat jest niedostępny, niepojęty, absurdalny... a życie – w szczególności życie rozumne – jest w nim czymś obcym. Nie ma żadnego bezpiecznego punktu, żadnej podstawowej zasady, od której by on zależał. Istnieją tylko doraźne, zamaskowane relacje, określone w cząstkowych zakresach i nieuchronnie skazane na zmianę.*

**z Medytacji z Bifrost Eyrie,  
tekst buddoislamski**

Rzeź dokonana przez Rabbaną wśród wielorybów we fiordzie Tula była pierwszym z ciosów, które jeden po drugim miały ugodzić w Abulurda Harkonnena.

Pewnego słonecznego dnia, kiedy lód i śniegi zaczęły ustępować po ciężkiej zimie, straszliwa lawina zwała się na Bifrost Eyrie, największy z klasztorów zbudowanych przez żyjących w odosobnieniu mnichów buddoislamskich, a wzniesiony w miejscu stanowiącym także rodowe gniazdo Rabbanów.

Śnieg runął niczym biały młot, niszcząc wszystko, co znalazło się na jego drodze, miażdżąc budynki i grzebiąc pod swymi zwałami tysiące ludzi. Ojciec Emmi, Onir Rautha-Rabban, natychmiast zwrócił się do Abulurda z prośbą o pomoc.

Z sercami pełnymi zgrozy Abulurd i Emmi zajęli miejsca w ornitopterze prowadzącym eskadrę transportującą rzeczy pierwszej potrzeby oraz ochotników. Abulurd jedną ręką operował sterami maszyny, drugą zaś trzymał w uścisku dłoń żony, od czasu do czasu spoglądając na jej szeroką twarz i długie czarne włosy. Nie była piękną w żadnym klasycznym sensie, niemniej jednak nigdy nie miał dość jej widoku ani obecności.

Najpierw polecili wzdłuż krętego wybrzeża, potem nad poszarpanymi łańcuchami górskimi. Do wielu klasztorów nie prowadziły żadne drogi. Wszelkie niezbędne surowce zdobywano w okolicznych górach, wszystkie dostawy transportowano ornitopterami.

Cztery generacje wcześniej słaby ród Rabbanów zrzekł się praw do przemysłowego i finansowego wykorzystania planety na rzecz Harkonnenów w zamian za spokojne i bezpieczne prowadzenie dotychczasowego życia. Religijne zakony wznosiły klasztory,

gdzie mnisi zgłębiali święte teksty, starając się wniknąć w subtelności teologiczne, a trudno o coś bardziej obojętnego Harkonnenom.

Bifrost Eyrie było jednym z pierwszych miast wzniesionych na bezludziu niczym wspomnienie Shangri-La. Budowle z ciosanego kamienia postawiono na skałach tak wysokich, że wnosiły się ponad poziom chmur spowijających Lankiveil. Z balkonów, na których mnisi siedzieli zatopieni w medytacji, szczyty gór wydawały się rafami wystającymi z morza białych cumulusów. Hełmy wież i szpikulce wieżyc zrobione były z wydobywanego w górach złota, wszystkie powierzchnie pokrywały reliefy i mozaiki obrazujące starodawne sagi i symbole moralne.

Abulurd i Emmi często odwiedzali to miejsce, aby zobaczyć jej ojca albo po prostu znaleźć się przez chwilę w odosobnieniu. Po siedmiu latach spędzonych na pustynnym Arrakis dopiero miesiąc w Bifrost Eyrie pozwolił im dojść do siebie.

A teraz lawina niemal doszczętnie zniszczyła całe to miejsce; Abulurd nie wiedział, jak zniesie ten widok.

Siedzieli, dotykając się ramionami, podczas gdy Abulurd pewnie prowadził ornitopter przez powietrzne prądy. Ponieważ na tym terenie niewiele było charakterystycznych miejsc, kierował się przede wszystkim wskazaniem systemów pokładowych. Przelecieli nad najeżoną szczytami granią, za nią zobaczyli misę lodowca po drugiej stronie opadającą stokiem, na którym powinno się znajdować miasto. Światło słońca było oślepiające.

Brazowe oczy Emmi przeszukiwały szczyty, aby zidentyfikować miejsce, aż wreszcie w milczeniu wskazała przed siebie. Abulurd rozpoznał kilka złotych szpiców, mlecze ściany wspaniałych budowli, ale jedna trzecia Bifrost Eyrie została zniszczona, jakby wymieciona wielką śnieżną miotłą, obojętną na to, co usuwa: skałę, budynek czy modlącego się mnicha.

Ornitopter wylądował na centralnym placu, na którym teraz zebrali się ci, którzy ocaleli. Wokół widać było ludzi w mnisich szatach, wytrwale kąpiących w śniegu i od czasu do czasu wydobywających ocalonych, ale najczęściej tylko zamrożone zwłoki.

Abulurd wyskoczył z ornitoptera i podał żonie rękę, aby jej pomóc zejść, obawiał się bowiem, że jej nogi mogą się trząść tak jak jego. Chociaż wiatr siekł po twarzach lodowymi igielkami, to przecież nie z tego powodu ukazały się łzy na policzkach Abulurda.

Wyszedł im na spotkanie burmistrz Onir Rautha-Rabban. Bezgłośnie poruszał ustami, a potem chwycił w ramiona córkę. Później wziął go w objęcia Abulurd.

Bifrost Eyrie słynęło ze swej architektury, z pryzmatycznych kryształowych okien, które kierowały promienie tęczy z powrotem w góry. Mieszkali tutaj rzemieślnicy, których wyroby cieszyły się sławą wśród wymagających klientów z innych planet. Najbardziej znane były książki z bezcennymi kaligrafiami oraz świetliste manuskrypty Biblii Protestancko-Katolickiej. Na takie egzemplarze mogły sobie pozwolić tylko najzamożniejsze z Wysokich Rodów.

Wielkim zainteresowaniem cieszyły się także śpiewające rzeźby z kryształów kwarcu,

które wydobywane w głębokich grotach, następnie były tak dobierane pod względem częstotliwości rezonansu, by potem za sprawą jednego trącenia wzbudzać inne – i w ten sposób odgrywać muzykę niepodobną do żadnej innej w Cesarstwie.

– Za nami nadciągają dalsze ekipy ratownicze i artykuły pierwszej pomocy – oznajmił Abulurd. – Nie powinno zabraknąć sprzętu ani niczego innego.

– Wszędzie tylko ból i tragedia – powiedziała przygnębiona Emmi. – Wiem, ojcze, że trudno ci się na razie pozbierać, ale jeśli tylko możemy ci w jakiś sposób pomóc, to...

Barczysty mężczyzna ze szpakowatą brodą pokiwał głową.

– Tak, córko, ale... – Spojrzał prosto w oczy Abulurdowi. – W przyszłym miesiącu powinniśmy spłacić kolejną daninę Harkonnenom, a chociaż sprzedaliśmy dość kryształów, dywanów i książek, to teraz... – Wskazał ślady spustoszeń. – Wszystko skryte jest gdzieś pod tymi zwałami, a na dodatek wszystkie pieniądze potrzebne nam są na...

W traktacie zawartym między Rabbanami a Harkonnenami wszystkie religijne miasta Lankiveil zobowiązały się do płacenia określonych rocznych sum, a poza tym były pozostawione samym sobie. Abulurd podniósł rękę w uspokajającym geście.

– Nie martw się.

Jakby niepomny tradycji okrucieństwa swego rodu, Abulurd zawsze starał się żyć przykładowo, a innych traktować z należnym im szacunkiem, mimo iż od czasów hekatomb, jaką jego syn urządził w fiordzie Tula, nie mógł się podnieść z rozpacz. Jeśli nie utracił sił i optymizmu, to tylko dzięki miłości Emmi.

– Czasu ci nie zabraknie, teraz jednak należy się przede wszystkim zatroszczyć o uratowanie tych, których można uratować, a potem o odbudowę.

Onirowi Rautha-Rabban zabrakło już łez i zdruzgotany rozglądał się tylko po miejscu katastrofy. Natura była jednak nieczuła: promieniste słońce rzucało z bezchmurnego nieba światło, które skrzyło się w przeczystym śniegu.

Wiadomość o katastrofie na Lankiveil i decyzji Abulurda zastała barona w gabinecie, gdzie najczęściej rozmawiał ze swym bratankiem i mentatem-doradcą, i wprawiła go w niekłamaną złość. Podczas gdy jego rozmówcy zasiedli w żywych fotelach, Vladimir Harkonnen unosił się w uprząży odciążaczowej, a jeśli w zasięgu ręki znajdowała się laska, to tylko na wypadek, gdyby chciał kogoś uderzyć. Nowa laska była zwieńczona gryfem Harkonnenów, a nie jak poprzednia, którą cisnął z balkonu, łbem piaskala.

W rogach sali wznosiły się kolumny w eklektycznym stylu; pod jedną z nich stała wyschła fontanna. Nie było okien – baron nie interesował się żadnymi panoramami – a posadzka była chłodna pod dotknięciem bosych stóp, które dzięki odciążaczom ledwie ją muskały. W innym rogu ktoś postawił kiedyś flagę Harkonnenów, zapomnianą potem i w ogóle nie zauważaną.

– Twój ojciec ma nie tylko miękkie serce, ale i rozmiękczenie mózgu – prychnął

rozwścieczony baron.

Rabban skulił się ze strachu, że będzie musiał wracać na Lankiveil i nauczyć ojca moresu. Miał na sobie kasztanową kamizelkę, spod której wзираły nagie muskularne ramiona. Krótko ostrzyżone rudawe włosy gładko przylegały do głowy od częstego noszenia hełmu.

– Wolałbym, żebyś mi nie przypominał mego ojca, stryju – powiedział, starając się uśmierzyć gniew barona.

– Przez cztery pokolenia opłaty z klasztorów Lankiveil spływały bez żadnych zakłóceń, zgodnie z naszą umową z Rabbanami. Dobrze znają jej postanowienie, dotąd je wypełniali, a teraz z powodu jakiejś malutkiej... – baron prychnął pogardliwie – ... śnieżycy chcą ograbić nas z daniny? A ten cały Abulurd macha na to rączką i zwalnia swoich poddanych z ich obowiązków! Jest przecież gubernatorem: ma ich pilnować i karać!

– Zawsze możemy zwiększyć obciążenia innych miast – zasugerował de Vries, powstał z fotela i zwinnymi, bezszelestnymi ruchami zbliżył się do barona.

– Nie ma mowy o żadnych takich precedensach – warknął baron. – Chcę, żeby finanse prowadzono czysto i klarownie, a Lankiveil było pod tym względem, jak dotąd, bez zarzutu.

Sięgnął do małego stolika, nalał sobie solidną porcję brandy kirana i wychylił jednym haustem w nadziei, że trunek o smaku wędzonego dymu usunie ból ze stawów. Od czasu kiedy poruszał się przy użyciu pasa odciążaczowego, przybrał na wadze jeszcze bardziej, mięśnie bowiem musiały wykonywać mniejszy wysiłek. Miał wrażenie, że ciało obwisa mu na kościach. Skóra pachniała eukaliptusem i goździkami od olejków, którymi po każdej kąpieli smarowali go młodzi masażyści.

– Wystarczy, byśmy poluzowali jednemu z tych świętoszkowatych miast, a zaraz epidemia katastrof i nieszczęść ogarnie wszystkie pozostałe.

Czarne świdrujące oczy wpiły się w Rabbana.

– Rozumiem twój gniew, stryju. Niestety, mam za ojca idiotę.

De Vries podniósł długi, kościsty palec.

– Chciałbym poczynić pewną uwagę, baronie. Głównym źródłem zysków z Lankiveil jest futro wielorybie. Te wszystkie drobiazgi i ozdóbki z klasztorów, owszem, nieźle się sprzedają, ale nie odgrywają najważniejszej roli. Każemy je dostarczać, ale właściwie nam na nich nie zależy.

Mentat urwał.

– Do rzeczy!

– A zatem, baronie, jestem zdania, że powinniśmy tę okazję wykorzystać dla pewnych przykładowych rozwiązań.

Rabban zarechotał, ale natychmiast spochmurniał, gdyż coś zaczynało mu się nie podobać w całej tej sprawie. Baron pokiwał w zamyśleniu głową.

– Ród Harkonnenów kontroluje lenno Rabban-Lankiveil – powiedział. – W sytuacji niestabilności rynku przygotowawego musimy zapewnić sobie stabilność wszystkich innych

źródeł finansowych. Być może byliśmy zbyt pobłażliwi dla mego przyrodniego brata. Być może uznał, że może nie dokładać żadnych starań i objąć się, a my na to wszystko będziemy patrzeć przez palce. Musimy to ukrócić.

– I co zamierzasz zrobić, stryju? – spytał Rabban i zmrużył niespokojnie oczy.

– Potrzebny mi jest tam ktoś, kto zna planetę, a zarazem wie, na czym polega władza. – Rabban głośno przełknął ślinę, teraz bowiem wiedział już na pewno, co go czeka. – Wracasz tam, ale tym razem nie jest to zesłanie. Dostaniesz zadanie do wykonania.

*Bene Gesserit nie mają się banalnych kłamstw. Prawda lepiej nam służy.*

### **Koda Bene Gesserit**

Był pochmurny ranek. Książę Leto siedział samotnie na dziedzińcu Zamku Kaladan i wpatrywał się w nie tknięte śniadanie, na które złożyły się wędzona ryba i sadzone jajka. Po prawej ręce spoczywała teczka z dokumentami z impregnowanego metalem papieru. Kailea coraz mniej czasu poświęcała interesom; tyle rzeczy było do zrobienia, jej nic jednak nie interesowało.

Po drugiej stronie stołu zostały resztki po posiłku Thufira Hawata. Mentat zjadł w pośpiechu i natychmiast poprosił o zezwolenie, aby mógł zająć się bieżącymi sprawami państwa. Leto myślał o liniowcu, który znalazł się już na orbicie i szykował właśnie do wysłania promu.

„Czegóż mogą ode mnie chcieć Bene Gesserit? Dlaczego na Kaladanie zjawiała się cała delegacja?”

Od czasów kiedy odbył z Rhomburem podróż, w efekcie której przyjaciel powrócił na Kaladan z konkubiną, nie utrzymywał żadnych kontaktów z zakonem. Poinformowano go, że jego przedstawicielki chcą z nim omówić „sprawę najwyższej wagi”, odmówiły jednak podania jakichkolwiek szczegółów.

Miał ostatnio sporo kłopotów, źle sypiał. Nieustannie dręczył go zaciekle i bezsensowny konflikt między rodami Ekazów i Moritanich. W Landsraadzie zyskał uznanie niestrudżonymi wysiłkami dyplomatycznymi i tym większym teraz przygnębieniem napawała go niedawna brutalna przemoc zastosowana wobec rodziny arcyksięcia. Znał córkę Armanda Ekaza, Sanyę, wydawała mu się całkiem atrakcyjna i nawet przez czas jakiś zastanawiał się, czy byłaby dla niego dobrą partią. I oto zbiry nasłane przez Grumman zabiły ją i jej stryja.

Był przekonany, że nie obędzie się bez dalszego rozlewu krwi.

Uwagę jego przykuł pomarańczowo-żółty motyl, który zawisł nad wazą z kwiatami pośrodku stołu; na chwilę zapomniał o swych kłopotach, ale one cały czas pozostawały w tle.

Kiedy lata temu doszło do Przewodu Konfiskacyjnego, Bene Gesserit zaoferowały mu swoją pomoc, Leto jednak ani przez chwilę nie zakładał tu żadnej bezinteresowności. Sam wiedział to, o czym przestrzegali go Thufir Hawat:

– Bene Gesserit nie kierują się żadnymi kapryсами czy chwilowymi nastrojami. Skoro występują z taką propozycją, to musi być dla nich korzystna.

I tak bez wątpienia było. Siostry rozporządzały sekretnymi informacjami, miały liczne kontakty i środki nacisku. Bene Gesserit z Tajnej Elity została poślubiona przez Szaddama IV, który oprócz tego trzymał u swego boku Prawdomówczynię; inna z sióstr wyszła za cesarskiego doradcę do spraw przyprawy, hrabiego Hasimira Fenringa.

„Dlaczego od tak dawna się mną interesują?”

Motyl wylądował na teczce obok i dumnie rozłożył cętkowane skrzydła.

Nawet możliwości mentata nie pozwoliły Thufirowi sformułować żadnej rozsądnej sugestii co do intencji zakonu żeńskiego. Leto mógłby wprawdzie spytać Tessję – która na ogół nie skąpiła rozsądnych porad – chociaż jednak pośrednio stała się członkiem domu Atrydów, pozostała też wierna Bene Gesserit, a nie było innej organizacji, która lepiej potrafiłaby skrywać swe tajemnice.

Motyl wzleciał w powietrze; Leto wyciągnął otwartą dłoń, a chociaż sądził, że spłoszy owada, ten jednak usiadł na jego ręce tak, że niemal tego nie poczuł.

– Znasz odpowiedź na moje pytanie? Właśnie starasz mi się ją przekazać?

Motyl całkowicie mu zawierzył, ufny, że nie dozna krzywdy. Taką samą ufność pokładali w nim mieszkańcy Kaladanu. Motyl sfrunął na podłogę, szukając w cieniu stołu kropli rosy.

Na dziedzińcu pojawił się jeden ze służących.

– Mój książę, delegacja już przybyła. Znajduje się właśnie w porcie kosmicznym.

Leto poderwał się, a gwałtowne poruszenie zatrzęsło stołem. Teczka zsunęła się z blatu, a chociaż sługa natychmiast rzucił się, by ją podnieść, Leto złapał go za ramię. Motyl został zmiądzony przez jego nieuwagę. Przyklęknął.

– Czy wszystko w porządku, mój panie?

Leto spojrział na niego ze stoickim spokojem.

– Proszę poinformować delegację, że spotkamy się w moim gabinecie, a nie w porcie.

Kiedy sługa się oddalił, Leto umieścił między dwiema kartkami motyla, którego skrzydła pozostały nienaruszone. Każe umieścić owada w transplazie, aby zawsze przypominał mu, jak łatwo jedna chwila nieuwagi może spowodować zniszczenie piękna.

Leto, w czarnym uniformie, z zieloną narzutą i książęcą oznaką, powstał z biurka z elakkijskiego drewna. Skłonił się na widok pięciu czarno ubranych sióstr, którym przewodziła kobieta o poważnej twarzy, zapadniętych policzkach i bystrych oczach. Przelotnie zerknęła na stającą obok niej brązowowłosą piękność, a potem uwagę skupiła na Letu.

– Jestem Wielebna Matka Gaius Helena Mohiam. – Na jej twarzy nie było wrogości, ale



też nawet cienia uśmiechu. – Dziękujemy za gotowość rozmawiania z nami, książę.

– Zwykle nie aprobuję wizyt zapowiadanych z tak niewielkim wyprzedzeniem – rzekł Leto chłodno i skłonił głowę. – Jednak dla zakonu żeńskiego mogę zrobić wyjątek, albowiem rzadko macie do mnie jakiś interes. – Rozległ się odgłos zamykanych przez odźwiernych wierzei, a Leto zrobił gest w kierunku swego mentata. – Wielebna Matko, chciałbym przedstawić Thufira Hawata, który czuwa nad bezpieczeństwem mego domu.

– Słynny Mistrz Assassinów – powiedziała Mohiam, patrząc w oczy Hawata.

– Ach, to tylko nieformalne miano – mruknął Thufir i ukłonił się sztywno, najwyraźniej pełen podejrzliwości.

Atmosfera natychmiast stała się ciężka i Leto nie bardzo wiedział, co na to poradzić.

Cztery kobiety zajęły miejsca w miękko wymoszczonych fotelach, a Leto zorientował się, że wpatruje się w stojącą dziewczynę o brązowych włosach. Miała najwyżej siedemnaście lat, owalną twarz o szeroko osadzonych oczach, lekko zadarty nos i zmysłowe usta. Nosiła się dumnie, on zaś nie potrafił rozstrzygnąć: widział ją już wcześniej czy nie?

Kiedy Mohiam spojrzała znowu na dziewczynę, wymieniły surowe spojrzenia, jakby istniała między nimi jakaś istotna więź.

– To siostra Jessika, akolitka bardzo utalentowana w wielu dziedzinach. Chciałybyśmy sprezentować ci ją, nastając, byś przyjął ten dar.

– Sprezentować? – ostro spytał Hawat. – Jako sługę czy szpiega?

Dziewczyna przeszła go spojrzeniem, ale zaraz zapanowała nad oburzeniem.

– Jako doradczynię, źródło inspirujących pomysłów. Decyzja należy do księcia. – Mohiam ostentacyjnie zlekceważyła oskarżycielski ton mentata. – Siostry z naszego zakonu wiele razy okazały się już użyteczne jako doradczynie na wielu dworach, włącznie z cesarskim. – Wpatrzona była w Leto, nie ulegało jednak wątpliwości, że śledzi każde poruszenie Hawata. – Bene Gesserit może obserwować i wyciągać z faktów własne wnioski... ale to jeszcze nie czyni z niej szpiega. Wielu szlachetnie urodzonych mężczyzn znajduje w naszych siostrach znakomite towarzyszki, piękne, uczone w licznych...

– Mam już konkubinę – przerwał jej Leto – która jest matką mojego syna.

Przelotne spojrzenie na Hawata upewniło go w tym, że mentat analizuje nowe dane. Mohiam uśmiechnęła się wyrozumiale.

– Człowiek na twoim stanowisku, książę, może mieć niejedną towarzyszkę. Zresztą nie dokonałeś jeszcze wyboru, jeśli chodzi o żonę.

– W przeciwieństwie do Jego Cesarskiej Mości nie zamierzam utrzymywać haremu.

Pozostałe siostry poruszyły się niespokojnie, a Mohiam westchnęła przeciągle.

– Zgodnie z tradycyjnym rozumieniem tego słowa, książę Atrydo, określa ono wszystkie kobiety, za które mężczyzna bierze na siebie odpowiedzialność, włącznie z matką i siostrami, i nie ma w tym konotacji erotycznych.

– To tylko gra słów – zachnął się Leto.

– Może nie tylko, ale przede wszystkim chodzi tutaj o pewne korzystne dla ciebie rozwiązanie. – Wielebna Matka popatrzyła przeciągle na Hawata, jak gdyby zastanawiała się, ile może ujawnić w jego obecności. – Wpadliśmy na trop pewnej sprawy ściśle związanej z rodem Atrydów. Kilkanaście lat temu uknuto spisek przeciwko twojej osobie, książę.

Hawat gwałtownie się poruszył, Leto wpatrzył się w Mohiam zmrużonymi oczami.

– Jaki spisek?

– O tym będę mogła ci powiedzieć dopiero wtedy, gdy osiągniemy porozumienie. – To zastrzeżenie ani trochę nie zdziwiło Leta. – Czyż prosimy o tak wiele? – W takiej sytuacji Mohiam z chęcią użyłaby Głosu, ale obawiała się, że mentat natychmiast to wykryje. Jessika stała nieruchomo z boku. – Wiele innych osób szlachetnej krwi byłoby zachwyconych, mogąc mieć taką osobę w swym otoczeniu... w dowolnej roli.

„To jasne – myślał Leto – że chcą mieć kogoś tutaj, na Kaladanie, ale w jakiej funkcji? Tylko po to, żeby wywierać na mnie naciski? Gdyby chodziło tylko o szpiegowanie, mają tu już przecież Tessję. A poza tym nie mam szczególnej władzy ani znaczenia w Landsraadzie. Dlaczego się mną tak interesują? I dlaczego tak bardzo im zależy na tej właśnie dziewczynie?”

Leto wyszedł zza biurka i skinął na Jessikę.

– Podejdź, proszę, bliżej.

Zbliżyła się wdzięcznym krokiem. Była o głowę niższa od księcia, miała nieskazitelną, jasną cerę. Wpatrzyła się w niego śmiałym wzrokiem.

– Powiadają o Bene Gesserit, że to czarownice – rzekł i zanurzył palce w jej jedwabistych włosach.

– Nie jesteśmy upiorami, mamy ciała i dusze – odrzekła, nie spuszczać wzroku. Miała zmysłowe, zachęcające usta.

– Do czego jednak przyuczone zostało twoje ciało i twoja dusza?

Odpowiedź była pewna i spokojna:

– Do lojalności, miłosnych doznań... rodzenia dzieci.

Leto spojrział na Hawata, który wyszedł już z transu, a widząc wzrok księcia, lekko skinął głową na znak, że nie ma nic do zarzucenia złożonej ofercie. Niemniej jednak podczas wcześniejszej rozmowy uzgodnili, że w rozmowie z Bene Gesserit należy wykazać stanowczość, stropić siostry, aby mentat mógł obserwować ich zachowania w takiej sytuacji. Teraz nadarzała się chyba odpowiednia sposobność. Znienacka podnosząc głos, Leto rzekł:

– Nie wierzę, by Bene Gesserit proponowały coś, nie mając w tym własnego interesu. Na czym on polega w tym przypadku?

– Ależ książę... – zaczęła Jessika, ale urwała natychmiast, gdy błyskawicznym ruchem wyrwał z pochwy u pasa nóż o wysadzanej klejnotami rękojeści i przytknął jej do gardła. Inne Bene Gesserit nawet się nie poruszyły i patrzyły na całą tę scenę takim wzrokiem, jakby były pewne, że Jessika w każdej chwili może się sama obronić. Także Mohiam spoglądała z

niezmaconym spokojem.

Jessika odchyliła głowę, jeszcze bardziej odsłaniając krtań dla ciosu. To sposób wilków-D, którego nauczyła się w szkole: nie chroń szyi, nadstaw ją napastnikowi, a jego agresja natychmiast zmaleje. Ostrze noża napierało na skórę mocno, ale nie na tyle, aby ją zranić.

– Węszę jakiś podstęp w waszej propozycji.

Jessika przypomniała sobie słowa wyszeptane jej do ucha przez Mohiam, gdy znalazły się w sali przylotów portu kosmicznego.

– Łańcuch pokoleń nie może zostać zerwany. Musisz nam dać córkę.

Jessika nie wiedziała, jaką rolę w ciągu kultywowanych pokoleń ma odegrać jej dziecko, a nie należało zadawać pytań w tej sytuacji. Wielu młodym dziewczętom kazano udać się na dwory w roli konkubin, więc jej sytuacja nie była ani nowa, ani nadzwyczajna. Szanowała swe przełożone i starała się dawać temu wyraz, niekiedy jednak budził się w niej sprzeciw wobec bezceremonialności Mohiam. Także w drodze na Kaladan wywiązała się między nimi sprzeczka na ten temat i w powietrzu nadal unosiły się jej pozostałości.

– Jeden ruch i nie żyjesz – mruknął Leto, ale ani Jessika, ani żadna inna z siostr nie miała wątpliwości, że jego gniew jest udawany. Kilka lat temu uważnie przypatrywała się temu ciemnowłosemu mężczyźnie z balkonu na Wallach IX. Naparła na nóż i rzekła:

– Morderstwo nie leży w twej naturze, Leto Atrydo. – Książę spuścił uzbrojoną rękę, nadal trzymał jednak kibić Jessiki. – Z mojej strony nie musisz się niczego lękać.

– Więc cóż, książę, czy umowa stoi? – spytała Mohiam głosem tak spokojnym, jak gdyby nie wydarzyło się nic godnego uwagi. – Zapewniam, że nasze informacje... rzucają światło na wiele spraw.

Leto nie lubił takich wiązanych transakcji, niemniej jednak odstąpił od Jessiki.

– Ktoś przygotowywał przeciwko mnie spisek?

Kąciki ust Wielebnej Matki drgnęły w hamowanym uśmiechu.

– Najpierw wyraźne ustalenia: Jessika pozostaje na twoim dworze i będzie traktowana z należyтым szacunkiem.

Leto ponownie wymienił z spojrzenia z mentatem.

– Niechaj zostanie w zamku, natomiast nie zgadzam się przyjąć jej do mej łożnicy.

Mohiam leciutko wzruszyła ramieniem.

– Czyń, jak uważasz, książę, byle byś tylko nie zmarnotrawił jej licznych talentów.

„A biologia zatroszczy się o resztę”.

– Pora teraz na informacje – zażądał Thufir Hawat.

– Chodzi mi o zdarzenie sprzed kilku lat – odparła Mohiam, odchrząknąwszy – gdy niesłusznie zostaliście oskarżeni o napad na dwa statki Bene Tleilax. Dowiedziałyśmy się, że maczali w tym palce Harkonnenowie.

I Leto, i Hawat zeszywnieli, a mentat zmarszczył brwi w oczekiwaniu na dalsze wiadomości.

– Jakie macie na to dowody? – spytał Leto.

– Wykorzystując niewidzialny statek, otworzyli ogień do Bene Tleilax, mając nadzieję, że w ten sposób rozpoczną wojnę pomiędzy Atrydami i Tleilaxanami. Jesteśmy w posiadaniu szczątków tego pojazdu.

– Niewidzialny statek? Nigdy o czymś takim nie słyszałem.

– Niemniej jednak istnieje. W naszych rękach znalazł się prototyp, jedyny powstały model. Całe szczęście, że Harkonnenowie stanęli w obliczu problemów technicznych, których nie potrafili rozwiązać, co przyczyniło się do... karambolu maszyny nieopodal naszej Szkoły Macierzystej. Upewniliśmy się też, że nie potrafią stworzyć kopii tego urządzenia.

Mentat wbił wzrok w Wielebną Matkę.

– Czy zbadaliście go od strony technicznej? – spytał.

– Szczegółów nie możemy ujawnić. Jako narzędzie agresji taki pojazd mógłby wywołać w całym Cesarstwie nieprawdopodobny zamęt.

Leto wykrzywił usta w ponurym uśmiechu; nareszcie uzyskał odpowiedź na zagadkę, która trapiła go od piętnastu lat.

– Teraz, Thufirze, niezwłocznie poinformujemy o całej sprawie Landsraad i raz na zawsze usuniemy cień, który padł na moje imię. Wielebna Matko, prosimy o dostarczenie nam wszystkich dowodów.

Mohiam pokręciła głową.

– Tego nasza umowa nie obejmuje. Cała sprawa należy już do przeszłości. Przewód Konfiskacyjny zakończył się uwolnieniem cię od wszelkich zarzutów.

– Ale tylko z braku dowodów. Niektóre z Wysokich Rodów nadal podejrzewają mnie o zamach na Bene Tleilax. Muszę przedstawić jednoznaczne dowody mojej niewinności.

– Czy naprawdę znaczy to dla ciebie tak wiele, książę? – spytała Mohiam i uniosła brwi.

– Czy na pewno nie ma lepszego sposobu na wykorzystanie tej informacji? Zakon nie chciałby się nią dzielić jedynie po to, abyś w ten sposób przekonał ich o swoim honorowym postępowaniu.

Leto nie wiedział, co odpowiedzieć, przygwożdżony wzrokiem starej kobiety. Po chwili przełknął ślinę i rzekł:

– Więc przekazujesz mi takie wiadomości, oczekując, że nie zrobię z nich żadnego użytku? Jak bez dowodów mam wierzyć w prawdziwość twoich słów?

Mohiam zmarszczyła brwi.

– Książę, książę, czyżby doprawdy ród Atrydów trzymał się tylko papierowych zapewnień i nie odwoływał do własnych najgłębszych przeświadczeń? Tak czy inaczej, powiedziałam prawdę.

– Tak w każdym razie twierdzisz – zimno mruknął Hawat.

– Mądry władca wie, ile można zyskać cierpliwością. – Mohiam gestem dała towarzyszkom znak, że wizyta się kończy. – Przyjdzie taki dzień, że zrobicie z tej informacji

użytek. Uwierz mi, książę, wiedza o tym, co rozegrało się w ładowni liniowca, będzie miała jeszcze dla ciebie wielkie znaczenie.

Hawat chciał zaprotestować, ale Leto uciszył go ruchem ręki.

– Ma rację, Thufirze. Już teraz widzę wagę tego wyjaśnienia. – Spojrzał na brązowowłosą piękność. – A Jessika niechaj tu zostanie.

*Człowiek, który uzależnia się od adrenaliny, staje się zagrożeniem dla całego społeczeństwa, a także dla samego siebie. Ucieka od problemów życia i zgadza się na porażkę, którą spowodują jego działania pełne gwałtu.*

**Cammar Pilru, ambasador Ix na uchodźstwie,  
Traktat o obaleniu niesprawiedliwych rządów**

Sekretna dostawa materiałów wybuchowych dotarła bez szwanku. Przekupieni urzędnicy przymknęli na nią oczy, znalazła się zatem na odpowiedniej rampie portu towarowego, gdzie C'tair rozpoznał umówione oznakowania i, jak wiele już razy przedtem, umiejętnie skrył niewinnie wyglądający pojemnik. Kiedy w bezpiecznym miejscu go rozpakował, był zaskoczony liczbą plastrów eksplozywnych; pewnie cały tyśiąc. Poza instrukcją użycia nie było żadnych innych informacji, ale C'tair dobrze wiedział, kto jest nadawcą. Tym razem jednak książę Rhombur przysłał więcej niż kiedykolwiek przedtem, co sprawiło, że C'tair poczuł przypływ nadziei, ale także ciężar spoczywającej na nim odpowiedzialności.

W podziemiu uchowało się jeszcze kilku ostrożnych, niezależnych spiskowców, którzy pozostawali wobec siebie nieufni. Tak było i z C'tairem, który – jeśli nie liczyć Miral Alechem – czuł się całkowicie osamotniony w swej walce, chociaż Rhombur – a z pewnością także Tleilaxanie – byli przekonani, że ruch oporu jest liczebniejszy i lepiej zorganizowany.

A te materiały wybuchowe przyczynią się do umocnienia tego przekonania.

C'tair zapamiętał księcia Rhombura Verniusa z czasów dzieciństwa jako lekkoducha, który o wiele więcej czasu poświęcał próbkom skalnym niż sprawom państwowym, na te bowiem, jak sądził, będzie jeszcze czas.

Ale wraz z najazdem Tleilaxan zmieniło się wszystko. Dosłownie wszystko.

W każdym razie nawet pobyt na wygnaniu nie przeszkodził Rhomburowi w utrzymywaniu kontaktów z osobami zajmującymi się przewozami na Ix i z planety, dzięki czemu mógł sekretnie przemycać różne rzeczy, aż wreszcie przyszła pora na materiały wybuchowe. C'tair poprzysiągł sobie, że żaden nie zostanie zmarnowany. Teraz jednak przede wszystkim należało się zatroszczyć o ukrycie ich, zanim bez reszty posłuszni Tleilaxanom suboidzi odkryją, co naprawdę znajdowało się w pojemniku.

Mając na sobie ukradziony uniform robotnika z górnego piętra, C'tair przetransportował ładunek na dno jaskini w wózku odciążaczowym, na którym znalazły się też inne, zwykłe ładunki. Nie spieszył się; jak zawsze dbał o to, aby mieć minę zobojętniałą i apatyczną, z nikim nie nawiązywał rozmów, posłuszenie wykonywał rozkazy i słuchał wyzwisk ze strony Mistrzów Tleilaxan.

Sporo czasu upłynęło, zanim znalazł się na właściwym poziomie, a potem zamaskowanym korytarzem dotarł do swego chronionego przed czujnikami polem pomieszczenia. Wyładowawszy tutaj plastry eksplozyjne, ciężko dysząc, rzucił się wyczerpany na pryczę.

Zada pierwszy od lat poważny cios.

Zamknął oczy i nie otworzył ich nawet wtedy, kiedy kilka minut później usłyszał dźwięk otwieranych drzwi i szelest ubrania, były to bowiem odgłosy niosące uspokojenie. Nie tylko odgłosy, poczuł też słodki zapach, który tak polubił.

Od kilku miesięcy mieszkał wraz z Miral Alechem. Zbliżyli się do siebie po tym, jak skryci w tunelu przed patrolem sardaukarów kochali się ze sobą szybko i nerwowo. Przez wszystkie dotychczasowe lata spiskowania C'tair nawet nie myślał o takim związku, w każdej osobie upatrując wroga. To było zbyt niebezpieczne, zbyt rozpraszało uwagę. Miral jednak myślała tak samo jak on, i tak samo jak on chciała walczyć. A na dodatek była jeszcze taka piękna.

Usłyszał, jak z miękkim stukotem stawia teraz coś na podłodze. Następnie poczuł na policzku pocałunek.

– Zdobyłam parę rzeczy: przewód wysokiego napięcia, komplet laserowy i...

Nagle urwała zadyszana, a C'tair uśmiechnął się, nie otwierając oczu. Z pewnością zobaczyła materiały.

– Ja również zdobyłem parę rzeczy – powiedział i szybko usiadł na łóżku, a potem zaczął tłumaczyć, jak plastry dotarły do niego i jak działają. Każdy z nich, chociaż był wielkości niewielkiej monety, zawierał dość substancji eksplozyjnej, aby wysadzić w powietrze cały budynek. Wystarczy odpowiednio rozmieścić kilkanaście takich ładunków, a spowodują ogromne zniszczenia i zamieszanie.

Nachyliła się nad czarnymi plastrami, wyciągnęła rękę, ale potem się zawahała. Spojrzała na niego swymi wielkimi oczami, on zaś pomyślał, że to najwspanialsza osoba, jaką kiedykolwiek spotkał. Nie wahała się podejmować ryzyka nie mniejszego od tego, na które on się wystawiał. Nie uwodziła go, nie narzucała się, ich związek narodził się w przypadkowych okolicznościach. Najwidoczniej byli sobie przeznaczeni.

Przypomniała mu się dawna sympatia do Kailei, córki earla Verniusa, ale to był tylko sen, marzenie, które, kto wie, może by się ziściło, gdyby nie katastrofa... Tymczasem Miral była jak najbardziej rzeczywista.

– Nie bój się – powiedział. – Bez detonatora są zupełnie nieszkodliwe. – Wskazał

czerwone pudełko z iglicowymi zapalnikami.

Wzięła do ręki jeden z pastrów i zaczęła mu się przyglądać niczym jubiler wpatrzony w nowy płomiennik z Hagala. C'tair był pewien, że Miral rozważa najróżniejsze możliwości, przypomina sobie miejsca w mieście, gdzie podłożenie zapalnika spowoduje największe szkody.

– Sam już wybrałem kilka celów – oznajmił – ale miałem nadzieję, że mi pomożesz.

Odłożyła ostrożnie plaster i pociągnęła C'taira, układając się obok niego na pryczy.

– Dobrze wiesz, że pomogę – wyszeptwała. Jej oddech przy jego uchu był cudownie gorący.

Z pośpiechem zaczęli się pozbywać ubrań.

Kiedy skończyli się kochać z entuzjazmem zwiększonym przez wspaniałe plany, C'tair natychmiast zapadł w sen i spał dłużej niż zwykle. Wreszcie obudził się, a wtedy, korzystając z instrukcji, zaczęli uzbrajać ładunki. Przygotowali ich kilkanaście, resztę spakowali, a potem upewniwszy się, że na zewnątrz wszystko jest w porządku, opuścili pomieszczenie.

Ze smutkiem odchodzili z tego miejsca, które przez tak długi czas udzielało schronienia C'tairowi. Teraz spełni swe ostatnie zadanie: zada straszliwy cios najeźdźcom.

A Bene Tleilax nigdy się nie dowiedzą, kto go zadał.

Do każdej palety potrzebnej Tleilaxanom do realizacji tego, co robili za murami swych najtajniejszych laboratoriów, C'tair dołączał pudełko z ładunkiem, które wyglądem nie różniło się od innych. Plastry dotrą do wnętrza wrogiej twierdzy.

Zabierało mu to niewiele czasu. Ładował paletę, a potem nieznacznym ruchem uruchamiał zapalnik i przechodził do następnej. Jeden z suboidów poruszał się jak ślimak, więc C'tair pomógł mu ładować pojemniki na taśmę, aby zmniejszyć ryzyko. Wprawdzie założył dość spore opóźnienie wybuchu, nie mógł się jednak pozbyć niepokoju. Miral Alechem znajdowała się w przejściu pod innym budynkiem. Miała podłożyć ładunki pod wielką konstrukcję, na której górnych piętrach Tleilaxanie umieścili swoje liczne urzędy, a w tej chwili powinna już oddalać się stamtąd w bezpieczne miejsce.

Z głośnym terkotem taśma ruszyła i nabierając szybkości, poniosła swój transport do wnętrza laboratorium. C'tair wiele by dał, aby się dowiedzieć, co się tam działo za zaciemnionymi oknami, ani jednak jemu, ani Miral nie udało się tego wykryć. Cokolwiek to było, zostanie zniszczone.

Przy całym swym systemie brutalnego terroru Tleilaxanie w ciągu szesnastu lat zgnuśniali. Ich zabezpieczenia stawały się coraz komiczniejsze, tak łatwo można było je obejść... a teraz dowiedzą się, jak kosztowna może być lekkomyślność. To uderzenie musiało być potężne, z następnym będzie już bowiem o wiele trudniej.

Patrzył w ślad za poruszającą się taśmą i z trudem nad sobą panował. Stojący za nim robotnicy przygotowywali się do ładowania następnej porcji palet. C'tair zerknął na sufit

pieczary, z którego niczym odwrócone wyspy na sztucznym niebie zwieszały się potężne budynki.

Ważna była koordynacja; wszystkie cztery wybuchy powinny nastąpić w zbliżonym czasie.

Będzie to zwycięstwo tyleż materialne, co duchowe. Tleilaxanie muszą dojść do wniosku, że zamach przygotowała duża i świetnie zorganizowana grupa spiskowców, szykująca się zapewne do kolejnych aktów sabotażu.

„Nie mogą zgadnąć, że jest nas tylko dwoje”.

Być może ich sukces stanie się zachętą dla innych, a wtedy szeroki ruch oporu stanie się efektem samospelniającej się przepowiedni.

Odetchnął głęboko i zabrał się do kolejnego transportu. Nie może w żaden sposób zdradzić się ze swoim podnieceniem, musi zachowywać się absolutnie normalnie. Kasety inwigilacyjne nieustannie przesuwają się nad głowami, migocząc i utrwalając każdy szczegół. Nie spoglądał na chronometr, ale wiedział, że ten moment się zbliża.

Kiedy pierwsza eksplozja zatrzęsała dnem groty, apatyczni robotnicy znieruchomieli na chwilę i spojrzeli na siebie z niepokojem. C'tair wiedział, że wybuch był na tyle silny, aby zawalić ściany, pozrywać taśmy dostawcze, być może nawet zatkać odpadami tunele transportowe.

Zanim ktokolwiek zdążył zareagować, wybuchły stalaktytowe budynki na suficie. To ładunki zostawione w jego dawnej kryjówce zmiotły właśnie całe piętra w kompleksie biurowym. Jedno skrzydło Grand Palais zawisło podtrzymywane na zachowanych filarach i linach naciągowych.

Z góry zwała się ulewa gruzu i robotnicy rzucili się do ucieczki. Wszędzie zaczął się wdzierać szarawy pył skalny. Wycie syren odbijało się od ścian wielokrotnym przeraźliwym echem. C'tair nie słyszał takiego zgiełku od czasu buntu suboidów, który dał początek całemu przewrotowi. Wszystko zadziało znakomicie.

W udanym przerażeniu rzucił się do ucieczki w tłumie suboidów; wszędzie czuć było zapach materiałów budowlanych i – trwogi.

Od strony budynku, którym zajęła się Miral, dobiegł odgłos następnej eksplozji; był pewien, że ona sama zdążyła oddalić się na czas. W tej właśnie chwili taśma ładunkowa dotarła do wnętrza budynku laboratoryjnego. Trysnęły języki ognia i wzbiły się chmury czarnego dymu. Dźwięki detonacji zabrzmiały jak jakaś kosmiczna bitwa rozgrywana za grubymi murami.

Pożar zaczął przeskakiwać z budynku na budynek. Obok niczym stado szerszeni przemknął oddział sardaukarów, szukających źródła nagłej napaści. Nie widząc żadnych przeciwników, złość swoją próbowali rozładować, strzelając w sufit. Z głośników słychać było Mistrzów Tleilaxan, przekrzykujących się w swym niezrozumiałym języku, podczas gdy robotnicy szemrali przestraszeni. Nawet jednak w tym chaosie C'tair dostrzegł osobliwy



wyraz na twarzach niektórych Ixian: satysfakcja, zmieszana ze zdziwieniem, że mógł się powieść tak zmasowany atak. A w nich od tak dawna wygasł duch bojowy.

Teraz być może go odzyskają.

„Nareszcie” – myślał C'tair, ale musiał pamiętać o tym, aby ukryć swą satysfakcję. Chociaż na chwilę wyprostował plecy, to zaraz pozwolił barkom opaść na nowo w wyrazie rezygnacji i przygnębienia.

Najeźdźcy w końcu otrzymali cios naprawdę dotkliwy.

*Nieemożliwe jest przekazywanie informacji, które nie zawierałyby osądu.*

### **aksjomat Bene Gesserit**

Z balkonu przylegającego do jej prywatnych pokoi Jessika przyglądała się, jak jej dama do towarzystwa rozmawia na placu treningowym z Thufirem Hawatem, zbyt żywo przy tym gestykulując. Oboje co chwila zerkali w kierunku jej okien.

„Czy ten mentat naprawdę uważa mnie za idiotkę?”

Przez miesiąc, który upłynął od jej przybycia na Kaladan, każde jej życzenie było spełniane z chłodną poprawnością, ale nic więcej. Thufir Hawat zatroszczył się o wszystkie jej wygody, przydzielając pokoje po lady Helenie. Należało je porządnie przewietrzyć, tyle bowiem lat stały zamknięte, natomiast meble, basen do pływania i zawartość szaf daleko przekraczała wymagania Jessiki. W razie konieczności Bene Gesserit miały bardzo niewielkie potrzeby.

To także Hawat przydzielił jej do towarzystwa damę, która uwijała się wokół niby ćma, nieustannie znajdując sobie zajęcie, które usprawiedliwiałoby jej obecność. Nie ulegało wątpliwości, że to jedna z jego agentek.

Dzisiaj rano Jessika zwolniła ją ze służby bez podania jakiegokolwiek przyczyny, a teraz czekała, jakie będą reakcje. Czy Mistrz Assassinów pofatyguje się sam, czy przyśle umyślnego? Czy zrozumie przesłany mu sygnał: „Proszę mnie nie lekceważyć, Thufirze Hawat!”

Widziała, jak kończy wymianę zdań. Stanowczym krokiem ruszył w kierunku zamku.

„Dziwny człowiek z tego mentata” – myślała. Jeszcze na Wallach IX Jessika zgłębiła akta Hawata. Zanim został nabyty przez obejmującego władzę księcia Paulusa Atrydę, ojca Leta, pół życia spędził w szkole mentatów, najpierw jako student, potem jako filozof i teoretyk taktyki.

Korzystając z właściwej Bene Gesserit umiejętności drobiazgowej obserwacji, Jessika z bliska teraz śledziła zachowania mentata, bardzo różniącego się od absolwentów Szkoły

Mentatów, najczęściej będących introwertykami stroniącymi od bliższych kontaktów. Ten niebezpieczny mężczyzna był agresywny i niezwykle sprawny, a przede wszystkim fanatycznie wręcz lojalny wobec Atrydów. W jakiś sposób przypominał wypaczonego przez Tleilaxan Pitera de Vriesa, tyle że był jego etycznym przeciwieństwem. Ciekawe, bardzo ciekawe...

Zauważyła, że i Hawat bacznie się jej przypatruje, każdy szczegół przepuszczając przez swe filtry logiczne. Niebezpieczny przeciwnik, gdyby miał nim zostać?

Zresztą wszyscy, nie tylko on, chcieli wiedzieć, dlaczego się tu znalazła, dlaczego właśnie ją wybrał zakon i jaką misję jej powierzono.

Usłyszała zdecydowane pukanie do drzwi i kazała wejść.

„No cóż, koniec gierki. Zobaczymy, co ma do powiedzenia”.

Usta Hawat były zwilżone sokiem safo, w głęboko osadzonych oczach widać było troskę i ożywienie.

– Zechciej mi wyjaśnić, pani, co ci nie odpowiadało w usługach wyznaczonej przeze mnie osoby.

Jessika ubrana była w jednoczęściowy kostium z lawendowej satyny, który podkreślał jej zgrabną figurę. Makijaż miała delikatny: odrobinę kremu pod oczy, cień kredki na wargach, ale jej spojrzenie było twarde.

– Nie będę ukrywać, że tyle się o tobie nasłuchawszy, Thufirze Hawat, oczekiwałam odrobinę większej subtelności. Jeśli już koniecznie musisz mnie szpiegować, to wyznacz do tego jakąś bardziej kompetentną osobę.

Te śmiałe słowa zaskoczyły mentata, a w jego wzroku pojawił się szacunek.

– Pani, moim obowiązkiem jest czuwanie nad bezpieczeństwem księcia, a w tym celu muszę podejmować najróżniejsze kroki.

Jessika zamknęła drzwi; stali od siebie w odległości, która każdemu z nich pozwalała na śmiertelny cios.

– Mentacie, co wiesz o Bene Gesserit?

Na wysuszonej twarzy pojawił się cień uśmiechu.

– Tyle, ile zakon pozwala o sobie wiedzieć ludziom z zewnątrz.

– Od chwili, kiedy Wielebna Matka Mohiam przywiozła mnie tutaj, ja także zobowiązana jestem wiernie służyć księciu Leto. Sądzisz, że stanowią dla niego zagrożenie? Że zakon chce bezpośrednio zaatakować władcę zasiadającego w Landsraadzie? Czy znasz chociażby jeden podobny wypadek w dziejach Cesarstwa? Przecież dla Bene Gesserit byłby to krok samobójczy. – Jej nozdrza poruszały się gniewnie. – Rusz głową, mentacie! Dokonaj jednej z tych waszych słynnych analiz. Po chwili namysłu Hawat przyznał:

– Nie, nie znam ani jednego takiego zdarzenia, moja pani.

– A ty umieszczasz u mego boku taką niezdare, żeby mnie podglądała! Dlaczego się mnie lękasz? O co takiego podejrzewasz? – Powstrzymała się od użycia Głosu, tego bowiem Hawat

nigdy by jej nie wybaczył. Natomiast nie zawahała się użyć delikatnej groźby: – I ostrzegam, żebyś nie kłamał.

„Niech się zastanawia, czy jestem Prawdomówczynią!”

– Pani, przepraszam za tę niedelikatność. Istotnie, być może byłem zbyt... gorliwy w moich staraniach o zapewnienie księciu bezpieczeństwa.

„Bardzo silna osoba – myślał mentat. – Książę mógł trafić znacznie gorzej”.

– Bardzo mi imponuje twoje oddanie i poświęcenie. – Zobaczyła, jak odrobinę mięknie wyraz jego oczu, w którym pojawił się głębszy respekt. – Ja jestem tutaj raptem miesiąc, podczas gdy ty służysz już trzem generacjom Atrydów. Masz na nodze szramę po ranie zadanej przez salusańskiego byka podczas jednego z pierwszych występów Starego Księcia, czyż nie? W tej sytuacji trudno się dziwić, że drażnią cię wszelkie zmiany w najbliższym otoczeniu. – Odsunęła się trochę i pozwoliła, by w jej głosie pojawił się odcień żalu. – Jak na razie, książę traktuje mnie jak co najwyżej daleką krewną, ale mam nadzieję, że w przyszłości zniknie jego niechęć wobec mnie.

– To nie jest niechęć, moja pani, ale na partnerkę wybrał już sobie Kaileę Vernius. Jest matką jego syna.

Jessika bardzo szybko zorientowała się, że nie jest to bynajmniej szczęśliwy związek.

– Mentacie, mentacie, potraktuj mnie trochę poważniej. Ani nie została ogłoszona konkubina przypisaną księciu, ani nie pojął jej za żonę, a na dodatek nie uznał oficjalnie syna. I o czym to może świadczyć?

Można było sądzić, że Hawat poczuł się osobiście urażony.

– Ojciec nauczył go – rzekł oficjalnym tonem – by małżeństwo zawierać tylko z myślą o politycznej korzyści dla rodu Atrydów. Książę nie znalazł jeszcze najlepszej partii... ale nieustannie się nad tym zastanawia.

– No cóż, niech się zastanawia – powiedziała Jessika tonem oznaczającym, że rozmowa dobiegła końca. Kiedy się odwrócił do wyjścia, dodała: – Odtąd, Thufirze Hawat, sama będę sobie dobierała osoby do towarzystwa.

– Jak sobie życzysz, pani.

Po odejściu mentata Jessika zaczęła oceniać całą sytuację, bardziej myśląc w kategoriach dalszych planów niż misji zleconej przez zakon. Do swej urody może dołączyć techniki uwodzenia, w które były wprowadzane wszystkie siostry, Leto był jednak dumnym indywidualistą i gdyby ją przejrzał, byłby zły na próby manipulacji. Tak czy inaczej, Jessika miała przed sobą problem do rozwiązania.

Niekiedy dostrzegała w spojrzeniu, jakim ją obdarzał, poczucie winy, co najczęściej zdarzało się po scysjach z Kaileą. Ilekroć jednak Jessika usiłowała wykorzystać te momenty, Leto natychmiast się wycofywał, a w jego zachowaniu pojawiał się chłód.

Niezbyt korzystny był też fakt zamieszkiwania pokojów lady Heleny, Leto bowiem z wyraźną niechęcią kierował się w tę stronę pałacu. Po śmierci Paulusa Atrydy pomiędzy

matką a synem zapanowała niechęć; Helena udała się na „odpoczynek i medytację” do odległego klasztoru. Oto następna emocjonalna bariera między Jessiką a księciem.

Leto Atryda był bez wątpienia atrakcyjny i przystojny, a Jessika nie miała nic przeciwko temu, żeby zostać jego towarzyszką. Więcej: chciała nią zostać. Szydła z siebie, ilekroć nawiedzały ją takie uczucia – a zdarzało się to nierzadko – gdyż nie mogła pozwolić na to, aby zaczęły nią rządzić emocje. Bene Gesserit za nic nie chciały uzależniać się od miłości.

„Mam problem do rozwiązania” – upominała samą siebie. Należało tylko poczekać na odpowiedni moment.

*Nieskończoność, atakuje nas jak potok światła w ciemności, a oślepieni nie widzimy gwałtów, które może zadawać skończoności.*

**z Medytacji z Bifrost Eyrie,  
tekst buddoislamski**

Cztery miesiące po katastrofalnej lawinie Abulurd Harkonnen udał się wraz z żoną z szeroko rozreklamowaną wizytą do odbudowującego się miasta w górach. Tragedia Bifrost Eyrie wstrząsnęła całym Lankiveil, stając się sprawą wszystkich mieszkańców.

Teraz okazało się, jak oboje nawzajem dodają sobie siły. Przez całe lata Abulurd wzdragał się przed ostentacyjnym demonstrowaniem swej władzy, nie domagał się, by zwracano się do niego w jakiś szczególny sposób. Chciał, by ludzie z Lankiveil zarządzili się sami, by wzajem sobie pomagali z wewnętrznej potrzeby serca. Wieśniaków, myśliwych i rybaków uważał za jedną wielką rodzinę, mającą wiele wspólnych interesów.

Teraz jednak łagodnymi namowami Emmi przekonała męża, że oficjalne odwiedziny, podczas których wystąpi jako oficjalny gubernator planety, jeszcze bardziej zwrócą uwagę na los mieszkańców nieszczęśliwego Bifrost Eyrie. Podobnego zdania był burmistrz, Onir Rautha-Rabban.

Abulurd i Emmi wyruszyli w orszaku, w którym znalazły się także takie osoby z ich otoczenia, które nigdy nie wystawiły nosa poza nabrzeżne wioski. Trzy ornitoptery wolno sunęły nad lodowcami i zaśnieżonymi szczytami, kierując się ku klasztornemu miastu.

Świat wydawał się dziewiczo nieskalany w promieniach słońca, w których skrzyły się wielkie połacie śniegów i lodów. Abulurd, urodzony optymista, był przekonany, że mieszkańców Bifrost Eyrie czeka teraz znacznie pomyślniejsza przyszłość. Przygotował sobie mowę, takiemu przeświadczeniu dającą wyraz, chociaż nie był przyzwyczajony do wystąpień przed licznymi zgromadzeniami. Na wszelki wypadek dwa razy wygłosił ją, za jedyną

słuchaczkę mając Emmi.

Wylądowali na płaskowyżu u stóp stromych skał wyrastających nad Bifrost Eyrie. Kiedy wszyscy już opuścili maszyny, cały orszak ruszył w kierunku miasta, z gubernatorską parą dostojnie kroczącą na czele.

Brygady budowlane dokonały oszałamiających postępów. Spod zwałów śniegu wydobyły zasypane budynki, a ponieważ zdecydowana ich większość została uszkodzona, więc teraz oplecione były sieciami rusztowań. Zręczni kamieniarze dokonywali koniecznych rekonstrukcji, uzupełniali braki, korzystali z okazji, by tu czy tam uczynić coś piękniejszym niż poprzednio. Bifrost Eyrie nie będzie już takie jak dawniej... może jednak niczym feniks powstający z popiołów odrodzi się jeszcze wspanialsze.

Na spotkanie im wyszedł korpulentny Onir Rautha-Rabban odziany w oficjalne szaty obrębione futrem wielorybim. Ojciec Emmi po katastrofie zgolił swą siwą brodę, chciał bowiem, aby każde zerknięcie w lustro przypominało mu, jakie straty poniosło podległe mu miasto. Dzisiaj jednak na jego szerokiej, kwadratowej twarzy widać było zadowolenie i wigor, jakich od dawna już nie doświadczał.

Na wieść o przybyciu gubernatora murarze porzucili rusztowania i tłumnie udali się na wielki rynek. Nawet teraz, kiedy wiele jeszcze brakowało do zakończenia renowacji, otaczające go budowle robiły imponujące wrażenie.

Od czasów lawiny pogoda sprzyjała budowniczym, ale w przeciągu najbliższych dwóch miesięcy nadejść miała zima, która zmusi konstruktorów do zaszycia się na pół roku we wnętrzach budynków. Nie wystarczy jeden sezon na odbudowę Bifrost Eyrie, która ze względu na ogrom prac ciągnąć się będzie wiele lat, w niczym jednak nie zniechęci to ludzi, dla których każdy dołożony kamień stanowił kolejną małą modlitwę do niebios spoglądających na Lankiveil.

Stanąwszy przed zebraniem tłumem, Abulurd uniósł dłoń, dając znak, że chce przemówić, a jednocześnie w myślach powtarzał sobie początkowe słowa. I nagle wszystkie gdzieś się rozplynęły, pozostawiając jedynie pustkę w głowie i wielkie zdenerwowanie. Poczul dotknięcie Emmi, która dodawała mu otuchy, a zobaczywszy stropienie męża, szeptem podrzuciła pierwszą frazę.

– Przyjaciele! – zaczął ze speszonym uśmiechem na twarzy. – Nauki buddoizmu zachęcają do wielkoduszności, współpracy i pomocy wobec tych, którzy znaleźli się w potrzebie. Trudno o piękniejszy przykład wspierania naszych bliźnich jak ochotnicza...

Przez tłum przetoczył się pomruk, ludzie spoglądali w niebo i coś sobie pokazywali. Abulurd zawahał się, niepewnie zerknął przez ramię, a w tej samej chwili rozległ się okrzyk Emmi.

Znad górskich grani wyłoniła się formacja czarnych maszyn bojowych oznaczonych gryfami Harkonnenów. Abulurd zmarszczył brwi, bardziej zaskoczony niż przestraszony.

– Co to może znaczyć, Emmi? – spytał. – Skąd tu te maszyny?

Ona jednak już wiedziała, co się święci.

Siedem złowrogich maszyn ze straszliwym hukiem gnało ku nim nisko nad ziemią. Abulurdowi przemknęła przez głowę myśl, że takie nie przemyślane działanie może sprowadzić na miasto nową lawinę, ale w tej właśnie chwili powietrzne pojazdy otworzyły ogień. Ludzie rzucili się do ucieczki, w popłochu szukając schronienia, Abulurd zaś zupełnie nie mógł zrozumieć tego, co rozgrywało się na jego oczach.

Trzy maszyny zwolniły i zawisły nad rynkiem, a z wnętrza złowrogo wysunęły się lufy laserobinów.

– Co robicie?! – wołał Abulurd i machał rękami, aby zwrócić na siebie uwagę pilotów. – To jakaś pomyłka!

Emmi gwałtownie chwyciła go za ramię i pociągnęła z podium, gdzie był szczególnie łatwym celem dla snajperów.

– To nie żadna pomyłka!

Maszyny zaczęły opadać na ziemię i najpewniej osiadłyby na ludziach, gdyby ci nie rozpierzchli się na boki.

– Zostań tutaj! – polecił Emmi, a sam ruszył ku pojazdom, aby zażądać wyjaśnień.

Cztery pozostałe maszyny krążyły nad miastem i laserowymi promieniami odcinały rusztowania od budowli, jak rybacy patroszący zdobycz.

– Stać! – krzyczał Abulurd w niebo i potrząsał zaciśniętymi pięściami, ale nikt nie zwracał na niego uwagi. Byli to wprawdzie ludzie z oddziałów służących jego rodzinie, ale strzelali do jego podwładnych, do bezbronnej ludności Lankiveil. – Stać! – krzyczał Abulurd, chociaż głos jego ginął w huku silników.

Emmi podbiegła do niego i odciągnęła na bok; zachwiali się oboje w gorącym podmuchu ornitoptera, który przemknął nisko nad rynkiem. Smugi laserobinów siekały tłum i widać było, jak ludzie upadają w płomieniach na ziemię, po kilkunastu od jednej salwy.

Z lodowców zaczęły się odrywać wielkie bryły i z łoskotem staczać w dół. Ledwie naprawione budynki znowu zamieniały się w ruinę.

Cztery maszyny pozostające w powietrzu zatoczyły krąg i znowu sunęły na miasto, podczas gdy z trzech ornitopterów, które wylądowały, zaczęli się wysypywać żołnierze w niebieskich uniformach, izolujących przed mrozem.

Abulurd puścił się biegiem w ich kierunku.

– Jestem Abulurd Harkonnen, jako gubernator tej planety rozkazuję, abyście natychmiast przestali!

Żołnierze jednak ledwie zaszczycili go spojrzeniem i najwidoczniej ani myśleli słuchać.

Na koniec z wnętrza maszyny wyłonił się Glossu Rabban, z bronią zwisającą u pasa oraz mnóstwem militarnych insygniów na piersi i ramionach. Czarny hełm nadawał mu wygląd gladiatora w antycznym Koloseum. Rozpoznawszy wnuka, Onir Rautha-Rabban rzucił się ku niemu z błagalnie wyciągniętymi rękami. Ojciec natomiast zamarł z przerażenia, teraz

oczekując już najgorszego.

– Glossu! Co tu się dzieje? I dlaczego?! – zawołał.

Pod drugiej stronie placu żołnierze z bliska otworzyli ogień z laserobinów, a ludzie nie mieli gdzie się skryć przed śmiertcionośnymi promieniami. Dwaj brutalnie chwycili burmistrza i odciągnęli go na bok. Kilku innych stanęło na drodze Abulurdowi, który z gniewem i rozpaczą na twarzy szedł w kierunku syna.

– Przepuścić mnie! – rzucił głosem, jakiego nigdy jeszcze u niego nie słyszano.

Glossu czekał na niego spokojny, obojętny, zimny. Usta zaciskały się w wyrazie satysfakcji.

– Ojczy, twoi poddani muszą zapamiętać, że są gorsze rzeczy od naturalnych katastrof. Jeśli będą się wykręcać od płacenia należnych danin, czekać ich będzie katastrofa nienaturalna – ja! – oznajmił Glossu i dumnie podniósł podbródek.

– Natychmiast każ im przestać – warknął Abulurd. – Ja jestem tutaj gubernatorem i to moi poddani!

Rabban spojrzał na niego z niesmakiem.

– Gubernator powinien dokładnie im uzmysłwić, jakiego zachowania się od nich oczekuje. To nie jest trudna sprawa, ale ty najwidoczniej nie potrafisz sobie z nią poradzić.

Harkonneńscy żołnierze ciągnęli Onira Rabbana w kierunku lodowego urwiska. Zrozumiawszy, co zamierzają, Emmi podniosła krzyk. Abulurd odwrócił się i zobaczył, że jego teść znajduje się już nad samą krawędzią przepaści skrytej w zastygłych niżej chmurach.

– Nie możesz tego zrobić! – zawołał Abulurd z przerażeniem. – Przecież to twój dziadek! Z ironicznym uśmiechem na twarzy Rabban powiedział cichutko:

– Och, nie, poczekajcie.

Nikt, oczywiście, nie mógł go usłyszeć. Zresztą już wcześniej wydał rozkazy.

Żołnierze chwycili burmistrza pod pachy i unieśli w górę; bezskutecznie wijąc się i szarpiąc, na chwilę tak wykręcił szyję, że jego pełne grozy spojrzenie napotkało wzrok Abulurda.

– Och, nie, tak nie można – powiedział Glossu równie cichym głosem, a uśmiech stał się jeszcze wyraźniejszy.

Obaj żołnierze zgodnym ruchem wyrzucili w górę ciało, które zatoczyło łuk i runęło w dół.

– Za późno – oznajmił Glossu ze wzruszeniem ramion.

Emmi padła na kolana i dostała ataku torsji. Abulurd, który nie wiedział, czy biec jej na pomoc, czy rzucić się na syna, stał jak sparaliżowany.

Rabban klasnął w grube dłonie.

– Wystarczy! Do maszyn!

Rozległ się głośny sygnał, żołnierze karnie zawrócili i pospieszyli do ornitopterów. Za ich plecami ludzie w rozpaczy pochylali się nad ciałami, szukając tych, którym można jeszcze

pomóc, i oplakując zabitych.

Tymczasem Rabban patrzył ojcu w twarz, stojąc w wejściu do ornitoptera dowodzącego.

– Powinieneś mi być wdzięczny, że zgodziłem się wykonać za ciebie tę czarną robotę. Pod twoją miękką ręką strasznie się rozleniwili.

Z powietrza nastąpił jeszcze jeden atak, zawały się kolejne budynki, po czym cztery maszyny wzbily się w górę, przegrupowując się w powietrzu.

– Jeśli zmusisz mnie jeszcze do takiego pokazu, będzie odrobinę brutalniejszy, a wszystko to, naturalnie, w twoim imieniu jako gubernatora.

Rabban odwrócił się i wskoczył do wnętrza statku.

Abulurd osłupiałym wzrokiem spoglądał na ruiny, spopielone ciała, ludzi w rozpacz. Usłyszał narastający krzyk zgrozy i dopiero po chwili zorientował się, że dobywa się on z jego krtani.

Zataczając się, Emmi powlokła się w kierunku przepaści i z jej krawędzi patrzyła na chmury, pod którymi kryła się otchłań, a w niej ciało ojca.

Maszyny Harkonnenów majestatycznie oderwały się od ziemi, w dole zostawiając ponownie zdruzgotane miasto. Abulurd padł na klęczki. W oczach miał uśmiechniętą twarz Glossu.

– Jak mogłem wydać na świat takiego potwora? – jęknął. Wiedział, że to pytanie, na które nigdy nie będzie potrafił znaleźć odpowiedzi.

*Człowiek nie potrafi osiągnąć niczego większego nad miłość. To uczucie, które ogarnia bez reszty całe serce, umysł i duszę.*

### **z mądrości zensunnickich Wędrowców**

Liet-Kynes i Warrick spędzili razem wieczór pod Szczerbata Skałą w kotlinie Hagga. Odwiedzili następną ze starych Stacji Badawczych Botaniki i znaleźli parę urządzeń i instrumentów, których piasek nie zniszczył doszczętnie.

Przez dwa lata, które upłynęły od wyprawy na biegun południowy, towarzyszyli Pardotowi Kynesowi w wyjazdach do sicy, by obserwować, jak rozwijają się dawne i nowe plantacje. W jaskini w Gipsowej Kotlinie planetolog założył małą oranżerię, która miała uświadomić, czym mogłaby się stać Diuna. Woda z wychwytywaczy rosy i wiatrolapów doprowadzana była do krzewów i kwiatów. Wielu Wolan otrzymywało próbki z pokazowej oranżerii, a odrobinki owoców przyjmowali jak hostię, z zamkniętymi oczami rozkoszując się smakiem.

Wszystko to przyrzekł im Pardot Kynes, a co więcej, także dotrzymał słowa. On zaś był



dumny, że jego wizja stała się rzeczywistością. Dumą napawał go także syn. Kiwając z powagą głową, powtarzał:

– Któregoś dnia, Liet, to ty zostaniesz Cesarskim Planetologiem.

Chociaż zapalał się, kiedy zaczynał mówić o rozbudzeniu pustyni, stworzeniu traw i innych form życia zamkniętego ekosystemu, to przecież żadnej kwestii nie potrafił wyklądać w sposób systematyczny, uporządkowany.

Warrick wsłuchiwał się w każde jego słowo, ale Kynes z niezwykłą łatwością zaczynał od jednej kwestii, by płynnie przechodzić do innych, które akurat przykuły jego uwagę.

– Jesteśmy elementami jednej tkaniny i każdy z nas musi się trzymać właściwego mu wątku – mówił Kynes, bardziej może niż należałoby urzeczony swoimi słowami.

Często powracał do przeżyć z Salusa Secundy i do swoich badań zdziczałego terenu, którym nikt inny się nie interesował. Następnie kilka lat spędził na Bela Tegeuse, obserwując, jak może się rozwijać życie roślinne pomimo kwaśnej gleby i marnego światła słonecznego. Odwiedził też Harmonthep, III Delta Kaising, Gamont, Poritrin i dwór na Kaitain, skąd Cesarz Elrood IX wysłał go z misją na Arrakis.

Kiedy Liet i Warrick zaczęli się oddalać od Szczerbatej Skały, zerwał się ciężki *heinali*, czyli „obalacz ludzi”. Kuląc się pod ostrymi smagnięciami wiatru, Liet wskazał małą wychodnię skalną.

– Schrońmy się tam!

Warrick z włosami związanymi w opadający na szyję kucyk ruszył we wskazanym kierunku, rozluźniając paski wolańskiej sakwy. Razem szybko rozbili obozowisko i wśliznęli się do namiotu, aby snuć potem długie rozmowy.

Przez owe dwa lata nikomu nie wspomnieli o Dominiku Verniusie i jego kryjówce, przyrzekli mu to bowiem, a słowność była cnotą bardzo cenioną wśród Wolan.

Obaj mieli po osiemnaście lat i niebawem powinni się żenić. Liet, ponaglany przez burzę hormonów, coraz bardziej skłaniał się ku Farouli, córce Heinara, naiba siczy Czerwonego Muru. Wiotka, wielkooka, pełna temperamentu, wiele już wiedziała o ziołach i środkach medycznych, zapowiadając się na znakomitą uzdrowicielkę.

Na nieszczęście Faroula podobała się także Warrickowi, Liet zaś wiedział, że to jego brat krwi prędzej niż on zdobędzie się na odwagę, aby poprosić o rękę dziewczyny.

Do snu ukołysał ich szelest piasku osuwającego się po ścianach namiotu.

Kiedy o poranku wyczołgali się na zewnątrz, Liet spojrział na wielki przestwór kotliny Hagga. Warrick zamrugał oślepiiony jasnym światłem.

– *Kull wahad!*

Nocny wiatr całkowicie zmiotł piasek z białej płyty będącej jedyną pozostałością po słonym morzu. Chociaż było jeszcze wcześniej, powietrze już wibrowało nad rozgrzaną płaszczyzną.

– Gipsowa równina, rzadki widok – mruknął Liet. – Ojciec z pewnością zaraz rzuciłby się

pobrać próbki.

– Powiadają – odezwał się Warrick uroczystym, ściszym głosem – że życzenie wypowiedziane na widok Bijan, Białej Krainy, zawsze się spełnia.

Liet odwrócił się do przyjaciela i natychmiast wypowiedział swe najgorętsze życzenie:

– Chcę, aby Faroula została moją żoną!

Warrick przygryzł wargi w uśmiechu.

– Masz pecha, bracie. Ja prosiłem o to samo. – Klepnął z rozmachem Lieta w ramię. – Z czego wynika, że nie wszystkie życzenia mogą się spełnić.

O zmroku Pardot Kynes przyjechał do siczy Falista Skała i dzięki temu mogli porozmawiać. Wcześniej jednak starszyzna zatroszczyła się o uroczyste powitanie, dziękując za to, co mu zawdzięczali. Kynes jednak niecierpliwił się, pomijając wiele z rytualnych odpowiedzi, tak bardzo pilno mu było zobaczyć wszystko i sprawdzić na własne oczy.

W skalnych zagłębieniach dojrzywały rośliny, którym światło słoneczne zastępowały ustawione na pełną moc jarzyce. Aby użyźnić piasek, dodawano do niego środki chemiczne i ludzki nawóz. Hodowano tu źdźbła palmowe, bylicę, niewielkie kaktusy, dookoła nich kilka odmian traw. Grupy kobiet w długich szatach w nabożnym skupieniu przechodziły od jednej rośliny do drugiej, obdarzając je dwoma, trzema kubkami wody.

Na skalnych ścianach odizolowanego od świata kanionu każdego ranka osiadała rosa, którą kolektory odprowadzały na dół.

Podczas obchodu Kynes zatrzymywał się przy każdej roślinie, badając liście i łodygi, a tak go to pochłonęło, że zupełnie zapomniał, iż w siczy czekali na niego syn z Warrickiem. Ommun i Turok, wierni strażnicy, czuwali z boku, gotowi bronić go z narażeniem własnego życia, gdyby pojawiło się jakiegokolwiek niebezpieczeństwo. Liet zastanawiał się, czy ojciec w ogóle zdaje sobie sprawę z tego, jak wielki zyskał szacunek pośród Wolan.

U wąskiego wejścia do kanionu, który od pustyni oddzielała w tym miejscu tylko niska kamienna barykada, przy świetle kołyszących się na uwięzi jarzyc wolańskie dzieci bawiły się metalowymi prętami powyciąganymi ze śmietników Kartagi.

W ciszy zmierzchu Liet i Warrick przykucnęli na skale i przypatrywali się dzieciom. Warrick pociągnął nosem i popatrzył w kierunku ukrytych wśród skał krzewów i kaktusów.

– Małe stworzyciele ciągną do wilgoci jak żelazne opilki do magnesu.

Liet jako chłopiec niejedną raz brał udział w takich zajęciach, ale zawsze z zainteresowaniem przypatrywał się łowom na piaskopływaki. Zdobycz nie była trudna.

Jedna z dziewczynek nachyliła się, ostrożnie upuściła kropelkę śliny na koniec pręta i wyciągnęła go nad piaskiem. Powiązane w grupki malutkie jarzyce rzucały cienie na nierówny grunt i nawet z daleka widać było, jak zaroilo się pod jego powierzchnią.

Piaskopływaki były miękkimi, bezkształtnymi stworzonkami, które zdychając, robiły się twarde i sztywne. Wiele ich martwych łusek znajdowało się wokół miejsca wybuchu

przyprawowego; jeśli wyczuły gdzieś wilgoć, natychmiast tam podążały, aby ją otorbić, chroniąc w ten sposób szej-huludy.

Jedno z żyjatek wyciągnęło nibynóżkę w kierunku pręta, a kiedy ta dotknęła śliny, dziewczynka okręciła drut i wstała, pokazując dyndające na końcu stworzenie. Inne dzieci zachichotały.

Także chłopiec złapał jednego z małych stworzycieli i oboje pobiegli w kierunku skały, gdzie ułożywszy zdobycze, lekko je nakłuwali, a następnie zlizywali słodką wydzielinę, za którą Liet w dzieciństwie przepadał. Także teraz ciągnęło go do smakołyku, ale musiał upomnieć siebie, że jest już dorosły i takie zachowanie mu nie przystoi, szczególnie jako synowi Ummy Kynesa.

Warrick przycupnął obok i wpatrzony w dzieci myślał o swej przyszłej rodzinie. W pewnej chwili ocknął się i popatrzył na purpurowe niebo.

– Powiadają, że pora burz najbardziej sprzyja uprawianiu miłości.

Zmarszczył brwi i potarł twarz, na której zaczął hodować brodę. Liet lekko się uśmiechnął; on nadal gładko się golił.

– Czas już nam rozejrzeć się za małżonkami, Warrick.

Obaj myśleli o Farouli, a chociaż jej bardzo było w smak ich zainteresowanie, obu chłopaków trzymała na równy dystans. Tak czy inaczej, obaj prześcigali się w znoszeniu jej prezentów z pustyni.

– Może powinniśmy podjąć decyzję na wolański sposób – rzekł Warrick. Wydobył zza szarfy parę gładkich kościanych szpikulców długości noży. – Będziemy nimi rzucać, żeby zobaczyć, kto z nas powinien oświadczyć się Farouli.

Liet miał, oczywiście, swoją parę szpikulców; niejeden długi wieczór obozowy spędzili na współzawodnictwie. Na ich ściankach wyryte były w przypadkowej kolejności liczby; ciskało się nimi w piach, a potem odczytywało cyfrę, do której wbił się każdy z rzutków. Wygrywała wyższa liczba. Gra wymagała umiejętności i szczęścia.

– Jeśli zagramy we wbijaki, nie masz ze mną szans – oświadczył Liet.

– Nie byłbym taki pewien.

– Zresztą, o Faroulę nie powinno się grać kośćmi. – Liet oparł się o chłodną skałę. – Chyba powinna o tym rozstrzygnąć ceremonia *ahal*: niech ona wybierze, kto jest jej miłszy.

– A sądzisz, że mnie wybierze? – spytał w zadumie Warrick.

– Oczywiście, że nie.

– Zawsze ufam twojemu osądowi, przyjacielu, ale nie w tym wypadku.

– To w takim razie może lepiej ja ją spytam, jak wrócimy. Gdzie znajdzie lepszego męża ode mnie?

Warrick zaniósł się śmiechem.

– Och, Liet, Liet, zwykle jesteś nieustraszony, ale w towarzystwie pięknej dziewczyny natychmiast strach cię oblatuje.

Liet prychnął z oburzeniem.

– Ułożyłem dla niej wiersz. Spiszę go teraz na papierze przyprawowym i podrzucę do jej pokoju.

– A będziesz miał tyle odwagi, żeby się podpisać? – zakpił Warrick. – I cóż to za piękny wiersz?

Liet zamknął oczy i zaczął recytować:

*Tyleż to nocy śnię wsluchany w wiatru szelesty  
Tyleż to nocy obok jamy węża marzę o Farouli  
W letniej spiekocie.  
Widzę, jak piecze chleb przyprawowy na wielkiej szufli  
I taliony wody wpina we włosów sploty.*

*Gdy widzę ruch jej piersi, serce w piersi się szamocze,  
A chociaż jest mą udręką i bólem, czekam cierpliwe,  
Gdyż ona, Faroula, jest miłością mej duszy.  
Pierś moją szarpie wichur i w piersi szaleje,  
Ale w kanacie woda stoi cicha.*

Liet otworzył oczy, jakby się budził ze snu.

– Słyszałem lepsze – Warrick wyduł usta – i sam takie piszę. Ale poprawiasz się. Całkiem możliwe, że znajdziesz sobie jakąś niezłą dziewczynę, ale z pewnością nie będzie to Faroula.

Liet udał, że się obraził. Obaj w milczeniu przyglądali się dzieciom. Liet wiedział, że ojciec ślęczy gdzieś nad sadzonkami i zastanawia się, jak jeszcze usprawnić hodowlę, aby zatrzymać w glebie jak najwięcej azotanów. „Pewnie nigdy w życiu nie łapał dla uciechy piaskopływaków”.

Milczeli obaj, aż wreszcie po długiej przerwie odezwali się jednocześnie, co wywołało atak śmiechu. Potem zgodnie kiwnęli głowami.

– Jak tylko będziemy w Czerwonym Murze, staniemy obaj i spytamy, którego woli.

Przyklepali decyzję, każdy z nadzieją w sercu, a zarazem z ulgą, że ktoś inny rozstrzygnie za nich tę kwestię.

W siczy Heinara zapanowała radość z powodu powrotu Pardota Kynesa.

Faroula z rękami na wiotkiej kibici patrzyła, jak członkowie grupy jeden po drugim wchodzą przez otwór grodzi. W ciemnych lokach sięgających do ramion podzwaniały taliony wody, twarz była szczupła i czarowna, pod pięknie sklepionymi brwiami ciemniały oczy niczym stawy o północy. Po ogorzałych policzkach błąkał się lekki rumieniec.

Spojrzała najpierw na Lieta, potem przeniosła wzrok na Warricka. Twarz miała surową i

tylko lekkie wygięcie ust świadczyło o tym, że pytanie bardziej sprawiło jej przyjemność, niż obraziło.

– A niby dlaczego miałabym wybierać między wami oboma? – Faroula spoglądała to na jednego, to na drugiego, oni zaś aż skręcali się wewnętrznie z niepokojem. – Jesteście aż tacy pewni siebie?

– Bo... – Warrick na chwilę zawahał się, a potem ciągnął, dumnie wypinając pierś – ...wielokrotnie wyprawiałem się na Harkonnenów. Odbyłem piaskalami wyprawę na biegun południowy. Bardzo...

– Ja robiłem wszystko to samo co Warrick – Liet wszedł mu w słowo – ale na dodatek jestem synem Ummy Kynesa i gdy przyjdzie czas, zastąpię go jako planetolog. Nadejdzie może dzień, kiedy opuścę tę planetę, aby złożyć Cesarzowi wizytę na Kaitain, więc...

Teraz Faroula nie dała mu dokończyć:

– A ja jestem córką naiba Heinara i mogę mieć takiego mężczyznę, jakiego będę chciała.

Liet przestąpił z nogi na nogę i zgarbił się. Warrick zerknął na przyjaciela, ale udawał, że nic nie stracił z początkowej swady.

– No to... wybieraj!

Faroula parsknęła śmiechem, ale zaraz z powrotem przywołała na twarz powagę.

– Cóż, każdy z was ma pewne zalety... powiedzmy, przynajmniej kilka. I przypuszczam, że jeśli szybko się nie zdecyduję, gotowicie się pozabijać, żeby się tylko wykazać, zupełnie jakbym o to prosiła. – Odrzuciła włosy, a taliony wody zadźwięczały. Przyłożyła palec do ust, chwilę się zastanawiała, a potem rzekła: – Dajcie mi dwa dni. Muszę się zastanowić. – A kiedy żaden się nie ruszył, prychnęła: – I dość tego gapienia się, przecież chyba macie coś do roboty! Jednego możecie być pewni, na pewno nie wezmę sobie za męża leniucha.

Obaj więc czym prędzej rzucili się w poszukiwaniu jakiegoś poważnie wyglądającego zajęcia.

Po dwóch dniach dręczącego oczekiwania Liet znalazł w swoim pokoju kartkę. Serce mu zamierało, gdy drżącymi palcami rozkładał przyprawowy papier: jeśli to jego wybrała Faroula, dlaczego nie chciała o tym poinformować osobiście? Kiedy jednak zobaczył napisane słowa, poczuł ucisk w gardle.

„Czekam w Ptasiej Jaskini. Oddam się temu, który pierwszy mnie tam odnajdzie”.

Tylko tyle. Chwilę wpatrywał się w te słowa, a potem pognął do jali Warricka. Kiedy odsunął kotarę, zobaczył, że przyjaciel pakuje się właśnie do drogi.

– Zdała się na próbę *mihna* – mruknął Warrick przez ramię.

Chodziło o tradycyjną u Wolan próbę, w której młodzieńcy wykazywali, że osiągnęli już wiek męski. Obaj przez chwilę patrzyli sobie w oczy, a potem Liet puścił się biegiem do siebie. Aż za dobrze rozumiał, co powinien teraz zrobić.

Zaczynał się wyścig.

*Można stać się niewolnikiem rebelii dla samej rebelii.*

**Dominik Vernius,**  
***Wspomnienia z Ekazu***

Nawet dwa lata spędzone w niewolniczych lochach Harkonnenów nie złamały buntowniczego ducha Gurneya Hallecka. Strażnicy uważali go za kłopotliwego więźnia, co dla niego z kolei stawało się powodem do dumy.

Chociaż regularnie bity i katowany, chociaż ze skórą popękaną, nadwierzonymi mięśniami i obolałymi kośćmi, Gurney jednak zawsze ostatecznie stawał na nogi. Szybko poznał tajemnice ambulatoriów i zdumiewające talenty lekarzy, którzy nader szybko potrafili zaleczyć rany na tyle, aby niewolnik był znów zdolny do roboty.

Od schwytania w domu żołnierskich uciech pracował w kopalni obsydianu albo w warsztatach szlifierskich, a i tu, i tam czekała go harówka cięższa od tej, jakiej kiedykolwiek w życiu doświadczył. Nie tęsknił jednak do dawnych czasów; nawet jeśli skona, to ze świadomością, że przynajmniej spróbował buntu.

Harkonnenowie nie trapił się pytaniami, kim jest i skąd się wziął – dla nich były to po prostu kolejne ręce do pracy, które należało wykorzystać. Ważne było to, że go poskromili, nic więcej.

Z początku musiał pracować na stokach Hebanowej Góry, gdzie wraz z innymi przy użyciu sonicznych młotów i laserowych kilofów odrywał płyty niebieskiego obsydianu, przezroczystej substancji, która wyglądała, jakby wsysała w siebie światło. Pracował w kajdanach, z innymi złączony szigarettem, który przy nadmiernym napięciu boleśnie wpijał się w ciało.

W mroźny poranek zmuszono do wdrapywania się wąskimi górskimi ścieżkami, a potem pracowali przez cały dzień w słabych promieniach słońca. Co najmniej jedna osoba na tydzień ginęła miażdżona spadającymi głazami, czym dozorczy zupełnie się nie przejmowali, regularnie objeżdżając miejscowości Giedi Primi i uzupełniając ubytki w załodze.

Ze skały przeniesiono go potem do warsztatów, gdzie pośród żrących roztworów przygotowywał do wywozu mniejsze kawałki obsydianu. Odziany tylko w grube spodnie, stał zanurzony do połowy uda w gęstej, cuchnącej zawieszynie, dzięki działaniu której kamień nabierał gładkości i świetlistego koloru.

Ze zdziwieniem dowiedział się, że „niebieski obsydian” był sprzedawany jedynie przez kupców z Hagala. W całym Cesarstwie wiedziano, że to tam właśnie jest wydobywany, a prawdziwe miejsce jego pochodzenia było starannie ukrywane, dzięki czemu Harkonnenowie mogli za swój wyrób żądać cen równie wysokich jak te, które płacono za słynne kryształy z Hagala.

Ciało Gurneya pokrywały blizny, szramy, ropiejące rany. Z pewnością znacznie

przyspieszą jego śmierć, ale tutaj, na Giedi Primie, nikt nie żył długo. Chociaż od czasu, gdy przed sześciu laty przemocą zabrano Bheth, przestał snuć jakiegokolwiek dalekosiężne plany, to jednak od innych towarzyszy niedoli różniło go to, że nawet teraz nadal trzymał dumnie wyprostowaną głowę.

Któregoś dnia prace przerwał im nadzorca, średniego wzrostu mężczyzna w masce na twarzy chroniącej go przed wszechobecnym smrodem i niebieskiej opończy, pod którą zarysowywał się wydatny brzuch.

– Ej, słuchać no mnie, bydlaki! – krzyknął, a Gurney posłyszał coś dziwnego w tonie jego głosu. – Dzisiaj odwiedzi nas bardzo ważny gość, Glossu Rabban, oficjalny następca barona. Zapozna się z naszymi wynikami i na pewno będzie chciał, żebyście się bardziej przyłożyli do pracy. Ale na razie możecie się cieszyć, bo z powodu tej wspaniałej wizyty jutro dostajecie wolne, chociaż macie się przygotować do inspekcji. – Nadzorca spojrział z nachmurzoną miną. – I nie myślcie sobie, że to nie zaszczyt. Nie podejrzewam, żeby Rabban chętnie godził się na wdychanie waszego smrodu.

Gurney zmrużył oczy; ten wieprz, Rabban? W duchu zanucił jedną ze swych szyderczych piosenek, którą kiedyś ułożył w gospodzie w Dmitriju.

*Rabban, Rabban, ta bestia spasiona,  
Co w głowie nosi zgnitego melona.  
Gdy cielsko to widać chociażby z daleka  
Mdłości chwytają każdego człowieka.  
Bez barona-stryja  
Głupi jak pół kija.*

Musiał odwrócić twarz, żeby nadzorca nie dostrzegł uśmiechu na jego twarzy, to bowiem źle by się skończyło.

Teraz Gurney nie mógł się doczekać chwili, gdy zobaczy tę kanalię na własne oczy.

Kiedy pojawili się Rabban i jego eskorta, Gurney ponownie musiał walczyć z chęcią, by parsknąć śmiechem na widok ich wszystkich obwieszonych bronią. I czego się tak obawiali? Gromady skatowanych, udręczonych, spętanych niewolników?

Strażnicy natychmiast ich spętali i ostry nacisk szigarutu nieustannie im przypominał, że wszelki nieostrożny ruch spowoduje jeszcze większy ból. Dzięki temu można się było spodziewać, że w obecności Rabbana więźniowie zachowają się z odpowiednią pokorą.

Stojący obok Gurneya starzec miał tak wychudzone ciało, że sterczące kości i nabrzmiałe stawy przywodziły na myśl owada. Włosy wychodziły mu garściami, a ciałem wstrząsał nerwowy dygot. Niewiele rozumiał z tego, co działo się dookoła, a Gurneyowi bardzo go było szkoda. Zastanawiał się, czy i jego czeka taki sam los... gdyby miał pożyć tak długo.

Rabban miał na sobie czarny skórzany uniform, tak skrojony, by jeszcze podkreślał jego muskulaturę i tężyznę. Lewą pierś zdobił błękitny gryf Harkonnenów, czarne buty lśniły jak zwierciadła, szeroki pas zdobiony był brązowymi odznakami. Pod czarnym błyszczącym hełmem widać było twarz szeroką i rumianą. Z kabury wycierał pistolet *fléchette*, obok sterczały ładownice z igłowymi ładunkami, a także rękojeść pejsza z krwawinu. Śmiało można było przypuścić, że właściciel stworzy okazję, by go użyć. Ciemnoczerwony płyn – ceniony skądinąd jako barwnik – przelewał się w nasadzie niczym krew, co sprawiało, że drapieżnie skręcały się witki, które przecinając skórę i wprowadzając palącą substancję do krwi, powodowały straszliwy ból.

Rabban nie zamierzał wygłaszać żadnych przemówień, chodziło mu bowiem nie o to, aby wzbudzić w robotnikach entuzjizm do pracy, lecz o to, aby wystraszyć nadzorców na tyle, że wycisną z niewolników wszystkie poty.

Obejrzał już stanowiska pracy, a teraz miarowym, złowieszczym krokiem przechadzał się przed zebranymi więźniami. Krok w krok podążał za nim kierownik całego obozu pracy i głosem stłumionym przez maskę mówił:

– Mój panie, dołożyliśmy wszelkich możliwych starań, aby polepszyć wydajność. Tak ustaliliśmy dietę, że przy minimum kosztów uzyskujemy największą ich sprawność fizyczną. Odzież mają niedrogą, ale trwałą, znacznie trwalszą od tego bydła, tak że niemal każda sztuka ma wielu kolejnych użytkowników. – Na twarzy Rabbana nie pojawił się nawet cień zadowolenia. – Do wykonania najcięższych zadań można wykorzystać maszyny, dzięki czemu nasza produkcja...

– Nie chodzi nam tylko o produkcję – obcesowo przerwał mu Glossu. – Równie ważnym celem jest wyniszczenie tych bandytów.

Rozejrzał się dookoła, aż wreszcie wzrok jego zatrzymał się na rozdygotanym starcu. Płynnym ruchem wyrwał z kabury pistolet i wycelował. Nieszczęśnik zdołał tylko poderwać dłoń w obronnym geście, ale igła przeszła mu rękę, wbiła się w serce i uśmierciła na miejscu.

– Tacy słabeusze tylko niepotrzebnie nas objadają – mruknął Rabban, chowając broń do kabury.

Gurney zareagował odruchowo, bez chwili zastanowienia. Chwycił koniec chałata starca, owinał sobie nim przegub, zabezpieczając się przed szigarutem, i z przeraźliwym rykiem rzucił się do przodu. Tnące jak piła włókno oddzieliło obie dłonie zmarłego, Gurney zaś trzymając uwolniony szigarut jak garotę, skoczył na Rabbana. Nie zdołał jednak zarzucić mu jej na szyję, zaatakowany bowiem z szybkością zdumiewającą przy jego tuszy odskoczył i rozpędzonemu Halleckowi udało się tylko wytrącić *fléchette*. Nadzorca krzyknął przerażony, Rabban natomiast wyrwał z pasa pejsz i chlasnął Gurneya w twarz. Uderzenie przeorało policzek i szczękę, ledwie omijając oko.

Gurney nawet nie przypuszczał, jaki to może być ból. Splecione witki głęboko nacięły



skórę, a sok z krwawinu poraził całą głowę. Skulił się, obiema rękami zasłaniając twarz, a dwie odcięte dłonie upiornie zwisały się z jego prawego przegubu.

Strażnicy rzucili się ku Halleckowi, gotowi zabić go natychmiast, Rabban jednak powstrzymał ich gestem. Skulony w udręce Gurney miał w oczach tylko twarz Rabbana. Do końca życia – nieważne, ile jeszcze ono potrwa – będzie nienawidził przede wszystkim tego Harkonnena.

– Co to za człowiek, za co tu się znalazł i dlaczego mnie zaatakował? – spytał Rabban, wpijając wzrok w nadzorcę.

Ten zakaszłał i powiedział:

– Muszę... muszę sprawdzić w aktach, mój panie.

– I to już! Chcę wiedzieć, skąd pochodzi i czy ma jeszcze jakąś rodzinę.

Gurney z trudem przypomniał sobie pierwsze słowa piosenki:

*Rabban, Rabban, ta bestia spasiona...*

Kiedy jednak spojrzął w twarz swego oprawcy, zrozumiał, że to tamten będzie się śmiał ostatni.

*Kimże jest każdy z nas, jeśli nie pamięcią potomnych?*

## **książę Leto Atryda**

Nadszedł dzień, gdy książę Leto odbył godzinną zażartą kłótnię z konkubiną, i Thufir Hawat znalazł się w nie lada kłopotcie. Był akurat w książęcym skrzydle, i to na dodatek pod drzwiami sypialni. Gdyby drzwi się otworzyły, Thufir zdążyłby czmychnąć w boczny korytarz, których w zamku było pełno, a nikt nie znał ich lepiej od mentata.

Coś z trzaskiem poleciało na podłogę, rozległ się głośny wrzask Kailei, a w odpowiedzi pełen irytacji głos Leta. Hawat nie rozumiał wszystkiego, co do siebie mówili... ale też wcale mu na tym nie zależało. Jako osobę odpowiedzialną za bezpieczeństwo księcia najbardziej interesował go fakt, że między parą kochanków i rodziców Victora pojawiły się bardzo ostre napięcia.

– Nie zamierzam bez końca wyklócać się z tobą o sprawy, których nie można zmienić! – krzyknął rozdrażniony Leto.

– To dlaczego nie każesz po prostu zamordować mnie i Victora? To przecież byłoby najlepsze rozwiązanie. Albo wyślij nas gdzieś tak daleko, że nie będziesz o nas musiał myśleć, jak to zrobiłeś ze swoją matką!

Hawat nie dosłyszał wprawdzie odpowiedzi Leta, ale aż za dobrze wiedział, dlaczego książę musiał skazać lady Helenę na banicję.

– Nie jesteś już tym człowiekiem, którego pokochałam, Leto – ciągnęła Kailea. – To ta Jessika, prawda? Tej czarownicy już udało się ciebie usidlić, tak?

– Nie bądź śmieszna. Jest tutaj już od półtora roku, a nawet raz nie byłem z nią w łóżku, chociaż nikt nie mógłby mieć mi tego za złe.

Nastąpił długi moment pełnej napięcia ciszy, a potem rozległ się drwiący głos Kailei:

– Ciągle ta sama śpiewka. Pozwolenie Jessice na pobyt tutaj to polityka. Niezgoda na ślub ze mną – to polityka. Ukrywanie pomocy dla Rhombura i jego spiskowców – też polityka. Mam już dość tej twojej polityki. Niczym się nie różnisz od wszystkich innych obłudników w Cesarstwie.

– Nie jestem obłudnikiem, natomiast mam wrogów, którzy knują przeciw mnie.

– To już prawdziwy obłęd. A więc to z powodu spisku Harkonnenów nie możesz mnie pojąć za żonę ani oficjalnie usynować Victora?

Leto nie potrafił już poskromić gniewu:

– Nigdy nie obiecywałem ci, Kaileo, że cię poślubię, ale to ze względu na ciebie nie wzięłem sobie innej konkubiny.

– A co to ma za znaczenie, jeśli i tak nie mogę zostać twoją żoną? – Roześmiała się szyderczo. – Cała ta twoja „wierność” też jest tylko na pokaz i na pewno także chodzi o politykę.

Leto wciągnął powietrze jak po silnym ciosie.

– Może i masz rację – wycedził głosem lodowatym jak zima na Lankiveil. – Czym ja się tak przejmuję?! – Drzwi otworzyły się gwałtownie, a Thufir rozpląnął się w cieniu. – Nie jestem twoją własnością ani zabawką, Kaileo. Jestem księciem.

Leto przemknął korytarzem, mrużąc coś gniewnie pod nosem. Zza uchylonych drzwi dobiegał szloch Kailei. Zaraz wezwie do siebie Chiare, a ta ukoji jej smutek.

Hawat, wstrzymując oddech, podążył korytarzami śladem księcia i widział, jak ten bez pukania wchodzi do sypialni Jessiki.

Wyrwana z kontemplacji Jessika włączyła niebieską jarzycę i otoczył ją kokon pastelowego światła.

„Książę Leto!”

Usiadła na łożu, które przez długi czas należało do lady Heleny, ale przesadnie nie dbała o to, aby się okryć. Miała na sobie krótką gładką koszulkę nocną z mehrjedwabiu. Rozpylacz feromonów, przemyślnie ukryty w suficie, nasączał powietrze zapachem lawendy.

Tego wieczoru – jak każdego innego – przygotowała się starannie w nadziei, że przyjdzie.

– Mój panie? – Natychmiast dostrzegła zgryzotę na jego twarzy. – Czy wszystko w porządku?

Spojrzenie Leta obiegło pokój, podczas gdy usiłował zapanować nad oddechem, adrenaliną, pragnieniem. Na czole miał kropelki potu. Jeden róg czarnej bluzy munduru Atrydów zaczepił się o pasek.

– Jestem tutaj z zupełnie niesłusznych powodów – oznajmił.

Jessika wyśliznęła się z łóżka i narzuciła zielony szlafrok.

– Ja mogę się nimi tylko radować. Czy mogę być w czymś pomocna? Zrobić coś dla ciebie, panie?

Chociaż na moment ten czekała od miesięcy, to nie triumf teraz odczuwała przede wszystkim, lecz troskę o niego.

Wysoki mężczyzna o ostrym profilu zawiesił bluzę na fotelu i usiadł na krawędzi łóżka.

– Nie powinienem w takim stanie stawać przed tobą, pani.

Podeszła i umiejętnie zaczęła masować mu ramiona.

– Jesteś księciem, a to jest twój zamek. Możesz robić tu, co ci się podoba, i zjawiać się, gdzie chcesz, w każdym stanie.

Ręce Jessiki dotknęły włosów Leta, a palce zaczęły rozcierać skronie.

Zamknął oczy, jakby zapadał w sen, po czym gwałtownie je otworzył. Palce Jessiki spoczęły na jego wargach, uciszając słowa.

– Ja nie znajduję niczego nagannego w twym stanie, mój panie.

Kiedy zaczęła rozpinać mu koszulę, westchnął i pozwolił ułożyć się na łóżku. Wymęczony fizycznie i psychicznie, przywarł twarzą do pościeli pachnącej różą i koriandrem. Miał wrażenie, że zatapia się w miękkim pościeliu, i poczuł, że odpływa...

Delikatne palce muskały jego plecy z takim znawstwem, jakby robiły to już przedtem tysiące razy, Jessika zaś miała wrażenie, że jest to moment odwieczny, z dawien dawna postanowiony, tak jak przez los postanowione było, iż Leto będzie należał do niej.

Odwrócił się w końcu, aby na nią spojrzeć. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, dojrzała w jego oczach ogień, nie ten jednak, który spopiela. Ujął ją w ramiona, a ich wargi przywarły do siebie w namiętym pocałunku.

– Jestem szczęśliwa, że jesteś tutaj, książę – powiedziała, a chociaż miała w pamięci wszystkie nabyte w szkole sztuczki uwodzicielskie, wiedziała zarazem, że słowa te wypowiada z głębin serca.

– Nie powinienem tak długo czekać, Jessiko – odparł.

Płaczącą Kaileę najbardziej irytowało upokorzenie, którego zaznała ze strony Leta. Chiara była niezmordowana, gdy chodziło o przypominanie Kailei jej wartości, szlachetnym urodzeniu, godnej przyszłości, która jej się należała, co tylko pogłębiało rozpacz dziedziczki rodu Verniusów, że wszystkie te nadzieje spelzły na niczym.

A przecież ród wcale nie wymarł i jego losy mogły zależeć od niej. Była silniejsza od brata, którego spiski i knowania bardziej przypominały chłopięce zabawy niż prawdziwą

politykę. Coraz silniejsze opanowywało ją przekonanie, że ród Verniusów przetrwać może tylko dzięki niej, co ostatecznie znaczyło: za sprawą jej syna Victora.

Była gotowa zrobić wszystko, aby zapewnić mu status monarszy. Cała jej miłość i wszystkie nadzieje wiązały się z przyszłością chłopca.

Sen zmorzył ją dopiero późno w nocy.

W ciągu następnych tygodni Leto i Jessika spotykali się coraz częściej i zaczęli o niej myśleć jak o konkubinie. Czasami zjawiał się w jej pokoju bez uprzedzenia i namiętnie się z nią kochał. A potem długo siedzieli, trzymając się za ręce.

Korzystając z umiejętności Bene Gesserit, Jessika obserwowała go przez szesnaście miesięcy, a jednocześnie zapoznawała się ze sprawami Kaladanu. Bardzo dobrze poznała ogrom codziennych zajęć, które zaprzętały Leta Atrydę, a wiązały się z zarządzaniem całą planetą, doglądaniem spraw rodu, uczestniczeniem w pracach Landsraadu, uważnym śledzeniem wszystkich politycznych i dyplomatycznych machinacji w skali całego Cesarstwa.

Ona zaś zawsze potrafiła coś podpowiedzieć, doradzić bez narzucania się... i tak stopniowo stawiała się więcej niż tylko kochanką.

Starła się nie traktować Kailei Vernius jako rywalki, tamta jednak w swej zarozumiałości wywierała na księcia zbyt wielkie naciski i usiłowała narzucić mu swą wolę. Tymczasem Leto nie był osobą, którą można było w jakikolwiek sposób zdominować.

Czasami podczas nabrzeżnych spacerów zwierzał się Jessice z tego, że jego uczucia do Kailei ziębną.

– Jesteś księciem i dlatego przysługują ci specjalne uprawnienia – mówiła głosem łagodnym jak poranna bryza. – Ale ona jest czasami taka smutna i bardzo bym chciała, żeby coś dało się z tym zrobić. Myślę, że mogłybyśmy się zaprzyjaźnić.

Popatrzył na nią w zadumie; wiatr szarpał jego czarne loki.

– Jesteś o tyle od niej lepsza, Jessiko. Kailea odczuwa wobec ciebie tylko nienawiść.

Niejeden raz widziała ból na twarzy Kailei, nieudolnie ukrywane łzy, podchwytywała pełne wrogości spojrzenia.

– Należy pamiętać o jej szczególnej sytuacji. Od czasu katastrofy jej rodu ma ciężkie życie.

– Trochę jej w tym ulżyłem. Cały los swój i rodziny rzuciłem na szalę, kiedy jej ród stał się renegatem. Zrobiłem dla niej bardzo wiele, ale jej to nie wystarcza i nieustannie domaga się więcej.

– Kiedyś była osobą bardzo ci bliską – przypomniała Jessika. – Dała ci syna.

Uśmiechnął się z rozczeniem.

– Victor... On jest nagrodą za każdą chwilę spędzoną z jego matką. – Przez długą chwilę wpatrywał się w milczeniu w morze, aż wreszcie rzekł: – Jesteś mądra nad swój wiek, Jessiko. Może istotnie spróbuję raz jeszcze.

Nie wiedziała, co ją napadło, i ponieważ zaczęła żałować, że właściwie sama popchnęła Leta w ręce Kailei. Mohiam na pewno ostro by ją skarciła. Z drugiej jednak strony, jakże mogła nie nakłaniać go, aby nie usuwał całkowicie ze swego serca kobiety, którą kiedyś kochał i która była matką jego dziecka? Na przekór ostremu szkoleniu, jakiemu została poddana w szkole, czuła się coraz mocniej do niego przywiązana. Może nazbyt mocno.

Ale był jeszcze jeden problem. Jako Bene Gesserit mogła tak manipulować nasieniem Leta i swoimi jajeczkami, że już podczas pierwszej wspólnej nocy mogła począć córkę zgodnie z poleceniem, które otrzymała od zakonnych zwierzchniczek. Dlaczego tego nie zrobiła? I dlaczego nadal zwlekała?

Jessika czuła, że ścierają się w niej jakieś siły. Z jednej strony, to zakon i nieustanny podszept, że musi wykonać swoją powinność. Ale co stało z drugiej strony? Nie po prostu sam Leto. Chodziło o coś znacznie potężniejszego i ważniejszego niż tylko miłość między dwiema istotami tak znikomymi wobec wszechświata. Nie miała jednak pojęcia, co to może być.

Nazajutrz Leto odwiedził Kaileę w pokoju w wieży, w którym spędzała ostatnio większość czasu, jeszcze bardziej pogłębiając w ten sposób dystans między nimi. Zwróciła na niego twarz pełną gniewu, on jednak przysiadł obok niej na sofie i powiedział łagodnie:

– Strasznie mi przykro, Kaileo, że tak bardzo różnimy się w ocenie wielu spraw. – Mocno ujął jej rękę. – W kwestii małżeństwa nic nie może się zmienić, ale to wcale nie znaczy, że nie zależy mi na tobie.

Odsunęła się podejrzliwie.

– Co się stało? Jessika wyrzuciła cię ze swojego łóżka?

– Nic podobnego. – Odruchowo chciał jej powtórzyć słowa Bene Gesserit, uznał jednak, że wszędzie, gdzie Kailea dostrzeże ślad Jessiki, będzie węszyła podstęp. – Chciałbym ci dać prezent.

Pomimo całej niechęci natychmiast się rozpromieniła, od dawna już bowiem nie otrzymała od Leta żadnych precjozów, i sięgnęła do kieszeni, gdzie zwykle trzymał bransoletkę, naszyjnik czy kolczyk, ona zaś ich tam szukała, co często stawało się wstępem do pieszczot.

Leto przygryzł wargi.

– Nie tym razem. W dzieciństwie żyłaś w pałacu bardziej wystawnym niż tutaj, na Kaladanie. Pamiętasz ściany w sali balowej Grand Palais na Ix?

Spojrzała na niego zaskoczona.

– Tak, były z rzadkiej odmiany niebieskiego obsydianu, której nigdy już potem nie widziałam. – Oczy zaszyły jej mgłą. – Pamiętam, jak stoję w balowej sukni i przeglądam się w przejrzystej ścianie, a jej liczne warstwy sprawiają, że moje odbicie ma w sobie coś niesamowitego, powtarzanego niczym echo, tak samo jak światła żyrandoli.

– Postanowiłem tak samo wyłożyć ścianę balową Zamku Kaladan – oznajmił Leto – podobnie jak twoje pokoje. Każdy zgadnie, że to gest pod twoim adresem.

Kailea nie wiedziała, co myśleć o tym geście.

– Chcesz w ten sposób uspokoić wyrzuty sumienia? – powiedziała wyzywająco, ośmielając go, by zaprzeczył. – Myślisz, że tak łatwo się z nimi uporać?

Wolno pokręcił głową.

– Kaileo, staram się nie myśleć o tym, co czasem mnie drażni, a skupić się tylko na pozytywnych uczuciach wobec ciebie. Zamówiłem odpowiednią dostawę z Hagala, chociaż realizacja może potrwać kilka miesięcy.

Wstał i ruszył do wyjścia. W drzwiach usłyszał głębokie, pełne rezygnacji westchnienie i słowa:

– Dziękuję.

*Mężczyzna może pokonać najgroźniejszego wroga, odbyć najdłuższą podróż, znieść najgorszą ranę, a przecież i tak będzie bezbronny w rękach ukochanej kobiety.*

#### **z mądrości zensunnickich Wędrowców**

Chociaż pełen niecierpliwości, Liet-Kynes nakazywał sobie spokój i poruszał się rozważnie, aby nie wykonać błędnego ruchu. Wyścig o rękę Farouli był pasjonujący, jeśli jednak nie przygotuje się należycie na wyzwanie *mihna*, znajdzie śmierć zamiast żony.

Z łomoczącym sercem nałożył destylozon i sprawdził wszystkie zaczepy, zatyczki i filtry, aby się upewnić, że nie straci na darmo ani kropli wilgoci. Zapakował zapas jedzenia i wody, sprawdził też zawartość wolańskiej sakwy: destylomiot, parakompas, przewodnik, mapy, piachochrapy, kondensator elektrostatyczny, nóż, lornetka, niezbędnik. Na koniec spakował dudniki i haki stwórcy potrzebne do przywołania piaskali i sterowania nimi podczas podróży przez Wielką Równinę i Erg Habbanja do Grani Habbanja.

Ptasia Jaskinia była miejscem postoju dla podróżujących Wolan, a także dla tych, którzy nie należeli do żadnej siczy. Faroula musiała wyruszyć w drogę dwa dni wcześniej, potrafiła bowiem sama poradzić sobie z piaskalem, chociaż nie było to częste pośród Wolanek. Musiała się upewnić, że w jaskini nie będzie nikogo oprócz niej, czekającej na to, który z dwóch współzawodników przybędzie pierwszy.

Pomimo późnej godziny matka w sąsiednim pokoju dosłyszała krzątanie Lieta i odgarnęła zasłonę.

– Wybierasz się w podróż, synu?

Spojrzał na nią.

– Tak, matko. Wyjeżdżam, aby zdobyć żonę.

Na ogorzałej od słońca twarzy Friety zagościł uśmiech.

– A więc Faroula kazała wam współzawodniczyć?

– Tak, muszę się spieszyć.

Smukłymi, zręcznymi palcami Frieta sprawdziła zapięcia destylozону i mocowanie sakwy na plecach, podczas gdy pochylony nad mapami Liet przypominał sobie szczegóły terenu, które zapamiętać i rozpoznać potrafili tylko Wolanie. Odtwarzał w pamięci topografię pustyni, skalnych wychodni, solnych niecek, obszary, gdzie można było się spodziewać ataków wichru i kurzaw.

Warrick wystartował wcześniej, ale z pewnością przygotował się mniej starannie od Lieta, ufając własnym zdolnościom. Liet jednak wolał stracić trochę czasu na wstępie, aby w ten sposób maksymalnie zabezpieczyć się przed niespodziankami w drodze.

Matka krótko ucałowała go w policzek.

– Pamiętaj, że pustynia nie jest ani twoim wrogiem, ani przyjacielem. Staraj się, aby nie stała się przeszkodą, ale pomocą.

– Tak, matko. Ale o to samo postara się też Warrick.

Nie potrafił odnaleźć ojca... ale tak zwykle było z Pardotem Kynesem. Równie dobrze mogło się zdarzyć, że Liet zdąży powrócić z Ptasiej Jaskini, a planetolog nawet się nie zorientuje, o jak ważną stawkę grał syn.

Kiedy wynurzył się z hermetycznego wejścia do siczy, zobaczył zalany księżycowym blaskiem piaszczysty bezkres. Z oddali doleciał odgłos dudnika.

Warrick zabrał się już do dzieła.

Liet zaczął zbiegać w dół stoku, ale po kilku krokach się zatrzymał. Piaskale zazdrośnie broniły rozległych terytoriów, skoro zatem Warrick właśnie przyzywał jednego, upłyne sporo czasu, zanim Lietowi uda się zwabić następnego. Uświadomiwszy to sobie, zawrócił, wspiął się na grań i zszedł po jej drugiej stronie, mając nadzieję, że nie tylko szybciej ściągnie tutaj Stworzyciela, ale że okaże się on lepszym podróżnikiem.

Schodząc po stoku, dokładnie obserwował teren przed sobą i szybko wybrał najbardziej odpowiednią wydmnę. Dotarwszy na jej grzbiet, wcisnął w piach dudnik i natychmiast uruchomił. Kilka minut zabierze mu przeprawa przez luźny piasek na drugą stronę wydmy. W nocy niełatwo będzie dostrzec oznaki nadciągania piaskala.

Wsluchując się w rytmiczny stukot, wydobyl pejczipodobne haki potrzebne do sterowania zwierzęciem i umocował je na plecach. Ilekroć dotąd przyzywał piaskala, zawsze miał w pobliżu kogoś do pomocy, tym razem jednak musiał się zdać tylko na siebie. Zgodnie z dobrze utrwaloną w pamięci procedurą przymocował do butów kolce, wyjął linę, a potem przykucnął i – czekał.

Po drugiej stronie grani Warrick już mógł być na piaskalu i sunąć przez Wielką Równinę. Liet miał nadzieję, że uda mu się nadrobić tę stratę. Droga do Ptasiej Jaskini powinna zabrać

co najmniej dwa, może nawet trzy dni, a przez ten czas wiele może się zdarzyć.

Wbił końce palców w piach i znieruchomiał. Pogoda była bezwietrzna, przez jakiś czas słyszał tylko dźwięk dudnika, ale potem dołączył się do niego potężniejący szum wielkiej bestii przemieszczającej się w głębinach pustyni. Widać już było sunący po powierzchni piasku wzgórek.

Liet głęboko odetchnął.

– Szej-hulud wysłał wielkiego Stworzyciela.

Piaskal lekkim łukiem podchodził w kierunku dudnika; nad powierzchnię wynurzył się szczyt segmentowanego grzbietu.

Liet powstał i mocno chwycił w dłonie oba haki. Nawet poprzez zatyczki nosowe czuł zapach rozgrzanego krzemu, a także wydzielaną przez piaskala kwaśną, estrową woń melanżu.

Puścił się biegiem i znalazł się przy piaskalu dokładnie w chwili, gdy ten połykał dudnik. Zanim bestia zdążyła ponownie zanurzyć się w piasku, Liet zaczepił jeden z haków o segment pancerza i szarpnąwszy ze wszystkich sił, odgiął go, co zapobiegało ucieczce piaskala pod powierzchnię. Nie chcąc dopuścić do tego, aby piach zetknął się z wrażliwym, różowawym ciałem, zwierz przekręcił się i pociągnął za sobą Lieta, który wbił drugi hak, co poszerzyło szczelinę.

Piaskal jeszcze bardziej się wynurzył, aby jak najbardziej oddalić wrażliwe miejsce od drażniącego piachu.

Zazwyczaj dodatkowi dzygici otwierali dalsze szczeliny, tutaj jednak Liet był sam. Wbijając kolce w twardą skórę, wspiał się na szczyt grzbietu i zamocował rozpórki nie pozwalające zamknąć się rozstępom, a potem lekkim ukłuciem tak pokierował piaskalem, by ten, omijając skalną przeszkodę, ruszył w kierunku Wielkiej Równiny.

Zabezpieczywszy haki i rozpórki liną, mógł się wyprostować i wystawić twarz na wiatr. Stworzyciel był naprawdę olbrzymi! Była w nim jakaś osobliwa godność i szlachetność, jakby należał do najstarszych mieszkańców planety. Liet jeszcze nigdy dotąd nie widział takiego giganta. Na jego grzbiecie mógł podróżować długo, i to ze znaczną prędkością.

Może już podczas tego pierwszego etapu podróży nadrobi straty do Warricka...

Oba księżycy wznosiły się coraz wyżej, a piaskal niestrudzenie gnał przez pustynię. Liet trzymał kurs według gwiazd i konstelacji, a przede wszystkim kierował się ogonem myszy zwanej muad'dibem, co znaczyło: „Wskazujący drogę”.

Przeciął pomarszczony szlak, który chociaż przysypany, zdradzał innego piaskala, najpewniej tego, na którym jechał Warrick, albowiem Szej-hulud nie zmuszony rzadko pokazywał się na powierzchni. Liet miał nadzieję, że szczęście jest po jego stronie.

Po kilku godzinach zaczęła go morzyć senność, gdyż sama jazda na piaskalu nie stanowiła już dla niego szczególnej atrakcji. Zabezpieczywszy się przed zsunieniem, mógłby się właściwie zdrzemnąć, ale nie śmiał, gdyż nie mógł pozostawić bestii wyboru kursu.



Najmniejsze zboczenie z drogi oznaczało stratę czasu, a na to nie mógł sobie pozwolić.

Jechał przez całą noc, aż wreszcie świt zabarwił pomarańczowym odcieniem granatowe niebo. Przez cały czas czujnie wypatrywał patroli Harkonnenów, chociaż ich pojawienie się poniżej sześćdziesiątego równoleżnika było bardzo wątpliwe.

Nastał ranek, a oni podążali dalej. Blisko południa piasek pustyni zaczął drzeć, zwalniać, aż przestał reagować na jakiegokolwiek ponaglenia. Był całkowicie wyczerpany. Liet nie naciskał, gdyby się bowiem zdarzyło, że zajeździłby piasek na śmierć, stanowiłoby to bardzo zły omen.

Skierował piaskowego lewiatana ku małej wysepce skał. Wyjął rozpórki, oswobodził haki i pobiegł w kierunku ogona, zdążył zeskoczyć dokładnie w chwili, gdy Stworzyciel pogrążył się w piaskowych głębinach. Pobiegł w kierunku skał będących jedynym urozmaiceniem w monotonii bieli, żółci i brązów.

Przykrył się kamuflującym, zatrzymującym ciepło kocem, a wyjęty z sakwy czasomierz ustawił tylko na godzinę snu. Na wolański sposób potrafił pogrążyć się w głębokim, niosącym wytchnienie transie, chociaż zmysły pozostały czujne, gotowe uprzedzić o niespodziewanym zagrożeniu.

Kiedy się obudził, wspiął się na grań i zmierzył wzrokiem wielki Erg Habbanja. Przyszedł czas na drugi dudnik i następnego piasek. Ten był mniejszy, okazał się jednak dość silny i niósł Lieta aż do późnego popołudnia.

Pod wieczór bystre oczy Lieta wypatrzyły delikatną zmianę zabarwienia po zawietrznej stronie wydmy, lekką zieleń w miejscu, gdzie trawy zapuszczały korzenie, aby zakotwiczyć piaskowe wzgórza. Sadzili je i doglądali Wolanie, a wystarczyło, by jedna roślina na tysiąc żyła dostatecznie długo, aby się rozmnożyć, a już oznaczało to zwycięstwo ojca, gdyż stanowiło malutki krok na drodze realizacji jego zamiarów. Pewnego dnia Diuna znowu się zazieleni.

Przez całe godziny jazdy monotonnemu tarcu skóry Szej-huluda o piach towarzyszyły rozbrzmiewające w głowie Lieta słowa ojca: „Wystarczy unieruchomić wydmy, a odbierzemy wiatrowi jedną z jego głównych broni. Są takie klimatyczne pasy, gdzie wiatry nie osiągają stu klików na godzinę. Nazywamy je miejscami »minimalnego ryzyka«. Sadzonki po zawietrznej sprawią, że wydmy będą wzrastać, tworząc w ten sposób barykadę i rozszerzając owe miejsca. A to oznacza kolejny krok ku realizacji naszego zasadniczego celu”.

Liet potrząsnął głową, aby odpędzić senność.

„Nawet tutaj nie mogę uciec od jego głosu... jego wizji i marzeń”.

Miał przed sobą jeszcze godziny podróży. Nigdzie ani śladu Warricka, ale do Ptasiej Jaskini można było dotrzeć różnymi drogami. Piasek i jeździec na jego grzbiecie pędzili bez ustanku, aż wreszcie na horyzoncie pokazała się ciemna smuga: to Grań Habbanja, w której znajdowała się Ptasia Jaskinia.

Warrick zeskoczył z ostatniego piaskala i z nową energią pobiegł w górę skalistego stoku, korzystając nie tylko z przyczepności butów, ale i z pomocy rąk. Kamienie miały barwy zieleni, czerni i ochry, a wiatry pozostawiły na nich głębokie bruzdy. Nie widział stąd wejścia do jaskini, ale to było oczywiste: Wolanie zawsze je starannie ukrywali.

Podróżował szybko, na wezwanie stawały się dobre piaskale. Nigdzie się nie zatrzymywał, gnany przez pragnienie, by pierwszy mógł stanąć przed Faroulą i ująć jej rękę... ale także przez chęć wykazania wyższości nad Lietem. Sam wyścig na piaskalach będzie szeroko komentowany przez Wolan, a skoro jeszcze była to niezwykła forma *ahal* wybrana przez Faroulę...

Pokonał kilka pionowych ścianek, zręcznie wynajdując w nich chwyt i stopnie, aż wreszcie znalazł się na grani. Nieopodal zamaskowanego wejścia dojrzał ślad kobiecej stopy, niewątpliwie zostawiony przez Faroulę. Żadna Wolanka nie zrobiłaby tego nieumyślnie; była to informacja, że dziewczyna czeka wewnątrz.

Warrick na chwilę zawahał się, wziął głęboki oddech. To była długa droga i miał nadzieję, że Lietowi nic się nie stało. Mógł zresztą być już całkiem blisko, czego Warrick nie mógł ocenić, w tej chwili bowiem widział tylko niewielki fragment pustyni. Nie chciał stracić ani przyjaciela, ani Farouli i miał nadzieję, że nie zostaną zmuszeni do walki.

Tak czy inaczej, chciał być pierwszy.

Wszedł do jaskini i natychmiast się zatrzymał, niczego nie mogąc rozpoznać w ciemności. I wtedy usłyszał kobiecy głos miękko ocierający się o skaliste ściany.

– Czas już był najwyższy. Długo na ciebie czekałam.

Nie użyła imienia, a stropiony Warrick dalej trwał bez ruchu. Podeszła do niego: anielska twarz, ręce i długie, mocne, zwinne nogi. Miał wrażenie, że zapada się w jej wielkich oczach. Otaczał ją słodkawy zapach i jeszcze jakaś woń, odmienna od melanzu.

– Witaj, Warricku, mój mężu.

Wzięła go za rękę i pociągnęła w głąb jaskini.

Warrick, zdenerwowany, w popłochu szukający odpowiednich słów, wyjął zatyczki nosowe, podczas gdy Faroula zajęła się rozpinaniem jego butów.

– Jestem tu wezwany twoimi słowy – wypowiedział tradycyjną formułę. – Chcę w tym bezwietrznym miejscu podać ci słodką wodę do wypicia.

– I niechaj między nami staną jedynie przeszkody życia, żadnej zaś złości – podjęła Faroula.

Warrick zbliżył się do niej o krok.

– Pałac jest najwłaściwszym dla ciebie miejscem, kochana.

– Nieprzyjaciele nasi zaznają tylko klęsk.

– W co, znając cię, nie wątpię.

– I tak się stanie.

Teraz przemówili wspólnie:

– Razem pójdziemy drogą, którą utorowała dla ciebie moja miłość.

Uśmiechnęli się promiennie do siebie. Kiedy powrócą do sicy Czerwonego Muru, naib Heinar poprowadzi oficjalną ceremonię, ale już teraz, przed obliczem Boga i w swoich sercach, Faroula i Warrick byli sobie zaślubieni. Przez czas jakiś trwali wpatrzni w siebie, a potem zanurzyli się głębiej w chłodny mrok pustyni.

Liet zadyszany po intensywnym wspinaniu się pod górę dopadł wejścia do jaskini i znieruchomiał, słysząc wewnątrz poruszenia i głosy. W pierwszej chwili łudził się nadzieją, że to może jakaś towarzysza Farouli, ale kiedy nadstawił ucha, nie miał wątpliwości, że drugi głos należy do mężczyzny.

Do Warricka.

Słyszał, jak kończą tradycyjną modlitwę, która czyniła ich małżeństwem. Odtąd Faroula była żoną jego przyjaciela. Nie spełniło się życzenie wypowiedziane na widok Bijan; Faroula była dla niego na zawsze stracona.

Zawrócił, odszedł kawałek i usiadł pod skałą zasłonięty od słońca. Warrick był jego przyjacielem, musiał się pogodzić z porażką, ale czuł, jak serce pogrąża się w niewypowiedzianym smutku. Wiele będzie trzeba czasu i siły, aby się z niego otrząsnąć.

Liet-Kynes czekał przez jakąś godzinę, wpatrując się w pustynię. Potem wstał i, nie odważywszy się wejść do jaskini, zszedł na piasek i zaczął przywoływać piaskala.

*Przywódcy polityczni często nie doceniają praktycznego znaczenia wyobraźni i nowych twórczych idei do chwili, gdy pod nos podstawią im je zakrwawione ręce.*

**następca tronu Raphael Korrino,  
Rozmowy o władaniu galaktyką**

W doku konstrukcyjnym liniowca w wielkiej jaskini Ix światło jarzyc rzucało długie cienie i skrzyło się w gładkim metalu poręczy; w różnych miejscach błyskały smugi przetnic. Majstrowie pokrzykiwali, wielkie płyty uderzały o siebie z hukiem wielokrotnie powtarzanym przez echo.

Robotnicy ociągali się, jak tylko mogli, spowalniając pracę i umniejszając zyski Tleilaxan. Upłynęły już całe miesiące od rozpoczęcia budowy tego liniowca starego typu, a nie wykroczone poza stadium szkieletu.

C'tair w przebraniu dołączył do brygady roboczej wzmacniającej wsporniki doku. Dzisiaj zależało mu na tym, aby znaleźć się na odkrytym dnie jaskini, skąd bez przeszkód mógł widzieć sztuczne niebo.

A także ostatni etap swego desperackiego planu.

Po serii eksplozji spowodowanych dwa lata wcześniej przez niego i Miral, gnębciele Bene Tleilax jeszcze bardziej terroryzowali swych niewolników, ale ci byli już właściwie nieczuli na udrękę, a przykład udanej i zakrojonej na szeroką skalę akcji sabotażu umocnił w ludziach ducha oporu. Zwiększała się liczba działających w pojedynkę buntowników, a chociaż armia ta nie miała dowódcy i nie koordynowała swoich poczynań, zadawała przeciwnikowi dotkliwe ciosy.

Następca tronu Rhombur, odcięty od Ix i nie wiedzący dokładnie, co się tu dzieje, nieprzerwanie przysyłał materiały wybuchowe, ale jeszcze tylko jeden transport dotarł do rąk C'taira i Miral. Tleilaxanie ze zdwojoną pasją kontrolowali docierające z zewnątrz pojemniki. Wymieniono wszystkie brygady pracujące na rampach przywozowych, zatrudniono innych pilotów. C'tair utracił wszystkie stare kontakty i znalazł się znowu w izolacji.

A przecież i on, i Miral czuli, jak serca im rosną na widok wybitych szyb, zniszczonych przesyłek, pracy jeszcze bardziej ślamazarnej niż dawniej. Przed tygodniem mężczyznę, którego nikt nie podejrzewałby o jakiegokolwiek buntownicze nastroje, schwytano, kiedy w jednym z uczęszczanych przez robotników korytarzy wypisywał wielkimi literami: ŚMIERĆ TLEILAXAŃSKIM ŚWIMAKOM!

C'tair wjechał windą na górne piętro i po kratownicy dostał się na powietrzny pomost, na którym niedługo potem pojawił się soniczny spawacz. W dole rozciągała się grotta o promieniu wielu kilometrów, a bezpośrednio pod nimi widać było szkielet liniowca i snujących się wokół niego robotników, nad którymi przesuwwały się kasety obserwacyjne. Z bliska spawaczem okazała się Miral, która lekko kiwnęła mu głową. A więc zobaczą to razem.

Jeszcze chwila, dwie.

Z rzutowanych na skalne sklepienie chmur i nieba, które okalało ojczyście planety Tleilaxan, sterczały w dół migoczące światełkami archipelagi wieżowców. Kiedyś przypominały lśniące stalaktyty, dziś przywodziły na myśl zepsute zęby próchniejące w skalnych dziąsłach.

C'tair przykucnął na pomoście, leciutko wibrującym od rozchodzących się po całej grocie odgłosów budowy. Spojrzał w górę niczym starodawny wilk zadzierający łeb do księżycy.

Czekał.

Nagle iluzoryczne niebo zafalowało, postrzępiło się, a potem holoprojektory zaczęły emitować zupełnie inny obraz, widok dalekiego Kaladanu, by zaraz jego miejsce zajęło zbliżenie twarzy niczym oblicze gigantycznego boga.

Rhombur zmienił się bardzo przez osiemnaście lat wygnania. Miał teraz bardziej dorosły, majestatyczny wygląd, w oczach była twardość, a w głosie stanowczość.

– Nazywam się Rhombur Vernius, jestem legalnym następcą tronu Ix – zadudniły głośniki, a wszystkie głowy poderwały się ku górze. Na ekranie Rhombur miał usta wielkie

niczym fregata, a spływające z nich słowa brzmiały niczym kategoryczny rozkaz. – Pamiętajcie, ja jestem waszym prawowitym władcą i powrócę, aby wydobyć was z nędzy i poniżenia.

Ixianie zareagowali najpierw wstrzymanymi oddechami, potem wiwatami. C'tair i Miral widzieli, jak sardaukarowie patrzą w strop, nie wiedząc, co robić. Do porządku przywołał ich Garon, krzycząc, by natychmiast przywrócili porządek i spokój, podczas gdy na wysokich balkonach zaczęli się pokazywać zaniepokojeni Mistrzowie Tleilaxan, żywo gestykułując.

C'tair i Miral wymienili pełne radości uśmiechy.

– Udało się – powiedziała tak, by tylko on usłyszał te słowa. Zresztą w powstałym chaosie nikt się nimi nie interesował.

Potrzebowali kilku tygodni, aby ustalić, jak można się dostać do systemu sterującego projektorami, co okazało się łatwiejsze, niż przypuszczali, najeźdźcom bowiem nie przyszło nawet do głowy, że ktoś mógłby się porwać na tak śmiały akt sabotażu i dlatego zadbali jedynie o symboliczne zabezpieczenia.

W przesyłce, która do nich dotarła, Rhombur przesłał nagranie, w nadziei że uda się je jakoś rozpowszechnić w gronie lojalnych Ixian. Sam sugerował rozmieszczenie w różnych miejscach mówiących plakatów.

Ale para spiskowców postanowiła dokonać czegoś bardziej pamiętnego. To Miral rzuciła propozycję, C'tairowi zaś przypadło w udziale szczegółowe jej rozpracowanie.

W wielkiej twarzy Rhombura oczy lśniły taką pasją, jakiej mógł pozazdrościć każdy inny władca banita. Dawniej rozczochrane włosy, teraz były gładko ułożone, co dodawało mu powagi. Widać było, że przez czas spędzony na Kaladanie dojrzał do władania.

– Musicie powstać i obalić swych podłych gnębicieli. Nie mają prawa rozkazywać wam i regulować waszego codziennego życia. Musicie pomóc mi przywrócić Ix dawną świetność. Usuńcie zarazę zwaną Bene Tleilax. Łączcie się i wykorzystujcie każdą okazję do... – Ktoś usiłował wyłączyć nagranie; głos Rhombura na chwilę zamilkł, zagłuszony przez trzaski, ale po chwili rozbrzmiał z dawną siłą: – ...z pewnością przybędę, czekam tylko na odpowiedni moment. Nie jesteście sami. Wprawdzie zamordowano moją matkę, ojciec zaś oddalił się poza granice Cesarstwa, zostaliśmy jednak ja i moja siostra. Nieustannie obserwuję sytuację na Ix, gdyż zamierzam...

Obraz Rhombura zafalował i rozplynał się, a cała grota zatoneła w mroku. Tleilaxanie woleli całkowicie wyłączyć wyimaginowane niebo, niż pozwolić Rhomburowi na dokończenie przemowy.

C'tair i Miral nadal się uśmiechali. Rhombur zdążył powiedzieć dostatecznie wiele, by słuchacze dopowiedzieli sobie za niego rzeczy być może daleko ważniejsze i bardziej buntownicze niż to, co rzeczywiście powiedział.

Już w następnej chwili zapłonęły jaskrawobiałe jarzyce systemu oświetlenia awaryjnego. Ixianie z ożywieniem komentowali zaskakujące wydarzenie. Teraz na pewno skojarzą

eksplozje z Rhomburem. Nagle stanie się w ich wyobraźni postacią stojącą za wszystkimi aktami sabotażu. Kto wie, może nawet przemykał się między nimi w przebraniu? Jeszcze chwila i Verniusowie przegnają obrzydliwych Tleilaxan, a za sprawą Rhombura na Ix nastaną znów czasy szczęścia i pomyślności.

Radosne poruszenie widać było nawet pośród suboidów, a C'tair wspominał z goryczą, że to oni byli częściowo odpowiedzialni za obalenie earla Verniusa. Idiotycznie i lekkomyślnie zawierzyli obietnicom Tleilaxan, dając się popchnąć do buntu.

Ale teraz to już nie miało znaczenia, jeśli tylko można by było liczyć na nich jako sprzymierzeńców.

Między ludźmi zaczęli przebiegać uzbrojeni sardaukarowie, krzykiem nakazując powrót do miejsc zamieszkania. Z głośników obwieszczono, że ze skutkiem natychmiastowym zostaje wprowadzona godzina policyjna, o połowę obniżone będą racje żywnościowe, a zwiększone dzienne normy pracy. Tleilaxanie robili tak już nie pierwszy raz.

Razem z Miral i innymi C'tair powrócił na dno jaskini i dołączył do swojej brygady, potulnie dając się poganiać i poszturchiwać. Im bardziej najeźdźcy będą się srożyć, tym większe będzie oburzenie Ixian, aż wreszcie nic już nie powstrzyma ich od buntu.

Z głośników popłynęły okrzyki dowódcy Cando Garona, wydającego polecenia w języku walki. Sardaukarowie strzelali dla postrachu w powietrze. Wprawdzie Tleilaxanie będą brać na przesłuchanie przypadkowe osoby, nikt jednak nie będzie mógł dowieść, że on czy Miral mieli cokolwiek wspólnego z tym, co się stało. I nawet jeśli zostaliby dla przykładu rozstrzelani, to przynajmniej udało im się dokonać czegoś ważnego.

Rozdzieleni w tłumie, C'tair i Miral, tak jak wcześniej ustalili, postępowali zgodnie z rozkazami sardaukarów. Gdy C'tair usłyszał szepty pośród robotników, powtarzających między sobą słowa Rhombura Verniusa, jego radość i pewność siebie sięgnęła zenitu.

Pewnego dnia... wkrótce lud Ix odzyska swoją planetę.

*Wrogowie cię wzmacniają, przyjaciele – osłabiają.*

**Cesarz Elrood IX,  
*Rozważania na łożu śmierci***

Kiedy Gurney Halleck mógł się już podnieść po krwawinowej chłości, przez następne dwa miesiące żył w takiej apatii, jakiej nie doświadczył jeszcze podczas całej swej niewolniczej pracy. Przez cały policzek biegła wstrętna blizna koloru buraka. Rana już się zagoiła, ale pozostałości żrącego soku nieustannie wypełniały płomieniem połowę jego twarzy.

Sam jednak ból fizyczny Gurney zniósłby łatwo, bardzo już bowiem do tego nawykł. Bolesne zastrzyki nie robiły na nim żadnego wrażenia, stały się częścią jego życia.

Natomiast prawdziwym strachem napawał go fakt, że tak niewielką karę wymierzono mu za rzucenie się na Glossu Rabbana. Ten wprawdzie go wychłostał, potem skatowali go strażnicy, ale wszystko skończyło się raptem trzema dniami w lazarecie. Za znacznie mniejsze wykroczenie obrywał o wiele srożej. Jakże zatem wymyślne katusze szykowano powoli dla niego?

Zapamiętał owo wyrachowane okrucieństwo, które zobaczył w zmrużonych oczach Rabbana. „Sprawdzić akta! Chcę wiedzieć, skąd pochodzi i czy ma jeszcze jakąś rodzinę”.

Gurneya dręczyły najstraszliwsze przeczucia.

Pracował obok apatycznych współwięźniów, mechanicznie wykonując rutynowe czynności, ale każdego dnia rosło w nim przerażenie. Jeden tydzień spędzał na stokach Hebanowej Góry, drugi w wykańczalni kamiennych bloków. Statki transportowe rodu Hagalów regularnie lądowały w pobliżu obozu i zabierały lśniące bryły o ostrych krawędziach.

Aż nadszedł wreszcie dzień, kiedy dwóch strażników bez słowa komentarza wywlekło go, ociekającego cuchnącym płynem, z warsztatu i zatargało na placyk, na którym rzucił się na Rabbana.

Pośrodku stało niewysokie podwyższenie, a naprzeciw niego umieszczono krzesło. Żadnych łańcuchów, szigarutowych więzów... po prostu krzesło. Ten niewinny widok przeraził go. Nie miał pojęcia, co może się zdarzyć.

Strażnicy posadzili go na krześle, potem stanęli z tyłu. Z boku dostrzegł lekarza z lazaretu, potem na placyku pojawili się żołnierze w mundurach Harkonnenów. Nikogo innego nie oderwano od pracy, Gurney wiedział więc, że to, co ma nastąpić, wiąże się wyłącznie z jego osobą.

Opanowywało go coraz większe przerażenie.

Im bardziej panicznie Gurney rozglądał się dookoła, z tym większym rozbawieniem patrzyli na niego strażnicy, dlatego też zmusił się do nieruchomego siedzenia i tylko czuł, jak wstrętny płyn zastyga skorupą na jego skórze.

Teraz podszedł do niego znajomy lekarz ze strzykawką pełną żółtawej cieczy. Gurney widział już takie w lazarecie, gdzie leżały w przezroczystym pojemniku, nigdy jednak nie robiono mu z tego zastrzyków. Lekarz wbił igłę w szyję Gurneya, jakby przygwaźdżał oś, a chłopak szarpnął się jak pod ukąszeniem.

Odrętwienie wpływało w całe jego ciało na podobieństwo gorącego oleju, ręce i nogi stały się ciężkie jak z ołowiu. Parę razy drgnął jeszcze, ale potem zupełnie znieruchomiał. Doktor przestawił krzesło i tak uniósł głowę Gurneya, by ten dokładnie widział podwyższenie. Teraz zrozumiał. To scena, a on będzie musiał coś obejrzeć, nie mogąc się odwrócić.

Z jednego z budynków administracyjnych wyszedł umundurowany Rabban w towarzystwie nadzorcy, który miał na sobie świeży, odprasowany uniform. Na tę okazję musiał zrezygnować z maski.

Rabban stanął naprzeciw Gurneya, który marzył tylko o tym, żeby rzucić się tamtemu do gardła, nie mógł jednak nawet poruszyć powieką. Był wprawdzie sparaliżowany, ale w oczach płonęła najczystsza nienawiść.

– Więźniu – powiedział Rabban, a na jego tłustych wargach pojawił się obrzydliwy uśmiech. – Nazywasz się Gurney Halleck, pochodzisz z osady Dmitrij. Po tym jak skoczyłeś na mnie, zadaliśmy sobie trud i odszukaliśmy twoją rodzinę. Kapitan Kryubi poinformował nas o wstrętnych, buntowniczych piosenkach, które podśpiewywałeś w gospodzie. Chociaż od lat nie widziano cię w rodzinnej miejscowości, nikt z mieszkańców nie pofatygował się, żeby nas o tym poinformować. Kilku, zanim zdechli na torturach, twierdziło, że żyli w przekonaniu, iż to my zabraliśmy cię pod osłoną nocy. Co za durnie! – W głowie Gurneya zaroilo się od pytań, przede wszystkim o rodziców, chociaż obawiał się, że zna odpowiedź. Brakowało mu tchu i w głowie zaczęło się kręcić. – Potem wszystkie fragmenty zaczęły się układać. Twoją siostrę zabrano w miejsce gdzie miała umilać czas żołnierzom, a ty... nie chciałeś się pogodzić z naturalnym biegiem rzeczy. – Rabban wzruszył pogardliwie ramionami, palce przebiegały znacząco po pejczu z krwawinu, ale nie wydobywały go zza pasa. – Każdy na Giedi Primie zna swoje miejsce i tylko ty wydajesz się pod tym względem wyjątkiem. Postanowiliśmy więc nadrobić ten brak w twojej edukacji. – Westchnął teatralnie i rozłożył ręce w geście rozczarowania. – Moi żołnierze wykazali odrobinę zbyt wiele... zapału, kiedy otrzymali polecenie sprowadzenia tutaj twoich rodziców, i ci nie potrafili tego przeżyć, niemniej jednak...

Rabban podniósł rękę. Gurney usłyszał za plecami jakiś ruch, szarpnięcia, bezsłowny pomruk kobiecy. Nawet bez odwracania się wiedział, że to Bheth. A więc żyła, na przekór jego przypuszczeniom, tyle że teraz zrozumiał, że lepiej było jej zginąć wcześniej.

Żołdacy przemocą zaciągnęli ją pod scenę. Siostra ubrana było tylko w obwisłą, porwaną sukienkę. Długie włosy miała potargane, oczy pełne przerażenia, które jeszcze bardziej wzrosło, gdy ujrzała brata. Na szyi miała długą, białą bliznę. Ich spojrzenia się spotkały. Ani ona nie mogła przemówić, ani on nie zdołał się poruszyć.

– Natomiast twoja siostra zna swoje miejsce – powiedział szyderczo Rabban. – Służyła nam całkiem nieźle. Przejrzawszy raporty, stwierdziłem, że uprzyjemniła życie czterem tysiącom sześćset dwudziestu z moich żołnierzy. – Rabban poklepał Bheth po plecach, a kiedy usiłowała go ugryźć, zacisnął palce na sukni i rozdarł ją jednym szarpnięciem.

Wciągnięto ją nagą na podwyższenie, a Gurney nie mógł nawet drgnąć. Chciał zamknąć oczy, ale nawet tego nie potrafił zrobić. Chociaż wiedział, do czego zmuszano ją przez sześć lat, był zdruzgotany sceną, która rozgrywała się na jego oczach. Ciało miała pokryte bliznami i sińcami.



– Niewiele jest kobiet, które potrafią tak długo wytrwać w domu rozkoszy – powiedział Rabban. – Twoja siostra musi mieć wielką pasję życia, ale teraz trzeba już z tym skończyć. Gdyby mogła mówić, opowiedziałyby ci, jaka jest szczęśliwa, że może oddać ostatnią przysługę rodowi Harkonnenów: udzielić ci surowej nauki.

Gurney zebrał wszystkie siły woli, aby poruszyć mięśniami, te jednak go nie słuchały. Serce mu łomotało, całe ciało płonęło jakby umieszczone w ogniu.

Zaczął nadzorca i Gurney musiał patrzeć, jak wstrętny brzuchacz gwałci jego siostrę. Potem przyszła kolej na pięciu gwardzistów Rabbana, który uwagę swą dzielił po równo między to, co działo się na scenie, i Gurneya. Zrozpaczony, bezsilny, modlił się o to, by przynajmniej stracić przytomność, ale i to nie było mu dane.

Rabban postanowił być ostatni. Brutalnie miotał ciałem dziewczyny, ale ta była już niemal bez czucia. Skończywszy, okrutnik zacisnął ręce na szyi Bheth. Resztkami sił jeszcze się szarpnęła, Rabban jednak przekręcił jej głowę tak, by spoglądała na brata, podczas gdy wzmacniał się morderczy uchwyt. Pomimo szaleństwa w duszy Gurney nie mógł wykonać najmniejszego ruchu. Na jego oczach siostra umierała z szeroko wybałuszonymi oczami.

A potem radośnie chichocząc, Rabban odstąpił od ciała Bheth i zaczął naciągać na siebie mundur.

– Niechaj jej ciało tu zostanie – polecił, a zwracając się do lekarza, spytał: – Ile potrwa paraliż tego chłoptasia?

Doktor, nie poruszony tym, czego był świadkiem, podszedł, nachylił się nad Gurneyem i oznajmił:

– Jeszcze jakąś godzinę, może półtorej. Dałem mu niewielką dawkę kiraru, ale sam chciałeś, panie, aby nie wpadł w stan hibernacji.

Rabban pokiwał głową.

– Niech więc posiedzi sobie tutaj i popatrzy. Tym razem chyba zrozumie udzieloną mu lekcję.

Z tymi słowami oddalił się, rechocząc, a w ślad za nim ruszyli żołnierze. Gurney pozostał skamieniały na krześle, nie mogąc odwrócić oczu od nieruchomego ciała siostry, z której ust sączyła się krew.

Ale nawet paraliż nie powstrzymał łez, które spływały z oczu po policzkach.

*Tajemnica życia to nie problem do rozwiązania, lecz rzeczywistość, której trzeba doświadczyć.*

***z Medytacji z Bifrost Eyrie***  
**tekst buddoislamski**

Po tym straszliwym przeżyciu Abulurd Harkonnen nie mógł się otrząsnąć przez półtora roku. Gdyby to chodziło tylko o niego, z najwyższą pokorą przyjąłby brzemię niesławy, po tym jednak, czego dokonał jego syn, nie potrafił spojrzeć w oczy mieszkańcom Lankiveil.

Tak jak podejrzewał, po hekatombie wielorybów we fiordzie Tuła połowy znacznie się zmniejszyły. Nabrzeżne wioski opustoszały, gdyż rybacy i wielorybnicy musieli poszukać innych miejsc, a przez puste budynki przelatywały tylko wichry niczym tabuny udręczonych duchów.

Abulurd zwolnił służbę, a potem wraz z Emmi zamknęli na cztery spusty swe największe domostwo, pozostawiając je jako pomnik dawnych szczęśliwych czasów, które, jak nieśmiało marzyli, kiedyś jeszcze powrócą. Zamieszkali w malutkim domku na cyplu wychodzącym daleko w ciemną wodę fiordu.

Emmi, która zawsze dotąd zachwycała energią i radością, teraz wydawała się stara i zmęczona, jak gdyby świadomość tego, jak okrutnego wydała na świat syna, odebrała jej wszystkie siły. Zawsze stąpała mocno po ziemi, ale teraz jakby straciła równowagę i poczucie rzeczywistości.

Glossu Rabban miał czterdzieści jeden lat i oczywiście sam odpowiadał za swoje czyny, ale przecież Abulurd i Emmi w żaden sposób nie mogli odegnąć od siebie myśli, że jednak w jakiś sposób zawinili, czegoś nie dopatryli w czasach dzieciństwa, nie znaleźli sposobu na wpojenie mu, jeśli już nawet nie miłości do innych ludzi, to przynajmniej szacunku dla nich.

Rabban sam dowodził karną ekspedycją, która spadła na Bifrost Eyrie. Abulurd był świadkiem, jak z aprobatą przyglądał się egzekucji własnego dziadka. Zrujnował los ludzi mieszkających nad fiordem Tula. Od przedstawicieli ZNAH-u dowiadywali się o okrucieństwach, jakich dopuszczał się na Giedi Primie.

„Jak to możliwe, żeby to było moje dziecko?”

W swej małej samotni próbowali począć nowego potomka, doszli bowiem wspólnie do przykrego wniosku, że Glossu nie jest już ich synem. Musieli go na zawsze wygnąć ze swoich serc; tak postanowiła Emmi, Abulurd zaś nie mógł nie przyznać jej racji.

Nie mogli odwrócić tragedii spowodowanych przez Glossu, ale gdyby urodził im się drugi syn, mogliby usiłować wychować go na dobrego człowieka. Tyle że Emmi najlepsze lata miała już za sobą, a linia Harkonnenów nigdy nie odznaczała się wielką płodnością.

Victoria, pierwsza żona Dmitrija Harkonnena, dała mu tylko jednego syna, Vladimira. Po pełnym gorczy rozwodzie Dmitrij poślubił młodą i piękną Daphne, ale ich pierwszy syn, Marotin, zapóźniony w rozwoju, był wielkim utrapieniem rodziców i ku ich uldze zmarł w wieku dwudziestu ośmiu lat. Drugi, Abulurd, stał się ulubieńcem ojca, który z wielką chęcią bawił się z nim, czytał i grał. Wprowadzał go w sprawy państwowe, studiując wraz z nim historyczne rozprawy następcy tronu Raphaela Korrino.

Niewiele czasu poświęcał najstarszemu synowi, którego edukacją zajęła się Victoria.

Chociaż Vladimir i Abulurd pochodzili od jednego ojca, trudno o dwie bardziej różniące się osoby. I na nieszczęście Rabban więcej miał w sobie cech stryja niż rodziców.

Po kilku miesiącach narzuconego sobie wygnania Abulurd i Emmi wzięli któregoś dnia łódkę i popłynęli do najbliższej wioski, gdzie chcieli kupić ryby, warzywa i drobiazgi, których zabrakło już w domku. Ubrani byli zwyczajnie, bez żadnych ozdób czy insygniów władzy. Mieli nadzieję, że nikt ich nie rozpozna i będą traktowani jak inni kupujący, ale mieszkańcy Lankiveil zbyt dobrze ich znali. Ledwie zjawili się na rynku, powitali ich, okazując przyjaźń.

Widząc spojrzenia pełne wyrozumiałości, Abulurd pojął, że niesłusznie zrobił, usuwając się na ubocze. Mieszkańcy Lankiveil tak za nim tęsknili, jak on za nimi. To, co wydarzyło się w Bifrost Eyrie, było jedną z największych tragedii w dziejach planety, ale Abulurdowi nie wolno było pograżać się w rozpacz. Poddani nadal darzyli go miłością i świadomość tego usuwała pustkę z serca.

Odtąd zaczęli częściej odwiedzać wioskę, Emmi zaś przy tej okazji zwierzyła się miejscowym kobietom z chęci posiadania jeszcze jednego dziecka, które tym razem wychowałaby jak nie-Harkonnena.

Kiedy pewnego dnia zajechali, aby uzupełnić zapas zieleniny i wędzonych ryb owijanych w solone płaty kelpu, Abulurd zauważył staruszkę stojącą na skraju rynku. Miała na sobie jasnoniebieski habit buddoislamskiej mniszki ze złożonymi obrzeżami, a na szyi miedziane dzwonki, co było znakiem, że dotarła na najwyższe szczeble religijnego objawienia, czego dostępowaly tylko bardzo nieliczne kobiety. Stała nieruchomo i chociaż nie była wyższa od innych osób na placu, to przecież wydawało się, że góruje nad nim niczym monumentalny posąg.

Dostrzegła ją także Emmi i jakby przyciągnięta jej wzrokiem podeszła i stanęła z wyrazem nadziei na twarzy oraz słowami:

– Słyszeliśmy o tobie.

Abulurd nie miał pojęcia, o czym mówi jego żona.

Mniszka potrząśnięciem głowy zrzuciła kaptur, spod którego wyłoniła się świeżo ogolona czaszka, różowa z niewielkimi plamkami, zdało się, nienawykła do chłodu. Kiedy kobieta zmarszczyła brwi, skóra na jej czole zmięła się jak harmonijka. Przemówiła, a jej głos miał dziwnie hipnotyczne brzmienie:

– Znam wasze pragnienie i wiem, że Buddallah spełnia nadzieje tych, których uważa za godnych. – Przynęła się bliżej do małżonków, jak gdyby chciała im przekazać słowa tylko dla nich przeznaczone. Cichutko zadzwęczały dzwoneczki. – Macie czyste myśli, jasną świadomość, a wasze serca warte są takiej nagrody. Wiele już wycierpieliście. – Jej spojrzenie nagle stwardniało. – Ale dziecka musicie pragnąć ze wszystkich sił.

– I pragniemy – odpowiedzieli Abulurd i Emmi tak zgodnie, że spojrzeli na siebie i zaśmiali się niespokojnie. Emmi chwyciła mocno męża za rękę.

– Tak, widzę waszą szczerłość. To dobry początek.

Kobieta półgłosem wyszeptała błogosławieństwo, a potem jakby w odpowiedzi rozstąpiła się powłoka szarych chmur i na dolinę spłynęła smuga słonecznego światła. Wszyscy zebrani na rynku spojędali na Abulurda i Emmi wzrokiem pełnym nadziei i ciekawości.

Mniszka sięgnęła pod habit i wydobyla parę torebek, by, trzymając je koniuszkami palców, wysunąć w kierunku małżonków.

– Macica perłowa zmieszana z diamentowym pyłem – powiedziała – a do tego suszone zioła, które zakwitają między śniegami tylko podczas przesilenia letniego. Mają wielką moc i niech wam służą. – Jeden pakuneczek wręczyła Abulurdowi, a drugi Emmi. – Zróbcie z nich napar i wypijcie, zanim będziecie się kochać. Ale ostrożnie, żebyście się nie nadwerężyli. Baczcie na księżyc albo zagłędajcie do kalendarza, kiedy chmury są zbyt grube.

A potem dokładnie im wyjaśniła, jakie fazy księżyca najbardziej sprzyjają poczęciu dziecka. Emmi kiwała głową, przyciskając torebkę do piersi, tak jakby była niezwykłym precjozum. Abulurd słuchał jednak słów staruszki z pewnym sceptycyzmem. Ludowe sposoby traktował jako zabobony, widząc jednak nadzieję na twarzy żony, nie zdradzał się ze swoimi wątpliwościami. Chociażby dla Emmi będzie robił wszystko dokładnie tak, jak to właśnie wyklędała mniszka.

Spokojnym głosem, w którym nie było ani śladu speszenia, opisała szczegółowo rytuały, które zwiększą intensywność erotycznych doznań, a zarazem możliwość połączenia się plemnika z jajczkiem. Oboje zgodnie pokiwali głowami.

Zanim zawrócili do łódki, Abulurd nabył jeszcze specjalny kalendarz księżycowy.

W domku rozstawili świece i rozpalili w kominku, aby wnętrze było jasne i ciepłe. Na dworze wiatr ustał, jakby wstrzymał dech, prawie nie poruszona woda fiordu odbijała zastygłe na niebie chmury. Wznoszące się stromo góry skrywały swe szczyty między obłokami.

Daleko, po drugiej stronie zatoki, widzieli sylwetę swej dawnej siedziby, stojącej teraz z pozamykanymi oknami i drzwiami. Pokoje były tam zimne, meble powleczone kurzem, kredensy puste. Wyludnione wioski były milczącymi pamiątkami dawnych, szczęśliwych czasów, zanim znad fiordu odeszli wszyscy wielorybnicy.

Położyli się w szerokim małżeńskim łózu wykonanym z elakkijskiego drewna i pokrytym piękną snycerką. Czuli jeszcze gorzki smak naparu przygotowanego zgodnie z instrukcjami starej mniszki. Wzbudził w nich pożądanie, które sprawiło, że znowu poczuli się młodzi.

Kiedy potem leżeli wtuleni w siebie, Abulurd wsłuchiwał się w spokój nocy. Wydawało mu się, że gdzieś z oddali dolatują głosy przemawiających do siebie wielorybów bjondax.

Oboje uznali, że to dobry omen.

Spełniwszy swoją misję, Wielebna Matka Gaius Helena Mohiam zrzuciła buddoislamski

habit, zdjęła dzwoneczki i wszystko starannie zapakowała. Swędziała ją skóra na głowie, ale włosy wkrótce odrosną.

Usunęła z oczu soczewki kontaktowe, które ukryły kolor gałek ocznych, usunęła postarzający makijaż i nałożyła na twarz odżywkę konieczną po wiatrach i mroźnym powietrzu Lankiveil.

Przebywała tam ponad miesiąc, obserwując Abulurda Harkonnena i jego żonę. Podczas jednej z ich wypraw do wioski wśliznęła się do domku i pozbierała ich włosy, skrawki skóry, zrzynki paznokci, aby na tej podstawie określić biochemizmy ich ciał, do czego takie próbki zupełnie wystarczały.

Badaniami zajęły się laboratoria zakonne, a siostry ustaliły, w jaki sposób można najbardziej zwiększyć prawdopodobieństwo tego, że Abulurd i Emmi będą mieli jeszcze jedno dziecko, i to także syna. Tego wymagał genetyczny program Kwisatz Haderach, a poczynania Glossu Rabbana wyraźnie świadczyły o tym, że niezależnie od zaawansowanego wieku był też zbyt prostacki i brutalny, aby zostać właściwym partnerem dla córki, którą Jessika miała powieć w związku z Leto Atrydą. Dlatego Bene Gesserit potrzebowały jeszcze jednego mężczyzny z linii Harkonnenów.

W porcie Lankiveil musiała trochę poczekać na najbliższy statek. W przeciwieństwie do tego, co przyszło jej przeżyć w kontakcie z nikczemnym baronem, tym razem nie nakłaniała nikogo do poczęcia nie chcianego dziecka. Abulurd i Emmi gorąco pragnęli mieć jeszcze jednego potomka, a Mohiam z prawdziwą satysfakcją wykorzystwała wiedzę zakonu, aby zwiększyć ich szanse.

Młodsze brata Glossu Rabbana czekał brzemienny w konsekwencje los.

*Nasza praca polega na wyzwoleniu wyobraźni, a następnie wykorzystaniu jej do cielesnej twórczości człowieka.*

**Friedre Ginaz,**  
***Filozofia mistrza miecza***

Było późne popołudnie na kolejnej z wysepek archipelagu Szkoły Ginazów. Na łagodnych zielonych stokach poprzecinanych ogrodzeniami z czarnych wulkanicznych kamieni pasło się bydło. Niewielkie chatki przykryte były czapami z sitowia, którego pojedyncze źdźbła powiewały w podmuchach bryzy. Na brzegu leżały wyciągnięte z wody czółna, zatoka upstrzona była białymi plamkami żagli.

Rybackie łódki nieustannie przypominały Duncanowi Kaladan i budziły w duszy tęsknotę.

Grupka uczniów, którzy dotrwali do tego etapu, cały dzień spędziła na ćwiczeniach wyostrażających zmysł równowagi. Przy użyciu krótkich noży walczyli na polu najeżonym ostrymi kolcami młodych bambusowych pędów. Dwóch przewróciło się i odniosło ciężkie rany, dla Duncana dzień skończył się na rozcięciu dłoni, czym się zupełnie nie przejął. Rana była głęboka, ale wkrótce się zagoi.

– Rany znacznie lepiej uczą niż podręczniki – powiedział mistrz, bez drgnięcia powieki przypatrując się okaleczeniom.

Nastąpiła godzina wręczania poczty, stali więc przed rzędem chatynek, a wywołani odbierali od Jeh-Wu, ich obecnego nauczyciela, cylindryczne pojemniki oraz zeroentropijne paczki. Wilgoć w powietrzu sprawiała, że długie włosy Jeh-Wu ciężkimi strąkami zwisały wzdłuż twarzy przypominającej iguanę.

Upłynęły dwa lata od deszczowej nocy, kiedy Trin Kronos wraz z innymi uczniami z Grumman został usunięty ze Szkoły Ginazów. Według informacji nieregularnie docierających do uczniów, Cesarz Szaddam i Landsraad nie mogli dojść do porozumienia, w jaki sposób należy ukarać Moritanich za porwanie i zabicie członków rodu Ekazów, a tymczasem wicehrabia w najlepsze napadał i rabował, niektóre zaś z Wysokich Rodów dopuszczały się subtelnych machinacji, w efekcie których właśnie on miał się okazać ofiarą.

W tym kontekście z coraz większym podziwem powtarzano imię księcia Leto Atrydy. Początkowo usiłował być mediatorem, potem jednoznacznie opowiedział się po stronie arcyksięcia Ekaz i usiłował nakłonić Wsokie Rody do wspólnych działań, które ukróciłyby agresję ze strony Grumman. Duncan był dumny, że jest na służbie księcia, i żałował, iż nie ma dokładniejszych wiadomości o posunięciach politycznych Cesarza. Chciał już wracać na Kaladan i stanąć u boku swego władcy.

Przez lata spędzone w Szkole Ginazów bardzo zaprzyjaźnił się Hiihem Resserem, jedynym przyjezdnym z Grumman, który miał odwagę potępić poczynania wicehrabiego, co spowodowało, że uznany za zdrajcę utracił wszelkie kontakty ze swą rodzinną planetą. W obecności całego dworu wyrzekł się go ojczym, a koszty jego edukacji były teraz pokrywane z cesarskiego funduszu stypendialnego.

I kiedy teraz stali obok siebie, patrząc na wręczanie poczty, Resser nie oczekiwał na żadną przesyłkę.

– A może jednak będzie coś dla ciebie, Hiih? Nie miałeś tam żadnej dziewczyny, która by za tobą zatęskniła?

– Teraz? Po sześciu latach?

Po wyjeździe Kronosa i jego kompanów Duncan i Hiih jeszcze więcej czasu spędzali razem, grając w piramidalne szachy, zwrotnego pokera, albo też wędrując i pływając. Duncan nieśmiało wspominał w liście do księcia Leto, że być może młodzieniec z Grumman byłby dla niego dobrym nabytkiem.

Podobnie jak Duncan, także Hiih w wieku dziesięciu lat został sierotą, a wtedy

przysposobił go Arsten Resser, jeden z głównych doradców wicehrabiego Hundro Moritaniego. Hiihowi nie układały się kontakty z ojczymem, szczególnie kiedy nadszedł czas młodzieńczego buntu. Zgodnie z rodową tradycją rudzielec został posłany do Szkoły Ginazów, Arsten Resser zaś miał nadzieję, że panująca tam twarda dyscyplina nauczy pokory jego krnąbrnego pasierba. A chociaż ten wiele skorzystał z pobieranych tu nauk, to jednak nie w sposób oczekiwany przez przybranego ojca.

Słyszając swoje imię, Duncan wystąpił przed szereg.

– Ciasteczka melanżowe od mamusi? – zakpił Jeh-Wu, podając mu ciężką paczkę.

Duncan dość już miał nauki za sobą, aby powstrzymać atak gniewu i odpowiedzieć głosem tnącym jak sztylet:

– Moją matkę zabił Glossu Rabban na Giedi Primie.

Na twarzy Jeh-Wu pojawiło się stropienie. Kiedy Duncan wrócił do szeregu, poczuł na ramieniu rękę przyjaciela.

– Jakiś prezent z domu? Szczęściarz z ciebie, że masz od kogo je dostawać.

Duncan spojrzał mu prosto w oczy.

– Tak, po tym, co zrobili mi Harkonnenowie, moim domem stał się Kaladan.

Dobrze pamiętał słowa, które na pożegnanie wygłosił książę Leto: „Nigdy nie wolno ci utracić współczucia”. Wiedziony impulsem, wyciągnął przesyłkę, na której widniał czerwony jastrząb Atrydów.

– Proszę, niech będzie twoja. A przynajmniej wszystko do jedzenia, bo jeśli będą jakieś holofotografie albo list, to mi oddasz.

Hiih uśmiechnął się lekko.

– Zgoda. Ale nie obiecuję, że coś z niej ci oddam.

– Wtedy musielibyśmy się pojedynkować, a to oznacza twoją klęskę.

Hiih udał przestraszonego i skwapliwie pokiwał głową.

– Dobrze już, dobrze.

Siedli na schodkach przed chatką, a podczas kiedy Duncan wpatrywał się w łodzie kołyszące się w zatoce, Hiih z pasją zabrał się do otwierania przesyłki. Pierwszy z kilku pojemników, jakie wydobył, był przejrzysty, a w środku widać było pomarańczowe plastry.

– Co to takiego?

– Melon paradan! – zawołał Duncan i wyciągnął rękę, ale Hiih cofnął swoją i uważnie wpatrzył się w owoc. – Nie słyszałeś o paradanach? Najśłodsze w całym Cesarstwie! Przepadam za nimi. Gdybym wiedział, że są w środku, to... – Hiih podał mu pojemnik, a Duncan otworzywszy go, ciągnął: – Dawno już ich nie widziałem, bo przyplątała się jakaś zaraza planktonowa i zbiory były kiepskie.

Podał Hiihowi kawałek melona, ale przyjaciel przełknął bez wyraźnej satysfakcji.

– Dla mnie za słodkie.

Duncan natomiast pochłonął trzy plastry jeden po drugim i dopiero wtedy zamknął

pojemnik. Hiih rozwijał już z przyprawowego papieru smakowite ciastka kala, przyrządzone z ryżu pundi i melasy, a w tych wyraźnie zasmakował. Przerwał jednak delektowanie się i wydobyl z paczki trzy listy, które wręczył Duncanowi. Pozdrowienia od Rhombura z wyrazami otuchy i zachęty... Karteczka od Thufira Hawata, który nie mógł się już doczekać powrotu Duncana, bardzo bowiem liczył na jego pomoc... Oraz wiadomość od księcia Leto, który obiecywał, że jeśli przyjaciel Duncana pomyślnie zakończy kurs nauk w Szkole Ginazów, on zastanowi się nad możliwością przyjęcia go na dwór kaladański. Kiedy przeczytał to Hiihowi, ten z trudem powstrzymywał się od łez, odwracając głowę, aby Duncan tego nie dostrzegł. Ten objął go ramieniem i rzekł:

– Jakkolwiek potoczą się losy rodu Moritanich, ty znajdziesz dla siebie miejsce pod słońcem. A kiedy ród Atrydów będzie miał na swojej służbie dwóch nowych mistrzów miecza, kto będzie śmiał mu się przeciwstawić?

Tego wieczoru Duncana nawiedziła taka tęsknota, że nie mógł zasnąć, wziął więc miecz Starego Księcia i wyszedł na zewnątrz, by przy świetle gwiazd ćwiczyć parady i zasłony. Tyle czasu upłynęło od chwili, gdy widział niebieskie fale kaladańskiego morza... Całym sercem rwał się do przybranego domu i rozmyślał o tym, ile zawdzięcza rodowi Atrydów.

*Natura w jakiś przedziwny sposób uczyniła ruch czółenka, w przód i w tył, aby wytworzyć cudownie subtelną przyprawę. Trudno oprzeć się podejrzeniu, że tylko boska interwencja mogła zapewnić powstanie substancji, która, z jednej strony, przedłuża ludzkie życie, a z drugiej – otwiera wierzeje duszy na tajemnice Czasu i Stworzenia.*

**Hidar Fen Ajidica,**  
***Laboratoryjne refleksje nad naturą melanżu***

W podziemnym porcie kosmicznym Xuttuh kierownik badań prowadzonych przez Bene Tleilax, Hidar fen Ajidica, przyglądał się przygotowaniom do odlotu promu, który miał ponieść Fenringa z wąwozu startowego do czekającego na orbicie liniowca. To, co dla zewnętrznego obserwatora było malowniczym wąwozem, dawało dostęp do niższych, bezpiecznie oddzielonych poziomów. Po kilku chwilach statek Fenringa był już tylko kropką na zimnym błękitnie nieba.

„Powodzenia!”

Zawsze miał nadzieję, że wścibski Cesarski Obserwator zginie w powietrznej eksplozji, ale niestety, i tym razem bezpiecznie dotarł na orbitę.

Ajidica zawrócił i najbliższą windą zjechał na niższy poziom. Jak na jeden dzień, miał już stanowczo dosyć świeżego powietrza i otwartego nieba.



Nie zapowiedziana inspekcja pochłonęła całe dwa dni... z punktu widzenia badań, czas stracony. Czym prędzej chciał powrócić do swych długoterminowych eksperymentów ze sztuczną przyprawą, które powoli zbliżały się do końcowego etapu.

„I jak mam osiągnąć jakikolwiek sukces, kiedy nieustannie czuję na szyi oddech tego człowieka?!”

Co gorsza, za tydzień miała się zjawić delegacja z ojczystej planety, co rodziło podejrzenie, że zaufanie do Ajidicy zaczęli tracić nawet jego ziomkowie. Wysłannicy mieli zabrać raporty i zawieźć je Mistrzom, którzy w kehlu, zebraniu najświętszej rady, przedyskutują jego poczynania i osiągnięcia.

„Coraz to nowe inspekcje! Coraz to nowe naciski! A ja już jestem tak blisko celu...”

Dokładnie wykonując polecenia Mistrza Badań, asystenci wprowadzili istotne innowacje do nowych zbiorników aksolotlowych, świętych biologicznych zasobników, w których próbowano najróżniejszych odmian sztucznej przyprawy. Dzięki tym poprawkom mógł już przejść do bezpośrednich prób, a w razie ich powodzenia – do produkcji amalu.

Hidar Fen Ajidica osiągnął znacznie więcej, niż skłonny był wyjawić chytremu Fenringowi, a nawet swoim zwierzchnikom. Jeszcze rok, góra dwa, a nareszcie rozwiąże oporną zagadkę. A wtedy przyjdzie czas na ostateczną realizację przygotowywanego już stopniowo planu, aby wykraść sekret amalu i wykorzystać go na własny sposób.

Wtedy nawet legion sardaukarów go nie powstrzyma. Zanim ktokolwiek się zorientuje, Ajidica będzie już daleko, bardzo daleko, a odchodząc, bezpowrotnie zniszczy laboratorium i zabierze sztuczną przyprawę.

Oczywiście, jak zawsze należało się liczyć z jakimiś nieoczekiwanymi wydarzeniami, które staną na przeszkodzie wykonaniu zamierzenia. Xuttuh było łakomym kąskiem dla szpiegów; sardaukarowie i sekretna służba Ajidicy złapali kilkunastu agentów różnych Wysokich Rodów. Szerzyły się plotki, że działa tutaj też jakaś wysłanniczka Bene Gesserit, a to mu się zdecydowanie nie podobało. Byłoby znacznie lepiej, gdyby czarownice nie pakowały nosów w nie swoje sprawy.

Wracając do swego starannie strzeżonego laboratorium, Ajidica włożył do ust czerwoną pastylkę i żuł powoli. Lekarstwo przeciw niepokoju nawiedzającemu Mistrza w podziemnych korytarzach Xuttuh przypominało na języku zgniłe mięso świmaka, on zaś zastanawiał się, dlaczego farmaceuci nie zadbali o jakiś mniej wstrętny smak. Przecież musiała to być tylko kwestia jakichś dodatków, niczego więcej.

Widział już przed sobą kompleks badawczy, złożony z piętnastu białych budynków połączonych przejściami, drogami transportowymi i przenośnikami. Pancerne szyby przepuszczały światło tylko w jedną stronę, na zewnątrz wzniesiono potężne bariery i strażnice, a budynki i pobliskie tereny nieustannie patrolowali sardaukarowie.

Tleilaxanie przynieśli ze sobą ogromną wiedzę genetyczną, na miejscu musieli przysposobić do swoich celów pozostawione przez Verniusów budynki fabryczne. Poprzez

pośredników sprowadzali z zewnątrz masy surowców, a w pracach mniejszej wagi, ale jednak nieodzownych, korzystali z pomocy ixiańskich specjalistów, którzy woleli współpracę z najeźdźcą od śmierci.

Pojazd szynowy zatrzymał się przy ścianie budynku. Mozolnie przebywszy wszystkie posterunki kontrolne i poddawszy się procedurom identyfikacyjnym, Ajidica stanął wreszcie na szerokiej białej platformie, skąd windą wzniósł się na najwyższe, osłonięte przed jakimikolwiek ciekawskimi spojrzeniami piętro, na którym selekcjonowano „kandydatki” do nowych zbiorników aksolotlowych. Wszyscy Ixianie chcieli się z pewnością dowiedzieć, co tu się działo, ale pozostawały im tylko domysły, im bardziej niejasne, tym bardziej przerażające.

Ajidica miał tutaj najnowocześniejszą salę eksperymentalną w całym Cesarstwie, włącznie z wyszukany systemem wielokrotnego użytkowania materiałów. Unikatowy charakter Projektu Amal sprawiał, że potrzebna była ogromna ilość najróżniejszych chemikaliów i próbek, powstawała więc wielka masa trujących odpadów, a system potrafił wszystkie te problemy rozwiązywać w sposób niesłychanie efektywny. Na samym Tleilaxie nigdy nie miał do czynienia z tak znakomitym rozwiązaniem.

Minął podwójne drzwi i wszedł do dużej sali, gdzie robotnicy mocowali w podłodze blokady i końcówki służące do zamontowania nowych zbiorników aksolotlowych.

„Badania muszą trwać. Kiedy już odkryję sekret, zawładnę przyprawą i będę mógł zniszczyć wszystkie zależne od niej szatańskie moce”.

*Wolność to zagadkowe pojęcie. Niektórzy są więźniami pomimo tego, że mają swobodę robienia, co chcą, i udania się, gdzie chcą, podczas gdy inni zachowują wolność duszy, nawet gdy ręce spętane są kajdanami.*

### **z mądrości zensunnickich Wędrowców**

Gurney Halleck rozmyślnie zepsuł mieszadło w wannie, gdzie wygładzano bloki obsydianu, a ono zaczęło na wszystkie strony chlapać śmierdzącą cieczą. Czekał teraz na karę, która musiała nadejść.

Był to pierwszy krok w jego desperackim planie ucieczki.

Jak można się było spodziewać, strażnicy rzucili się w jego kierunku, wymachując pałkami i pięściami w rękawicach pokrytych okuciami. W ciągu dwóch miesięcy, które upłynęły od śmierci Bheth, Harkonnenowie byli przekonani, że czupurny blondyn nie miał już najmniejszej ochoty do walki. Gurney nie wiedział, dlaczego go po prostu nie zabili. Z pewnością nie dlatego, żeby im imponowała jego postawa; raczej chodziło o sadystyczną

przyjemność ze znęcania się nad nim, o długą, powolną udramę.

Chciał, żeby zadano mu rany na tyle poważne, aby musiał iść na kilka dni do lazaretu. Nie byłoby źle, gdyby strażnicy na przykład złamali mu kilka żeber, wtedy bowiem nikt w sali szpitalnej nie będzie na niego zwracał szczególnej uwagi. I wtedy przyjdzie pora na następny krok.

Kiedy rzucili się na niego, starał się oddawać razy. Inni nigdy nie próbowali się bronić, ale w przypadku Gurneya byłoby to podejrzane. Walczył więc dziko, ale prześladowcy oczywiście zwyciężyli. Kiedy nie oddawał już ciosów, nadal jeszcze bili go i kopali, nie oszczędzając głowy. Czuł mdłości, w oczach mu pociemniało, a oni nie ustawali. Zaczął kasłać krwią, powoli tracił przytomność i błysnęła mu myśl, czy czasem tym razem nie posunął się za daleko i czy jeszcze się obudzi...

Robotnicy od paru już dni ładowali niebieski obsydian na pojazd transportowy, który z podniesionymi pokrywami znajdował się za płotem otaczającym lądowisko. Strażnicy bez specjalnego zapału rozglądali się czasami na boki, a większość czasu spędzali na rozmowie. Nikt bez potrzeby nie zbliżał się do niewolniczego obozu, a nawet najbardziej chciwy złodziej nie był na tyle głupi, aby porywać się na własność Harkonnenów.

Wielki transport zamówili w imieniu księcia Leta Atrydy kupcy z Hagala, a nawet Gurney wiedział, że Atrydzi są z dawien dawna wrogami Harkonnenów. Rabban i Vladimir znajdowali przyjemność w tym, że to na ich konto wpłynie zapłata za kosztowny kaprys.

Gurneya interesowało tylko to, że transport niedługo miał być odprawiony... i że on zamierzał się nim zabrać.

Odzyskał świadomość, leżąc na pryczy szpitalnej. Pościel była brudna po poprzednich użytkownikach; personel nie troszczył się specjalnie o czystość i higienę, a o pacjentów tylko w takim stopniu, aby udało się przywrócić im roboczą użyteczność. Wszystko ponad to minimum oznaczało ponoszenie zbędnych kosztów. Wysoką śmiertelnością nikt się nie przejmował, Harkonnenowie nigdy nie mieli trudności z pozyskaniem nowych robotników.

Gurney starał się jak najmniej zwracać na siebie uwagę. Na sąsiednim łóżku mężczyzna rzeźił z bólu; przez zmrużone powieki Gurney zobaczył, że bandaż na ramieniu sąsiada jest przesiąknięty krwią. Był pewien, że męka tamtego długo już nie potrwa; krzyczał albo z bólu, albo przeczuwając swój los. Istotnie, po kilku minutach pojawili się dwaj pielęgniarze i spryskali mężczyznę jakimś gazem, pod działaniem którego zaraz umilkł. Jakiś czas później para sanitariuszy przerzuciła nieruchome ciało na nosze i oddaliła się równym, szybkim krokiem, w którym widać było ich codzienną rutynę.

Nad Gurneyem nachylił się lekarz i pobieżnie go obmacał i ostukał. Halleck jęknął kilka razy, jak powinien, ale poza tym udawał nieprzytomnego. Doktor prychnął i odszedł. Gurney stał się już znaną postacią w lazarecie, a medyków interesowało co najwyżej to, jak udało mu się wytrwać tak długo.

Kiedy w obozie pogasty światła, lekarze sięgnęli po swoje ulubione środki, semotę czy inne narkotyki. Dla porządku zrobili jeszcze jeden obchód. Gurney jęcząc, ciskał się na pryczy, jakby dręczony przez senne koszmary. Ktoś nachylił się nad nim ze strzykawką w rękę, ale potem pokręcił głową i odszedł; może chciał, żeby Gurney pomęczył się trochę, kiedy się ocknie w nocy.

Kiedy tylko medycy się oddalili, Gurney otworzył oczy i obmacał ciało, oceniając obrażenia. Miał na sobie tylko beżowy łachman szpitalny, potargany i brudny. Ciało było w nie lepszym stanie. Wyczuł pod palcami liczne blizny i niedbale założone szwy. Dotknął głowy: bolesne siniaki i wgniecenia, ale niezależnie od bólu jedno przynajmniej oceniał z radością – nadal mógł myśleć i się poruszać.

Usiadł na pryczy i dotknął bosymi stopami brudnej, nie zamiatanej polepy. Wezbrały mdłości, ale udało mu się powstrzymać od wymiotów. Przy każdym oddechu czuł ognisty ból, ale dało się to wytrzymać.

Wstał i zrobił kilka chwiejnych kroków. W sali zostawiono parę przytłumionych jarzyc na wypadek jakiegoś alarmu. Pacjenci pochrapywali i pojękiwali, ale nikogo nie rozbudziły jego ruchy. Na policzku pulsowała pręga po krwawinie, ale Gurney starał się nie zwracać na nią uwagi. Teraz nie było na to czasu.

Na półce w szafce zobaczył pojemnik ze strzykawkami napełnionymi kirarem, środkiem, którego użyto na polecenie Rabbana, aby sparaliżować Hallecka. I skazać go na bezwładne przyglądanie się gwałceniu Bheth, a potem jej śmierci. Gurney otworzył drzwi szafki, a nie wiedząc, jaka dawka jest odpowiednia, wziął na wszelki wypadek kilka strzykawek, a potem starannie zamknął ją za sobą, aby kradzież nie rzuciła się natychmiast w oczy. Już się odwracał, kiedy nagle nawiedziła go myśl, że mimo wszystko zostawia za sobą nazbyt wyraźny trop. Ponownie otworzył szafkę i wziął jeszcze kilkanaście iniektorów ze środkami przeciwbólowymi i halucynogennymi. Kilka wziął ze sobą, a resztę cisnął do zbiornika odpadów. W razie wykrycia rabunku nie będzie wiadomo, że chodziło tylko o kirar.

Rozejrzał się za jakimś ubraniem; znalazł jakiś podniszczony lekarski kitel, ale i ten lepszy był od szpitalnej szmaty, którą miał na sobie. Pojękując z bólu, przebrał się, a przy okazji znalazł w kieszeni fartucha kilka tabletek energetycznych, które natychmiast połknął, chociaż nie wiedział, na jak długo podtrzymają energię ciała. Skulił się, lekko uchylił drzwi lazaretu i chyłkiem wymknął się na zewnątrz.

Bez trudu przemknął między drutami płotu elektrycznego, który postawiono bardziej dla postrachu niż dla rzeczywistego przeszkodzenia intruzom. Ładowisko oświetlały jarzyce, ale ich złe rozstawienie powodowało, że między kręgami jasności pozostawały wyspy ciemności.

Gurney zaczął przeskakiwać od jednej do drugiej i wreszcie dotarł do ogromnych pojemników na obsydian. Uniósł pokrywę, ta zaskrzypiała, odruchowo więc znieruchomiał, ale zaraz zmusił się do działania, wszelkie bowiem przestoje tylko zwiększały niebezpieczeństwo. Podciągnął się, wsunął do środka, a następnie, wisząc na jednej ręce, tak

cicho, jak potrafił, zamknął za sobą klapę.

Opuścił się po metalowej ścianie, drąc kitel i raniąc skórę, na stos obsydianowych brył. Skaleczenia nie były głębokie, więc prawie nie zwrócił na nie uwagi, cóż bowiem one znaczyły w porównaniu z tym, czego przyszło mu już zaznać?

Posunął się jeszcze bardziej w kąt. Kawałki obsydianu były nierównej wielkości. Niektóre miały rozmiar pięści, inne były w postaci płaskich nieforemnych płyt. Pojemnik został w znacznej części wypełniony, jeszcze tylko z rana jedna porcja lub dwie i ładowacze przeniosą go do luku transportowca. Ważne było to, by nikt go nie zauważył.

Powoli, starając się poruszać bezszelestnie, zaczął się zagrzebywać w kamienne płyty, chociaż powodowało to straszny ból udręczonego ciała. Doskwierał mu ciężar obsydianu, a gdyby poleciała na niego następna wielka porcja, mógł tego nie przeżyć, ale wolał nawet taki los niż dalszą parszywą egzystencję. Lepiej umrzeć, próbując uciec spod władzy Harkonnenów, niż żyć pod ich butem.

Znieruchomiał, kiedy zaczęło mu brakować tchu, a nad sobą widział już tylko stłumione światło sączące się przez przezroczyste kamienie. Pamiętał o tym, aby w zasięgu dłoni zostawić strzykawkę z kirarem. Głęboko zaczerpnął powietrza.

Jedna dawka nie pogrąży go w odpowiednio głębokim transie, trzy mogą go zabić. Wbił sobie w ramię dwie jednocześnie, pozostałe czekały na wypadek, gdyby podczas podróży okazało się, że musi wziąć dodatkową porcję.

Paraliż niemal w jednej chwili poraził mięśnie. Zapadnie w stan hibernacji, gdy ciało zawisłe na granicy śmierci mniej będzie potrzebowało powietrza i energii. Jeśli mu się poszczęści... jeszcze się obudzi.

Księżę Leto Atryda nie miał pojęcia o tym, że w zamówionym ładunku obsydianu znajduje się jakaś niespodzianka, natomiast Gurney Halleck ze wszystkich sił pragnął znaleźć się po stronie zaprzysięgłego nieprzyjaciela Harkonnenów.

Miał nadzieję, że kiedy znajdzie się w centrum przeladunkowym na Hagalu, gdzie obsydian miał być poddany dalszej obróbce i na nowo załadowany, będzie też miał okazję ukryć się w transporcie kierowanym na Kaladan. Usiłował sobie wyobrazić swego nieświadomego dobroczyńcę, Leta Atrydę, ale rozkwitający uśmiech zastygł na twarzy kamieniejącej pod wpływem narkotyku.

*Obraz niebios to dźwięk płynącej nieprzerwanie wody.*

**powiedzenie Wolan**

Trzy lata po odkryciu bazy przemytników Liet-Kynes zjawił się w niej ponownie. Teraz,

gdy płonna okazała się nadzieja na zdobycie kobiety, którą kochał, nic już nie miał do stracenia. I postanowił otrzymać od Dominika Verniusa przyrzeczoną nagrodę. Poprosi go, aby zabrał go na inną planetę.

Czekając na powrót dumnego Warricka z Ptasiej Jaskini, Liet bardzo się starał wewnętrznie przygotować na powitanie młodej pary. Zaszył się w swoim pokoju i oddał medytacji. Kochał swego brata krwi, kochał Faroulę, nie mógł więc dopuścić do rozkrzewienia się jakichkolwiek złych uczuć. Jak powiadała jedna z mądrości wolańskich: „Nawet najmniejszą złą myśl należy wyrwać, zanim uda jej się zapuścić korzenie”.

Kiedy nadszedł czas, czekał przy zabezpieczonym grodzią wejściu do siczy i serdecznie przygarnął Warricka, nie zważając na ostry zapach przyprawy, kurz i pot po wielu godzinach podróży na grzbiecie piaskala. Warrick był rozpromieniony, szczęśliwy. Zadowolona wydawała się także Faroula, która przywitała się z Lietem bez dawnej zalotności; teraz była już związana z innym mężczyzną. Zaraz też odstąpił na bok, za nim bowiem cisnęli się już z życzeniami inni mieszkańcy siczy, a na końcu czekał Heinar, ojciec Farouli i naib siczy.

Liet rzadko wykorzystywał swoją sytuację, na tę jednak okazję zgodnie ze swą prośbą otrzymał od ojca kosz owoców z oranżerii w Gipsowej Kotlinie: pomarańcze, daktyle, figi, a także kiść pochodzących z Bela Tegeuse jagód *li*. Podarunek czekał na młodą parę w ich sypialni.

Zdarzenie to wprawdzie wzmocniło Lieta wewnętrznie, niemniej jednak musiał uznać, że teraz powinien zmienić coś w swoim życiu. Jego przyjaciel sporo czasu poświęcał żonie, rychło dzięki błogosławieństwu Szej-huluda powiększyła się ich rodzina, Warrickowi nie były więc teraz w głowie napaści na Harkonnenów.

Mijał rok, a ból serca nie ustępował. Faroula nadal podobała się Lietowi najbardziej ze wszystkich wolańskich dziewcząt i wątpił, by kiedykolwiek pojął jakąkolwiek inną za żonę. Jeśli dłużej będzie pozostawał w siczy Czerwonego Muru, smutek przemieni się w gorycz, a za nic nie chciał dopuścić do tego, by w jego duszy narodziła się zazdrość.

Frieta rozumiała uczucia syna.

– Liet, ty chyba musisz oddalić się stąd na jakiś czas.

Pokiwał głową, myśląc o długiej trasie na biegun południowy.

– Chyba istotnie najlepiej, żeby pochłonęła mnie jakaś praca.

Niewiele się zastanawiając, zgłosił chęć dostarczenia Rondo Tuekowi kolejnej łapówki przyprawowej, za czym nikt z Wolan specjalnie nie przepadał.

– Powiadają – rzekła Frieta – że echo dociera do ucha, ale echa wspomnień słyszy serce.

– Z uśmiechem położyła rękę na jego ramieniu. – Jedź, gdzie musisz jechać, a ja już wszystko wyjaśnię ojcu.

Liet pożegnał się z Faroulą, Warrickiem i resztą mieszkańców siczy. Inni nie dostrzegali jego smutku. „Syn Ummy Kynesa chce się udać na hadźdź” – mówili, podróż bowiem potraktowali jako rodzaj pielgrzymki. Może istotnie była w tym chęć zyskania wizji jakiegoś

celu, któremu mógłby podporządkować życie teraz, gdy Faroula należała już do innego.

Przez całe dotychczasowe życie poruszał się w cieniu ojca. Planetolog nieustannie powtarzał, że syn zostanie jego następcą, tymczasem Liet nawet się nie zastanowił, czy odpowiada mu taka droga życiowa.

Młodzi Wolanie często podejmowali zajęcia swych ojców, ale nie było to bynajmniej koniecznością. Marzenie o rozbudzeniu Diuny było wspiane, ale wymagało ogromnej wewnętrznej pasji. Urma Kynes miał swych zagorzałych pomocników: Stilgara, Turoka, Ommuna, a także innych, a oni nie pozwolą umrzeć temu marzeniu, cokolwiek postanowiłby syn.

Kiedys może stanie na ich czele... ale najpierw musi całym sercem oddać się temu pomysłowi.

„Muszę się oddalić i przemyśleć cel tak drogi memu ojcu”.

I dlatego postanowił udać się do Dominika Verniusa.

Liet czujnie rozglądał się po antarktycznym pustkowiu, ufając, że jego wolański zmysł obserwacyjny pozwoli mu odkryć jakieś ślady. Miał już za sobą przekazanie łapówki, nie wracał jednak do siczy ani nie udawał się na inspekcję upraw roślinnych, chciał natomiast odszukać przemytników.

Wpatrywał się w skąpany światłem krótkiego dnia krajobraz lodowca i próbował wysledzić jakieś oznaki jaskini. Z satysfakcją stwierdzał, że uwagi jego i Warricka poskutkowały, gdyż teraz kryjówka była nie do znalezienia dla kogoś, kto nie wiedział o jej istnieniu. Liet pamiętał jednak, że znajduje się w pobliżu charakterystycznego pęknięcia w skalnym masywie, gdzie stacjonowały statki przemytników.

Ruszył w kierunku skał. Palce mu drętwiały, policzki piekły od mrozu. Miał nadzieję, że kiedy odnajdzie rozpadlinę, przemytnicy zobaczą go i pokażą, któredy wejść do środka. Przez całą godzinę błąkał się między oblodzonymi głazami, posunął się nawet do tego, że machał rękami i krzyczał, wszystko to jednak bez skutku do chwili, gdy nagle skała się rozstała, a z wąskiej szczeliny wyskoczyli brodaci mężczyźni z wycelowanymi w niego laserobinami. Zmarszczył brwi, a rozpoznawszy dwóch spośród napastników, spokojnie podniósł głowę.

– Widzę, że jesteście czujni jak zawsze – zauważył z sarkazmem. – Wygląda na to, że potrzebujecie mojej pomocy bardziej, niż oczekiwałem.

Ponieważ mężczyźni nadal w niego celowali, Liet zmarszczył brwi i wskazał na mężczyznę o dziobatej twarzy bez jednej brwi i innego starego weterana z grzywą siwych włosów.

– Johdam, Asuyo, co to, nie poznajecie mnie? Odrobinę się może postarzałem, przybyło mi włosów na brodzie, ale chyba nie zmieniłem się aż tak bardzo?

– Wszyscy Wolanie są podobni jeden do drugiego – mruknął Johdam o dziobatej twarzy.

– To kiepski macie wzrok, jak na przemytników – zażartował Liet. – Chciałbym się zobaczyć z Dominikiem Verniusem.

Musieli go albo zabić, albo wziąć do środka, zrobili więc to drugie, starannie zamaskowując ryse w skale.

Kiedy przechodzili obok ściany obserwacyjnej, zerknął w dół na lądowisko, gdzie roilo się od mężczyzn ładujących statki.

– Wybieracie się na jakąś wyprawę – ni to spytał, ni stwierdził Liet, ale nikt mu nie odpowiedział. Johdam wydawał się jeszcze bardziej podejrzliwy niż przedtem, jak gdyby stracił właśnie większość majątku i wiedział, że to jeszcze nie koniec. Na piersi Asuyo przybyło kilka nowych medali i baretek, ale nie stał się ani odrobinę bardziej przyjazny.

Zjechali do rozpadliny i poszli jej wyżwirowanym dnem. Liet z daleka już rozpoznał masywną sylwetkę Dominika Verniusa, którego łysina lśniła w mdłym polarnym świetle. Dawny władca IX pomachał ręką i ruszył w kierunku nadchodzących.

– Co to, znowu się zgubiłeś? Ale tym razem trudniej już było nas wykryć, co?

– Okazało się, że jeszcze trudniej twoim ludziom mnie dostrzec. Nie wiem, gdzie podziła się wasza czujność.

– Większość ludzi ze straży zajęta jest teraz ładowaniem – zaśmiał się Dominik. – Musimy zdążyć na liniowiec z całą tą przyprawą opłaconą już z góry. W czym ci mogę pomóc? Mów szybko, bo trochę czas nas nagli.

Liet zaczerpnął tchu.

– Obiecałeś mi nagrodę i teraz się po nią zgłaszam. Dominik był wprawdzie nieco zaskoczony, ale pokrył to uśmiechem.

– Oczywiście. Ludziom zwykle potrzeba mniej niż trzy lata na decyzję.

– Zabierz mnie ze sobą. Sporo się nauczyłem, nie będę zawadą.

Vernius klepnął Lieta z takim rozmachem, że ten przyjazny gest mógł powalić salusańskiego byka.

– Nie ma sprawy. Flagowa fregata jest już gotowa do odlotu. Tam porozmawiamy.

Machnął w kierunku statku mającego na sobie liczne ślady wielokrotnego przedzierania się przez atmosferę.

Kabina Dominika była tak urządzona, aby jak najbardziej przypominała domowe wnętrze. Earl wskazał Lietowi jeden z foteli odciążaczowych, którego tapicerka była wprawdzie lekko postrzępiona i poplamiona, jakby używano go od lat, ale Kynesowi to nie przeszkadzało. Obok biurka widniał hologram pięknej kobiety.

– Rozgość się, młodzieńcze.

– Powiedziałeś, że przydałby ci się jakiś Wolanin, który sprawdziłby jakość zabezpieczeń twojej kryjówki na Salusa Secundzie.

Dominik pokiwał lekko głową.

– To byłoby korzystne. – Spojrzał na podobiznę, która jakby odpowiadała uśmiechem, niezależnie od tego, co robił lub mówił. – No i co sądzisz, Shando, kochanie? Powinniśmy go wziąć ze sobą w podróż?



Wpatrywał się w hologram, jakby oczekiwał na odpowiedź, Liet zaś poczuł dziwne ciarki na krzyżu. Potem earl Vernius zwrócił się do niego z uśmiechem:

– Oczywiście, że cię zabierzemy. Dotrzymam słowa, choć niejeden zastanawiałby się, czy na pewno jesteś przy zdrowych zmysłach. – Otarł kroplę potu z czoła. – Kto z własnej woli chce się udać na więzienną planetę Cesarza, najwyraźniej liczy, że los łaskawie się z nim obejdzie.

Liet przygryzł wargi.

– Mam swoje powody – odpowiedział, a Vernius nie zadawał więcej pytań.

Przed wieloma laty Salusa Secunda wywarła ogromne wrażenie na jego ojcu, który po dziś dzień nie mógł zapomnieć ran, których planeta nie zdołała zaleczyć przez stulecia. Także Liet chciał się tam znaleźć, aby podjąć decyzję, mającą ukształtować całe jego dalsze życie. Niewykluczone, że kiedy sam spędzi jakiś czas pośród tych zniszczeń, zrozumie, co tak bardzo popchnęło jego ojca ku ekologii.

Przywódca przemysłowców wyciągnął dłoń i uściskiem przypieczętowali umowę.

– Świetnie. Przypomnij mi, jak ty się nazywasz?

– Dla ludzi spoza plemienia Weichih.

– Posłuchaj mnie zatem, Weichih. Skoro masz dołączyć do mojej załogi, będziesz musiał spełniać też określone obowiązki, jasne?

Z kabiny kapitańskiej wyszli na rampę, po której uwijali się zadyszani podwładni Dominika.

– O zmierzchu wyruszamy na Salusa Secundę.

*Wejrzyj w siebie, a zobaczysz wszechświat.*

### **aforyzm zensunnicki**

„Arrakis. Trzecia, najbardziej intrygująca planeta układu Kanopusa”.

Nawigator Gildii D'murr spoglądał w plazowe okno swej kabiny, malutkiej cząstki wielkiego liniowca. Daleko w dole, pod brązową chmurą pylną kurzawy, znajdowało się Arrakis, jedyne źródło melanzu, dzięki któremu on mógł penetrować ścieżki wszechświata.

„Jakaż przyjemność daje mi przyprawa”.

Malutki prom przedarł się rozżarzony przez atmosferę nad południowym biegunem i wkrótce zrównał się z liniowcem. Kiedy przycumował, D'murr mógł śledzić przez wideokom grupę podróżnych zbierających się w strefie kontroli.

Chociaż liniowiec miał bardzo liczną załogę, to D'murr jako Nawigator miał obowiązek nadzorować wszystko i zawsze. Statek to jego dom i miejsce pracy, a także teren, za który

odpowiadał.

Nawykł już do syku pomarańczowego gazu melanzowego i właściwie przestał go już słyszeć. Mając ciało tak zdeformowane, D'murr nigdy już nie będzie mógł zobaczyć z bliska pustynnej planety, przejść się po piachu, a prawdą mówiąc – nigdy nie będzie mógł opuścić swego zbiornika. A przecież sama bliskość Arrakis zapewniała mu jakiś osobliwy spokój. Usiłował znaleźć dla niego jakąś analogię matematyczną, bo to był język, który najbardziej do niego przemawiał, ale nic mu nie przychodziło do głowy.

D'murr Pilru może powinien lepiej wykorzystać swe ludzkie życie, jakie wiódł, zanim wstąpił na służbę Gildii. Teraz było już jednak na to za późno; jego samego zaskoczyło to, jak bezpośrednio po zdanych egzaminie Gildia wyciągnęła po niego swe zachłanne ręce. Nie zdążył nawet pożegnać się, nie zdążył dokończyć ludzkich interesów.

Ludzkich.

Co właściwie obejmowało to pojęcie, a czego już nie obejmowało? Od pokoleń zmagaly się z tym pytaniem Bene Gesserit, oceniając zakres intelektu i emocji, skalę osiągnięć i porażek. Od czasu, kiedy D'murr związał się z Gildią, jego cielesna postać uległa ogromnej przemianie, ale jak wielkie miało to znaczenie? Czy on i pozostali Nawigatorzy Gildii przekroczyli już granice człowieczeństwa i stali się czymś innym?

„Jestem jeszcze człowiekiem. Nie jestem już człowiekiem”.

Zakłopotany zastanawiał się nad sporem toczącym się w nim samym.

Przez wideokom śledził, jak pasażerowie w ciemnych, znoszonych szatach przechodzą do głównego pomieszczenia pasażerskiego. Za nimi w minipolach odciążaczy posuwały się bagaże. Jeden z mężczyzn z wielkimi wąsami i łysą czaszką wydawał się dziwnie znajomy.

„Ciągłe jeszcze odzywają się wspomnienia”.

Dominik Vernius! Gdzie się podziewał przez te wszystkie lata?

Przez cienkie usta w kształcie litery V Nawigator wydał polecenie do lśniącej kuli głosowej. Na ekranie pojawiła się imienna lista pasażerów, ale żadne z nazwisk nie było znajome. A zatem wygnany earl podróżował incognito, chociaż Gildia zapewniała absolutną dyskrecję.

Razem ze swymi towarzyszami udawał się na Salusa Secundę.

W kabinie nawigacyjnej rozległ się sygnał: wszystkie przewożone statki były zabezpieczone w ładowni. Załoga zamknęła grodzie wejściowe i teraz nadzorowała silniki Holtzmana, D'murr jednak ledwie zauważył wszystkie te przygotowania do opuszczenia orbity, zamyślił się bowiem nad pięknymi dniami przeżyтыми na Ix, szczęśliwym czasem spędzonym u boku rodziców i brata bliźniaka w Grand Palais earla Verniusa.

„Niepotrzebne i szkodliwe zaśmiecanie umysłu”.

Jako Nawigator dokonywał skomplikowanych obliczeń i delektował się urodą matematyki dymensjonalnej. Liniowce pełne pasażerów i cennych towarów przeprowadzał przez wielkie przestrzenie.

Nagle jednak poczuł, że coś go blokuje, rozprasza, utrudnia właściwe funkcjonowanie. Umysł nagle ugrzązał w płątanie wstępnych równań. Dlaczego jakaś pozostałość jego dawnego „ja” uparła się, żeby rozpoznać tego mężczyznę? Niczym zwierz wydobywający się z głębin morskich pojawiła się odpowiedź: Dominik Vernius odegrał ważną rolę w życiu D'murra Pilru. W jego ludzkiej przeszłości...

„Chcę zakrzywić przestrzeń”.

A tymczasem nadal napływały wspomnienia z Ix: sceny luksusu dworu Verniusów, w których uczestniczył wraz z bratem C'tairem. Uśmiechnięte dziewczęta w drogich sukniach, a między nimi Kailea, piękna córka earla. W mózgu dostatecznie pojemnym, aby ogarniać wszechświat, tkwiło też to, kim był i kim mógł się stać...

„Nie dokończyłem procedury”.

Twarze roztańczonych ixiańskich dziewcząt stały się kontrapunktem dla obliczy jego nauczycieli ze szkoły na Krzyżowniku. Skupiły się wokół niego przejrzyste pojemniki z gazem, świdrujące spojrzenia małych oczek wpiły się w niego oskarżycielsko.

„Muszę zakrzywić przestrzeń!”

Było to niezwykle doświadczenie, gdy ciało i umysł zaczynały obcować z mnogimi wymiarami. Pod tym względem podobny był do kapłanów i zakonnic, którzy wyrzekając się spraw płci, ofiarowywali się swemu Bogu.

W końcu udało mu się wyzwolić od drobnych ludzkich wspomnień i rozszerzyć świadomość na całe gwiazdne systemy i poza nie. Kiedy zaczął prowadzić liniowiec przez zakrzywioną przestrzeń, galaktyki stawały się dla niego kobietami... a on nurzał się w miłości do nich.

*Nie kończąca się wojna rodzi układ spraw ludzkich powtarzający się od wieków. Jednym z jego składników jest nieustanna czujność, aby być gotowym na odparcie ataku. Drugim są rządy autokratów.*

**Cammar Pilru, ambasador Ix na uchodźstwie,  
*Traktat o obaleniu niesprawiedliwych rządów***

Przyjemność wspólnego życia z Miral Alechem nie trwała dla C'taira długo. Po tym, jak udało im się wyświetlić dla wszystkich mieszkańców obraz przemawiającego Rhombura, wynaleźli dla siebie oddzielne kryjówki. Chcieli, by w razie wpadki przynajmniej jedno z nich się uratowało i dalej prowadziło walkę. Spotykali się, żeby wymienić przelotne spojrzenia i pospieszne słowa w stołówce, w której pracowała Miral.

Pewnego jednak dnia, kiedy zjawił o umówionej porze, zamiast Miral stała za kontuarem

obca kobieta o zmęczonym spojrzeniu. Bez słowa wziął talerz z jakimiś poszatkowanymi jarzynami i usiadł przy stole, który zwykle wybierali. Ostrożnie rozglądał się dookoła, ale nigdzie nie dostrzegł Miral. Zjadł w milczeniu, a odnosząc brudne naczynia, zapytał jednego z pomywaczy:

– Trzy dni temu potrawy wydawała taka dziewczyna, której dzisiaj nie widzę. Co się z nią stało?

– A skąd mogę wiedzieć? – odrzekł tamten, wzruszając ramieniem, ale pytanie C'taira zainteresowało następczynię Miral.

– A dlaczego cię to interesuje?

– Nic, ot tak, spytałem z ciekawości – pospiesznie zapewnił C'tair, a widząc, że uważnie przypatruje mu się tleilaxański strażnik, zgarbił się i apatycznym, powolnym krokiem ruszył ku wyjściu, starając się jak najmniej rzucić w oczy.

Coś przydarzyło się Miral, on zaś nie mógł się dopytywać. Nachylił się, udając, że zawiązuje but, lecz kiedy zobaczył, że strażnik rozmawia z kierownikiem stołówki, zaraz się wyprostował, a ponieważ drzwi były już blisko, szybko ich dopadł, by zaraz zgubić się w płataninie przecznic i czym prędzej zjechać na poziom suboidów. Czuł straszliwe zagrożenie.

Wydarzyło się jakieś nieszczęście i schwyтали Miral, co oznaczało, że znowu został zupełnie sam, bez nikogo, kto by mu doradził w potrzebie i wspomógł w razie konieczności. Czy miał jeszcze jakiegokolwiek szanse, skoro tak wiele dawnych kontaktów się urwało? Więc na nic miał się zdać wysiłek wszystkich tych lat?

Samotność nie była mu obca, natomiast strasznie tęsknił za Miral. Czasami żałował, że w ogóle ją spotkał, teraz bowiem brak stawał się bardzo trudny do zniesienia, ale potem z wdzięcznością wspominał wspólnie spędzone chwile i cieszył się, że w ogóle się wydarzyły.

Nigdy już jej jednak nie zobaczył.

Tleilaxanie przypominali osy rozwścieczone atakiem na ich gniazdo, a z terrorem, który rozpętali, nie mogły się równać żadne dawne ich ekscesy. Tysiące robotników stracono, do czego wystarczał choćby cień podejrzenia. Szybko stało się jasne, że najeźdźcy zupełnie nie przejmują się tym, jakie straty ponosi miejscowa ludność, zawsze bowiem mogli uzupełniać ubytki ghołami, Tancerzami Oblicza, kimkolwiek tylko chcieli.

Nie potrwało więc długo, a duch buntu pośród Ixian znowu przygasł. C'tair przez sześć miesięcy nie podejmował żadnej akcji sabotażowej. Udało mu się uniknąć pułapki zastawionej przez sardaukarów tylko dzięki temu, że zaskoczył ich ukrytym w rękawie miotaczem igieł. Żył w ciągłym strachu, że w końcu zdemaskują go odciski palców czy wzorzec informacji genetycznej.

Sytuacja nigdy dotąd nie była tak zła.

Od czasu pamiętnej projekcji urwały się wszystkie dostawy spoza planety. Nikt z zewnątrz nie miał dostępu do mieszkańców Ix, C'tair nie mógł przesłać żadnej wiadomości

znajdującemu się na Kaladanie Rhomburowi. Ix stało się właściwie czarną skrzynką, która tylko wypływała z siebie produkty zamawiane przez ZNAH. C'tair co najwyżej mógł się cieszyć tym, że pod kierownictwem Tleilaxan znacznie spadła jakość produkcji i częste były zwroty.

Przy takiej czujności najeźdźców trudno było myśleć o szukaniu sojuszników i sposobów na sprowadzanie potrzebnych rzeczy. Tak niewiele pozostało mu sprzętu, że już tylko raz, co najwyżej dwa, mógł próbować połączyć się z bratem, Nawigatorem Gildii, za pomocą swego prymitywnego nadajnika „Rogo”, ale w zaistniałej sytuacji stawało się to jego jedyną szansą. A chciał tak uczynić między innymi po to, aby ktoś się dowiedział, co się dzieje na Ix. Tak bardzo brakowało mu Miral, jej czulej uwagi, rady, towarzystwa.

Zresztą odnosił wrażenie, że sam zapal Rhombura nie wystarczy. Być może D'murr, korzystając ze swych nawigatorskich umiejętności, mógłby zlokalizować miejsce pobytu Dominika Verniusa.

Zniszczone ubranie C'taira cuchnęło potem i brudem. Od bardzo dawna ani się nie najadał, ani nie wypoczywał. Głodny zaszył się w kącie magazynku, w którym od lat zbierały kurz palety z reklamowanymi przez odbiorcę chronometrami, które można było nastawiać na czas dowolnej planety w Cesarstwie. Tleilaxanie nie widzieli żadnego pożytku z takich wymyślnych cacuszek.

Przy świetle ręcznej jarzycy zaczął montować nadajnik, czując, jak cierpnie mu skóra, jednak nie ze strachu przed czujnikami i szpiegami Tleilaxan, lecz przed tym, że aparat nie będzie działał. Nie korzystał z niego od roku i został mu już tylko jeden komplet bezcennych prętów silikonowych.

Otarł pot z czoła i zaczął kolejno montować pręty do receptora. Nadajnik był wielokrotnie naprawiany i dostosowywany do dostępnych aktualnie części; nie ulegało wątpliwości, że dożywa już swoich dni.

W dzieciństwie on i D'murr mieli ze sobą znakomity kontakt; jeden zaczynał zdanie, a drugi je kończył, wystarczyło, że spojrzeli na siebie z dwóch końców sali, a natychmiast jeden wiedział, co myśli drugi. Brak takiej więzi czasami bywał wprost nieznośny.

Od czasu gdy D'murr został Nawigatorem, drogi obu braci się rozeszły, chociaż C'tair robił, co mógł, aby utrzymać kontakt, a jednym z narzędzi był właśnie nadajnik. Tyle że coraz bardziej niepewny, coraz bardziej zawodny... podobnie jak sam C'tair.

Ostatni pręt znalazł się na swoim miejscu i C'tair, zaciskając szczęki, włączył zasilanie. Miał nadzieję, że wzmocnione ściany magazynu będą także chroniły sygnał przed detektorami Tleilaxan. Nie miał już chronionej polem tarczowym kryjówki, wysadził ją bowiem w powietrze dwa lata temu, kiedy wraz z Miral przygotowali skoordynowane eksplozje. W efekcie jednak ryzyko rosło z każdym dniem, niemal czuł już na szyi oddech Garona i jego sardaukarów.

C'tair umieścił receptory na głowie, którą wcześniej posmarował uwrażliwiającym żelem.

Spróbował nawiązać kontakt z D'murrem, szukając w pamięci wzorców myślenia, które niegdyś były im wspólne. Wyrastali wprawdzie ze wspólnego korzenia, D'murr jednak zmienił się tak bardzo, że teraz być może należeli już do odmiennych gatunków.

W jego świadomości coś się poruszyło, a potem nastąpiło powolne rozpoznanie.

„D'murze, musisz mnie wysłuchać. Tego, co mam do powiedzenia”.

Pojawił się obraz twarzy brata: długie włosy, wielkie oczy, perkaty nos, miły uśmiech. Tak zapamiętał go z Grand Palais, kiedy przyglądali się ceremoniom dyplomatycznym i flirtowali z Kaileą Vernius.

Jednakże ku swemu zdziwieniu za znajomą twarzą dojrzał pokraczny kształt, z wielką czaszką i skarłatymi kończynami, na zawsze zamknięty w pojemniku z gazem melanzowym. Ten obraz C'tair zepchnął w tło i skupił się na ludzkiej twarzy bliźniaka, nie zastanawiając się, czy naprawdę teraz tak wygląda.

„D'murze, być może rozmawiamy po raz ostami”.

Chciał spytać brata, co się dzieje w Cesarstwie. Co z ich ojcem, ambasadorem Pilru rezydującym na Kaitain? Jeśli żył jeszcze, mógłby służyć jakąś pomocą, rozmyślał C'tair, chociaż po tylu latach być może nie był już poważnie traktowany przez nikogo. Nie miał jednak czasu na pogawędki. Musiał przekazać wieść o rozpaczliwej sytuacji mieszkańców IX. Zostali radykalnie odcięci od reszty świata, ale poprzez D'murra i jego układy w Gildii istniała możliwość kontaktu z całym Cesarstwem.

„Ktoś musi się dowiedzieć o naszym tragicznym położeniu!”

Z pasją zaczął opowiadać o poczynaniach Tleilaxan, o dzikim terrorze stosowanym przez sardaukarów i fanatyków w stosunku do pojmanych Ixian.

„D'murze, musisz mi pomóc, musisz znaleźć kogoś, kto stanie się rzecznikiem naszej sprawy!”

Rhombur Vernius znał sytuację i przy sekretnej pomocy Atrydów wspomagał ich, jak mógł, ale to było zdecydowanie za mało.

„Postaraj się odnaleźć Dominika Verniusa, kto wie, czy to nie ostatnia już nasza szansa. Jeśli pamiętasz mnie, naszą rodzinę i przyjaciół... jeśli pamiętasz swoich rodaków – musisz mi pomóc, pomóc nam!”

Ponieważ umysł jego usiłował objąć drogi zakrzywionej przestrzeni kosmicznej, więc tylko na skraju świadomości C'tair odnotował, że z nadajnika wydobyła się wąziutka strużka dymu. Pręty powoli się przepalały.

„D'murze! Błagam!”

Chwilę później dym zgęstniał, a z aparatu posypały się iskry. C'tair zerwał receptory ze skroni i wbił pięść w usta, aby powstrzymać okrzyk bólu. W oczach zakręciły się łzy, tak straszliwy czuł ucisk w czaszce. Dotknął nosa i uszu: z otworów wyciekała krew. Wił się i kołysał na krześle, daleko jednak było do tego, aby ból ustąpił.

Niemniej jednak po godzinie cierpień, gdy wpatrywał się w szerniały nadajnik, na ustach

C'taira pojawił się wąty uśmiech. Był pewien, że wiadomość dotarła do adresata. Teraz przyszłość IX zależała już tylko od tego, co D'murr z nią zrobi.

*W kurzu, skalach, warstwach dyluwialnych znajduje się pamięć planety, trwały zapis jej egzystencji, ekologiczne świadectwo.*

**Pardot Kynes,**  
*ABC Arrakis*

Uzbrojone pojazdy więzienne Cesarza wysunęły się z ładowni liniowca i w ciasnym szyku zaczęły opadać na zniszczoną planetę niczym orszak pogrzebowy.

Nawet z daleka Salusa Secunda miała chorobliwy wygląd: pomiędzy brudnymi chmurami, przypominającymi stary bandaż, widniały głębokie poszarpane szramy. Zgodnie z danymi oficjalnymi pośród skazańców przybywających na Salusę śmiertelność podczas pierwszego standardowego roku wynosiła sześćdziesiąt procent.

Podczas gdy nowy transport więźniów i towarów szybował w kierunku portu rozładunkowego, załoga liniowca pozostawiła wierzaje ładowni otwarte na czas dostatecznie długi, aby z jej wnętrza wymknęły się trzy nie oznakowane jednostki: jedna fregata i dwie szybkie lichtugi. Nie zostawiwszy po sobie żadnego śladu w rejestrach statku, Dominik Vernius wraz ze swymi ludźmi skierował się na umęczoną planetę poprzez lukę w satelitarnym systemie obserwacji i kontroli.

Liet-Kynes siedział w pasażerskiej części fregaty, przyciskając palce do zimnej szyby plazowej, a oczy miał rozwarpte tak szeroko jak wolańskie dziecko, które po raz pierwszy znalazło się na grzbiecie piaskala.

Salusa Secunda!

Niebo było ciemnopomarańczowe, a chociaż dochodziło południe, zakrywały je burzowe chmury, między którymi szybowały kuliste pioruny, jak gdyby niewidzialni tytani grali w elektryczny bilard.

Wymijając urządzenia wykrywające, statki Dominika przemknęły nad popękkanymi, pokrytymi zgorzelą jałowiznami i zbliżyły się do sekretnego lądowiska. Widzieli pod sobą lśniące tafle, które przywodziły na myśl jeziora, chociaż w istocie były zeszkłonym granitem. Nawet po upływie wielu stuleci od katastrofy nie można tu było znaleźć żadnych roślin, a te, które nieśmiało gdzieś sterczały, wydawały się rozpaczliwie wystawionymi palcami pogrzebanego żywcem człowieka.

I właściwie w jednej chwili Liet zrozumiał, dlaczego jego ojca tak głęboko poruszyły nie zaleczone rany planety. Z ust wydarł mu się jęk, a kiedy Dominik odwrócił się zdziwiony,

wyjaśnił:

– W dawnych czasach Zensunnici – Wolanie – byli tutaj przez dziewięć pokoleń niewolnikami. – Zapatrzonego w okaleczony krajobraz, dodał: – Niektórzy powiadają, że ciągle można tu dojrzeć krew, która nasączyła glebę, i usłyszeć krzyki niesione przez wiatr.

Dominik zgarbił się.

– Ach, Weichih, Salusa zniosła o wiele więcej niż twoi udręczeni przodkowie.

Zbliżali się do miejsca, gdzie niegdyś kwitło miasto, ale została po nim jedynie czarna plama zgorzeli, z której gdzieś sterczały tylko szczyty murów czy kikuty kolumn. Kawalek dalej widać było nowe mury otaczające na wzgórzu fragment jakiegoś osiedla, któremu udało się przetrwać holokaust.

– Kiedyś były to mury więzienia – powiedział Dominik, wskazując stok ruchem głowy – kiedy jednak zawaliły się, a trzymani tu ludzie uciekli, urzędnicy naprawili umocnienia i schronili się za nimi. – Zaśmiał się krótko. – Kiedy uciekinierzy zorientowali się, że lepiej było im w dawnym miejscu, gdzie mieli przynajmniej schronienie i jakiegokolwiek jedło, bezskutecznie usiłowali wdrzeć się z powrotem. – Poglądził łysą głowę. – Od tego czasu najtwardsi nauczyli się żyć na własną rękę, reszta powymierała. Aby zahartować tych, którzy chcą przeżyć, Korrinowie sprowadzili tutaj tygrysy laza, salusańskie byki i inne dzikie bestie. Przestępców po prostu puszcza się wolno... zakładając, że większość zginie.

Liet przyglądał się okolicy okiem planetologa, starając się wykorzystać wszystkie nauki, jakie uzyskał od ojca. Zewsząd dochodził kwaśnawy zapach wilgoci.

– Sporo jest płynu, więc można by się tutaj o niejedno pokusić. Można by tu hodować rośliny i zwierzęta, tylko ktoś musiałby się tym zająć.

– Przekłęci Korrinowie nie pozwolą na to – mruknął Dominik, a twarz mu pociemniała. – Chcą, żeby wszystko pozostało tu bez zmian, gdyż jest to wtedy najlepsze miejsce zesłania dla tych, którzy ośmielają się przeciwstawiać cesarskiej władzy. Gdy tylko więźniowie tu przybędą, zaczyna się swego rodzaju okrutna gra. Cesarz lubi zresztą śledzić, kto wytrzyma tu najdłużej, a na dworze robi się nawet zakłady, obstawiając poszczególnych „zawodników”.

– Ojciec nic mi o tym nie mówił – powiedział Liet. – W młodości spędził tu kilka lat.

– Kimkolwiek jest twój ojciec – stwierdził Dominik z ponurą twarzą – nie musiał wiedzieć wszystkiego. – W oddali pojawił się ciemny kształt wielkiego hangaru. – Jako dawny władca Ix nie lubię żyć na powierzchni. W podziemiach przynajmniej nie trzeba się przejmować burzami poświatowymi.

– A o nich ojciec mi opowiadał.

Fregata zeszła nisko nad ziemię koszącym lotem i zniknęła we wnętrzu hangaru.

– Kiedyś był tutaj magazyn przeznaczony na długoterminowe składowanie – oznajmił Dominik, wyłączył silnik, a kiedy uruchomił reflektory, zatańczył w nich obłok szarawego pyłu. Tuż obok nich przysiadły obie lichtugi, a z komór w ścianach wynurzyli się inni przemytnicy i zabrali do rozładunku. Piloci stanęli u stóp fregaty i czekali na pojawienie się



Dominika.

Liet, który szedł za earlem, skrzywił się, bez destylozonu i zatyczek nosowych czuł się bowiem jak nagi. W powietrzu unosił się zapach spalenizny, rozpuszczalników i ozonu. Liet tęsknił za przytulnością siczy, swojskością naturalnej skały, a tutaj zbyt wiele widział wokół siebie metalu i plastonu.

Na rampie otaczającej płytę lądowiska pojawił się młody, muskularny mężczyzna. Ciało miał wprawdzie nieforemne, poruszał się jednak bardzo zwinnie. Kwadratową twarz znaczyła jasnoczerwona blizna po krwawinie, a blond włosy zwisały pod dziwnym kątem nad lewym okiem. Miało się wrażenie, że najpierw został połamany, a potem na łapu-capu poskładany.

– Oto i Gurney Halleck! – zawołał Dominik, a jego głos głuchym echem rozszedł się w komorze. – Chodź tutaj, Gurneyu, poznasz naszego nowego towarzysza, urodzonego i wychowanego pośród Wolan.

Zawołany z wilczym uśmiechem na twarzy zbliżył się do nich zdumiewająco szybko. Wyciągnął szeroką dłoń i ręka Wolanina znalazła się jak w imadle. Gurney wypowiedział formułę, którą Liet zapamiętał z Biblii Protestancko-Katolickiej:

– „Witaj radośnie tych, których chcesz za przyjaciół, a serce miej dla nich otwarte jak dłoń na powitanie”.

Liet odpowiedział, używając tradycyjnej wolańskiej formuły w starodawnym chakobsa.

– Gurney przybył do nas z Giedi Primy – wyjaśnił Dominik. – Udało mu się ukryć w transporcie przeznaczonym dla mego przyjaciela, księcia Leta Atrydy, następnie zmienić statek na Hagalu, aż wreszcie trafił na odpowiednich towarzyszy.

Gurney wzruszył niezgrabnie ramionami. Był spocony, a ubranie miał poszarpane po intensywnych ćwiczeniach szermierczych.

– Przez prawie pół roku lądowałem w coraz to gorszych zakamarkach, aż wreszcie, gdzieś na samym dnie, trafiłem na tych hultajów.

Liet podejrzliwie zmrużył oczy, ignorując dobroduszne żarty.

– Jesteś z Giedi Primy? To planeta Harkonnenów, tak? – Palce pomknęły do pochwy, w której znajdował się krysnoź. – Zabiłem chyba z setkę tych diabelskich pomiotów.

Gurney dostrzegł gest młodego Wolanina, nie odwrócił jednak wpatrzonych w niego oczu.

– A zatem będziemy dobrymi przyjaciółmi.

Potem przyszedł czas na biesiadę w sali jadalnej podziemnej bazy; nie było końca rozmowom, śmiechom, opowieściom i przechwałkom.

Na stole pojawiły się butle rzadkich win i do kieliszków polał się mocny, bursztynowy trunek.

– Cesarska brandy, przyjacielu – powiedział Gurney, podając kieliszek Lietowi, któremu nie udało się przełknąć za jednym razem całej jego zawartości. – Z prywatnej piwniczki

Szaddama, każdy gram wart dziesięć gramów melanżu. – Mrugnął porozumiewawczo. – Przechwyciliśmy transport z Kirany, wzięliśmy sobie to, co było przeznaczone dla Cesarza, a na to miejsce wstawiliśmy flaszki z octem skunksowym. Coś mi się wydaje, że ta historia nie przejdzie bez echa.

Dopiero teraz w sali zjawił się Dominik Vernius witany powszechnymi wiwatami. Miał na sobie kamizelkę z kasztanowego mehrjedwabiu, obrębionego czarnym futrem wielorybim. Niczym duchy otaczały go holofotografie zmarłej żony, dzięki czemu mógł ją widzieć nieustannie, gdziekolwiek spojrzał.

Było tutaj przyjemnie i ciepło, ale Liet nie mógł już doczekać się chwili, gdy podobnie jak ojciec zacznie z bliska przyglądać się krajobrazowi Salusy. Najpierw jednak zgodnie z obietnicą musiał użyć swych wolańskich umiejętności, aby zabezpieczyć bazę przed możliwością zdemaskowania, chociaż, jak zresztą powiedział sam Dominik, nie należało się spodziewać, by zbyt wielu ludzi wałęsało się po bezludziu i wyglądało nie wiadomo czego.

Na Salusa Secundę nikt nie przyjeżdżał dobrowolnie.

Na jednej ze ścian jadalni wisiała stara mapa, pokazująca planetę z czasów jej świetności, gdy była wspaniałą stolicą gwiazdowego Cesarstwa. Drogi pociągnięte były złotą farbą, miasta i najważniejsze budowle zaznaczone klejnotami, opale symbolizowały czapy lodowe, a elakkijski granatownik – jeziora.

Dominik utrzymywał (choć nie miał na to żadnych dokumentów), że mapa ta należała do następcy tronu Raphaela Korrino, legendarnego dygnitarza i filozofa, który żył przed tysiącami lat, przy czym wyraził radość, iż Raphaelowi – „według mej wiedzy, jedynemu porządnemu z Korrinów” – los oszczędził widoku tego, czym stała się jego ukochana stolica. Całe jej bajeczne piękno, marzenia przekute w kamień, plaz i plastal – wszystko to strawił nuklearny pożar.

Gurney Halleck trącił struny swojej nowej balisety i podjął smutną pieśń. Lietowi wydała się głęboko poruszająca, niosła ze sobą wspomnienia dawnych ludzi i miejsc.

*Och, dni przeszłości dawno minionej  
Niechaj poczuję wasz nektar na wargach,  
Wspomnień czarownych smak i zapach,  
Piękno uśmiechów, dotyki rozkoszy,  
Czystą niewinność i pasję nadziei.*

*Widzę jednak welony i lzy potoczyste,  
Głębiny ponure, których mroczne tonie  
Bólu są pełne, męki i niewiary.  
Ach, przyjacielu, o wiele jest mądrzej  
Ku światłu twarz zwracać*

*I nie patrzeć w ciemność.*

Każdy posłyszał w tej pieśni coś osobistego; Liet dojrzał błysk łzy w oczach Dominika, które wpatrzone były w jedną z holofotografii Shando. Poczul się nieswojo wobec tak jawnie okazywanych uczuć, co nigdy się nie zdarzało między Wolanami.

Dominik przeniósł wzrok na kosztowną mapę.

– Gdzieś w pokrytych kurzem cesarskich archiwach znajduje się imię rodu, który sięgnął po zakazaną broń atomową, aby użyć jej tutaj.

Lietem wstrząsnął mimowolny dreszcz.

– Jak mogło im coś takiego przyjść do głowy?

– Zrobili, co zrobili, Weichih – wtrącił się Johdam i potarł bliznę nad okiem. – Nie wiemy, co ich do tego popchnęło.

Dominik zgarbił się w fotelu.

– Niektórzy Korrinowie przeżyli, nieliczni wprawdzie, ale jednak. Między innymi Cesarz Hassik III, który przeniósł stolicę na Kaitain... i Cesarstwo trwało dalej. Także ród Korrinów funkcjonował jak przedtem, a dodatkową przyjemność znalazł w tym, aby ze sprofanowanej Salusa Secundy uczynić prywatną planetę więzienną. Wszyscy członkowie rodu, którego imię pochłonęła wieczysta hańba, zostali tam przewiezieni i wydani na straszliwą śmierć.

– Powiadają, że ich duchy straszą tu nadal – mruknął Asuyo.

Liet ze zdumieniem zaczął się domyślać, że Vernius dostrzeża jakąś analogię między swoją sytuacją a położeniem tamtych renegatów. Earl Dominik robił wprawdzie wrażenie człowieka pogodnego i serdecznego, z drugiej jednak strony wiedziano, jak ciężkie ciosy go dotknęły: zabójstwo żony, niewola poddanych, wygnanie córki i syna na Kaladan.

– Tamci renegaci – powiedział w zamyśleniu, na pół do siebie Dominik – nie byli tak sumienni w zabijaniu, jak jestem ja.

*Książę musi nieustannie mieć nas względnie swój ród, jeśli ktoś bowiem nie potrafi kierować rzeczami najbliższymi, to tym bardziej nie może liczyć na władanie całą planetą.*

**książę Paulus Atryda**

Zaraz po obiedzie Leto zasiadł do zabawy ze swym teraz już czteroipółrocznym synem. Podrzucał go na swych kolanach, a chociaż Victor dobrze już znał tę zabawę, nieustannie zaśmiewał się z niej. Przez szyby ze zbrojonego plazu widać było przyjazne, pokryte małymi obłoczkami niebo kaladańskie, na horyzoncie stykające się ze spokojnym morzem.

– On już jest na to za duży, Leto – odezwała się Kailea od drzwi. – Przestań wreszcie

traktować go jak niemowlę.

– Ale jemu najwyraźniej się podoba – odparł Leto i podrzucił chłopca jeszcze wyżej.

Przez ostatnie sześć miesięcy, które upłynęły od położenia zawrotnie drogich ścian z niebieskiego obsydianu, stosunki między Letem i Kaileą układały się odrobinę lepiej. Teraz jadalnie i prywatne pokoje Kailei przypominały splendor Grand Palais. Ostatnie tygodnie przyniosły jednak zmianę na gorsze, jako że Kailea (pod znacznym wpływem Chiary) zaczęła mu robić coraz ostrzejsze wyrzuty, że za dużo czasu spędza z Jessiką.

Leto jednak przestał już zwracać uwagę na jej utyskiwania i spływały one po nim jak woda po kaczce. Jessika natomiast nie miała do niego żadnych pretensji, jej łagodność i pełne taktu porady tylko dodawały mu energii i pomagały w dobrym spełnianiu księżęcych obowiązków.

Zarazem z uwagi na dobro Victora i Kailei Leto nie chciał, żeby spowijała ją jakaś wątpliwość czy zła sława. Mieszkańcy Kaladanu kochali go, on więc dbał o to, aby sądzili, że w zamku kwitnie idylliczne życie rodzinne. Nie inaczej postępował Paulus w związku z lady Heleną, nazywając to „polityką łóżkową” i twierdząc, że jest to problem, przed którym stają wszyscy przywódcy rodów w Cesarstwie.

– Właściwie po co ja ci cokolwiek mówię?! – prychnęła Kailea od progu. – Zupełnie tak, jakbym przemawiała do kamienia!

Leto przestał podrzucać syna i spojrzał przez ramię na swą nałożnicę.

– Nie wiedziałem, że takie to dla ciebie ważne.

Kailea zmeła w ustach jakieś przekleństwo, obróciła się na pięcie i zniknęła, a Leto udał, że nie zauważył jej gniewu. Niemal natychmiast pojawił się Rhombur z balisetą przerzuconą przez ramię. Na jej widok wyciągnął rękę, jakby chciał zapobiec lawinie skarg i pretensji.

– O co tym razem chodzi, Kaileo?. – Palcami machinalnie przesunął po strunach instrumentu, na którym gry uczył go Thufir Hawat. – Jakiś nowy powód do niezadowolenia czy któryś z tych, jakie już poznałem?

Była wyraźnie urażona.

– To tak witasz siostrę? Najchętniej w ogóle byś mnie nie widywał. Całymi dniami mnie unikasz.

– Owszem, nie lubię z tobą rozmawiać, kiedy wszystko sprowadza się do listy żalów i skarg. Leto nie chce się z tobą ożenić... Nieodpowiednio bawi się z Victorem... Powinien zabierać cię na Kaitain częściej... Zbyt wiele czasu spędza z Jessiką... Mam już dość pośredniczenia między wami. – Potrząsnął głową. – A na dodatek, jak się wydaje, bardzo ci nie w smak to, że bardzo dobrze układa nam się z Tessją. Do diaska, Kaileo, przestań obwiniać wszystkich dookoła. Twoje szczęście jest przede wszystkim w twoich rękach, a nie czyichkolwiek innych.

– Trudno, żebym była szczęśliwa, skoro tyle już w życiu postradałam – powiedziała i dumnie uniosła brodę.

Rhombur nie potrafił pohamować gniewu.

– Czy jesteś tak skupiona na sobie samej, że nie dostrzegasz, iż tyle samo postradałem ja? Tyle że ja nie pozwalam na to, żeby zgryzoty zabijały mnie każdego dnia.

– Ale nie musieliśmy tego wszystkiego tracić! Ciągłe możesz wiele uczynić dla rodu Verniusów. – Wstydziała się za nieskuteczne działania Rhombura. – Cieszę się, że rodzice nie muszą się temu przypatrywać. Jako następca tronu na wygnaniu spisujesz się fatalnie, braciszku.

– Coś podobnego mówi Tessja, tyle że w jej słowach nie ma tyle jadu.

Umilkła, gdyż na korytarzu pojawiła się Jessika, zmierzająca w kierunku jadalni. Na pełne złości spojrzenie Kailei odpowiedziała przyjaznym uśmiechem, a potem weszła do pokoju, gdzie siedzieli Leto z Victorem, i zamknęła za sobą drzwi.

Kailea spojrzała na Rhombura i warknęła:

– Jak widzę, nie potrafisz zrozumieć tego prostego faktu, że to mój syn Victor jest przyszłością i nadzieją rodu Atrydów.

Następca tronu Ix pokręcił ze smutkiem głową.

– Staram się być dla niej jak najmilsza, ale to nic nie pomaga – powiedziała Jessika. – Niemal się do mnie nie odzywa, a już wzrok, jakim mnie obdarza...

– Wiem, wiem – rzekł Leto. – Dobrze zdaję sobie sprawę z tego, jak źle wpływa Kailea na całą rodzinę, ale nie mam serca po prostu odsunąć jej na bok. – Razem z chłopcem bawił się na dywanie małymi pojazdami i ornitopterami. – Gdyby nie Victor...

– Chiara nieustannie coś jej szepcze do ucha, a w efekcie Kailea coraz bardziej podobna jest do beczki prochu.

Z modelem ornitoptera w ręku Leto spojrział bezradnie na Jessikę.

– Teraz z kolei ty bawisz się w jakieś podchody. Nie spodziewałem się tego po tobie. – Jego twarz przybrała twardy wyraz. – W tym domu konkubiny nie rządzą.

Wiedząc, jak została wyszkolona jako Bene Gesserit, Leto ze zdumieniem spoglądał na całą gamę kolorów, które przebiegły przez twarz Jessiki.

– Niczego... niczego takiego nie miałam na myśli, mój panie – powiedziała, ukloniła się i wybiegła z bawialni.

Leto wpatrzył się w trzymaną w palcach zabawkę, a potem spojrział na Victora. Zupełnie nie wiedział, co począć.

Kilka chwil później, ukryta w cieniu Jessika przypatrywała się, jak Kailea rozmawia półgłosem ze Swainem Goire'em, dowódcą gwardii pałacowej, który odpowiadał przede wszystkim za bezpieczeństwo Victora. Jego lojalność wobec Leto i podziw dla niego nigdy nie budziły najmniejszych wątpliwości.

Goire był najwyraźniej zakłopotany tym, że księżęca konkubina poświęca mu uwagę. Kailea jakby niechcący otarła się piersiami o gwardzistę, ale ten pospiesznie usunął się na

bok.

Znając, dzięki naukom Bene Gesserit, subtelności ludzkiej natury, Jessika dziwiła się, że Kailea dopiero teraz znalazła sposób na wymierzenie Letu wyrafinowanej zemsty.

Dwa dni później Kailea, nie zauważona nawet przez Thufira Hawata, wśliznęła się do sypialni Goire'a.

*To wierzenia sterujące naszymi działaniami rodzą przyszłość. Odpowiednio silny zespół odpowiednio silnych przekonań może sprawić wszystko. W ten sposób tworzymy wspólną nam wszystkim rzeczywistość, włącznie z bogami.*

### **Wielebna Matka Ramallo, sajjadina Wolan**

Sala treningowa, w której prowadził zajęcia kolejny z mistrzów miecza, była tak wielka, że śmiało mogła stanowić miejsce obrad Landsraadu lub znajdować się w cesarskim pałacu na Kaitain.

Duncan Idaho z podziwem rozglądał się po parkiecie z twardego drewna, którego deski ręcznie wyciosano, wypolerowano i ułożono. Z sięgających od podłogi do sufitu luster w złożonych ramach spoglądały na niego wielokrotne odbicia. Przypomniała mu się sala w zamku kaladańskim, gdzie sztuk walki uczył go Thufir Hawat.

Pawilon z trzech stron otaczały gnące się na wietrze cyprysy, z czwartej znajdowała się kamienista plaża. Bogactwo jego wnętrza kontrastowało z prymitywnymi barakami, w których mieszkali uczniowie. Mord Cour na widok sali ryknąłby śmiechem, inaczej jednak rzecz się miała z Whitmorem Bluddem, łysiejącym mężczyzną z purpurowym znamieniem na czole.

Znany z niezliczonych pojedynków Bludd nosił się godnie i nawet tutaj, na jednej z wysepek Szkoły Ginazów, otaczał się wykwintnymi sprzętami. Korzystając z wielkiej rodzinnej fortuny, Bludd sam zapłacił za odpowiadający jego gustom wystrój swej siedziby.

Pochodził w prostej linii od Porce'a Bludda, wslawionego walkami w Butleryjskim Dżihadzie. Zanim zginął w jednej z bitew, stał się też sławny z tego, że część wielkiego majątku poświęcił na zapewnienie bezpiecznego schronienia sierotom wojennym. To była tradycja, do której poczuwał się także Whitmore Bludd.

Duncan poczuł się nieswojo we wnętrzu pachnącym cytryną oraz olejkiem kamforowym i przenikniętym światłem odbijającym się od żyrandoli i zwierciadeł. Między nimi na ścianach wisiały wielkie portrety przodków Whitmore'a, tarcze, skrzyżowane miecze i zbroje; w kącie znalazł się ogromny, sięgający do sufitu komin. Sprzętów było tyle, że sugerowało liczną

służbę, tymczasem oprócz mistrza, pomocników i swoich kolegów Duncan nie zobaczył nikogo.

Whitmore pozwolił przybyszom, by nasycili się widokiem, a następnie stanął przed szeregiem, w jakim kazał im się ustawić.

Miał na sobie lawendowe pantaloney sięgające za kolana, a niżej lśniły czarne wysokie buty. Biodra opiął szerokim pasem z kwadratową sprzączką wielkości dłoni. Tors odział w koszulę o sztywnym kołnierzu, bufiastych rękawach i jedwabnym wykończeniu.

– Nauczę was prawdziwej szermierki, *Messieurs* – powiedział. – Żadnych tam głupot w rodzaju tarcz osobistych, podstępnych ciosów sztyletem i tym podobnych. Nic, nic takiego.

Wydobył z pochwy cienki jak bicz rapier o półkulistej gardzie i ze świstem przeciął nim powietrze.

– Szermierka to umiejętność... nie – raczej sztuka walki przy użyciu klingi. To taniec tyleż ciała, co cielesnych odruchów.

Schował broń i kazał swoim uczniom przywdziać – „dla podkreślenia urody szermierki”, jak to ujął – archaiczne kostiumy muszkietierów z ozdobnymi guzikami, koronkowymi mankietami, żabotami i wielobarwnymi rękawami.

Duncan od dawna już nawykł do tego, że nie należy kwestionować poleceń nauczycieli ani dziwić się im, bez słowa zatem naciągnął wysokie buty z cielej skóry z dźwięcznymi ostrogami i nałożył aksamitną niebieską kamizelę z białymi, bufiastymi rękawami. Na głowę przywdział płócienny kapelusz o szerokim rondzie, ozdobiony na szczycie wielkim różowym pawim piórem.

Spojrzał przez salę na Hiiha Resslera odzianego w równie staromodny strój i wymienili zdziwione, rozbawione spojrzenia. Wydawało się, że bardziej są teraz gotowi do karnawałowych harców niż do walki.

– Nauczycie się walczyć z wdziękiem i szykiem, *Messieurs*. – Whitmore Bludd przechadzał się przed nimi, najwyraźniej rad z widoku. – Nauczycie się dostrzegać i doceniać artyzm walki klinga o klingę. Każdemu swemu ruchowi przydadacie estetycznego waloru. – Wyelegantowany, zarazem jednak potężnie zbudowany nauczyciel zdjął z rękawa koszuli jakąś jedwabną nitkę. – Skoro został wam już tylko rok do zakończenia nauki, wolno chyba przyjąć, że potraficie już obronić się przez atakiem zgrai czy to zwierzęcej, czy ludzkiej, prawda? Tutaj nie będzie miejsca na żadne barbarzyńskie popisy.

Poranne światło wlewało się przez wąskie, wysoko rozmieszczone okna i lśniło na spinkach rękawów Duncana. Cofnął się o krok, nieufnie przejrzał w lustrze i powrócił do szeregu. Bludd przeszedł teraz między nimi, sprawdzając ich ubiór przy akompaniamencie grymasów, pomruków oraz zaskakująco poważnych uwag krytycznych.

– Szermierka muszkietierów z Ziemi jest piętnastą z poznawanych przez was dyscyplin walki. Ale sama znajomość ruchów i ciosów nie oznacza jeszcze zrozumienia stylu. Dzisiaj będziecie walczyć w parach, jak największą uwagę przykładając do elegancji i rycerskości.

Szpady mieć będą nie zabezpieczone ostrza i nie otrzymacie żadnych masek.

Ruchem ręki wskazał ciągnące się wzdłuż ścian stojaki z bronią; wszystkie klingi były identyczne, długie na dziewięćdziesiąt centymetrów, elastyczne, ostre. Uczniowie zaczęli nimi wywijać, a chociaż Duncan bardzo był przywiązany do miecza Starego Księcia, to jednak do szermierki by się on nie nadał.

Bludd chrząknął, a potem przeciął powietrze rapierem, aby zwrócić na siebie uwagę.

– Macie wykorzystać wszystkie swe umiejętności, ale raz jeszcze powtarzam: żadnych ran, żadnej krwi. Może jakieś zadrapanie, ale nic więcej! I to najwyżej na odsłoniętej części ciała, gdyż po walce ubrania mają być nietknięte. Doskonalicie atak i obronę. Wypad, sparowanie, riposta. Kontrola nad każdym ruchem. Jesteście odpowiedzialni także za swego przeciwnika. – Potoczył chłodnym wzrokiem po zebranych, a znamię na czole pociemniało. – Ten, kto postąpi inaczej, zrani kogoś albo zostanie zraniony, nie będzie brał udziału w dalszych pojedynkach.

Duncan głęboko zaczerpnął tchu i przygotował się do czekającej go walki.

– *Messieurs* – ciągnął Bludd i raz jeszcze przemierzył lśniący parkiet – nadchodzi czas próby dla waszego mistrzostwa. Pojedynek, w którym zadajecie ciosy, ale nie wyrządzacie szkody przeciwnikowi.

Mistrz nałożył na głowę kapelusz z pióropuszem i ostrzem wskazał zaznaczone na podłodze pola walki.

– Przyjmijcie pozę.

Duncan szybko uporał się z trzema pierwszymi przeciwnikami, ale czwarty, elegancki wojownik Iss Opru z Al Dhanab, sprawił mu już wiele kłopotów, chociaż ostatecznie Idaho pokonał go jednym punktem.

Na sąsiedniej planszy jeden z walczących padał właśnie na kolana, obficie krwawiąc. Zaraz podbiegli pomocnicy i wynieśli go na noszach, podczas gdy jego przeciwnik, przybysz z Terrazi, wpatrywał się ponuro w splamione ostrze, oczekując kary. Bludd porywczo wyrwał mu szpadę z ręki i smagnął klingą przez pośladek.

– Obaj okazaliście się niezdarami, on – gdyż dał się trafić, ty – gdyż nie powstrzymałeś w porę cięcia.

Ukarany bez protestów powlókł się na ławkę dla pokonanych, a na sali pojawili się sprzątacze – Duncan zobaczył ich po raz pierwszy – i błyskawicznie oczyścili podłogę, podczas gdy inne walki trwały nadal.

Na koniec wyłoniona została półfinałowa czwórka, w której znaleźli się Duncan oraz Hiih Resser. Przeszkadzały im wprowadzić wyszukane ubiory, ale jak dotąd nie mieli na sobie nawet najmniejszego rozdarcia.

– Idaho i Resser – tutaj! Eddin i al-Kaba – tam! – oznajmił Bludd i wskazał dwa czworokąty w centrum sali.



Wymienieni posłusznie zajęli pozycje. Resser wpatrywał się zmrużonymi oczami w Duncana i oczywiście było, że w tej chwili widzi w nim tylko przeciwnika, a nie przyjaciela. Duncan ugiął kolana i zakołysał się na boki. Prawą rękę uzbrojoną w szpadę wyciągnął ku Resserowi, a potem cofnął i zasalutował, przykładając ostrze do czoła. Tak samo postąpił jego rudowłosy towarzysz. Przez lata nauki wielokrotnie już staczali pojedynki, ale przy użyciu innych broni i z wykorzystaniem tarcz. Wyższy wzrost Resslera i większy zasięg ramion Duncanowi udawało się zazwyczaj równoważyć szybkością. Teraz jednak musieli dbać nie tylko o siebie, ale także o skórę, a nawet ubiór przeciwnika.

Duncan poruszał się w miejscu i milczał, mówić bowiem miało giętkie ostrze. Włosy pod kapeluszem były już przepecone. Wpatrywał się uważnie w oczy przeciwnika.

– *En garde* – rozległa się komenda Bludda.

Oczy Resslera rozblęły i zaatakował. Duncan przechwycił sztych, z dźwięcznym brzękiem metalu odbił klingę, zrobił krok w prawo i sam pchnął, co zręcznie sparował wysoki przyjaciel z Grumman. Bezpośrednio ścierała się tylko stal ze stalą, oni jednak nawzajem czuli siebie.

Resser walczył z furją, jeden sztych następował tuż za drugim i Duncan został właściwie zepchnięty do obrony. Nigdy dotąd nie widział Hiiha w takim szale bojowym; cofał się, parował, czekał w nadziei, że w końcu osłabnie ta pasja, chociaż twarz coraz bardziej zalewał mu pot.

Wydawało się jednak, że przeciwnik zażył jakiś środek dopingujący, atak bowiem ani na chwilę nie słabł. Duncan nie mógł sobie pozwolić na najmniejszą chwilę nieuwagi, więc dopiero gdy ucichł szcęk kling, zorientował się, że druga walka została zakończona.

Teraz Bludd mógł obserwować już tylko pojedynek Duncana i Hiiha.

Koniec ostrza rudzielca dotknął koszuli, potem ciała Duncana; przeciwnik zbierał punkty, zgodnie z życzeniem nauczyciela nie zadając żadnej rany. Miał już przewagę czterech, a pięć oznaczało zwycięstwo.

„Gdybyśmy walczyli naprawdę, już bym nie żył”.

Bludd krążył wokół nich niczym szykujący się do ataku drapieżny ptak.

Duncan miał wrażenie, że jego mięśnie działają dziwnie wolno, jakby nieustanny atak Hiiha nie pozwalał mu na wykorzystanie wszystkich umiejętności. Skupił uwagę na czubku ostrza i sięgnął po wszystkie rezerwy sił oraz to, czego przez siedem lat nauczył się w Szkole Ginazów.

„Walczą dla rodu Atrydów i muszę zwyciężyć!”

Resser tańczył wokół niego, czekając na moment nieuwagi, podczas gdy Duncan skupił się na zwolnieniu oddechu i pulsu. „Muszę zmaksymalizować *chi* – myślał. – To dla mego księcia muszę stać się mistrzem miecza. Nie chodzi o satysfakcję nauczycieli, lecz o to, bym potrafił bronić go w potrzebie”.

Stopniowo wzbierała w nim *chi* i czekała na właściwą chwilę, aby trysnąć na zewnątrz.

Teraz Duncan był gotowy. Zaskoczył Hiiha ruchami stanowiącymi syntezę umiejętności nabytych w różnych dyscyplinach. Obracał się wokół własnej osi, kopał, jako broni używał swobodnej ręki. Czasami w zapale wychodzili poza planszę, ale upomniani przez Bludda wracali na środek. I znowu atak Duncana: pięść ugodziła Resslera w skroń, strącając kapelusz, kopniak trafił w żołądek, a wszystko – oczywiście – bez rozlewu krwi.

Zaskoczony przeciwnik zwałił się na podłogę. Duncan kopniakiem odrzucił szpadę Hiiha, a sam przysiadł na jego piersiach i przytknął ostrze swej klingi do jego szyi.

Zwycięstwo!

– Bogowie podziemi! – wykrzyknął Bludd i jednym szarpnięciem postawił Duncana na nogi. – A co to znowu za pomysły! Ty prostaku! – Wyrwał Idaho broń z ręki, cisnął w bok i dwukrotnie go spoliczkował. – To nie uliczna bójka, durniu! Dzisiaj mieliśmy walczyć jak muszkietierowie. Musisz zachowywać się jak nieokrzesane bydlę?

Duncan potarł zaczerwieniony policzek. W zapale walki zapomniał się, złamał przyjęte reguły. Nauczyciel uderzył go jeszcze kilkakrotnie, mocno i z pasją, jak gdyby został osobiście obrażony. Z tyłu słychać było Resslera:

– Mistrzu, już dobrze, nic mi się nie stało. Był lepszy, nie wiedziałem, jak się bronić.

Zaskoczony i upokorzony Duncan cofał się przed wściekłością Bludda, którego gniew wcale się nie zmniejszał.

– Nawet jeśli ci się wydaje, Idaho, że jesteś najlepszy z nich wszystkich, to dla mnie jesteś zwykłym gnojkiem!

Duncan czuł się jak obrywający lanie chłopaczek, coś się w nim buntowało, chciało oddać – a jednak tak uczynić nie śmiał. Przypomniał mu się Trin Kronos i jego argument ciśnięty w twarz Rivvy’emu Dinari: „Mistrzu, jeśli nałożyć na siebie jakieś absurdalne ograniczenie, to pokona nas każdy gnojek, który ich nie będzie przestrzegał”. Jego głównym zadaniem była obrona księcia wszelkimi możliwymi sposobami, a nie odgrywanie zainscenizowanych potyczek szermierczych.

– A teraz powiedz mi, co spowodowało twoją klęskę? – krzyknął Whitmore Bludd.

„Najlepiej jak powiem to poległym żołnierzom przegrywającej strony”.

Duncan bił się z myślami. Nie chciał powtarzać argumentów Kronosa, ale teraz wydawały mu się o wiele bardziej sensowne niż kiedykolwiek przedtem. Reguły można było różnie interpretować zależnie od tego, jakiemu celowi były podporządkowane. W niektórych sytuacjach nie było absolutnego dobra i absolutnego zła, a jedynie różne punkty widzenia. Tak czy inaczej, wiedział, co chce usłyszeć nauczyciel.

– Niedoskonałość umysłu – powiedział.

Odpowiedź jakby zaskoczyła Bludda, ale po chwili namysłu uśmiechnął się.

– Otóż to, Idaho – rzekł. – A teraz dołącz do reszty pokonanych.

*Przewodnik: Czas?*

*Odpowiedź: Lśniący wielościenny klejnot.*

*Przewodnik: Czas?*

*Odpowiedź: Ciemny kamień, który pochłania wszelkie światło.*

## **z wolańskiej gry w zagadki**

Z balisetą przerzuconą na skórzanym pasku przez ramię, Rhombur Vernius zbiegł po wąskich, zygzakowatych stopniach do stóp skały, na której szczycie czerniał Zamek Kaladan, wystawiając swe wieże ku bałwaniastym cumulusom i przeglądającemu między nimi niebu. W twarz dał mu silny popołudniowy wiatr.

Za nim, zaszyta gdzieś w wieży, pozostała siostra, zdecydowanie za często pogrążająca się w smętnej zadumie. Kiedy obrócił się, zobaczył ją zastygłą na balkonie. Pomachał do niej z wymuszonym zapałem, ale nawet mu nie odpowiedziała. Od paru miesięcy rzadko się do siebie odzywali. Pokręcił głową i postanowił, że musi wreszcie przestać się przejmować posepnymi nastrojami Kailei. Żywiła pragnienia, których rzeczywistość nie mogła zaspokoić.

Był ciepły letni dzień, szare mewy unosiły się na powietrznych prądach nad białymi grzywami fal. Niczym biedny mieszkaniec nabrzeżnej wioski Rhombur miał na sobie koszulkę w niebiesko-białe pasy, rybackie spodnie, a na głowie granatową czapkę. W spacerach po plaży czasami towarzyszyła mu Tessja, a czasami odbywał je samotnie.

Pomimo mocnego postanowienia myśl o siostrze przez cały czas zaprzętała jego uwagę, którą musiał skupić na schodach i poręczy, bardzo zdradliwych z powodu śliskości, gdzie nawet podczas dobrej pogody wystarczył jeden nieostrożny krok, żeby delikwent poleciał w dół, odbijając się od skał, w których rysach widać było szarozielone mchy i żółtawe paprocie. Księżę Leto, podobnie jak jego ojciec, chciał możliwie jak najdłużej zostawić to zejście w pierwotnej, nie naruszonej postaci.

Pośród Atrydów często się powtarzało: „Życie władcy nie powinno być nazbyt łatwe”.

Dzisiaj zamiast rozmawiać z Tessją, Rhombur postanowił wypłynąć samotnie i pośród morza pograć na balisecie. Był jeszcze bardzo niepewny swoich umiejętności i dlatego zdecydowanie wolał praktykować poza zamkiem, najlepiej tam, gdzie nikt nie mógł go usłyszeć.

Kiedy znalazł się na samym dole, poszedł drewnianym pomostem do miejsca, gdzie na fali łagodnie kołysały się łodzie motorowe. Jedna nosiła imię jego ojca, a nad nazwą DOMINIK widniała purpurowomiedziana spirala.

Ileokroć widział wypisane tu imię ojca, tyle razy odżywała w nim nadzieja, że earl żyje, ukrywa się w jakimś zakątku Cesarstwa, choć wraz z upływem czasu nadzieja ta wydawała się coraz bardziej płonna. Jeśli bowiem żył, dlaczego ani razu się nie odezwał, nie przysłał

żadnej wiadomości?

Zdjął balisetę i położył ją na pomoście. Na rufie brakowało jednej klepki, zajrzał do kokpitu, gdzie znalazł zapasową deszczułkę, wyjął narzędzia i uzupełnił brak. Lubił sam zajmować się łodzią i zdarzało się, że całe godziny spędzał na czyszczeniu, szlifowaniu, malowaniu, reperowaniu, wymianie sprzętu elektronicznego i rybackiego. Wszystko to było tak odmienne od życia, do którego przywykł na Ix. Teraz, zaznajomiwszy się na Kaladanie z wieloma rzeczami zarówno praktycznymi, jak i związanymi z kierowaniem państwem, bardzo pragnął pełnić taką funkcję jak ojciec, ale szanse na to wydawały się zerowe.

Próbował wprawdzie pomagać tajemniczym spiskowcom na Ix, ale od roku nie miał żadnych wiadomości, a niektóre z przesyłek z bronią i materiałami wybuchowymi powracały nie dostarczone, pomimo ogromnych łapówek wręczanych tym, którzy utrzymywali kontakty z Ix. Nawet najlepsi przemycnicy okazywali się bezsilni.

Nikt nie wiedział, co się dzieje na ojczystej planecie Rhombura; umilkł C'tair Pilru, który był pośrednikiem Rhombura z wiernymi Verniusom mieszkańcami. Być może nie żył już, a ruch oporu całkowicie zamarł, Rhombur jednak nie miał najmniejszego pojęcia, jak się o tym dowiedzieć, jak przedrzeć się przez bariery, którymi Tleilaxanie otoczyli podbitą przez siebie planetę.

Usłyszał kroki na pomoście, uniósł głowę i ze zdumieniem zobaczył Kaileę. Miała na sobie elegancką suknię w srebrze i złocie, a w miedzianych włosach rubinową zapinkę. Zauważył, że obie łydki ma zaczerwienione i podrapane, rąbek sukni zabrudzony.

– Przewróciłam się po drodze – powiedziała speszona.

Musiała się spieszyć, żeby nie zdążył odpłynąć.

– Rzadko cię można tutaj zobaczyć – odparł z wymuszonym uśmiechem. – Chcesz wypłynąć ze mną?

Potrząsnęła głową tak gwałtownie, że jeden lok wymknął się spod zapinki i zasłonił twarz.

– Przyszłam, Rhomburze, żeby cię przeprosić. Przykro mi, że byłam taka niedobra, prawie się do ciebie nie odzywałam.

– Ale za to jak patrzyłaś! Zawsze wilkiem!

W oczach mignęła irytacja, ale Kailea zaraz się opanowała.

– Tak, masz rację.

– Przeprosiny przyjęte – rzekł, a potem powstał i wszedł do kokpitu, żeby odłożyć na miejsce narzędzia. Kiedy wyszedł na pokład, dalej stała na pomoście.

– Rhomburze – powiedziała tonem tak przymilnym, że od razu było wiadomo, iż zamierza o coś prosić, chociaż miała twarz niewiniątka. – Tak dobrze ci się układa z Tessją, a ja dałabym wszystko, żeby takie same były stosunki między mną a Letem.

– To wymaga cierpliwości i starań. Hm, zupełnie jak ta łódka. Jeśli wystarczy ci cierpliwości, to z czasem uzyskasz to, o co ci chodzi.

Usta wygięły się jej w grymasie zniecierpliwienia.

– Ale czy ty nie mógłbyś zrobić czegoś z Letem? Przecież to nie może trwać tak w nieskończoność.

– Zrobić coś z Letem? Co to za język? I jak ty to sobie wyobrażasz?

– Victor powinien być jego prawowitym dziedzicem, a nie bękartem bez godnego imienia i majątku. Przecież musisz znać jakieś argumenty, które do niego przemówią, a przynajmniej mógłbyś spróbować.

– Na szkarłatne piekła, Kaileo! Próbowałem na dziesiątki różnych sposobów i za każdym razem z tym samym skutkiem: żadnym. Doszło nawet do kłótni między nami. Może skończyć się na tym, że z twojego powodu stracę przyjaciela.

Odblask słońca na jej skórze wydawał się jakąś daleką łuną.

– A jakie ma znaczenie przyjaźń, kiedy chodzi o przyszłość rodu Veraiusów, o dziedzictwo naszych przodków? To jest naprawdę istotne, Rhomburze!

Twarz mu stężała.

– Chcesz wszystko skomplikować w sposób niedopuszczalny! A winna jesteś tylko ty sama! Jeśli nie chcesz się pogodzić ze swoim losem, dlaczego zgodziłaś się zostać konkubina Leta? Z początku wydawało się, że jesteście tacy szczęśliwi. Dlaczego nie chcesz zaakceptować rzeczy, jakimi muszą być?! Dlaczego przynajmniej nie spróbujesz. – Rhombur potrząsnął głową i spojrzał na ognisty pierścień na swej prawej dłoni. – Nie zamierzam podważać decyzji Leta. Nawet jeśli jego posunięcia są dla mnie przykre, to je rozumiem. Jest głową rodu Atrydów, udzielił nam schronienia, a my jesteśmy mu winni posłuszeństwo.

Kailea straciła panowanie nad sobą i na jej twarz wypełził wyraz pogardy.

– Ty zaś nigdy nie będziesz księciem. Chiara powiada nawet, że żaden z ciebie mężczyzna.

Ze złością podniosła nogę, aby zmiążyć balisetę, ale straciła równowagę i stopa tylko musnęła instrument, strącając go do wody. Rhombur zaklął, wychylił się z łódki i schwycił kołyszącą się na falach balisetę, a wycierając ją ręcznikiem, patrzył, jak siostra szybko, niemal biegiem wspina się po schodach na szczyt skały. W połowie drogi zwolniła, wyprostowała się i postarała o krok pełen godności.

Trudno było się dziwić Letu, że wołał spokojniejszą pełną mądrości Jessikę. Kailea, niegdyś słodka i kochająca, teraz stała się natrętna i złośliwa. Przestał ją rozumieć.

„Kocham ją ale jej nie lubię” – pomyślał i westchnął ciężko.

*Tylko odwaga, desperacka i samotna, może przeciwstawić się mądrości, na której spoczywa społeczny pokój umysłu.*

**następca tronu Raphael Korrino,**  
*Argumenty za zmianą na przekór tradycji*

Ogromne budynki urzędowe, którymi szczyliła się Korryntia, stolica Kaitain, piętrzyły się nad Abulurdem Harkonnenem jakby wyczarowane w narkotycznej wizji. Nigdy dotąd nie widział tak potężnych konstrukcji, kunsztownych wykładzin, polerowanych kamieni niezwykłej wartości.

Na Giedi Primie, gdzie wychował się pod czujnym okiem ojca Dmitrija, miasta były zatłoczone i wznoszone z myślą bardziej o funkcjonalności i efektywności niż pięknie. Tutaj jednak wszystko wyglądało inaczej. Kominy domów przystrojone były kolorowymi proporcami, które powiewały w lekkich podmuchach wiatru. Po niebie fruwały pryzmatyczne wstążki i na płyty placów i trotuarów rzucały tęczne smugi. Nie ulegało wątpliwości, że na Kaitain bardziej się dba o formę niż o treść.

Wystarczyła godzina pod słońcem świecącym z bezchmurnego nieba i Abulurd poczuł, że kręci mu się w głowie. Tęsknił za szarym nieboskłonem Lankiveil, chłodem sięgającym aż do kości i ciepłym uściskiem Emmi.

Miał tu jednak ważną sprawę do załatwienia, na dzisiaj bowiem było wyznaczone posiedzenie Rady Landsraadu. Chodziło właściwie o czystą formalność, ale musiał ją wypełnić, tyle bowiem był winien swej rodzinie i nowo narodzonemu synowi, a teraz właśnie miała się rozstrzygnąć jego przyszłość. Wręcz tęsknił za tym, co ma wkrótce nastąpić.

Przebył promenadę, nad którą powiewały chorągwie Rodów Wysokich i Niskich. Mury budowli wydawały się bardziej imponujące od skał wokół fiordów Lankiveil.

Pamiętał o tym, aby nałożyć na siebie najbardziej wykwintną szatę z wielorybiego futra ozdobioną kosztownymi klejnotami, a także amulet ze zdobionej kości wielorybiej. Jako przedstawiciel rodu Harkonnenów przybył do Korryntii, aby ubiegać się o tytuł gubernatora podokręgu Rabban-Lankiveil. Zawsze miał do tego prawo, nigdy jednak nawet o tym nie pomyślał.

Ponieważ pojawił się bez strojnego orszaku, a także bez asysty sykofantów, urzędnicy nie widzieli powodu, aby zaszczycić go uwagą. Wyglądali przez okna, wystawiali na balkonach, niektórzy z ważnymi minami przemykali, trzymając w rękach arkusze ryduliańskiego papieru. Dla nich jakby zupełnie nie istniał.

Odprowadzając go na lądowisko Lankiveil, Emmi kazała mu wszystko raz jeszcze dokładnie powtórzyć. Zgodnie z zasadami Abulurd miał prawo zwrócić się do Landsraadu z prośbą o posłuchanie, wspierając ją odpowiednimi dokumentami. Innym arystokratom kwestia ta wydałaby się bagatelna, dla Abulurda jednak, chociaż zwlekał tak długo, teraz nabrała niezwykłej wagi.

Podczas ciąży Emmi powrócili do dawnej posiadłości, chcąc swe życie nasączyć dawną radością. Abulurd robił, co mógł, aby zatoka znowu zatętniła życiem; posunął się nawet do

zarybienia wód, żeby rybacy mieli co robić do czasu, gdy wieloryby bjondax zdecydują się powrócić.

Przed pięcioma miesiącami Emmi powiła zdrowego syna. Nadali mu imię Feyd-Rautha, by przynajmniej w części upamiętnić jego dziada, Onira Rautę-Rabbana, zamordowanego burmistrza Bifrost Eyrie. Trzymając syna w ramionach, Abulurd z zachwytem wpatrywał się w bystre, inteligentne oczy, wyraziste rysy, wsłuchiwał się w mocny głos. Całą swą miłość skupił teraz tylko na tym dziecku.

On i Emmi na próżno usiłowali odnaleźć buddoislamską mniszkę, dzięki której ciąża się zawiązała. Chociaż gorąco chcieli jej podziękować i prosić o błogosławieństwo dla dziecka, wszystkie próby spęły na niczym. Teraz, na Kaitain, Abulurd chciał dla syna uzyskać coś bardziej konkretnego i namacalnego niż tylko błogosławieństwo. Jeśli wszystko się powiedzie, przed Feyd-Rauthą otworzy się zupełnie nowa przyszłość, nie skalana przez dotychczasowe zbrodnie rodu Harkonnenów. Będzie mógł wyrosnąć na dobrego człowieka, na którego nie padnie złowrogi cień przodków.

Z wysoko podniesioną głową Abulurd wkroczył do Hali Przemówień, przechodząc pod pstrokatą bramą z koralu, która przypominała most przerzucony nad przepaścią. Zaraz po przybyciu do stolicy skontaktował się z cesarską kancelarią, aby wpisano go na listę. Ponieważ jednak nie spieszył się z łapówką, okazało się, że miejsce dla niego znajdzie się dopiero pod koniec trzydniowej sesji.

Musiał więc czekać. Nienawidził korupcji i wolał skazać się na niewygody – w końcu nie tak wielkie – niż dostosować do fatalnych obyczajów panujących na dworze Szaddama IV. Nie znosił dalekich podróży, o wiele bardziej wolałby zostać w domu i zasiąść do jednej z gier z Emmi i domownikami, ale pozycja w rodzie zmuszała go do różnych poczynań, które wcale nie były przyjemne.

Dzisiaj jednak może nareszcie wyniknie z tego coś pożytecznego.

W Hali Przemówień spotykali się przedstawiciele Rodów Wysokich i Niskich, funkcjonariusze ZNAH-u i inni urzędnicy. Codzienne sprawy Cesarstwa wymagały nieustannych zabiegów.

Abulurd miał nadzieję, że jego pojawienie się nie zwróci wiele uwagi. Nie uprzedził o nim swego przyrodniego brata i dobrze wiedział, że baron będzie z tego niezadowolony. Chociaż więc do wielkiego pomieszczenia wszedł krokiem dostojnym i spokojnym, to jednak jeszcze nigdy w życiu nie był tak zdenerwowany. Trudno, Vladimir będzie musiał się pogodzić z tym faktem.

Miał przecież inne zmartwienia na głowie. W trakcie ostatnich kilku lat ogromnie podupadł na zdrowiu; tak przybrał na wadze, że teraz poruszać się mógł tylko przy użyciu odciążaczy. Abulurd nie mógł pojąć, jak jego bratu udawało się w ogóle funkcjonować. Nigdy go nie rozumiał.

Po cichu zajął miejsce na galerii, a kiedy spojrzął na harmonogram, zobaczył, że – jak

można się było zresztą spodziewać – wszystko jest opóźnione o ponad godzinę. Czekał więc wyprostowany na plastonowej ławie, puszczać mimo uszu głosowania nad sprawami, na których się nie znał i które niewiele go interesowały.

Pomimo witrażowych okien i systemu klimatyzacji czuł się tu nieswojo i tęsknił za domem. Z zamyślenia wyrwał go głos wywołujący jego nazwisko, powstał więc i ruszył na podium. Kolana pod nim drżały, ale starał się to ukryć.

Członkowie rady siedzieli w wielkich stallach, Abulurd zaś dostrzegł, że miejsca Harkonnenów były puste. Na jedno z rutynowych posiedzeń nie chciało się fatygować nikomu, nawet Kalo Whyllsowi, długoletniemu ambasadorowi Giedi Primy na Kaitain. Najpewniej nikt go nawet nie powiadomił, że na dzisiejszej sesji będzie omawiana sprawa związana z reprezentowanym przez niego rodem.

Znakomicie.

Poczuł dreszcz na wspomnienie ostatniego razu, kiedy przemawiał do dużej grupy ludzi; zwracał się wtedy do mieszkańców Bifrost Eyrie, a ledwie rozpoczął, nadeszła straszliwa katastrofa. Odetchnął teraz głęboko i skłonił się w kierunku przewodniczącego, szczupłego mężczyzny z długą brodą i podkrążonymi oczami. Nie mógł sobie przypomnieć, z jakiego tamten był rodu.

Zanim jednak rozpoczął, najpierw herold wymienił jego nazwisko i wszystkie tytuły, a chociaż Abulurd części z nich nawet nie pamiętał, litania ta wydała mu się imponująca, ale najwyraźniej tylko jemu, jako że członkowie Landsraadu bez żenady rozmawiali ze sobą i wymieniali się papierami. No cóż, w systemie faufreluches zajmował zupełnie nieistotne miejsce.

– Dostojni Panowie! – zaczął. – Złożywszy pierwiej odpowiednie dokumenty, występuję teraz przed waszym obliczem z formalną prośbą o przyznanie należnego mi tytułu gubernatora podokręgu Rabban-Lankiveil. Funkcję tę wypełniam w istocie od wielu lat, ale wcześniej nie ubiegałem się o tytuł.

Kiedy przystąpił do wytaczania swoich racji, przewodniczący przerwał mu gestem dłoni.

– Rozumiem, że dopełniono wszystkich formalności, złożono dokumenty... – przez chwilę przerzucił akta – ...widzę, że Jego Cesarska Mość także został powiadomiony.

– Tak jest – krótko potwierdził Abulurd, wiedząc zarazem, że informacja dla barona została wysłana na pokładzie liniowca, który przed zawitaniem na Giedi Primę miał do odwiedzenia wiele miejsc.

– Widzę, że zostałeś, panie, zastąpiony na swym stanowisku na Arrakis przez barona Vladimira Harkonnena.

– Przy całkowitej mej aprobachie, Panie Przewodniczący. Z kolei brat przyrodni nie sprzeciwił się mojej dzisiejszej prośbie.

Co było o tyle prawdziwe, że wiadomość była dopiero w drodze.

– Tak, rozumiem. Jego Cesarska Mość także nie wyraża sprzeciwów.



Abulurd poczuł zaniepokojenie, gdyż przewodniczący wpatrywał się w dokumenty. Czyżby czegoś nie dopatrzył? Wreszcie chudy dygnitarz podniósł wzrok.

– Prośba została rozpatrzona pozytywnie.

– Zatem mam... mam jeszcze jedną – powiedział Abulurd, nieco stropiony tym, że wszystko układało się tak gładko. – Chcę się formalnie zrzec nazwiska Harkonnen. – Na sali nagle zapanowało poruszenie. – Nie chcę być wiązany z poczynaniami innych członków rodu – dodał, nie wymieniając jednak nikogo. – Urodził mi się syn, Feyd-Rautha, i nie chcę, by na jego imię padał cień obcych czynów.

Przewodniczący nachylił się i wpatrzył w Abulurda tak, jakby go widział po raz pierwszy w życiu.

– Panie, czy w pełni zdajesz sobie sprawę ze znaczenia swojej decyzji?

– Całkowicie – odparł Abulurd, zdumiony pewnością swego głosu. Czuł się dumny, że to powiedział. – Urodziłem się na Giedi Primie, jestem jednym z dwóch żyjących synów Dmitrija Harkonnena. Mój przyrodni brat, Vladimir, zarządza wszystkimi lennami Harkonnenów i robi to zgodnie ze swoją wolą. Ja nie chcę mieć z tym nic wspólnego, a pragnę jedynie zachować Lankiveil, które uważam za swój dom. – Ściszył teraz głos, jak gdyby nie był pewien, czy dalsze argumenty mogą być interesujące dla słuchających. – Nie interesuje mnie cesarska polityka, nie interesuje mnie wielka władza. Przekonałem się o tym, przebywając na Arrakis. Nie dla mnie potęga, bogactwa, sława. Z chęcią zostawiam je tym, których one pasjonują. – Na chwilę zaschło mu w gardle, ale wykrztusił jeszcze: – Nie chcę mieć krwi na swoich rękach i nie chcę, by splamiła dłonie mego syna.

Przewodniczący wolno powstał i wyprostował się.

– Czy zatem, panie, wyrzekasz się wszelkich związków z rodem Harkonnenów, włącznie ze wszystkimi płynącymi z nich prawami i przywilejami?

Nie zważając na pomruk, który przetoczył się po sali, Abulurd z zapałem pokiwał głową.

– Wyrzekam się całkowicie i bezwarunkowo.

Mało go obchodziło, ile teraz będzie na ten temat komentarzy i plotek. Niech sobie gadają, on tymczasem czym prędzej będzie wracał do Emmi i syna. Jedyne, czego chciał, to wieść spokojne, szczęśliwe życie.

– Od tego czasu chciałbym nosić nazwisko mej żony: Rabban. Przewodniczący stuknął młotkiem, jakby dla podkreślenia ostateczności swojej decyzji i oznajmił:

– Rada zgadza się na twoją prośbę, panie, a Jego Cesarska Mość i Giedi Prima zostaną bezzwłocznie powiadomieni.

Abulurd znieruchomiał, nie mogąc uwierzyć swemu szczęściu, ale musiał opuścić podium, gdyż herold już wywoływał następnego petenta. Pospiesznie opuścił Halę Przemówień i wyszedł z budynku. Na zewnątrz wystawił twarz na dotyk słońca, wsłuchał się w dźwięk fontann i kurantów. Uśmiechał się szeroko, a nogi same go niosły.

Inni może gryźliby się z powodu tego, co właśnie zrobił, a jednak Abulurd Rabban był

dumny i zadowolony. Zrealizował to, co sobie zamierzył, a co Emmi powita z najwyższą radością.

Szybko spakował te kilka rzeczy, które miał z sobą, i ruszył do portu kosmicznego, aby jak najszybciej wracać na spokojne Lankiveil i rozpocząć zupełnie nowe, lepsze życie.

*Nie ma czegoś takiego jak prawa natury; są jedynie prawa związane z praktycznymi próbami człowieka podejmowanymi wobec natury. Istnieją prawa ludzkich poczynań, wraz z nimi się zmieniające.*

**Pardot Kynes,**  
***ABC Arrakis***

Minęło już wprawdzie sześć miesięcy od przyjazdu na Salusa Secundę, a Liet-Kynes ciągle jeszcze nie przyzwyczyił się do krajobrazu złożonego z ruin budowli i nie zaleczonych ran planety. Widok był niepokojący i... fascynujący, dokładnie tak jak mówił ojciec.

W swej kryjówce Dominik Vernius całe dni spędzał pochylony nad wykradzionymi raportami ZNAH-u. Razem z Gurneyem Halleckiem badali sprawozdania Gildii Kosmicznej, aby stwierdzić, jakie akty sabotażu przyniosą najwięcej szkody Cesarzowi. Nie otrzymywał już nawet skąpych informacji o tym, co dzieje się na Ix, wszystkie dawne kontakty, i tak nieliczne, urwały się.

Podkrążone oczy i zmarszczki na twarzy świadczyły o tym, jak niewiele śpi.

Liet natomiast po raz pierwszy miał okazję wyjrzeć poza krąg wolańskich sporów, wewnątrzklanowych intryg, które usiłowały zapewnić sobie lepszy od innych dostęp do przyprawowych piasków. Teraz śledził rozgrywki między rodami, wielkie interesy związane z handlem i przewozami. Cesarstwo było daleko większe, niż kiedykolwiek sobie wyobrażał.

Zaczynał też sobie zdawać sprawę z wielkości dzieła dokonanego przez ojca na Arrakis i z coraz większym szacunkiem myślał o Pardocie Kynesie.

Zadumał się nad przywróceniem Salusy do chwały, którą cieszyła się tak dawno temu jako stolica Cesarstwa. Tyle jest tu rzeczy do zrozumienia, tyle pytań bez odpowiedzi.

Gdyby starannie rozmieścić urządzenia kształtujące pogodę i osadzić tu pracowitych kolonistów ożywionych marzeniem o dawnych preriach i lasach, planeta znowu mogłaby zacząć oddychać i tętnić życiem. Ale ród Korrinów nie zamierzał niczego zmieniać, niezależnie od wszelkich ewentualnych korzyści. Można nawet było odnieść wrażenie, że jego kolejni władcy z rozmysłem starają się zachować Salusę w postaci, w jakiej trwała od stuleci.

Ale dlaczego?

Jako przybysz Liet większość czasu spędzał z plecakiem i niezbędnym sprzętem, wędrując po okolicy, omijał jednak pozostałości starych miast, gdzie w ruinach pałaców, muzeów, galerii, często bez jednej czy dwóch ścian lub sufitu, gnieździł się więźniowie. Przez wszystkie te wieki, gdy Salusa pełniła rolę cesarskiego więzienia, nikt nie zatroszczył się o naprawę czy odbudowę.

Przez pierwsze tygodnie Liet zwiedzał podziemną bazę przemytników, a potem doradził Verniusowi, jak zatrzeć ślady stałej obecności, hangarowi zaś nadać taki wygląd, by wydawało się, że może służyć za schronienie co najwyżej paru włóczęgom. Kiedy wszystkie jego wskazówki zostały wykorzystane, mógł zająć się tym, co przez lata zaprzętało ojca.

Bacząc, by nie zostawiać za sobą żadnych śladów, wspiał się na sąsiednią grań i przez lornetkę obserwował to, co działo się po drugiej stronie. W mdłym świetle słabego, ledwie przedzierającego się przez chmury słońca, rozpoznał cesarskich sardaukarów w brązowych panterkach. Czyżby znowu odbywali tutaj jakieś gry wojenne?

Tydzień wcześniej obserwował z daleka, jak sardaukarowie zaatakowali przestępców, którzy schronili się w jednej z ruin. Żołnierze rzucili się do wściekłego natarcia w pełni uzbrojeni: tarcze i miotacze płomieni przeciw nędznym narzędziom, które mogli im przeciwstawić więźniowie. Tak czy inaczej, bitwa trwała kilka godzin i zakończyła się walką wręcz sardaukarów ze zdesperowanymi przeciwnikami, którzy chociaż w znacznie gorszej sytuacji, stawiali jednak opór nadzwyczaj dzielnie, zdobywając na napastnikach kilka sztuk broni i w ten sposób przedłużając walkę. Wreszcie, kiedy pozostało tylko kilkunastu najlepszych i gotowych na wszystko, sardaukarowie użyli broni obezwładniającej. Sami schronili się za barykadę, a pulsujący promień wspomagany przez pole Holtzmana pozbawił obrońców przytomności, dzięki czemu atakujący bez żadnych już strat mogli wdrzeć się do reduty.

Liet nie mógł pojąć, dlaczego nie zrobili tak na samym początku, i dopiero później przyszło mu do głowy, że być może chodziło im o wyselekcjonowanie tych więźniów, którzy najlepiej sprawdzają się w walce.

Teraz, gdy minęło parę dni, kilku z więźniów stało w wypalanej misie, ubrani w postrzępione i nie dopasowane resztki więziennych ubrań. Wokół nich sardaukarowie uformowali szpaler. Broń i części ciężkiego sprzętu rozlokowano w strategicznych punktach wzdłuż ogrodzenia i opleciono stalowymi kolcami i łańcuchami.

Wyglądało na to, że zarówno więźniowie, jak i sardaukarowie ćwiczą.

Zaczajony na krawędzi grani, Liet czuł się nieswojo bez destylozonu. Czuł, jak w przełyku drapie go z pragnienia, nie miał jednak przy szyi końcówki, z której mógłby pociągnąć łyk wody...

Rankiem tego dnia sprzedali więźniom kolejną porcję przeschumowanego z Diuny melanzu. Mieszkańcy Salusy nienawidzili Korrinów tak jak Dominik. W jadalni Gurney Halleck wznosił filiżankę z sownie przyprawioną melanzem kawą, pozdrawiając dowódcę

grupy, z którą zawierali interes, następnie trącił balisetę i zanucił głosem może niezbyt melodyjnym, ale za to donośnym:

*Ma czaro z przyprawą  
Z tobą życie – zabawą,  
Co cieszyć się każe,  
A zwą cię – melanżem!  
Ach, melanżem!*

Goście zaczęli klaskać, a kucharz przemytników, Bork Qazon, znowu napełnił filizankę Duncana. Barczysty Scien Traf, niegdyś inżynier na Ix, z rozmachem poklepał Gurneya po plecach, a Pen Barlow, dawniej kupiec, tak się zaśmiewał, że zakrztusił się dymem z nieodstępnego cygara.

Piosenka sprawiła, że Liet zatęsknił za przyprawowymi piachami, za cynamonowym zapachem, który bije od dosiadanego piaskala. Kiedy wróci z Salusy, może Warrick przyjedzie, żeby towarzyszyć mu w drodze do siczy Czerwonego Muru. Miał nadzieję, że tak. Bardzo się już stęsknił za swym przyjacielem i bratem krwi.

Warrick i Faroula byli małżeństwem już ponad półtora roku, być może mieli nawet potomka. Życie Lieta potoczyłoby się zupełnie inaczej, gdyby...

Był jednak teraz na grani skalnej na innej planecie, obserwując dziwne poczynania cesarskich żołnierzy. Poprawił ostrość obrazu w soczewkach olejowych o dużej rozdzielczości i ocenił sprawność sardaukarów. Budzili podziw, bez wątpienia byli znacznie lepsi od żołnierzy Harkonnenów, Liet myślał jednak, że grupa dobrze uzbrojonych Wolan nie byłaby w starciu z nimi bez szans.

Zajęcia przeniosły się teraz na teren ćwiczebny sardaukarów, na którego obrzeżach stały ich metalowe baraki, zimno lśniące w skąpym świetle. Więźniowie najwyraźniej byli sprawdzani, obecnie poddawani jeszcze trudniejszym próbom. Kiedy jednemu się nie powiodło, oficer natychmiast zabił go strzałem z laserobinu, podczas gdy reszta dalej ćwiczyła.

Liet-Kynes spojrział w górę na niebo, które dopiero uczył się odczytywać. Zasnuwały je obrębione pomarańczowym kręgiem szare chmury, między którymi wałęsały się kuliste pioruny, a ładunki elektryczne sływały niczym liście.

Z opowieści Gurneya i przemytników Liet wiedział, że należy się strzec burz poświatowych, ale z fascynacją wpatrywał się w nabrzmiewający żywioł. Burzy towarzyszyły fantastyczne barwy, jonizacja powietrza i stożkowe wiry znane jako „wietrzne młoty”. Wyszukał sobie jakąś niewielką grotę – miał teraz schronienie, ale żołnierze na dole byli zupełnie nie osłonięci. Czyżby sądzili, że mogą lekceważyć takie pierwotne potęgi?

Więźniowie zdradzali niepokój, kilku złamało szereg i rzuciło się w kierunku baraków,

ale mundurowi ani drgnęli. Kiedy jednak następny podmuch wiatru omal nie zepchnął dowódcy z podestu, ten najwyraźniej kazał im się schować, gdyż także sardaukarowie, nadal trzymając szyk i rytm, skierowali się do baraków. Niektórzy skazańcy usiłowali ich naśladować, inni w nieładzie rzucili się do ucieczki.

Ledwie ostatni znalazł się w baraku, burza rozszalała się z całą straszliwą siłą. Niczym żywy stwór zakotłowała się w kotlinie, tryskając różnokolorowymi piorunami. Jeden „wietrzny młot” rąbnął w ziemię, inny tak grzmotnął w namiot, że zupełnie go spłaszczyl, miażdżąc wszystkich, którzy znaleźli się w środku.

Wrzące powietrze dotarło aż tu, na grań. Liet, obcy wprowadzie na tej planecie, już na Arrakis poznał morderczą naturę huraganów. Wcisnął się jak najdalej w głąb groty i po chwili posłyszał demoniczne wycie wiatru, eksplozje kulistych piorunów, łomotanie „wietrznych młotów”. Błyski były oślepiające, odruchowo kulił się przy grzmotach, coś mu jednak mówiło, że jest bezpieczny.

Salusa wykazywała wiele podobieństw do Diuny. Obie planety były niegościnne, z nieznającą litości ziemią i okrutnym niebem. Także na Diunie zdarzały się huragany, które zupełnie zmieniały krajobraz, a człowieka mogły do kości obrać z ciała.

I po raz kolejny zatęsknił za swym ojczystym światem, za pustynią, do której należał.

Kiedy przyszedł właściwy czas, Dominik Vernius znowu poprowadził fregatę, której towarzyszyły dwie niewielkie lichtugi, tyle że tym razem wracali do wnętrza liniowca Gildii.

Znalazłszy się w części pasażerskiej, earl pogрузił się w rozmyślaniach. Przez wszystkie te lata spędzone w ukryciu naprzykrzał się jak mógł Szaddamowi IV, nigdy jednak nie zadał ciosu, który zatrzęsłby Cesarstwem. Tak, to on porwał ładunek pamiątkowych monet Szaddama, to on wypuścił balon nad stadionem na Harmonthepie. I to on był autorem szyderczego napisu na ścianie kanionu („Szaddamie, czy korona pewnie się trzyma na twym spiczastym łbie?”). To on zniszczył i uszkodził dziesiątki pomników.

Ale co z tego? Ix nadal pozostawało w obcych rękach, a on nawet nie miał informacji o tym, co się tam dzieje.

Na samym początku dobrowolnej banicji sformował małą armię z ludzi, którzy podczas rebelii na Ekazie dowiedli swej wierności wobec niego, i dobrze ich uzbroiwszy i wyćwiczywszy, uderzył na tleilaxańskich najeźdźców.

Znając wartość swoich ludzi i korzystając z zaskoczenia, miał nadzieję, że uda mu się pokonać przeciwników, tymczasem jednak napotkał na zdumiewająco potężny opór ze strony sardaukarów, którzy nie zważając na gęsty ogień z laserobinów, utrzymali swe pozycje. Przeklęci Korrinowie! Co tam jeszcze robili ci ich najemnicy?

W efekcie naprawdę zaskoczony był on sam. Poległa jedna trzecia jego podkomendnych, on sam padł bez przytomności od smugi laserobinu i gdyby nie Johdam, podzieliłby los innych.

W tajnej bazie na biegunie południowym Arrakis, pod opieką swych podwładnych powrócił do zdrowia. Ponieważ zadbał o zachowanie w tajemnicy tożsamości atakujących – żeby w razie porażki nie upadł duch pośród mieszkańców Ix ani żadne represje nie spotkały jego dzieci na Kaladanie – więc Tleilaxanie nigdy nie dowiedzieli się, kto na nich napadł. Potem złożył przysięgę swoim ludziom, że drugi raz nie spróbuje odzyskiwać władzy siłą, gdyż musiałyby ponieść klęskę.

I tak z konieczności musiał się imać innych sposobów, tyle że jego akty terroru niewiele znaczyły, były ot, drobnymi ułamkami w wielkich bilansach rodu Korrinów i Cesarstwa, a na dodatek Szaddam w ogóle nie wiedział, że te małe ukłucia zadaje mu wyjęty spod prawa Dominik Vernius. Chociaż więc earl dalej walczył, to jednak miał poczucie całkowitej bezsensowności tych działań – gdyż okazywały się zupełnie nieważne.

I teraz siedział w kabinie fregaty, oceniając wszystko, co działał, i wszystko, co utracił. Przez cały czas wpatrywał się w portret solido Shando ustawiony na stoliku; chwilami miał wrażenie, że żona naprawdę jest tu z nim.

Ich córka Kailea musiała już wyrosnąć na piękną kobietę. Ciekaw był, czy poślubiła kogoś... być może związanego z rodem Atrydów... chociaż z pewnością nie samego Leta. Dobrze znane było czysto polityczne podejście Atrydów do spraw matrymonialnych, a księżniczka z rodu skazanego na banicję nie była dobrą partią. Podobnie, chociaż Rhombur osiągnął już wiek, w którym mógłby objąć władzę nad Ix, jego tytuł następcy tronu był bezwartościowy.

Z bezbrzeżnym smutkiem spojrzął na holofotografię, a wtedy Shando nagle do niego przemówiła.

– Dominiku... Dominiku Vernius! Poznają cię.

Wyprostował się gwałtownie i naszała go myśl, że żal i strapienia przyprawiły go o szaleństwo. Bezdźwięcznie poruszył ustami. Oczy Shando nie wpatrywały się w niego, ale słowa dalej płynęły.

– Wykorzystuję ten hologram, żeby nawiązać z tobą kontakt. Muszę przekazać wiadomość z Ix.

Dominik drżąc, nachylił się nad hologramem.

– Shando?

– Nie, jestem Nawigatorem na tym liniowcu. Wybrałem tę drogę, gdyż w inny sposób trudno byłoby nam się porozumieć.

Dominik walczył z wątpliwościami. Już na sam widok tego, jak jej twarz ożywa, ogarnęło go silne wzburzenie. Zawahał się, ale powiedział:

– Kimkolwiek jesteś, powiedz, czego chcesz ode mnie?

– Mój brat C'tair Pilru przesyła z Ix informację, a jedyne, co mogę zrobić, to ją przekazać.

Usta Shando poruszyły się szybciej i zmienionym głosem powtórzyła słowa, które C'tair

w desperacji przesłał w trakcie swej ostatniej sesji. Z rosnącym przerażeniem Dominik dowiadywał się, jak straszliwe szkody zadali Tleilaxanie jego planecie i poddanym.

Wrzał w nim gniew. Kiedy natychmiast po ataku Tleilaxan zwrócił się z wezwaniem o pomoc, Elrood IX w ogóle nie zareagował, przypieczętowując w ten sposób upadek Verniusów. Dominik złorzeczył losowi, że stary Cesarz umarł, zanim on obmyślił sposób zabicia go.

Teraz jednak zaczynał się domyślać, że w postawie Cesarza było coś więcej niż złośliwa opieszałość i że napaść Tleilaxan stanowiła jedynie fragment o wiele rozleglejszego planu, bo czym innym wyjaśnić fakt, że jeszcze dwadzieścia lat po inwazji sardaukarowie znajdowali się na Ix? Elrood od samego początku brał udział w inscenizacji całego konfliktu, a Szaddam tylko kontynuował plan ojcowski, dopomagając w ucisku mieszkańców Ix.

Głos płynący z wizerunku Shando znowu się zmienił, powracając do pierwotnego brzmienia:

– Podczas tego rejsu mogą cię zabrać na Xuttuh, dawniej znane jako Ix.

– Zrób tak – powiedział Dominik, a jego serce przepełniła nienawiść. – Chcę na własne oczy zobaczyć te wszystkie okropności, a potem... – na chwilę urwał i wpatrzony w twarz Shando położył rękę na piersi – ...jakem Dominik, earl rodu Verniusów, pomszczą cierpienia mego ludu.

Kiedy liniowiec znalazł się na orbicie, Dominik zebrał wokół siebie Asuyo, Johdama i innych.

– Wracajcie na Arrakis, do naszej bazy, i dalej róbcie to, czym zajmowaliśmy się dotychczas. Ja zatrzymam jedną z lichtug. – Kątem oka zerknął na obraz Shando. – Mam sprawę do załatwienia.

Kiedy obaj weterani zaczęli się sprzeciwiać, Dominik uderzył pięścią w blat.

– Dość! Jak postanowiłem, tak będzie!

Wszyscy patrzyli na niego w stropieniu, aż wreszcie Liet ośmielił się spytać:

– Ale dokąd się udajesz? Jakie masz plany?

– Lecę na Ix.

*Z władzy korzysta się, stosując ją łagodnie. Kto używa przy niej zbyt wiele siły, staje się jej niewolnikiem i ofiarą.*

**aksjomat Bene Gesserit**

Baronowi zupełnie nie przypadła do gustu informacja o postępkach przyrodniego brata.

W porcie kosmicznym w Harko lądowano do jego prywatnej fregaty rzeczy nieodzwonne

przy wyprawie na Arrakis. Aby wszystkie operacje związane z przyprawą przebiegały gładko, za każdym razem przez kilka miesięcy musiał osobiście doglądać wszystkiego i trzymać twardą ręką, żeby przemysłowcy i Wolanie nazbyt się nie rozbrykali. Ale dzięki temu z finansowego bagna, w jakie wpędził Arrakis Abulurd, baron uczynił je najbardziej dochodową planetą w całym Cesarstwie, a zyski ciągle rosły. I oto właśnie w chwili, kiedy cała machina do wyciskania dochodów rozkręciła się na dobre, nagle kochany braciszek wykręca mu taki numer! Przy całej swej głupocie Abulurd miał zdumiewający talent do wykonywania najgorszych posunięć w najmniej odpowiednim momencie.

Czując rozdrażnienie swego chlebodawcy, Piter de Vries trzymał się roztropnie z boku, chociaż w każdej chwili gotów był przedzierzgnąć się w zaufanego doradcę. Tylko jednak czujność i cierpliwość sprawiły, że przez całe lata udało mu się uchodzić z życiem z ataków gniewu Vladimira Harkonnena i wytrwać tak długo, jak żadnemu z jego poprzedników. Inna sprawa, że dawniej baron był bardziej skłonny atakować jak kobra: uderzać bezpośrednio w tchawicę, aby bezpowrotnie unicestwić przeciwnika. Z biegiem lat stał się mniej groźny, gdyż o wiele łatwiej było zejść z drogi osobie straszliwie otyłej, obezwładnionej własnym ciężarem.

Rozwścieczony baron siedział w sali konferencyjnej Twierdzy za stołem, którego blat z czarnego plazu był gładki niczym lodowisko. W kącie stał wielki globus Arrakis, dzieło sztuki, które byłoby przedmiotem dumy każdego rodu, baron wolał je jednak zachować dla siebie i ani myślał przed kimkolwiek się nim chwalić.

– I powiedz mi, Piter, co mam teraz robić? – Wskazał ręką na spoczywające na blacie cylindry informacyjne. – ZNAH domaga się wyjaśnień, podkreślając, że liczą na nie uszczuplone dostawy futra wielorybiego z Lankiveil, pomimo, jak to określają, „zmian w układzie władzy”. – Prychnął gniewnie. – Jak gdybym to ja chciał obniżyć kwoty zamówień! Ośmielają się przypominać, że przyprawa nie jest jedynym towarem o istotnym znaczeniu, za którego dostawy odpowiada ród Harkonnenów. Grożą, że pozbawią mnie stanowiska w dyrektoriacie ZNAH-u, jeśli nie będę wypełniał swoich zobowiązań.

Porwał jeden z cylindrów ze stołu i cisnął nim o ścianę, na której pozostała od uderzenia biała rysa. Sięgnął po inny z cylindrów.

– Szaddam chce się dowiedzieć, co spowodowało, że mój przyrodni brat wyrzekł się nazwiska Harkonnen, a gubernatorstwo podokręgu zachował dla siebie. – I znowu cylinder z brzękiem odbił się od ściany i potoczył po podłodze. – Ród Moritanich z Grumman oferuje wsparcie zbrojne, gdybym zdecydował się na walne starcie. – Następny rzut metalowym walcem. – Richesowie, Mutelliowie – wszyscy się dopytują, wszyscy podśmiewają się ze mnie! Pełen furii przestał ciskać pojemnikami dopiero wtedy, gdy żadnego nie było już na stole. De Vries podniósł jeden, który potoczył się pod jego nogi, i podał ze słowami:

– Nie otworzyłeś jeszcze tego, mój baronie.

– Zrób to za mnie. Na pewno nie różni się od pozostałych.



– Oczywiście.

Mentat zerwał długimi paznokciami pieczęć i zdjął pokrywę, by wydobyć ze środka niezniszczalny papier. Rozwinął go i przeczytał, przesuwając językiem po górnej wardze.

– Ach, to od naszej agentki na Kaladanie.

Baron spojrział z zaciekawiony.

– Nareszcie jakaś pomyślna wiadomość?

De Vries z uśmiechem zaczął odczytywać zaszyfrowany tekst.

– Chiara przeprasza, że nie mogła przesłać informacji wcześniej, w każdym razie zrobiła znaczne postępy, jeśli chodzi o podjudzanie Kailei Vernius przeciw księciu Leto.

– Niewiele, ale jednak coś. – Baron potarł policzek. – Najchętniej dowiedziałbym się, że ktoś mu poderznął gardło. To dopiero byłaby wspaniała wiadomość.

– Chiary nie można popędzać. Wszystko robi w swoim tempie, ale można na nią liczyć. – Informacja wyblakła, de Vries zrolował arkusz, wrzucił go do cylindra i upuścił na podłogę. – Poza tym nie możemy być pewni, jak daleko będzie skłonna się posunąć, ma bowiem pewne... opory tam, gdzie chodzi o szlachetną krew. Szpiegostwo to jedna rzecz, a morderstwo – druga, bardzo jednak wątpię, czy komuś innemu udałoby się zmylić Thufira Hawata.

– Tak, wiem, wiem, nie musisz się powtarzać. – O tej kwestii rozmawiali już wielokrotnie. Baron odepchnął się od biurka. – Przynajmniej napsujemy trochę krwi książątka.

– Pewnie bardziej możemy dopiec Abulurdowi.

Vladimir zapomniał o odciążaczach przy pasie, źle obliczył siłę ruchu i omal nie zwałił się na podłogę. De Vries miał na tyle rozsądku, by udać, że niczego nie zauważył, pogrążając się niby w mentackim transie.

– Pewnie tak – burknął poczerwieniały baron. – Starszy brat Abulurda, Marotin, był kretynem, dosłownie, nie w przenośnym znaczeniu. Ciekło mu z ust, nie potrafił się sam ubrać, chociaż matka, zamiast zabić go zaraz po urodzeniu, tak się nad nim trzęsła, jakby trzymanie go przy życiu miało jakikolwiek sens. I teraz wydaje się, że ten cholerny Abulurd też ma jakieś rozmiękczenie mózgu, chociaż objawy są łagodniejsze. – Z rozmachem uderzył w blat otwartą dłoń, zostawiając na nim ślad, który natychmiast zaczął zanikać za sprawą systemu samooczyszczania zainstalowanego w meblu. – Nie miałem pojęcia, że ta suka Emmi jest w ciąży. No, ale proszę, urodziło się słodkie dzieciątko, a Abulurd już na wstępie chce je pozbawić należnych mu praw. – Vladimir potrząsnął głową. – Przecież w przyszłości to mógłby być kolejny przywódca Harkonnenów, ale Abulurd mu to uniemożliwia.

Widząc, jakim gniewem jest przepełniony baron, Piter na wszelki wypadek pilnował, aby być odgradzony od niego biurkiem.

– Zdołałem się zorientować, mój baronie, że Abulurd trzymał się wiernie przepisów prawa. Zgodnie z normami Landsraadu miał prawo wystąpić z taką prośbą i uzyskać

zezwoleń, jeśli tylko nie było wyraźnych i poważnych przeszkód po temu. Cokolwiek by sądzić o rozumności jego postępków, jako członek rodu Harkonnenów Abulurd miał prawo...

– Ród Harkonnenów to ja! – ryknął baron. – Nie ma żadnych praw, jeśli ja mu ich nie przyznam! – Baron z taką szybkością wyminął biurko, że de Vries nie zdążył nawet drgnąć, stał więc sparaliżowany strachem, że to na nim skupi się gniew Vladimira. Ten jednak skierował się ku drzwiom. – Chodźmy do Rabbana!

Rozbrzmiewającym echem korytarzem poszli do pancерnej windy, którą zjechali na dół. Glossu Rabbana zastali na przygotowaniach do wieczornej walki gladiatorów, które baron tradycyjnie organizował przed każdą swą wyprawą na Arrakis.

Milczący niewolnicy uwijali się między rzędami krzeseł, pucując je i usuwając śmiecie. Zawody ściągały zwykle tłumy widzów, Vladimir zaś wykorzystywał te okazje, aby zaimponować członkom innych Wysokich Rodów. Zwierzęta trzymano w rozmieszczonych poniżej poziomu areny klatkach z ciężkiej durastali. Także w tych suterrenach trwały prace: polewano je wodą, rozpylano dezodoranty zabijające wstrętne wonie.

Pośrodku areny stał Rabban, spocony, chociaż nie zniżył się do żadnej pracy. W pozbawionej rękawów skórzanej kamizelce podparł się pod boki i toczył dookoła dumnym wzrokiem.

Tymczasem Kryubi wybierał miejsca, w których mieli stanąć żołnierze, tak aby ich obecność robiła największe wrażenie.

Podtrzymywany przez odciążacze, baron spłynął po schodach, nieco zwolnił przed bramką, aby się w nią zmieścić, a następnie pojawił się na świeżym piasku areny. Krokiem równie zwiewnym, choć naturalnym, podążał za nim Piter de Vries.

Kryubi wyprostował się i zasalutował.

– Wszystko gotowe, Wasza Wielmożność – oznajmił. – To powinno być znakomite widowisko.

– Jak zwykle – dorzucił de Vries i wykrzywił w uśmiechu pokryte safo wargi.

– Ile mamy bestii? – spytał baron.

– Dwa tygrysy laza, Wasza Wielmożność, jednego giganiedźwiedzia i jednego salusańskiego byka.

Baron pokiwał z zadowoleniem głową i rozejrzał się po arenie.

– Jestem dzisiaj zmęczony i nie zależy mi na długich walkach. Wypuśćcie naraz wszystkie zwierzęta i pięciu wybranych niewolników. Wszyscy na wszystkich.

Kryubi kiwnął słuźbiście głową.

– Jak sobie życzysz, Wasza Wielmożność.

– Niechaj popłynie dzisiaj trochę krwi – mruknął baron pod adresem mentata. – Może dzięki temu chociaż na chwilę przestanę myśleć o tym przeklętym Abulurdzie.

– Chcesz się tylko rozerwać, mój baronie, czy może chciałbyś mieć też jakąś satysfakcję? Dlaczego nie zemścić się odrobinę na Abulurdzie?

Vladimir spojrział na mentata łakomym wzrokiem.

– Och tak, zemsta byłaby znakomita, Piterze. Rabban, chodź no tutaj!

Bratanek odwrócił się i natychmiast ruszył na wezwanie.

– Czy Piter mówił ci już, co zrobił ten twój ojczulek?

Rabban pokiwał głową.

– Tak, stryju. Jak przy takiej głupocie udało mu się przeżyć tak długo?

– Istotnie, nie rozumiemy Abulurda – zgodził się de Vries – ale jedna z najważniejszych reguł polityki powiada, że naprawdę pokonać przeciwnika można dopiero wtedy, kiedy dobrze się go zrozumie i pozna jego słabości. Dopiero wtedy wiadomo, co go zabolí najbardziej.

– Największa słabość Abulurda to mózg – powiedział Vladimir. – A może jego mięciutkie serce?

Rabban zachichotał odrobinę za głośno. De Vries uniósł palec.

– Zastanówmy się. Abulurdowi najbardziej w tej chwili zależy na Feyd-Raucie Rabbanie. Podjął różne kroki, aby go, jak to ujął, „odpowiednio wychować”. To dla niego wiele znaczy.

Baron spojrział przeciągle na barczystego bratanka.

– Nie chcemy chyba, żeby braciszek Rabbana stał się taki jak jego tatuś Abulurd, prawda?

Glossu gwałtownie pokręcił głową, a Piter podchwycił kwestię barona.

– Jaka jest więc największa słabość Abulurda? Co sprawiłoby mu największy ból?

Na twarzy barona pojawił się zimny uśmiech.

– Znakomite pytanie, Piterze. I dlatego właśnie pożyjesz jeszcze dzień dłużej. Może nawet dwa, bo czuję się dziś jakiś taki wielkoduszny.

Rabban najwyraźniej nie rozumiał, czego dotyczy rozmowa.

– To co robimy, stryju?

W głosie Vladimira pojawiła się podejrzana słodycz.

– Musimy zrobić, co tylko możliwe, aby zapewnić twojemu braciszкови „właściwe wychowanie”, a tego z pewnością nie można powierzyć Abulurdowi Rabbanowi. – Zerknął na mentata. – Dlatego sami będziemy musieli się tym zająć.

– Przygotuję wszystkie potrzebne dokumenty, Wasza Wielmożność – obiecał de Vries.

Baron krzyknął na Kryubiego, żeby ich odprowadził, a potem zwrócił się do bratanka.

– Zatoszczysz się o to, żeby wszystko wypadło jak najlepiej, weźmiesz tylu ludzi, ilu będziesz chciał, Rabban. Zrób to z rozmachem. Abulurd musi zrozumieć, co na siebie ściągnął.

*Nikt jeszcze nie zmierzył potęgi gatunku ludzkiego... co może działać mocą instynktu i co może osiągnąć za sprawą determinacji rozumu.*

### *z Obiektywnej analizy ludzkich zdolności dla potrzeb mentata*

Pilotowana przez Dominika Verniusa lichtuga prześliznęła się przez siatkę ixiańskich wykrywaczy pod osłoną chmur. Statek przemykał nisko nad powierzchnią planety, earl zaś chłonał widok gór, wodospadów i dziewiczych lasów porastających stoki. Jako dawny władca znał mnóstwo sposobów na przeniknięcie do wnętrza globu i miał nadzieję, że przynajmniej jeden okaże się jeszcze skuteczny.

Był skupiony i pełen determinacji. Ix znane było w całym Cesarstwie ze swego przemysłu i techniki, dzięki którym wytwarzało produkty eksportowane przez dystrybutorów ZNAH-u. Dawno, dawno temu ród Verniusów postanowił, że powierzchnię planety należy zostawić nieskalaną, instalacje produkcyjne umieszczając głęboko w jej skorupie, dzięki czemu zarazem lepiej chroniło się tajemnice wytwórcze.

Dominik znakomicie znał systemy defensywne, które sam opracował i wprowadził, jak i te, które odziedziczył po wcześniejszych pokoleniach. Ixianie zawsze obawiali się szpiegostwa przemysłowego, w którym bardzo gustował, na przykład, ród Richesów. Tleilaxanie z pewnością postarali się o własne zabezpieczenia, można jednak było mieć nadzieję, że nie udało im się wykryć wszystkich rozwiązań wprowadzonych do użytku przez Dominika, jako że zadbał o bardzo staranne ich ukrycie.

Niewielkiej zorganizowanej grupie nie udało się wdrzeć do wnętrza planety, teraz jednak, działając w pojedynkę, earl Vernius był pewien, że mu się to uda. A tak bardzo chciał zobaczyć na własne oczy, co się stało z jego rodzinną planetą.

Wprawdzie każde sekretne przejście osłabiało całościowy system obronny, niemniej Dominik zawsze był świadom tego, że na czarną godzinę musi stworzyć zapasowe drogi ewakuacji dla siebie i swych najbliższych. W samej skorupie, z której wyrastała Vernia – ukochana stolica planety – było wiele otoczonych tarczami pomieszczeń, tajnych korytarzy i zamaskowanych wyjść. To z nich skorzystały jego dzieci i młodzieńcy wtedy Leto Atryda, uciekając przez napastnikami. Teraz jednej z tych dróg chciał użyć Dominik, aby dostać się pod powierzchnię.

Ominął kilka dobrze widocznych szybów wentylacyjnych, z których dobywały się kłęby pary. Gdzie indziej widać było wejścia do tuneli czy wręcz niczym nie osłonięte ruchome platformy ładunkowe. Natomiast w nie strzeżonych wąskich kanionach były miejsca, w których bezpiecznie można osadzić na ziemi statek. Dominik rozglądał się za charakterystycznymi znakami: ogromnymi drzewami zwalonymi w pewien charakterystyczny sposób, smugami na poszarpanych ścianach.

Wejście do pierwszego z ukrytych tuneli było zablokowane metrami solidnego plastywu. W drugim umieszczono ładunek wybuchowy, ale Dominik wyszedł go, zanim podjął próbę wejścia. Nie usiłował unieszkodliwić pułapki, lecz poleciał dalej.

Przez cały czas z trwogą myślał o tym, co zobaczy pod powierzchnią, w mieście tak bliskim jego sercu. Niezależnie od wiadomości od C'taira Pilru, oplaceni informatorzy już wcześniej przekazywali niepokojące sygnały o tym, co dzieje się na IX. Dlatego musiał na własne oczy zobaczyć, jak Tleilaxanie i przekłęci Korrinowie potraktowali jego ojczyznę. I wtedy będzie wiedział, na jaką zasłużyli odpłatę.

Zdecydował się na postój w niewielkiej niecce otoczonej jodłowym lasem. Wyszedłszy ze statku, znieruchomiał, chłonąc rześkie powietrze, wdychając mocny zapach igieł, wsłuchując się w szum wody. W grotach, od których oddzielał go w tej chwili kilometr skały, powietrze było ciepłe i gęste, przesycone zapachami chemikaliów i ludzkiej obecności. Niemal mógł posłyszeć znajome dźwięki, niemal czuł ową nieprzerwaną aktywność tuż pod stopami.

Najpierw odkrył zamaskowane wejście, potem starannie zbadał, czy zastawiono jakieś pułapki. Gdyby Tleilaxanie wpadli na ślad tego przejścia, znaczyłoby to, że szukali bardzo starannie, nic jednak na to nie wskazywało. Potem wystukał odpowiedni kod i czekał, mając nadzieję, że mechanizmy nadal działają.

Po dłuższej chwili, która wystarczyła na to, by od chłodnego wiatru dostał gęziej skórki, pojawiła się automatyczna kabina tunelowa, gotowa zawieźć go poprzez system tajnych korytarzy do prywatnego pomieszczenia na tyłach Grand Palais. Było to jedno z wielu pomieszczeń, które w dawnych czasach przygotował jako „awaryjne”, na długo przed rebelią na Ekazie, przed jego małżeństwem... na długo przed podstępny najazdem Tleilaxan. I nadal wydawało się bezpieczne.

Szeptał imię Shando, zamknął oczy, a kabina coraz szybciej sunęła w dół. Dominik miał nadzieję, że prowadzone przez C'taira działania sabotażowe nie uszkodziły systemu połączeń. Nie pozostało nic innego jak czekać; głęboko oddychając, zaciskał powieki w panicznym strachu, co też zobaczy w swoim dawnym magicznym podziemnym mieście.

Kiedy kabina się zatrzymała, ostrożnie opuścił ją, trzymając w pogotowiu mały laserobin. W kaburze u pasa miał pistolet *fléchette*. Pomieszczenie było zatęchłe i wilgotne; wyglądało na to, że od lat nikt tu nie zaglądał.

Starając się nie robić hałasu, otworzył szafę, w której ukryte były dwa kombinezony, jakie nosili zwykli robotnicy. Mając nadzieję, że pod rządami Tleilaxan odzież mieszkańców nie zmieniła się zbyt wiele, naciągnął kombinezon, a pod nim, w pochwie ciasno przylegającej do ciała, umieścił laserobin.

Z duszą na ramieniu, wiedząc, że teraz już nie ma odwrotu, Dominik siecią wąskich tuneli dotarł do otoczonego plazem punktu obserwacyjnego. Po raz pierwszy od dwudziestu lat mógł oto spojrzeć na Vernię.

Zamknął oczy, otworzył je i potrząsnął głową z niedowierzaniem. Wspaniały pałac był zrujnowany; zniknęły wszystkie lśniące marmury, jedno skrzydło doszczętnie zniszczyła eksplozja. Tylko pojedyncze ślady wskazywały na dawną świetność budowli, której ruiny najeźdźcy wykorzystali jako pomieszczenia biurowe. Przez plazowe szyby widać było

Tleilaxan uwijających się w środku niczym karaluchy.

Pod sztucznym niebem przesuwały się, mrugając, podłużne aparaty, najwyraźniej służące do nieustannej obserwacji. Ixianie zbudowali te urządzenia dla celów militarnych: miały za zadanie rozpoznanie pola bitwy. Tleilaxanie posłużyli się nimi, aby nieustannie mieć na oku mieszkańców Ix.

Dominik, czując mdłości, przesunął się do innego punktu obserwacyjnego w sklepieniu groty, gdzie co chwilę mijały go grupki ludzi o wystraszonych oczach i ponurych twarzach. Musiał powtarzać sobie w myśli, że to żywi ludzie, a nie senne zjawy. W pierwszym odruchu chciał do nich przemówić, obiecać, że nie pozostawi ich własnemu losowi, za nic jednak nie mógł ujawnić swej tożsamości. Zbyt mało wiedział o tym, co się wydarzyło na planecie od czasu, kiedy opuścił ją wraz z rodziną.

Teraz pojął, że jeśli pozostali jeszcze jacyś ludzie lojalni wobec niego, prawowitego władcy, to on ich zawiódł. Uciekł, zostawiając ich samych. Straszliwe poczucie winy niemal powaliło go na kolana.

Przemógł się i zaczął uważnie śledzić rozmieszczenie punktów obserwacyjnych, a także strzeżonych obiektów przemysłowych. Bardzo wiele było takich, których nie otaczały rozedrgane pola tarczowe, i te najwyraźniej stały nie używane. Na samym dnie pieczary widział sunących ze spuszczoneymi głowami suboidów oraz Ixian.

Nagle na pozostałościach balkonów dawnego Grand Palais zamigły światła, a z głośników dobył się głos przemawiający w takim tempie, że odbite fale wzmacniały jego siłę, cała więc wielka pieczara stała się pudłem rezonansowym.

– Mieszkańcy Xuttuh! – odezwał się głos w zniekształconym galachu. – Ciągłe odnajdujemy pośród was pasożytów. Podejmiemy wszystkie środki, aby wypalić tę rakową tkankę, którą stanowią szpiedzy i terroryści. My, Bene Tleilax, wielkodusznie zatroszczyliśmy się o wasze potrzeby i zadaliśmy o wasze uczestnictwo w naszej świętej misji. Z tej też przyczyny będziemy bezlitośnie likwidować wszystkich, którzy was od tych świętych zadań odciągają, przeszkadzając wam w zrozumieniu i akceptacji waszego miejsca we wszechświecie.

Dominik zobaczył, jak oddziały żołnierzy w szaroczarnych mundurach sardaukarów otaczają brygady robocze. Szaddam nawet już nie troszczył się o ukrycie swojego uczestnictwa. Tymczasem na balkonie Grand Palais Mistrzowie Tleilaxan, mając u boku sardaukarów, wypchnęli naprzód parę skazańców. Głośniki znowu zadudniły.

– Tych dwoje zostało schwytanych na próbie sabotażu w jednym z naszych zakładów przemysłowych. Podczas przesłuchania ujawnili swoich współników. – Nastąpiła złowieszcza pauza. – W tym tygodniu możecie się spodziewać kolejnych egzekucji.

Z dołu rozległo się tylko kilka pojedynczych głosów protestu. Stojący na górze sardaukarowie popchnęli parę spiskowców na skraj balkonu, a potem przerzucili ich przez balustradę, krzycząc:

– I tak skończą wszyscy, którzy mają czelność nam się przeciwstawiać!

Tłum na dnie pieczary rozpierzchnął się przed ciałami spadającymi ze straszliwym, przeciągłym krzykiem.

Dominik ze zgrozą przypatrywał się miejscu, skąd wielokrotnie wygłaszał przemówienia, wychwalając pilność swych poddanych oraz obwieszczając nagrody za wydajność. A teraz był to szafot.

W dole rozległy się krzyki i złowrogi syk laserobinów; to sardaukarowie zaprowadzali porządek pośród wzburzonej ludności. Tymczasem z głośników rozległ się komunikat.

– Przez następne trzy tygodnie racje żywnościowe będą obniżone o dwadzieścia procent, jeśli jednak spadnie produkcja, możecie się spodziewać dalszych sankcji. Wszyscy, którzy zgłoszą się z informacjami o spiskowcach, otrzymają hojne nagrody.

Mistrzowie odwrócili się i w eskorcie sardaukarów opuścili balkon. Dominik marzył o tym, żeby otworzyć ogień i położyć trupem wszystkich Tleilaxan i sardaukarów. Na razie jednak, działając samotnie, nie mógł sobie pozwolić na takie pojedyncze, daremne gesty. W rozpaczę zacisnął szczęki. Nagle przypomniało mu się, jak wiele lat temu w tym właśnie miejscu stał z Shando i trzymając się za ręce, z zachwytem patrzyli na pyszniącą się w dole Vernię. Jej urodę podkreślały jeszcze eleganckie szaty wprost z cesarskiego dworu na Kaitain.

Cesarz jednak nigdy nie wybaczył zniewagi, jaką było oddanie się jego konkubiny innemu mężczyźnie, chociaż wcześniej zgodził się na jej odejście z dworu. Elrood przez lata czekał na okazję do zemsty, ale zapłaciła za to cała planeta i jej mieszkańcy.

Dominik poczuł, że braknie mu tchu w piersiach. Miał kiedyś władzę, bogactwo, rozkwitający kraj, piękną żonę, szczęśliwą rodzinę – z czego teraz pozostały tylko ruiny.

– Spójrz tylko, co zrobili, Shando – mruknął, jak gdyby jej duch znajdował się obok niego. – Spójrz, co zrobili.

Spędził tu jeszcze jakiś czas, nieustannie myśląc o zemście a kiedy zbierał się do wyjazdu, dobrze wiedział, jak uderzyć A jego zemstę będzie się wspominać przez wieki.

*Należy się zgodzić, że władza i podstęp to główne narzędzia polityki, zarazem jednak trzeba pamiętać o tym, że władza ma tych, którzy ją posiadają, budzi bowiem złudzenie, iż sama przez się potrafi zrekompensować ignorancję.*

**hrabia Flambert Mutelli,  
z wystąpienia w Landsraadzie**

Dla Abulurda znowu nastały na Lankiveil szczęśliwe dni i szczęśliwe noce. Absolutnie nie żałował tego, że wyrzekł się wszelkich koligacji rodzinnych, w więcej – był z tego bardzo

zadowolony.

Ogień trzaskający w kominkach ogrzewał dużą posiadłość nad fiordem Tula. I oto Abulurd i Emmi siedzieli w pokoju nieopodal kuchni, przyjemnie rozleniwieni smakiem paelli, którą spożyli razem ze służbą. Odnaleźli większość z nich i znowu zatrudnili, zaczęli bowiem z otuchą myśleć o przyszłości.

Tego ranka dostrzeżono u ujścia fiordu dwa wieloryby bjondax, które przypłynęły najwyraźniej po to, aby sprawdzić bezpieczeństwo tych wód, a rybacy donosili, że już od dawna nie mieli tak udanych połowów. Powietrze nagle się ochłodziło, zbocza pokryły cienką warstewką śniegu, który szczególnie w nocy podkreślał urodę krajobrazu.

Malutki Feyd-Rautha siedział obok Emmi na niewielkim dywaniku. Chłopiec był skory do śmiechu, miał żywą mimikę. Ukląkł, potem trzymając się palca matki, wstał, a następnie spróbował stawiać pierwsze niepewne kroki. W jego gaworzeniu można już było wychwycić pojedyncze słowa.

Abulurd poprosił domowników, żeby po kolacji zegrali ludowe melodie na starych instrumentach, ale przygotowania zakłócił nagle dochodzący z zewnątrz dźwięk silników.

– Co to takiego? – spytał, a kiedy wszyscy ucichli, rozpoznał odgłos motorowych łodzi.

Kucharka, która była właśnie zajęta otwieraniem małż i wydobywaniem ich z muszli do słonej zalewy, wstała i wyjrzała przez płazowe okno.

– Światła. Jakieś łodzie płyną od strony morza, za szybko, jak na mój gust, gdyż po ciemku mogą na coś wpaść.

– Zapalcie światła na zewnątrz – polecił Abulurd. – Musimy powitać gości.

Blask z wielkich jarzyc padał aż na doki w dole.

Trzy duże jachty kierowały się ku głównej przystani. Emmi przygarnęła Feyda, a w jej wielkich oczach pojawił się wyraz niepokoju. Trwożliwie zerknęła na męża. Abulurd zrobił uspakajający gest, chociaż sam także poczuł się niepewnie.

Z ganku widać było, jak z zacumowanych łodzi wysypują się z łoskotem butów żołnierze Harkonnenów. Abulurd cofnął się o krok, widząc, jak z bronią gotową do strzału zaczynają wspinać się po schodach.

Miał straszliwe przeczucie, że oto nadchodzi koniec spokojnych chwil.

Ostatni wysiadł Glossu Rabban i ruszył w ślad za żołnierzami.

– Emmi... to on.

Abulurdowi nie mogło przejść przez gardło imię najstarszego syna, starszego o ponad czterdzieści lat od ich najmłodszej latorośli, z którą związali wszystkie nadzieje.

Inwazja była niespodziewana, a poza tym ich dom zawsze był przygotowany na przyjmowanie gości, a nie obronę przed nimi. Pod wpływem irracjonalnego impulsu Abulurd cofnął się za próg i zamknął drzwi na zasuwę, chociaż w ten sposób mógł tylko rozwścieczyć żołdaków. W chwilę później wszystkie zamki puściły pod ich ciosami i strzałami. Abulurd stanął przed żoną i dzieckiem, jak gdyby własnym ciałem chciał bronić dostępu do nich. Stare



drewno tliło się, pękało, siejąc dookoła drzazgi, nie mogło stawić jednak oporu zaciekłemu atakowi.

– Więc to tak mnie witasz, ojcze? – zarechotał Glossu, przeciskając się przez zniszczone drzwi.

Dwóch służących stanęło gotowych do walki, jeden chwycił za pogrzebacz, drugi za miotłę, kucharka stała z nożem do otwierania muszli w rękę; Abulurd podniósł ostrzegawczo dłoń. Nie chciał, aby skończyło się to taką masakrą jak w Bifrost Eyrie.

– A ty w ten sposób prosisz o gościnę, synu? – Abulurd gniewnie machnął ręką. – Pojawiając się w towarzystwie uzbrojonych po zęby żołnierzy i wyłamując drzwi?

– Sztuki wkraczania na scenę nauczyłem się od stryja. Żołnierze w niebieskich mundurach zastygli z bronią w pogotowiu. Abulurd nie wiedząc, co począć, zerknął przez ramię na żonę, która stała przy kominku, przyciskając do siebie syna. Widać było, że najchętniej skryłaby się w mysiej norze.

– To mój nowy braciszek? – spytał Glossu. – Głupio się nazywa, Feyd-Rautha, ale jeśli ma w sobie moją krew... powinienem go pokochać.

Emmi potrząsnęła luźno rozpuszczonymi włosami, które pomimo upływu lat wciąż były czarne. Wpatrywała się w Glossu wzrokiem pełnym gniewu i strachu o ukochanego synka.

– Mam nadzieję, że to nie wspólna krew decyduje o charakterze. To nie w tym domu nauczyłeś się okrucieństwa, Glossu. Nie ode mnie, nie od swojego ojca. Zawsze cię kochaliśmy pomimo bólu, jaki nam zadawałeś. – Postąpiła do przodu, a Glossu nieoczekiwanie cofnął się przed nią. – Jak to możliwe, że stałeś się taki, jaki jesteś? – Zniżyła głos, jakby zwracała się bardziej do siebie. – Ciągłe pytamy sami siebie, na czym polegał nasz błąd? Co zrobiliśmy źle? Nie pojmujemy twojego postępowania.

Twarz Emmi skamieniała, gdy Glossu w odpowiedzi na te słowa ryknął śmiechem, pokrywając nim swe speszenie.

– Ach, tak? Ja także was nie pojmuję. Jak to możliwe, że nie zaprosiliście mnie na uroczystość z okazji urodzin braciszka? – Zrobił krok w kierunku Emmi. – Daj mi, niechże go chociaż potrzymam.

Emmi cofnęła się, a Glossu przywołał na twarz smutną minę i wyciągnął rękę. Żołnierze podnieśli broń.

– Zostaw matkę w spokoju! – krzyknął Abulurd, ale jeden z żołdaków chwycił go za bluzę na piersi i przytrzymał.

– Nie mogę siedzieć beczynnie – mruknął pod jego adresem Glossu – i przypatrywać się, jak mój brat marnuje się w rękach takiego słabeusza jak mój ojciec. Twój przyrodni brat, baron Vladimir Harkonnen, zgodnie ze wszystkimi regułami prawa otrzymał od Landsraadu zgodę na wychowywanie Feyd-Rauthy na Giedi Primie. – Jeden z żołnierzy cisnął ozdobny zwój dokumentu do stóp Abulurda, ten jednak tylko wpatrywał się w niego nieruchomo. – Baron legalnie adoptował Feyd-Rauthę, który jest teraz jego przybranym synem. – Widząc

przerażenie na twarzy rodziców, Glossu dodał: – W ten sam sposób usynowił mnie. Jestem jego oficjalnym dziedzicem, na-baronem, Harkonnenem czystej krwi jak on sam. – Zrobił jeszcze krok, a Emmi, wciśnięta w kąt przy kominku, nie miała się już gdzie cofnąć. – No, dawaj, żadna krzywda mu się nie stanie, a wprost przeciwnie.

Glossu zrobił lekki ruch głową, a dwóch żołnierzy smugami z laserobinów przecięło na pół kucharkę. Nie zdążywszy nawet jęknąć, zwała się na cebrzyk z małżami i zastygła w rozlewającej się kałuży.

– Ile jeszcze osób ma zdechnąć – z udanym znużeniem w głosie powiedział Glossu – aż wreszcie mnie posłuchasz, mateczko? No co, dasz mi teraz mojego brata?

Wzrok Emmi przemknął od Glossu na przerażoną służbę, synka, wreszcie spoczął na Abulurdzie, który stał ze spuszczoną głową i z trudem tłumił łkanie. Glossu podszedł i obcesowo wyjął dziecko z objęć matki, która nie opierała się ze strachu, że spowoduje to śmierć kolejnych niewinnych ludzi. A że żołnierze nie cofną się przed niczym, tego dowiodły już wydarzenia w Bifrost Eyrie.

Mały chłopczyk zaniósł się płaczem.

– Nie możesz tego zrobić! – zawołał Abulurd, ale strach przed okrutnikami w mundurach nie pozwolił mu na żaden inny gest niezgody. – Ja jestem tutaj gubernatorem. Wystąpię ze skargą do Landsraadu!

– Występuj sobie do woli. To właśnie Landsraad odebrał wam prawa rodzicielskie. – Rabban niezgrabnie przekładał dziecko z jednego ramienia na drugie, najwyraźniej nie wiedząc, co z nim robić. – Nie masz żadnych praw do tego smarkacza, tatku. Najmniejszych.

Odwrócił się w kierunku dymiącego wyjścia, a kiedy z piersi Abulurda i Emmi wyrwał się krzyk rozpacz, żołnierze ostrzegawczo wycelowali w nich laserobiny.

– Nie zabijać nikogo więcej – rzucił Glossu przez ramię. – Z radością odpłynę przy wtórze lamentów i płaczu.

Cały zbrojny orszak zszedł do przystani i wsiadł do łodzi. Abulurd i Emmi padli sobie w objęcia i trwali tak jak dwa stare drzewa, nawzajem nie pozwalające sobie upaść. Po twarzach ciekły im łzy, ciałami wstrząsał szloch, służba patrzyła na nich ze zgrozą.

Od fiordu doleciał odgłos uruchamianych silników. Abulurd nie wiedział, jak ukoić zrozpaczoną żonę, która wyrwała się z jego uścisku i wpatrywała w bezradnie rozłożone ręce. Wiedział, że to tylko złudzenie, ale miał wrażenie, że poprzez huk motorów z oddali dotarł do niego płacz małego chłopca.

*Nie bierz za towarzysza kogoś, z kim nie chciałbyś umrzeć.*

**porzekadło Wolan**

Kiedy Liet-Kynes powrócił z Salusa Secundy, w bazie przemysłniczej na biegunie południowym Diuny czekał na niego Warrick.

– Jak ty wyglądasz? – zaśmiał się wysoki Wolanin, zrzucił kaptur i pobiegł po żwirze pokrywającym dno rozpadliny. – Napompowany jesteś wodą i obrzydliwie... czysty. – Pociągnął podejrzliwie nosem. – Nigdzie na tobie ani śladu po destylozynie. Czyżbyś zmył z siebie wszystkie ślady pustyni?

– Tej nigdy nie pozbędę się ze swej krwi – odrzekł Liet i z rozmachem klepnął przyjaciela po ramieniu. – A ty... ty jeszcze urosłeś!

– Oto, jak wpływa na człowieka szczęśliwe małżeństwo. Mamy już syna i na twoją pamiątkę nazwaliś go Liet-chih. – Warrick uderzył pięścią w drugą dłoń. – I codziennie wyprawiałem się na Harkonnenów, podczas gdy ty leniuchowałeś gdzieś na obczyźnie.

Na wieść o synu Warricka i Farouli Liet poczuł ukłucie żalu, ale zaraz potem jego duszę przepełniła radość ze szczęścia przyjaciela i duma z imienia nowego Wolanina.

Przemysłnicy niewiele mówili podczas rozładunku, przygnębieni nieobecnością Dominika Verniusa. Porządku pilnowali Johdam i Asuyo, wskazując, gdzie składać dobra przywiezione z Salusy. Gurney Halleck został na więziennej planecie, aby tam nadzorować operacje szmuglerskie.

Warrick czekał już od czterech dni, wolne chwile wykorzystując na uzupełnianie wiedzy przemysłników, jak przetrwać na Arrakis.

– Wiesz, mnie się zdaje – prychnął lekceważąco – że oni się nigdy tego nie nauczą. Mogą tutaj siedzieć, nie wiem jak długo, a i tak na zawsze zostaną obcoświatowcami.

Szli głównym tunelem, a Warrick dzielił się ostatnimi wiadomościami. Dwa razy pod rząd przywoził łapówkę przyprawową do Rondo Tueka, przy okazji sondując, kiedy można się spodziewać powrotu przyjaciela, którego nie mógł się już doczekać.

– Co cię w ogóle poniosło na tę Salusa Secundę?

– Musiałem tam pojechać. Ojciec spędził na niej wiele lat i bardzo dużo opowiadał. Ale teraz jestem już z powrotem i nie chcę się stąd ruszać. Salusa to była po prostu... interesująca odmiana.

Warrick podrapał się po długich włosach, które były matowe i poskręcane, jak zawsze po długim noszeniu destylozonu. Jego taliony wody przechowywała teraz zapewne Faroula; był to jeden z obowiązków wolańskiej żony. Liet był ciekaw, jak piękna dziewczyna wygląda teraz po porodzie.

– No i jak, znowu wracasz do siczy Czerwonego Muru? Faroula i ja stęskniliśmy się już za tobą. Było nam przykro, że postanowiłeś na jakiś czas nas opuścić.

Liet przełknął ślinę i krótko przytaknął.

– Byłem niemądry. Chciałem w samotności zastanowić się nad swoją przyszłością. Wiele rzeczy się zmieniło i także dużo się nauczyłem. Mam wrażenie – dodał z wymuszonym

uśmiechem – że trochę lepiej rozumiem teraz mego ojca.

Warrick spojrział na niego zdumiony.

– Jak to „rozumieć go”? My go po prostu słuchamy i tyle.

– Tak, ale dla was to Umma Kynes, a dla mnie ojciec, którego powinienem rozumieć.

Z punktu obserwacyjnego wysoko w skałach spoglądali na tarasy brudnego lodu.

– Powiedz, jak tylko będziesz gotów, a zaraz ściągniemy piaskala i wracamy do siczy. –

Warrick przygryzł dolną wargę i dodał: – Jeśli nie zapomniłeś, jak nakładać destylozon.

Liet tylko prychnął i podszedł do szafki, gdzie zostawił pustynny ekwipunek.

– Raz udało ci się pokonać mnie w wyścigu do Ptasiej Jaskini, ale tak czy inaczej, to ja zawsze ściągam większe piaskale.

Pożegnali się z przemytnikami. Chociaż Liet spędził w ich towarzystwie ponad rok, nie bardzo żałował teraz rozstania. Mieli dusze żołnierzy, z ochotą przyjmowali i wykonywali rozkazy, a w wolnych chwilach wspominali dawne dni i stoczone pod wodzą earla Verniusa walki ku chwale Cesarstwa. Teraz jednak zmieniły się ich sympatie i z zapałem naprzykrzali się Szaddamowi.

Ruszyli przez brudny stok, omijając zwaliska nieczystości pozostawione przez wodnych kupców. Warrick spojrział za siebie.

– Pokazałem im jeszcze parę rzeczy i spójrz, trudno teraz rozpoznać, gdzie mają kryjówkę.

– No cóż, przy dobrym wolańskim nauczycielu nawet największy tępak może się nauczyć kilku oczywistych rzeczy.

Kiedy dotarli na skraj pustyni, wcisnęli w piach dudnik, ściągnęli piaskala i wkrótce już podążali na północ przez dziką okolicę, od której patrole Harkonnenów zawsze trzymały się z daleka z powodu kapryśnej pogody i groźnych kurzaw koriolisa.

Stworzyciel niósł ich w kierunku równika, a Warrick opowiadał. Wydawał się radosny, pełen historyjek i anegdotek jak nigdy dotąd.

Nie mogąc całkowicie wygnać bólu z serca, Liet słuchał o Farouli, małym synku, wspólnym życiu, podróży, jaką odbyli do siczy Tabr, dniu spędzonym w Arrakin, o tym, jak kiedyś chcieli się wyprawić do oranżerii w Gipsowej Kotlinie...

I przez cały ten czas Liet śnił na jawie; gdyby miał wtedy jeszcze większego piaskala albo bardziej go poganiał, albo mniej odpoczywał... byłby pierwszy. Wypowiedzieli to samo życzenie na widok Bijan, wyschniętego dna jeziora, a tylko w przypadku Warricka ono się spełniło.

Wolanie powiedzieliby: „Tak zechciał Szej-hulud”, a Liet musiał się z tym pogodzić.

Na noc rozbili obóz, ale przed położeniem się spać długo jeszcze siedzieli na grzbiecie wydmy, podrzucając karbowane szpikulce i patrząc w gwiazdy. W końcu sen ich zmorzył i położyli się w destylomocie. Od miesięcy Liet nie spał tak dobrze.

Przemieszczali się szybko i sprawnie, a Liet czuł, jak potężnie w nim tęsknota za siczą,

matką i rozmową z ojcem o tym, co zobaczył na Salusa Secundzie. Tymczasem na horyzoncie pojawiła się ciemnobrązowa smuga. Wyjął zatyczki nosowe i zaciągnął się powietrzem pełnym ozonu; na skórze czuł mrowienie od silnie naelektryzowanego powietrza. Warrick zmarszczył brwi.

– Chyba nadchodzi wielka burza, Liet. – Przez chwilę wpatrywał się w dal, a potem dodał: – Ale kto wie, może będzie to tylko *heinali*.

Liet nie odezwał się, dla siebie zachowując niedobre podejrzenia, albowiem samo ich wypowiedzenie mogło spowodować spełnienie. Kiedy jednak chmury potężniały i słychać już było daleki łoskot, mruknął:

– Nie, nie, mój przyjacielu. To kurzawa koriolisa.

Natychmiast przypomniała mu się przygoda sprzed lat z ojcem i kapsułą obserwacyjną, a także niedawny widok burzy poświatowej na Salusa Secundzie, to jednak, co teraz się ku nim zbliżało, było o wiele gorsze.

Warrick pokiwał głową, mocno wczepiony w haki stworzyciela.

– *Hulasikali Wala*. Wiatr demona na otwartej pustyni.

Liet wpatrywał się w nadciągającą chmurę. Na najwyższych poziomach niosła najlżejszy pył porwany w niebo, ale im bliżej ziemi, podstawę stanowił potężny wir piachu, żwiru i kamieni. *Hulasikali Wala*. Tak Wolanie nazywali najgorszą z kurzaw koriolisa: „wiatr pożerający ciało”.

Piaskal pod nimi stawał się niespokojny, najwyraźniej chciał jak najprędzej uciekać z powierzchni. Kiedy kurzawa koriolisa będzie blisko, zanurzy się w piach, nie zważając na to, że wiele uchylonych segmentów nie chroni jego wrażliwego ciała.

Liet spojrzał na wydmy rozchodzące się monotonnymi falami na wszystkie strony. Otwarta pustynia, żadnego schronienia. Nagle Warrick dostrzegł jakieś zakłócenie w jednostajności piachu.

– Tam! – zawołał i palcem wskazał coś, co wyglądało na niewielkie skaliste wybrzuszenie. – Mała wychodnia skalna. Nasza jedyna szansa.

Liet spojrzał we wskazanym kierunku, mrużąc oczy, gdyż piach zaczynał już siec po twarzy, i skrzywił się z powątpiewaniem.

– Nie wiem, czy to coś da. Nie wygląda zbyt okazale.

– Nie mamy wyboru, przyjacielu.

Warrick już manipulował hakami, aby skierować piaskala ku wychodni. Wiatr był coraz bardziej dojmujący. Poprawili zatyczki nosowe, zacisnęli usta, osłonili głowy kapturami, ale i tak piaskowe bicze paliły niczym metalowe różgi.

Huk wichury potężniał z każdą chwilą. Coraz silniejsze pole elektryczne przyprawiało go o mdłości i ból głowy, który ustąpiłby dopiero z chwilą, gdy Liet głęboko zagrzebałby się w piach, co teraz było niemożliwe.

W miarę jak zbliżali się do upragnionego schronienia, rósł niepokój Lieta. Było to tylko

pasemko starej lawy, odsłonięte przez wiatry hasające po pustyni, nie większe od destylomiotu. Widać było, że nie zmieszczą się tam obaj.

– Warrick, to nic nie da. Musimy znaleźć coś innego.

Przyjaciel wzruszył tylko ramieniem.

– Nie ma już na to czasu.

Piaskal raptownie zatrzymał się i widać było, że nic nie zmusi go do dalszego ruchu po powierzchni. Kurzawa koriolisa była coraz bliżej.

Warrick wyjął haki.

– Dawaj, Liet! – krzyknął. – Bestia zaraz zacznie się zanurzać. Musimy zaufać własnym nogom... i Szej-huludowi.

Liet pospiesznie rozplótł zaciski, uwolnił haki i zeskoczył z grzbietu piaskala. Ledwie segmenty pancerza się domknęły, piaskal zaczął się zanurzać w piasek pustyni. Otaczał ich ruchomy piasek; niemożliwe było odróżnienie nieba od ziemi.

Zmagając się z powietrznymi prądami, dotarli do skały. Znaleźli szczelinę na tyle głęboką, by jedna osoba wcisnęła się do niej, naciągnęła kaptur na oczy i modliła o przetrwanie we wściekłym natarciu huraganu.

Warrick zerknął za siebie i dumnie się wyprostował.

– Ty wejdiesz do środka – oznajmił.

Liet pokręcił głową.

– Niemożliwe. Jesteś moim bratem krwi, masz żonę i dziecko. Oni czekają na twój powrót.

Warrick utkwiał w nim płomienne spojrzenie.

– A ty jesteś synem Ummy Kynesa. Twoje życie więcej jest warte do mojego. Chowaj się czym prędzej, bo inaczej wiatr zabije nas obu.

– Nie pozwolę, żebyś się poświęcił za mnie.

– W takim razie nie dam ci żadnego wyboru! – parsknął Warrick i zrobił ruch, żeby odejść, ale Liet zdążył jeszcze złapać go za ramię.

– Stój! Jak w tej sytuacji powinien się zachować Wolanin? Ja powiadam, że twoje życie jest ważniejsze, gdyż masz rodzinę, ty mówisz, że moje jest cenniejsze z uwagi na mego ojca? I jak to rozstrzygnąć?

– Zatem musi postanowić Bóg!

– Właśnie! – Liet błyskawicznie wy dobył z za pazuchy szpikulec, który jeszcze nie tak dawno służył tylko do niewinnej zabawy. – I zgodzisz się na wynik – powiedział, a widząc zmarszczone czoło Warricka, dorzucił: – Ja także.

Przykucnęli, a ich ciała utworzyły barierę chroniącą przed wiatrem. Dookoła robiło się coraz ciemniej, nieustannie potężniał zbliżający się huk. Warrick wyrzucił siedem. Teraz była kolej Lieta, któremu w głowie pulsowała myśl, że jeśli zwycięży, to umrze przyjaciel, a jeśli wygra Warrick – śmierć czeka jego. Ale nie było innego wyjścia. Cisnął, a Warrick

podskoczył i nachylił się nad szpikulcem, a ułamek sekundy później to samo zrobił Liet. Warrick, oczywiście, nie oszukałby, gdyż byłaby to hańba dla Wolanina, ale w sytuacji gdy ledwie można było utrzymać powieki otwarte, lepiej, by dwie pary oczu sprawdziły wynik.

Dziewięć.

– Wygrałeś – powiedział Warrick. – Natychmiast uciekaj do szczeliny.

Liet poczuł, że drżą pod nim kolana.

– Nie, to niemożliwe. Ja się nie zgadzam.

– Nie masz wyboru – krzyknął Warrick. – Jest, jak jest. Są takie siły, którym nie można się przeciwstawiać. Pamiętasz, ile razy twój ojciec powtarzał, że przyroda ma swoje fanaberie? Nie mieliśmy dzisiaj szczęścia i tyle!

– Nie, nie mogę tego zrobić! – upierał się Liet, ale Warrick popchnął go brutalnie.

– Jazda! Chcesz, żebym umarł na darmo?!

Zataczając się, Liet podszedł do szczeliny i zatrzymał się przy niej.

– Chodź, spróbujemy wcisnąć się obaj.

– Nie ma miejsca, sam widzisz.

Mniejsze i większe krzemienne odłamki uderzały niczym pociski. Stali ledwie o kilka kroków od siebie, a musieli krzyczeć ze wszystkich sił.

– Musisz zająć się Faroulą! – wrzeszczał Warrick. – Jeśli dłużej jeszcze zostaniesz na zewnątrz, kto się nią zaopiekuje? I moim synem?

Liet wiedział, że nie może odmienić biegu rzeczy. Objął przyjaciela, który oddał uścisk, ale natychmiast popchnął go w kierunku szczeliny. Wcisnął się najdalej, jak mógł, ale bez reszty wypełnił otwór, wychylił się więc jeszcze i zawołał.

– To weź chociaż moją dżubbę! Okryj się nią, może to choć trochę pomoże!

– Daj spokój, Liet, i tak niełatwo ci będzie to przetrwać. – Spojrzał na przyjaciela. – Myśl, że to ofiara dla Szej-huluda, aby za nas dwóch sprzyjał ci w twym życiu.

Wciśnięty w skałę, Liet niemal nie mógł drgnąć. Czuł w powietrzu ładunki elektryczne, widział migotanie w zbliżającej się ścianie pyłu. Nic gorszego nie mogło go spotkać na Salusa Secundzie ani nawet w całym wszechświecie.

Liet wyciągnął rękę, Warrick bez słowa ją uściśnął. Już teraz wyczuł szramy na skórze przyjaciela spowodowane przez krzemowe ostrza. W odruchu rozpaczony chciał jeszcze wciągnąć Warricka, ile się da, do środka, ale ten się wyrwał, gdyż nic już nie mogło osłabić jego postanowienia.

Szarpiące szpony wichury sięgały nawet w głąb rozpadliny. Liet, nie mogąc już utrzymać otwartych powiek, wcisnął się tak głęboko, jak tylko potrafił. Nawet zresztą gdyby otworzył oczy, niczego by nie zobaczył. Niczego by też nie usłyszał oprócz ryku wiatru; niczego, nawet krzyku Warricka.

Minęło kilka godzin, zanim piekło się przewaliło. Liet wyczołgał się na zewnątrz z

zapuchniętymi oczami, palącym czołem, ubraniem porwanym przez występy skały i łakome szarpnięcia kurzawy koriolisa.

W żołądku czuł mdłości, w duszy – rozpacz. Wokół niego rozpościerała się cicha, niewinna, uległa pustynia. Tupnął wściekle nogą, ale zaraz wyprostował się i rozejrzał.

Za sobą zobaczył ludzką postać stojącą na szczycie wydmy, podczas gdy delikatny powiew kołysał strzępami ubrania. Z destylozonu pozostały szczątki. Liet nie dowierzał własnym oczom. Czyżby to było widmo przyjaciela? Nie, to żywy człowiek, tyle że odwrócony plecami. Warrick!

Liet z krzykiem zaczął biec po piachu, zostawiając głębokie ślady. Dopadł przyjaciela, zanosząc się naraz płaczem i śmiechem.

– Warrick!

Tamten nawet nie drgnął, nie odezwał się, patrzył tylko w milczeniu na północ, w kierunku domu.

Liet nie mógł pojąć, jak Warrickowi udało się przetrzymać kurzawę koriolisa, która przecież niszczyła wszystko na swej drodze. Zataczając się, obszedł przyjaciela.

– Żyjesz? Żyjesz!

Warrick wolno obrócił twarz w jego kierunku.

Wiatr i piach powyrywały mu kawały ciała, cała twarz była w dziurach, w zagłębieniach po policzkach widać było szczęki. Zniknęły powieki, a ślepe gałki oczu wytrzeszczały się nieruchomo. Zamiast dłoni widać było nagie kości, a odsłonięte ścięgna poruszyły się niczym sznurki w teatrzyku lalek, kiedy odezwał się głucho:

– Przeżyłem i zobaczyłem. Może jednak byłoby lepiej, gdybym umarł.

*Jeśli człowiek potrafi zaakceptować swój grzech, potrafi też z nim żyć. Jeśli nie może go zaakceptować, konsekwencje są straszliwe.*

***z Medytacji z Bifrost Eyrie,  
tekst buddoislamski***

Przez kilka miesięcy po utracie nowo narodzonego syna, Abulurd żył na krawędzi szaleństwa. Ponownie zerwał więzy ze światem. Cała służba została zwolniona, on zaś wraz z Emmi zapakował najważniejsze rzeczy do jednego ornitoptera.

Największą siedzibę, do której powrócili tak niedawno, spalili aż do fundamentów, aby w płomieniach i dymie szczyły także wszystkie wspomnienia. Cała konstrukcja natychmiast stanęła w ogniu, ten zaś wył i huczał, jakby pożerał stos pogrzebowy. Zostawiając za sobą pogorzeliśko, nie odwrócili się ani razu.



Ornitopter poniósł ich nad szczytami do górskiej miejsciny o nazwie Veritas, co w jednym z języków Starej Ziemi znaczyło „prawda”. Pod wielkim granitowym nawisem sterczącym z pionowej skały buddoislamiści zbudowali tu osiedle podobne do fortecy. Przez stulecia wbijali się w trzon skalny, drążąc tunele i pojedyncze cele dla mnichów, którzy mogli tutaj trwać w medytacji.

Abulurd miał nad czym medytować, a mnisi przyjęli ich, nie stawiając żadnych pytań.

Chociaż oboje nie byli przesadnie nabożni i nawet nie trzymali się buddoislamskich obyczajów, to przecież wiele czasu spędzali ze sobą w milczeniu. Przy całym cierpieniu, na jakie zostali wystawieni, wzajemna obecność była dla nich jedyną możliwą jeszcze pociechą i uspokojeniem. Nieustannie zadawali sobie pytanie, dlaczego świat obszedł się z nimi tak okrutnie, ale nie potrafili znaleźć żadnej odpowiedzi.

Abulurd miał wrażenie, że jest dobrym człowiekiem i zawsze starał się czynić dobro, a tymczasem napotykał na swojej drodze demony.

Pewnego dnia siedział w celi przy skąpym świetle rzucanym przez kaganek, wydzielający także aromatyczny zapach. Powietrze ocieplały termy zamontowane w kamieniu. Odziany w proste szaty Abulurd trwał nie tyle w modlitwie, ile w kontemplacji. Obok klęczała Emmi i lekko gładziła go po rękawie. Zaczęła ostatnio pisać wiersze, poniekąd czerpiąc inspirację z sutr buddoislamskich, ale jej metafory były tak ostre i bolesne, że Abulurd czytał je ze łzami w oczach.

Teraz właśnie odłożyła na bok pióro i papier, urwawszy werset w połowie, i oboje zapatrzyli się na migającą świecę. Gdzieś w zakamarkach skalnych śpiewali mnisi, wibracja ich głosów rozchodziła się po skale, a stłumione dźwięki zlewały się w jeden falujący pomruk.

Abulurd wspominał swojego ojca, mężczyznę z długimi włosami, muskularną szyją i szczupłym ciałem. Baron Dmitrij Harkonnen zawsze nosił luźne ubranie, aby wydawać się postawniejszy, niż w istocie był. Miał silny charakter, nie cofał się przed trudnymi decyzjami, gdy w grę wchodziła pomyślność rodu. Zawsze zabiegał o powiększenie fortuny Harkonnenów i umocnienie ich pozycji w Landsraadzie. Miało to wielkie znaczenie w związku z otrzymaniem Arrakis jako siridar-lenna.

Przez tysiąclecia, które minęły od bitwy pod Korrinem, Harkonnenowie zasłynęli swą skłonnością do okrucieństwa, ale pod tym względem Dmitrij różnił się od swych przodków, a wielki wpływ na złagodzenie jego obyczajów miał druga żona, Daphne. To dzięki niej bardzo zmienił się w podeszłych latach: wiele się śmiał, wszem wobec demonstrował miłość do żony, a także wiele czasu spędzał z najmłodszym synem, Abulurdem. Wiele troski i cierpliwości okazywał też niedorozwiniętemu Marotinowi, który gdyby urodził się kilka pokoleń wcześniej, zostałby bez ceregieli zabity.

Na nieszczęście, im łagodniejszy był Dmitrij, tym bardziej bezwzględny stawał się jego starszy syn Vladimir, a jego matka, Victoria, nie zaniedbała niczego, aby tylko umocnić w

synu pragnienie władzy.

„Tak bardzo się różnimy”.

Medytujący teraz w kamiennej celi, w której migotało słabe światło świecy, Abulurd wcale nie żałował, że nie poszedł w ślady brata. Miał zupełnie inny charakter, nigdy nie dopuściłby się takich postępów jak on.

W ścianach wibrował daleki głos mnichów, a on zastanawiał się nad swym drzewem genealogicznym. Nie mógł pojąć, dlaczego ojciec nadał mu takie właśnie imię, skoro od czasów Butleryjskiego Dżihadu ciążyła na nim niesława. Po bitwie pod Korrinem pierwszy Abulurd został skazany na banicję i na zawsze imię to wiązało się z piętnem tchórzostwa.

Ludzie ostatecznie wzięli wtedy górę nad myślącymi maszynami. Na legendarnym Moście Hrethgir dawny imiennik Abulurda popełnił czyn, który ściągnął na niego pogardę zwycięzców. To wtedy narodziła się trwająca potem przez milenia wrogość między Harkonnenami i Atrydami, ale przekazywane informacje o tamtych wydarzeniach były skąpe i bez rzetelnych potwierżeń.

„Co takiego wiedział ojciec? Co tamten Abulurd zrobił podczas bitwy pod Korrinem? Jaką podjął decyzję na Moście Hrethgir?”

Być może Dmitrij wcale nie uważał, by tamten czyn zasługiwał na hańbę. Może zwycięzcy Atrydzi tak przetworzyli historię, że na całe wieki padł na Harkonnenów cień niesłusznej niesławy? Od czasów Wielkiej Rewolty historie obrosły w mity niczym małże dno statku.

Abulurd wstrząsnął się lekko i wciągnął przez nozdrza zapach świecy. Czując zaniepokojenie męża, Emmi lekko pogłaskała go po karku i uśmiechnęła się z goryczą.

– Musi upłynąć trochę czasu – powiedziała – ale chyba to święte miejsce nam także przyniesie trochę spokoju.

Abulurd pokiwał głową, odkaszlnął i ucałował dłoń żony.

– Pozbawiono mnie władzy, majątku, utraciłem obu synów, a jednak... jednak ciągle mam ciebie. A ty jesteś warta wszystkich skarbów Cesarstwa. – Przymknął oczy. – Chciałbym tylko, żebyśmy zrobili dla ludzi Lankiveil coś takiego, co wynagrodziłoby im wszystkie cierpienia, na jakie zostali narażeni z mojego powodu.

Zacisnął wargi, bo nawet gdy zamknął oczy, dalej nękały go obrazy: Glossu pokryty krwią wielorybów staje dumny na pomoście przystani... Hekatomba w Bifrost Eyrie... Pełen niedowierzania wzrok Onira Rauthy-Rabbana na chwilę przed ciśnięciem go w przepaść przez żołdaków... Biedna kucharka upadająca na cebrzyk... Pamiętał dokładnie zapach spalonego ciała, widział wodę rozlewającą się po podłodze... Płacz dziecka...

Ile to czasu minęło, kiedy wydawało mu się, że życie jest piękne i pełne szczęścia? Kiedy to było, gdy z zaprzyjaźnionymi wielorybnikami wybierał się na polowania na bjondaxy? We wspomnieniu pojawiła się też sztuczna góra lodowa, a w niej ogromny zapas przyprawy, przekraczający wszelkie wyobrażenie skarb Harkonnenów umieszczony pod samym nosem

Abulurda, na pewno przez jego przyrodniego brata.

I nagle na jego ustach pojawił się błogi uśmiech. Spojrzał na żonę i rzekł z zapałem:

– Emmi, już wiem, co zrobię!

I klasnął w dłonie, bo oto znalazł sposób, by ciężko pracującym ludziom zadośćuczynić za wszystkie krzywdy, jakie ich spotkały ze strony jego rodu.

Nie przygotowując żadnego planu podróży, a także bez sygnalizatora pozwalającego na zlokalizowanie statku, Abulurd wyruszył w morze na pokładzie transportowego lodołamacza, zabierając ze sobą grupę mnichów, załogę wielorybniczą i kilka osób ze swej dawnej służby.

Nad ocierającymi się o siebie bryłami lodu unosiła się mgła, oni zaś w świetle reflektorów szukali sztucznej kry. Wykorzystywali do tego echosondy i skanery, a ponieważ wiedzieli, co chcą odnaleźć, nie było to aż takie trudne.

Kilka godzin po północy zatrzymali się przy wielościennym bloku, z daleka tak podobnym do innych brył. Załoga lodołamacza ze zdumieniem zaczęła zagłębiać się w podwodne korytarze, w których ciasno upchane stały pojemniki, każdy wypełniony przyprawą podstępnie wywiezioną z Arrakis. Skarb ukradziony Cesarzowi.

Elrood IX już na samym początku swego panowania wprowadził bardzo surowe kary za nielegalne magazynowanie melanzu. Gdyby ten magazyn został wykryty, baron nie tylko straciłby przyprawę, ale także musiałby zapłacić wielką grzywnę i najpewniej odebrano by mu stanowisko w ZNAH-u, a może również lenno Arrakis.

Abulurd przez krótką chwilę zastanawiał się nad możliwością szantażu: a gdyby tak zażądał zwrotu dziecka w zamian za dochowanie tajemnicy o tym znalezisku? Nie był już Harkonnenem i nic nie miał do stracenia, wiedział jednak, że to nie może się udać. Nie, był tylko jeden sposób wydobycia jakiegoś dobra z koszmaru rzeczywistości.

Ludzie zabrani przez Abulurda przez kilka godzin przenosili na transporterach odciążaczowych przyprawę na pokład lodołamacza, aż wszystkie ładownie mieli wypełnione, a zanurzenie osiągnęło granicę bezpieczeństwa. Chociaż w niełasce, Abulurd nadal pozostawał gubernatorem podokręgu. Skorzysta z pomocy kupców i handlarzy i w kilka miesięcy zamieni cały ten skarb na solarisy, aby wynagrodzić swych poddanych.

Zastanawiali się także z Emmi nad stworzeniem potężnego systemu umocnień wokół Lankiveil, ale szybko zarzucili ten pomysł. Nawet cały ten melanz nie pozwoli im stworzyć czegoś, co oparłoby się zmasowanemu atakowi rodu Harkonnenów. Nie... Mieli znacznie lepszy pomysł.

W zaciszu skalnej celi ułożyli misterny plan, gdyż sprzedanie tak wielkiej ilości przyprawy bez zwracania na siebie uwagi nie było łatwym zadaniem. Kiedy jednak to się powiedzie, strumień pieniędzy popłynie do górskich osiedli i rybackich wiosek. Odbudowane zostaną świątynie i klasztory, będzie można postarać się o nowocześniejsze urządzenia do wyprawiania futra wielorybiego, poszerzyć ulice i przystanie. Każdy rybak otrzyma nową

łódkę.

A ponieważ pieniądze rozejdą się w małych sumach, niemożliwe będzie wyśledzenie ich, zapewnią zaś milionom ubogich ludzi dostatek, jakiego dotąd nawet sobie nie wyobrażali. I nawet jeśli baron zorientuje się, co zrobił jego przyrodni brat, nie będzie już mógł odebrać swego majątku, przypominałoby to bowiem próbę odtworzenia oceanu przy użyciu pipetki.

Lodołamacz powracał do macierzystego portu, Abulurd zaś stał na dziobie i uśmiechał się pełen nadziei i niecierpliwości. Był dumny, że jednej nocy udało mu się poczynić tyle dobra.

Tak, po raz pierwszy od lat Abulurd mógł wreszcie być naprawdę dumny z siebie.

*Zdolność uczenia się to dar;*

*Umiejętność uczenia się to talent;*

*Gotowość uczenia się to wybór.*

## **Rebec z Ginazów**

Był to dzień, w którym o przeżyciu lub śmierci decydowały nabyte umiejętności uczniów.

Sławny Mord Cour stał obok wielkiego blatu, na którym wyłożono najróżniejsze bronie i naradzał się z Jeh-Wu, także mistrzem miecza, ale od niego zależnym. Pola ćwiczebne były mokre i śliskie po porannym deszczu; niebo nadal było zaciągnięte chmurami.

„Wkrótce zostanę mistrzem miecza, przygotowanym do tego cielesnie i duchowo” – pomyślał Duncan.

Ci, którzy przetrwają – przeżyją? – ten dzień, będą jeszcze musieli zdać wiele ustnych egzaminów z filozofii i historii różnych dziedzin bojowych, a zwycięzcy udadzą się na główną wyspę, aby złożyć hołd szczątkom Jool-Noreta i powrócić do domów.

Z zaszczytnym tytułem mistrzów miecza.

– Po lewej ręce tygrys – oznajmił Mord Cour, którego siwe pukle wydłużyły się o jakieś dziesięć centymetrów od czasu, kiedy Duncan widział go na wulkanicznej wyspie – po prawej smok. Prawdziwy wojownik zawsze potrafi pokonać przeszkody i tylko prawdziwy wojownik przejdzie Korytarz Śmierci.

Z początkowych stu pięćdziesięciu kandydatów pozostało tylko pięćdziesięciu jeden, a każda porażka była dla Duncana jakąś nauką. Jak przez lata, stali teraz obok siebie on i Hiih Resser, dwójka należąca do grupy najlepszych.

– Korytarz Śmierci?

Hiih stracił kawałek lewego ucha w walce na noże, a ponieważ sądził, że dzięki temu będzie wyglądał jak stary wiarus, więc nie zgodził się na żadną interwencję plastyczną.

– To przenośnia – mruknął Duncan.

– Myślisz?

Duncan odetchnął głęboko i spojrzał na dodający mu pewności siebie miecz Starego Księcia. W świetle dnia lśniła inkrustowana garda. „Szlachetny oręż”. Poprzysiągł sobie, że okaże się go godny, i teraz był dumny, że ma go przy sobie.

– Teraz, po ośmiu latach, trudno się wycofać.

Od dziedzińca turniejowego oddzielało ich pole tarczowe. Aby dotrzeć do mety, należało pokonać zdradzieckie manekiny, nie dać się zwieść holoprojekcjom solido i ominąć mordercze pułapki. Ostateczny sprawdzian sprawności fizycznej.

– Podejdźcie i wybierzcie broń! – zawołał Jeh-Wu.

Do miecza Duncan dołożył dwa krótkie noże, przez chwilę zastanawiał się nad ciężką maczugą, ale potem zdecydował się na długą włócznię.

Jeh-Wu potrząsnął włosami zaplecionymi w warkoczyki i wystąpił naprzód. Głos miał stanowczy, ale można było w nim usłyszeć akcent współczucia.

– Ktoś mógłby uznać, że to okrutna próba, gorsza od większości sytuacji, z jakimi można się spotkać w rzeczywistych bitwach. Niezawodny oręż wykuwa się jednak w ogniu.

Czekając na swoją kolej, Duncan myślał o Glossu Rabbanie, który nie miał ani odrobiny litości dla tych, na których urządzał polowania. Prawdziwe ludzkie potwory potrafią wymyślić sadystyczne próby znacznie gorsze od wszystkiego, co stworzyła wyobraźnia Jeh-Wu. Aby stłumić w sobie lęk, wyobraził sobie, że jest już po drugiej stronie i zostawił za sobą sprawnie pokonany tor śmiertelnych przeszkód.

– Kiedy Szkoła Ginazów wypuszcza mistrzów miecza – kontynuował Mord Cour – od ich sprawności zależy życie, bezpieczeństwo, powodzenie całych rodów. I właśnie z racji tej spoczywającej na nich odpowiedzialności żaden egzamin nie będzie zbyt surowy. Niektórzy z was dzisiaj zginą, trudno w to wątpić. My dajemy swoją aprobatę tylko najlepszym w całym Cesarstwie wojownikom. Tylko najlepszym i nikomu więcej.

Wrota otworzyły się, a pomocnicy Coura wywołali kilka nazwisk, pośród których – jeden z pierwszych – znalazł się także Hiih Resser.

– Powodzenia – mruknął Duncan, przyklepali dłonie na szczęście i rudzielec wraz z resztą wezwanych zniknął za bramą.

Osiem lat nauki zbiegło się w tym jednym dniu.

Duncan czekał w gromadce pozostałych elewów; niektórzy byli spoceni z przejścia, inni obnosili się z udaną odwagą i niefrasobliwością. Powoli ubywało czekających, a ciągle nie nadchodziła jego kolej.

– Duncan Idaho! – usłyszał wreszcie.

Przez otwarte wierzeje widział, jak jego poprzednik osłania się przed ciosami spadającymi ze wszystkich stron, wirując, kucając, rzucając się gwałtownie do przodu, aż wreszcie zniknął za pierwszym zakrętem.

– To nie takie groźne – mruknął pomocnik. – Mamy już dzisiaj kilku, którym się udało.

Duncan pomodlił się w duchu i biegiem ruszył na spotkanie nieznanego. Brama zamknęła się za nim ze złowieszczym hukiem. Skupiony tylko na obecnej chwili, sprowadzony na poziom najbardziej spontanicznych reakcji, posłyszał w głowie głosy dodające mu otuchy: Paulus Atryda zapewniał, że osiągnie to, co sobie zamierzy, księżę Leto nie pozwalał zapomnieć o współczuciu i nakazach moralności, Thufir Hawat kazał strzec bezpieczeństwa własnego ciała.

Po obu stronach alejki czyhały na niego dwa manekiny: metalowe monstra, których lśniąca ślepia uważnie śledziły każdy jego ruch. Duncan skoczył gwałtownie do przodu, nagle zatrzymał się, zrobił unik, zanurkował i szybkim ruchem przesunął się obok mechanicznych przeciwników. „Zagrozenie z każdej strony!” Okręcił się wokół swej osi i dzięki temu zdołał włócznią sparować dzidę rzuconą w ślad za nim przez jeden z manekinów. „Znakomita koordynacja”.

Rozkołysany sunął przed siebie, gotów do ruchu czy skoku w dowolnym kierunku. Powracały słowa wszystkich nauczycieli: kudłatego Morda Coura, Jeh-Wu o twarzy iguany, tłustego Rivvy’ego Dinariego, nadętego Whitmore’a Bludda, a nawet surowego nadzorcy więziennego Jamo Reeda. Przypomniała się nauczycielka *tai-chi*, piękna kobieta, wydawało się, zbudowana tylko z mięśni i ścięgien; jej słowa: „Oczekuj tego, co nieoczekiwane” nabrały nowej głębi.

Mechanizmy sterujące automatami reagowały na jego poruszenia, nie mogły jednak myśleć jak on, tego bowiem zabraniały postanowienia, jakie zapadły po Butleryjskim Dżihadzie. Metalowym zakończeniem drzewca włóczni huknął w jeden z manekinów i kontynuując ruch z obrotu, zrobił to samo z drugim, a nie zabrakło mu przy tym czujności na to, aby w ostatniej fazie podwójnym unikiem zejść z drogi frunącym w jego kierunku nożom.

Ostrożnie stawiał krok za krokiem i wypatrywał pod stopami śladu czujnika ciśnieniowego. Widział plamy krwi, tuż obok alejki leżało ciało jakiegoś nieszczęśnika, na identyfikację którego nie miał czasu.

Kawałek dalej oślepił manekiny celnym rzutem noży w ich szkliste ślepia, kilka innych unieszkodliwił silnymi kopnięciami. Cztery okazały się tylko projekcjami, co wyśledził, zważając na subtelne różnice w układzie światła i refleksów; tej sztuczki nauczył go Thufir Hawat.

Jeden z nauczycieli miał niewinną twarz dziecka i instynkt mordercy. To on wprowadzał ich w metody podstępne, nieoczekiwane zabijania. Pokazywał im, jak roztopiać się w cieniu i uderzać w absolutnej ciszy. „Zdarzenia najbardziej dramatyczne dokonują się niekiedy za sprawą ledwie widocznego dotyku” – mawiał.

Korzystając z doświadczeń ośmiu lat, Duncan błyskawicznie porównywał różne techniki walki, znajdując podobieństwa – i różnice. Umysł w niezwykłym tempie selekcyjował działania najbardziej odpowiednie do wyzwania, przed którym w danej chwili stawał.

Kiedy mijał ostatni z manekinów, serce waliło mu w piersi jak młotem. Zgodnie z

oznaczeniami zbiegł łagodnym stokiem na plażę wzdłuż korytarza wytyczanego przez pole tarczowe. Ścieżka wyprowadziła go na skalną krawędź, pod którą gotowało się od gejzerów, a gorące wypryski mieszały się z chłodną falą przyboju. Skoczył na głowę, przemknął przez bulgoczące ciepłe prądy, a kiedy z resztką powietrza w płucach wynurzał się na powierzchnię, zaatakowały go zdradzieckie manekiny.

Wdał się z nimi w zacieklą walkę, aż nagle uświadomił sobie, że przecież jego zadaniem jest przebrnięcie przez Korytarz Śmierci, a nie pokonanie wszystkich przeciwników. Zmyliwszy ich kilkoma zwodami, wydostał się na brzeg i pobiegł w kierunku płaskiego wzniesienia, gdzie czekał go następny etap próby.

Nad głęboką rozpadliną wisiał mostek sznurowy, który chwiał się niebezpiecznie, a Duncan wiedział, że wyzwanie to okaże się znacznie trudniejsze niż ćwiczenia na równowagę. W połowie znienacka pojawiły się projekcje solido przedstawiające groźne zwierzęta, ale zorientowawszy się, że to hologramy, Duncan skupił się na przejściu, a nie walce. I dzięki temu nie spadł.

„Największym wrogiem jest własny umysł – huczało mu w pamięci. – Przede wszystkim należy zapanować nad trwogą. Jakkolwiek groźnie wyglądałyby ciosy, to nie one są twoim głównym przeciwnikiem”.

Musiał wykorzystać wszystkie swoje umiejętności, każdej poznanej techniki użyć w odpowiedniej chwili – a wszystko po to, aby przeżyć.

Szkoła Ginazów uczyła technik bojowych, ale przecież nigdy dwie sytuacje w rzeczywistej walce nie będą takie same. „Najważniejsza broń wojownika to zwinność umysłowa i cielesna, której towarzyszy umiejętność dostosowania się do wymogów chwili”.

Kiedy znalazł się na drugiej stronie przepaści, wyczerpany tyleż utrzymywaniem równowagi, co niezwracaniem uwagi na pozornych przeciwników, nogi pod nim dygotały. Nie mógł jednak odpocząć, musiał zmierzać ku mecie.

Przed sobą miał wąski parów wyłożony deskami: znakomite miejsce na atak. Chwilę czekał, a potem puścił się pędem, wybijając szybki rytm gołymi stopami. Po drugiej stronie przejścia czekał go ostrzał; odpowiedział ogniem, który prowadził, turlając się po ziemi w lewo, po prawej bowiem czyhały pułapki ładunków wybuchowych. Kiedy zrywał się do biegu, nadleciała dzida, ale odbił ją, zasłaniając się włócznią. W chwilę później zobaczył w powietrzu dwa mignięcia, zastawił się drzewcem i w tej samej chwili utkwiły w nim, wibrując, dwa latające drobne manekiny, podobne do samosterujących grotów. Dookoła widział krew, kilka metrów z boku leżało nieruchome ciało. Chociaż nie powinno go to obchodzić, jednak nie mógł powstrzymać żalu na myśl o kimś, kto przez osiem lat umykał wszystkim pułapkom tylko po to, żeby kres znaleźć tutaj, tak blisko zwycięskiej mety. Tak niewiele brakowało!

Niekiedy w rozwibrowanym polu tarczowym pokazywali się na chwilę obserwatorzy, którzy dotrzymywali mu kroku, inni mistrzowie miecza, z których wielu pamiętał. Odegnął

od siebie pytanie, jak wielu kolegom się udało. Nie wiedział też, czy powiodło się Resserowi.

Jak dotąd korzystał tylko z noży i włóczni; miecz Starego Księcia zwiślał nie ruszony u boku. Dodawał mu ducha, zupełnie jakby Paulus Atryda towarzyszył mu i nieprzerwanie szeptał słowa zachęty. „Muszę mieć na swym dworze każdego chłopaka, który ma w sobie tyle ognia co ty” – powiedział kiedyś Stary Książę.

I oto zobaczył przed sobą ostatnią zaporę: wpuszczona w ziemię wielka wanna wrzącego oleju, której nie można było ominąć, gdyż z obu stron przejście blokowały pola tarczowe. Koniec Korytarza Śmierci.

Gryzący dym powodował kaszel, a także utrudniał widzenie. Poprzez łzy badał uważnie przeszkodę, która przypominała łakomie rozwartą paszczę demona. Brzeg kadzi połykiwał od pryskającego oleju.

Ostatnia przeszkoda. Jakoś musi sobie z nią poradzić.

Za sobą usłyszał szcęk metalowej bramy, która zamknęła się na wypadek, gdyby przyszło mu do głowy zawrócić. Opleciona kolczastym szigarutem nie pozwalała nawet myśleć o przejściu ponad nią.

„I tak bym niczego takiego nie próbował”.

„Nie spieraj się nigdy z instynktami, chłopcze” – powtarzał Paulus Atryda. To właśnie jakiś wewnętrzny głos kiedyś nakazał mu przyjąć do siebie na służbę chłopaka, który przybył z planety Harkonnenów.

Zastanawiał się, czy udałoby się przeskoczyć, ale z powodu płomieni i dymu nie mógł ocenić, jak daleko jest druga krawędź. A jeśli kadź wcale nie była okrągła, a jej widoczny profil miał zmylić łatwowiernych? Podstęp w podstępie.

A może wrzący olej był tylko holoprojekcją? Ale czuł gorąco, dławił go dym, musiały więc być prawdziwe. Rzucił włócznią, a ta z brzękiem odbiła się od przeciwnej krawędzi.

Za sobą posłyszał tym razem głuchy warkot, a kiedy się obejrzał, zobaczył, że brama wolno sunie w jego kierunku. Jeśli nie znajdzie żadnego sposobu, zostanie po prostu zepchnięty do kadzi.

Wyrwał zza pasa miecz i przeciął nim powietrze. Wspaniały oręż wydawał się teraz zupełnie bezużyteczny. „Myśl. Oczekuj tego, co nieoczekiwane!”

Spojrzał na wytworzone przez tarczę pole po prawej stronie, przypomniał sobie nauki pobierane na Kaladanie od Thufira Hawata. „Pole tarczy osobistej nie stawia przeszkody przedmiotowi poruszającemu się z właściwą prędkością, ani za szybko, ani za wolno”.

Na próbę przeciął mieczem powietrze.

Czy może mu to w czymś pomóc? Wniknąwszy w pole, miecz zmieni jego układ, może wytworzy lukę, ale jeśli nawet, to jak długo ona się utrzyma? Czy zdąży prześliznąć się, zanim pole z powrotem się zawrze?

Brama już prawie na niego naciskała. Nie może się poddać, wybór miał jednak niewielki. Zbliżył się o kilka kroków do miejsca, gdzie czuł intensywny zapach ozonu, a na skórze



elektryczne mrowienie. Przypomniała mu się modlitwa powtarzana przez matkę, zanim zamordował ją Rabban, ale pamięć zachowała tylko fragmenty, nie układające się w żadną sensowną całość.

Mocno chwycił miecz i pchnął nim tak, jakby dźgał wodospad. Kiedy cofał broń, czuł falowanie pola, co trochę przypomniało mu patroszenie ryby.

I teraz rzucił się do przodu szczupakiem, mierząc w miejsce po mieczu. Czuł, jak ciało dziwnie wibruje, wylądował jednak na ciemnym kawałku wulkanicznej skały. Przetoczył się na plecach i zerwał, gotów walczyć z mistrzami, gdyby uznali, że złamał reguły. Tak czy inaczej, nie miał za sobą bezlitosnej bramy, a przed sobą wrzącego oleju.

– Wspaniale! Jeszcze jeden, który przeszedł!

Jamo Reed, zwolniony na ten czas z dozoru nad więzienną wyspą, rzucił się na Duncana i schwycił w mocnym uścisku. Za nim stali Mord Cour i Jeh-Wu z niezwykle u nich wyrazami zadowolenia na twarzy. Duncan nigdy nie widział ich tak pogodnych.

– Czy to był jedyny sposób? – spytał Duncan, kiedy już wyzwolił się z uścisku Reeda. Popatrzył niepewnie na Morda Coura, podczas gdy ten ryknął śmiechem.

– Wpadłeś na jedno z dwudziestu dwóch rozwiązań.

– A może chcesz wrócić i popробować innych? – wtrącił ktoś inny, ale nawet nie spoglądając w kierunku pytającego, Duncan wiedział, że to kpiący głos Resslera.

Schował miecz do pochwy i poklepał przyjaciela po plecach.

*Jak zdefiniować Kwisatz Haderach? Mężczyzna, który jest jednocześnie wszędzie, jedyny mężczyzna, który może stać się człowiekiem największym ze wszystkich, gdyż łączy w sobie elementy dziedzictwa męskiego i żeńskiego.*

## **z Księgi Azhar Bene Gesserit**

W znajdującym się w podziemiach cesarskiego pałacu systemie basenów i łączących je kanałów zażywały kąpieli dwie kobiety odziane w czarne kostiumy. Młodsza płynęła bez wysiłku i zwalniała, ilekroć starsza pozostawała z tyłu. Obcisły materiał, gładki i ciepły, zapewniał komfort poruszania się w wodzie, a zarazem osłaniał ciało zgodnie z regułą Bene Gesserit, od której można było odstąpić w wyjątkowych sytuacjach, gdy wymagały tego wzglądy dyplomatyczne lub uroczyste okazje. Reguła pomagała w zachowaniu tajemniczości, która zawsze miała otaczać zakon i jego siostry.

– Nie mogę już robić tego... co dawniej – poskarżyła się Wielebna Matka Lobia i Anirula pomogła jej wpłynąć w największy z basenów, w którym woda nasycona była solami i substancjami ziołowymi. Jeszcze nie tak dawno temu Prawdomówczyni Lobia dotrzymywała

Aniruli kroku w basenie, teraz jednak stu siedemdziesięcioletce coraz częściej brakowało tchu. Para, która skraplała się na wysokim suficie, kapiała z niego niczym tropikalny deszcz.

– Znakomicie dajesz sobie radę, Wielebna Matko – powiedziała Anirula i pomogła starszycie wejść na kamienne stopnie.

Twarz Lobii skrzywiła się w uśmiechu.

– Nigdy nie kłam Prawdomówczyni. – Z trudem łapała oddech. – A zwłaszcza Prawdomówczyni Cesarza.

– A czy żona Cesarza nie może liczyć na odrobinę wyrozumiałości?

Lobia zachichotała. Anirula pomogła jej zająć miejsce w fotelu plastycznie dostosowującym się do ciała i podała miękki karthanowy ręcznik. Prawdomówczyni okryła się nim i nacisnęła guzik, który uruchomił program masażu skóry. Westchnęła z ulgą, kiedy poczuła, jak elektryczne pola zaczynają ugniatać mięśnie i gładzić zakończenia nerwów.

– Podjęto przygotowania, aby znaleźć moją następczynię – oznajmiła Lobia, odrobinę podnosząc głos, aby dał się słyszeć pomimo szumu urządzenia. – Przejrzałam listę kandydatek. Miło byłoby powrócić do szkoły zakonnej, ale nie wydaje mi się, bym jajeszce zobaczyła. Tutaj, na Kaitain, klimat jest tak łagodny, a ja tęsknię za surowością Wallach IX. Czyż to nie dziwne?

Anirula przysiadła na brzegu krzesła i wpatrywała się w wiekową twarz, czując zarazem, jak w niej samej odzywa się poszum głosów już tylko w niej obecnych.

Jako tajemnej Kwisatz Matce, Pamięć Innych towarzyszyła Aniruli wyraźnie i stale. Wszystkie trwające w niej egzystencje przemawiały głośno, objawiając rzeczy, o których większość Bene Gesserit nie miała pojęcia. Pomimo swego wieku Lobia nie wiedziała tyle co Anirula.

„Jestem mądra nad swój wiek” – myślała z autoironią Anirula, a przecież chodziło o to, że niosła w sobie ciężar wielu wieków i niezliczonych wydarzeń.

– I co pocnie Cesarz, nie mając cię koło siebie, Wielebna Matko? – spytała. – Jak bez twojej pomocy będzie odróżniał, kto mówi prawdę, a kto kłamie? Jesteś absolutnie niezwykłą Prawdomówczynią.

Ale Lobia nie usłyszała już tego pytania, gdyż zmorzył ją sen. Wpatrując się w nią, Anirula myślała o charakterystycznych dla zakonu różnych poziomach wtajemniczenia. Drzemiąca Prawdomówczyni była jedną z najpotężniejszych kobiet w Cesarstwie, a przecież nie znała celu misji powierzonej Aniruli, ba, w gruncie rzeczy bardzo niewiele wiedziała o programie Kwisatz Haderach.

Po drugiej stronie basenu pojawił się wychodzący z sauny Szaddam przepasany karthanowym ręcznikiem. Zanim drzwi za nim się zamknęły, zdążyła zobaczyć dwie nagie konkubiny z cesarskiego haremu, a tyle ich już przewinęło się u boku jej męża, że przestała je odróżniać nawet przy całej spostrzegawczości Bene Gesserit.

Anirula nie była już seksualnie atrakcyjna dla Szaddama, chociaż, oczywiście, wybornie

znała techniki zapewnienia mu rozkoszy. Zgodnie z poleceniem Matki Przełożonej urodziła mu czwartą córkę, Josifę. Każda kolejna ciąża, która sprowadzała na świat nowego żeńskiego potomka rodu Korrinów, przyprawiała go o furję i jeszcze bardziej zdecydowanie popychała w ramiona nałożnic. Pamiętając o długotrwałej jurności Elrooda, Anirula czasami zastanawiała się, czy Szaddam czasem nie rywalizuje z duchem swego ojca, jeśli chodzi o liczbę kochanek. A jeśli tak, to jaki jest obecnie wynik?

Szaddam spojrzął obojętnie na żonę, bez słowa odwrócił się i wskoczył do jednego z chłodniejszych basenów, by następnie ruszyć w pierwszą z dziesięciu rund po całym systemie pałacowym, jakie codziennie wykonywał.

Bardzo by chciała, aby co najmniej tyle samo uwagi poświęcał sprawom Cesarstwa co swoim rozrywkom. Od czasu do czasu wypytywała go delikatnie i wtedy okazywało się, że wie o wiele mniej od niej o układach między rodami i rozgrywających się wokół niego intrygach. W jego sytuacji była to bardzo szkodliwa ignorancja. Koncentrował się na rozbudowie oddziałów sardaukarów, robił to jednak bez żadnego planu i dlatego co jakiś czas okazywało się, że jest ich za mało. Lubił o sobie myśleć jako o żołnierzu i z ochotą nosił mundur, ale poza tym niewiele w nim było militarnego ducha. Bawił się swoimi armiami jak ołowianymi żołnierzami, ale zupełnie nie potrafił operować nimi w skali Cesarstwa.

Usłyszała wysoki pisk; na krawędzi basenu przysiadł czarny nietoperz, który przyniósł z Wallach IX dystransową wiadomość. Przywieziony na Kaitain, potem został wypuszczony i bez trudu odnalazł Anirulę. Lobia nawet nie drgnęła, Szaddam miał się pojawić dopiero za godzinę. Na razie była sama.

Skupiła się i dostosowała swe struny głosowe tak, aby móc porozumieć się z nietoperzem, który poderwał się i przysiadł na jej mokrej dłoni. Spoglądała na brzydki pyszczek, ostre ząbki, oczka jak dwa paciorki. Anirula wysłała kolejny sygnał, a nietoperz odpowiedział jazgotem, niosącym wiadomość, która w zaszyfrowanej postaci została utrwalona w systemie nerwowym latającego posłańca.

Anirula utrwaliła dźwięki w pamięci i zaczęła odczytywać zgodnie z kodem, którego nie znała nawet Lobia.

Była to wiadomość od Matki Przełożonej Harishki, która informowała ją o postępach finalnej fazy programu genetycznego starannie realizowanego od dziewięćdziesięciu pokoleń. Siostra Jessika, sekretna córka Gaius Heleny Mohiam i barona Vladimira Harkonnena, ciągle nie wywiązywała się ze swej świętej misji, którą było powicie córki. Czy była to przypadkowa zwłoka, czy rozmyślne działanie? Mohiam informowała, że jej córka jest bardzo utalentowana i lojalna wobec zakonu, chociaż niekiedy bywa uparta.

Anirula wyczekiwała z niecierpliwością owej dziewczynki, która dorósłszy, miała stać się matką tajemnej broni zakonu. Chociaż jednak Jessika sypiała już z Letem Atrydą od jakiegoś czasu, ciągle nie zachodziła w ciążę. Celowo? Jej płodność była potwierdzona badaniami, sama Jessika miała prawdziwy talent uwodzicielski, a księżę Leto spłodził już jednego syna.

Dlaczego zatem wszystko się odwlekało?

Wiadomość była niepomysłna. Jeśli długo oczekiwana córka połączonych linii Harkonnenów i Atrydów nie urodzi się niebawem, Matka Przełożona odwoła Jessikę na Wallach IX, aby dowiedzieć się, co jest przyczyną opóźnienia.

W pierwszym odruchu Anirula chciała wypuścić nietoperza, wołała jednak nie ryzykować i jednym zręcznym ruchem ukreśliła mu drobny łepiek, a małe ciało wrzuciła do pojemnika na odpady.

Nie budząc Lobii, pospiesznie oddaliła się do swoich komnat.

*Wyrywasz rany w moim ciele i wcierasz w nie sól.*

### **skarga wolańska**

Chociaż Liet miał przy sobie tylko najprostsze środki higieniczne, Warrick przeżył. Przygnieciony bólem i wyrzutami sumienia, powiózł ledwie żywego przyjaciela na grzbiecie piaskala. Podczas długiej podróży dzielił z nim swe zapasy wody; jak umiał, starał się zreperować destylozon.

W siczy Czerwonego Muru rozbrzmiały lamenty i zawodzenia, a Faroula, znana już dzięki swemu talentowi do ziół, ani na chwilę nie odstępowała męża, podczas gdy on walczył, chwytając strzępiące się nitki życia.

Zabandażowana twarz nigdy już nie miała ozdrowieć. Liet słyszał, że Bene Tleilax potrafią stworzyć nowe oczy, członki, ciało, ale Wolanie nigdy by się nie zgodzili na takie zabiegi. Za zasłoną oddzielającą pomieszczenia Warricka siedzieli nieustannie starsi i dzieci, aby pieśniami odstraszać demony.

Heinar, jednooki naib siczy, przyszedł zobaczyć swego okaleczonego zięcia. Obok jego łoża klęczała Faroula, a na jej twarzy, kiedyś tak żywo przechodzącej od radości do gniewu, teraz malowała się apatia i rezygnacja. Chociaż Warrick nie umarł, miała na głowie żałobną żółtą chustę nezhoni.

Posępny naib zwołał naradę starszych siczy, na której Liet dokładnie opowiedział, co się stało, podkreślając wielkość poświęcenia Warricka. Nie ulegało wątpliwości, że postąpił jak bohater i zasłużył sobie na pieśni, które upamiętniłyby jego czyn, tyle że popełnił jeden straszliwy błąd.

Nie umarł w porę.

Heinar zarządził przygotowania do wolańskiego pogrzebu, wszyscy bowiem byli pewni, że to tylko kwestia czasu. Człowiek okaleczony do tego stopnia nie powinien przeżyć.

Warrick jednak żył.

Starannie okrywane przez Faroulę maściami rany przestawały krwawić. Karmiła Warricka, w czym często pomagał jej Liet, który bardzo chciał okazać się w czymkolwiek pomocny. Ale nawet syn Ummy Kynesa nie mógł uczynić cudu, który potrzebny był przyjacielowi. Liet-chihem, synem Warricka, który nic jeszcze nie rozumiał z tego, co się stało, opiekowali się głównie dziadkowie.

Wprawdzie ciało Warricka było straszliwie poszarpane, nie otaczał go jednak odór infekcji, rany się nie zieleńły ani nie ropiały. Zdrowiał, chociaż wyrwy w ciele sięgały aż do kości. Odarte z powiek oczy wpatrywały się nieruchomo przed siebie, podczas gdy dla Warricka nieprzerwanie trwała noc. Czuwający przy nim wraz z Faroulą Liet godzinami opowiadał po tym, co zobaczył na Salusa Secundzie, wspominał wspólne wyprawy na Harkonnenów, urządzane na nich zasadzki, gdy jeden z nich służył za przynętę.

Warrick całymi dniami leżał bez ruchu. Na uboczu Faroula często pytała zbolalym głosem:

– Czym obraziliśmy Szej-huluda? Dlaczego tak nas ukarał?

Któregoś dnia Warrick poruszył się jednak, a zaskoczona Faroula cofnęła się w przestraszu. Jej mąż usiadł, a gałki oczne poruszyły się. Z trudem, bardzo niewyraźnie przemówił:

– Miałem wizję i teraz wiem, jak mam postąpić.

Całymi dniami Warrick snuł się po korytarzach siczy. Wiar i piach odebrały mu wzrok, ale drogę znajdował dzięki dotykowi i mistycznemu wewnętrznemu spojrzeniu. Trzymał się cienia, miał głos niski i chrapliwy, ale zniewalający. Ludzie chcieli uciekać, tymczasem zastygali, kiedy zaczynał mówić.

– Kiedy stałem ogarnięty przez wicher, w chwili, kiedy powinienem umrzeć, usłyszałem głos. To Szej-hulud wyjaśnił mi, dlaczego muszę zostać tak doświadczony.

Faroula, ciągle w żółtej opasce na głowie, próbowała zaciągnąć męża do rodzinnych pomieszczeń, chociaż jednak Wołanie nie próbowali rozmawiać z Warrickiem, chcieli go słuchać. Jeśli ludzie w ogóle dostępują świętych wizji, dlaczego nie miałyby się to stać udziałem Warricka, skoro przetrwał tak ciężką próbę? Czy to tylko zbieg okoliczności, że przetrwał coś, czego żaden inny człowiek do tej pory nie przeżył? Czy może to dowód, że Szej-hulud ma dla niego jakieś zadanie, nitkę w kosmicznym gobelinie? Jeśli kiedykolwiek widział człowieka dotkniętego palcem Boga, to był nim właśnie Warrick.

Któregoś dnia, patrząc przed siebie nie widzącym wzrokiem, wkroczył do sali, gdzie Heinar prowadził zebranie Rady Starszych. Wszyscy zamilkli, podczas gdy Warrick zastygł w drzwiach.

– Musicie utopić Stworzyciela – oznajmił. – Wezwijcie sajjadinę, aby nadzorowała ceremonię Wody Życia. Muszę ją przemienić... abym mógł zrobić następny krok.

Odwrócił się i odszedł, zostawiając Heinara i starszyznę w lęku i niepewności.

Nie zdarzyło się jeszcze, by jakiś mężczyzna kosztował Wody Życia i przetrwał tę próbę. To mogła zrobić tylko Wielebna Matka, każdego innego trucizna bowiem powalała na miejscu.

Warrick tymczasem wszedł do wielkiego pomieszczenia, gdzie młodzi Wolanie mieszały w kadziach surową przyprawę. Panny ugniatały destylat melanzowy do późniejszej produkcji plastików i paliwa. Pod ścianą w hipnotycznym rytmie pracowały ogromne krosna. Inna grupa kobiet siedziała nachylona nad destylozonami, dokonując napraw i konserwacji.

Na solarnych kuchniach gotowały się przeciery, które Wolanie spożywali na południowy lekki posiłek; na główny przychodziła pora po zachodzie słońca, kiedy powietrze robiło się chłodniejsze. Starzec nosowym głosem snuł starodawną opowieść o wielowiekowych cierpieniach Zensunnitów, jakich zaznali, zanim dotarli na pustynną planetę. Liet-Kynes siedział między dwoma wojownikami Stilgara i popijał kawę przyprawową.

Wszyscy zastygli, gdy wszedł Warrick i zaczął mówić:

– Widziałem raj, Diunę w zieleni. Nawet Umma Kynes nie zna tych cudów, jakie odsłonił przede mną Szej-hulud. – Jego głos wydawał się chłodnym podmuchem wpadającym przez szczelinę w skale. – Słyszałem Głos z Innego Świata. Dana mi była wizja Lisana al-Gaiba, którego wyczekujemy. Widziałem drogę, którą obiecuje legenda i o której zapewnia sajjadina.

Wolanie poruszyli się zaniepokojeni śmiałością Warricka. Wszyscy znali to proroctwo; przekazywano je z pokolenia na pokolenie, z plemienia na plemię, Wielebne Matki powtarzały je od stuleci. Trwało to od tak dawna, że niektórzy zaczęli wątpić, a inni jeśli wierzyli – to z bojaźnią.

– Muszę skosztować Wody Życia, gdyż widziałem Drogę.

Liet powstał, wziął przyjaciela za rękę i zaprowadził do Farouli, która rozmawiała właśnie z ojcem. Kiedy podniosła wzrok na męża, widać było, jak są podkrążone i zaczerwienione od łez. Obok na dywanie płakał synek.

Na widok Lieta i Warricka Heinar zwrócił się do córki:

– Jest to, co być musi, Faroulo. Rada postanowiła. To bardzo trudna decyzja, ale jeśli... jeśli, jak twierdzi, jest Lisaniem al-Gaibem, musimy postąpić, jak chce, i dać mu Wodę Życia.

I Faroula, i Liet próbowali wpłynąć na Warricka, on jednak upierał się przy swoim postanowieniu. Nieugięcie trwał z wyprostowaną głową i nieruchomymi, pustymi oczami.

– To moja maszad i mój mihna. Próba ducha i pobożności.

– A skąd wiesz, że to nie był tylko szum wiatru? – pytał natarczywie Liet. – Skąd wiesz, że to nie złuda?

– Bo wiem.

I była w tym głosie taka siła, że nie pozostawało im nic innego, jak tylko uwierzyć.

Stara Wielebna Matka Ramallo przybyła z dalekiej siczy, aby przygotować ceremonię. Wolanie utopili niewielkiego, liczącego raptem dziesięć metrów piaskala, w wodzie zaczerpniętej z kanatu. Kiedy ten w przedśmiertnej agonii wyrzucił z siebie trującą ciecz,

przelali ją do pojemnika i zaczęli przygotowania do obrzędu.

Tymczasem planetolog Kynes powrócił z jednej ze swych rutynowych inspekcji, tak jednak był pochłonięty swoimi sprawami, że nie zauważył niczego niezwykłego. Wprawdzie uzalił się nad losem Warricka, ale Liet widział, że umysł ojca zaprzątnięty był sprawami związanymi z wielką planetarną przemianą. Okazywały się ważniejsze nawet od tego, że może Warrick był właśnie tym prorokiem, który mógł zjednoczyć wszystkie plemiona wolańskie.

W wielkiej sali spotkań zebrali się wszyscy mieszkańcy siczy. Na podium, z którego Heinar przemawiał do całej populacji Czerwonego Muru, wstąpił Warrick, któremu towarzyszyli naib i sajjadina służąca już kilku pokoleniom Wolan. Przypominała z wyglądu pustynną jaszczurkę, tak już wyschniętą i stwardniałą, że oparłaby się nawet jastrzębiowi.

Sajjadina przywołała wodarzy i wygłosiła rytualne formuły, oni powtarzali je za nią, ale z większą niż zwykle trwogą. Jedni naprawdę wierzyli w słowa Warricka, inni obawiali się, że wcale się one nie potwierdzą.

W sali czuło się niespokojne poruszenie. Zazwyczaj orgia tau była radosnym wydarzeniem, odprawianym tylko z bardzo ważnych okazji: zwycięstwa odniesionego nad Harkonnenami, znalezienia znacznego pokładu przyprawy, wyratowania się z jakiejś klęski żywiołowej.

Ale teraz stawka była o wiele wyższa. Wszyscy patrzyli na pełną determinacji twarz Warricka i zastanawiali się, czy odmieni całe ich dotychczasowe życie, czy raczej poniesie straszliwą klęskę, jak zdarzało się to już od całych pokoleń.

Liet wraz z Faroulą i jej synkiem stał na przodzie. Mocno zacisnąwszy usta, Wolanka wpatrywała się w męża wzrokiem pełnym lęku. Liet bardzo chciał jej pomóc, nie wiedział jednak, czy bardziej boi się tego, że trucizna zabije Warricka, czy też tego, że nadal będzie skazany na swą dotychczasową wegetację.

Sajjadina Ramallo skończyła swe obrzędy i wręczyła bukłak Warrickowi.

– Niechaj Szej-hulud obwieści, czy dostąpiłeś prawdziwej wizji i czy jesteś Lisanem al-Gaibem, na którego czekamy od tak dawna.

– Widziałem Lisana al-Gaiba – rzekł Warrick i dodał tak cicho, aby tylko Wielebna Matka go usłyszała: – Nigdy nie mówiłem, że ja nim jestem.

Odarte ze skóry kości i ścięgna Warricka poruszyły się, gdy ujął miękki bukłak i uniósł do ust. Ramallo nacisnęła boki giętkiego pojemnika i pierwszy łyk znalazł się w ustach Wolanina.

Przełknął raz i drugi.

Zapadła cisza, wszyscy wpatrywali się w napięciu. Lietowi zdawało się, że słyszy zgodne bicie serc. Wstrzymany oddech był jak błagalny szept, krew pulsowała w uszach. Patrzył i czekał – jak pozostali.

– Jastrząb i mysz są tym samym – odezwał się spoglądający w przyszłość Warrick.

Po chwili Woda Życia zaczęła działać.

Wszystkie poprzednie cierpienia Warricka, męka, jakiej zaznał podczas kurzawy koriolisa, stanowiły tylko preludium do czekającej go teraz okropnej śmierci. Trucizna wniknęła do wszystkich komórek, do każdej z nich wnosząc ogień. Wolanie byli przekonani, że wizja Warricka nie była prawdziwa. Miotał się na podium i skręcał.

– Sami nie wiedzą, co stworzyli! Zrodzony z wody, umiera w piachu!

Ramallo cofnęła się o krok i wpatrzyła w Warricka niczym drapieżny ptak w upatrzoną zdobycz. „Co to może znaczyć?”

– Sądzą, że mają go pod kontrolą, ale jakże się łudzą!

– Mówi, że widzi to, czego inni nie mogą zobaczyć. Dojrzał Drogę. – Starannie dobierała słowa, szukając inspiracji translacyjnych w na pół zapomnianych filtrach panoplia propheticus.

– Lisan al-Gaib! W nim ucieleśnia się wszystkie nasze sny. – Warrickiem szarpnęły tak straszliwe torsje, że żebra zatrzeszczały, a z ust wraz z wymiocinami popłynęła krew. – Ale zupełnie inaczej niż sądzimy.

Sajjadina uniosła rękę podobną do ptasich pazurów.

– Widział Lisana al-Gaiba, który nadchodzi i spełni nasze sny.

Warrick krzyczał, dopóki wystarczyło mu głosu, a potem skręcał się i zwijał, aż wreszcie mózg także został opanowany przez truciznę. Mieszkańcy Obozu Bilarnego spożyli zatrutą wodę i jeszcze po dziś dzień umierali w cierpieniach. Dla Warricka nawet ich los byłby ulgą.

– Jastrząb i mysz są tym samym!

Wolanie w niczym nie mogli mu pomóc, przyglądali się więc w bezsilnej rozpacz. Agonia trwała całymi godzinami... A jeszcze więcej czasu potrzebowała Ramallo, aby odczytać sens tajemniczej wizji.

*Ciężkie są i kamień, i piach, ale jeszcze cięższy jest gniew głupca.*

**książę Leto Atryda**

Kiedy posępny Dominik Vernius powrócił do bazy biegunowej na Arrakis, wszyscy jego ludzie wylegli na powitanie, ale po jego minie zaraz się zorientowali, że ich przywódca nie ma dobrych wiadomości.

Spod szerokich brwi spoglądały pełne strapienia oczy, ogorzała niegdyś skóra nagle się postarzała, zupełnie jakby starto z niego cały zewnętrzny kolor i została tylko żelazna wola. Zniknęła resztką nadziei i teraz żył już tylko zemstą.



Przed witających wyszedł weteran Asuyo, w ciężkim płaszczu synfurowym rozpiętym na piersi, tak że widać było gąszcz białych włosów. W zakłopotaniu potarł czoło.

– Co jest, Dom? Co się stało?

Dominik spojrział w górę ku szczytowi otaczającej ich rozpadliny.

– Widziałem rzeczy, które szarpią na strzępy serce każdego rodowitego Ixianina. Moja ojczyzna została zabita, tak jak moja żona.

I mechanicznym krokiem Vernius skierował się do labiryntu wykutych w skale korytarzy. Tak samo zaczęli go inni z jego towarzyszy, ale on nie odpowiadał na żadne pozdrowienia ani powitania, milkli więc i za jego plecami rozlegały się zalężnione szepty. Szedł przed siebie bez celu, a kiedy przeciągał ręką po kamiennych ścianach, przypominały mu się jaskinie Ix.

Wreszcie zatrzymał się, nabrał głęboko powietrza i przymknął powieki, a wtedy przed oczami stanęły mu utracone skarby Vernii, Grand Palais, stalaktytowe budynki, krystaliczna architektura.

Chociaż przez całe stulecia trwała zażarta rywalizacja z Richesami, jednak ani im, ani żadnemu innemu przeciwnikowi nie udało się zabrać z rąk Verniusów palmy pierwszeństwa, jeśli chodzi o wynalazki i innowacje techniczne. Tymczasem wystarczyło kilkanaście lat, by Tleilaxanie przejęli monopol, zamknęli dostęp do Ix, nie dopuszczali nawet przedstawiciele Banku Gildii, a wszystkie transakcje załatwiali w wybranych przez siebie filiach na innych planetach.

Kiedyś, w czasach młodości, Dominik nie szczędził sił i krwi, gdy chodziło o służbę dla Cesarza. Podczas rebelii na Ekazie niejedną raz ryzykował życie, by bronić honoru Korrinów. Było to jednak tak dawno temu, że miał wrażenie, iż to zdarzenia z innego życia.

Wtedy wydawało się, że separatyści z Ekazu dali się ponieść rojeniom i chociaż może ich jedyną winą była naiwność, trzeba ich było surowo ukarać, aby czasem nie znaleźli się jacyś naśladowcy w galaktycznym Cesarstwie.

W tych walkach Dominik stracił wielu świetnych żołnierzy. Z bólem patrzył na śmierć i cierpienia tych, którzy walczyli na jego rozkaz. Przypomniało mu się, jak biegnie poprzez spalony las, obok siebie mając brata Johdama, dzielnego i bystrego chłopaka. Krzycząc, z bronią wystawioną do przodu, wpadli między przeciwników, którzy cofnęli się pod naporem szaleńczego ataku. Nagle brat Johdama przewrócił się, a Dominik pomyślał w pierwszej chwili, że pewnie potknął się na jakimś korzeniu, ale kiedy się nachylił, zobaczył, że jego towarzyszowi artyleria fotoniczna odstrzeliła głowę.

Tego dnia wygrali, ale stracił ponad jedną trzecią ludzi. Pokonali buntowników, on dostał za to odznaczenia, ale martwym żołnierzom pozostały tylko masowe groby daleko od rodzinnych planet.

Ród Korrinów nie zasłużył na tyle poświęcenia.

Za sprawą wojennych dokonań ród Verniusów polepszył swą pozycję w ZNAH-u. Na

Kaitain powitano go ze wszystkimi honorami, gdy nastąpiło uroczyste, ponowne osadzenie na Mahoniowym Tronie młodzieńczego arcyksięcia Ekaza. Dominik u boku Elrooda przemierzał wielkie sale lśniące od kryształów, polerowanego drewna i drogich metali. Po jego prawicy zasiadł przy wielkim, zdało się, na kilometry długim stole biesiadnym, podczas gdy tłumy na zewnątrz wiwatowały na jego cześć. Pamiętał, jak dumnie stanął przed Tronem Złotego Lwa, gdy nadszedł czas wręczania odznaczeń: dla niego Krzyża Chwały, a medali dla jego dowódców.

Stał się legendarnym bohaterem, a ludzie darzyli go bezgranicznym zaufaniem, o czym mógł się przekonać zwłaszcza teraz, gdy szczęście się od niego odwróciło. Nie, Korrinowie nie zasłużyli na coś takiego.

„O czym myślisz, Dominiku?”

Miał wrażenie, że głos ten rozległ się w jego głowie, tak znajomy, a przecież już jakby zapomniany...

Shando? Przecież to niemożliwe.

„O czym myślisz, Dominiku?”

– To, co zobaczyłem na Ix, zniszczyło ostatnie opory. – Powiedział to wprawdzie na głos, ale tak cicho, że nikt inny nie mógł tego usłyszeć. Nikt... z wyjątkiem jego ukochanej. – I postanowiłem, kochanie, zrobić coś, co powinienem zrobić dwadzieścia lat temu.

W ciągnącym się miesiącami antarktycznym dniu Dominik nie zauważał mijających godzin, dni i tygodni. Niedługo po powrocie, mając w głowie plan tak wyrazisty jak posąg, udał się w roboczym ubraniu do Rondo Tueka.

Przemysłowcy co miesiąc sownie płacili Tuekowi za milczenie, on zaś pomógł nawiązać kontakty z Gildią, umożliwiające transport na inne planety. Dominik płacił łapówki lekką ręką; nie troszczył się o zyski, bo rabował solarisy tylko po to, aby uszczuplić zasoby rodu Korrinów, natomiast zależało mu na tym, aby mógł robić to, co chciał.

Nikt z obcoświatowych robotników w wytwórni wody nie rozpoznał go, chociaż odpowiadali opryskliwie, gdy wypytywał o jej właściciela.

Tuek go poznał, ale nie ukrywał zdziwienia.

– Od lat już się pan nie pokazywał.

– Dotychczas nie miałem takiej potrzeby, ale teraz chciałem prosić o pomoc, za którą oczywiście, zapłacę.

Rondo Tuek uśmiechnął się, a oczy mu błysnęły. Poglądził grubego warkocz opadający po lewej stronie głowy.

– Zawsze jestem chętny do pomocy. – Wskazał ręką kierunek. – Tędy proszę.

Kiedy wyszli z za rogu, zobaczyli nadchodzącego w ich kierunku z opuszczoną głową mężczyznę, w rozpiętej na piersi białej parce, który co chwilę przekładał niesioną paczkę.

– Lingar Bewt – powiedział Tuek. – Niech pan uważa, bo na pana wpadnie.

Chociaż jednak Dominik ustąpił z drogi nadchodzącemu, zrobił to tak późno, że tamten otarł się o niego i paczka wypadła mu z rąk. Kiedy się schylił, by ją podnieść, można było zobaczyć, że jego twarz jest pyzata, a sylwetka zaokrąglona. Z pewnością marny materiał na zabijakę.

Kiedy tamten pospiesznie się oddalił, Tuek dodał:

– Bewt zajmuje się księgowością i administracją. Nie wiem, co bym bez niego zrobił.

Dominik obojętnym wzrokiem spojrzął na kosztowności w gabinecie Tueka.

– Potrzebny mi statek transportowy. Duży, nie oznakowany. W ładowni liniowca ma się znaleźć tak, aby w ogóle nie wiązano tego z moim nazwiskiem.

Tuek zaplótł ręce na brzuchu i zamrugął. Lekki tik na szyi sprawiał, że co kilka chwil przekrzywiał głowę to na jedną, to na drugą stronę.

– A, jakieś duże złoże? Ile ma pan tej przyprawy? – Nachylił się nad blatem. – Pomogę sprzedać, mam rozległe kontakty...

– To nie przyprawa – uciął dyskusję Dominik. – Nie powinno pana interesować, co to takiego. To... sprawa osobista.

Tuek wyprostował się wyraźnie urażony.

– Nie, to nie. Oczywiście, jeśli uzgodnimy cenę, mogę się postarać o statek transportowy. O wszystko zresztą, czego pan zechce. Już teraz jednak muszę zarezerwować miejsce na najbliższym liniowcu. Jakie jest miejsce przeznaczenia?

Dominik chwilę wpatrywał się w stół.

– Kaitain, oczywiście... jaskinia Korrinów. – Podniósł wzrok. – Ale powiadam, załatwi mi pan transport, niczym więcej jednak proszę się nie interesować, panie Tuek.

– Jeśli coś nie jest moją sprawą, to nie jest – odparł Tuek i wzruszył ramionami. Zaczął przekładać papiery z przejętą miną. – Proszę przyjść do mnie za tydzień, a wszystko będzie gotowe. Teraz należy ustalić cenę.

Ale Dominik już wstawał.

– Akceptuję każdą, gdyż wierzę w pańską rzetelność.

Z tymi słowami wyszedł.

Dominik zwołał swoich ludzi do największej groty i ponurym głosem opowiedział o tym, co zobaczył na Ix.

– Kiedy dawno temu przyjechałem z wami tutaj, przyłączyliście się do mnie, porzucając swoje rodziny i dawne życie, aby wraz ze mną walczyć z Korrinami.

– Nikt z nas tego nie żałuje, Dom – odezwał się Asuyo, ale Dominik ciągnął, jakby tego nie usłyszał:

– Mieliśmy być wilkami, tymczasem staliśmy się ledwie komarami. – Urwał na chwilę, a potem powiedział stanowczo, akcentując słowa: – Teraz to się musi zmienić.

I nic więcej nie dodawszy, wyszedł. Wiedział, gdzie się uda i co musi zrobić. Tamci

mogli się do niego przyłączyć, ale nie musieli tego robić, gdyż była to jego walka. Jego przede wszystkim. Nadszedł czas, by nareszcie wyrównać rachunki z rodem Korrinów.

Skierował się w odległą część korytarzy, gdzie rzadko ktokolwiek docierał, a on sam był przed wielu laty.

„Dominiku, nie rób tego” – znowu zaszeptał głos w głowie, a on poczuł ciarki na plecach, tak bardzo bowiem podobny był do głosu Shando. „Nie rób tego” – upominało go sumienie.

Tyle że czas rozmyślań i decyzji miał już za sobą. Tysiące lat panowania, jakie nastąpiły po Butleryjskim Dżihadzie, odcisnęły głęboki ślad na historii, a tymczasem ród Korrinów niczym sobie nie zasłużył na takie wyróżnienie. Ów zbuntowany i wyklęty ród – jakkolwiek się nazywał – nie dokończył dzieła. Salusa Secunda została zniszczona, to prawda, ale przecież nie chodziło o to tylko, aby unicestwić życie na planecie.

Zemsta Dominika posunie się o krok dalej.

Dotarł do składu, do którego nikt oprócz niego nie miał wstępu. Wystukał kod i przyłożył dłoń. Kiedy drzwi się rozsunęły, ukazały się za nimi zakazane ładunki i pociski atomowe, od tysiącleci będące w posiadaniu Verniusów jako ostateczny ratunek. Wielka Konwencja absolutnie zabraniała ich użycia, ale Dominik nic już sobie nie robił z jej postanowień.

Nie miał nic do stracenia. Absolutnie nic.

Po agresji Tleilaxan Dominik wraz ze swymi ludźmi zabrał broń ukrytą na jednym z księżyców Ix i przeniósł tutaj. Teraz przyglądał się śmiertelnej kolekcji. W lśniących metalowych pojemnikach znajdowały się wypalacze skał, które zamienią Kaitain w jedną kulę szlaku. Nadszedł czas czynów. Najpierw odwiedzi dzieci na Kaladanie, aby się z nimi na zawsze pożegnać. Przedtem nie chciał czynić nic, co mogłoby ściągnąć na nich cesarską niechęć – ostatecznie Rhombur i Kailea otrzymali amnestię, podczas gdy on pozostał wyklęty. Teraz jednak chciał z zachowaniem najwyższej dyskrekcji ucieszyć oczy ich widokiem. A potem uderzy, zostając ostatecznym zwycięzcą, któremu przypadnie zaszczyt wygubienia rodu Korrinów.

Nadal jednak nie cichł w głowie głos Shando, która na przekór wszystkiemu, czego doświadczyła, nie aprobowała jego decyzji. „Zawsze byłeś uparty, Dominiku Vernius”.

*Nowatorskie pomysły i odwaga tworzą bohaterów. Bezmyślne trzymanie się przestarzałych reguł tworzy polityków.*

**wicehrabia Hundro Moritani**

Wieczorem tego dnia, kiedy odbyła się próba Korytarza Śmierci, w wielkim namiocie biesiadnym mistrzowie miecza zasiedli z czterdziestoma trzema uczniami, którzy pozostali z

początkowego grona liczącego sto pięćdziesiąt osób. Najwytrwalsi traktowani byli teraz przez mistrzów po koleżeńsku i z sympatią.

Jakim jednak kosztem została wyłoniona ta elita...

W wysokich kufiach serwowano zimne ciężkie piwo przyprawowe. Na porcelanowych półmiskach spoczęły *hors d'oeuvres* sprowadzone ze wszystkich stron Cesarstwa. Nauczyciele przechadzali się pośród swych podopiecznych, gratulowali im i wspominali wydarzenia minionych ośmiu lat. Duncan pomyślał, że w zachowaniu niektórych absolwentów można dostrzec ślady historii. Jedni siedzieli w milczeniu, podczas gdy inni bez opamiętania chłonęli jadło i napitek.

Za niecały tydzień znajdą się na głównej wyspie, gdzie czekały ich jeszcze egzaminy ustne, sprawdzające, ile z wiedzy intelektualnej przejęli od swych mistrzów, te jednak wydawały się zabawą po tym, co mieli już za sobą.

Rozradowani Duncan i Hiih wypili nieco za dużo. Przez wszystkie te lata nie mieli wiele okazji kosztować alkoholu i teraz piwo przyprawowe mocno na nich podziało. Duncan poczuł, jak górę bierze w nim smutek, gdy rozpamiętywał zmagania, ból poległych kolegów.

„Jak szkoda...”

Ressera natomiast rozpierała radość. Udało mu się, chociaż, jak wiedział, ojczym z całego serca życzył mu porażki. Od chwili gdy odłączył się od reszty uczniów z Grumman, stoczył nie mniej walk psychicznych niż fizycznych. Kiedy nad głowami przemaszerowały już żółte księżycy i zostawiły tylko bezlik migoczących gwiazd, uczta dobiegła końca. Uczestnicy poobijani, posiniaczeni, pijani, znikali jeden po drugim, rankiem mając stoczyć walkę z innym niż dotąd przeciwnikiem: kacem. W namiocie nie zostało nic do picia i jedzenia, większość talerzy, szklanek i kufli była rozbita.

Hiih i Duncan chwiejnie ruszyli z miejsca biesiady ku lepiankom, w których ich ulokowano. Duncan ogarnął przyjaciela ramieniem, tyleż z sympatii, ile dla oparcia się. Nie mógł zrozumieć, jak mistrz miecza Rivvy Dinari, nawet po takiej ilości trunku, mógł poruszać się ze zwykłą gracją.

– Więc jak już będzie po wszystkim, pojedziesz ze mną do księcia Leto? – spytał Duncan, starannie wymawiając każde słowo. – Pamiętaj, jeśli Moritanowie cię nie zechcą, Atrydzi z ochotą przyjmą dwóch mistrzów miecza.

– Po tym jak Trin Kronos i cała reszta opuścili szkołę, nie ma już dla mnie miejsca na dworze Moritanich.

– Taaak, gdyby inaczej postanowili, mogliby dzisiaj cieszyć się razem z nami.

Mozolnie brnęli w kierunku plaży, a chatki jakby się oddalały i rozmywały.

– Muszę jednak wrócić, żeby pokazać swojej rodzinie, czego się nauczyłem.

– Z tego, co słyszę o Moritanich, to niebezpieczny pomysł. Rzekłbym nawet: samobójczy.

– Tak czy inaczej, muszę. – Hiih przystanął, położył obie ręce na barkach Duncana i oznajmił: – A potem zjawię się na Kaladanie.

Obaj odwrócili się w kierunku, gdzie powinna być plaża, i przez chwilę kołysali się na boki.

– Gdzie te cholerne chatki?

Dolatywały do nich głosy, szcęk oręża, ale Duncan, myślący na zwolnionych obrotach, zbyt późno zdał sobie sprawę ze znaczenia tych dźwięków.

– A, Resser i Idaho. – Znienacka oślepił ich strumień ostrego światła, a Duncan poderwał dłoń, aby osłonić oczy. – Brać ich!

Zaskoczeni przyjaciele, wpadając na siebie, przyjęli postawy bojowe. Osaczyła ich grupa ubranych na czarno, uzbrojonych napastników. Duncan musiał bronić się tylko własnym ciałem, przywołując na pomoc wszystkie umiejętności, jakich nabył w Szkole Ginazów. Przez chwilę podejrzewał, że to ostatni, nie zapowiadany sprawdzian, kiedy jednak w powietrzu świsnęła klinga, przecinając mu skórę na ramieniu, zrozumiał, że to prawdziwy atak. Obok Hiih prychał, nie z bólu jednak, lecz ze złości. Duncan zaatakował jednocześnie ręką i nogą. Czuł, jak pęka ramię przeciwnika i jak jego gardło otwiera się, rozcięte paznokciem dużego palca u nogi.

Na nic się to jednak zdało, gdyż w następnej chwili w jego barkach i szyi utkwily obezwładniki, a cios pałką w postawę czaszki zupełnie go zamroczył. Obok Hiih z głuchym stęknieniem zwałił się na ziemię i natychmiast skoczyło na niego czterech wrogów. Czepiając się resztek świadomości, Duncan usiłował jeszcze walczyć, ale następny obezwładnik, który trafił w skroń, odebrał mu świadomość do reszty.

Odzyskał przytomność, czując knebel w ustach. W półmroku zobaczył sporą szalupę wyciągniętą na plażę, podczas gdy dalej majaczył na fali kadłub statku. Bezceremonialnie wrzucono go do czołna, a chwilę później obok niego wylądowało ciało Ressera.

– Jeśli będziesz próbował uwolnić się z tych szigarutów, nic nie zyskasz, a stracisz ręce – burknął nad nim pogardliwy głos.

Duncan czuł, jak cienkie pęta wpijają się w skórę. Usiłował wypchnąć knebel z ust. Na plaży zdążył zauważyć kałuże krwi, broń porzuconą lub połamaną. Napastnicy ułożyli na szalupie jedenaście ciał, najpewniej martwych. Zatem on i Resser sprawili się dobrze, jak przystało na mistrzów miecza. Może nie byli jedynymi jeńcami.

Zniesiono ich pod pokład, gdzie znajdowali się inni pojmani, pośród których rozpoznał swych kolegów, a w ich oczach zobaczył wściekłość i zawziętość. Byli poobijani, kilku niedbale opatrzone.

Poczuł, że obok niego budzi się Resser. Pochwycił jego spojrzenie i zobaczył, że rudzielec także zorientował się w sytuacji. Zaczęli tak manewrować, aby leżeć do siebie plecami, a wtedy zdrętwiałymi palcami spróbowali rozpleść sobie nawzajem więzy. Ktoś to jednak zauważył i do wtóru przekleństwom zostali rozdzieleni kilkoma kopniakami.

Słyszeli, jak napastnicy zwracają się do siebie półgłosem. „Akcent z Grumman!” Resser

nadal zmagał się z pętami i został upomniany następnymi kopniakami. Usłyszeli szum motoru i statek ruszył.

Na pełnym morzu czekał na nich złowieszczy, ciemny statek.

*Jak łatwo żal przemienia się w gniew, a żądza zemsty bierze górę nad innymi uczuciami.*

**Padyszach Cesarz Hassik III,  
*Lament nad Salusa Secundą***

W zwieńczonym kopułą prywatnym gabinecie rezydencji w Arrakin Hasimir Fenring oddawał się jednej ze swych ulubionych, choć trudnych gier: geometryczne hologramy prostopadłościaków, stożków i kul dopasowywały się do siebie tylko wtedy, gdy równo rozłożono elektropotencjały.

W młodzieńczych latach wiele czasu spędzał przy takich grach na cesarskim dworze na Kaitain i najczęściej zwyciężał. A przy okazji w tamtych latach wiele – znacznie więcej od Szaddama – dowiedział się na temat polityki i ścierających się ze sobą sił. Z czego następcą tronu cesarskiego zdawał sobie sprawę.

– Hasimirze, więcej mam z ciebie pożytku, kiedy jesteś z dala od dworu cesarskiego – powiedział, odprawiając go z Kaitain. – Chcę, żebyś na Arrakis dokładnie patrzył na ręce podstępnych Harkonnenom i nie pozwolił na uszczuplenie moich dochodów z przyprawy przynajmniej do czasu, aż ci przekłęci Tleilaxanie wynajdą amal.

Mocne żółte światło spływało z okien kopuły, zniekształcone przez pole tarcz, które z jednej strony stanowiło pewną ochronę przed upałem, z drugiej – zabezpieczało przed niespodziewanym atakiem.

Fenring nie znosił tych upałów Arrakis, chociaż przebywał tu już od osiemnastu lat. W rezydencji otaczał się takimi wygodami i przyjemnościami, jakie tylko mógł sobie w tych warunkach zapewnić, a zarazem przygotowywał się do powrotu tam, gdzie biło serce Cesarstwa.

Jedną z brył umieścił nad piramidą, ale chwilę musiał próbować, zanim wykrył właściwe ułożenie. Kiedy trwał przy tym subtelnym manewrze, w drzwiach stanął Willowbrook, obdarzony kwadratową szczęką dowódca gwardii, i odchrząknął.

– Kupiec wodny Rondo Tuek prosi o audiencję, hrabio.

Zdegustowany Fenring wyłączył grę, zanim jej elementy rozsypały się po blacie.

– A ten czego znowu chce, hmmm?

– Sprawa osobista, powiedział. Ale bardzo pilna, jak twierdzi.

Fenring przebierał palcami po blacie. Kupiec nigdy dotąd nie zabiegał o prywatną

audiencję.

„Ciekawe, jaki interes go tu przygnał? Pewnie chce czegoś”.

A może dowiedział się czegoś ciekawego?

Jeśli Tuek pojawiał się w Arrakin, to najczęściej z powodu jakiegoś uroczystego przyjęcia czy ważnej ceremonii, natomiast dobrze wyczuwając subtelne układy sił, zadbał o to, aby dom Fenringa otrzymywał dodatkowe zapasy wody, większe niż te, które w Kartadze dostawali Harkonnenowie.

– Dobrze, wpuść go i zadbaj o to, żeby przez kwadrans nikt nam nie przeszkadzał. Ale pamiętaj – kwadrans.

Chwilę później Tuek wtaczał się swym niedbałym krokiem do gabinetu Fenringa. Przeciągnął dłonią po spoconych włosach i skłonił się. Najwyraźniej zmęczyła go wspinaczka po schodach, hrabia zaś pomyślał z aprobatą o decyzji Willowbrooka, aby skierować przybysza ku stopniom, a nie prywatnej windzie.

Fenring siedział za biurkiem, ale nie zrobił gestu zapraszającego gościa, by usiadł, ten stał więc w uroczystej srebrnej szacie, na której zwieszał się kosztowny platynowy naszyjnik stanowiący niegustowną podróbkę sztuki Arrakis.

– Masz coś dla mnie – spytał wreszcie Fenring – czy czegoś ode mnie oczekujesz?

– Mam dla pana pewne nazwisko, panie hrabio – zaczął Tuek bez owijania w bawełnę – a ty wynagrodzisz mnie za nie... – wzruszył ramionami – ...jak uznasz za stosowne.

– No cóż, zobaczymy, czy to istotnie coś interesującego. Jakie to nazwisko i dlaczego miałyby mnie ciekawić?

Tuek nachylił się niczym drzewo kłoniące się do upadku.

– Nie słyszał pan o nim od lat. I na pewno zaciekawili nie tylko pana, ale i Jego Cesarską Mość. – Fenring czekał, kupiec więc ciągnął: – Ukrywa się na Arrakis, chociaż zarazem próbuje, ile może, zaszkodzić tutaj cesarskim poczynaniom. Chce zemścić się na całym rodzie Korrinów, chociaż przyczyną jest konflikt z Elroodem IX.

– Któż nie miał konfliktów z Elroodem? – lekceważąco machnął ręką Fenring. – Stary, wstrętny sęp. Więc kto to taki?

– Dominik Vernius – rzucił lakonicznie Tuek.

Fenring wyprostował się w fotelu, a jego i tak wielkie oczy powiększyły się ze zdziwienia.

– Earl IX? Byłem pewien, że dawno już nie żyje.

– Tropiciele i sardaukarowie nigdy nie wpadli na jego ślad. Ukrywa się tu, na Arrakis, wraz z grupą przemytników. Od czasu do czasu dobijamy jakiejś transakcji.

– I dopiero teraz mnie o tym informujesz? – prychnął Fenring. – Od jak dawna to trwa?

– Panie hrabio – rzekł Tuek. – Elrood uznał jego ród za renegatów i nakazał zemstę na nim, nie żyje już jednak od wielu lat. Według mojej oceny Dominik Vernius nie stanowił tu przez długi czas żadnego zagrożenia. Utracił wszystko, musiał się kryć przed ludźmi... a ja



mam przecież jeszcze inne interesy na głowie. Teraz jednak... – kupiec odetchnął głęboko – ...sprawy przybrały inny obrót. A ponieważ wiem, że Jego Cesarska Mość ma dla ciebie chętne ucho, hrabio, więc postanowiłem cię o tym poinformować.

– O czym konkretnie, hmmm-mhmmm?

Fenring jednocześnie błyskawicznie oceniał sytuację. Dominik Vernius od dawna zniknął wszystkim z oczu, lady Shando została zabita przez sardaukarów, dwoje ich dzieci przebywało na wygnaniu na Kaladanie i wydawało się, że nie stanowią żadnego zagrożenia dla Szaddama. Skoro jednak dyszący pragnieniem zemsty earl znalazł się tak blisko źródła drogocennej przyprawy... To mogło istotnie być groźne.

– Zamówił ciężki statek transportowy. Mam wrażenie, że podjął jakieś wielkie postanowienie, nie wykluczam, że chodzi o desperacki atak. Być może przygotowuje zamach na Jego Cesarską Mość. To dlatego czułem się w obowiązku podzielić się z panem moimi podejrzeniami, hrabio.

Brwi Fenringa uniosły się, marszcząc przy tym czoło.

– A czasem nie dlatego, że oczekujesz, iż ode mnie dostaniesz więcej niż od Verniusa?

Tuek rozłożył ręce i nic nie odpowiedział. Fenring cenił go za tę szczerość. Motywacje były teraz jasne. Hrabia końcem palca pukał zamyślony w wargę.

– Świetnie, Tuek. Teraz wyjaśnij mi dokładnie, gdzie się znajduje ich kryjówka. A przed odjazdem skontaktuj się z moim skarbnikiem i przedstaw mu listę swoich życzeń, cokolwiek ci się marzy. Ja z tego coś potem wybiorę, w zależności od wagi tej informacji.

Tuek skłonił się głęboko.

– Bardzo dziękuję, hrabio Fenring. Cieszę się, mogąc się czymś przysłużyć.

Tuek podał dokładne dane, a kiedy odwracał się do drzwi, stanął w nich Willowbrook, gdyż właśnie upłynęło piętnaście minut wizyty.

– Willowbrook, zaprowadź mojego przyjaciela, Tueka, do skarbnika, on już będzie wiedział, co zrobić, hmmm. I do końca dnia chcę zostać w samotności, muszę się bowiem nad czymś zastanowić.

Kiedy obaj mężczyźni zniknęli, Fenring popadł w zadumę, pomrukując do siebie, na przemian uśmiechając się i marszcząc brwi. Wreszcie znowu włączył grę, gdyż chciał się przy niej odprężyć.

Uwielbiał spiski w spiskach, koła intryg obracające się w innych kołach. Dominik Vernius był groźnym przeciwnikiem, na dodatek boleśnie zranionym. Przez lata udawało mu się umykać prześladowcom, a teraz najlepiej byłoby tak pokierować biegiem spraw, by sam sprowadził na siebie katastrofę.

Fenring oplecie go niewidzialną siecią, ale nie będzie przeszkadzał w kolejnych posunięciach aż do ostatniego. Gdy earl wszystko już przygotowuje, wtedy przyjdzie czas na atak hrabiego.

Tak, należy dać przeciwnikowi tyle liny, by sam ukręcił sobie pętlę...

*Raj po prawej stronie, Piekło po lewej, a Anioł Śmierci za plecami.*

## **przekleństwo Wolan**

Zgodnie ze złożonym przyrzeczeniem kupiec dostarczył Dominikowi nie oznaczony statek transportowy. Roztargniony Lingar Bewt przyleciał nim z Kartagi do fabryki wody i z chytrym uśmiechem wręczył kartę kontrolną. Dominik w towarzystwie Johdama pilotował statek na lądowisko koło kryjówki, przez całą drogę milcząc.

Statek był stary i w czasie lotu dziwnie postękiwał. Johdam w pewnym momencie nie wytrzymał i walnął dłonią w tablicę rozdzielczą.

– Ależ ociężałe bydło! Dom, to nie polata dłużej niż rok. To złom.

Dominik patrzył przed siebie.

– To i tak wystarczy, Johdam.

Lata temu widział palącą się twarz Johdama. Wtedy on go uratował, a weteran odwdzieczył się, wyciągając earla spod ognia sardaukarów podczas nieudanego ataku na Ix. Lojalność Johdama nigdy nie zmniejszyła się nawet odrobinę, ale teraz nadchodził czas, gdy Dominik musiał dać mu wolną rękę.

Kiedy Johdam wpadał w gniew, jego skóra robiła się blada.

– I tyle solarisów za takiego gruchota? Gdybyśmy mieli na Ekazie taki szmelc, załatwiliby nas kamieniami.

Razem od lat łamali prawo Cesarstwa, ale teraz Dominik musiał działać sam. Czuł dziwne zadowolenie z podjętej decyzji; głos miał spokojny i pewny.

– Rondo Tuek wyczuwa, że nie będzie już od nas dostawał regularnych łapówek, stara się więc wyciągnąć z nas jeszcze tyle, ile się da.

– Ale oszukuje cię, Dom!

– Posłuchaj. – Dominik nachylił się ku sąsiedniemu fotelowi, podczas gdy statek dygotał, podchodząc do lądowania. – To nieważne. Już nic się teraz nie liczy. Po prostu... zrobię to, co muszę zrobić.

Pojazd znieruchomiał, na twarzy Johdama perlił się pot. Wysiadając, wykonywał jakieś milczące, pełne pasji gesty. Dominik widział desperację w twarzy swego wiernego towarzysza, spowodowaną nie tylko chciwością Tueka, ale także postanowieniem earla.

Ten przez cały czas pragnął wyzwolić mieszkańców Ix, dokonać czegoś, co stanowiłoby odpowiedź na brutalność Tleilaxan i niegodziwość Cesarza. Jak dotąd niczego takiego nie zrobił.

A do dyspozycji miał tylko siły zniszczenia.

Były ambasador Ix, Cammar Pilru, nieprzerwanie występował z petycjami do Landsraadu, ale od dawna wszyscy uważali go za żałosnego głupka. Także wysiłki Rhombura – podejmowane najprawdopodobniej przy sekretnej pomocy Atrydów – nie przynosiły efektów. Należało ugodzić w samo serce bestii.

Dominik Vernius, dawny władca Ix, tak upomni się o prawa swej planety, że całe Cesarstwo zapamięta to na zawsze.

Kiedy Dominik poprowadził swych ludzi do tajnego magazynu i otworzył go, wszyscy z przerażeniem wpatrzyli się w mordercze kształty. Czegoś takiego obawiali się od dawna; nazbyt długo przebywali z Dominikiem, aby teraz potrzebne im były długie wyjaśnienia.

– Najpierw udam się na Kaladan – oznajmił Vernius – a potem samotnie na Kaitain. Napisałem list do moich dzieci, ale chciałbym też zobaczyć je raz jeszcze. To wszystko ciągnie się już zbyt długo i muszę wreszcie zrobić coś konkretnego. – Popatrzył po wszystkich twarzach. – Wy postąpcie tak, jak będziecie uważali za stosowne. Sugerowałbym, byście upłynnili wszystkie zapasy i porzucili tę bazę. Przenieście się do Gurneya Hallecka na Salusę albo wróćcie do swych rodzin. Zmieńcie nazwiska, zatrzyjcie wszystkie ślady tego, co tutaj robiliśmy. Jeśli mój zamiar się powiedzie, zniknie także cel istnienia naszej grupy.

– Moim zdaniem cały Landsraad zacznie się za nami uganiać, jak zgłodniałe psy za zajęcami – mruknął Johdam.

Asuyo usiłował wyperswadować Dominikowi jego zamiar, odwołując się do argumentów militarnych, ale nic nie działo. Dominik nie miał już nic do stracenia, a płonęło w nim pragnienie zemsty. Nawiedzało go czasami przekonanie, że kiedy wytepi cały ród Korrinów, duchy jego i Shando będą mogły spocząć w pokoju.

– Załadujcie tę broń na pokład statku – rozkazał Vernius. – Polecę nim sam, liniowiec będzie na orbicie za dwa dni.

Popatrzył na nich z zimną determinacją w oczach, co na wielu zrobiło wrażenie tak silne, że łzy zakreśliły im się w oczach, znali jednak swego dowódcę na tyle, aby nie próbować się spierać z tym, który dowodził nimi w tylu bitwach, a kiedyś miał pod swym panowaniem całe Ix. W milczeniu wzięli się do przenoszenia pocisków, chociaż robili to z wyraźnym ociąganiem, jakby obawiali się chwili, gdy zadanie będzie już wykonane.

Dominik bez chwili przerwy nadzorował transport zabójczej broni, a jednocześnie prowadził w duszy rozmowy z Rhomburem na temat sprawowania władzy, wypytywał Kaileę o aspiracje i plany na przyszłość. Jakże się cieszył na myśl o spotkaniu po latach. Usiłował wyobrazić sobie twarze dzieci, zgadnąć, jak teraz wyglądają. Może założyły już rodziny, a on, nie wiedząc o tym, został dziadkiem? Chwilami nie mógł uwierzyć, że od rozstania minęło już dwadzieścia lat.

Było w tym pewne ryzyko, ale Dominik musiał je podjąć. Rhombur i Kailea na pewno chcieliby, aby tak postąpił. Emocjonalnie sytuacja będzie niełatwa, ale musi jej sprostać.

Kiedy Rhombur dowie się o jego planie – czy w ogóle powinien go ujawniać? – z pewnością będzie chciał się przyłączyć do ojca. Jak na to zareaguje Kailea? Czy będzie próbowała powstrzymać brata? Pewnie tak.

Ostatecznie zdecydował, że nic im nie powie o swoim zamierzeniu, to bowiem tylko skomplikuje sytuację. Natomiast musiał zobaczyć syna i córkę po raz ostatni – i co do tego nie było dwóch zdań. Chciał dotrzeć do jeszcze jednego dziecka. Jego ukochana Shando powiła Elroodowi Korrino syna, ale odebrano go jej zaraz po urodzeniu, a ona w żaden sposób nie mogła się temu przeciwstawić. Pomimo usilnych starań nigdy się też nie dowiedziała, co się z nim stało.

Asuyo i Johdam nie mogli spokojnie przyglądać się przygotowaniom ukochanego dowódcy, zajęli się zatem ewakuacją całej bazy. Stary Asuyo zerwał wcześniej i podeptał wszystkie insygnia oraz medale. Wraz z wyjazdem earla oni także mieli zniknąć z Arrakis, rozjeżdżając się we wszystkie strony Cesarstwa.

Johdam, pomrukując coś pod nosem, dokonał inwentaryzacji wszystkich zapasów przyprawy i wraz z dwójką innych ludzi wyekspediował je do Tueka. Musieli mieć gotówkę, żeby było czym opłacić paszporty, dokumenty, urządzić się tam, dokąd rzucą ich losy.

Na ostatek Dominik porozdawał rzeczy ze swej prywatnej kwatery, dla siebie zostawiając tylko osobiste drobiazgi, a przede wszystkim holoportrety Shando i dzieci, te bowiem były dla niego bezcenne. Ofiaruje je Rhomburowi i Kailei, aby zachowali jako pamiątki.

Teraz, gdy miejsce, które udzielało mu schronienia przez tyle lat, opustoszało, Dominik dostrzegał drobiazgi, na które wcześniej nie zwracał uwagi: pęknięcia w ścianach, wybrzuszenia na suficie i w podłodze... Ale dominującym doświadczeniem było poczucie pustki, którą wypełnić mógł tylko jednym – krwią. Tak, ród Korrinów zostanie zmuszony do spłacenia rachunków.

A wtedy dzieci i wszyscy mieszkańcy Ix będą z niego dumni.

Kiedy do załadowania pozostały już tylko trzy głowice i dwa wypalacze skał, Dominik wyszedł na zewnątrz i stanął w skąpym świetle docierającym na dno rozpadliny. Zaplanował atak na cesarską stolicę ze szczegółami. Przeprowadzi go przy całkowitym zaskoczeniu, a Szaddam nie będzie miał nawet czasu, aby się schować pod Tronem Złotego Lwa. Dominik nie zamierzał wygłaszać wielkich przemów, czynić wiekopomnych gestów, nikt nie będzie wiedział o jego pojawieniu się na Kaitain. Aż do dramatycznego końca.

Elrood IX już nie żył, a obecny Padyszach Cesarz miał małżonkę Bene Gesserit i cztery córki. Nie będzie trudno położyć kresu rodowi Korrinów. Dominik Vernius poświęci życie za to, aby zniszczyć trwające przez tysiące lat, jakie upłynęły od bitwy pod Korrinem, rządy jednej rodziny.

Zaczerpnął głęboko powietrza, a kiedy podniósł głowę, zobaczył podchodzący do ładowania prom Johdama, który wracał z przetworni Tueka. Sam nie wiedział, ile czasu trwał

w bezruchu, podczas gdy jego ludzie przechodzili obok, przenosząc zawartość atomowego arsenału. Z zamyślenia wyrwał go dopiero podniecony głos Johdama, wraz z Asuyo biegnącego ku niemu z zaczerwienioną twarzą i odrzuconym na plecy, podskakującym kapturem.

– Dom, zdrada! Przetwórnica zamknięta, nie ma nikogo. Spakowali wszystko i się wynieśli.

Zadyszany Asuyo dorzucił:

– Na pewno nie chcieli być tutaj, wiedząc, że coś się stanie!

W jego postawie nastąpiła zmiana. Bez medali wprawdzie, znowu jednak wyglądał, jak przystało na gotowego do walki. Inni przemytnicy bezładnie przekrzykiwali się w podnieceniu.

Dominik sposepniał. Powinien się tego spodziewać. Pomimo lat wspólnych interesów Rondo Tuek nie był osobą, na której można polegać.

– Zabierajcie wszystko i żeby do końca dnia nikogo z was już tu nie było. Zaszyjcie się gdzieś w Arsuncie, Kartadze czy Arrakin, wystarajcie o nowe dokumenty. – Zrobił gest w kierunku swego transportowca. – Ja wezmę jeszcze tylko ostatnie głowice i odlatuję. Nic się nie zmieniło, jeśli chodzi o moją misję. Najpierw jednak dzieci.

Niecałą godzinę później, kiedy trwały jeszcze przygotowania do ewakuacji, pojawiła się formacja sardaukarów w nisko lecących bojowych ornitopterach. Bomby roztrzaskały lodową skorupę, smugi laserowe szatkowały skały, których kawały wpadały do nagle otwartych kominów. Maszyny stuliły skrzydła i na wzór polujących drapieżników zanurzały się w rozpadliny, a ich bomby zniszczyły wszystkie cztery gotujące się do startu maszyny transportowe.

Asuyo dopadł ornitoptera, włączył odrzutowe silniki i wzbił się na kilkanaście metrów, ale w chwili gdy pochyłony nad tablicą do wtóru przekleństwom pod adresem Tueka i sardaukarów usiłował uruchomić systemy uzbrojenia, z dwóch stron trafiły go laserowe salwy i maszyna zamieniła się w ognistą kulę.

Wielki ornitopter z piechotą na pokładzie osiadł na dnie rozpadliny i natychmiast wysypali się z niego uzbrojeni po zęby żołnierze. Starannie celując, zniszczyli silniki transportowca Dominika, tak więc rodowa broń atomowa Verniusów była unieruchomiona – nigdy nie znajdzie się nawet w pobliżu Kaitain. Co więcej, Dominik zrozumiał, że ani on, ani nikt z jego towarzyszy już się stąd nie wymknie.

Głośno wykrzykując rozkazy, Johdam poderwał ludzi do ostatniego natarcia. Rzucili się ze wściekłością, otwierając ogień do sardaukarów. Ci nie pozostawali dłużni, po chwili doszło do walki wręcz, w której byli bez porównania lepsi, zabijając przemytników gołymi rękami i ciosami noży. Widząc to, Johdam z kilkoma niedobitkami chciał się wycofać w głąb skalnych tuneli, gdzie mogli się przynajmniej zabarykadować, ale jak w straszliwym *déjà vu* Dominik

zobaczył, że laser sardaukara odstrzeliwiuje głowę jednemu z jego dwóch przybocznych, podobnie jak lata temu jego bratu.

Dominik miał już tylko jedną szansę. Nie będzie to wprawdzie zwycięstwo, o jakim marzył, a Rhombur i Kailea nigdy się o tym nie dowiedzą... aby jednak nie ponieść całkowitej klęski, miał jeszcze jedno desperackie rozwiązanie. Skoro on i jego ludzie i tak mają zginąć...

Honor podpowiadał mu, żeby pozostać u boku podkomendnych i walczyć do chwili, aż padną wszyscy, byłby to jednak pusty gest i dobrze o tym wiedział. Skoro jednak sardaukarowie występowali tutaj w imieniu Cesarza, dawało to Dominikowi możliwość ugodzenia w Szaddama, chociaż nie bezpośrednio, jak wcześniej zamierzał. Będzie to akt symboliczny, w imieniu Ix, dzieci, jego samego.

Kiedy górne krawędzie rozpadliny zaczęły się walić z łomotem, Dominik wskoczył do niej, a chociaż kilku ludzi skoczyło za nim w nadziei, że zna jakieś tajne wyjście, nie miał dla nich żadnego słowa pociechy.

Szpica sardaukarów zaczęła przeczesywać każdy korytarz, każde przyście, każde pomieszczenie, każdą napotkaną osobę kładąc na miejscu trupem. Jasne było, że nie zamierzają brać żadnych jeńców.

Dominik szybko zmierzał w kierunku niemal całkowicie opróżnionego już składu. Kilka osób z jego grupy zaczęło się wahać, kiedy się zorientowali, że miejsce, ku któremu się kierują, to ślepy zaułek, ale nie wszyscy.

– Dom, przygotuj wszystko – odezwał się jeden z dawnych przemytników – a my ich tutaj zatrzymamy tak długo, jak nam się uda. Damy ci trochę czasu.

Spojrzał na niego płomiennym wzrokiem.

– Dzięki. Wybaczcie mi, że was porzucam.

– Wcale nas nie porzucasz. To wspólna walka. Zresztą, idąc za tobą wszyscy wiedzieli, jakie ryzyko podejmują.

Dominik pobiegł korytarzem, a kiedy dopadł drzwi magazynu, usłyszał za sobą potężny wybuch. Rozległ się łomot kamieni, wiedział, że nie ma już odwrotu, ale przecież i tak ani przez chwilę o nim nie myślał.

Sardaukarowie pokonają nowo powstałą przeszkodę w kilka minut. Poczuli już w nozdrzach krew Dominika Verniusa i nie spoczną, dopóki go nie dopadną. Uśmiechnął się pod nosem. Czeka ich mała niespodzianka.

Wszedł do środka i zamknął drzwi na zamek papilarny. Każda bariera była ważna, gdyż dawała mu czas na odpowiednie przygotowania. Rozejrzał się, co mu jeszcze zostało do dyspozycji. Wybrał jeden z wypalaczy skał, broń, która w zależności od wykalibrowania mogła zniszczyć całą planetę albo wybrany mniejszy obszar.

Sardaukarowie zabrali się już do wyważania drzwi, on zaś ciągle studiował sterowniki i starannie dobierał ich ustawienia. Nigdy nie uczył się korzystać z tych narzędzi, wydawało się bowiem, że nie zajdzie taka potrzeba, albowiem samo ich istnienie zapobiegne agresji.

Zgodnie z postanowieniami Wielkiej Konwencji każde użycie broni atomowej musiało spowodować zbiorowe uderzenie odwetowe rodów zorganizowanych w Landsraadzie.

Ludzie, którzy osłaniali jego odwrót, już nie żyli. Sam Dominik nie miał nic do stracenia.

Tak dobrał poziom energii, aby anihilacji uległo tylko bezpośrednie otoczenie bazy. Nie należy w tę grę krzywdy i zemsty wciągać niewinnych mieszkańców Arrakis.

W ten sposób postępowali Korrinowie.

Wyobraził sobie, że jest kapitanem antycznego statku morskiego, który tonie na pełnym morzu. Żałował tylko jednego: że nie dano mu możliwości pożegnać się z Kaileą i Rhomburem, powiedzieć im, jak bardzo ich kocha. Będą musieli poradzić sobie bez niego.

Oczy zaszklily mu się łzami i zobaczył przed sobą niewyraźny, rozedrgany obraz Shando... a może było to tylko złudzenie. Poruszała ustami, ale nie był pewien: czyni mu wyrzuty czy też wzywa do siebie?

Sardaukarowie robili wyłom w drzwiach, który powiększał się z każdą chwilą. Kiedy z okrzykami triumfu i zemsty wpadli do środka, Dominik z uśmiechem na twarzy spoglądał na zegar wypalacza. Natychmiast zrozumieli, co to znaczy.

A potem wszystko pochłonęła rozpalona białość.

*Kiedy Bóg wyznacza komuś miejsce śmierci, sprawia On, by potrzeby go w owo miejsce przywiodły.*

## **żargon Szarijatu**

Przez wszystkie te lata skrytej walki z najeźdźcami C'tair Pilru nigdy nie wystąpił w przebraniu Mistrza Tleilaxan. Odważył się na to dopiero teraz.

Zdesperowanemu i samotnemu, nic już innego nie przychodziło do głowy. Miral Alechem zniknęła bez śladu, inni spiskowcy zginęli, urwały się wszystkie kontakty z ludźmi mającymi dostęp do świata zewnętrznego. Tymczasem ginęły bezpowrotnie młode dziewczęta, a Tleilaxanie mieli najwyraźniej poczucie całkowitej bezkarności.

Nienawidził ich z całego serca.

Zaczął się w opustoszałym korytarzu obszaru biurowego i bez najmniejszych wyrzutów sumienia zamordował pierwszego Mistrza o odpowiednim wzroście, jaki nawinał mu się pod rękę. Zabijanie nie było jego celem ani pasją, ale nie cofał się przed nim, jeśli taka była potrzeba. Jego zdaniem krew na rękach Tleilaxan usprawiedliwiała nawet najbardziej brutalne wobec nich czyny.

Miał nadzieję, że teraz, kiedy zdobył szaty wroga i jego karty identyfikacyjne, odkryje sekret tajnego ośrodka badawczego. Dlaczego Ix stało się tak ważne w cesarskich planach, że

i Elrood, i Szaddam nie cofnęli się przed wysłaniem sardaukarów na pomoc najeźdźcom? Gdzie się podziewały porwane kobiety? Tutaj musiało chodzić o coś znacznie poważniejszego niż zemsta Elrooda na earlu Verniusie, szczególnie że jej powód musiał być dla Szaddama zupełnie obojętny.

Odpowiedź kryła się zapewne w pilnie strzeżonych laboratoriach.

Miral od dawna podejrzewała jakiś nielegalny program biologiczny, realizowany przy niejawnym poparciu Cesarza, być może coś naruszającego postanowienia przyjęte po Butleryjskim Dżihadzie. Z jakiego bowiem innego powodu mieliby Korrinowie podejmować tak wielkie ryzyko przez tak długi czas? Jaki był cel tak wielkich inwestycji, skoro sumaryczne zyski z Ix spadały?

Był zdecydowany rozwiązać tę zagadkę, dlatego też nałożył na siebie szaty tleilaxańskiego Mistrza, tak je upinając i fałdując, aby ukryć ślady zaschniętej krwi. Ciało wrzucił do jednego z prowadzących do płynnego jądra planety szybów, które ponownie otwarto, aby sprawniej pozbywać się śmieci.

W sekretnej kryjówce nałożył na skórę maść, która nadała jej jeszcze bledszy wygląd, przy użyciu zaś specjalnej substancji tak pomarszczył twarz, aby jak najbardziej przypominała szaroskóre oblicze Tleilaxanina. Na nogi włożył buty na cienkiej podeszwie, a na dodatek jeszcze się zgarbił, dzięki czemu wyglądał rzeczywiście niepozornie. Na szczęście sam nie był obdarzony wielkim wzrostem, a Tleilaxanie nie należeli do najbardziej spostrzegawczych. Należało się lękać przede wszystkim sardaukarów.

Powtórzył w pamięci informacje znajdujące się na dokumentach oraz formuły powitania, których wysłuchiwać musiał od tak wielu już lat. Jeśli tylko nie wydarzy się nic nadzwyczajnego, nie powinien zwrócić na siebie uwagi.

Przybrawszy pogardliwy wyraz twarzy, opuścił kryjówkę. Ze wzrokiem wbitym przed siebie szedł przez rozstępujący się przed nim tłum, a kiedy dotarł do jednej ze stacji systemu transportowego, włożył do czytnika kartę identyfikacyjną, a następnie podał jako punkt docelowy centrum badawcze.

Natychmiast otoczyły go ściany kapsuły transportowej, która poszybowała pomiędzy liniami kaset obserwacyjnych. Żaden wideokom nie zwrócił się w jego stronę. Kapsuła uznała go za uprawnionego do złożenia odwiedzin w centrum laboratoryjnym, wszystkie zaś systemy nadzoru ignorowały jego obecność, gdyż nie na niego były nastrojone.

W dole kłębiło się mrowie robotników doglądanych przez sardaukarów, liczniejszych niż kiedykolwiek dotąd. Nikt nie interesował się pojazdami przemieszczającymi się w górze.

Pokonawszy kilka bramek kontrolnych, C'tair znalazł się wreszcie w budynku o szczelnie zakrytych oknach, gdzie korytarze oświetlone były na pomarańczowo, a w ciężkim, dusznym powietrzu można było wyczuć odór rozkładu ludzkich tkanek.

Szedł szybko i zdecydowanym krokiem, aby w ten sposób ukryć fakt, że w istocie nie wiedział, dokąd się skierować. Na razie najważniejsze było to, aby nie przyciągać niczyjej



uwagi.

Na korytarzach zaabsorbowani Tleilaxanie przemieszczali się z jednych pomieszczeń do drugich, a C'tair z ulgą stwierdził, że nawet tutaj ukrywają twarze głęboko w kapturach. Z jednego ze stołów zdjął w przelocie kartkę ryduliańskiego papieru i od czasu do czasu udawał, że wczytuje się w tekst sporządzony w nie znanym mu alfabecie.

Wybierał korytarze przypadkowo, zdając się na łut szczęścia, nie mógł przecież o nic spytać mijających go obojętnie Tleilaxan, rozmawiających z ożywieniem w swym dziwnym języku i gestykujących rękami o długich palcach.

Dotarł do laboratoriów biologicznych, przez których drzwi widać było stoły o metalowych blatach i różnego rodzaju skanery. Wydawało się jednak, że wejścia chronione są przez dodatkowe urządzenia kontrolne i C'tair wolał nie ryzykować tego, iż nie będą chciały go przepuścić. Brnął więc przed siebie, kierując się wprost do centrum pawilonu badawczego.

Znalazł się w końcu na przeszklonej galerijce na wyższym poziomie, skąd swobodnie można było obejrzeć wnętrza otaczających ją sal. Powietrze było tu inne, bardziej metaliczne, pełne zapachu środków dezynfekujących i... jakby cynamonu?

Zaczął przechodzić od jednego okna do drugiego i nagle zatrzymał się jak sparaliżowany. Zobaczył salę z równymi rzędami stołów, na każdym z nich stał pojemnik w kształcie trumny, a w środku... obrośnięte rurkami i przewodami nagie ciała – wszystkie kobiece!

Brzydził się już wcześniej Tleilaxanami, ale nigdy nie wyobrażał sobie, że mogą stworzyć taki koszmar. Poruszał bezdźwięcznie wargami, zbierało mu się na torsje. Odkrył właśnie, co Tleilaxanie robią z kobietami, a jedną z nich była... Miral Alechem!

Ze wstrętem odskoczył do tyłu. Musiał uciekać, sam bowiem ten widok mógł go zalać rozpaczą. To niemożliwe, niemożliwe, niemożliwe! Cały dygotał, ogarnęło go przerażenie, na razie jednak nie mógł sobie pozwolić na żadne oznaki słabości.

Znienacka z korytarza wyłoniło się dwóch Tleilaxan w towarzystwie gwardzisty, a kiedy znaleźli się na wysokości C'taira, jeden z badaczy powiedział coś do niego w swym gardłowym języku. Pilru nic nie odpowiedział, zrobił tylko jakiś niewyraźny gest i ruszył w przeciwną stronę. Usłyszawszy za sobą okrzyki, skręcił w najbliższy z promienistych korytarzy i puścił się biegiem. Instynkt samozachowawczy sprawił, że mdłości ustąpiły miejsca strachowi. Skoro udało mu się tutaj dotrzeć, teraz musiał znaleźć jakiś sposób, aby się wydostać. Nikt z zewnątrz nie miał nawet pojęcia o tym, co on zobaczył na własne oczy.

Prawda była znacznie gorsza od najstraszliwszych nawet wyobrażeń.

Pospiesznie opuszczał się na coraz niższe poziomy, a chociaż z sąsiednich przejść dochodziły go odgłosy ludzi biegnących w górę na galerijkę obserwacyjną, miał to szczęście, że nie natknął się na nikogo i że nie ogłoszono jeszcze ogólnego alarmu. Być może Tleilaxanie nie chcieli zakłócać rutynowych zajęć... a może nie wierzyli, że ktoś z zewnątrz mógł się dostać do środka ich najpilniej strzeżonego kompleksu.

To skrzydło, gdzie trzy lata temu eksplodował wysłany przez C'taira ładunek

wybuchowy, zostało odbudowane, ale samosterowny podajnik był teraz ulokowany w innym miejscu. Pobiegł tam w nadziei, że środki ostrożności będą słabsze.

Rozejrzał się i przyzwał do odpowiedniego pomostu kapsułę; wsiadł do niej, korzystając z karty identyfikacyjnej. Zobaczył, że w jego kierunku biegnie gwardzista, ale gniewnie pomachał tylko w jego kierunku legitymacją i spłynął na dół, ku jednemu z placów konstrukcyjnych, gdzie będzie mógł się przebrać, rozplynać między robotnikami i zмагаć w duchu ze wspomnieniem tego, co zobaczył.

Kiedy był już niedaleko dna groty, z góry dobiegły go nerwowe sygnały alarmowe, teraz jednak nic mu nie zagrażało. Był jedyną osobą spośród nie wtajemniczonych, która wiedziała, co naprawdę robią Tleilaxanie i dlaczego zjawili się na Ix.

Z tą wiedzą wcale nie było mu łatwo. Wprost przeciwnie, ogarnęła go rozpacz tak wielka, jak nigdy dotąd.

*Zdrada i bystra myśl zawsze wezmą górę nad stałymi, łatwymi regułami. Dlaczego nie mielibyśmy korzystać z nadarzających się sposobności?*

**wicehrabia Hundro Moritani,  
odpowiedź na monit ze strony Landsraadu**

Na kołyszącym się pokładzie sporego statku olbrzym o dzikim wzroku wpatrywał się w swych jeńców.

– Tylko się przypatrzcie tym niedoszłym mistrzom miecza! – Zaśmiał się, a do nich dotarł odór jego oddechu. – Zasady, reguły, przepisy, a w efekcie słabeusze i tchórze. Wystarczy parę obezwładników i garść zabijaków, żeby im pokazać, jacy to niby są dobrzy!

Duncan stał obok Hiiha Resslera i jeszcze czterech kolegów. Wszyscy byli poobijani, poranieni, z opuchniętymi głowami. Zdjęto im wprawdzie szigarutowe więzy, ale dookoła, z bronią gotową do użycia, stali żołnierze w żółtych barwach Moritanich. Zachmurzone niebo sprawiło, że ciemność zapadła godziną wcześniej, niż wskazywałyby na to pora roku.

Pokład statku był szeroki i czysty niczym plansza treningowa, śliski jednak z powodu nieustannie obmywającej go wody. Absolwenci Szkoły Ginazów utrzymywali równowagę jak podczas treningu, natomiast ich nieprzyjaciele musieli się trzymać lin lub barierek, niektórzy zaś mieli chyba chorobę morską. Duncan po dwunastu latach życia na Kaladanie czuł się na wodzie jak w domu. Widać było szalupy i koła ratunkowe, niczego natomiast, co mogłoby posłużyć więźniom jako broń.

Statek mknął przesmykami archipelagu, a Duncan zastanawiał się, jak ludzie z Grumman mogli się w ogóle na coś takiego odważyć. Z drugiej strony ród Moritanich pokazał już, do

czego jest zdolny, łamiąc zasady kanły i przypuszczając bezceremonialny atak na Ekaz. Po usunięciu z Ginazu studentów z Grumman wściekłość Moritanich musiała być ogromna, a przede wszystkim skupiła się zapewne na Hiihu Resserze. Duncan zerknął na poranioną twarz rudzielca i zobaczył, że on także musiał sobie z tego zdawać sprawę.

Naprzeciw nich stał mężczyzna o brodzie zasłaniającej pół twarzy i ciemnych włosach spływających na ramiona. Z uszu zwieszały się kolczyki wielkości łez. Z brody wystawały jasnozielone wypustki, których końce powoli się tliły, okalając twarz nitkami dymu. Zza pasa wystawały kolby dwóch niewielkich pistoletów maula. Przedstawił się jako Grieu.

– I co osiągnęliście dzięki tym wszystkim durnym ćwiczeniom? Upijacie się, stajecie się gapami i nie pozostaje w was nawet odrobina nadludzi, jakimi macie ponoć być. Cieszę się, że mój syn wcześniej się z tego wycofał i nie tracił czasu na darmo.

Między żołnierzami przepchnął się młodzieniec odziany w żółtą tunikę, a Duncan ze zgrozą rozpoznał w nim Trina Kronosa, który stanął obok kruczowłosego olbrzyma.

– Przybyliśmy tu, aby trochę urozmaicić wasze końcowe ceremonie i pokazać, że nie każdemu potrzeba ośmiu lat, aby zostać dobrym wojownikiem.

I spomiędzy nitek dymu Grieu dodał:

– No to zobaczymy, jak dobrze potraficie walczyć. Moim ludziom przyda się taka nauka.

Umundurowany oddział Moritanich – w którym Duncan rozpoznał też kobiety – rozstał się. Napastnicy byli uzbrojeni w miecze, sztylety, włócznie, kusze, nawet pistolety. Niektórzy mieli na sobie stroje szermiercze, inni wyglądali, jakby drwili z nauczycieli Szkoły Ginazów i dlatego przebrali się za muszkieterów i piratów z dawnej Ziemi. W kierunku pojmanych cisnęli dwa drewniane miecze, jeden chwycił w locie Resser, drugi Chusukanin, kolega o wielkich zdolnościach muzycznych. Zakpili z nich w ten sposób, gdyż te ćwiczebne zabawki były niczym w obliczu prawdziwego oręża.

Na znak ojca przed uczniami z Ginazu stanął wyrzucony ze szkoły Trin Kronos. Popatrzył na Ressera, potem Idaho, aż wreszcie jego wzrok zatrzymał się na Issie Opru, ciemnoskórym przybyszu z Al Dhanab.

– Ten pójdzie na początek. Żeby się rozgrzać.

Grieu mruknął z aprobatą. Kronos skinął na Opru, aby ten wyszedł z szeregu na środek pokładu. Wszyscy patrzyli w napięciu.

– Dajcie mi miecz – powiedział Kronos, nie spuszczając wzroku z przeciwnika. Duncan z satysfakcją patrzył, jak kolega automatycznie przyjmuje perfekcyjną postawę bojową: ugięte nogi, ciało gotowe do natychmiastowego ruchu. Kronos najwyraźniej był pewien, że wszystkie szanse są po jego stronie.

Trzymając w dłoni broń z długą klingą, Kronos zaczął prowokować Opru, dźgając ostrym końcem w jego twarz.

– No i co zrobisz, mistrzu? – spytał drwiąco. – Ja mam broń, a ty nie.

– Sam jestem bronią – spokojnie oznajmił Opru.

Kronos tańczył wokół niego i markował ciosy, aż wreszcie Opru zanurkował pod ostrze i kantem dłoni uderzył w przegub nieprzyjaciela. Ten z krzykiem wypuścił broń, po którą Opru rzucił się szczupakiem i schwycił, zanim dotknęła pokładu, by już w następnej chwili znaleźć się na nogach, gotów do dalszej walki.

– Bravo! – pochwalił olbrzym, podczas gdy Kronos z jękiem masował przegub. Grieu lekko popchnął go do tyłu ze słowami: – Jeszcze wiele musisz się nauczyć, synu, stań więc lepiej z boku, żeby cię ktoś bardziej nie skrzywdził.

Duncan i Hiih skupieni i uważni czekali, co się dalej stanie. Ich koledzy również szykowali się do walki. Opru lekko kołysząc klingą miecza, stał przyczajony i czekał na okazję do kolejnego ataku.

– Czyż to nie piękne? – powiedział Grieu i przesunął się odrobinę w bok, aby lepiej widzieć. Jego twarz otaczały spiralne strużki drażniącego oczu dymu z tłącej się brody. – Jakaż wzorowa postawa, jak z podręcznika. Wiesz co, synu? Gdybyście dłużej zostali w tej szkole, przynajmniej postawę mielibyście ładną.

Trin Kronos podskoczył do ojca i zdrową ręką wyrwał mu z pasa pistolet maula.

– Co tam forma, ważna jest treść! – zawołał. – Ja chcę wygrywać!

I z tym okrzykiem na ustach wystrzelił. W jednej chwili więźniowie zrozumieli, że przeznaczona im jest egzekucja, zanim więc ciało Opru zważyło się na pokład, rzucili się do ataku. Dwóch z przeciwników runęło ze zmiażdżonymi krtaniami, zanim zdążyli się zorientować, że zostali napadnięci.

Resser potoczył się w prawo, wystrzelona z miotacza strzałka odbiła się od desek, na których stał jeszcze przed chwilą, i wpadła do wody. Duncan rzucił się w przeciwnym kierunku, widząc broń w rękach wszystkich zbirów Moritanich, którzy rozpięchli się, aby okrążyć więźniów. Niektórzy wyskakiwali w kierunku centrum, ale zaraz się cofali, widząc, że nie sprostają mistrzom miecza.

– No, no – cmoknął z podziwem olbrzym. – To naprawdę jest styl!

Klaen, który przybył do Szkoły Ginazów z Chusuk, z przenikliwym krzykiem rzucił się na dwóch kuszników, którzy właśnie poderwali swą broń. Drewnianą klingą zasłonił się przed obiema strzałami, a następnie błyskawicznym cięciem przeciągnął po oczach nieprzyjacielowi, który nie odskoczył w porę, i teraz zalany krwią, zasłaniając twarz dłońmi, zatoczył się bezradnie, wpadając w ręce Hiddiego Arana z Balutu, który, jakby powtarzając ćwiczenie do znudzenia wykonywane przed dwoma laty, wykorzystał go jako żywą tarczę.

Nic jednak nie mogło już uratować Klaena, gdyż kusznicy odskoczyli w popłochu, a teraz naszpikowali strzałami jego pierś, ramiona i szyję. Wojownik z Chusuk z impetem przeleciał jeszcze kilka metrów, ale zanim jego ciało dotknęło ziemi, Aran zdążył je pochwycić i cisnąć nim w najbliższego łucznika, sam zaś, dopadłszy go w następnym ułamku sekundy, złamał mu rękę, a wyrwaną uzbrojoną kuszę zwrócił na drugiego ze strzelców i przebił mu tchawicę. Chciał powtórzyć ten manewr i wykorzystać napiętą broń tamtego, kiedy jednak miał ją już w

rękach, jego głowa eksplodowała. To Grieu wyszarpnął zza pasa drugi pistolet i bez namysłu strzelił.

Dookoła rozpętała się bezładna palba, ponad którą wzbił się głos dowódcy:

– Ostrożnie, durnie, bo powystrzelacie sami siebie.

Ostrzeżenie przyszło zbyt późno, jeden z najeźdźców z Grumman padł ze strzałą sterczącą z piersi.

Jednocześnie z Aranem do przodu skoczył Duncan, wyrwał z ciała Klaena jedną ze strzał i rzucił się na najbliższego ze zbirów Moritanich. Tamten ciął w jego kierunku mieczem, Duncan jednak przemknął pod klingą i podnosząc się, wbił zakrwawione już ostrze w podbródek przeciwnika. Następnie porwał drgające konwulsyjnie ciało i przerzucił je za swoją głowę, co sprawiło, że to w nie ugodziły trzy strzały nieprzyjaciół.

Uzbrojony tylko w drewniany mieczyk Hiih Resser z przerażającym krzykiem zaatakował najbliższego z ludzi Grieu. Ciął z całej siły, i chociaż od uderzenia ostrze rozprysło się na drzazgi, usłyszał trzask zgniatanej czaszki wroga, a koniec odwróconej gardy wbił w oko innego.

Ostatni ze współtowarzyszy Duncana – Wod Sedir, siostrzeniec króla Niushe – błyskawicznym kopnięciem wytrącił z ręki wroga pistolet maula, który wyfrunął w powietrze, oddając dwa chybione strzały. Później jego stopa trafiła mężczyznę w brodę, łamiąc mu kark, Sedir zaś pochwycił spadający pistolet, kiedy jednak nacisnął spust, okazało się, że brak w nim już lotek. W następnej chwili utkwilo w nim kilkanaście pocisków.

– No cóż – powiedział z satysfakcją w głosie Grieu Kronos – broń palna ma niezaprzeczalną wyższość nad bronią białą.

Nie minęło trzydzieści sekund, a Duncan i Hiih stali jako jedyni z uczniów Szkoły Ginazów przy burcie statku. Przeciwnicy zacieśniali półkole, uzbrojeni w najróżniejsze śmiercionośne narzędzia, spoglądali jednak na Grieu, czekając na polecenie.

– Jak tam u ciebie z pływaniem, Hiih? – mruknął Duncan, kątem oka spoglądając na ciemne fale wody.

– Lepiej pływam niż tonę – odrzekł rudzielec, zastanawiając się, czy zdołałby wyrwać jednemu z napastników pistolet, a jego ciało wykorzystać jako tarczę. Teraz jednak przeciwnicy byli już znacznie ostrożniejsi i z bezpiecznego dystansu celowali do dwójki przyjaciół. Nagłym, zdecydowanym ruchem Duncan chwycił Hiiha za ramię i rzucił się do tyłu. Dokładnie w chwili, w której wpuszczono strzały, przelecieli przez reling i z pluskiem wpadli do wzburzonego morza. Strzały i lotki odłupały drzazgi z burty łodzi i niczym stado rozwścieczonych os runęły w wodę, ale uciekinierom nie mogły już zrobić żadnej szkody.

Ludzie Grieu dopadli burty i przechyleni przez barierkę wypatrywali zbiegów, ale zobaczyli tylko skotłowaną wodę.

– Już po nich – mruknął Trin Kronos i obmacał kontuzjowany przegub.

– Mhm – mruknął jego ojciec. – Musimy wyrzucić resztę ciał, zanim zaczną śmierdzieć.

*Wszelkie innowacje techniczne są podejrzane i należy je uważać za potencjalnie niebezpieczne.*

### ***Butleryjski Diihad. Podręcznik dla naszych wnuków***

Kiedy straszna wiadomość dotarła na Salusa Secundę, Gurney Halleck cały dzień spędził przy ruinach więziennego miasta. Siedząc na dalekim wzgórzu, przy dźwiękach balisety układał balladę o tej zniszczonej planecie. Szkliste skrzepy roztopionych skał przypominały o atomowej eksplozji. Szukał właściwej tonacji, próbował, zmieniał, znowu zaczynał...

Bure chmury i ciężkie powietrze sprawiały, że było mu jeszcze ciężiej na duszy. Przełoży się to może na nastrój muzyki, ale ludzie, którzy zostali w schronie, z niepokojem mówili o możliwej burzy.

A przecież nawet w najgorszych warunkach ta zniszczona planeta lepsza była od kazamatów Harkonnenów.

Z południa nadleciał pozbawiony oznaczeń ornitopter, który należał do przemytników. Skrzydła miarowo uderzały o gęste powietrze. Gurney kątem oka zarejestrował, jak maszyna ląduje na sąsiadującej z ruinami solnej panwi.

Skupił się na obrazie, który chciał przekazać: okazałość i wystawność dworu cesarskiego, przybysze z dalekich planet, egzotyka strojów i obyczajów... wszystko minione, nierzeczywiste. W zadumie dotknął krwawinowej szramy. Wizje dawnej świetności Salusy mieszały się z własnymi wspomnieniami.

Usłyszał okrzyk i zobaczył, jak po stoku biegnie w jego kierunku, wymachując rękami, obozowy kucharz Bork Qazon.

– Gurney! Dominik nie żyje!

Poczuł, że kręci mu się w głowie, kiedy Qazon przekazywał wiadomość od pasażerów ornitoptera: Dominik Vernius i wszyscy jego towarzysze zginęli w atomowej eksplozji na Arrakis podczas, jak się wydaje, ataku sardaukarów.

Gurney pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Sardaukarowie użyli atomu?

Być może była to prowokacja; Szaddam chciał w ten sposób oczernić Dominika, którego bohaterska sława bynajmniej nie minęła bez śladu.

Bork pokręcił głową.

– Moim zdaniem, Dom zrobił to sam. Chciał użyć rodzowego arsenału do samobójczego ataku na Kaitain.

– To szaleństwo.

– Po wizycie na Ix był zdesperowany.

– Atom przeciw cesarskim sardaukarom. – Gurney pokręcił głową, świadom, że teraz on musi podejmować decyzje. – Bork, czuję, że na tym się nie skończy. Jak najszybciej musimy się stąd wynosić i rozproszyć, gdyż cesarski gniew zwróci się teraz przeciw nam.

Ludzie bardzo przeżywali wieść o śmierci swego przywódcy. Wraz z nim zniknęła też siła i pasja, która trzymała ich razem i pozwalała działać. Musieli się rozproszyć.

Wieczorem zasiedli wokół dużego stołu i zaczęli rozważać, co zrobić. Kilka osób sugerowało, że teraz, kiedy nie ma już Dominika, Johdama i Asuyo, kierownictwo powinien objąć Gurney.

– Ale nie możemy tu zostać – powiedział Qazon. – Nie wiadomo, ile cesarscy dowiedzieli się o naszej działalności. Może wzięli kogoś żywcem i zaczęli wypytywać?

– Musimy założyć nową bazę – zasugerował jeden z przemytników.

– I co w niej robić? – spytał gorzko jeden z najstarszych. – Przecież to earl zebrał nas wszystkich i dla niego wszystko robiliśmy. A teraz, kiedy go nie ma...

Gurney pomyślał o dzieciach poległego earla, które żyły na dworze Atrydów. Uśmiechnął się, co sprawiło, że skóra wokół blizny zmarszczyła się; cóż to za ironia losu, że właśnie księżę Atryda uratował go z rąk Harkonnenów, we właściwej chwili zamawiając dostawę niebieskiego obsydianu...

Decyzja dojrzała.

– Nie chcę się wypowiadać w sprawie nowej bazy, bo ja na pewno nie będę w tym uczestniczył. Udaję się na Kaladan, żeby zaoferować swą służbę Letu Atrydzie. To tam są Kailea i Rhombur Verniusowie.

– To głupota, Gurney – powiedział przygarbiony Scien Traf, nie przestając żuć kawałka żywicznego drewna. – Dominik zawsze powtarzał, że musimy trzymać się z daleka od jego dzieci, żeby czasem nie spadły na nie żadne konsekwencje za jego czyny.

– Teraz nie żyje i nie ma żadnego niebezpieczeństwa – odrzekł Halleck. – Minęło już dwadzieścia lat od czasu, gdy został uznany za renegata. – Zmarszczył brwi. – Może uda mi się do nich dotrzeć, zanim Cesarz zdąży rozpowszechnić swoją wersję wydarzeń. Powinni wiedzieć, jak było naprawdę.

– Zresztą to już nie dzieci – przypomniał Bork Qazon. – Rhombur ma dobrze po trzydziestce.

– Tak, tak – pokiwał głową Pen Barlow i wypuścił kłęb dymu z cygara. – Pamiętam, jak sięgali mi ledwie do kolan i brykali po całym Grand Palais.

Gurney wstał i zarzucił balisetę na ramię.

– Jadę na Kaladan, żeby wszystko wyjaśnić. – Skinął zebrany głową na pożegnanie. – Niektórzy z was pewnie będą chcieli pozostać przy dawnym zajęciu. Bierzcie wszystko, czego wam potrzeba. Ja... ja nie chcę już dłużej być przemytnikiem.

Wchodząc do budynku portu kosmicznego Kala, Gurney miał ze sobą tylko małą torbę ze zmianą bielizny, zawiniątko z solarisami – jego udział w łupach – oraz ukochaną balisetę. Przywoził ze sobą także wiadomości i wspomnienia związane z Dominikiem Verniusem, co, miał nadzieję, ułatwi mu dostanie się do Zamku Kaladan.

Podczas podróży przez zakrzywioną przestrzeń wypił trochę za dużo i nazbyt długo przesiadywał w pokładowym kasynie, wyraźnie do tego zachęcany przez obsługę Wayku. Nawiązał znajomość z urodziwą mieszkanką Poritrin, w opinii której jego muzyka i dobry humor całkowicie równoważyły brzydką szramę na twarzy. Trzymali się razem przez kilka dni, zanim liniowiec znalazł się na orbicie nad Kaladanem. Wtedy pocałowali się na pożegnanie i Gurney przesiadł się na prom.

Na chłodnym, wilgotnym Kaladanie szybko wydał większość pieniędzy, usiłując nadać sobie szacowny wygląd. Nie miał dla kogo oszczędzać. „Pieniądze są po to, aby je wydawać” – powtarzał często, chociaż jego rodzice byliby przerażeni, słysząc takie słowa.

Kiedy minął kilka posterunków kontrolnych, znalazł się wreszcie w dużej sali dla podróżnych i natychmiast zwrócił uwagę na krępego mężczyznę i piękną kobietę o miedzianych włosach, którzy zmierzali w jego kierunku. Rozpoznał w ich twarzach rysy Dominika.

– Kailea i Rhombur Verniusowie? – zapytał.

– Zgadza się – powiedział mężczyzna o jasnych włosach i szerokiej twarzy.

– Dowiedzieliśmy się, że podobno znałeś naszego ojca – żywo przemówiła Kailea. – Gdzie się podziewał przez te wszystkie lata? Dlaczego nie dawał znaku życia?

Gurney chwycił balisetę, jak gdyby liczył, że ona doda mu sił.

– Zginął na Arrakis podczas napadu sardaukarów. Tam miał jedną bazę przemytniczą, a drugą na Salusa Secundzie. – Niechcący trącił strunę i palcem stłumił dźwięk.

Rhombur, podparłszy się w ostatniej chwili, aby nie upaść, osunął się na fotel, a kiedy spoczął bezpiecznie, wyciągnął dłoń do siostry, która mocno uściśniła jego palce. Gurney ciągnął, czując się bardzo niezręcznie:

– Pracowałem dla waszego ojca i teraz... nie mam się gdzie podziąć. Pomyślałem, że powinienem się tu zjawić, aby wyjaśnić, gdzie był przez te dwadzieścia lat, co robił i dlaczego musiał pozostawać w ukryciu. Chodziło mu przede wszystkim o to, aby was chronić.

Po twarzach obojga Verniusów popłynęły łzy. Wiele, wiele lat temu tak oplakiwali stratę matki, teraz z kolei ojca.

Rhombur otworzył usta, chciał coś powiedzieć, ale nie potrafił wydobyć z siebie głosu.

– Wszystkie swoje zdolności poświęcić chcę temu, by bronić was przed każdym nieprzyjacielem, który zakradłby się do gwardii Atrydów. Nie pozwolę was skrzywdzić. Tego z pewnością życzyłby sobie Dominik.



– Dokładniej, proszę – odezwał się z boku głos, a kiedy Gurney spojrzał w tę stronę, zobaczył wysokiego, szczupłego mężczyznę z ciemnymi włosami i szarymi oczami. Na klapie czarnego wojskowego uniformu widniał czerwony jastrząb. – Jakkolwiek może to być nieprzyjemne, chcemy usłyszeć wszystko.

Rhombur poruszył się i otarł łzy.

– Księżę Leto Atryda także znał mojego ojca – zwrócił się do Gurneya, a ten niepewnie uściskał wyciągniętą do niego rękę.

– Przykro mi, że przynoszę tak złe wiadomości – rzekł Gurney i zerknął mimochodem na Verniusów. – Earlowi Dominikowi udało się niedawno dotrzeć na Ix, a to, co tam zobaczył, sprawiło, że wrócił zupełnie załamany.

– Było sporo możliwości, by to zrobić – zgodził się Rhombur. – Takie przejścia, które znała tylko najbliższa rodzina. Ja sam pamiętam jeszcze kilka. – Popatrzył na Gurneya. – Ale co chciał później zrobić?

– Domyślam się, że zaczął przygotowywać atak atomowy na Kaitain, ale sardaukarowie dowiedzieli się o tym zamiarze i chcieli go uprzeczyć. Dominik uruchomił wypalacz skał i zniszczył wszystko dookoła.

– Więc ojciec żył przez cały ten czas. – Rhombur popatrzył na Letę, a potem jego wzrok powędrował dalej, jakby miał nadzieję, że zaraz dostrzeże gdzieś Tessję. – Żył, ale nie poinformował nas o tym. Szkoda, że chociaż raz nie walczyłem u jego boku. Przynajmniej w tym ostatnim momencie powinienem być razem z nim.

– Szlachetny panie – odezwał się Gurney – nikt z tych, którzy z nim tam byli, nie należy teraz do żywych.

Na pokładzie liniowca, którym przyjechał Gurney Halleck, znajdował się oficjalny dyplomatyczny wysłannik arcyksięcia Armanda Ekaza. Mówiąc ściślej, była to wysłanniczka o krótko przyciętych kasztanowych włosach, odziana w tradycyjny uniform z licznymi wstęgami i dziesiątkami kieszeni i kieszonek. Zastała Letę na pogawędce, jaką prowadził w sali bankietowej ze służbą zajętą polerowaniem niebieskiego obsydianu. Dzięki Gurneyowi Leto wiedział już, że drogocenny kamień pochodzi nie z Hagala, lecz z niewolniczych kopalni Harkonnenów, a chociaż napelniło go to wściekłością, pozostawił jednak kosztowną posadzkę.

Leto powitał wysłanniczkę zgodnie z wymogami protokołu, ta jednak mówiła bardzo niewiele, a przedstawivszy się, natychmiast wręczyła zapieczętowany cylinder, który otwierał się dopiero pod naciskiem kciuka odbiorcy.

W obawie, że to następne złe wiadomości – rzadko kiedy kurierzy przynosili dobre – z dwóch różnych stron pospiesznie nadeszli Thufir Hawat i Rhombur. Leto zerknął na nich, przyciągnął ciężki, skrzypiący o posadzkę fotel, usiadł z głębokim westchnieniem i zabrał się do otwierania przesyłki. Obaj towarzysze czekali w milczeniu, podczas gdy on przebiegał

wzrokiem wiadomość.

Kiedy skończył, spojrzął na portret ojca, wiszący na ścianie naprzeciwko wypchanego łba salusańskiego byka, który zabił Starego Księcia.

– Należy się nad tym zastanowić – mruknął i zapadł w milczenie, jakby oczekiwał jakiejś porady od dawno nieżyjącego Paulusa.

– O co chodzi, Leto? – nie wytrzymał w końcu Rhombur, który nadal miał oczy podkrążone i zaczerwienione.

Zapytany odłożył cylinder na stół, a kiedy ten zaczął się toczyć ku skrajowi blatu, pochwycił go zwinnym ruchem.

– Ekazowie wystąpili z oficjalną propozycją, aby nasze rody połączyły się węzłem małżeńskim. Arcyksiążę Armand proponuje mi rękę swej młodszej córki Ilesy. – Palcem, na którym skrzył się książęcy sygnet, zastukał rytmicznie w cylinder. Starsza siostra Ilesy została zamordowana przez Moritanich. – Sprecyzował także, jaki byłby posag.

– Nie dołączył jednak portretu córki – zauważył Rhombur.

– Miałem już okazję widzieć Ilesę. Niebrzydka – odparł Leto takim tonem, jakby nie miało to żadnego wpływu na jego decyzję.

Kilkoro służących na chwilę przerwało pracę, słysząc tę nowinę, ale zaraz zabrali się do sprzątnięcia ze zdwojoną energią.

– Z pewnością nie bez znaczenia dla tej decyzji były ostatnie wydarzenia – zauważył Hawat. – Związek Ekazów z Atrydami zapewni im lepszą ochronę przed atakami z Grumman. Wtedy wicehrabia dwa razy pomyśli, zanim zdecyduje się wysłać swe oddziały.

Rhombur pokiwał głową.

– Hm, zawsze powtarzałem, że sama ingerencja Cesarza nie wystarczy, aby położyć kres waśniom między obu rodami.

Zamyślony Leto wpatrywał się w dal.

– Nikt nie myślał inaczej, Rhomburze – mruknął – ale wydaje mi się, że w tej chwili na Grumman przede wszystkim myślą o Szkole Ginazów. Z ostatnich wiadomości wynika, że jej przedstawiciele na forum Landsraadu nazwali wicehrabiego Moritaniego tchórzem i wściekłym psem.

– Książę – powiedział z powagą Hawat – czy nie powinniśmy się trzymać bardziej na uboczu tych spraw? Niesnaski trwają od lat i kto wie, do czego jeszcze doprowadzą.

– Nawet gdybyś miał rację, Thufirze, nic nam po twojej radzie, gdyż jesteśmy już uwikłani, i to nie tylko ze względu na naszą przyjaźń z Ekazami, ale także z powodu Ginazu. Zapoznawszy się z dowodami popełnionych przez Grumman okrucieństw, przyłączyłem się w Landsraadzie do głosów potępienia. – Po twarzy Leta przemknął lekki uśmiech. – Poza tym myślałem wtedy także o Duncanie.

– Musimy dokładnie rozważyć propozycję małżeństwa – mruknął mentat.

– Mojej siostrze z pewnością będzie to nie w smak – zauważył Rhombur.

– Już od lat Kailei nie podoba się żaden z moich postępów – westchnął Leto. – Nic na to nie poradzę, a nikt nie zdejmie ze mnie książęcych obowiązków. Muszę myśleć o przyszłości rodu Atrydów.

Leto zaprosił Gurneya Hallecka na kolację.

Dawny przemysłnik przez kilka popołudniowych godzin walczył z najlepszymi fehmistrzami na dworze i większość z nich pokonał. Potem okazał się równie znakomitym gawędziarzem, racząc chętnych słuchaczy opowieściami o wyczynach Dominika Verniusa przy długim stole w sali bankietowej, gdzie siedział, mając po jednej stronie zawieszoną na ścianie głowę salusańskiego byka, a portret Starego Księcia – po drugiej. Wykorzystał każdą okazję, aby dać wyraz swej nienawiści do Harkonnenów, doszedł nawet do historii niebieskiego obsydianu, którego tafle zdobiły ściany jadalni a którego transport pomógł mu wydobyć się ze straszliwej matni.

Zgodnie z sugestią Leta wziął jeden z mieczów Starego Księcia i stoczył walkę z wyimaginowanym przeciwnikiem, a chociaż niewiele było w jego ciosach elegancji i polotu, zachwycały dynamiką i dokładnością. Leto pokiwał głową i zerknął spod oka na Thufira Hawata, a ten uśmiechnął się z aprobatą.

– Posłuchaj mnie, Gurneyu Halleck – powiedział Leto. – Jeśli chcesz zostać na mojej służbie, ja z wielką ochotą cię do niej przyjmę.

– Najpierw jednak dokładnie cię wypytam o przeszłość i nie szukaj w tym żadnego powodu do obrazy, taka już moja rola – dorzucił Thufir Hawat. – Możesz już teraz wprawiać się do pomocy Duncanowi Idaho, który po powrocie z Ginazu zostanie naszym zbrojmistrzem.

– Pomagać mistrzowi miecza? To prawdziwy zaszczyt. Mam nadzieję, że nie uzna mnie za zawadę – powiedział Gurney, a do Leta zwrócił się ze słowami: – Miłościwy panie, służba u ciebie była moim marzeniem, a ponieważ będzie to także służba dla dzieci Dominika Verniusa, będę mógł w ten sposób spłacić dług wobec niego.

Leto, a potem Rhombur uściśli mu mocno rękę i w ten sposób Gurney Halleck został włączony do domu Atrydów.

*Ze stanowiskami władzy wiąże się to, że wszelką wiedzę dostosowuje się do własnych pragnień. Tyle że wiedza nie schlebia żadnym pragnieniom, ani przeszłym, ani przyszłym.*

**Dmitrij Harkonnen,**  
*Pouczenia dla moich synów*

Baron Vladimir Harkonnen przez całe życie poszukiwał nowych doświadczeń. Czy chodziło o jedzenie, ekscentryczne narkotyki czy wyuzdany seks, nieustannie zabiegał o nieznane mu przeżycia. Ale dziecko w Twierdzy Harkonnenów? I jak on ma sobie z tym poradzić?

W innych należących do Landsraadu rodach dzieci cieszyły się wielkim szacunkiem. Pokolenie wstecz hrabia Ilban Richese poślubił córkę Cesarza i spłodził z nią jedenaścioro dzieci. Jedenaścioro! Ile też baron musiał się nasłuchać natchnionych piosenek i opowieści, w których imitowano radosne dziecięce głosiki. Vladimirowi wszystkie te uciechy były najzupełniej obce, musiał się jednak poświęcić dla dobra rodu i odegrać rolę wzorcowego opiekuna Feyd-Rauthy.

Chłopiec miał nieco ponad rok, a już pewnie trzymał się na nogach i usiłował biegać, zanim jeszcze dobrze nauczył się utrzymywać równowagę i nie zrażał się bynajmniej doraźnymi kolizjami ze sprzętami czy podłogą. Gnała go nie nasycona ciekawość, dlatego pełno go było we wszystkich pomieszczeniach i zakamarkach. Interesował go każdy nieznany przedmiot, przy czym najczęściej usiłował wkładać go do ust. A zarazem był nadpobudliwy i często bez powodu zaczynał płakać.

Baron niekiedy usiłował nawiązać z nim jakąś rozmowę i wydobyć coś poza gaworzeniem, ale na próżno.

Pewnego dnia zabrał po śniadaniu Feyd-Rauthę na balkon najwyższej wieży w twierdzy. Chłopczek spoglądał na zatłoczone miasto i na słońce słabo prześwietlające przez burą zawieszinę pyłów. Poza granicami miasta znajdowały się kopalnie i gospodarstwa rolne, które dostarczać miały surowców niezbędnych do życia. Pomimo surowego reżimu ludność była niespokojna i baron musiał dokonywać pokazowych egzekucji, aby utrzymać spokój.

Baron zamyślił się i spuścił z oka swego podopiecznego, on zaś wykorzystał to i dziwnie sprawnie podążył na skraj balkonu, skąd zaczął wychylać się pomiędzy prętami balustrady. Rączy dzięki odciążaczom baron podskoczył i chwycił chłopca, zanim ten wychylił się na tyle daleko, by spaść. Zmełł przekleństwa w ustach i warknął tylko:

– Jak możesz być takim idiotą? Nie rozumiesz, że gdybyś zleciał, na dole zostałyby z ciebie tylko mokra plama?

„A cała ta starannie chowana harkonneńska krew byłaby stracona!”

Feyd-Rautha – popatrzył na niego okrągłymi oczkami i mruknął coś z niechęcią. Baron wyniósł swego siostrzeńca z balkonu i w pokoju odczepił sobie od pasa jeden z odciążaczy, aby przymocować go malcowi do pleców. Trudniej było mu teraz się poruszać, natychmiast dała o sobie znać wiotkość mięśni, ale przynajmniej Feyd miał stałe zabezpieczenie. Sam dzieciak był, jak się zdaje, zachwycony tym, że unosi się pół metra nad ziemią.

– Chodź, Feydzie – powiedział baron. – Teraz pokażę ci zwierzęta. Powinny ci się spodobać.

Malec popłynął za stryjem, który dysząc i sapiąc, pokonał ciąg korytarzy i schodów, aż

wreszcie znaleźli się na poziomie areny. Zniknęli w zbudowanym z lichych cegieł tunelu o niskim, półokrągłym stropie, który robił wrażenie zwierzęcej jamy. Wisiał tu gęsty, wilgotny zapach dzikości. Z klatek, w których trzymano bestie tresowane do walki z wyznaczanymi przez barona skazańcami, śmierdziało zgniłym sianem i łajnem. Zewsząd słychać było powarkiwania i ryki, pazury zgrzytały o polepę, zwierzęta wściekle rzucały się na kraty.

Baron uśmiechał się. To dobrze, kiedy bestie są rozdrażnione. Jak przyjemnie było widzieć ich kły i pazury, którymi, jeśli nadarzyła się taka okazja, rozrywały ludzkie ciało na strzępy. Mimo to jeszcze ciekawsze były walki zawodowych żołnierzy z niewolnikami, którym obiecywano swobodę w razie zwycięstwa. Nigdy jednak do tego nie doszło. Jeśli już któryś z nieszczęśników okazał się na tyle sprawny, że pokonał profesjonalnego wojownika, tym lepiej było go pokazać raz jeszcze, raz jeszcze... aż do fatalnego końca.

Idąc dusznym korytarzem, baron z zaciekawieniem obserwował zafascynowanego Feyda. Miał niezłe zadatki na władcę, mógł nawet przelicytować swego brata, Rabbana, jeśli chodzi o bogactwo cech charakterystycznych dla Harkonnenów. Tamten, silny wprawdzie i złośliwy, za mało miał w sobie przewrotności, jak na gust barona. Co prawda był z niego pożytek; mówiąc szczerze, Vladimir niekiedy zlecał mu czyny, do których sam nie miał serca. I gdyby tylko miał mózg odrobinę mniej podobny do mięśnia...

Stryj i bratanek zatrzymali się przed klatką w której z kąta w kąt chodził tygrys laza, mrużąc ślepia i poruszając nozdrzami, gdyż poczuł zapach ciała i krwi. Od stuleci bestie te szczególnie ceniono podczas popisów gladiatorów, były bowiem jednym kłębem mięśni, a każde włókno ich ciał pełne było energii. Karmiono je tak, aby nie traciły sił, a zarazem... by były wygłodzone.

Nagle bestia rzuciła się na kraty, odbiła od nich i ponownie zaatakowała, wysuwając przez pręty łapę z morderczymi pazurami. Baron cofnął się pospiesznie, pociągając za sobą Feyda, który, także przestraszony, wpadł aż na ścianę i wybuchnął płaczem, od którego poczerwieniała mu twarzyczka.

Vladimir chwycił bratanka za ramię i potrząsał nim.

– Dobrze, dobrze! Uspokój się. Nic się nie stało.

Feyd płakał nadal, coraz bardziej działając baronowi na nerwy.

– Dość już! Nie ma powodów do płaczu!

Chłopiec jednak ani myślał się uciszyć, co sprawiło, że tygrys coraz natarczywiej rzucał się na kraty.

– Powiedziałem, bądź cicho! – Baron nagle znalazł się w kropce: nie wiedział, jak uspokoić dzieciaka. – Och, przestańże wreszcie!

Jednak zabiegi barona odnosiły dokładnie odwrotny skutek. I, o dziwo, przypomniały mu się dwie córki, które począł dla Bene Gesserit wraz z Mohiam. Kiedy siedem lat temu postawił swoje ultimatum na Wallach IX, domagał się zwrotu dziewczynek, teraz jednak z wdzięcznością pomyślał o tym, ilu kłopotów oszczędziły mu czarownice, samodzielnie

wychowując dwie gówniary.

– Piter! – wrzasnął, ile miał tchu w płucach, a następnie walnął pięścią w pulpit komunikacyjny na ścianie. – Piter de Vries! Gdzie mój mentat?!

Wydierał się tak długo, aż z głośnika dobiegł nosowy głos mentata:

– Już idę, mój baronie.

Feyd ciągle płakał, a kiedy baron chwycił go dwiema rękami, aby potrząsnąć nim ze złości, poczuł, że chłopiec także się zmoczył.

– Piter!

Chwilę później w tunelu pojawił się mentat.

– Tak, mój baronie?

Baron cisnął mu w ramiona zawodzącego chłopca.

– Zajmij się nim. Niech przestanie się drzeć!

Całkowicie zaskoczony mentat patrzył, mrugając, na najmłodszego z Harkonnenów.

– Ale, baronie, ja przecież...

– Rób, co ci kazałem! Jesteś moim mentatem. Powinieneś potrafić wszystko, co ci rozkażę!

Wściekła twarz Vladimira nagle się rozpogodziła na widok stropienia Pitera, który trzymał woniejącego dzieciaka na wyciągnięcie ręki, jakby ten należał do jakiegoś wrogiego gatunku. To wynagrodziło mu wcześniejsze nieprzyjemności.

– I uważaj, żebym się na tobie nie zawiódł! – zagroził de Vriesowi i oddalił się z wysiłkiem, boleśnie odczuwając brak odciązacza.

Mentat natomiast nie miał najmniejszego pojęcia, jak się zabrać do wrzeszczącego bachora.

*Ludzie pyszni budują wysokie mury, by za nimi skryć swe wątpliwości i strachy.*

## **aksjomat Bene Gesserit**

W swoich pokojach, tam, gdzie nikt nie mógł jej usłyszeć, Kailea opłakiwała śmierć ojca. Stała właśnie przed wąskim oknem, które wychodziło na szare, wzburzone morze.

Dominik Vernius stanowił dla niej zagadkę. Śmiały i mądry władca, który przez dwadzieścia lat ukrywał się w samotności. Czy uciekł przed odpowiedzialnością, zostawiając żonę i dzieci na pastwę losu, czy też przez wszystkie te lata szykował się do powrotu na tron Ix?

Jakkolwiek rzeczy się miały, teraz już nie żył. Jej ojciec, silny, pełen pasji człowiek. Tak trudno w to uwierzyć... Kailea z bólem myślała o tym, że nigdy już nie wróci na Ix i nie

odzyska należnych jej praw.

A tu jeszcze na dodatek Leto zaczynał się zastanawiać nad małżeństwem z córką arcyksięcia Ekaza, młodszą siostrą tej, którą porwali i zamordowali najeźdźcy z Grumman. Nie odpowiadał na żadne pytania w tej sprawie, z jakimi zwracała się do niego Kailea. „To sprawy wagi państwowej” – mruknął poprzedniego wieczoru, dając w ten sposób do zrozumienia, że nie zamierza ich rozważać z byle konkubina.

„Sześć lat temu zostałam jego kochanką, jestem matką jego syna – kto bardziej ode mnie zasługuje na miano żony?”

Jej serce przepełniała rozpacz i rozczarowanie. Czyż doprawdy nigdy się nie skończy ten ciąg upokorzeń? Kiedy starsza dziedziczka Ekazów padła ofiarą morderstwa, Kailea zaczęła żywić nadzieję, że Leto wróci do niej, on jednak nadal snuł plany aliansu, który wzmocni pozycję rodu Atrydów.

Fale z hukiem rozbijały się o czarne skały w dole; nieliczne ptaki śmigły w powietrzu w poszukiwaniu owadów. Na kamieniach widać było lśniące zielone płyty wczepiających się w nie alg i wodorostów.

„Jakaś kłątwa ciąży nad moim losem – myślała Kailea. – Wszystko co moje, zagrabione, wydarte...”

Odwróciła się, gdyż bez pukania weszła opiekuńcza Chiara. Zabrzęczały ustawione na tacy naczynia, w powietrzu rozszedł się zapach kawy z dodatkiem melanzu. Jej dama do towarzystwa na przekór swemu wiekowi nadal poruszała się zwinnie i sprawnie. Ustawiła tacę na stoliku, zdjęła z niej dwie filiżanki i napełniła gęstym, brązowym płynem. Swoją kawę posłodziła, Kailei dodała śmietanki.

Z sercem pełnym ciężkich uczuć dziewczyna przyjęła filiżankę i upiła mały łyk, który w niczym nie zmienił jej nastroju. Chiara, nie pytając o pozwolenie, zajęła miejsce obok.

Kailea nagle poczuła się urażona.

– Chiaro, czy ty czasem nie pozwalasz sobie na zbyt wiele?

Dama do towarzystwa spojrzała uważnie znad brzegu filiżanki.

– Lady Kaileo, czy chcesz mieć we mnie mechaniczną służkę czy kogoś bliskiego ci duchem? Sądziłam, że jestem twoją przyjaciółką i powiernicą. Jeśli tylko chcesz, stanę się podobna do tych automatów, z których tak słyneło Ix.

– Nigdy nie pojmiesz, co dzieje się w mojej duszy – odparła ponuro Kailea. – Oplakuję wielkiego człowieka, który zginął z powodu cesarskiej zdrady.

– Z jej powodu straciłaś także matkę – dorzuciła Chiara – a w niczym nie możesz tu liczyć na brata. To nie on przywróci ci utracone prawa. Powiedzmy sobie szczerze, to ty jesteś ostatnią ostoją swego wielkiego rodu.

– Myślisz, że nie wiem o tym?

Kailea wstała od stołu i znowu podeszła do okna. Nie mogła znieść widoku starszej kobiety, nie mogła znieść niczyjego widoku, bała się nawet spojrzeć w twarz swoim lękom.

„Jeśli Leto poślubi córkę arcyksięcia...”

Potrząsnęła gwałtownie głową; to byłoby znacznie gorsze od pojawienia się w zamku tej rozpustnej Jessiki.

Szarość nieba i morza tak były do siebie podobne, że rozmywała się linia horyzontu. Rozmyślała nad swą dwuznaczną sytuacją u boku Leta. Wziął ją pod swoją opiekę, kiedy była jeszcze młodziutką dziewczyną, uchronił przed niebezpieczeństwami... ale to było tak dawno temu. A przez ten czas gdzieś rozplynęło się gorące niegdyś uczucie wdzięczności, sympatii...

– Boisz się, oczywiście, że książe przystanie na propozycję i poślubi Ilesę Ekaz – dodała Chiara głosem, w którym współczucie była drażniące jak igła. Dobrze wiedziała, gdzie jest drażliwe miejsce.

Chociaż Leto interesował się przede wszystkim Jessiką, nadal od czasu do czasu odwiedzał też łoże Kailei, jednak robił to jakby z obowiązku. Ona także poddawała się jego woli jak po przymusem powinności. Honor rodowy nigdy nie pozwolił mu na bezceremonialne wydalenie jej, jakiegokolwiek żywiłby wobec niej uczucie. Ale sposób postępowania, jaki wybrał, był jeszcze bardziej upokarzający i bolesny: trzymał ją blisko siebie, ale na uboczu, bez wszystkich tych zaszczytów, które powinny stać się jej udziałem.

A ona tak marzyła o podróżach na Kaitain! Tak pragnęłaby nosić strojne suknie, wykwintną biżuterię, mieć orszak złożony z dziesiątek dwórek, a nie jedną damę do towarzystwa, która potrafiła tylko drażnić rany. Wpatrzyła się w odbicie Chiary w szybie; staranna fryzura przydawała jej twarzy godności. Za nią lśniła ściana z niebieskiego obsydianu, zamówionego przez Leta u kupców z Hagala. Był to materiał tak drogi, że niewiele rodów decydowało się chociażby na jeden pas kamienny, Leto tymczasem nie tylko wyłożył nim ścianę jej sypialni, ale i jadalnię. Zmarszczyła brwi. I co z tego? Chiara miała zapewne rację, gdy powiedziała, że książe usiłował w ten sposób uspokoić swoje wyrzuty sumienia i kupić sobie jej życzliwość. A teraz od Gurneya Hallecka dowiedzieli się, że obsydian pochodzi w istocie z Giedi Primy. Ach, jakże musiała zabołć Leta świadomość, że prowadzi interesy z zaprzysięgłymi wrogami.

Chiara również wpatrywała się w odbicie w szybie i z wyrazu twarzy swej chlebodawczyni odczytywała myśli kotłujące się w jej głowie. A dzięki temu wiedziała, jak uderzyć.

– Zanim dojdzie do tego ślubu, moja pani, musisz zastanowić się nad sprawami dynastycznymi. – Stara kobieta podniosła się i jej postać rozmyła się na tle świetlistej ściany.  
– Mniejsza o to, co stało się z twym ojcem, ba, mniejsza o to, co stanie się z twym bratem i z tobą samą, ale przecież jest jeszcze twój syn. Twój i księcia Leta Atrydy. Twój brat i Tessja nie mają dzieci, a zatem Victor jest legalnym spadkobiercą rodu Verniusów... a potencjalnie również Atrydów. Gdyby księciu coś się przytrafiło, zanim poślubi tę kobietę, to na Victora przesłaby władza w rodzie Atrydów. A ponieważ ma dopiero sześć lat, to ty na długo stałabyś się regentką. Moim zdaniem to wspaniała perspektywa.



– Co to ma znaczyć: „Gdyby księciu się coś przytrafiło”?

Kailea zacisnęła kurczowo pięść, dobrze bowiem wiedziała, co sugeruje jej doradczyni. Chiara w milczeniu dopiła kawę i bez pytania uzupełniła filiżankę. Odezwała się dopiero po dłuższej chwili.

– Księżę Paulus zginął podczas walki z bykiem. Zdaje się, że sama byłaś tego świadkiem, moja pani?

Kailea znowu zobaczyła straszliwą scenę rozgrywającą się na Plaza de Toros. Tragiczny wypadek, który sprawił, że tron objąć musiał nieletni Leto. Sama miała wtedy ledwie kilkanaście lat. Czyżby Chiara nawiązywała do plotek, które nie ominęły także Kailei: że nie był to tylko wypadek? Tamta jednak sprytnie zaczęła się wycofywać:

– Ale nie wolno nawet igrać z taką myślą, że księciu mogłoby się coś stać. Wspomniałam o tym, ot tak sobie, rozważając różne możliwości.

Tyle że Kailei trudno było uwolnić się od tej myśli, od tego wyobrażenia. Szczególnie, że była to jedyna szansa, aby jej syn stał się głową Wysokiego Rodu. W przeciwnym wypadku dziedzictwo Verniusów skazane jest na zagładę. Mocno zacisnęła powieki.

– No cóż, a jeśli Leto weźmie za żonę Ilesę Ekaz, ty zostaniesz z niczym, moja pani – dorzuciła Chiara, sięgając po tacę i zbierając się do odejścia. Posiała zatrute ziarno i teraz należało już tylko czekać. – Już teraz cały czas spędza z tą dziwką Bene Gesserit. Najwyraźniej nic już dla niego nie znaczysz. Wątpię, żeby pamiętał, co ci przyrzekał w momentach namiętności.

Kailea odwróciła się i wpatrzyła z uwagą w starą kobietę. Skąd ona mogła wiedzieć, co takiego szeptał jej Leto do ucha? Zaraz jednak ta wątpliwość ustąpiła miejsca wściekłości rozbudzonej przez obraz Leta pieszczącego brązowowłosą Jessikę o zmysłowych wargach i gładkiej twarzy.

– Nie możesz, moja pani, uciec przed trudnymi pytaniami. Komu winna jesteś przede wszystkim lojalność? Księciu Leto czy swojej rodzinie? Nie dał ci swego nazwiska, więc jesteś i pozostaniesz Kaileą Vernius.

Kailea została ze swą letnią kawą w filiżance, a Chiara oddaliła się bez słowa pożegnania, nie pytając nawet, czy będzie jeszcze do czegoś potrzebna. Rozmyślała nad szczątkami swej dawnej chwały i nad widmami, którymi okazały się marzenia. Powróciły wspomnienia Grand Palais, nadzieje odwiedzin cesarskiego dworu, mignęło wspomnienie portretu, na którym utrwaliła ojca radosnego i pełnego pasji, jakim był zwykle podczas udzielanych jej lekcji biznesu. Z rozpaczą myślała o Victorze i o jego losie.

Stawała przed dramatyczną decyzją. Jeśli zdobędzie się na podjęcie jej, potem zostaną już tylko... szczegóły.

*Kluczem jest jednostka, końcowy efekt wszystkich procesów biologicznych.*

## **Pardot Kynes**

Liet-Kynes przez lata marzył o pięknej, ciemnowłosej Farouli, kiedy jednak otworzyła się możliwość poślubienia jej, w sercu poczuł tylko pustkę i ciężar powinności. Postanowili odczekać, aż upłyną trzy miesiące od śmierci Warricka, ale oboje wiedzieli, że sprawa jest przesądzona. Liet poprzysiągł to w swoim sercu przyjacielowi.

Zgodnie z wolańskim zwyczajem, mężczyzna przejmował żonę i dzieci tego, kogo pokonał w pojedynku, lecz Farouli nie można było nazwać ganimą, łupem wojennym. Liet podczas rozmowy z naibem Heinarem przekonywał go o swojej miłości i oddaniu dla jego córki, przytoczył obietnicę złożoną Warrickowi, że zaopiekuje się jak najtroskliwiej jego żoną... a także jedynym synem.

Heinar wpatrywał się w niego zdrowym okiem. Wiedział, jaką ofiarę złożył z siebie Warrick podczas kurzawy koriolisa, ale z punktu widzenia starszyny siczy sytuacja była dokładnie taka sama, jakby zaginął na pustyni. Wizje, które miał rzekomo otrzymać od Boga, okazały się fałszywe, gdyż nie sprostął próbie. Heinar zgodził się zatem, a Liet zaczął przygotowania do małżeństwa z córką naiba.

Rozmyślał teraz nad tym, siedząc za zasłoną z suszonego włókna przyprawowego. Zgodnie z panującym u Wolan obyczajem nie mógł widzieć Farouli dwa dni przed ślubem. I narzeczony, i narzeczona musieli się poddać obrzędowi oczyszczającym *mendi*. Czas ten należało też poświęcić na pielęgnację ciała oraz pisanie obietnic i wierszy miłosnych, które małżonkowie potem sobie odczytywali, Liet jednak pogrążył się w posepnej zadumie, czy czasem sam nie sprowokował tych tragicznych wydarzeń. Czemuż z taką pasją wypowiedział pragnienie na widok białej Bijan? I on, i Warrick pałali uczuciem do tej samej dziewczyny. Podporządkował się wynikowi Wyścigu do Ptasiej Jaskini i ze wszystkich sił starał się zdusić w sobie uporczywą tęsknotę do Farouli.

„Czyżby to zduszone pragnienie spowodowało katastrofę?”

I oto Faroula miała zostać jego żoną... a przecież był to związek powstały nie w szczęściu, lecz w żałobie.

„Wybacz mi, Warricku, przyjacielu”.

I tak trwał w milczeniu, pozwalając płynąć czasowi i czekając, aż nadejdzie odpowiednia pora i zacznie się ceremonia. Teraz jednak wcale nie czekał na nią z utęsknieniem.

Rozległ się szelest ciężkiej zasłony i pojawiła się matka Lieta, która uśmiechnęła się do niego z sympatią i zrozumieniem. W rękach miała zamykaną skórzaną fiolkę, którą uszczelniono przyprawową żywicą. Widząc, w jaki sposób ją trzymała, zorientował się, że jest to drogocenny prezent.

– Chciałam ci coś wręczyć, kochany, teraz, przed ślubem.

Liet otrząsnął się z zadumy.

– Nigdy dotąd nie widziałem tej buteleczki.

– Kiedy kobieta czuje, że jej dziecko powołane jest do wielkich rzeczy, wtedy prosi położną, aby zachowała jej wody płodowe, a potem może je wręczyć synowi w przededniu ślubu. – Frieta wyciągnęła rękę z fiolką. – Zachowaj ją, Liet. To pozostałość z czasów, gdy byliśmy ze sobą zespoleni, gdy nasze ciała łączyły się ze sobą. Teraz spleciesz swe życie z inną osobą, a dwa serca razem mogą być silniejsze niż dwa osobno.

Liet z szacunkiem przyjął dar.

– To najważniejsza rzecz, jaką mogę ci dać w wigilię tego dnia tak ważnego, ale też i tak trudnego.

Ich pełne czułości oczy spotkały się, ale intensywność emocji na jego twarzy zaskoczyła ją.

– Dałaś mi, matko, błogosławieństwo życia, i o tym nigdy nie zapomnę.

Kiedy zaślubiona para stanęła przed członkami siczy, Frieta wraz z młodszymi kobietami stanęły z tyłu, a na przodzie znalazła się starszyzna. Liet-chih, syn Warricka, przywarł milczący do matki.

Pardot Kynes, który przynajmniej raz oderwał się myślą od swych zajęć, uśmiechał się szeroko i jak nigdy dotąd czuł dumę z syna.

Przypominał sobie własny ślub, który odbył się pośród wydm pod nocnym niebem. Było to dawno temu, wkrótce po jego przybyciu na Arrakis, a cała ceremonia wydała mu się nużąca. Panny wolańskie tańczyły pośród piachów, a sajjadina jakby smakowała niezrozumiałe słowa ceremonialne.

Natomiast małżeństwo z Frietą okazało się udane; miał z niego syna, któremu chciał kiedyś przekazać obowiązki. Kynes uśmiechnął się do Lieta i nagle przypomniał sobie, że imię nadano mu po Ulicie, którego Heinar i reszta starszyzny wysłali z poleceniem zabicia dziwnego przybysza z zewnątrz, snującego dziwne, niepokojące opowieści.

Tyle że skrytobójca przejęty wspaniałością wizji Kynesa nadział się na własny krysnóż, a ponieważ Wolanie we wszystkim potrafili rozpoznać jakiś omen, od tej chwili planetolog zyskał szacunek dziesięciu milionów mieszkańców pustyni. Nadawanie nowego kształtu Diunie poprzez szczepienie sadzonek na pustyni zaczęło się posuwać w zadziwiającym tempie.

Młoda para stała teraz przed mieszkańcami siczy, a Liet wpatrywał się smutno w swą małżonkę. Pardot czuł się poruszony wyrazistością przeżyć tej młodej, a tak już naznaczonej doświadczeniami duszy, podczas gdy on kochał syna przede wszystkim jako odbicie samego siebie: człowieka, który z podobną jak on pasją odda się sprawie planety.

Tymczasem wydawało się, że Liet bardziej od ojca jest podatny na emocje. Pardot kochał żonę i to, jak w tradycyjny u Wolan sposób była jego towarzyszką życia, zarazem jednak

praca była dla niego o wiele ważniejsza od małżeńskiego związku. Był bez reszty pochłonięty swymi wizjami i pragnieniem, aby z Diuny uczynić bujny ogród. Żadna konkretna osoba nie mogła w nim wyzwolić takich pasji.

Ceremonię prowadził naib Heinar, albowiem sajjadina była już zbyt stara na daleką podróż przez pustynię. I kiedy Kynes słuchał teraz, jak młodzi powtarzają tradycyjne formuły, czuł, że jakieś dziwne fatum ciąży na tym związku i że jest to związane ze stanem umysłu jego syna.

– Bądź radością moich oczu, a ja będę radością twego serca – powiedział Liet.

– Bądź radością moich stóp, a ja będę radością twoich dłoni – odparła Faroula.

– Bądź radością moich snów, a ja będę radością twych przebudzeń – dodał.

– Bądź spełnieniem moich pragnień, a ja spełnię twe potrzeby – zakończyła Wolanka.

Kościastymi palcami Heinar ujął ręce Lieta i Farouli, podniósł je i na oczach całej siczy złączył, mówiąc:

– Odtąd jesteście zjednoczeni w Wodzie.

Cichy szmer przerodził się w radosne okrzyki. Nowożeńcy wydawali się odprężeni i pełni ulgi.

Po ceremonii Pardot podszedł na osobności do Lieta i niezgrabnie go uściskał.

– Jestem taki szczęśliwy, synu. – Przez chwile szukał odpowiednich słów. – Musisz radować się, bo przecież od dawna o niej marzyłeś, prawda?

Niepomny na uśmiech ojca syn zawrzał gniewem.

– Dlaczego mnie dręczysz, i to jeszcze w takim dniu? Jeszcze ci mało?

Zaskoczony Pardot cofnął się o krok.

– O co ci chodzi? Cieszę się z twojego ślubu i powiadam tylko, że to przecież twoja wymarzona dziewczyna, a...

– Ale dlaczego musiało się to stać w ten sposób? Jak mamy być szczęśliwi, kiedy to nieszczęście kładzie się na nas cieniem? Może zmieni się to z biegiem lat, ale teraz czuję przede wszystkim ból.

– Liet, synu...

Wyraz twarzy ojca był dostatecznie wymowny.

– Ty nic nie rozumiesz, prawda? Wielki Umma Kynes! – Liet zaśmiał się gorzko. – Masz swoje rośliny, swoje punkty obserwacyjne, swoje mapy i plany, ale z tym wszystkim jesteś tak ślepy, że aż mi ciebie żal.

Planetolog usiłował jakoś się połapać w przedziwnej dla niego układance.

– Ja wiem, Warrick, ten twój przyjaciel... Ale on przecież zginął podczas burzy, czyż nie?

Liet potrząsnął głową.

– Jakże ty niewiele spostrzegasz. Jestem dumny z twych planów dotyczących Diuny, ale cały świat traktujesz jak jedno wielkie laboratorium, w którym zbiera się dane i sprawdza

hipotezy, i nie potrafisz dostrzec różnic między obiektami eksperymentalnymi a żywymi ludźmi! To nie są okazy doświadczalne, to Wolanie, którzy cię przyjęli między siebie, dali ci nowe życie, obdarzyli synem. Ja jestem Wolaninem!

– I ja nim jestem – odparł urażony Pardot.

Głosem tak cichym, aby nikt inny nie mógł twego usłyszeć, Liet rzekł:

– Wykorzystujesz ich.

Zdumiony ojciec milczał.

Liet nie potrafił się jednak opanować i znowu podniósł głos, chociaż wiedział, że jeśli Wolanie usłyszą tę sprzeczkę, będą zaniepokojeni waśnią między ojcem i synem, i to w dzień weselny.

– Wiele ze mną rozmawiałeś, ojcze, ale kiedy przypominam sobie twoje słowa, widzę, że zawsze dotyczyły one tylko wyników obserwacji i kolejnych faz transformacji planety. Czy kiedykolwiek wspomniałeś o matce? Czy kiedykolwiek zwracałeś się do mnie jak ojciec, a nie jak kolega po fachu? – Liet pokiwał głową. – Rozumiem twoje marzenia i też daję się im porwać. Widzę potencjał, jaki można wyzwolić spod tych piachów, podziwiam śmiałość twojej wizji, ale kiedy już uda się ją zrealizować, czy wiedziałbyś, po co się to stało? Spójrz w twarze dzieci. Spójrz w twarze starców. Zaczynaj naprawdę żyć, ojcze!

Pardot powoli osunął się na ławę wykutą w skale, a oczy zaszyły mu łzami.

– Ja... Ja chciałem jak najlepiej... – Popatrzył zawstydzony na syna. – Dopiero teraz rozumiem, że jesteś naprawdę moim następcą, a nawet kimś więcej. Martwiłem się, czy twoja wiedza planetologiczna jest dostateczna, ale teraz widzę, że posiadasz także wiedzę, której mi brakło, i w efekcie rozumiesz więcej ode mnie.

Liet usiadł obok ojca, a ten nieśmiało objął go ramieniem. Syn spojrzał na jego twarz i z prawdziwie wolańskim zdziwieniem spostrzegł spływające po niej łzy.

– Kiedyś zostaniesz Cesarskim Planetologiem – rzekł Pardot – ale najważniejsze jest to, że do szerokości mojej wizji dodałeś głębię swego serca.

*Dobry władca pozostaje w cieniu. Kiedy wszystko toczy się gładko, nikt nie zauważa pracy księcia, i to dlatego musi on dawać ludziom dodatkowy powód do radości, temat do rozmów, coś godnego zapamiętania.*

**książę Paulus Atryda**

Pomysł podsunęła Kailei rodzinna kolacja odbywająca się w wielkiej jadalni Zamku Kaladan. Leto pełen werwy siedział za długim stołem i delektował się popularną pośród zwykłych wieśniaków ostrą, gęstą zupą rybną. Zajadał z apetytem, a potrawa być może

przypominała mu czasy dzieciństwa i dokazywania na przystani, kiedy mógł się bez reszty oddawać zabawie, nie myśląc o sprawach rodu i wielkiej polityki. Zdaniem Kailei Stary Książę, Paulus, nie zadbał dostatecznie o to, aby już od najmłodszych lat uczyć syna myśleć w kategoriach państwa i racji stanu. Było dla niej jasne, że pomimo pozorów Leto nigdy nie nauczył się sterować sprawami rodu ani dawać sobie rady ze stojącymi w opozycji do siebie siłami Gildii, ZNAH-u, dworu cesarskiego i Landsraadu.

Victor siedział obok ojca, a na fotelu ułożono tyle poduszek, aby brodą nie dotykał stołu. Ciemnowłosy chłopiec siorbał zupę, naśladując ojca, który zapominał o tym, że nie należy dawać malcowi złego przykładu, co niesłychanie drażniło Kaileę. Kiedy stanie się już głową rodu Atrydów, Kailea zaś regentką, już ona zadba o właściwe dla księcia maniery. Tak, Victor zgromadzi w sobie najlepsze cechy Atrydów i Verniusów.

Inni biesiadnicy bezceremonialnie rwali kawałki chleba z bochnów i sownie popijali je ciemnym kaladańskim porterelem, chociaż, o czym Kailea dobrze wiedziała, zamkowe piwnice zaferować mogły doskonałe wino. Przy stole pełno było gwaru i śmiechu, ale Kailea w tym nie uczestniczyła i ledwie skosztowała to, co nałożyła sobie na talerz. O kilka foteli dalej siedział Gurney Halleck, który przy deserze będzie ich zabawiał grą na opartej w tej chwili o ścianę balisecie. Ponieważ znał jej ojca z czasów, gdy i ona, i brat nie mieli z nim kontaktu, cieszyła się z jego towarzystwa, chociaż Gurney nie darzył jej specjalną sympatią.

Siedzący po przeciwnej stronie Rhombur z zachwytem kokietował Tessję, i pochłaniał tyle rybnych potraw, jakby chciał w ten sposób przypodobać się Lem. Thufir Hawat uważnie przyglądał się zebranym, jakby zapomniawszy o jedzeniu. Kailea, jak mogła, starała się unikać jego spojrzenia.

W połowie stołu siedziała Jessika, jakby dla podkreślenia jej pozycji w książęcym domu. Kailea najchętniej udusiłaby ją gołymi rękami. Jadła z elegancją, tak pewna siebie, że nie widać w niej było żadnej sztuczności. Od czasu do czasu wpatrywała się w twarz Leta, jakby odczytanie stanu jego ducha było dla niej czymś tak łatwym, jak lektura informacji utrwalonej na szpulki szigarutu.

Leto zażyczył sobie wspólnej wieszery, chociaż nie było żadnej specjalnej po temu okazji. Być może chodziło o obwieszczenie kolejnego z jego dzikich pomysłów, przy których trwał uparcie niezależnie od tego, co mogła w danej kwestii doradzać Kailea czy inne osoby.

W powietrzu unosiły się jarzyce, między którymi sterczały ramiona wykrywacza trucizn, podobne, zdało się, do wypatrujących okazji owadów. Wykrywacz był nieodzowny z uwagi na podstępność i nie cofającą się przed żadnymi rozwiązaniami politykę rodów należących do Landsraadu.

Leto skończył jeść, otarł usta jedwabną serwetką i z westchnieniem satysfakcji rozparł się w książęcym fotelu. Victor wprawdzie uporał się ledwie z jedną trzecią zawartości swej miseczki, ale zachował się tak samo jak ojciec. Gurney Halleck zerknął w kierunku balisety, postanowił już bowiem, od jakiej piosenki rozpocznie swój dzisiejszy występ.

Kailea przypatrywała się, jak szare oczy Leta wędrują po sali, aby w końcu zatrzymać się na łbie byka, którego rogi poczerniały od zakrzepłej na nich krwi. Nie wiedziała, jakie były zamiary Leta, kiedy jednak napotkała spojrzenie Jessiki, odniosła wrażenie, że dla tej czarownicy nie stanowiły one tajemnicy. Z gniewnym wzruszeniem ramion odwróciła wzrok.

Zobaczywszy, jak Leto się podnosi, Kailea z trudem powstrzymała zniecierpliwione westchnienie. Znowu zamierzał rozpocząć jedno ze swych książęcych wystąpień, w których zachwalać miał uroki życia. Świetnie, ale skoro życie jest takie piękne, to dlaczego jej rodzice zostali zamordowani? Dlaczego ona i brat musieli się tułać na wygnaniu, zamiast radować się tym, co było im przeznaczone?

Służący zaczęli zbierać naczynia, ale Leto machnął ręką, aby mu nie przeszkadzano.

– W przyszłym tygodniu – oznajmił – upływa dwadzieścia lat od dnia, gdy mój ojciec padł na arenie, zabity przez byka. – Na chwilę zapatrzył się na portret Starego Księcia. – Noszę się zatem z myślą, aby powtórzyć jeden z tych spektakli, które mój rodzic urządzał dla uciechy swych poddanych. Sądzę, że to jedna z powinności księcia Kaladanu.

Hawat spojrzał zaniepokojony na mowę.

– Co takiego zamierzasz, książę?

– Nie martw się, Thufirze, nic tak niebezpiecznego jak walka byków. – Leto popatrzył z uśmiechem na Victora, a potem na Rhombura. – Niemniej jednak chciałbym zrobić coś takiego, co zapadnie w pamięć moim poddanym. Niebawem wyjeżdżam na Kaitain, jako że na forum Landsraadu rozpocząć chcę następną turę rokowań, które mają na celu zażegnanie konfliktu między Moritanami i Ekazami, co poza wszystkimi innymi kwestiami wydaje się wskazane z tej racji, że być może silniejszy sojusz zwiąże nas z tym ostatnim rodem. – Na chwilę zawiesił głos, jakby odrobinę stropiony. – Chcę na pożegnanie zrobić powietrzną paradę na pokładzie naszego szybkiego żaglowca powietrznego. Niechaj ludzie zajęci teraz zbiorami ryżu pundi będą mieli okazję zobaczyć strojny statek i życzyć swemu księciu powodzenia.

Uradowany Victor zaklaskał w dłonie, a Gurney z aprobatą pokiwał głową.

– Ha! To zapewne będzie piękny widok.

Rhombur zamyślił się, oparłszy brodę na rękach.

– Leto a czy czasem Duncan Idaho nie wraca niebawem z Ginazu? Nie zamierzasz czekać na jego powrót? Czy może jedno połączymy z drugim?

Leto wzruszył ramieniem.

– Dawno nie miałem od niego żadnych wiadomości i oczekuję go dopiero za parę miesięcy.

Gurney z rozmachem walnął pięścią w blat.

– Bogowie podziemi! Jeśli ktoś po ośmiu latach studiów w Szkole Ginazów wraca jako mistrz miecza, to chyba zasługuje na porządne powitanie?!

Leto zaśmiał się szczerze.

– Masz rację, Gurneyu, ale na to będzie mnóstwo czasu po moim powrocie. W każdym razie, mając teraz za obrońców Thufira, ciebie i jego, nie będę się już bał żadnego przeciwnika.

– Wróg może skorzystać z broni mniej widocznej niż miecz – cicho zauważyła Jessika.

Kailea zeszywniała, ale Leto odrzekł, nie spoglądając na nią:

– Tego jestem zawsze świadom.

Ale w mózgu Kailei kółka zaczęły się już obracać. Kiedy wieczera dobiegała końca, przeprosiła i oddaliła się, aby opowiedzieć Chiarze o zamiarze Leta.

Tę noc Leto spędził na pryczy w hangarze w porcie kosmicznym Kala, podczas gdy jego podwładni zabrali się do przygotowywania wielkiej imprezy. Już za kilka dni wielki żaglowiec miał rozpocząć swą podróż.

Kailea wezwała do swych komnat Swaina Goire'a, który zakochał się w niej bez pamięci. Kochała się z nim tak namiętnie, że wprawiło go to w stan zupełnego oszołomienia. Kiedy wyczerpany zasnął, z kieszonki w jego pasie wykradła klucz kodowy do zamków. Nazajutrz rano wręczyła swą zdobycz Chiarze.

– To da ci wstęp do zbrojowni. Tylko uważaj.

W oczach damy do towarzystwa pojawił się błysk.

– Możesz być spokojna, moja pani, dalej już sama się zajmę wszystkim.

*Wojna jako najstraszliwszy kataklizm ekologiczny stanowi tylko odzwierciedlenie znacznie rozleglejszego stanu rzeczy, w ramach którego dokonuje się egzystencja całościowego organizmu zwanego „ludzkością”.*

**Pardot Kynes,**  
***Refleksje nad katastrofą Salusa Secundy***

Na głównej wyspie archipelagu Szkoły Ginazów pięciu najwybitniejszych mistrzów miecza przeprowadziło ustny egzamin, w trakcie którego uczniowie kończący naukę musieli się wykazać wiedzą z historii, filozofii, taktyki wojskowej, haiku, muzyki i wielu innych dziedzin.

Odbywało się to wprawdzie zgodnie z wielowiekową tradycją, ale tym razem atmosfera była ciężka i żałobna, a to z powodu tragicznej śmierci sześciu elewów. Napastnicy z Grumman, jakby szcząc się swoją brutalnością, cisnęli ciała czterech z nich w przybrzeżne wody, tak że fale wyniosły je na brzeg, natomiast dwóch pozostałych – Duncan Idaho i Hiih Resser – najpewniej utonęło bez śladu.



Na szczycie centralnej wieży mistrzowie miecza zasiedli za półkolistym stołem, a miecze ułożone rękojeścią do siebie, niczym promienie słoneczne, mierzyły w każdego z egzaminowanych. Wszyscy zdali i teraz Karsty Toper, mając do pomocy administrację szkoły, przygotowywała ich powrót na ojczyste planety, gdzie mieli służyć nabytymi umiejętnościami.

Sami zaś mistrzowie zastanawiali się nad zaistniałą sytuacją.

W samym środku siedział Rivvy Dinari i wpatrywał się w miecz Paulusa Atrydy i inkrustowany kamieniami rodowy sztylet Moritanich, które znaleziono w rzeczach Idaho i Resslera. Koło niego trwał ze zwieszoną głową Mord Cour.

– Niejeden raz przychodziło nam odsyłać rzeczy pozostałe po poległych uczniach, ale nigdy nie robiliśmy tego w takich nastrojach jak dzisiaj.

Twardy Jamo Reed, który wiele już widział na swej więziennej wyspie, nie potrafił się otrząsnąć się z żałoby.

– Żeby jedni z naszych najlepszych uczniów padli ofiarą morderstwa, to... – Nie dokończył.

Władze Ginazu wystąpiły z formalnym protestem, ten jednak niewiele znaczył dla wicehrabiego Hundro Moritaniego, który nigdy właściwie nie wytłumaczył się ze swej brutalnej napaści na Ekaz. Landsraad i Cesarz zastanawiali się teraz, w jaki sposób na to zareagować, narady jednak trwały, sprawa się przedłużała i nic jakoś nie przemawiało za tym, by wicehrabia miał bardzo pożałować swoich postępów.

– Czuję się... pohańbiony – oznajmił Jeh-Wu i gwałtownie potrząsnął swymi warkoczami.  
– Nigdy dotąd nikt nie ośmielił się postąpić tak z mistrzami miecza.

Wyelegantowany Whitmore Bludd siedział wyprostowany i nieustannie poprawiał gors koszuli.

– Proponuję sześciu naszym wyspom nadać imiona zabitych. W ten sposób upamiętnimy i ich, i ów bezprzykładny akt zbrodni.

– I to ma nam wystarczyć?! – Rivvy Dinari uderzył dłonią w stół tak mocno, że z brzękiem podskoczyła leżąca na nim broń. – Trzy nocne godziny spędziłem przy mauzoleum Jool-Noreta, modląc się i prosząc o poradę, jak postąpić.

– Tak? I ciekawe, co ci odpowiedział? – prychnął szyderczo Jeh-Wu i podszedł do okna, skąd roztaczał się widok na małą przystań między rafami. – Nawet za życia nikogo niczego nie nauczył. Utonął w morzu, nie odpowiedziawszy na prośby swoich uczniów. Skoro im nie pomógł, to jak oczekiwać, że miałby się nam czymś przysłużyć.

– Uczyl przez przykład – obruszył się Bludd. – Dla pojętych to aż nadto.

– A poza tym wiedział, co to honor, podobnie jak dawni samurajowie – dorzucił Dinari. – Po tysiącach lat straciliśmy wiele z dawnych cnót.

Mord Cour zmarszczył brwi.

– Wybiórczo interpretujesz historię, Dinari. Samuraje może i mieli honor, ale

wystarczyło, aby pojawili się Brytyjczycy z karabinami, a już dwa pokolenia później nie uświadczylesz żadnego samuraja.

Jamo Reed podniósł udręczoną twarz.

– Błagam, nie zaczynamy napadać jeden na drugiego, wtedy bowiem dopiero wszyscy Grummanowie świata będą mieli ułatwione zadanie.

– Już teraz nie okazało się dla nich zbyt trudne – mruknął z bolesnym szyderstwem w głosie Jeh-Wu. Chciał jeszcze coś dodać, ale przeszkodziło mu zamieszanie przy drzwiach. Jeh-Wu odwrócił się, pozostała czwórka zerwała się na równe nogi.

Duncan Idaho i Hiih Resser, brudni i obszarpani, roztrącili właśnie na bok trzech strażników i wkraczali do środka. Byli pokrwawieni, utykali, ale w ich oczach płonął ogień.

– Przepraszamy za spóźnienie – powiedział z szerokim uśmiechem Hiih.

Jamo Reed obiegł stół, złapał po kolei w objęcia każdego z chłopaków i zawołał:

– Moi chłopcy! Żyjecie!

Nawet na przypominającej iguanę twarzy Jeh-Wu pojawił się uśmiech.

– Nie godzi się mistrzowi miecza konstatować faktów oczywistych – zakpił, ale Reed wcale się tym nie przejął.

Duncan zerknął na leżący na stole miecz Starego Księcia. Zrobił krok do przodu i spojrzał na krew sączącą się z rozciętej lewej łydki.

– Musimy przyznać się z Resserem, że przez ostatnie kilka dni zaniedbaliśmy przedmioty teoretyczne, natomiast mieliśmy okazję do pewnych ćwiczeń praktycznych.

Mówiąc to, podtrzymał Hiiha, który miał wyraźne trudności z utrzymaniem się na nogach. Napili się podanej im przez Coura wody, a następnie opowiedzieli, jak rzucili się w wodę z pokładu pirackiego stateczku i jak nawzajem pomagali sobie, płynąc z wysiłkiem do brzegu, co zabrało im kilka godzin, aż wreszcie pomyślne prądy i fale przyływu wyrzuciły ich na brzeg jednej z zamieszkałych wysp archipelagu. Tam pospiesznie opatrzone im rany, dano zmianę odzieży i wyprawiono w dalszą drogę.

Resser, jak widać, nie stracił nic ze swej zawadiackości, dumnie bowiem podnosząc głowę, powiedział:

– Niniejszym chcieliśmy wystosować oficjalną prośbę o usprawiedliwienie naszej nieobecności i zezwolenie na składanie egzaminów z opóźnieniem.

– A ja – zwrócił się do kolegów Reed – wnioskuję o uznanie, że Duncan Idaho i Hiih Resser spełnili wszystkie nasze oczekiwania i wymagania, wykazując tym samym, że w pełni zasługują na tytuł mistrzów miecza.

Whitmore Bludd poruszył się niespokojnie.

– To niezgodne z regułami, którym należy być szacunek.

Stary Mord Cour spojrzał na niego spod oka.

– Czy ci nicponie z Grumman nie przekonali cię jeszcze o głupocie przestrzegania form dla samego przestrzegania?

Czterej mistrzowie spojrzeli na Rivvy'ego Dinariego, czekając na jego opinię. Ten powoli uniósł swój ogromny korpus i popatrzył na utrudzonych uczniów, a potem ruchem głowy wskazał miecz Starego Księcia i sztylet Moritanich.

– Idaho, Resser – weźcie swoją broń.

Ze szcękami stali sięgnęli po oręż wszyscy mistrzowie. Duncan z bijącym sercem chwycił w dłoń ukochany miecz. Pięciu mistrzów stanęło półkolem i wyciągnawszy ręce, ułożyli klingi jedna na drugiej.

– Dołączcie i wy – polecił Mord Cour, a Dinari swym niezwykle ciekawym głosem obwieścił:

– Odtąd jesteście już mistrzami miecza.

Potem olbrzym zdjął opaskę ze swych rudych włosów i opasał nią głowę Duncana, a podobnie postąpił Jamo Reed z Hiihem. Duncana nagle ogarnęło tak intensywne uczucie triumfu i ulgi, że mało nie zwałił się z nóg, ale siłą woli zachował jakąś równowagę. Uścisnęli się obaj z Hiihem, a Duncan poczuł pragnienie, by jak najszybciej wracać na Kaladan.

„Nie zawiodłem cię, książę Leto!”

Nagle jakiś huk rozdarł powietrze nad ich głowami, a od otaczających wyspę trzcin napływały ostrzegawcze dźwięki syren. Silna eksplozja odbiła się echem od budynków administracyjnych.

Wszyscy rzucili się do balkonu. Dwie sąsiednie wysepki stanęły w ogniu.

– Maszyny bojowe! – wykrzyknął Jamo Reed. Także Duncan dostrzegł teraz powietrzne drapieżniki zrzucające bomby.

Jeh-Wu potrząsnął gniewnie czupryną.

– Któż to ośmielił się na nas napaść?

Dla Duncana odpowiedź była oczywista.

– Ród Moritanich wcale jeszcze z nami nie skończył.

– To na przekór wszystkim cywilizowanym regułom – wykrzyknął Rivvy Dinari. – Nie ogłosili kanły, nie trzymają się ustalonych form.

– A czy po tym wszystkim, na co wicehrabia zdecydował się w stosunku do Ekazów, a potem do nas, naprawdę oczekujesz, że będzie przestrzegał jakichkolwiek reguł? – spytał z goryczą Resser. – To nie jest jego sposób myślenia.

Eksplodowały kolejne bomby.

– Gdzie nasza artyleria? – spytał Whitmore Bludd, bardziej zdziwiony niż oburzony. – Gdzie nasze ornitoptery?

– Nikt dotąd nie ośmielił się napaść na Ginaz – odrzekł Jamo Reed. – Jesteśmy politycznie neutralni i służymy wszystkim rodom.

Duncan widział wyraźnie, jak formy i zapatrzenie w siebie odebrały tym znakomitym wojownikom ostrość widzenia. Na przekór radom udzielonym uczniom, sami ani przez chwilę nie zastanawiali się nad potrzebą ostrożności.

Dinari przytknął lornetkę do nalanej twarzy i wyregulował soczewki olejowe, nic sobie robiąc z kierujących się teraz ku centralnej wyspie maszyn. Obserwował nierówną linię brzegową.

– Wszędzie widać oddziały nieprzyjacielskie, lądują od strony portu kosmicznego. Uzbrojeni są w przenośną artylerię.

– Musiały ich tu dostarczyć łodzie podwodne – mruknął Jeh-Wu. – A zatem to napaść starannie przygotowana.

– I czekali tylko na pretekst – powiedział Jamo Reed.

Atakujące maszyny były coraz bliżej; wokół czarnych dysków drżało powietrze, zdradzając obecność tarcz.

Duncan nagle zobaczył, że podziwiani przez niego mistrzowie stoją zupełnie bezradni. Wszystkie ich mądrości i nauki wydawały się bezużyteczne w zetknięciu z rzeczywistością. Porwał miecz Starego Księcia ze słowami:

– To bezzałogowe bombowce!

Budowle wzdłuż wybrzeża jedna po drugiej stawały w ogniu. Wszyscy skoczyli do wyjścia.

– Musimy zorganizować obronę! – zawołał Dinari.

– Reszta absolwentów jest chyba jeszcze w porcie – zauważył Resser. – Będą mieli okazję do sprawdzenia swych umiejętności.

Pobiegli korytarzem między rozstępującymi się urzędnikami, których najwyraźniej ogarnęła zgroza. Rivvy Dinari po raz kolejny dowiódł, że chociaż wydawał się nieruchawy, to kiedy zachodziła taka potrzeba, umiał poruszać się zwinnie i szybko; trzymając się poręczy, przeskakiwał po kilkanaście schodów naraz, błyskawicznie przemieszczając się z jednego podestu na drugi. Whitmore Bludd deptał mu po piętach, a za nimi gnała cała reszta, razem z Duncanem i Hiihem. Budynek kołysał się od wstrząsów, trwał bezpardonowy atak.

Kiedy znaleźli się w holu, przez szyby ze zbrojonego plazu zobaczyli płonące dookoła budowle.

– Musimy dostać się do centrum dowodzenia! – krzyknął Duncan. – Potrzebna nam też odpowiednia broń. Czy w porcie są jakieś bojowe ornitoptery?

– Zaraz! – przerwał mu rozgorączkowany Bludd, – Jak myślicie, na czym im najbardziej zależy? – Wskazał brodą ozdobną trumnę stojącą pośrodku holu. – Na szczątkach Jool-Noreta, to najcenniejszy skarb na wyspie. Gdyby je porwali, byłaby to dla nas największa zniewaga. Prawdziwy cios w serce!

Duncan i Hiih spojrzeli na siebie w zdumieniu. Owszem, nasłuchali się historii o legendarnym wojowniku – ale w obliczu okrutnego ataku żaden z nich ani przez chwilę nie pomyślał o Wielebnych Szczątkach.

Dinari i pozostali mistrzowie podskoczyli do sarkofagu. Dwaj z nich przytknęli swoje dłonie do czytników i w następnej chwili wyłączyły się tarcze ochronne i ustąpiły plazowe

przegrody.

– Bierzemy trumnę – zawołał Bludd do Duncana i Hiiha. – Musimy ją chronić, to prawdziwe serce Szkoły Ginazów.

Trzymając w ręce miecz Starego Księcia, Duncan wypatrywał napastników w mundurach Moritanich.

– Jeśli uważacie, że to konieczne, to trudno, ale pospieszcie się, bo za chwilę może już być za późno.

Obok niego stał gotowy do walki Resser.

– A potem musimy jak najszybciej dotrzeć do jakichś maszyn powietrznych, żebyśmy mogli się bronić.

Duncan miał nadzieję, że także bez ich udziału zaczęto już organizować jakieś formy obrony.

Podczas gdy dwaj mistrzowie miecza ponieśli zdobioną trumnę, Duncan i Hiih torowali drogę. Na zewnątrz trwało bezlitosne bombardowanie.

Uzbrojony ornitopter ze znakami szkoły wylądował na placu przed budynkiem i złożył skrzydła, chociaż silniki pozostały włączone. Ze środka wyskoczyło kilku mistrzów miecza w kombinezonach bojowych i z czerwonymi bandanami na czołach oraz laserobinami przerzuconymi przez ramiona.

– Mamy szczątki Noreta! – dumnie zawołał Bludd w kierunku przybyłych. – Pomóżcie.

Na skraju placu pojawili się ludzie w żółtych mundurach Moritanich. Duncan krzyknął ostrzegawczo i mistrzowie otworzyli ogień z laserobinów. Żołnierze z Grumman odpowiedzieli strzałami. Ranny został Jamo Reed i jeden z pasażerów ornitoptera. Ekspłodowała bomba ciśnieniowa; Mord Cour zważył się, raniony w głowę i tułów przez odpryski kamienne.

Duncan pomógł się podnieść swemu nauczycielowi i doprowadził go do ornitoptera. Kiedy jednak wsadzał go do maszyny, został podcięty przez jednego z atakujących. Nowo upieczony mistrz miecza runął, przetoczył się wokół swej osi i już w następnej chwili stał gotów do walki. Zanim jednak zdążył wyrwać z pochwy miecz, kobieta w żółtym uniformie Moritanich zanurkowała mu pod ramieniem i zaatakowała rozczapierzonymi niczym ostrza palcami Jedyne, co zdążył zrobić, to złapać ją za długie loki i szarpnąć tak mocno, że niemal złamał jej kark. Charcząc, zważyła się na ziemię w drgawkach.

Napływali coraz to nowi napastnicy z Grumman.

– Zabierajcie tę swoją trumnę! – krzyknął Hiih i wraz z Duncanem stanęli w rzędzie, by stawić czoło nadbiegającym.

Jakiś brodacz zaatakował Duncana elektryczną dzidą, jednak zrobił unik i ciosem z boku powalił przeciwnika. Całe doświadczenie ośmiu lat kumulowało się teraz w jego reakcjach. Groziło mu to, że owdłanie nim wściekłość. Pamiętał kolegów zabitych na statku, miał przed oczami obraz eksplodujących bomb i umierających niewinnych ludzi, zarazem jednak jaśniała

w głowie przestroga Dinariego: „Gniew powoduje błędy”. Wystarczyła chwila, by jego reakcje stały się chłodne, niemal instynktowne. Beznamiętnym, wystudiowanym ruchem wbił naprężone palce między żebra kolejnego napastnika, rozrywając skórę i wdzierając się w serce.

I wtedy przed atakującą zgraję wyskoczył barczysty młodzieniec, z obandażowanym przegubem: Trin Kronos. W zdrowej ręce trzymał kataną o ostrej klindze.

– Myślałem, że podobnie jak pozostała czwórka także wy dwaj staliście się pożywieniem dla ryb – mruknął i zerknął na bombowce nurkujące do kolejnego ataku.

– Stawaj ze mną – warknął Resser i zakołysał dłonią ze sztyłem Moritanich – czy może strach cię oblatuje, gdy nie masz koło siebie ojca i kilkudziesięciu zbirów?

Kronos popatrzył na kataną, a potem rzucił ją na bok.

– To za dobra broń, żeby ją zbrukać krwią zdrajcy. Zwykły nóż wystarczy.

Z tymi słowami wy dobył z pasa pojedynkowy pugińał. Twarz Resslera zapłonęła, Duncan zaś odstąpił na bok, aby przyglądać się walce tych dwóch.

– Nigdy nie wyrzekłbym się rodu Moritanich – rzekł Resser – gdyby dali mi coś, w co mógłbym wierzyć.

– To uwierz w zimną stal mego noża – szyderczo rzucił Kronos. – Okaże się bardzo rzeczywisty, przebijając ci serce.

Ostrożnie odgarniając stopami gruz, zaczęli krążyć, a jeden nie spuszczał wzroku z drugiego. Resser trzymał rękę wyciągniętą, bez trudu parując chaotyczne ataki Kronosa. Wreszcie sam wykonał paradę, cofnął się i z obrotu wyprowadził kopnięcie, które powinno trafić przeciwnika w krocze, ten jednak zdążył odskoczyć. Hiih wykonał pełny obrót, bez najmniejszego trudu zatrzymał się w rozkroku i sparował pchnięcie noża.

W promieniu kilkunastu metrów było pusto. Na sąsiednich ulicach napastnicy z Grumman dalej atakowali; z okien starano się ich powstrzymać ogniem. Dwóch mistrzów miecza ładowało trumnę do ornitoptera, podczas gdy pozostali odpierali wrogów.

Kronos dźgnął czubkiem noża w kierunku oczu Resslera, by potem szerokim ruchem zaatakować krtań. Hiih odchylił się, ale zaraz potknął się na jakimś kamieniu, zatoczył i upadł.

Kronos rzucił się na niego jak dzika bestia i od góry uderzył pugińałem, rudzielcowi udało się jednak sparować cios i wytrącić broń z ręki napastnika, a następnym uderzeniem rozorał mu biceps aż do łokcia.

Kronos z rozpaczliwym krzykiem zerwał się i odskoczył. Stał teraz wpatrzony w krew zalewającą zabandażowany przegub.

– Zdradziecki bękart! – warknął.

Resser cofnął się odrobinę, po czym znowu przyjął pozycję gotowości do walki.

– Jestem sierotą, a nie bękartem – odparł z krzywym uśmiechem.

Kronos wiedział, że w tym stanie niepodobna walczyć na noże. Twarz mu stężała, sięgnął

do opatrunku na przegubie i ze skrytki wydobyl naładowany pistolet *fléchette*.

– Ciagle się trzymasz tych swoich kretyńskich reguł, prawda? – syknął, aby wladować wszystkie strzały w pierś Resslera, ale w tej samej chwili za jego plecami rozległ się głos Duncana, który ze słowami: „Ja nie” wbił mu między łopatki miecz Starego Księcia. Szeroko rozwarte oczy Kronosa wpatrzyły się w ostrze sterczące spod mostka. Nagle krew chlusnęła mu z ust, rzucił się do przodu i runął na ziemie. Duncan popatrzył na skrwawione ostrze, a potem na trupa.

– Nie tylko Moritaniowie potrafią łamać reguły.

Twarz Hiiha poszarzała, i to nie tylko z tego powodu, że widząc wymierzony w siebie pistolet, zobaczył nieuchronną śmierć.

– Duncanie... – wykrztusił. – Zaatakowałeś go z tyłu!

– Uratowałem życie przyjacielowi – odparł Idaho. – I ilekroć powtórzy się podobna sytuacja, postąpię tak samo.

Dinari i Bludd kończyli mocować trumnę w ornitopterze. W powietrzu krzyżowały się łuki laserowych promieni, co chwilę padał któryś z napastników. Mistrzowie miecza pociągnęli obu młodzieńców do maszyny.

Unieruchomiono silniki i ornitopter oderwał się od ziemi. Skrzydła rozpostarły się na pełną długość i uniosły poza pole bitwy pasażerów i sławetne zwłoki Jool-Noreta. Rivvy Dinari objął ciężkim ramieniem barki Duncana.

– Szybko przyszło wam się wykazać w prawdziwym boju – powiedział.

– I ciekawe, dlaczego ta cała napaść? – prychnął Duncan. – Urażona duma własna? Marny powód do wojny.

– Do wojny rzadko bywają dobre powody – zauważył siedzący ze spuszczoną głową Mord Cour. Whitmore Bludd postukał pięścią w plaz okienka.

– Spójrzcie tylko!

Eskadra maszyn Ginazu wzięła przeciwników w krzyżowy ogień, a za nimi nadlatywały transportowce szykujące się do lądowania i wyrzucenia rwących się do boju wojowników.

– Za sterami nasi uczniowie – z dumą stwierdził Cour.

Jeden z bezzałogowych pojazdów eksplodował w powietrzu po bezpośrednim trafieniu, drugi wpadł w korkociąg i po chwili zamienił się na ziemi w ognistą kulę. Ornitopter Duncana zanurkował i długą salwą przeorał się przez oddział najeźdźców z Grumman, zostawiając za sobą żniwo śmierci. Pilot zawrócił do jeszcze jednego nalotu.

– Na pewno spodziewali się, że pójdzie im łatwiej – pokiwał głową Whitmore Bludd.

– Moim zdaniem poszło im aż za dobrze – rzekł Jeh-Wu. Duncan spoglądał na trupy i pożary, myśląc, jak ten widok kontrastował z subtelnościami, których uczył się przez osiem lat.

*Strzeż się ziarna, które siejesz, i plonów, które zbierasz. Nie oburzaj się na Boga za kary, które sam na siebie ściągasz.*

### **z Biblii Protestancko-Katolickiej**

Imając się środków, których nie powstydzilaby się sama lady Helena, Kailea nakłoniła Letę, aby nie zabierał Victora na wielką podniebną paradę.

– Nie chcę go narażać na żadne niebezpieczeństwo, a to groźna wyprawa dla sześciolatniego chłopca.

Nieoczekiwanie znalazła sojusznika w Thufirze Hawacie i Leto w końcu ustąpił. Tak jak tego pragnęła Kailea, która teraz mogła przystąpić do następnego etapu, w którym swoją rolę miał do odegrania Rhombur.

– Jesteś wujem Victora – zwróciła się do brata. – Może wybralibyście się we dwóch na ryby? Jedźcie w morze, tylko weźcie ze sobą odpowiednią ochronę. Na kapitanie Goirze można polegać.

Rhomburowi bardzo się spodobał ten pomysł.

– Może wyprawimy się na koralowe klejnoty.

– Nie, nie z moim synem – stanowczo zaprotestowała Kailea.

– Dobrze – ustąpił natychmiast Rhombur, pamiętając o dawnej przygodzie. – Odwiedzimy kilka farm pardanowych, a potem zajrzemy na łowiska.

Rhombur spotkał się ze Swainem Goire'em na przystani i razem przygotowali do drogi małą motorową łódź „Dominik”. Przygotowując się do kilkudniowej wyprawy, zabrali materace i odpowiedni zapas żywności. Na skraju Kala brygady rzemieślników przygotowywały do startu śmigły powietrzny żaglowiec.

Victor, którego wzięli ze sobą, był nadąsany. Rhombur z początku sądził, że może chodzi o wspomnienie elakrana, szybko jednak się zorientował, że wzrok chłopca umyka w kierunku odległego lądowiska, gdzie wokół statku łopotały zielono-czarne chorągwie.

– Wolałbym być z tatą – powiedział w końcu Victor. – Ryby są fajne, ale latać po niebie jest jeszcze lepiej.

Rhombur poklepał chłopca po ramieniu.

– Pewnie masz rację, ale nic nie poradzisz na zakaz twojej matki i Hawata.

Księżę chciał sam pilotować żaglowiec, a do pomocy brał tylko pięciu zaufanych gwardzistów. Z uwagi na udźwig statku, nie można było zabrać więcej osób.

Swain Goire wynurzył się spod pokładu, gdzie umieścił kolejną porcję zapasów, otarł pot z czoła i uśmiechnął się do chłopca. Rhombur wiedział, jak bezgranicznie gwardzista jest oddany Victorowi.

– Hm, kapitanie – zwrócił się do niego Rhombur. – Chciałem usłyszeć pańską opinię jako



człowieka, który znany jest z tego, że nigdy nawet odrobinę nie sprzeniewierzył się swej powinności. – Goire pokraśniał z zadowolenia na te słowa. – Sądzisz, że towarzyszenie Letu w jego podniebnej wyprawie istotnie byłoby dla Victora tak niebezpieczne, jak obawia się tego moja siostra? Goire zaśmiał się i zrobił bagatelizujący ruch ręką.

– Ależ skądże, szlachetny panie. Gdyby naprawdę wiązało się z tym jakieś zagrożenie, Thufir Hawat nie zgodziłby się na wyprawę, a i ja bym się sprzeciwił. Hawat zlecił mi sprawdzenie żaglowca, podczas gdy on ze swymi ludźmi badał trasę przelotu, więc mogę ci z całą pewnością zaręczyć, że jest w znakomitym stanie.

– Otóż to! – zawołał Rhombur i klasnął w dłonie. – Dlaczego więc Kailea wysyła nas na ryby, zamiast zgodzić się na wycieczkę po niebie?

Goire wydał usta i omijając wzrok Rhombura, odparł:

– Lady Kailea czasami lęka się nadmiernie o chłopca, ale tak to już bywa z matkami, że widzą urojone niebezpieczeństwa.

Victor patrzył na rozmawiających, nie bardzo wiedząc, co znaczą ich słowa.

– Mówiąc szczerze, kapitanie, dziwię się, dlaczego tak długo przychodzi wam czekać na awans. – Rhombur zawiesił głos, a gdy Goire przetrwał już te słowa, ciszej dorzucił: – Dlaczego razem z Victorem nie mielibyśmy w tajemnicy polecieć wraz z Letem? Szkoda, żeby chłopiec stracił taką wspaniałą rozrywkę. Nieprędko może się nadarzyć druga taka okazja.

– Masz z pewnością rację, szlachetny panie, ale... To szybki statek, jednak o ograniczonym obciążeniu.

– Skoro nie ma żadnego prawdziwego niebezpieczeństwa, to dlaczego ja i Victor nie mielibyśmy zająć miejsca dwóch gwardzistów? Pozostanie jeszcze trzech, a w razie potrzeby Leto może także liczyć na mnie.

Goire poważnie się wahał, widząc nadzieję na twarzy chłopca.

– Thufir Hawat i lady Kailea bardzo by się gniewali na tę zmianę planów.

– Ale sam przyznałeś, że to bezpodstawne lęki. A poza tym Victor jako następca tronu nie powinien być odsuwany od ważnych wydarzeń. Cokolwiek mówi moja siostra, wychowanie nie polega na tym, że chroni się dziecko przed najmniejszym siniakiem czy zadrapaniem.

Goire nachylił się nad chłopcem.

– Victorze, powiedz szczerze: wolisz jechać na ryby czy...

Zapytany nie dał mu dokończyć i wykrzyknął z błyskiem w oczach:

– Ja chcę lecieć! Razem z tatą obejrzeć świat z góry!

Goire wyprostował się; ten argument przeważał.

– Niech tak będzie. Muszę zatem oddalić się teraz, żeby wszystko przygotować.

Ze strachu, że może się zdradzić ze swymi uczuciami, Kailea zaszyła się w swej ulubionej wieży zamkowej. Pospiesznie pożegnała zajętego przygotowaniami Leta, a chociaż nie śmiała

mu spojrzeć w oczy, on tego nawet nie zauważył.

Na miejscu startu zebrał się wiwatujący tłum i obserwował ostatnie przygotowania. Na wypukłej burcie żaglowca pysznił się lśniący czerwony jastrząb Atrydów. Śladem żaglowca miały podążyć podobnie przyozdobione małe jachty powietrzne. Wiatr już teraz wydymał żagle i niespokojnie naciągał cumy. Flagi Atrydów łopotały na wietrze.

Kadłub powietrznego żaglowca był pusty; miał kieszenie napełniane gazem, a w niewielkiej części pasażerskiej umieszczono wszystkie potrzebne zapasy. Nośne płyty rozpościerały się w bok niczym motyle skrzydła. Thufir Hawat osobiście zbadał trasę przelotu, rozmieszczając po drodze agentów, którzy mieli zadbać, aby nie wydarzyło się żadne nieszczęście.

Przygryzając wargę, Kailea wpatrywała się w statek gotowy do podróży. Docierały do niej tylko nikle dźwięki pożegnalnych fanfar, dobrze jednak widziała krzątanicę wokół żaglowca.

Poczuła uścisk w żołądku.

Pożałowała teraz, że nie zatroszczyła się o lornetkę, ale to mogło niepotrzebnie wzbudzić podejrzania. Ech, cóż to za idiotyczne skrupuły, służba przecież byłaby pewna, że ich pani chce chociaż z daleka przyjrzeć się, jak jej „ukochany” rozpoczyna powietrzną podróż po kraju. Mieszkańcy Kaladanu nic nie wiedzieli o ciemnej stronie ich związku i w swej naiwności wierzyli w cudowny romans...

Z bijącym sercem i poczuciem nieuchronności Kailea patrzyła, jak zwolniony z cum statek powoli odrywa się od ziemi na wstępujących prądach powietrznych. Miał także zapasowe silniki napędowe, jeśli jednak było to możliwe, Leto wolał korzystać z siły wiatru. Mniejsze pojazdy ruszyły w ślad za jednostką flagową.

Chociaż nikogo oprócz niej nie było w pokoju, Kailea postarała się, aby jej twarz nie zdradzała żadnych emocji, a z pamięci przegnała wspomnienie wszystkich dobrych, szczęśliwych chwil spędzonych z Letem. Długo czekała na ten moment i dobrze wiedziała, że gdyby tego nie chciała, nigdy by nie nastąpił.

Jeśli nie liczyć konszachtów z jakimiś nędznymi konspiratorami, Rhombur niczego nie zdziałał na Ix. Nie udało się też jego ojcu; wszystkie lata spędzone w ukryciu poszły na marne. Teraz Dominik nie żył, a Rhombur przystał na rolę giermka, bez reszty na dodatek zadurzonego w tej czarownicy Bene Gesserit. Nie miał nawet odrobiny ambicji.

A dla Kailei było to nie do zniesienia.

Wczepiona palcami w kamienną balustradę, przypatrywała się, jak powietrzna kawalkada przepływa nad Kala i kieruje się w głąb ładu. Wieśniacy, stojąc po kolana w wodzie, będą zadzierali głowy, aby zobaczyć przelot swego ukochanego księcia. Usta Kailei zacisnęły się w wąską linię. No cóż, ci farmerzy ryżu pundi zobaczą widowisko bardziej pasjonujące, niż mogą się spodziewać...

Chiara wprowadziła ją w szczegóły planu dopiero wtedy, kiedy wszystko puściła w ruch.

Kiedyś specjalizowała się w ładunkach wybuchowych i teraz osobiście je założyła. Zapewniła, że nie ma najmniejszej możliwości, aby ktokolwiek się uratował...

Kailea przymknęła oczy, gdyż nagle ogarnęło ją uczucie grozy. Teraz w żaden sposób nie mogła już zapobiec nadciągającej katastrofie. Nic nie mogło jej powstrzymać. Już niedługo jej syn zostanie księciem Kaladanu, a ona matką-regentką.

„Synu, robię to dla ciebie!”

Usłyszała za sobą odgłos stóp i ze zdziwieniem zobaczyła w wejściu do swojego pokoju Jessikę, która zdążyła już powrócić z ceremonii startu. Patrzyła na swą rywalkę z kamiennym wyrazem twarzy. Dlaczego nie towarzyszyła Letu? To rozwiązałoby wiele problemów.

– Czego chcesz? – burknęła.

Jessika wyglądała na osobę delikatną i słabą, Kailea dobrze jednak wiedziała, że nie należy liczyć na bezradność nikogo, kto przeszedł szkolenie Bene Gesserit. Z całą pewnością bez trudu mogłaby ją zabić, gdyby tylko tego zapragnęła. Kiedy już zostanie regentką, zatroszczy się o to, aby pozbyć się tej czarownicy.

„A to stanie się niebawem”.

– Czas najwyższy, żebyśmy nieobecność księcia wykorzystwały na rozmowę – rzekła Jessika. – I tak nazbyt długo z tym zwlekałyśmy.

Kailea czuła się tak, jakby niesłychanie czuły skaner badał drganie każdego mięśnia, każdego nerwu w jej ciele. Chociaż same Bene Gesserit temu zaprzeczały, uparcie powtarzano, że potrafią czytać w myślach. Dreszcz przebiegł po skórze Kailei, kiedy Jessika weszła kilka kroków w głąb pokoju.

– Specjalnie zaszyłam się tutaj, żeby pod nieobecność księcia zostać w samotności – powiedziała nieprzyjaźnie Kailea.

Jessika zmarszczyła brwi, a Kailea, nie mogąc znieść jej wzroku, odwróciła się plecami. Dlaczego pod jej spojrzeniem czuła się naga?

– Lepiej, by między nami było mniej niedopowiedzeń – ciągnęła Jessika. – Leto wkrótce może pojąć małżonkę, a nie będzie nią żadna z nas.

„O co może jej chodzić? – myślała Kailea. – Czyżby szukała we mnie sojuszniczki?” Cień uśmiechu przemknął po jej twarzy. Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, na korytarzu rozległ się stukot ciężkich butów i w progu stanął Swain Goire, zgrzany i czymś zaaferowany. Widząc Jessikę, stanął jak wryty. Była chyba ostatnią osobą, którą spodziewałby się tutaj zastać.

– O co chodzi, kapitanie? – spytała Kailea oficjalnym tonem.

Bezwiednie dotknął pasa, w którym znajdowała się mała skrytka.

– Gdzieś... gdzieś zginął mi klucz kodowy do zbrojowni.

– Co mnie to obchodzi, kapitanie? – prychnęła Kailea. – Dlaczego nie jest pan z moim synem? Godzinę temu wraz z moim bratem i Victorem miał pan wypłynąć w morze!

Kapitan umknął ze wzrokiem, a Jessika bacznie przypatrywała się obojgu. „Czyżby coś

podejrzewała? – pomyślała w panice Kailea. – A zresztą, nawet jeśli, co jej to da?”

– Bardzo przepraszam, moja pani – bąknął speszony Goire – ponieważ jednak klucz kodowy to bardzo ważna rzecz, więc sprawdzam teraz w każdym pomieszczeniu, w którym ostatnio się znalazłem.

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie! – krzyknęła Kailea i stanęła o krok przed oficerem. – Mielicie we trzech wypłynąć na ryby? Opóźniliście wyjazd z powodu tego klucza czy może ceremonii wylotu księcia? Rozumiem, że chłopak chciał to obejrzeć, ale teraz domagam się, byście jak najszybciej wyruszyli. Tak się przecież cieszył na wyprawę ze swym wujem.

– Pani brat, moja pani, postanowił odrobinę zmienić plany – powiedział Goire, niezadowolony z obecności Jessiki, zaraz bowiem miał otrzymać burę. – Na ryby wypłyniemy w przyszłym tygodniu, a teraz Victor tak nastawał na to, by towarzyszyć ojcu, że nie miałem serca mu odmówić. Taka podróż po niebie nie zdarza się często.

Kailea poderwała rękę do szyi.

– Co takiego? Gdzie Victor? Gdzie Rhombur?

– Na pokładzie żaglowca, moja pani. Zaraz powiadomię o tym Thufira Hawata i...

Kailea rzuciła się do okna, ale flotylla była już ledwie widoczna na niebie. Zaczęła bić pięściami w płaz szyby, wydając z siebie rozpaczliwe wycie.

*Każdy człowiek marzy o przyszłości, chociaż nie wszyscy ją zobaczymy.*

**Tio Holtzman,**

***Rozważania o czasie i przestrzeni***

Leto rozsiadł się na miejscu sternika; powietrzny żaglowiec daleko za sobą zostawił miasto i płynął teraz nad terenami wiejskimi. Wszystko było spokojne, ciche, przytulne. Czuwał wprawdzie nad sterem, ale właściwie zdał się na kaprysy wiatru. W absolutnej ciszy sunęli na czele powietrznego orszaku, a on delectował się widokiem lasów, rzek i moczarów, na których połyskiwały wodne tafle.

Victor z szeroko otwartymi oczami wpatrywał się w duże okno widokowe, co chwilę pokazując coś w zachwycie i zadając tysiące pytań. Rhombur odpowiadał w miarę możliwości, ale często musiał uciekać się do pomocy Leta, gdy chodziło o nazwy wsi i miejsc.

– Cieszę się, że jednak tu jesteś – powiedział Leto i pogłaskał chłopca po głowie.

Jeden z gwardzistów zajął miejsce w głównej kabinie, dwaj pozostali stanęli przy przednim i tylnym wyjściu. Mieli na sobie czarne uniformy, z czerwonym jastrzębiem na

piersiach. Ponieważ Rhombur zastąpił jednego z nich, był odziany tak samo, podobnie zresztą jak Victor, który także nałożył miniaturową replikę munduru Atrydów.

Rhombur zaczął podśpiewywać piosenki, których nauczył się od miejscowych. Stworzyli z Gurneyem Halleckiem duet balisetowy, którego ballady cieszyły się wielkim powodzeniem. Teraz jednak śpiewał bez żadnego akompaniamentu, a po chwili dołączył do niego jeden z żołnierzy. Wychował się na farmie ryżowej, gdzie nauczył się wielu ludowych piosenek. Także Victor usiłował im wtórować, ale najczęściej nie pamiętał słów.

Leto w duchu obiecał sobie, że będzie częściej korzystał z powietrznego żaglowca; na następny rejs musi zabrać Jessikę, a może nawet... Kaileę?

Tak, Kaileę. Victor częściej powinien widywać swych rodziców razem spędzających czas, na co nie powinny wpływać sprawy polityczne czy dynastyczne. Leto nadal zachował ciepłe uczucia dla Kailei, chociaż ta zawsze reagowała na niego nieprzyjaźnie. Dobrze pamiętał, jak źle układały się sprawy między jego ojcem i matką, i nie chciał Victora pozostawiać z takimi wspomnieniami.

Początkowo to zaniedbał, potem denerwowały go natarczywe sugestie Kailei, domagającej się ślubu, powinien jednak usankcjonować jakoś jej status, a Victora oficjalnie ogłosić swym następcą. Nie zdecydował się jeszcze na małżeństwo z Ilesą Ekaz, ale tak czy inaczej, nie powinien długo zwlekać z właściwym politycznie mariażem. Najpierw jednak musi jasno określić pozycję Victora, a kiedy tak uczyni, może i Kailea spojrzy na niego nieco przychylniej.

Kiedy Victor znudził się trochę widokiem za oknami i nuceniem, Leto pozwolił mu chwilę potrzymać ster, w każdej chwili gotów wspomóc go swoją ręką. Chłopiec był zachwycony tym, że dziób wielkiego statku posłusznie reaguje na ruchy jego dłoni.

– Będiesz kiedyś znakomitym pilotem – zaśmiał się Rhombur. – Jeśli nie ojca, to mnie weźmiesz na nauczyciela. Na tym znam się znacznie lepiej od niego.

Victor ze zmarszczonymi brwiami spoglądał to na wuja, to na ojca, którego rozbawiło stropienie syna.

– Wiesz co, Victorze, poproś Rhombura, żeby ci opowiedział, jak to się kiedyś sprawił podczas wyprawy na koralowe klejnoty, której z jego powodu omal obaj nie przepłaciliśmy życiem. Jak to wtedy władował łódkę na skały...

– Sam mi kazałeś na nie wjechać – obruszył się Rhombur.

– Jestem głodny – oznajmił Victor, co nie było niczym zaskakującym, jadł bowiem na potęgę i wydawało się, że każdego dnia jest trochę wyższy.

– Na tyle mostku jest spiżarnia – powiedział Rhombur. – Znajdź sobie coś.

Victor z radością pobiegł we wskazane miejsce.

Żaglowiec przepływał właśnie nad ryżowymi polami: zielone prostokąty, poprzedzielane lśniącymi kanałami, po których sunęły załadowane barki. Niebo było bezchmurne, wiał lekki, łagodny wiatr. Trudno było sobie wymarzyć lepszy dzień na wyprawę.

Victor wspiął się na dolną półkę, aby dostać się do najwyższych skrytek, i teraz z uwagą wpatrywał się w metalowe oznaczenia. Nie potrafił jeszcze czytać, ale rozpoznawał już niektóre litery i rozumiał znaczenie symboli. Wziął trochę suszonego mięsa i na deser uluus, placek jagodowy. Teraz, kiedy już zaspokoił głód, myszkował dalej. Z boku znalazł czerwone pojemniki ze środkami pierwszej pomocy. Widział je już kilka razy, gdy pałacowi lekarze opatrywali skaleczenia czy rany. Otworzył jeden i zobaczył w środku bandaże, plastry, pudełka z maścią i kapsułki z pigułkami. Ale dalej była jeszcze jedna przegroda, wyciągnąwszy się więc najwyżej, jak potrafił, odsunął jej pokrywę i zobaczył jakieś błyskające światełka. Wpatrywał się w nie przez chwilę, a potem zawołał:

– Wujku Rhomburze, chodź, zobacz, co znalazłem!

Nadszedł uśmiechnięty Rhombur, żeby zobaczyć, co tak zaciekało siostrzeńca.

– Tam, z tyłu – powiedział Victor, wyciągając rękę. – Prawda, że są ładne?

Rhombur zmrużył oczy, żeby się lepiej przypatrzeć, podczas gdy Victor wepchnął się jeszcze odrobinę głębiej.

– Patrz, jak te światełka mrugają. Zaraz wyjmę jedno, żebyśmy sobie obejrzeni.

Rhombur rzucił się, żeby go powstrzymać.

– Nie, Victor! To...

Było już jednak za późno. Victor zwolnił blokadę zapalnika i nastąpiła eksplozja.

*Wiedza nie zna litości.*

### **z Biblii Protestancko-Katolickiej**

Fala uderzeniowa cisnęła Leto na deskę sterowniczą. W przednią szybę uderzyła bryła nadpalonego ciała, odbiła się od niej i upadła na podłogę tuż obok niego. Ciało było zbyt duże, jak na dziecko i jednocześnie zbyt małe na dorosłego – całego dorosłego.

Owiewały go fale rozpalonego powietrza. Cały tył żaglowca stał w ogniu.

Krzycząc bezsilnie, Leto za wszelką cenę usiłował zapanować nad żaglowcem. Mocując się ze sterami, nie mógł się powstrzymać od zerkania kątem oka na krwawe szczątki. Czyje to ciało? Wolałby teraz tego nie wiedzieć...

Słyszał za sobą przeraźliwe wycie. Obejrzał się na ułamek sekundy, by zobaczyć, jak płonąca męska postać znika w dziurze wyrwanej w tyle kabiny sterowniczej. Rhombur albo któryś z trzech gwardzistów. Victor znalazł się w samym centrum eksplozji.

„Przepadł na zawsze!”

Żaglowiec zaczął gwałtownie opadać. Ogień trawił kolejne fragmenty, pękały kieszenie nośne, maszyna traciła sterowność. Wszędzie słychać było syk płomieni pożerających coraz

większą część statku, kabinę wypełnił dym.

Mundur zaczynał go parzyć, jeszcze chwila, a i on zacznie się tlić. Ze straszliwego strzępu ludzkiego ciała dobyło się coś w rodzaju bolesnego stęknienia. Spoglądając na nie, Letu wydawało się, że sterczy z niego niewłaściwa liczba kończyn.

Statek się rozpadał.

W dole widać było niewielkie wioski i pola ryżowe, niczym klejnoty oprawione srebrem kanałów. Jeszcze chwilę temu ludzie na dole radośnie podskakiwali i machali rękami, teraz jednak, widząc, jak niczym młot bogów spada ku nim ognista kula, rozpiezchli się na wszystkie strony w poszukiwaniu schronienia. Małe statki eskorty w panice krążyły, wlatywały w górę i opadały, ale w niczym nie mogły pomóc.

Leto z przerażeniem zobaczył, że szczątki żaglowca lecą wprost na niewielką wioskę; uderzy w nią, zamiast spodziewanej radości przynosząc swym poddanym zniszczenie i śmierć. Rozpaczliwie mocował się ze sterami, ale płomienie zniszczyły już system hydrauliczny i statek nie reagował. Większość wieśniaków uciekała, lecz część stała jak sparaliżowana, wiedząc, że i tak nie umkną swemu losowi.

Czując, że stracił Victora, Leto chciał skapitulować i czekać już tylko, aż niczym rozpędzona pochodnia uderzy w ziemię, powodując pożogę i śmierć. Wystarczyło zamknąć oczy i odliczać sekundy. Przestać prowadzić beznadziejną walkę, ulec, zdać się na wyrok losu...

Ale nie, nie wolno mu się poddawać! Tam w dole też były dzieci, w wieku Victora lub młodsze. Musiał przecież być jeszcze jakiś sposób, aby ominąć wioskę...

– Nie, nie, nie – mruczał gniewnie, nie czując bólu cielesnego, a tylko straszliwe cierpienie duchowe. Nie mógł pozwolić, by stał się przyczyną tragedii innych. Musiał walczyć o życie ludzi wierzących w swego władcę i polegających na nim.

Porzucił dźwignie, złapał za linki i ze zdwojonymi siłami szarpał nimi, aż wreszcie przyniosło to jakiś skutek i dziób nieznacznie się unióśł. Zobaczył, że skóra na jego rękach pokryta jest bąblami, ale nie zważając na to, zerwał blokady katapulty. Poczul gwałtowny wstrząs, kiedy kabina oderwała się od reszty kadłuba Ten, nagle pozbawiony znacznej części ciężaru, wystrzelił w górę by zaraz zacząć opadać, jednak teraz nie był już groźny dla wioski. Z boków kabiny wyskoczyły awaryjne lotki, zwalniając prędkość opadania. Uszkodzone mechanizmy odciążania odmawiały posłuszeństwa.

Czuł, jak linki wrzynają się w skórę dłoni, ciągnął jednak z całych sił, a zarazem wpatrywał się w nieubłagane rosnące czubki drzew, wyciągające się ku niemu niczym łakome szpony... Tak, śmierć syna okaże się bardziej pamiętna od tragicznego zgonu ojca.

Jakby odpowiadając na jego rozpaczliwe wezwanie, kabina zniemacka podskoczyła, wzbijała się kilka metrów w górę i z wyciem przemknęła nad głowami oniemiałych widzów, ominęła chatki z dachami z sitowia i runęła na nawodnione pole, wyrzucając w górę fontannę wody, błota i roślinnych szczątków.

Wstrząs cisnął Letem na resztki tablicy. Zsunął się z niej w brązową wodę, wlewającą się wszystkimi pęknięciami i dziurami. W następnej chwili stracił przytomność.

*Największych i najważniejszych problemów życia nie można rozwiązać. Należy z nich wyrosnąć.*

**siostra Jessika,  
ze wstępu do prywatnego dziennika**

W lekkim tropikalnym deszczu starzy mistrzowie miecza, którzy przeżyli, kręcili się pośród stopionych pozostałości tego, co kiedyś było centralnym placem głównej wyspy Szkoły Ginazów. Pośrodku stał nieruchomo Duncan Idaho, z nagim torsem przeświecającym przez strzępy bluzy. Porwana koszula Hiiha Resslera była ciemna od krwi, głównie cudzej. Nie tak sobie wyobrażali ceremonię nadania im zaszczytnych tytułów.

Duncan najchętniej znalazłby się teraz na Kaladanie.

Minął już dzień od zdradzieckiego napadu oddziałów z Grumman, drużyny ratownicze z tresowanymi psami i fretkami przeczesywały gruzy w poszukiwaniu jakichś śladów życia, ale niewiele ich znajdowały.

Z pięknej niegdyś fontanny została tylko wielka dziura, wszędzie unosił się odór śmierci i zniszczenia. Żołnierze Moritanich przygotowani byli tylko na błyskawiczny rajd, a nie poważną bitwę. Gdy obrońcy Ginazu otrząsnęli się z pierwszego szoku i uderzyli pełną siłą, tamci pospiesznie wycofali się, zostawiając swych poległych i porzucając broń. Nie ulegało wątpliwości, że wicehrabia Moritani wystąpił już publicznie z jakimś wykrętnym uzasadnieniem podstępного ataku, którym w głębi ducha był zachwycony, niezależnie od tego, ilu z jego ludzi padło trupem.

– Studiujemy techniki bojowe i ich uczymy, ale Ginaz nie jest planetą militarną – powiedział Whitmore Bludd, którego kosztowne ubranie wisiało teraz w strzępach. – Chcemy być jak najdalej od politycznego zgiełku.

– Takie głosiliśmy zasady – mruknął ponuro Jeh-Wu – i zostaliśmy zaskoczeni jak śpiące dzieci. Za taką lekkomyślność nowo przybyły student zapłaciłby życiem, ale to my jesteśmy jej winni.

Śmiertelnie znużony Duncan popatrzył na swych nauczycieli, niegdyś tak dumnych, a teraz przygnębionych i osowiałych.

– Ginaz nigdy nie powinien stać się obiektem wrogiego ataku – zauważył Rivvy Dinari i nachylił się, aby podnieść fragment zniszczonej metalowej rzeźby automatycznej. – Byliśmy pewni...



– Ty byłeś pewien – przerwał mu Duncan i nikt z nauczycieli nie zaprzeczył.

Duncan i jego rudowłosy przyjaciel wzięli ciało Trina Kronosa i cisnęli je w topiel z nabrzeżnej skały. Wydawało się słuszne, by postąpili z jego zwłokami tak jak on z ciałami ich czterech przyjaciół.

Ze zgrozą patrzyli na to, co pozostało z budynku szkoły, a Duncan poprzysiął w duchu, że nigdy nie pozwoli sobie na podobną arogancję jak jego nauczyciele. Czyżby doprawdy owi sławni wojownicy niczego się nie nauczyli przez tysiąclecia, czy nawet gorzej: zapomnieli, jak strasznym zagrożeniem jest pycha?

Także Duncan miał teraz na sobie szatę mistrza miecza koloru khaki, a na głowie czerwoną bandanę. Ku pamięci ponad stu mistrzów, którzy padli ofiarą napadu, na lewym ramieniu nosił czarną opaskę.

– Przecież miało nas chronić cesarskie prawo i jemu zaufaliśmy – odezwał się głosem pełnym żalu ranny Mord Cour. Jakże inny teraz wydawał się od tamtego wojownika, który z takim zapalem deklamował poetyckie eposy, że uczniowie nie mogli powstrzymać się od łez. Obie ręce miał w bandażach. – Tymczasem ludzie z Grumman je pogwałcili. Pohańbili najbardziej szczytne tradycje, ugodzili w same podwaliny Cesarstwa.

– Z pewnością nie wszyscy trzymają się reguł – powiedział Duncan z nie skrywaną goryczą w głosie. – Powinniśmy uważniej przysłuchiwać się słowom Trina Kronosa.

Twarz Rivvy'ego Dinari spłonęła rumieńcem.

– A w odwecie ród Moritanich dostanie klapsa po ręce – pokiwał głową Jeh-Wu. – Nałoży się na nich jakieś symboliczne kary, może ograniczone embargo, a oni będą się tylko śmiać.

– I czym teraz ma się szczycić Szkoła Ginazów? – jęknął Bludd. – Taki dyshonor! Nasza sława poniosła niepowetowane straty.

Mord Cour wpatrywał się w szare niebo, a wiatr szarpał jego siwą grzywą.

– Musimy odmienić szkołę – powiedział. – Zupełnie tak jak następcy Jool-Noreta po jego śmierci.

Patrząc na niego, Duncan przypomniał sobie, jak burzliwe życie miał za sobą Cour: wycięcie w pień rodzinnej wioski, samotne wędrowanie po górach Hagala, potem przyłączenie się do bandytów i ich wymordowanie. Tak, jeśli ktoś miał odnowić Szkołę Ginazów, Mord Cour był właściwym kandydatem.

– Już nigdy nie skazemy się na taką bezbronność – stwierdził z pasją Dinari. – To hańba, że jako nauczyciele innych daliśmy się tak łatwo podejść. – Kopnął ze złością kamień. – Honor ginie bezpowrotnie. Sam już nie wiem, co się stanie z całym Cesarstwem?

Zatopiony w swoich myślach Duncan okrążył kałużę zaschniętej krwi; Resser nachylił się nad nią, jak gdyby mógł wyczytać, czy należała do wroga czy do przyjaciela.

– Na wiele pytań musimy sobie odpowiedzieć – powiedział stanowczym głosem Bludd. –

Musimy sobie samym wyjaśnić, co się tutaj wydarzyło. I tak się stanie! – zawołał, bijąc się mocno w pierś. – Już ja tego dopilnuję. Przede wszystkim jestem żołnierzem, a dopiero później nauczycielem.

Jego towarzysze pokiwali zgodnie głowami.

Coś błysnęło między gruzami; Duncan nachylił się i podniósł srebrną bransoletkę. Otarł ją rękawem i przyjrzał się malutkim mieczom, ornitopterom, liniowcom Gildii. Dogoniwszy towarzyszy, podał bransoletkę Dinariemu.

– Mam nadzieję, że nie należała do dziecka – mruknął zwalisty wojownik.

Duncan zdążył już zobaczyć wydobyte z ruin zwłoki czworga dzieci; całkowita liczba ofiar, dzieci, kobiet, mężczyzn, najpewniej szła w tysiące. A wszystko z powodu usunięcia ze szkoły uczniów z Grumman, co było słuszną reakcją na zdradziecki atak, jaki Moritaniowie przypuścili na niczego się nie spodziewających mieszkańców Ekazu. Zrobili to zaś w odwecie za śmierć ambasadora podczas bankietu na Arrakis. Ta z kolei była następstwem podejrzenia o sabotaż.

Ale przecież Kronos i jego towarzysze sami podjęli decyzję, nie stanęli wobec siły przymusu. Jakież to bezsensowne: poległ Trin Kronos, zginęli jego towarzysze, śmierć poniosło tylu niewinnych ludzi. Czym się to wszystko skończy?

Resser upierał się przy powrocie na Grumman, chociaż wydawało się, że to samobójstwo. Tak czy inaczej, miał własne demony, z którymi musiał się zetrzeć, Duncan liczył jednak, że przyjaciel pokona je i zjawi się jeszcze na Kaladanie. Był przecież mistrzem miecza.

Kilku mistrzów zastanawiało się, czy zaproponować swoje usługi rodowi Ekazów, inni uważali, że muszą najpierw zadbać o odzyskanie utraconego honoru. Wyszkoleni wojownicy byli potrzebni tu, na Ginazie, a upłynie wiele lat, zanim szkoła otrząśnie się po takim ciosie.

Chociaż Duncan rozumiał to wszystko, to przede wszystkim chciał dochować wierności Letu Atrydzie. Przez osiem lat hartował się niczym drogocenna stal, a teraz miał się stać mieczem służącym rodowi Atrydów.

Wracał na Kaladan.

*I po cóż doszukiwać się sensu tam, gdzie go nie ma? Czy podążyłbyś drogą, wiedząc, że prowadzi donikąd?*

### **z podręcznika szkoły mentatów**

Sny były okropne, ale momenty przebudzenia jeszcze gorsze.

Kiedy Leto ocknął się, pielęgniarz nachylił się nad nim i powiedział, że szczęśliwie wyszedł z wypadku żywy. On wcale nie uważał, że było to szczęście. Popatrzył na niego zza

grubych szkieł i dodał:

– Także księżę Rhombur przeżył.

Nabrał powietrza, mając wrażenie, że płuca wypełnia mu tłuczone szkło; w ustach czuł smak krwi.

– A Victor? – wykrztusił z trudem.

Mężczyzna pokręcił głową i rzekł:

– Musisz wypocząć, Wasza Wysokość, nie będę więc opowiadał ze szczegółami o bombie. Potem będzie na to czas, kiedy Thufir Hawat skończy dochodzenie. – Sięgnął do kieszeni fartucha. – Dam ci, mój panie, pigułkę na sen.

Leto gwałtownie pokręcił głową.

– Nie, sam zasnę.

„Victor nie żyje!”

Pielęgniarz, odchodząc, polecił mu nie ruszać się z łóżka, a w razie potrzeby wezwać pomoc, gdyż zwisający z sufitu mikrofon natychmiast przekaże polecenie.

„Victor nie żyje! Mój syn!”

Przypuszczał, że tak się stało, ale teraz musiał stanąć twarzą w twarz z tym przerażającym faktem. „Bomba? Kto mógłby ją podłożyć?” Odprowadził spojrzeniem pielęgniarza, który zniknął sali po przeciwnej stronie korytarza. „Rhombur?” Nie zważając na ból, z trudem usiadł na łóżku. Poruszając się niczym ixiański automat, zwlókł się z pościeli i dotknął bosymi stopami podłogi. Musiał jak najszybciej zobaczyć Rhombura. „Ktoś zamordował mojego syna!” Poczul falę gniewu i ostry ból w tyle głowy.

Wbił wzrok w posadzkę przed sobą i mozolnie stawiał krok za krokiem... Miał obandażowaną pierś, jego płuca płonęły, maść na twarzy powodowała, że miał wrażenie, jakby mięśnie skamieniały. Nie zamierzał patrzeć w lustro, nie interesowały go blizny. Nic go nie obchodziły, skoro Victor nie żył.

„Mój syn, mój syn!”

O dziwo, Rhombur przeżył, ale w jakim stanie?

Bomba na żaglowcu...

Dobrnął do drzwi; na zewnątrz wiatr bębnił kroplami deszczu o szyby, światła szpitalne były przygaszone. Pokonał korytarz i na chwilę zastygł z ręką na klamce przeciwległych drzwi, aby odpocząć, a potem wszedł. Jarzyce były tu ustawione na jaśniejsze światło. Łóżko znajdowało się za zasłoną, lekko falującą w przeciagu. Poprzez woń chemikaliów i środków antyseptycznych przebijał jakiś silniejszy odór.

Na razie nie potrafił myśleć o czymkolwiek innym poza śmiercią syna. Rozerwany na strzępy przez eksplozję. Spisek Harkonnenów? Robota Tleilaxan, których celem był Rhombur? Próba usunięcia następcy Leta?

Na razie nie potrafił na chłodno rozważyć wszystkich aspektów i możliwości. W tej chwili mógł tylko z mozołem przenosić się pamięcią z jednej chwili w drugą. Niczym ciasna

tkanina spowijał go ból. Na przekór całej sile ducha bliski był bezradnego osunięcia się w rozpacz.

„Muszę zobaczyć Rhombura”.

Odsunął zasłonę i wszedł za nią. W półmroku zobaczył komorę do podtrzymywania życia, oplataną rurkami i przewodami, mającą kształt trumny z przezroczystą pokrywą. Na przekór bólowi posunął się jeszcze kilka kroków. Pompa nieustannie tłoczyła do środka tlen. W środku znajdował się Rhombur.

– Książę Leto!

Nie zauważył przedtem kobiety w ciemnej szacie Bene Gesserit. Twarz Tessji była szara, ściągnięta bólem. Ciekawe, od jak dawna trwała tutaj przy Rhomburze. Jessika opowiadała mu, że w razie potrzeby siostry zakonne mogły przez kilka dni obywać się bez snu. Dopiero teraz Leto uświadomił sobie, że zupełnie nie wie, ile czasu upłynęło od chwili, gdy wyciągnięto go ze szczątków kabiny, przypuszczał jednak, że Tessja nie zmrużyła oka od tamtej pory.

– Ja... Chciałem zobaczyć Rhombura – wyjąkał Leto.

Tessja cofnęła się o krok i ruchem brody wskazała komorę. Nie zamierzała mu pomóc, sam więc musiał dokuśtykać. Nachylił się nad zimną metalową krawędzią, przez chwilę trwał tak z przymkniętymi oczami, a kiedy ból nieco ustąpił, otworzył je. I cofnął się z przerażenia.

Z Rhombura pozostała jedynie okaleczona głowa, fragment piersi i spora część kręgosłupa. Kończyny i część organów zostały wyrwane siłą podmuchu albo pochłonięte przez płomień. Na szczęście trwał w stanie komy; to był ten ludzki fragment, który wylądował obok księcia.

Leto usiłował sobie przypomnieć jakąś odpowiednią modlitwę z Biblii Protestancko-Katolickiej; lady Helena natychmiast znalazłaby odpowiednią formułę. Podobnie jednak jak wtedy, kiedy przeciwstawiała się obecności Verniusów na Kaladanie, oznajmiłaby teraz, że to zasłużona kara z boskiej ręki.

W tym strzępie ciała nadal kołatało się życie, podtrzymywane przez mechaniczne systemy.

– Dlaczego? – powiedział półgłosem Leto. – Dlaczego to się stało? Kto mu to zrobił? Mnie? Victorowi?

Spojrzał na Tessję i zobaczył kamienne oblicze. Musiała sięgnąć po wszystkie umiejętności Bene Gesserit, aby nie okazywać swego bólu i oburzenia.

U boku Rhombura występowała jedynie jako konkubina, niemniej jednak darzył ją prawdziwą miłością. Ich związek stanowił kontrast dla układu między Letem a Kaileą; a także między jego rodzicami, nie żywiącymi do siebie żadnych głębokich uczuć.

– Thufir Hawat i Gurney Halleck już kilka dni strawili na oględzinach miejsca wypadku. Na podstawie szczątków chcą ustalić, kto mógł być za to odpowiedzialny. Wiesz już, książę, że to bomba?

Leto lekko kiwnął głową.

– Thufir znajdzie odpowiedź, jak zawsze. – Z trudem wymusił na sobie pytanie, gdyż lękał się odpowiedzi: – A ciało Victora?

– Odnaleziono je – odrzekła Tessja ze spuszczoną głową. – Swain Goire pozbiarał dające się zidentyfikować szczątki, chociaż nie wiem po co. On... on także kochał chłopca.

Leto przytaknął.

– Wiem o tym.

Raz jeszcze obdarzył przeciągłym spojrzeniem trudne do rozpoznania szczątki ciała przyjaciela. Pojemnik tak bardzo przypominał trumnę, że Leto bez najmniejszego trudu mógł sobie wyobrazić, jak odłącza się przewody, zamyka wieko i spuszcza skrzynię do grobu.

„Może to byłoby najlepszym rozwiązaniem”.

– Czy można mu w czymś pomóc... czy na zawsze jest już zdany na taką wegetację?

Zobaczył, jak napinają się mięśnie na twarzy Tessji i twardnieje jej wzrok.

– Ja nigdy nie porzucę nadziei.

– Wasza Wysokość! – rozległ się podenerwowany głos pielęgniarza. – Nie wolno ci wstawać z łóżka do czasu, aż odzyskasz siły. Zostałeś poważnie ranny i nie można...

Leto przerwał mu gestem dłoni.

– Co można powiedzieć o moich ranach, kiedy widzę, co zostało z mojego przyjaciela?

Pielęgniarz umilkł stropiony, ale po chwili dotknął rękawa książęcej pidżamy.

– Proszę, Wasza Wysokość. Jestem tu nie po to, aby porównywać jedne rany z drugimi, ale by pilnować, żebyś wydobrał jak najszybciej. To również twój obowiązek, mój panie.

Tessja spojrzała na Leta.

– Tak, ma rację. Dalej ciążą na tobie obowiązki, a Rhombur nigdy nie zgodziłby się na to, abyś je zaniedbywał z powodu jego stanu.

Leto posłusznie pozwolił się zaprowadzić do swego pokoju; prowadzony pod ramię przez pielęgniarza, z trudem stawiał kroki. Wiedział, że musi odzyskać siły, chociażby po to, aby zrozumieć, co się wydarzyło.

„Mój syn! Kto to uczynił?!”

Kailea, zamknięta w swym pokoju, zawodziła całymi godzinami. Nie chciała nikogo wpuszczać, nie chciała zobaczyć ani Leta, ani Rhombura. Nie o ból utraty syna jednak chodziło, lecz o to, że nie potrafiła znieść poczucia winy i wstydu.

Niewiele czasu będzie potrzeba, aby Thufir Hawat wykrył jej winę. Jak na razie, nie pojawiły się żadne podejrzenia... ale jeszcze chwila, a straszliwa plotka zacznie się rozprzestrzeniać po zamku, podawana z ust do ust. Z pewnością już teraz ludzie się dziwili, dlaczego nie chciała widzieć księcia, cudem uratowanego z katastrofy.

W końcu zdecydowała się wyjść, trochę licząc na to, że Leto udręczony bólem i wymęczony rekonwalescencją nie dostrzeże w jej oczach straszliwego wyznania. Niepewnie

weszła do pomieszczeń szpitalnych. Zachodzące słońce nadało chmurom barwę jej włosów, ona jednak, nieczuła na to piękno, trwożliwie zerknęła w cienie przysiadłe pod ścianami.

Na jej widok personel szpitalny pospiesznie opuścił pokój, aby zostawić ją sam na sam z Letem. Widoczne na ich twarzach współczucie rozdzierało jej serce.

– Musieliśmy podać silniejsze środki przeciwbólowe, moja pani – szepnął ordynator – więc księżę może być zbyt senny na rozmowę.

Kailea dumnie się wyprostowała.

– Zostanę tu, aby poczuł, że bez względu na wszystko trwam u jego boku.

Kiedy wszyscy wyszli, Kailea przysunęła się do łóżka, a stopy ciążyły jej ołowiem. W powietrzu unosił się zapach lekarstw, cierpienia i rozpacz. Wpatrzyła się w pobrużdżoną twarz Leta i usiłowała przywołać dawny gniew do niego. Przypominała sobie wszystkie uwagi Chiary, wskazane przez nią niezliczone sytuacje, w których zdradził znakomitość rodu Verniusów i jej osobiste nadzieje.

A przecież najwyrazistsze było wspomnienie tej nocy, kiedy kochali się po raz pierwszy, trochę z przypadku, gdyż Leto nazbyt wiele wypił piwa z Goire'em i resztą osobistej gwardii. Rozlał na siebie zawartość garnca i skonfundowany wytoczył się na korytarz, gdzie natknęła się niego nie mogąca zasnąć Kailea. Kiedy zobaczyła, w jakim jest stanie, wzięła go pod rękę i poprowadziła do jego komnaty.

Chciała go tylko ułożyć do łóżka i zostawić. Nic więcej, nic z tego, o czym wielokrotnie marzyła. Przecież tak łatwo było zgadnąć, jak bardzo i od jak dawna czuje do niego pociąg...

I jakżeż po tym wszystkim mogła dać się nakłonić do nienawiści do niego?

Kiedy teraz patrzyła, jak leży nieruchomy i bezsilny, przypominało jej się, jak uwielbiał bawić się z Victorem. Ona zaś za wszelką cenę nie chciała dostrzec, jak bardzo ojciec kocha syna!

„Victor!”

Zacisnęła oczy i zakryła twarz rękami, a pod palcami poczuła łzy.

Leto poruszył się i uniósł poczerwieniałe, nabrzmiące powieki. Chwilę wpatrywał się w nią, aż wreszcie rozpoznał, a wtedy na jego obliczu ukazała się nieklamana radość.

– Kailea? – wychrypiał.

Bała się odezwać i mocno przygryzła dolną wargę. I cóż mogła powiedzieć? Znał ją nazbyt dobrze, natychmiast by się zorientował.

– Kaileo... – Ileż było udręki w tym głosie! – Och, Kaileo, zabili Victora! Ktoś zamordował naszego cudownego synka! Och, Kaileo! Jak można było? Dlaczego?

Kailea ze wszystkich sił walczyła z opadającymi powiekami. Zacisnęła zęby na kostkach dłoni, a potem zerwała się i wybiegła z pokoju.

Pełen furii Swain Goire wbiegł krętymi schodami wieży. Wartę pod drzwiami Kailei trzymało dwóch strażników, którym Goire kazał się odsunąć.

Zawahali się.

– Lady Kailea nie pozwoliła nam wpuszczać nikogo – powiedział jeden, w stopniu levenbrecha, i spuścił oczy, żeby nie patrzeć w twarz swemu dowódcy. – Chce pozostać sama ze swym bólem, odmawia wszelkich wizyt, nie może...

– Levenbrechu, a od kogo to macie przyjmować rozkazy? Od księżęcej konkubiny czy od dowódcy gwardii Waszej Wysokości?

– Tak, kapitanie – odezwał się drugi – ale zechciejcie zrozumieć, w jak niewygodnej jesteśmy sytuacji.

– Obaj zostajecie usunięci ze skutkiem natychmiastowym! – warknął Goire. – A teraz precz, sam przejmuję wasze obowiązki.

Rozepchnął ich, wszedł i zatrzasnął za sobą drzwi.

Kailea miała na sobie stary szlafrok, włosy splątane, oczy zaczerwienione i podpuchnięte. Klęczała na gołej posadzce, niepomna na zimny powiew ciągnący od okna; w kominku dawno już wygasło.

Na policzkach miała czerwone bruzdy, jak gdyby chciała wydrapać sobie oczy, ale zabrakło jej sił. Na jego widok w jej oczach pojawiła się iskierka nadziei, jakby spodziewała się, że oto pojawił się ktoś, od kogo może oczekiwać sympatii. Z trudem podźwignęła się z posadzki. Wyglądała jak widmo.

– Mój syn nie żyje, brat jest straszliwie okaleczony. – Twarz miała tak wychudzoną, że przypominała czaszkę. – Swain, mój syn nie żyje. – Wyciągnęła do niego ręce, jakby w oczekiwaniu pociechy, on jednak nawet nie drgnął.

– Zginął mój klucz do zbrojowni – powiedział oziębłe Goire. – Zginął wkrótce po tym, jak księżę oznajmił o swojej podróży.

Także ona znieruchomiała.

– Jak możesz myśleć o jakichś służbowych sprawach, kiedy...

– Thufir Hawat wszystko wykryje – ryknął Goire. – Teraz wiem, kto podkradł mi klucz i dlaczego. Co za straszliwy postępek, Kaileo. – Cały dygotał, jakby gotów był żywcem wydrzeć serce z jej piersi. – Twój rodzony syn! Jak mogłaś?!

– Victor nie żyje – jęknęła. – Jak możesz myśleć, że to moje dzieło?

– Chodziło ci tylko o księcia, prawda? Widziałem, co się z tobą stało, kiedy się dowiedziałas, że w żaglowcu znaleźli się także Rhombur i Victor. Cały dwór jest przekonany, że maczałaś w tym palce. – Widać było, że Goire panuje nad sobą z najwyższym trudem. – A sprawiłaś, że wina spada także na mnie. Ja odpowiadałem za stan żaglowca, ale za późno zrozumiałem, co znaczy brak tego klucza. Miałem nadzieję, że gdzieś go zapodziałem, nie brałem pod uwagę innych możliwości... A powinienem natychmiast wszczać alarm. – Spuścił głowę i mówił dalej ze wzrokiem wbitym w posadzkę. – Zanim to wszystko nastąpiło, powinienem przyznać się księciu do naszego romansu, a teraz mam krew na rękach, tak jak i ty. – Podniósł wzrok na Kaileę i w głowie mu zawirowało. – Dopuściłem się niejednej zdrady

wobec księcia, ale ta jest najgorsza. Mogłem zapobiec śmierci Victora, a tak... Nieszczęsne dziecko!

Kailea skoczyła, jednym ruchem wyrwała z pochwy u jego szyi sztylet i podała rękojęścią Swainowi.

– Jeśli tak cierpisz z powodu winy, to rzuć się na ostrze, jak przystało na dobrego żołnierza i honorowego sługę Atrydów. Masz. Wbij sobie w serce, żebyś już więcej nie musiał odczuwać bólu.

Goire wpatrywał się w wyciągniętą rękę, ale stał nieruchomo, a potem po długiej chwili odwrócił się, jakby zachęcając Kaileę do ciosu w plecy.

– Honor to coś więcej, moja pani. To także poczucie sprawiedliwości.

Trzymała sztylet w drżących dłoniach, kiedy kapitan opuszczał jej komnatę. Zza zamkniętych drzwi posłyszał skowyt, a potem głos wzywający go z powrotem. Nic jednak nie mogło go już zawrócić.

Chiara nie miała odwagi sprzeciwić się wezwaniu, ale wsunęła się do pokoju Kailei skulona i wylękniona. Wiatr gwizdał w otwartym oknie, niosąc ze sobą huk fal rozbijających się w dole u podnóża zamkowej skały. Kailea stała w oknie i patrzyła w dal, a podmuch szarpał szlafrokiem.

– Wzywałaś mnie... moja pani?

Stara kobieta delikatnie zamknęła za sobą drzwi, poniewczasie żałując, że nie przyniosła ze sobą przyprawowej kawy i ulubionych ciasteczek Kailei, co mogło ją nieco udobruchać.

– Porozmawiajmy o tym twoim idiotycznym planie, Chiaro!

Jej głos był lodowato zimny, a kiedy się odwróciła, Chiara cofnęła się na widok jej twarzy. Żałowała, że nie postąpiła tak, jak sugerował jej instynkt: powinna uciec z zamku, rozpląnąć się gdzieś pośród mieszkańców Kala i czekać na okazję ucieczki na Giedi Prime. Była pewna, że baron Harkonnen weźmie ją pod swą pieczę, zachwycony rozpaczą, jaką ściągnęła na ród Atrydów. Teraz jednak było już za późno: czuła się jak bezbronna ofiara w jaskini drapieżnika.

– Moja pani, tak strasznie, strasznie mi przykro. – Kilkakrotnie skłoniła się nisko. – Tak mi żal niewinnej krwi, która przypadkiem została rozlana. Któż mógł przewidzieć, że na pokładzie żaglowca znajdą się także Rhombur i Victor, twój brat i syn, moja pani. Mieli przecież...

– Milcz! Żadnych usprawiedliwień, żadnych przeprosin. Sama dobrze wiem, co się stało i dlaczego.

Chiara zadrżała. Nikt nie mógł jej pomóc w tym pokoju na wieży. A przecież mogła zabrać ze sobą broń, przekupić któregoś ze strażników...

Brak przezorności, za który być może przyjdzie jej zapłacić.

– Widzisz, Chiaro, miałam dość czasu, aby zastanowić się nad wydarzeniami ostatnich



lat. Przypomniałam sobie wszystkie te twoje komentarze, złośliwe uwagi. Teraz ich znaczenie staje się jasne i nie masz nic na swoje usprawiedliwienie.

– Co masz na myśli, moja pani? Ja przecież zawsze tylko wiernie...

Kailea nie dała jej dokończyć:

– Nasłano cię tutaj, żebyś siała niezgodę, mam rację? Od pierwszej chwili starałaś się nastawić mnie przeciwko księciu. Dla kogo pracujesz? Dla Harkonnenów? Dla Richesów? Tleilaxan? – Zapadnięte oczy płonęły. – Mniejsza z tym. Efekt jest jasny: Leto żyje, mój syn zginął.

Postąpiła krok w kierunku Chiary, która starała się znaleźć obronę w głosie pełnym współczucia.

– Przeżyłaś straszną tragedię, kochanie, a ból popycha cię do najbardziej niesprawiedliwych podejrzeń.

Kailea zrobiła następny krok.

– Ponieważ jednak przez lata uważałam cię za najlepszą przyjaciółkę, a Victor zginął szybko i bez cierpień, więc i tobie pisana jest łagodna śmierć.

Z tymi słowami uniosła dłoń uzbrojoną w sztylet Swaina Goire'a. Chiara rzuciła się do tyłu, wyciągając przed siebie ręce w obronnym geście.

– Moja pani, nieeee!

Kailei nic już jednak nie mogło powstrzymać. Ostrze z rozmachem wbiło się w pierś Chiary. Kailea wyrwała je i uderzyła raz jeszcze, aby się upewnić, że przebiła serce zdrajcy, a kiedy ta charcząc, zwała się na posadzkę, obok niej z brzękiem upadł sztylet.

Krew trysnęła na gładką obsydianową ścianę; Kailea przez chwilę wpatrywała się w swoje rozmyte odbicie, a potem wstrząsnął nią dreszcz odrazy.

Zdecydowanym krokiem podeszła do otwartego okna. Mroźny wiatr sprawił, że ciało pokryło się gęsią skórką. Wczepiona palcami w zimną kamienną balustradę wpatrzyła się w odległy horyzont, wypełniony szarym morzem. W dole fale pieniały się u stóp skały.

W pamięci rozbłysnął jej widok czarownego miasta stalaktytowego. Ileż to czasu upłynęło od chwili, gdy w eleganckiej sukni tańczyła w pełnej blasku sali Grand Palais? Od chwili, gdy wraz z bratem i bliźniakami Pilru oparli o balustradę spoglądali w dół na gotowy do inauguracyjnego startu liniowiec?

Niczym litanię przywołała teraz w pamięci wszystkie widziane na własne oczy i w księgofilmach obrazy z Kaitain: szerokie ulice, wspaniałe budowle, fontanny, kuranty... Marzyła kiedyś o tym, że życie spędzi właśnie tam, jako księżniczka jednego z Wysokich Rodów Landsraadu. Marzenia okazały się płonne.

Powoli, z rozmysłem wspięła się na balustradę, chwilę stała nieruchomo, a potem skoczyła.

*Człowieczeństwo nigdy nie może ustąpić przed zwierzęcością.*

**z nauk Bene Gesserit**

Chociaż Abulurd formalnie zachował tytuł gubernatora podokręgu Lankiveil, gospodarką planety zarządzał Glossu Rabban. Bawiło go to, że ojciec zachował oficjalną godność, nie miał jednak żadnej prawdziwej władzy. Jak jednak mogło być inaczej, skoro stary dureń zamknął się w murach klasztoru?

Rabban nienawidził tej planety, jej wiecznie zaciągniętego chmurami nieba, zimnego powietrza i prymitywnych, cuchnących rybami mieszkańców. Nienawidził jej także dlatego, że to tutaj zesłał go na wygnanie baron Vladimir po kompromitacji na Wallach IX. Ale najbardziej nienawidził jej dlatego, że tak bardzo kochał ją ojciec.

Któregoś dnia postanowił odwiedzić tajny skład przyprawy. Nie było powodu do obaw, gdyż wszystkie ślady zostały zatarte, wszyscy świadkowie – usunięci. Nie było żadnego dowodu na to, że baron zgromadził tak ogromny skarb podczas swego urzędowania na Arrakis.

Wylądował na północnym kontynencie, gdzie dwa lata spędził na wygnaniu, stamtąd zaś w eskorcie dziesięciu żołnierzy na statku dostarczonym przez jedną z przetwórci ryb wypłynął na lodowe morze. Nawigator otrzymał potrzebne dane, sam więc Rabban mógł sobie spokojnie popijać w kabinie brandy kirana. Kiedy odnajdą już fałszywą górę, wyjdzie na pokład, na razie jednak ani myślał wystawiać się na podmuchy wiatru i oblepiającą wszystko mgłę. Syntetyczna góra lodowa wykonana była perfekcyjnie, gołym okiem była nie do odróżnienia od prawdziwych. Wreszcie łódka zatrzymała się, wezwany Rabban zszedł po trapie, otworzył zamaskowaną gródź i wszedł do środka.

I znalazł wewnątrz zupełnie puste. W pierwszej chwili oniemiał, a potem ryknął tak, że zatrzęsły się plastikowe ściany.

– Kto to zrobił?!

Należało pogodzić się z faktami; stateczek zawrócił na południe, a chociaż Rabban nie schodził ani na chwilę z pokładu, nic nie mogło ostudzić jego wściekłości. Kiedy zbliżali się do brzegu, Rabban dopiero teraz zwrócił uwagę na nowiutkie, czyste chaty, budynki, łódki... Ledwie dobili do pierwszej przystani, a żołnierze natychmiast rozbiegli się po wiosce, aby groźbami i torturami wydobyć z jej mieszkańców odpowiedź. Powtórzyli to w kolejnej osadzie i następnej, a wszędzie słyszeli to samo: Abulurd.

Tego Rabban powinien się domyślić wcześniej.

Na pięknie odnowioną przez buddoislamskich mnichów górską miejscinę Veritas i jej wspaniały klasztor spadła ostra zima. Zrozpaczony Abulurd powoli dochodził tutaj do siebie. Teraz w ciepłej kurtce i grubych rękawicach stał z węzłem doprowadzającym wodę z

górskiego strumienia i poprzez umieszczony na końcu rozpylacz spryskiwał nią skraj wejścia do jaskini. Z ust wydychał obłoki pary, skóra na policzkach tak się naciągnęła od morskiego wiatru, że zdawało się, iż popęka, ale Abulurd ze szczęśliwym uśmiechem na twarzy nakładał kolejne warstwy lodu, budując coraz solidniejszą barierę, która skrzyła się w promieniach słońca, zatrzymywała jednak dokuczliwe wiatry. Wzdłuż skał ustawione były małe wiatraczki, które siłę podmuchu zamieniały na energię elektryczną, a zarazem melodyjnie podzwaniały.

Abulurd wyłączył dopływ wody i cofnął się tak, aby mnisi mogli podbiec do zamarzającej wody i wcisnąć w nią kolorowe szkiełka, które lodowej zasłonie przydawały tęczowej migotliwości. Potem z kolei oni się cofnęli, Abulurd zaś przystąpił do nakładania kolejnych lodowych warstw. Przybyło ich dobre pół metra, zanim opat klasztoru dał gongiem znać, że nadszedł czas posiłku, i Abulurd, zmęczony, lecz szczęśliwy, przypatrywał się swemu dziełu.

Otrzeptał rękawice i kurtkę z kawałków lodu. Potem rozpiął kurtkę, aby spotniałe ciało trochę odetchnęło świeżym powietrzem, i wszedł do przenośnego domku stołórkowego z dużymi oknami z plazu. W środku krzatali się mnisi podający jedzenie, Abulurdowi zaś parującą miskę przyniosła Emmi i usiadła obok niego. Rosół był znakomity.

Nagle przez szybę Abulurd zobaczył, jak lodowa zaporą rozpada się pod ogniem z lasera. Jeszcze jedna salwa i poprzez wielkie dziury widać już było kołyszający się w powietrzu bojowy ornitopter z laserobinami, z których luf jeszcze unosiły się smużki dymu, który teraz szykował się do lądowania pod wielką przewieszką, skąd prowadziło wejście do grotu. Wszyscy poderwali się z krzykiem, Abulurda zaś nawiedziło okropne *déjà vu*. Razem z Emmi schronili się w Veritas, aby żyć na uboczu i w spokoju. Chcieli odciąć się od zewnętrznego świata, a zwłaszcza od Harkonnenów. A już przede wszystkim od swego starszego syna.

Ornitopter, szurając, osiadł na lodowej posadzce, z sykiem otworzył się luk i wyskoczyli z niego uzbrojeni żołnierze, a za nimi wynurzył się Glossu Rabban, strzelający z krwawinowego pejcza, chociaż trudno było przypuścić, by ktokolwiek tutaj usiłował mu się sprzeciwić.

– Gdzie mój ojciec? – zawołał, a kiedy stojący na zewnątrz mnisi pokazali kierunek drżącymi rękami, ruszył zdecydowanym krokiem do stołówki. Z rozmachem otworzył drzwi i zostawił je tak, nie zważając na chłód wpadający do środka.

Abulurd podniósł się, a Emmi powstrzymała go tak gwałtownym ruchem, że potrąciła miskę, która spadła i się rozbiła. W zimnym powietrzu z rozlanego rosółu uniosła się para.

– Tutaj jestem, synu – powiedział Abulurd i wyszedł na środek. – Nie ma potrzeby niszczenia czegokolwiek.

Gardło miał ściśnięte ze strachu; był rad, że mnisi cofnęli się pod ściany, gdyż w razie nieostrożnego ruchu lub słowa jego demonicznego syna bez żadnych skrępowań mógł zabić każdego. Rabban podskoczył do niego z zaciśniętymi pięściami.

– Zapasy przyprawy – co z nimi zrobiłeś? Poddaliśmy torturom tych wioskowych

durniów i wszyscy podają twoje imię! I nie sędzę, żeby kłamali, bo użyliśmy poważnych argumentów.

Abulurd postąpił w kierunku syna. Jego szpakowate włosy zwisały w przepoconych strąkach.

– Użyłem ich, aby ulżyć doli mieszkańców Lankiveil. Należało im się to po nieszczęściach, jakie na nich sprowadziłeś.

Przyszło mu wprawdzie do głowy, aby przygotować się na taką ewentualność i zabezpieczyć przed atakiem Harkonnenów, ale nieustannie zwlekał z tą myślą, miał bowiem nadzieję, że Rabban nie zorientuje się tak szybko. Emmi podbiegła ku nim z krzykiem:

– Dosyć! Zostaw ojca w spokoju!

Nie ruszając głową, nie odwracając nawet wzroku od ojca, Rabban na odlew chlasnął matkę w twarz z taką siłą, że natychmiast puściła jej się z nosa krew.

– Jak śmiałeś uderzyć swoją matkę?!

– Biję, kogo mi się podoba. Zdaje się, że nie rozumiesz, kto tu naprawdę rządzi. Jesteś żalonym głupcem i słabeuszem.

– Wstyd mi za to, kim się stałeś!

Abulurd ze wstrętem splunął na podłogę, co nie zrobiło na Rabbanie specjalnego wrażenia.

– Co zrobiłeś z przyprawą? Gdzie ją ukryłeś?

Oczy Abulurda rozbłyły.

– Przynajmniej raz pieniądze Harkonnenów posłużyły dobremu celowi. I nie ma już sposobu na to, abyś je odzyskał.

Rabban błyskawicznym ruchem chwycił przegub Abulurda i przyciągnął go do siebie.

– Nie zamierzam marnować tutaj czasu na gadanie z tobą – syknął, a następnie z taką łatwością, jak gdyby były to zeschnięte patyki, złamał ojcu palec wskazujący i kciuk. Abulurd zawył z bólu, a Emmi ukryła zakrwawioną twarz w dłoniach. – Gdzie przyprawa? – wycedził Rabban, chwycił drugą dłoń Abulurda i w niej także złamał dwa palce.

Pomimo cierpienia ojciec wbił w syna nieposkromione spojrzenie.

– Zatrudniłem dziesiątki pośredników, aby ją sprzedać, a uzyskane w ten sposób środki rozprowadziłem pośród ludności. Wznieśliśmy nowe budynki, nabyliśmy nowe urządzenia, na ciężkie czasy zrobiliśmy zapasy żywności i lekarstw. Tym, którzy tego chcieli, pomogliśmy się zagospodarować na innych planetach.

Rabban nie wierzył własnym uszom.

– Wydałeś wszystko?!

Przyprawy było tyle, że śmiało mógł sfinansować kilka sporej wielkości wojen.

Abulurd zaśmiał się histerycznie.

– Tutaj tysiączek solarisów, tam drugi – i się rozeszło.

Wydawało się, że Rabban nagle jakby zapadł się w sobie: zrozumiał, iż ojciec

rzeczywiście mógł postąpić tak, jak mówił, a wtedy skarb Harkonnenów przepadł raz na zawsze. Oczywiście, można było skonfiskować mienie wieśniaków, nałożyć na nich grzywny i kontrybucje, ale odzyska się już tylko niewielką część.

Chwilę później powróciła wściekłość, chociaż przemówił głosem powolnym i zimnym.

– Zabiję cię za to.

Abulurd wpatrywał się w twarz syna pełną takiej nienawiści, jak gdyby byli najbardziej zawziętymi wrogami. A przecież mimo to pojawił się w jego pamięci obraz psotnego chłopca, a nawet niemowlęcia kołysanego w ramionach przez Emmi.

– Nie zabijesz mnie – odparł głosem, którego sam nie potrafił rozpoznać. – Niezależnie od wszystkich swoich zbrodni, niezależnie od wszystkich niegodziwości, jakich nauczył cię mój brat, nie posuniesz się do czynu tak haniebnego. Jestem twoim ojcem, a i ty ostatecznie jesteś człowiekiem, a nie bestią.

Te słowa podziały jak zapalnik. Rabban obiema dłońmi chwycił Abulurda za szyję. Emmi rzuciła się z dzikim krzykiem, ale była całkowicie bezsilna. Uścisk Rabbana był coraz silniejszy. Abulurdowi oczy wyszły na wierzch, połamane palce bezsilnie przebierały po dłoniach mordercy.

Na ustach Rabbana pojawił się szeroki uśmiech. Zmiażdżył tchawicę Abulurda, a potem gwałtownym szarpnięciem złamał mu kark, by z grymasem niesmaku rozluźnić uścisk i pozwolić zwłokom ojca zwalić się na ziemię.

Emmi i mnisi patrzyli na to oniemiałi.

– Odtąd będą nazywać mnie Bestią – oznajmił Rabban, potoczył wzrokiem po świadkach jego zbrodni i – zadowolony z przydomku, jaki sobie wymyślił – kiwnął na swoich ludzi, by wracali razem z nim do ornitopterów.

*„Powstrzymać się od śmierci” to jeszcze nie to samo co „żyć”.*

**z maksym Bene Gesserit**

Nawet najbrzydszy pokój w Zamku Kaladan był lepszy od sali szpitalnej, Leto zaś kazał się umieścić w wygodnym i eleganckim prywatnym gabinecie Paulusa. Nie tylko chciał się w ten sposób opędzić od wspomnień, ale miał też nadzieję, że tutaj szybciej dojdzie do siebie.

Tymczasem każdy kolejny dzień wydawał się równie szary i beznadziejny.

– Nadeszły tysiące nowin, mój książę – powiedziała Jessika z wymuszoną wesołością, w głębi serca bowiem głęboko współczuła Letu. Użyła ledwie wyczuwalnej odrobinki Głosu, a potem wskazała piętrzący się na pobliskim stoliku stos kart, listów i przesyłek. W pokoju pełno było kwiatów, których zapach miał tłumić woń medykamentów. Nadeszło sporo

rysunków, jakie dzieci kaladańskie sporządziły dla swego księcia. – Poddani sercem są z tobą.

Leto nie odpowiedział i nieruchomo wpatrywał się przed siebie. Na czole miał umocowany biały płat neoskóry, po raz wtóry zastosowany dla uzupełnienia ubytków tkanek. Do prawego barku i obu nóg przytwierdzono pakiety wzmacniające, z jednej żyły sterczała cienka rurka, wydawało się jednak, że książę nie zauważa tego wszystkiego.

Nieustannie miał przed oczami udręczone ciało Rhombura, które pozostało w szpitalu, uwięzione w mechanizmach podtrzymujących życie. I życie to dalej pulsowało, chociaż może lepiej by było, gdyby potomkowi rodu Verniusów pozwolono jednak umrzeć.

„Zasnąć w pokoju, jak Victor. I jak Kailea”.

Teraz już tylko z żalem myślał o niej i o tym, do czego została popchnięta.

Lekko zwrócił głowę w kierunku Jessiki i spytał z bezbrzeżnym żalem:

– Czy lekarze postąpili zgodnie z moim poleceniem? Jesteś tego pewna?

Chciał, by odnalezione szczątki Victora umieszczone zostały w zasobniku kriogenicznym, który nie pozwoli na ich rozkład. Dopytywał się o to codziennie, najwyraźniej nie pamiętając odpowiedzi.

– Tak, wszystko jest tak, jak sobie zażyczyłeś, książę – odparła Jessika, która przeglądała przesyłki, zastanawiając się, która mogłaby wyrwać Leta z przygnębienia. – O, tutaj pewna wdowa z Kontynentu Wschodniego pisze, że jej mąż był u ciebie urzędnikiem. Przyjrzyj się temu zdjęciu, widać na nim medal, jaki mu wręczyłeś za długą i ofiarną służbę. Teraz jej synowie chcieliby pójść w ślady ojca. – Dotknęła ramienia Leta, a potem zniechęcona dotknęła czujnika i wyłączyła hologram. – Wszyscy życzą ci jak najlepiej.

Na zewnątrz wzdłuż dróg prowadzących do zamku poddani ustawiali świece i układali kwiaty w intencji wyzdrowienia Leta. Na dziedzińcu było ich tyle, że ich aromat był silniejszy od zapachu morza. Aż tutaj dolatywały dźwięki harf i baliset.

Jessika myślała, jakby to było dobrze, gdyby Leto mógł wyjść na zewnątrz i spojrzeć na życzliwe mu ludzkie twarze. Gdyby mógł zasiąść pośrodku dziedzińca na tronie i przyjmować dary, życzenia i petycje poddanych. Mając na sobie wszystkie regalia, wyglądał potężniej od każdego, zupełnie jak dawniej Stary Książę.

Letu potrzebne jest coś, co oderwałoby go od wspomnień i popchnęło do życia; rytm codziennych zajęć pomógłby także zaleczyć rany w sercu. Należało mu uzmysłwić, że nadal jest władcą, a ludzie go potrzebują.

Usłyszała za oknem gwizd, a kiedy wyjrzała, zobaczyła dużego morskiego jastrzębia, jak wzbija się w górę z rozłożonymi skrzydłami o czerwonych zakończeniach, do szponów mając przymocowane pęta. Drugi ich koniec trzymał mały chłopiec, który spoglądał z nadzieją w zamkowe okna. Jessika widywała Leta rozmawiającego z tym chłopcem; była to jedna z jego licznych znajomości z poddanymi. Jastrząb parę razy przeleciał przed oknem sypialni Leta, jakby miał zamiast chłopca zajrzeć do jej wnętrza.

Jej rozkochany wzrok spoczął na twarzy pełnej najgłębszej melancholii. „Ani nie mogę,

ani nie pragnę osłaniać cię przed światem, Leto”. Tak zawsze podziwiała siłę jego charakteru, a teraz przecież lękała się słabości ducha. Zupełnie jakby księżę Leto Atryda stracił całą ochotę do życia. Ciało zdrowiało, cały człowiek znajdował się jednak w letargu.

Musiała zwalczyć tę jego apatię; nie tylko dlatego, że został wybrany przez zakon na ojca jej córki, ale także, czy nawet przede wszystkim dlatego, że znowu chciała go widzieć radosnym i szczęśliwym. W duchu poprzysięgła sobie, że uczyni dla niego wszystko, co tylko w jej mocy. Bezgłośnie wypowiedziała modlitwę Bene Gesserit: „Wielka Macierzy, bacz na tych, którzy są tego warci”.

Przez następne dni niemal bez ustanku przesiadywała przy Lecie i rozmawiała z nim, jeśli tylko było to możliwe. Zaczynał reagować na tę nie słabnącą, czujną uwagę Jessiki; wracały mu siły, jego twarz nabierała rumieńców, głos był coraz silniejszy, stopniowo jego odpowiedzi i wypowiedzi stawały się coraz dłuższe.

Jego serce nadal przepęniała zgryzota i ból. Wiedział o zdradzie Kailei, zamordowaniu jej powiernicy i samobójstwie. Nie czuł jednak do niej wrogości, odrazy, a tylko... żal. Żal, który wypełniał go całego i pokrył oczy matową mgłą.

Ale Jessika nie zamierzała się poddawać.

Na balkonie ustawiła karmnik dla ptaków i Leto z coraz większym zainteresowaniem przypatrywał się szczygłom, wróblom, sójkom. Tym, które pojawiały się po kilka razy, nadawał imiona; jak na człowieka bez szkolenia Bene Gesserit, był zadziwiająco spostrzegawczy.

Pewnego dnia, mniej więcej miesiąc po strasznym wypadku, powiedział do Jessiki:

– Chcę zobaczyć Victora. – Głos miał cichy, ale pełen uczucia. – Teraz będę już mógł to znieść. Zaprowadź mnie do niego, proszę.

Ich spojrzenia spotkały się i Jessika zrozumiała, że w żaden sposób nie odwiedzie go od tego zamiaru. Ale na wszelki wypadek powiedziała:

– Wygląda znacznie gorzej niż Rhombur. Nie robiłabym tego na twoim miejscu, Leto.

– Ja jednak muszę, Jessiko.

Zamrożone szczątki Victora nie robiły tak przejmującego wrażenia jak udreżone ciało Rhombura, może dlatego, że były już po tamtej stronie bólu i cierpienia. Z wyraźnym drżeniem Leto położył rękę na przezroczystym zasobniku i zapewne mówił coś do zmarłego syna, ale można było uchwycić tylko bezgłośny ruch warg. Jessika widziała bezbrzeżną rozpacz na twarzy Leta; już nigdy nie będzie się bawił z synem, odebrano mu szansę bycia takim ojcem, jakim chciał być.

Otoczyła Leta ramieniem. Chociaż odwoływała się do dobrze wyuczonych i wyćwiczonych technik, nie potrafiła stłumić reakcji, które dokonywały się w najtajniejszych głębinach jej osobowości. Co to takiego? Nie mogły to być echa Pamięci Innych, nie była

wszak jeszcze Wielebną Matką, a przecież czuła, że pradawne siostry ogarnia jakieś wielkie, niezwykle zatroskanie. „O co chodzi? Co się ze mną dzieje?”

– Nie ulega żadnej wątpliwości – powiedział Leto niczym w transie – że na rodzimych Atrydów ciąży klątwa... i to od czasów Agamemnona.

Kiedy wychodzili na zewnątrz, chciała go pocieszyć, zaprzeczyć jego słowom. Chciała mu przypomnieć, jak wielkie były osiągnięcia jego rodu, ile zawdzięczało mu całe Cesarstwo. Słowa jednak milkły na ustach. Rhombur, Victor, Kailea... Co przeciwstawić tym tragediom?

*Zawsze pozostajemy ludźmi i niesiemy brzemię człowieczeństwa.*

### **książę Leto Atryda**

Krople deszczu tak łomotały o szyby pokoju Leta, że miał wrażenie, jakby stukały w jego czaszkę. Wichura chlastała wodnymi biczami i szarpała niedokładnie uszczelnione okiennice. Pogoda bardzo odpowiadała jego nastrojowi.

Siedział samotny, drżąc w fotelu, który wydawał się dla niego za duży. Z przymkniętymi oczami przypominał sobie twarz Victora, czarne włosy i brwi, nie nasyconą ciekawość, radosny, zaraźliwy śmiech... W chwili śmierci miał na sobie chłopięcą replikę munduru z nazbyt wielkimi epoletami. Miał wrażenie, że w mroku pokoju przemykały cienie.

„Dlaczego nie mogłem uratować syna?”

Rzekł na głos, jakby do jakiegoś niewidzialnego rozmówcy:

– Gdybym mógł cokolwiek zrobić dla niego, oddałbym za to cały majątek rodu.

Ból ciążył na nim niby wielki kamień.

Poprzez szczelnie obite drzwi dobiegł jakiś hałas, a taka donośność oznaczać mogła tylko jedną osobę: Thufira Hawata. Poruszył się, ciało zareagowało bólem. O każdej innej porze wykrzesałby z siebie odrobinę zapалу dla swego Mistrza Assassinów, ale nie teraz... nie o tak późnej godzinie.

Otworzyły się drzwi i Hawat wszedł zamaszystym krokiem. W ręku trzymał srebrny cylinder.

– Książę mój – powiedział – wiadomość wprost z portu kosmicznego.

– Kondolencje? – mruknął słabym głosem Leto. – Sądziłem, że odezwały się już wszystkie rody Landsraadu. Nie osmielę się bowiem przypuścić, że to jakaś dobra wiadomość?

– Nie. – Hawat pokręcił ponuro głową. – To od Bene Tleilax.

Powierzył cylinder drżącym dłoniom Leta, który zmarszczył brwi i zerwał pieczęć, a potem wpatrzył się w wiadomość, złowrogą w swej prostocie, straszliwą z uwagi na nadzieje,



które wzniecała. Słyszał o takich możliwościach, praktykach budzących dreszcz zgrozy. „Gdyby to mogła być prawda”. Dotąd ani przez chwilę nie pomyślał o Tleilaxanach, gdyby jednak te wstrętne karzełki...

Propozycja była jasna.

Hawat czekał, gotów do pomocy i rady.

– Thufirze, proponują, że z zachowanych szczątków Victora wyhodują gholę, więc... znowu mógłby żyć.

Nawet mentat nie potrafił ukryć zdumienia.

– Mój panie! Ani przez chwilę nie wolno...

– Gdyby im się to udało, znowu miałbym syna.

– Ale jakim kosztem? Czy w ogóle podali swoją cenę? Zapamiętaj, Wasza Wysokość, moje słowa: w tej propozycji coś cuchnie. To oni zniszczyli Ix. Podczas Przewodu Konfiskacyjnego grozili ci śmiercią. Nigdy nie ukrywali swojej nienawiści do rodu Atrydów.

Leto wpatrywał się w cylinder.

– Oni są nadal przekonani, że to ja ostrzelałem ich statki w ładowni liniowca, ale teraz dzięki Bene Gesserit znamy prawdziwego sprawcę. Możemy im opowiedzieć o Harkonnenach i tym ich niewidzialnym pojeździe...

– Mój książę – sprzeciwił się Hawat – przecież one wyraźnie powiedziały, że nie dostarczą żadnych jednoznacznych dowodów. A bez tego Tleilaxanie nigdy ci nie uwierzą.

– Ale... – Leto był wyraźnie zdesperowany – ...ale bez tego Victor nie ma żadnych szans. Jeśli chodzi o mego syna, zawrę układ z każdym, a cena nie ma znaczenia.

Tak pragnął usłyszeć raz jeszcze głos chłopca, zobaczyć jego uśmiech, poczuć dotyk jego dłoni.

– Muszę ci przypomnieć, mój panie, że chociaż ghola może być kopią wierną pod wszystkimi względami, to jednak chłopiec nie będzie miał wspomnień Victora, nie będzie miał jego osobowości.

– Czyż to nie lepsze od sytuacji, gdy mam tylko wspomnienia i zamrożone zwłoki? Natychmiast uznałbym go oficjalnie za syna i wskazał jako mego legalnego następcę.

Myśl ta jednak przywołała dawny smutek. Czy ghola rozwijałby się normalnie, czyż też posiadałby wiedzę o tym, co się dokonało? A gdyby Bene Tleilax – którzy przecież potrafili produkować wypaczonych mentatów – dokonaliby jakichś manipulacji w zasobach genetycznych Victora? Ukryta dźwignia, która po uruchomieniu pozwoliłaby zaatakować głowę rodu Atrydów z najmniej oczekiwanej strony.

Ale Leto był gotów nawet na takie ryzyko... dla Victora. Nie miał właściwie wyboru, decyzja była jakby wymuszona. Hawat był bardzo zaniepokojony.

– Książę, jako mentat i jako przyjaciel ostrzegam cię przed takim posunięciem. To pułapka. Tleilaxanie chcą cię schwytać w swą zatrutą sieć.

Krzywiąc się z bólu, Leto powstał i dokuśtykał do Mistrza Assassinów, który cofnął się

na widok szaleńczej pasji w oczach księcia. Wydawało się, że żadne ostrzeżenia do niego nie docierają.

– Thufirze, tobie jednemu mogę powierzyć taką misję. – Głęboko odetchnął i ciągnął z desperacją: – Skontaktuj się z Tleilaxanami i przekaz im, że... – szukał odpowiednich słów – ...że chcę poznać ich warunki. – Wstrząsnął nim dreszcz, a na twarzy pojawił się dziwny uśmiech. – Pomyśl tylko, Thufirze, znowu będę miał syna!

Stary wojownik położył żylastą rękę na ramieniu Leta.

– Mój książę, błagam, odpocznij, a potem zastanów się nad możliwymi implikacjami. Przecież to niemożliwe, żebyśmy tak nadstawiali karku tym nędznym Tleilaxanom. Aż strach pomyśleć, czego mogą zażądać w zamian. Stanowczo odradzam taki postępek.

Leto zawrzał gniewem.

– Jestem księciem, głową rodu Atrydów, i to ja tutaj decyduję, co można, a czego nie. – Nie potrafił zapanować nad sobą, wszystkie ostatnie wydarzenia absolutnie wytrąciły go z równowagi. – Tutaj chodzi o mego syna, który zginął, a może wrócić między żywych! Usłyszałeś rozkaz i masz go wypełnić. Skontaktuj się z Tleilaxanami, i to jak najszybciej!

Dzień powrotu Duncana Idaho powinien stać się okazją do wesołości i zabaw, ale straszliwy wypadek pogrzyżył w żałobie cały Kaladan.

Zmieniony niemal nie do poznania Duncan stanął na płycie lądowiska w Kala i z rozkoszą wciągnął do płuc słone powietrze. Rozejrzał się za znajomymi; zobaczył oddział gwardii honorowej, a na jego czele Thufira Hawata w czarnym, ozdobionym medalami stroju ambasadora. Cóż za pompa!

Hawat w pierwszej chwili nie rozpoznał przybysza. Czarne kędziory Duncana były bujniejsze, a twarz ogorzała i zmężniała. Rozrósł się w sobie i poruszał w sposób zdradzający poczucie siły, z dumą nosząc charakterystyczne dla Ginazu khaki i czerwoną bandanę. U pasa wisiał miecz Starego Księcia, nieco podniszczony, starannie jednak wyczyszczony i wypolerowany.

– Thufirze, nic się nie zmieniłeś, stary mentacie!

Duncan podbiegł i chwycił w objęcia starego wojownika. Kiedy ten już się z nich oswobodził, rzekł:

– W przeciwieństwie do ciebie, ty bowiem zmieniłeś się ogromnie. A może nie powinienem już zwracać się do ciebie „ty”, mistrzu miecza? Ciągle mam jeszcze w oczach tego oberwańca, który zdał się na łaskę księcia Paulusa, a tu taka odmiana. Coś mi się zdaje, że jesteś odrobinę wyższy.

– Mam nadzieję, że także odrobinę mądrzejszy.

Mentat przygryzł wargi.

– Obawiam się, że ostatnie wydarzenia nie pozwolą celebrować twego powrotu tak, jak by należało. Ktoś z mego orszaku pojedzie z tobą do zamku, a Leto z pewnością ucieszy się

na twój widok. Sierzancie Vitt, wy będziecie towarzyszyć w drodze Duncanowi Idaho.

Hawat chciał już wejść na trap prowadzący do promu, który miał zaraz wracać do czekającego na orbicie liniowca, ale widząc kontuzję na twarzy przybysza, przypomniał sobie, że ten o niczym nie wie, ba, nigdy nawet nie widział na oczy Victora, chociaż o jego narodzinach dowiedział się z pewnością z korespondencji. Spieszył się już jednak, dlatego rzucił tylko: „Sierzant Vitt wprowadzi cię we wszystko” i ruszył w kierunku promu, mocno trzymając pod pachą dokumenty, które miał w imieniu księcia przekazać Mistrzom Tleilaxan. Kiedy przesuwiał językiem, wyczuwał w ustach malutki aparacik, który każdą wprowadzaną do ust substancję będzie nasycił środkami antyseptycznymi i antytoksycznymi. Miał się zetknąć twarzą w twarz z Bene Tleilax, a nawet Mistrz Assassinów nie mógł przewidzieć, jakich zarazków czy trucizn mogą użyć przeciw niemu.

Musiał dokładnie wypełnić otrzymane instrukcje. Nadal nie zgadzał się z decyzją księcia, ale posłuszeństwo było dowodem lojalności.

Swain Goire wpatrywał się w ciemność lochu zamkowego i przypominał sobie inne chwile i inne miejsca. Odziany w cienki drelich więzienny dygotał z zimna.

Kiedy zaczął się ten jego tragiczny błąd? Zawsze starał się być najlepszy, przysięgał wierność księciu, tak bardzo pokochał Victora...

Siedząc na pryczy, od dawna już gładził palcem po doręczonej mu przez Gurneya strzykawce. Dzięki temu w każdej chwili mógł zakończyć swe życie, wstrzykując sobie do krwi truciznę. Potrzeba było tylko chwili odwagi... czy tchórzostwa?

Przed oczami duszy lata się zlewały, jakby cięte laserobinem. Widział, jak w ubóstwie chowa się nad zatoką Kala, zarabiając na utrzymanie matki i dwóch młodszych siostr na łodziach rybackich; ojca nigdy nie poznał. Jako trzynastolatek otrzymał pracę w kuchni pałacowej, czyścił piece, kredensy i spiżarnie, szorował podłogi i ściany. Dobroduszny kuchmistrz tylko udawał surowość i bardzo pomógł chłopakowi.

Kiedy skończył szesnaście lat, co nastąpiło niedługo po śmierci Starego Księcia, podjął służbę w książęcej gwardii i szybko awansując, stał się jednym z najbardziej zaufanych ludzi księcia Leto. Był od niego parę miesięcy młodszy, a chociaż tak różne były drogi ich życia, pokochali tę samą kobietę: Kaileę Vernius. I obu ich zniszczyła, zanim podniosła na siebie rękę.

Podczas prowadzonego przez Thufira Hawata śledztwa Goire nie szukał dla siebie żadnych usprawiedliwień. Wszystko wyznał, a dodatkowo sam siebie oskarżył o zbrodniczą głupotę, z powodu której Chiara zdobyła dostęp do materiałów wybuchowych. Nigdy nie miał zamiaru skrzywdzić księcia, nadal był dla niego pełen podziwu i miłości.

Kiedy Gurney Halleck dostarczył mu truciznę, nie zrobił tego bynajmniej z sympatii.

– Jedyne, co ci jeszcze pozostało, to odrobina honoru – powiedział, umieścił strzykawkę na pryczy i wyszedł.

Goire przesunął palcem po igle. Wystarczyło nakłuć czubek i życie się skończy. Odetchnął głęboko i mocno zacisnął powieki. Poczul na policzkach łzy, a w ustach ich słony smak.

– Swain!

Padła na niego smuga światła, rozchylił powieki i oderwał wzrok od cienkiej igły. Zadygotało gasnące pole ograniczające, zobaczył księcia Leto i Gurneya Hallecka. Na widok pokaleczonej, obandażowanej głowy księcia omal nie wbił sobie strzykawki w dłoń. Pomyślał jednak, że czeka go z pewnością sroższa kara, na którą na pewno sobie zasłużył.

Leto sięgnął po strzykawkę i wyjął mu ją z ręki.

– Swainie Goire, jakież marny spotkał cię los – powiedział cicho Leto. – Kochałeś mego syna i miałeś roztoczyć nad nim opiekę, a tymczasem przyczyniłeś się do jego śmierci. Kochałeś Kaileę i dlatego zdradziłeś mnie z moją konkubiną, chociaż, jak twierdzisz, darzysz mnie miłością. Ale Kailea nie żyje, a ty nigdy już nie odzyskasz mego zaufania.

– Niczym sobie na nie nie zasłużyłem – powiedział głucho Goire i spojrział lękliwie w oczy księcia.

– Gurney chciał skazać cię na śmierć – ciągnął Leto – ja jednak skażę cię na życie ze świadomością tego, coś zrobił.

Goire siedział przez chwilę jak ogłuszony, a następnie pokręcił głową.

– Nie, książę. Nie, proszę.

Nie zważając na oburzone spojrzenie Gurneya, Leto rzekł:

– Nie przypuszczam, byś jeszcze kiedykolwiek zdradził dom Atrydów, ale twoje dni na Zamku Kaladan dobiegły końca. Skazuję cię na wygnanie, a ze sobą nie zabierzesz nic prócz pamięci swoich zbrodni.

– Panie! – nie wytrzymał Gurney. – Przecież nie możesz puścić wolno takiego zdrajcy jak on! A gdzie sprawiedliwość?

Leto popatrzył na niego przeciągle.

– To sprawiedliwość w najczystszej postaci, a ludzie kiedyś rozumieją, że nie można było wymierzyć bardziej dotkliwej kary.

Goire siedział z głową spuszczoną na piersi.

– A wtedy nazwą cię, mój panie, Leto Sprawiedliwy.

*Nikt nie wie tego, co kryje się w sercu drugiego. W głębi swych dusz wszyscy jesteśmy Tancerzami Oblicza.*

**z sekretnego podręcznika Tleilaxan**

Swoje krążące wokół Thalimy planety Bene Tleilax odgradzili od całej reszty świata, chociaż najznamienitszych wysłanników przyjmowali w wydzielonym sektorze, z którego starannie usunięto wszystkie święte obiekty. Kiedy Thufir Hawat ruszy w podróż powrotną, starannie zdezynfekują każdą dotkniętą przez niego powierzchnię.

Stolicę Bandalong dzieliło od lądowiska pięćdziesiąt kilometrów pustkowiec bez żadnych dróg czy linii transportowych, a z pokładu sunącego po kameliowym niebie promu Thufir ocenił, że miasto musi liczyć wiele milionów mieszkańców. Jako przybysz z zewnątrz nigdy nie będzie miał tam dostępu; swoje sprawy załatwi w jednym z przeznaczonych do tego celu budynków portu kosmicznego, a potem wróci na Kaladan.

Połowę pasażerów promu stanowili Tleilaxanie, resztę – ludzie interesu przybywający tutaj, aby nabyć biologiczne produkty, takie jak nowe oczy czy inne organy, wypaczonych mentatów albo nawet ghole, co było właśnie przedmiotem misji Hawata.

Kiedy wyszedł na platformę, zbliżył się do niego człowieczek o szarawej skórze.

– Thufir Hawat, mentat rodu Atrydów? – Odsłonił w uśmiechu szpiczaste zęby. – Nazywam się Wykk. Proszę ze mną.

Nie podawszy ręki, nie zaczekawszy nawet na odpowiedź, Wykk odwrócił się i poprowadził Hawata w dół spiralnych schodów, które prowadziły do podziemnego kanału, gdzie czekała na nich automatyczna łódź. Weszli na pokład i natychmiast musieli się chwycić poręczy, pojazd bowiem ruszył, zostawiając za sobą wyraźny ślad na gęstej, mulistej wodzie.

Po krótkiej przejażdżce wysiedli i weszli do jakiegoś budynku, gdzie Thufir zobaczył trzech Tleilaxan zajętych rozmową, podczas gdy inni zaaferowani podążali w różnych kierunkach. Dookoła byli tylko sami mężczyźni, żadnej kobiety.

Z chrzęstem zbliżył się ku nim po nierównej podłodze robot – produkt Ix? – a Wykk wziął z podsunętej mu tacy metalowy cylinder i podał Hawatowi.

– Zatrzyma się pan tutaj w hotelu. To pański klucz.

Na cylindrze znajdowała się liczba w alfabecie cesarskiego galachu i jakiś nie znany mentatowi hieroglif.

– Za godzinę ma pan wyznaczone tutaj spotkanie z Mistrzem. – Wykk wskazał na uchylone drzwi, za którymi widać było rząd stołów. – Jeśli nie stawi się pan na nie punktualnie, nasze służby śledcze natychmiast przystąpią do poszukiwań.

Hawat, dumnie wyprostowany w swym ceremonialnym stroju, sztywno pochylił głowę.

– Będę o wyznaczonej porze.

W przydzielonym pokoju zastał sfatygowane łóżko z poplamioną pościelą, kulawy stolik, fioletowe zasłony na oknie. Przy użyciu podręcznego aparatu Thufir szybko zbadał pomieszczenie w poszukiwaniu urządzeń szpiegujących; niczego nie wykrył, co znaczyć mogło tylko tyle, że były zbyt trudne do wykrycia dla jego skanera.

Na wyznaczone spotkanie zjawił się z dziesięciominutowym wyprzedzeniem, ale tylko po to, by stwierdzić, że restauracja była jeszcze bardziej odpychająca niż pokój. Krzesła były

niestabilne, szklanki i naczynia nie domyte. Dochodziły do niego rozmowy w nie znanym mu języku. Całe pomieszczenie zostało najwyraźniej tak pomyślane, aby skłaniać każdego do możliwie jak najszybszego wyniesienia się stąd.

Nie inaczej było z Hawatem.

Kiedy stanął w drzwiach, zza przepierzenia wyłonił się Wykk i poprowadził go do stolika przy plazowym oknie. Siedział już przy nim niewysoki mężczyzna i zajadał zupę. Miał na sobie czerwoną marynarkę, bufiaste czarne spodnie i sandały. Zerknął na Hawata, nie przejmując się tym, że strużka płynu ściekała mu po brodzie.

– Mistrzu Zaaf – powiedział Wykk, wskazując jednocześnie mentatowi miejsce przy stoliku – to reprezentujący ród Atrydów Thufir Hawat, przybyły w związku z naszą propozycją.

Mistrz Assassinów strzepnął okruszki z krzesła, zanim usiadł przy stoliku nie przystosowanym do jego gabarytów, nie okazując przy tym odrazy.

– Gościom z szerokiego świata podajemy naszą specjalną polewkę świmakową – oznajmił Zaaf.

Natychmiast przy stoliku pojawił się milczący kelner i z wielkiej wazy nalał chochlą zupę do stojącej przed Hawatem czarki, podczas gdy inny nałożył na talerze przed dwoma rozmówcami kawałki jakiegoś krwistego mięsa, którego pochodzenia Mistrz Tleilaxan już nie określił.

Hawat rozejrzał się dyskretnie i nigdzie nie zauważył wykrywaczy trucizn. Będzie musiał zawierzyć własnym zabezpieczeniom.

– Mówiąc szczerze, nie jestem głodny – oznajmił mentat – i chciałbym jak najszybciej przejść do sprawy, z którą przysłał mnie do was mój książę.

Zaaf zabrał się do mięsiwa; odkroił wielki kawał, wepchnął do ust i zaczął go żuć, głośno mlaskając. Kiedy przełknął, otarł usta rękawem i spojrzał w o wiele od siebie wyższego Hawata.

– Zwyczaj nakazuje, by negocjacje odbywały się przy wspólnym posiłku – powiedział i zamienił się z Thufirem naczyniami. – Proszę jeść!

Hawat odkroił niewielki kawałek mięsa, a kiedy umieścił go w ustach, poczuł, jak antyseptyczny wtryskiwacz rozpoczyna pracę. Po chwili z wysiłkiem przełknął papkę.

– Wymienianie się talerzami to nasza prastara tradycja – objaśnił Zaaf – zastępująca wykrywacze trucizn. Jako nasz gość, to pan powinien na to nastawać, a nie ja.

– Zapamiętam to sobie – powiedział Hawat i spróbował bezzwłocznie przejść do rzeczy. – Otrzymaliśmy od Bene Tleilax propozycję, że gotowi jesteście stworzyć gholę księżęcego syna, który zginął w strasliwym wypadku. – Hawat wydobył z kurtki dokument i ułożył na stole, chociaż nie udało mu się znaleźć miejsca całkowicie czystego. – Książę Leto Atryda kazał mi się dowiedzieć, jakie są wasze warunki.

Zaaf ledwie zerknął na dokument i powrócił do posiłku. Dopiero kiedy zjadł mięso i

wypił gęstą breję, odezwał się, sięgając po papier.

– Skoro jesteście zainteresowani, to zastanowimy się nad odpowiednią ceną. Proszę się nie ruszać ze swego pokoju, Thufirze Hawat, i czekać na naszą odpowiedź.

Powstał, nachylił się nad stołem i zasyczał głosem pełnym niekłamanej nienawiści:

– Nasze usługi nigdy nie są tanie.

*My, ludzie, skłonni jesteśmy występować z bezpodstawnymi żądaniem wobec wszechświata i stawiać wobec niego bezsensowne pytania. Nazbyt często dokonuje się to w ramach przesłanek, które pozostają bez związku z treścią tych oczekiwań i pytań.*

### **memento zensunnickie**

Korzystając z jednego z rzadkich wolnych popołudni, doktor Wellington Yueh wygrzewał się na patio swej posiadłości na Richese, ale w głowie nadal miał obwody nerwowe i synapsy. Lśniaca kula satelity badawczego Korona przemieszczała się nisko po niebie w trakcie jednego ze swych dobowych obiegów.

Minęło już osiem lat i Yueh niemal zapomniał o badaniach, jakim poddał barona Vladimira Harkonnena. Tyle potem przeprowadził własnych, nieporównanie bardziej interesujących eksperymentów... Tamta ekspertyza bardzo się opłacała, jako że uzyskane od barona środki Yueh przeznaczył na nowy sprzęt, dzięki któremu dokonał znacznych postępów w badaniach nad cyborgami. Wystarczyło, by uporał się z problemem połączenia nerwów z elektronicznymi receptorami, by dalej wszystko poszło jak z płatka. Nowe techniki, nowe urządzenia, a więc – co wiele znaczyło dla władców Richese – nowe możliwości handlowe. Już teraz premier Ein Calimar osiągał wspaniałe zyski, bez rozgłosu sprzedając produkowane przez Yueha bioniczne kończyny, uszy, nawet gałki oczne. Kulejąca gospodarka planety bardzo potrzebowała takiego wsparcia.

Zachwycony premier obdarował wynalazcę obszerną willą i znacznym kawałkiem ziemi na malowniczym półwyspie Manha. Nie zabrakło też służby, a żona Yueha, Wonna, z lubością korzystała z bogatej biblioteki i basenów medytacyjnych, jej małżonek bowiem większość czasu spędzał w laboratorium.

Wąsaty doktor popijał aromatyczną herbatę i spoglądał na biało-złoty ornitopter, który osiadał właśnie na bujnym trawniku nieopodal basenu. Wysiadł z niego mężczyzna w białym smokingu i ruszył w dół łagodnego zbocza, krokiem zadziwiająco żwawym, jak na jego lata. Słońce skrzyło się na złotych klapach. Yueh powstał i już z daleka powitał przybysza grzecznym ukłonem.

– Czemu zawdzięczam wizytę, panie premierze?

Także Yueh miał swoje lata, ciało jednak szczupłe i zwinne; srebrny pierścień zbierał z tyłu długie włosy w węzeł.

Calimar zbliżył się i usiadł w jednym z foteli. Nadstawił ucha na trele rozbrzmiewające z ukrytego w zaroślach aparatu i ruchem dłoni odprawił służącego spieszącego z tacą pełną napojów.

– Doktorze Yueh, byłbym bardzo wdzięczny, gdyby rozważył pan możliwość pomocy straszliwie oszpeconemu Rhomburowi Verniusowi.

Yueh pokręcił w palcach koniec wąsa i wzruszył ramieniem.

– To fatalny, bardzo tragiczny, z tego, co usłyszałem od żony, wypadek. Konkubina księcia Rhombura jest także Bene Gesserit, podobnie jak moja Wonna. Wiadomość od niej była bardzo dramatyczna.

– Tak, to prawda, ufam jednak, że będzie pan potrafił jakoś pomóc. – W oczach za okularami pojawił się błysk. – Przypuszczam, że będzie pana czekać sowite wynagrodzenie.

Yuehowi z jednej strony absolutnie nie chciało się ruszać z tak wygodnego miejsca, z drugiej jednak tyle miał jeszcze do zrobienia, a wszystko jakże kosztowne... Nie ciągnęło go na wilgotny Kaladan, a poza tym często irytowało go, że musiał się odrywać od badań i zajmować nudnymi, chociaż skądinąd ważnymi z handlowego punktu widzenia, kwestiami technicznymi. Dlatego zmiana otoczenia mogłaby korzystnie wpłynąć na sytuację. Przypomniał sobie, jak bardzo uszkodzone jest ciało Rhombura, i rzekł:

– Nigdy nie próbowałem robić tak dużych protez. – Dotknął palcem wargi i ciągnął: – To poważne zadanie i być może musiałbym się na dłużej przenieść na Kaladan.

– Najpewniej, ale księżę Atryda zapłaci za wszystko – zapewnił Calimar. – Mówiąc szczerze, nie możemy sobie pozwolić na przepuszczenie takiej okazji.

Główna sala Zamku Kaladan wydawała się zbyt ogromna, podobnie jak tron, z którego Paulus Atryda przez tak wiele lat doradzał swym poddanym i rozsądzał spory. Leto nie wiedział, czym zapełnić pustkę na zewnątrz i wewnątrz siebie. Robił już jednak postępy – w końcu zdecydował się opuścić swą samotnię.

– Duncan Idaho przekazał mi zaskakującą informację, Tessjo. – Stała przed nim wyprostowana, z krótko przyciętymi jasnobrązowymi włosami. – To ty zorganizowałaś przyjazd doktora Suk? Specjalisty od cyborgów?

Tessja przestąpiła z nogi na nogę i przytaknęła, ale ani na chwilę nie spuściła wzroku.

– Polecieś, abym wykorzystała każdą możliwość udzielenia mu jakiejś pomocy, tak więc postąpiłam. To dla Rhombura jedyna szansa. – Patrzyła Letu prosto w oczy. – Czyżbyś chciał mu jej odmówić?

Stojący nieco z boku Duncan Idaho, nowo mianowany mistrz miecza w czarnoczerwonym uniformie Atrydów, zmarszczył brwi.

– Jak mogłaś wystąpić w imieniu księcia i obiecywać coś bez porozumienia z nim? Jesteś



tylko konkubina...

– Książę zlecił mi podjęcie wszelkich możliwych kroków – nie dała mu dokończyć Tessja i zwróciła się do Leta: – Czy wolisz zostawić Rhombura w tym stanie wegetacji? Czy może raczej powinniśmy zwrócić się do Tleilaxan, aby wyhodowali jego brakujące organy? Rhombur wolałby umrzeć, gdyby mógł wybierać. A cyborgiczne odkrycia doktora Yueha otwierają inną możliwość.

Leto pokiwał głową, chociaż zgrozą przejmowała go myśl, jak wielką część ciała jego przyjaciela trzeba będzie zastąpić sztucznymi organami.

– Kiedy ma się zjawić ten lekarz? – spytał.

– Za miesiąc. Rhombur z pewnością do tego czasu przeżyje, a doktor Yueh przygotowuje nieodzowne komponenty.

Leto odetchnął głęboko. Ojciec zawsze powtarzał mu, że władca musi panować nad sobą i wydarzeniami, a przynajmniej sprawiać takie wrażenie. Tessja pod wpływem impulsu być może posunęła się odrobinę za daleko, występując w jego imieniu, i oburzenie Duncana było uzasadnione, z drugiej jednak strony, czyż poskapiłby czegokolwiek, kiedy chodziło o możliwość poprawy stanu Rhombura?

– Są jednak także polityczne implikacje tej sprawy – odezwał się Duncan. – Należy pamiętać, panie, że Richesowie i Verniusowie od bardzo dawna odnoszą się do siebie niechętnie. Może kryje się za tą ofertą jakiś spisek.

– Moja matka jest z domu Richese – przypomniał Leto – więc i ja jestem z nimi spokrewniony. Hrabia Ilban, nawiasem mówiąc tylko figurant, nie będzie śmiał zdrzeć z rodem Atrydów.

Duncana nadal trapiły wątpliwości.

– Cyborgi to twory bardzo skomplikowane i trudno wykryć ich tajemnicze funkcje.

Tessja pozostawała niewzruszona.

– Ponieważ nie chodzi o odtworzenie ludzkiego mózgu, nie mamy się czego obawiać.

– Powody do obaw zawsze istnieją – mruknął Duncan, przypominając sobie zdradziecki atak na Ginaz. Jego podejrzliwość i ostrożność przypominały Thufira Hawata, który nie powrócił jeszcze z misji do Bene Tleilax. – Fanatycy nigdy nie postępują racjonalnie.

Leto, lekko skrzywiony z bólu, podniósł rękę, uciszając Duncana.

– Dość już. Nie ma takich kosztów, których nie chcielibyśmy ponieść, jeśli tylko miałyby to pomóc Rhomburowi.

Było pochmurne popołudnie, a Leto usiłował nadrobić spowodowane wypadkiem zaległości związane z codziennymi sprawami Kaladanu. Dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, ile kłopotów zdejmowała z niego Kailea nawet wtedy, gdy ich stosunki układały się bardzo niedobrze. Westchnął i powrócił do sprawozdań, raportów i wykazów.

Zameldowano przybycie Thufira Hawata, który właśnie wrócił ze swej misji. Po chwili

mentat stanął w drzwiach. Chmurny podszedł do stołu, położył na nim cylinder przesyłkowy i cofnął się o krok.

– To od Tleilaxan, Wasza Wysokość. Ich warunki.

Leto sięgnął po pojemnik, nie spuszczając wzroku z Thufira, usiłował bowiem wyczytać coś z jego twarzy, ta jednak nie wyrażała żadnych emocji. Otworzył wieko i wysunął na zewnątrz arkusz brązowego papieru tak cienkiego, jakby został zrobiony z ludzkiej skóry. Zaczął czytać.

„Wiadomość dla Leta Atrydy: po twym zdradzieckim ataku na nasze transportowce i chytrej kpinie ze sprawiedliwości, Bene Tleilax cierpliwie czekali na okazję do odwetu”.

Czuł, jak jego oddech przyspiesza i potnieją dłonie. Znał argumenty Hawata przeciw poinformowaniu Tleilaxan o tym, kto naprawdę ich zaatakował. Gdyby rozeszła się wieść o niebezpiecznej broni, ta mogłaby się dostać w niepowołane ręce. Na razie najbezpieczniej było, gdy szczegóły znały tylko Bene Gesserit, które same nie miały żadnych aspiracji militarnych. Bez dowodów natomiast Tleilaxanie nigdy mu nie uwierzą.

„Możemy przywrócić ci syna, musisz jednak za to zapłacić, ale nie w solarisach ani w przyprawie. Będziesz musiał nam wydać Rhombura Verniusa, który będąc ostatnim przedstawicielem rodu, jest jedynym zagrożeniem dla naszej władzy na Xuttuh”.

– Nie – szepnął ze zgrozą Leto. Hawat trwał niczym kamienny posąg. Książkę czytał dalej.

„Zapewniamy niniejszym i gwarantujemy, że Rhombur Vernius nie dozna z naszej strony żadnych fizycznych szkód. Decyzja należy do ciebie. Tylko w ten sposób możesz odzyskać syna”.

Dopiero kiedy Leto skończył czytać, Hawat dał wyraz swemu oburzeniu.

– Właśnie czegoś takiego należało oczekiwać, o czym zresztą uprzedzałem.

Leto starannie rozłożył na blacie papier i powiedział cicho:

– Pozwól, Thufirze, muszę wszystko przemyśleć.

– Przemyśleć? – Hawat popatrzył na niego ze zdumieniem. – Książkę, przecież to niemożliwe, żeby...

Widząc płomień w oczach Leta, urwał, skłonił się i wyszedł.

Leto wpatrywał się w złowrogie słowa tak długo, aż rozboleły go oczy. Atrydzi od wieków słynęli ze swego poszanowania honoru i sprawiedliwości, a tu na dodatek chodziło o wygnańca i gościa.

Ale Victor... Victor!

Czyż dla Rhombura śmierć nie była lepszym rozwiązaniem? Czy cyborgiczne protezy nie odbierały mu godności, czyniąc na pół maszyną? Zdawało się Letu, że staje na skraju bezdennej przepaści. Jak osądzi go historia, jeśli wyda przyjaciela jego zaprzysięgłym wrogom? Czyż nie okrzyknie go mianem Leto Zdrajca zamiast Leto Sprawiedliwy?

Przed jakimś straszliwym stanął wyborem. Po raz pierwszy poznawał naprawdę samotność władcy. W najtajniejszych zakątkach duszy toczył straszliwą walkę z samym sobą.

„Kto ważniejszy: najbliższy przyjaciel czy syn?”

*Jażń to tylko wysepka świadomości na ciemnym oceanie. Stanowimy zagadkę dla samych siebie.*

### ***z Podręcznika Mentata***

W swojej komnacie Jessika leżała na szerokim łóżku obok Leta i starała się odegnąć od niego nocne zmary. Na piersi i nogach należało dodać jeszcze kilka płatów neoskóry, aby blizny zupełnie zniknęły. Ciało bez wątpienia zdrowiało, inaczej jednak było z duszą, udreńczoną przez straszliwą decyzję, którą musiał podjąć.

Przyjaciel czy syn?

Była przekonana, że codzienny widok gholi Victora tylko pogłębi ból Leta, nie wiedziała jednak, jak mu to powiedzieć. Szukała właściwych słów i czekała na odpowiednią chwilę.

Leto odchylił się, aby móc spojrzeć jej w oczy.

– Duncan ma do mnie pretensje, tak samo Thufir, pewnie także Gurney. Nic, tylko same pretensje dookoła.

– Są twoimi doradcami, mój panie – powiedziała. – Oczekuje się od nich, że będą wyrażali swe opinie.

– W tej kwestii muszą je zachować dla siebie, gdyż zadecydować muszę sam. – Twarz Leta pociemniała. – Przecież nie mogę postąpić inaczej, nie mam żadnego wyboru. Tylko oni, Bene Tleilax, mogą tego dokonać... A ja tak strasznie tęsknię za Victorem. – W jego oczach pojawił się błagalny wyraz. – Jakże miałbym powiedzieć nie, kiedy mogą przywrócić mi Victora?

– Za cenę Rhombura, a niewykluczone, że także twojej duszy. Obawiam się, że poświęcenie przyjaciela w imię niepewnej, być może fałszywej obietnicy, całkowicie cię załamie. Nie rób tego, Leto, proszę.

– Rhombur powinien zginąć w tym wypadku.

– Być może, ale wyrok należy do Boga, nie do ciebie. Na razie żyje i ma prawo do życia.

Leto pokręcił głową.

– Nigdy się z tego nie wygrzebie. Przenigdy.

– Cyborgi doktora Yueha dają mu jakąś szansę.

Popatrzył na nią bezradnie.

– A jeśli te automaty nie zadziałają? A jeśli Rhombur się na nie nie zgodzi? Może jednak lepiej dać mu umrzeć.

– Jeśli wydasz go Tleilaxanom, nie umrze śmiercią naturalną. – Umilkła na chwilę, a

potem ciągnęła łagodnie: – Może powinieneś go raz jeszcze zobaczyć. Stań nad nim, spójrz, i wsłuchaj się w głos serca. Popatrz Tessji w oczy. A na końcu porozmawiaj z Thufirem i Duncanem.

– Nie muszę się tłumaczyć przed nimi ani przed nikim innym. Jestem Leto Atryda, książe, głowa rodu!

– Zgoda, ale jesteś także po prostu człowiekiem. – Jessika postarała się zapanować nad swymi emocjami. Pogłaskała Leta po czarnej czuprynie. – Wiem, że powoduje tobą miłość, ale jej podszepty są niekiedy fałszywe. Potrafi zaślepić tak, że nie widzimy prawdy. Wstąpiłeś na złą drogę i wiesz o tym w głębi serca. – Odwrócił głowę, lecz mimo to powiedziała jeszcze: – Nie można umarłych kochać bardziej od żywych.

Skupiony jak zawsze Thufir Hawat towarzyszył Letu, gdy ten udał się zobaczyć korpus Rhombura spowity płataniną rur i przewodów. W pomieszczeniu nieustannie słychać było pomruk aparatów; w powietrzu wisiała ciężka woń środków chemicznych.

– Mój książe – rzekł Hawat ściszym głosem – doprowadzą cię do ruiny. Przystanie na propozycję Tleilaxan to akt zdrady, czyn prawdziwie haniebny.

Leto skrzyżował ręce na piersi i popatrzył długo na mentata.

– Thufirze, ty, który służysz już trzeciej generacji Atrydów, naprawdę chcesz podawać w wątpliwość moje poczucie honoru?

Hawat nie ustępował.

– Nasi medycy usiłują uzyskać dostęp do mózgu Rhombura, a jeśli się to uda, będzie ci mógł sam powiedzieć...

– To ja mam podjąć decyzję, Thufirze. – Oczy Leta były ciemniejsze niż kiedykolwiek. – Czy postąpisz zgodnie z moim życzeniem, czy mam się postarać o innego mentata?

– Możesz liczyć na moją lojalność, książe – powiedział Hawat i skłonił się. – Lepiej jednak dać Rhomburowi skonać teraz, niż wydawać go w ręce Tleilaxan.

Zgodnie z wcześniejszymi uzgodnieniami, niedługo miała się zjawić na Kaladanie ekipa Yueha, aby rozpocząć stopniowe uzupełnienia brakujących części ciała Rhombura cyborgicznymi protezami. Korzystając z najnowszych osiągnięć, doktor Suk miał zespolić w jedno żywe tkanki i części mechaniczne, a poprzez takie połączenie nowego ze starym Rhombur odzyskałby wszystkie funkcje cielesne. Doktor Yueh miał wystąpić w roli Boga.

„W roli Boga!”

Nie inaczej postępowali Bene Tleilax. Imając się innych sposobów, także oni przywracali to, co utracone, powoływali do życia to, co umarłe. Wystarczyło tylko kilka zachowanych komórek...

Z ciężkim westchnieniem Leto podszedł do zasobnika i spojrzał na owinięte bandażami, nadpalone ciało przyjaciela. Sięgnął do szklanej pokrywy, przesunął palcem po jej gładkiej powierzchni, czując zarazem trwogę i fascynację. Po policzkach spływały mu łzy.

„Cyborg”. Czy Rhombur znienawidzi go za to, czy też będzie wdzięczny?

Ciało było tak pokiereszowane, że nie przypominało człowieka; spod przewodów i opatrunków wзираły żywe tkanki. Zniszczona została połowa twarzy i mózgu, pozostało nie naruszone jedno oko, ale chociaż było otwarte, czy można było powiedzieć, że spogląda?

„Nie można umarłych kochać bardziej od żywych”.

Wpatrzył się w kikut dłoni i miejsce, gdzie obrączka stopiła się z ciałem.

– Nie opuszczę cię, przyjacielu – szepnął. – Na to możesz liczyć.

W pomieszczeniach gwardii książęcej dwóch mężczyzn siedziało przy prostym drewnianym stole i co jakiś czas nalewało sobie z bukłaka wina z ryżu pundí. Chociaż Duncan Idaho i Gurney Halleck poznali się niedawno, rozmawiali ze sobą jak starzy przyjaciele. Wiele ich łączyło, a przede wszystkim nienawiść do Harkonnenów... i niezłomna miłość do księcia Leto.

– Bardzo się o niego martwię w związku z tym gholą. – Duncan pokręcił głową. – Nie ufam im ani odrobinę.

– Ani ja, chłopcze.

– Ta blada wywłoka będzie tylko przypominać księciu jego najstraszliwsze przeżycie, a nie zachowa żadnych dawnych wspomnień.

Gurney pociągnął długi łyk, potem odstawił puchar i sięgnął po balisetę.

– I jeszcze za jaką cenę. Trzeba poświęcić Rhombura! Ale Leto nie chce nikogo słuchać.

– Wydaje się teraz zupełnie inną osobą.

Gurney przestał brzdąkać.

– A kim będzie, kiedy przeminą już te wszystkie cierpienia?

Mistrz Tleilaxan Zaaf przybył na Kaladan w towarzystwie dwóch strażników wyposażonych w jakąś tajemną broń. Pewien siebie wkroczył dumnie do wielkiej sali zamkowej i spojrzał śmiało na o wiele od niego wyższego Hawata.

– Chciałem zabrać ciało chłopaka, aby umieścić je w zbiornikach aksolotlowych – powiedział Zaaf, absolutnie pewien, że Leto musi przystać na jego propozycję. – Mam też ze sobą wszystkie urządzenia konieczne do przetransportowania zasobnika z ciałem Rhombura Verniusa do naszych laboratoriów na Tleilaxie.

Wzgardliwy grymas na wargach Zaafa upewnił Hawata w tym, że Tleilaxanie chcą poddać Rhombura swoim wstrętnym eksperymentom. Z jego tkanek wyhodują klony, które potem być może poddadzą torturom. Postanowienie Leto będzie miało kiedyś straszliwe dla niego konsekwencje. Kiedy poniewczasie dowie się, na co skazał szczątki swego przyjaciela...

Mistrz był tak pewny siebie, że sformułował coś na podobieństwo pogroźki:

– Nasi specjaliści mogą dojść do ciekawych rozwiązań, wykorzystując zasoby genetyczne

Atrydów i Verniusów. Jakież się tutaj kryją możliwości...

– Ja stanowczo odradzam księciu zgodę na waszą ofertę – oznajmił sztywno Hawat, chociaż wiedział, że w ten sposób ściąga na siebie gniew Leta. Pamiętał jednak dobrze słowa Paulusa: „Każdy, włącznie z księciem, musi sam decydować, co służy dobru rodu Atrydów”.

Jeśli zajdzie taka potrzeba, Hawat zrezygnuje ze służby, chociaż tyle lat swego życia jej poświęcił.

W tym momencie do sali wszedł Leto, i to krokiem tak energicznym, jakiego Hawat nie widział u niego już od dawna. Towarzyszyli mu Jessika i Gurney Halleck. Leto spojrział na Hawata wzrokiem pełnym determinacji, a następnie nieznacznym gestem głowy odpowiedział na formalny ukłon Zaafa.

– Księżę – rzekł Mistrz Tleilaxan – zjawiam się, abyśmy zrealizowali umowę, która pozwoli zasypać przepaść między Bene Tleilax a rodem Atrydów.

Leto spojrział z góry na karzelka.

– Obawiam się, że do tego może nigdy nie dojść – rzekł wyniośle.

Hawat sprężył się cały w sobie, kiedy Leto postąpił w kierunku Zaafa; Gurney gotów był do ataku. Tleilaxańska eskorta także zastygła w napięciu.

Zaaf zmarszczył brwi.

– Czyżbyś zamierzał złamać umowę?

– Jakże mam łamać coś, co nie zostało zawarte? Zmieniłem zdanie, uznałem, że żądacie zbyt wysokiej ceny. Zbyt wysokiej dla Rhombura, Victora, dla mojego sumienia. Przybyłeś zatem na próżno. – Księżę mówił bez najmniejszego wahania w głosie. – Nie wytworzycie gholi z komórek mego syna ani nie otrzymacie ciała mego przyjaciela, Rhombura Verniusa.

Thufir, Gurney i Jessika patrzyli oniemiała na Leta, podczas gdy ten ciągnął:

– Nadal chcecie zemścić się na mnie, chociaż Przewód Konfiskacyjny wykazał moją niewinność. Nie zważacie na to, że na szale rzuciłem cały swój majątek i los, ani na to, że przysiągłem, iż to nie ja zaatakowałem wasze statki we wnętrzu liniowca, a słowo Atrydy więcej jest warte od wszystkich praw Cesarstwa. Cóż, nie wierząc mi, dowodzicie tylko własnej głupoty. – Oburzony Zaaf chciał zaprotestować, ale Leto nie dopuścił go do słowa. – Wiem, w jaki sposób doszło do tej napaści, wiem, kto to naprawdę zrobił. Ponieważ jednak nie mam niepodważalnych dowodów, ujawnienie wam tej prawdy nic nie da. Was zresztą nie interesuje prawda, a tylko wydarcie mi tego, co uznaliście za swoją cenę. A ja oznajmiam: nie zapłacę jej!

Na znak dany przez Hawata strażnicy Zaafa otoczeni zostali przez gwardzistów, aby nie mogli wykonać żadnego zdradzieckiego ruchu. Sam mentat i Gurney natychmiast stanęli po obu stronach Zaafa.

– Niepotrzebne nam usługi Bene Tleilax. Ani teraz, ani kiedykolwiek indziej – powiedział Leto, po czym obrócił się, szorstko go odprawiając. – Wracajcie na Tleilax.

Hawat nie posiadał się z radości, eskortując rozwścieczonego Mistrza Tleilaxan do

wyjścia.

*Człowiek jest wstrząśnięty, kiedy uświadamia sobie swoją śmiertelność. Inaczej rzecz się ma z gatunkami. Te nie muszą umierać.*

**Pardot Kynes,**  
*ABC Arrakis*

Spośród wszystkich stacji pokazowych, jakie Pardot Kynes założył, aby spotęgować pośród Wolan gotowość do wspierania jego dalekosiężnego projektu, najbardziej lubił zamkniętą oranżerię w Gipsowej Kotlinie. Postanowił zobaczyć obiekt swej dumy w towarzystwie Ommuna i piętnastu karnych Wolan.

Wizyta ta nie wynikała z harmonogramu inspekcji, Pardot po prostu zapragnął zobaczyć jaskinię, gdzie płynie żywa woda, latają kolibry, z sufitu ściekają krople, gdzie rosną świeże owoce i piękne kwiaty. Tam ucieleśniała się przyszłość Diuny.

Grupa wyruszyła na piaskalu na wschód, poza stanowiącą północną granicę obszarów zamieszkanym linię sześćdziesięciu stopni. Przez wszystkie lata pobytu Kynes nie nauczył się dosiadać piaskala, więc Ommun przygotował dla niego palankin. Wieziono go niczym staruszkę, nie czuł się jednak zakłopotany, albowiem nie musiał dowodzić swojej wartości.

Dawno temu, kiedy Liet miał zaledwie rok, Pardot pojechał wraz z nim i Frietą do Gipsowej Kotliny. Frietę bardzo trudno było czymkolwiek zaskoczyć, w jaskini jednak stanęła oniemiała na widok gęstego listowia, ptaków i kwiatów. Zanim to nastąpiło, na stromym podejściu skalnym zostali zaatakowani przez patrol Harkonnenów i tylko zimna krew Friety oraz jej wolańskie instynkty ocaliły życie mężowi i synowi.

Kynes otrząsnął się z natłoku obrazów i usiłował sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek podziękował swej żonie.

Od dnia ślubu Lieta z Faroulą, kiedy syn wytknął mu obojętność i oschłość, Pardot bardzo wiele zastanawiał się nad tym, czego dokonał w życiu. Wspominał lata spędzone na Salusa Secundzie i Bela Tegeuse, zaskakujące wezwanie na dwór Elrooda na Kaitain, potem dwie dekady pełnienia funkcji Cesarskiego Planetologa...

Cały czas szukał wyjaśnień, świadomy niesłuchanie złożonej materii otoczenia, widzący, jak pojedyncze elementy: woda, słońce, ruch wiatrów, wiążą się z życiem gleby, grzybów, robaków, owadów... a te z losami ludzkimi. Potrafił dostrzec – przynajmniej w najogólniejszych zarysach – jak te składniki nawzajem się zazębiały i dlatego należał do najlepszych w Cesarstwie planetologów, o którym niektórzy powiadali, że jak nikt inny potrafi „czytać światy”.

A przecież cała ta wrażliwość nie zapobiegła temu, że siebie samego traktował jak zewnętrznego, w nic nie uwikłanego obserwatora. Jakże mógł nie zauważać skomplikowanej sieci stosunków i zależności, która oplatała każdą planetę, każdą społeczność? Wcale nie był neutralnym elementem, sam bowiem stanowił składnik owej sieci. Nie ma żadnego punktu zewnętrznego względem wszechświata: naukowcy od tysięcy już lat wiedzieli, że sam akt obserwacji zmienia obserwowany obiekt, i bez wątplenia należało stwierdzić, że obecność Pardota Kynesa na Diunie miała wpływ na jego losy.

Jakże mógł nie uświadamiać sobie tego?

Ommun pomógł mu zsiąść z piaskala, a potem wszyscy ruszyli w kierunku widocznej w oddali czarno-zielonej grani górującej nad wejściem do jaskini. Pardot starał się naśladować nierytmiczny krok Wolan i szybko rozboleły go od tego nogi. W przeciwieństwie do syna nigdy nie zostanie prawdziwym Wolaninem. Liet przejął od ojca jego bogatą wiedzę, ale nabył też umiejętności mieszkańców pustyni. Znakomicie potrafił pogodzić ze sobą oba światy i Pardot mógł tylko żałować, że jego kontakty z synem nie układają się najlepiej.

Ommun zaczął podchodzić stromym skalnym stokiem; Pardot nie widział żadnej wyraźnej drogi, dlatego starał się umieszczać stopy dokładnie w tych samych miejscach, na tych samych stopniach, co jego poprzednik.

– Szybciej, Ummo Kynes – ponaglił Ommun, wyciągając rękę, aby pomóc w nieco trudniejszym miejscu. – Nie wolno zbyt długo marudzić na otwartej przestrzeni.

Dzień był gorący, słońce skrzyło się na skałach, a Pardot przypomniał sobie, jak kiedyś rozpaczliwie rozglądał się dookoła w poszukiwaniu schronienia przed patrolem Harkonnenów. Ile to było lat temu?

Weszli na szeroką półkę, skręcili za skalny załom i wreszcie Pardot zobaczył zakamuflowaną grodz wejściową, która zatrzymywała wilgoć wewnątrz.

W środku zaraz zatrzymali się, przytupując butami temag i otrzepując destylozon z pustynnego pyłu. Podobnie jak Wolanie, także planetolog wydobyl zatyczki nosowe i zaciągnął się powietrzem bogatym w wilgoć i zapach roślin. Kynes zastygł na dłuższą chwilę nieruchomo, rozkoszując się bujnymi aromatami.

Czterech z szesnastu Wolan nigdy tu nie było; ruszyli w głąb bojaźliwie niczym pielgrzymi wstępujący do z dawna wymarzonej świątyni. Ommun rozglądał się dookoła dumny, że w tym wielkim przedsięwzięciu uczestniczy od samego początku. Czuwał nad Kyneselem niczym niańka, dbając, aby zawsze miał to, co mu w danej chwili było potrzebne.

– Tych czterech wymieni poprzednią ekipę – powiedział Ommun. – Będą teraz mniejsze, tak bowiem, jak zapowiedziałeś, to miejsce samo już zaczyna dbać o swe potrzeby. Powstał ekosystem i znacznie mniej teraz wymaga naszej pracy.

Kynes uśmiechnął się rozpromieniony.

– Tak właśnie być powinno. Kiedyś cała Diuna będzie takim układem samozachowania i samoregulacji. – Nagle parsknął śmiechem. – Ale czym się wtedy zajmiecie wy, Wolanie?



Nozdrza Ommuna, odkształcone od częstego używania zatyczek nosowych, poruszyły się nerwowo.

– Ummo Kynes, to jeszcze nie jest nasz świat. I nie będzie nasz tak długo, jak pozostaną tutaj Harkonnenowie.

Kynes zamrugnął i powoli przytaknął. On sam niewielką wagę przywiązywał do politycznego aspektu tego wielkiego procesu. Frapowały go problemy ekologiczne, a nie ludzkie, i to było z pewnością kolejnym bolesnym przeoczeniem. Jego syn miał rację. Wielki Pardot Kynes miał bardzo zawężone pole widzenia, a chociaż spoglądał daleko w przyszłość, zaniedbywał alternatywne odnogi i różne mało go interesujące przeszkody.

Nie ulegało jednak wątpliwości, że dokonał wielkiego dzieła ekologicznego. To on był tym czynnikiem inicjującym, który uruchomił gigantyczną przemianę planety.

– Jakże chciałbym zobaczyć całą planetę opiętą siecią roślinności – powiedział, a Ommun przytaknął ze zrozumieniem. Wszystkie słowa Ummy Kynesa były ważne i godne zapamiętania.

Poszli w głąb, aby dokładniej przyjrzeć się ogrodom.

Wolanie wiedzieli już, co należy do ich obowiązków, i będą je wypełniać przez całe stulecia. Niewykluczone, że dzięki geriatrycznym zaletom przyprawy najmłodszy z nich zobaczą, jak plan zaczyna się spełniać nie tylko w wydzielonej oazie jaskini, lecz na otwartej przestrzeni. Kynesowi musiały wystarczyć same tylko zapowiedzi.

Oranżeria w Gipsowej Kotlinie była metaforą całej planety. Jej wizja tak zapuściła korzenie w świadomości Wolan, że także bez niego będą ją dalej realizować. Urzekło ich marzenie, a marzenia nie umierają.

Odtąd Kynes będzie się stawał postacią pomnikową, prorokiem, który zapowiedział ciąg wielkich wydarzeń. Uśmiechnął się pod nosem. Może nareszcie znajdzie więcej czasu dla otaczających go osób; po dwudziestu latach nareszcie postara się lepiej zrozumieć żonę, nawiązać bliższe kontakty z synem...

Uważnie przyjrzał się karłowatym cytrynom, limonkom i pomarańczom, zwanym tutaj portygulami. Ommun samodzielnie doglądał urządzeń irygacyjnych, stanu gleby, nowych sadzonek.

Pamiętał, jak pokazał Fricie portygule podczas jej pierwszej wizyty tutaj i jaka rozkosz pojawiła się na jej twarzy, gdy skosztowała owocu. Powtarzała potem, że było to jedno z najwspanialszych przeżyć w jej życiu. Pomyślał, że będzie musiał zabrać ze sobą kilka pomarańcz.

„Kiedy ostatni raz dałem jej jakiś prezent?”

Nie mógł sobie przypomnieć.

Ommun zatrzymał się przy wapiennej ścianie i obmacał ją. Była miękka i cudownie wilgotna, ale coś go zaniepokoiło, czujny wzrok przemknął po ścianach i stropie.

– Ummo Kynes – odezwał się – martwią mnie te pęknięcia. Nie wiem, czy ta jaskinia

nadal jest bezpieczna.

Obaj zadarli głowy i jakby dla potwierdzenia obaw Ommuna na ich oczach jedna ze szczelin posunęła się o kilka centymetrów.

– Masz rację. Wilgoć powoduje, że zmienia się wytrzymałość skały. Od ilu to już lat?

Planetolog zmarszczył brwi, Ommun zaś szybko porachował i powiedział:

– Dwudziestu, Ummo Kynes.

Znienacka powtórzyło się to w kilku miejscach i rozległo się głucho, jakby zwolnione stęknienie. Wołanie spojrzeli w popłochu na powałę, a potem na Kynesa, jak gdyby on mógł powstrzymać działanie sił przyrody.

– Musimy stąd natychmiast uciekać. – Ommun szarpnął planetologa za ramię. – Można tu będzie wrócić tylko wtedy, gdy będzie na pewno wiadomo, że nic nikomu nie grozi.

W skalnych głębinach rozległ się tym razem grzmot, ściana po lewej popękała w poprzek w kilku miejscach, a wydzielone w niej bloki z hukiem przesunęły się, szukając nowego punktu równowagi. Wszyscy skoczyli do wyjścia, Pardot jednak wyszarpnął się z uścisku Ommuna. Musiał przywieźć Fricie portygule, żeby chociaż w ten sposób odrobinę nadrobić lata zaniedbań i nieuwagi. Pospiesznie zerwał z drzewka kilka owoców i przytulił je do piersi, kiedy Ommun chwycił go mocnymi ramionami i siłą pociągnął do wyjścia. Planetolog uśmiechał się pod nosem, rad, że przynajmniej raz nie zapomniał o czymś, co nie miało ogólnoplanetarnego znaczenia.

Wiadomość przyniósł Lietowi Stilgar.

Faroula, mając przy sobie Lieta-chiha, zajęta była porządkowaniem słoików z ziołami, których nazbierało się sporo przez kilka lat. Sprawdziała, czy nie zwietrzały, i opatrywała je naklejkami. Na ławie obok Liet studiował wykradzony raport, na którym widniały wszystkie przyprawowe i militarne składy Harkonnenów.

Stilgar stanął w wejściu, wbił nieruchome spojrzenie w przeciwległą ścianę i czekał. Liet natychmiast poczuł, że stało się coś niedobrego. Dobrze poznał Stilgara podczas wspólnych wypadów przeciw Harkonnenom. Kiedy milczenie przeciągało się, Liet wolno powstał.

– Co się stało, Stil?

– Straszna wiadomość – powiedział, a wydawało się, że słowa niczym z ołowiu uderzają o ziemię. – Twój ojciec, Umma Kynes, zginął w jaskini w Gipsowej Kotlinie. On, Ommun i większość grupy, byli tam podczas tapnięcia jaskini. Cała góra się obsunęła.

Faroula straciła oddech, Liet przez dłuższą chwilę nie mógł wycisnąć z siebie ani słowa.

– To niemożliwe – wykrztusił wreszcie. – Miał jeszcze tyle pracy do wykonania. Musiał...

Jeden ze słoiczków poleciał na podłogę, stłukł się, a aromat sproszkowanych zielonych liści rozszedł się po całym pomieszczeniu.

– Umma Kynes umarł pośród roślin, tak jak marzył – wyszeptała.

– Właściwe zakończenie – dorzucił Stilgar.

Liet się nie odzywał. Słuchał słów Stilgara i żony, a w głowie kłębiło mu się od wspomnień; jedno wiedział na pewno: dzieło ojca musi być kontynuowane.

Stary planetolog dobrze wyszkolił swoich uczniów, a pieczę nad nimi roztoczy on, Liet-Kynes. Ze słów Farouli już można było odgadnąć, jak szybko rozwinie się pośród Wolan mit Ummy Kynesa, wzbogacany przez każdą kolejną opowieść.

„Właściwy koniec, istotnie”.

W uszach usłyszał głos ojca: „Symbolika wiary może okazać się trwalsza od niej samej”.

– Nie mogliśmy zachować dla plemienia wody zmarłych – rzekł Stilgar. – Musieliśmy ich zostawić w tym skalnym grobowcu.

– Gipsową Kotlinę trzeba uznać za świątynię – powiedziała Faroula. – Umma Kynes i jego towarzysze oddali swe wody za planetę.

Stilgar wpatrzył się w Lieta.

– Nie pozwolimy na to, by wizja Ummy umarła razem z nim. Ty teraz musisz przejąć jego obowiązki, Liet. Wolanie będą ci posłuszni i wykonają twoje polecenia.

Liet-Kynes przytaknął w roztargnieniu, zastanawiał się bowiem, czy poinformowano już matkę. Walcząc z wewnętrzną słabością, wyprostował plecy. W istocie spadały na niego większe powinności niż tylko podtrzymywanie w wyobraźni Wolan wizji gigantycznej przemiany. Ojciec już dawno wystosował odpowiednie dokumenty, które Szaddam IV zaaprobował bez komentarza.

– Teraz ja jestem Cesarskim Planetologiem – oznajmił – i jako taki oświadczam, że program transformacji Diuny będzie kontynuowany.

*Kiedy człowiek staje w obliczu decyzji o życiu i śmierci, musi być stanowczy, inaczej bowiem ugrzęźnie w konflikcie przeciwstawnych racji.*

**z *W domu mojego ojca*  
pióra księżniczki Irulany**

Posąg księcia Miklosa Atrydy, pradziadka Leta po mieczu, naznaczony czasem i pamiątkami ptasiej obecności, królował pośrodku dziedzińca należącego do szpitala miejskiego w Kala. Przechodząc obok rzeźby przodka, którego nie miał okazji poznać, Leto skłonił głowę z uszanowaniem, a potem pobiegł po marmurowych stopniach.

Lekko wprawdzie utykał, ale wydobrzył już po katastrofie, nie tylko fizycznie, ale i duchowo. Nie rozpoczynał każdego dnia od spojrzenia w bezdenną przepaść rozpacz. A teraz gnał go prawdziwy entuzjizm.

Rhombur się przebudził!

Informację otrzymał od swego osobistego lekarza, któremu zlecił opiekę nad księciem rodu Verniusów, zanim przybędzie ekipa doktora Yueha.

– Nawiązaliśmy kontakt z księciem! – oznajmił podniecony.

Na progu sali, w której zasobnik nadal był otoczony płataniną przewodów i połączeń, zatrzymał go lekarz.

– Mój panie – powiedział – jak dobrze wiesz, prawa strona głowy pacjenta została poważnie uszkodzona, ale mózg ludzki to osobliwy instrument. Mózdzek przejął już znaczną część funkcji kontrolnych, co powinno bardzo ułatwić założenie protez cyborgicznych.

Tessja pochylała się nad zasobnikiem i mówiła właśnie:

– Kocham cię, Rhomburze, i nigdy nie wolno ci w to wątpić.

Z głośnika popłynął dziwny, mechaniczny głos:

– Ja... też... cię... kocham. I... zawsze... będę.

Słowa były wyraźne, ale napływały oddzielone wyraźnymi przerwami, jakby Rhombur każde musiał mozolnie dobierać.

Leto zastygł oniemiały, a w głowie zahuczała myśl: „I ja chciałem go wydać Tleilaxanom na męczarnie?”

Zasobnik był odkryty, pomiędzy rurkami i plastikowymi łączami widać było udęczone ciało Rhombura.

– Początkowo – cicho wyjaśnił lekarz – mogliśmy się z nim porozumiewać tylko za pomocą alfabetu ixiańskiego: różne układy bodźców i przerw. Teraz jednak udało nam się podłączyć syntetyzator do ośrodka mowy.

W oku Rhombura widać teraz było przytomność i uwagę. Leto wpatrywał się w te trudne do rozpoznania szczątki twarzy i nie wiedział, co rzec.

„O czym myślisz? Co wie o swoim stanie?”

Z głośnika zaczęły się sączyć słowa:

– Leto... przyjacielu... jak... w... tym... roku... klejnoty... koralowe... Czy... już... nurkowałeś...?

Leto nagle poczuł ogromną ulgę, zaśmiał się i powiedział:

– Znakomicie, a z nurkowaniem poczekam chyba na ciebie. – I nagle w oczach pokazały mu się łzy. – Nie, przepraszam, Rhomburze. Zasługujesz na prawdę.

Przez kadłub przebiegło lekkie drżenie, a z głośnika rozległa się odpowiedź:

– Jak... już... stanę... się... cyborgiem... zamówimy... odpowiedni... kostium... Tylko... musisz... trochę... poczekać.

Rhombur najwidoczniej wiedział, co się z nim stało, a nawet zaakceptował osobliwe protezy. Po śmierci Starego Księcia to niezmałony optymizm Rhombura i jego pogoda ducha były wielką pomocą dla Leta. Teraz miał okazję się odwdziaczyć.

– Doprawdy, zdumiewające. – Lekarz pokręcił głową.

Oko Rhombura wpatrywało się w Leta.

– Chcę... piwa... Harkonnenów...

Leto uśmiechnął się, ale Tessja zagryzła wargi, dobrze bowiem wiedziała, ile cierpień fizycznych i duchowych będzie musiał jeszcze znieść Rhombur. Ten zaś oznajmił, robiąc odrobinę krótsze przerwy między słowami:

– Nie... martw się... o mnie... Ja... nie mogę... się... doczekać... tych... protez. – Leto zrobił krok do przodu. – Pamiętaj... że jestem... z Ix... Mnie... automaty... niestraszne.

Wydawało się to tak fantastyczne, że aż niemożliwe, a przecież oto się dokonywało. Przez całe stulecia próby z cyborgami nie udawały się, gdyż organizm odrzucał syntetyczne organy. Psychologowie twierdzili, że to mózg nie zgadza się na współfunkcjonowanie z mechanizmami, a głęboko zakorzeniona trwoga sięgała jeszcze czasów sprzed Butleryjskiego Dżihadu. Być może doktorowi Suk udało się pokonać ten problem, ale to tylko czas mógł pokazać.

Nawet jeśli wszystko się powiedzie z cyborgami, Rhombur nie będzie bardziej sprawny od ixiańskich manekinów treningowych. Nigdy nie uda się odtworzyć wszystkich połączeń nerwowych. Czyż wobec takiej fundamentalnej niesprawności Rhombura Tessja nie porzuci go i nie powróci do Bene Gesserit?

W młodości Leto wielokrotnie słuchał opowieści Paulusa i jego weteranów, jakich to walecznych cudów potrafili dokonywać straszliwie poranieni żołnierze, ale Leto nigdy dotąd nie był świadkiem tak dramatycznych dowodów wielkości ludzkiego ducha. W tej chwili był zdania, że nie zna osoby dzielniejszej od Rhombura.

Dwa tygodnie później zjawiał się doktor Wellington Yueh, któremu towarzyszyła ekipa dwudziestu czterech osób obu płci. Obok promu pasażerskiego były też dwie lichtugi pełne sprzętu medycznego i aparatury technicznej.

Ludzie Leta pomagali w rozładunku, sam Yueh ledwie znalazł czas na przywitanie się, gdyż osobiście czuwał nad tym, aby nie uszkodzono skomplikowanych i delikatnych urządzeń, które już wkrótce miały się stać częściami ciała Rhombura.

Kiedy wyładunek był już zakończony, Yueh chciał jak najszybciej zobaczyć swego pacjenta. Ledwie weszli do budynku szpitalnego, doktor zatrzymał się i spojrzał na Leta:

– Będzie miał znowu ciało kompletne i sprawne, szlachetny panie, chociaż trochę czasu to potrwa, zanim do niego przywyknie.

– Proszę się nie obawiać, doktorze, Rhombur wykona wszystkie pańskie polecenia.

W sali zastali Tessję, która na chwilę nawet nie odstępowała Rhombura. Yueh natychmiast zaczął się uwijać wokół zasobnika, kontrolując połączenia i zagłębiając się w medyczne raporty. Potem spojrzał na jedyne oko błyszczące w zmasakrowanej twarzy i powiedział, gładząc swój długi wąs:

– Rhomburze Vernius, proszę się przygotować, jutro chcę przeprowadzić pierwszą operację.

Z głośnika popłynął mniej poszatkowany niż poprzednio głos Rhombura:

– Nie mogę się... doczekać... uściśnięcia pańskiej... ręki.

*Miłość to pradawna siła, niegdyś bardzo użyteczna, ale dziś już niekonieczna do przetrwania gatunku.*

### **aksjomat Bene Gesserit**

Z krawędzi skalnej Leto patrzył, jak jego gwardziści zajmują wskazane im przez niego pozycje. Nie wiedzieli, dlaczego im to polecił. Mając na uwadze jego stan psychiczny, Gurney, Thufir i Duncan obserwowali go czujni niczym atrydzkie jastrzębie, on jednak wiedział, jak ich zwieść. Na bezchmurnym niebie wysoko stało słońce, ale tutaj znajdował się w cieniu. Miał na sobie białą koszulę z krótkimi rękawami i niebieskie spodnie, ubiór w niczym nie zdradzający jego rangi. „Może chociaż przez chwilę będę po prostu człowiekiem” – myślał.

Po chwili zjawiła się Jessika w krótkiej sukience.

– O czym myślisz, mój panie?

Twarz miała zatroskaną, jak gdyby obawiała się, że wzorem Kailei może oddać samobójczy skok. Może to Hawat kazał jej go pilnować. Widok gwardzistów tam w dole wywołał lekki uśmiech na jego twarzy: gdyby skoczył, z pewnością usiłowałiby go złapać.

– Muszę wyszukiwać im jakieś zajęcia, aby się uwolnić od ich towarzystwa. – Popatrzył w jej pełną wyrozumiałości twarz. – Dość już mam tych nieustannych porad, wypytywań, nacisków. Muszę trochę zostać sam z sobą.

Dzięki szkoleniu Bene Gesserit Jessika nie dała się tak łatwo oszukać, a on dobrze o tym wiedział.

– Jestem po prostu tym zmęczony. Muszę uciec gdzieś, gdzie znajdę chwilę spokoju.

Dotknęła jego ramienia.

– Jeśli ich czymś nie zajmę – dodał – będą nalegać, żeby przysłać mi świtę ze straży, aby mi towarzyszyła. – W dole żołnierze zaczęli ćwiczyć pod dowództwem Duncana wykorzystującego swą wiedzę zdobytą na Ginazie. – Może teraz zyskam chwilę spokoju.

– A gdzie się udamy? – spytała, kiedy zaś zmarszczył z niechęcią brwi, dorzuciła: – Niestety, mój panie, niemożliwe, bym zgodziła się zostawić cię całkowicie bez opieki, więc decyduj: albo ja, albo eskorta gwardii.

Rozłożył bezradnie ręce i wskazał na hangary na skraju lądowiska.

– Wolę twoje towarzystwo.

Poszli przez ściętą trawę. Bez trudu wyczuwała, jak wiele jeszcze w Letu pozostało bólu.

Już sam fakt, że w ogóle się zastanawiał, czy przyjąć ofertę Tleilaxan, świadczył o tym, w jakim był stanie. Niemniej jednak podjął słuszną decyzję.

Może więc wszystko było już na dobrej drodze.

W hangarze było wiele ornitopterów, niektóre stały z otwartymi silnikami, a mechanicy na platformach odciążaczowych uwijali się wokół nich. Leto bez chwili wahania ruszył w kierunku maszyny o szmaragdowym kadłubie i z czerwonymi jastrzębiami Atrydów na skrzydłach. Miała niskie podwozie, a dwa siedzenia w kokpicie były ustawione jedno za drugim, a nie – jak było przyjęte – jedno obok drugiego.

Mężczyzna w szarym kombinezonie na widok księcia wyprostował się znad silnika. Miał małą twarz, okoloną szpakowatą brodą, ale bez wąsów.

– Jeszcze tylko kilka ostatnich poprawek, Wasza Wysokość – zameldował służbiście.

– Dzięki, Keno – powiedział Leto i postukał w kadłub. – To ulubiona maszyna mego ojca. Nazwał ją „Smaragdowym Jastrzębiem”. Pod jego okiem ćwiczyłem ślizgi, pętle i beczki. – Uśmiechnął się z przekąsem. – Thufir odchodził od zmysłów, gdy widział, że księżę i jego jedyny następca wybierają się na powietrzne akrobacje. Podejrzewam, że ojciec robił to trochę po to, aby mu dokuczyć.

Jessika obejrzała uważnie ornitopter. Skrzydła miał wąskie, dziób podzielony na dwie części. Mechanik zamknął pokrywę silnika.

– Wszystko w porządku, Wasza Wysokość.

Leto pomógł Jessice wspiąć się na tylne siedzenie, a sam zajął przednie. Natychmiast oplotły ich pasy bezpieczeństwa, zasyczały turbiny i Leto wytoczył maszynę z hangaru na płytę startową. Keno pomachał im na pożegnanie. Na chwilę wiatr owionął włosy Jessiki, ale zaraz zasunęła się nad nią osłona z plazu.

Palce Leta sprawnie przebierały po sterownikach na pulpicie; skupił się na pilotażu, ignorując swą towarzyszkę. Na czas startu zielone skrzydła skuliły się, turbiny zawyły i maszyna wzbijała się w powietrze. Leto wysunął nieco skrzydła i wziął głęboki wiraż w lewo, przelatując nad plażą, gdzie ćwiczyli żołnierze, którzy zaskoczeni zadarli głowy.

– Dopóki będziemy w zasięgu ich wzroku, polecimy wzdłuż brzegu na północ, ale potem skręcimy na zachód – zawołał Leto do Jessiki. – Nie będą mogli za nami podążyć.

– Tylko we dwoje – dodała.

Jessika miała nadzieję, że to oderwanie się na jakiś czas od ludzi dobrze wpłynie na samopoczucie Leta.

– Ja zawsze jestem samotny – mruknął Leto.

Ornitopter wykręcił i poleciał nad polami ryżowymi i niewysokimi zabudowaniami. Skrzydła były teraz rozpostarte na pełną długość i maszyna wyglądała jak wielki ptak. Pod sobą mieli zakola rzeki Sjubi, a także niewielkie wzgórze o tej samej nazwie, stanowiące najwyższy punkt na równinie.

Przez całe popołudnie lecieli na zachód, nie napotkawszy żadnej innej maszyny.

Krajobraz powoli się zmieniał i stawał bardziej górzysty. Kiedy dotarli do małej wioski położonej nad górskim stawem, Leto przez chwilę studiował wskazania instrumentów, a potem zmienił kurs. Urwiste zbocza ustąpiły miejsca halom i wąwozom. Leto nagle zaczął zmniejszać wysokość, zmierzając ku niezbyt szerokiemu kanionowi.

– Kanion Agamemnona – wyjaśnił. – Widzisz tarasy? Zostały wyciosane przez pierwotnych mieszkańców Kaladanu, których potomkowie mieszkają tu po dziś dzień, ale niełatwo ich wypatrzeć.

Przypatrującej się uważnie Jessice udało się zobaczyć brązowoskórego mężczyznę o wąskiej i ciemnej twarzy, który chwilę potem zniknął w jakiejś pieczarze.

Leto uważnie wprowadził maszynę między skały i dalej opuszczał się w kierunku spienionego potoku na dnie wąwozu, by następnie przelecieć tuż nad nim, zręcznie naśladowując jego zygzaki.

– Jak tu pięknie – powtarzała urzeczona Jessika.

W pewnej chwili orniopter zawisł w powietrzu, a następnie ze złożonymi skrzydłami miękko usiadł na dość szerokim pasku plaży.

– Tutaj zatrzymywaliśmy się z ojcem na ryby – powiedział Leto i zeskoczył na łachę. Z luku transportowego wyjął autonamiot, który z lekkim sykiem rozłożył się, wbijając w piasek mocujące kolce. Na powietrznej poduszce ułożyli podwójny śpiwór, po bokach umieścili bagaż podróżny i zapas jedzenia.

Przez jakiś czas siedzieli nad brzegiem strumienia i gawędzili, a światło dnia przygasało i robiło się chłodniej. Jessika oparła głowę na ramieniu Leta i patrzyła, jak co chwilę wyskakiwały nad powierzchnię wody ryby, podróżujące w górę strumienia.

Kiedy zamilkł na dłuższą chwilę, wyprostowała się i zajrzała mu w oczy. Poczula, że lekko ścisnął jej dłoń, nachyliła się więc i ucałowała go w usta. I na przekór wszystkim odebranych naukom, na przekór wszystkim ostrzeżeniom Mohiam, łamała świadomie jedną z podstawowych zasad Bene Gesserit: chociaż wcale tego nie chciała, chociaż oznaczało to pogwałcenie lojalności wobec zakonu – ona najwyraźniej płonęła miłością do Leta.

Siedzieli przytuleni do siebie, a Leto wpatrywał się w rzekę.

– Ciągle trapią mnie nocne zmyły – powiedział półgłosem. – Widzę Victora, Rhombura, płomienie. – Puścił kibić Jessiki i ukrył twarz w dłoniach. – Pomyślałem, że umknę im, przyjeżdżając tu. Chyba powinienem jednak przyjechać tutaj bez ciebie – dodał i podniósłszy głowę, spojrzał z ukosa na swą towarzyszkę. Wiatr, który przygnał postrzępione chmury, tutaj, na dole, zmierzwił ich włosy i zaczął szarpać materiałem namiotu.

– Uciekajmy do środka, zanim zaczną łać.

Sam jednak nie uniknął deszczu, gdyż kiedy wyciągał jeszcze ostatnie drobiazgi, rozpadało się na dobre.

Zjedli posiłek ze wspólnego naczynia; potem ułożyli się obok siebie na materacu. Jessika przysunęła się i zaczęła całować szyję Leta. Na zewnątrz rozpętała się burza, oni zaś



pogrążyli się w miłości. Leto wtulał się w Jessikę z taką zaciekleścią, jak samotne, zrozpaczone dziecko. Wydawał jej się żywiołem takim samym jak burza.

Siostry nigdy o niczym takim jej nie wspominały.

Porwana w wir emocji, zdecydowała się w końcu dać Letu największy dar, na jaki ją było stać. Manipulując chemizmami swego ciała, doprowadziła do tego, że z zygoty, która powstała z połączenia plemnika z jajkiem, rozwinąć się miało dziecko.

Nie mogła już dłużej przypatrywać się jego męce, musiała to dla niego zrobić. Na opak wszystkim instrukcjom zakonnym, mającym charakter rozkazu, miała powić księciu nie córkę, lecz syna.

*Jakim zapamiętają mnie dzieci? Oto prawdziwa miara człowieka.*

### **Abulurd Harkonnen**

W zasięgu wzroku kanciastej twierdzy barona, na tle mrocznego nieba unosiła się powietrzna platforma.

Na czterech łańcuchach zamocowanych do pęt na przegubach i kostkach, Glossu Rabban zwiślał nad czerniejącym w dole Harko. Mundur miał porwany, twarz pokrwawioną i posiniaczoną po walce, którą stoczył z wykonującymi rozkaz barona żołnierzami kapitana Kryubiego. Potrzeba ich było siedmiu, aby poskromić „Bestię” i wcale nie starali się być przy tym delikatni. Teraz kołysał się na łańcuchach i nie miał wokół siebie niczego, w co mógłby się wczepić lub na co mógłby napluć.

Oparty wygodnie o barierkę, Vladimir spoglądał ze spokojem w dół na swego bratanka, a w jego czarnych oczach czaiło się okrucieństwo.

– Czy pozwoliłem ci zamordować mego brata?

– Ale przecież to tylko twój przyrodni brat, a na dodatek dureń. Byłem pewien, że lepiej będzie się go...

– To był właśnie błąd, Glossu. Zawsze, kiedy starasz się myśleć, konsekwencje są okropne. Odpowiedz na pytanie: Czy pozwoliłem ci zabić kogoś z rodu Harkonnenów?

Kiedy Glossu się nie odzywał, baron nacisnął jeden z guzików na kontrolce i kajdany na kostce otworzyły się, noga zaś zadyndała nad przepaścią. Rabban szarpnął się i zawył, ale nic nie mógł zrobić. Pomysł wydawał się baronowi prymitywny, ale skuteczny.

– Nie, stryju, nie pozwoliłeś!

– Na co nie pozwoliłem?

– Nie, stryjuuuu! Nie, mój panie, nie!

Zwalisty mężczyzna wiał się i skręcał w obawie, że nie znajdzie właściwych słów.

Baron zwrócił się do operatora wielkiej powietrznej platformy, na której się znajdowali.

– Przesuń się nad twierdzę i zawieś nas pięćdziesiąt metrów nad tarasem. Jest tam ogródek z kaktusami, którym przyda się chyba trochę świeżego nawozu.

Rabban zawołał:

– Zabiłem ojca, bo był mięczakiem! Jego życie i jego postęпки przynosiły wstyd rodowi Harkonnenów!

– Chodzi ci o to, że Abulurd nie był tak silny, jak na przykład... ty i ja?

– Nie, mój panie baronie. Nie pasował do nas.

– I dlatego postanowiłeś nazwać się Bestią. Czy to prawda?

– Tak, stry... Tak, mój panie.

Vladimir widział w dole szpiczaste wieżyczki twierdzy; bezpośrednio pod nimi znajdował się taras z ogrodem, gdzie baron lubił czasami posilać się w samotności.

– Masz teraz dobry widok, Glossu, przyjrzyj się, a z pewnością zauważysz drobne modyfikacje, jakich dokonałem dzisiaj rano. – Pomiedzy krzakami kaktusów sterczały zaostrome pręty. – Widzisz, co dla ciebie przygotowałem?

Rabban szarpnął się na trzech przytrzymujących go łańcuchach i zawył.

– Zauważ – ciągnął baron – że piki ustawione są koncentrycznie. Jeśli uda się zrzucić cię na tę centralną, dostanę najwięcej punktów. Im dalej od centrum, tym gorszy wynik. – Vladimir przerwał na chwilę, a potem dodał zadowolony z pomysłu: – Właściwie można wprowadzić taką konkurencję, którą oglądaliby widzowie zebrani wokół areny: zrzucanie niewolników na punkty. Co o tym sądzisz?

– Nie, baronie, Wasza Wielmożność, nie rób tego, przecież jestem ci potrzebny!

Baron skrzywił się lekko.

– A niby do czego? Poza tym mam teraz twojego braciszka, Feyd-Rauthę. To jego wyznaczę na mego oficjalnego następcę, a jestem pewien, że mając tyle lat, co ty teraz, nie popełni aż tylu błędów.

– Stryju, błaaagam!.

– Należało uważniej wsłuchiwać się w to, co mówię, Bestio. Ja nigdy nie strzępię języka po próżnicy.

Glossu wiał się i rozpaczliwie usiłował wymyślić coś, co przebłagałoby barona.

– Pytasz, czy to dobra gra? Świetna! Ach, mój panie, strasznie pomysłowa!

– A więc ktoś, kto ją wymyślił, jest sprytny, prawda? Sprytniejszy od ciebie?

– Nieskończenie sprytniejszy.

– Więc nigdy już nawet nie próbuj mi się sprzeciwiać. Zrozumiano? Zawsze jestem dziesięć kroków przed tobą, mając w zanadru niespodzianki, o których ty nawet nie pomyślisz, zanim ich nie zobaczysz.

– Rozumiem, Wasza Wielmożność.

Posłyszawszy w głosie bratanka niekłamana trwozę, Vladimir powiedział:

– No dobrze, teraz cię uwolnię.

– Stryju, zaczekaj!

Sięgnął do pulpitu i rozwarły się obejmę trzymające ramiona, tak że Glossu poleciał głową w dół i zawisł tylko na kostce prawej nogi.

– Ooo! – zawołał baron. – Wydaje ci się, że pomyliłem guziki?

– Niiieee! – zaskowyczał Glossu. – To nauczka dla mnie!

– A przyswoiłeś sobie tę lekcję?

– Tak, stryju! Wracajmy. Już zawsze będę cię słuchał.

– Leć nad moje jezioro – polecił baron operatorowi.

Po chwili zawisłi wprost nad taflą sztucznego jeziora. Glossu zjechał na wysokość dziesięciu metrów nad wodą. Rozpaczliwie miotając się, błagał:

– Nie, stryju, to już niepotrzebne, zapewniam, ja za...

Reszta słów zamieniła się w przeciągły ryk pikującego w dół Rabbana.

– Zapomniałem cię nawet spytać – krzyknął w ślad za nim baron – czy potrafisz pływać.

Tak czy inaczej, wokół stawu czekali na wszelki wypadek ludzie Kryubiego ze sprzętem ratowniczym. Ostatecznie, Feyd-Rautha był jeszcze mały i różne rzeczy mogły mu się przytrafić. Nie zamierzał mówić o tym Rabbanowi, ale w istocie uradowało go to, że w końcu pozbył się Abulurda, nie tylko niedołęgi, ale i szkodnika, jak się okazało. Glossu zaś wykazał twardość i stanowczość, z których nieraz jeszcze będzie można skorzystać.

„Należało mu jednak pokazać, kto tu rządzi – myślał baron. – Musi bać się mnie tak, aby nigdy do głowy nie przyszła mu myśl, że mógłby ze mną postąpić jak ze swym ojcem. Bestia Rabban ma dobrze wiedzieć, na kogo wolno się rzucać, a na kogo nie”.

Miał jednak inny, o wiele trudniejszy problem. Ciało coraz bardziej odmawiało mu posłuszeństwa. Nieustannie faszerował się środkami, które pozwalały okiełznać słabość i tycie, ale dla uzyskania tego samego efektu potrzeba ich było coraz więcej.

Baron westchnął ciężko. I znikąd pomocy. Stracił już rachubę, jak wielu lekarzy uśmiercił z powodu ich niekompetencji.

*Niektórzy powiadają, że oczekiwanie jest lepsze od spełnienia. To idiotyzm. Każdy głupiec może sobie wymarzyć gwiazdkę. Ja pragnę tego, co osiągalne.*

**Hasimir Fenring,**

*Listy z Arrakis*

Za pośrednictwem kurierów przenoszonych przez liniowce do rezydencji w Arrakin poufna wiadomość Mistrza Badań Hidara Fen Ajidicy dotarła do Hasimira Fenringa.

Niecierpliwy, a zarazem oburzony na dwudziestoletnie już opóźnienie, hrabia udał się do swego prywatnego gabinetu w przeszklonej mansardzie, po drodze obmyślając, jaka kara spotka Ajidicę, jeśli ten po raz kolejny przedstawi wymówki.

„Ciekawe, jakie nowe łągarstwa przyjdą mu tym razem do głowy”.

Za okiennicami, które zatrzymywały pałace światła słoneczne, nerwowo przystąpił do otwierania cylindra, a potem pomrukując do siebie, zaczął go odkodowywać. Mimochodem zastanawiał się, czy rozwiązanie polegające na tym, że kod genetyczny otwierał cylinder tylko pod jego dotykiem, jest przeznaczoną specjalnie dla niego demonstracją możliwości Tleilaxan. Trudno odmówić im umiejętności, tylko że są tacy... irytujący. Oczekiwał, że oprócz krętałów znajdzie w liście żądania nowych materiałów i ciąg pustych zapewnień.

Nawet po odkodowaniu słowa nie układały się w żadną sensowną całość i Fenring zrozumiał, że nałożony na nie został kod drugiego stopnia. Zachnął się, ale przystąpił do odszyfrowywania, które zabrało mu następne dziesięć minut.

Kiedy miał już przed sobą oryginalną wiadomość, wpatrywał się w nią szeroko otwartymi oczami, całkowicie zaskoczony.

Pojawił się dowódca gwardii Willowbrook, sam zaciekawiony pospieszną przesyłką, nazbyt jednak doświadczony, aby zadawać pytania. Hrabia prowadził wiele tajemniczych i zawiłych działań.

– Hrabio, czy podać podwieczorek?

– Precz stąd – warknął Fenring, nie spojrzawszy nawet przez ramię – bo przeniosę cię do Kartagi!

Willowbrook zniknął jak porwany wichurą.

Fenring siedział jeszcze jakiś czas z wiadomością w ręku i utrwał ją w pamięci, a potem zniszczył papier. Z prawdziwą radością przekaże nowinę Cesarzowi. Nareszcie! Przez wąskie wargi przemknął uśmiech.

Plan zaczęto realizować jeszcze za życia ojca Szaddama i dopiero teraz, ponad dwie dekady po jego śmierci, nadchodził czas zbierania plonów.

„Hrabio Fenring, z przyjemnością zawiadamiamy, że ciąg ostatnich eksperymentów przyniósł wyniki zgodne z oczekiwaniami, co pozwala uznać, że Projekt Amal zakończył się powodzeniem, chociaż z ostateczną konstatacją należy poczekać do chwili zakończenia eksperymentów potwierdzających. Na podstawie swego doświadczenia mogę jednak wyrazić przypuszczenie, że produkcję na skalę przemysłową będzie można rozpocząć za kilka miesięcy”.

„A zatem – myślał Fenring – jeszcze chwila, a Cesarz zyska niewyczerpane źródło taniej przyprawy. W wyniku złamania pradawnego monopolu będzie miał w ręku wszystkie potęgi Cesarstwa, a Arrakis straci całe swoje dotychczasowe znaczenie”.

Pełen satysfakcji podszedł do okna i spojrzał na zakurzone, rozgrzane od upału ulice Arrakin. W tłumie rozpoznawał niebieskie mundury żołnierzy Harkonnenów, tęczowe stroje

kupców wodnych, dumnych kapłanów, buro ubranych zbieraczy przyprawy, obszarpanych żebraków – produkty gospodarki opartej na jedynym towarze. Na przyprawie.

Jeszcze moment, a ta straci jakiegokolwiek znaczenie. Ona i Arrakis spadną do rangi historycznej ciekawostki. Nikt już nie będzie się interesował leżącą na uboczu, niegościnną planetą, a hrabia Hasimir Fenring rozpocznie jakąś inną ważną misję. Odetchnął głęboko. Z prawdziwą radością rozstanie się z tym piaszczystym pustkowiem upstrzonym skałami i nielicznymi skupiskami ludzkimi.

*Chociaż śmierć nieustannie zadaje mu kłam, życie jest najpiękniejszym elementem tego świata.*

### **książę Paulus Atryda**

„Nie powinno się uczestniczyć w pogrzebie własnego dziecka”.

Leto, odziany w uroczysty biały uniform, odarty ze wszelkich odznaczeń dla podkreślenia bólu po stracie syna, stał na dziobie wielkiej łodzi pogrzebowej. U boku miał Jessikę, która nawet w czarnej sukni Bene Gesserit była fascynująco piękna.

Za nimi ciągnął sznur łodzi, a wszystkie – ku czci chłopca, którego życie zostało tak gwałtownie przerwane – obłożone były wieńcami z powiewającymi wstążkami. Po obu stronach żałobnej procesji płynęły wojskowe jednostki, na których w karnych szykach trwali żołnierze, a od ich wypolerowanych tarcz migotliwie odbijało się słońce.

Leto przesłonił przed nim oczy i ponad rzeźbą jastrzębia na dziobie spoglądał na wodny przestwór. Victor zawsze zachwycił się morzem. Daleko na horyzoncie wody się burzyły i pojawiały się osobliwe błyski; może to gromadka elakranów chciała przyjąć do swego grona duszę chłopca.

Atrydzi zawsze traktowali życie jako największe błogosławieństwo. Zawsze największą wagę przywiązywali do tego, co człowiek zdołał za życia: czego doświadczył i co sprawił, natomiast znacznie mniej interesowało ich widmowe życie pozagrobowe. To, co namacalne, było dla nich nieporównanie ważniejsze od tego, co nienamacalne.

„Synu, jakże mi ciebie brak!”

Przez krótkie lata spędzone razem z Victorem próbował natchnąć chłopca siłą, podobnie jak z nim czynił jego ojciec. Każdy powinien mieć zdolność polegania na sobie samym, umieć pomagać przyjaciołom, ale nigdy nie wymagać od nich zbyt wiele.

„Dzisiaj potrzeba mi wszystkich sił”.

Nie powinno się uczestniczyć w pogrzebie własnego dziecka. Został zakłócony naturalny bieg rzeczy. Kailea nie była wprawdzie jego żoną, Victor nie był jego oficjalnym

spadkobiercą, a przecież wydawało mu się, że nic okropniejszego nie może się przydarzyć człowiekowi. Dlaczego jeden musi odejść, a drugi pozostać, i to ze straszliwym poczuciem straty?

Procesja obrała kurs na odległą rafę koralowych klejnotów, gdzie niegdyś Leto i Rhombur przeżyli dramatyczną przygodę i dokąd chciał się kiedyś wybrać z Victorem. I nagle Victorowi brutalnie zabrano czas, czy bardziej zabrano go Letu, który nie spełni już jakże licznych obietnic, które składał. Na głos i w duchu...

Pogrzebowa łódź Atrydów wznosiła się na kilka pięt, niczym pływający monument. Na górnym pokładzie w wysokich na piętnaście metrów czarach z muszli kabuzu płonął tran. Między nimi spoczywała złota trumna Victora, a wokół niej jego ulubione przedmioty: wypchany salusański byk-zabawka, upierzona lanca vara z gumowym zakończeniem, księgofilmy, gry, muszle nazbierane na plaży... Przedstawiciele niemal wszystkich Wysokich Rodów zjawili się z wieńcami i szarfami kondolencyjnymi. Było ich tak wiele, że niemal całkowicie przesłoniły zabalsamowane pozostałości chłopięcego ciała.

Wiele było pamiątkowych obrazów. Na jednym z nich księżę Leto w triumfalnym geście wznosił w górę nowo narodzonego syna, na innych uczył go walki z bykiem, na jeszcze innych łowili razem ryby albo bronił go przed atakiem elakrana. Były obrazy z Victorem na kolanach matki, odrabiającym lekcje, biegnącym ze sznurkiem latawca, który wzbijał się za nim w niebo. I kilka pustych sztalug symbolizujących rzeczy, których Victor mógł dokonać, a których już nie dokona.

Załoga zaczęła spuszczać kotwice; pozostałe łodzie otoczyły ich kołem. Pilotowana przez Duncana Idaho motorówka zacumowała przy dziobie.

Żołnierze zaczęli miarowo uderzać w ceremonialne tarcze, a żałobny rytm rozchodził się po falach. Leto i Jessica stali ze spuszczoneymi głowami, a wiatr szarpał ich włosy i szaty.

Po dłuższej chwili księżę uniósł głowę i głęboko zaciągnął się morskim powietrzem. Obrócił się i spojrzał na lśniąco wysoko w promieniach słońca trumnę syna.

Leto powoli wznosił ręce w górę, jak ucięty umilkł odgłos tarcz, zapadła cisza, w której słychać było tylko chłupot fal o burty statków, piski morskich ptaków i cichy pomruk motorówki Duncana.

Nacisnął guzik na trzymanym w jednej z dłoni nadajniku, a wtedy czary przechyliły się i zalały szczątki Victora płonącym olejem. W jednej chwili szczyt pogrzebowego statku stanął w płomieniach.

Duncan pomógł Jessice wsiąść do motorówki, za nią pospieszył Leto. Natychmiast odpłynęli, ale kilkanaście metrów dalej zatrzymali się, aby patrzeć, jak pożar ogarnia wodne mauzoleum.

– Dokonało się – rzekł Leto i podczas gdy nie odrywał wzroku od płonącej łodzi, Duncan powoli wprowadził motorówkę w krąg czekających w oddali jachtów. Leto nieprzerwanie wpatrywał się w szalejący ogień, niemniej jednak półgłosem odezwał się do Jessiki: – Nigdy

nie będę z dumą wspominał Kailei. Teraz tylko od ciebie mogę zaczerpnąć siłę potrzebną do przetrwania.

Wysłał już do arcyksięcia Armanda Ekaza list z przeprosinami, że przynajmniej na razie musi zawiesić wszelkie plany matrymonialne, dlatego póki co lepiej, aby obaj uważali propozycję zaślubin za niebyłą.

Jessika, poruszona do głębi, przysięgła sobie w duchu, że nigdy nie spróbuje nakłaniać Leto do zobowiązań, których ten nie będzie mógł podjąć. Wystarczy, że ukochany księżę darzy ją zaufaniem. „A jesteś moim jedynym mężczyzną”. – pomyślała.

Postanowiła, że nie poinformuje swych zakonnych zwierzchniczek o synu, którego nosiła w łonie. Dowiedzą się o tym, gdy już nic nie będą mogły uczynić. Od Mohiam dostała jednoznaczne instrukcje, chociaż bez żadnych wyjaśnień, jaką rolę w wielkim planie Bene Gesserit pełnić ma córka jej i Leto. On zaś tak żarliwie pragnął mieć syna... Po pogrzebie poinformuje go, że jest w ciąży, i tylko tyle. Zasłużył sobie na to, aby przynajmniej mieć nadzieję na syna.

Leto tymczasem czuł, jak w jego piersi rośnie determinacja. Żywił wprawdzie ogromne zaufanie do Jessiki, szanował ją i głęboko kochał, zbyt wiele jednak miał głębokich blizn na sercu, aby nie nakazywało to wycofania się na pozycje wyniosłego dystansu.

To ojciec ugruntował w nim przekonanie, że mężczyźni z rodu Atrydów żyją w innym świecie niż kobiety. Jako przywódca Wysokiego Rodu miał zobowiązania przede wszystkim wobec swych poddanych i nie mógł nazbyt zbliżyć się do nikogo..

„Jestem samotną wyspą” – myślał zarazem ze smutkiem i dumą.